

Penelope
Williamson

Gorące

pożądanie



Wiliamson Penelope

Gorące pożądanie

Boston, kolonia nad zatoką Massachusetts Maj 1721 roku _ Delia, ty cholero, wracaj mi tutaj! Bo jak będę musiał pójść po ciebie ...

Gwałtownie pchnięte drzwi trzasnęły o ścianę i z wnętrza doomu wypadła ciemnowłosa dziewczyna.

Potknęła się o próg i uupadła z hałasem, lądując na czworakach na deskach werandy . Przez chwilę klęczała tak, skulona, oddychając chrapliwie.

Hałas przyciągnął uwagę wyrostków grających w monety w głębi zaułka. Na widok dziewczyny z włosami w dzikim nieeładzie i przerażeniem w oczach pośpiesznie zgarnęli swoje drobbniaki i pobiegli w stronę portu.

- Delia!

Wściekły wrzask pijanego mężczyzny poderwał dziewczynę na nogi. Trzymając się rozchwierutanej balustradki, zeskoczyła z werandy na ziemię, odwróciła się na pięcie ... i stanęła jak wryta.

Bo oto od strony portu nadchodził konstabl Dunlop, klucząc między schnącymi na słońcu rybackimi sieciami. Przysadzisty, choć krzepki, o potężnie rozrośniętej piersi, znajdował się dookładnie na drodze ucieczki dziewczyny.

Właśnie przystanął i zwrócony do niej plecami obserwował królewską fregatę podchodzącą do nabrzeża. Dziewczyna ostrożnie postąpiła krok naprzód i zamarła, widząc, że konstabl odwraca się powoli.

Z tyłu dobiegł odgłos przewracanego stołka i okrzyk:

- Bodaj to wszyscy diabli!

Zagrzechotały spadające na podłogę blaszane naczynia, coś grzmotnęło ciężko o ścianę.

- Wiem, że jeszcze coś tu schowałaś. I oddasz mi to, zarazo, albo pożałujesz ... Delia!

Konstabl drgnął, niczym lis, którego nozdrza pochwyciły woń królika. Dziewczyna zdusiła w gardle jęk rozpaczy, opadła na kolana i wczołgała się pod werandę.

Wysoka ledwie na pół metra weranda, zbudowana z desek, które już dawno zaczęły próchnieć, kończyła się schodami proowadzącymi z nadbrzeżnej uliczki do domu. Jego parter zajmował

podupadły warsztat bednarski, pokoje mieszkalne znajdowały się na piętrze. Kryjówka Delii było to miejsce odpowiednie dla szczurów, pajaków - i szczupłej siedemnastoletniej dziewczyny, uciekającej przed biciem.

- Delia! Gdzieś to, do kroćset, schowała?!

Posłyszała odgłos niepewnych kroków ojca na schodach i chwilę później skrzywienie butów konstabla Dunlopa, pokonującego ostatnie metry uliczki. W obawie, że głośny oddech zdradzi jej kryjówkę, wtuliła twarz w mokrą ziemię. Poczowała na policzku śliski dotyk błota, cuchnącego pleśnią i zgniłą rybą.

Nogi konstabla znalazły się w polu widzenia Delii. Był tak blisko, że dokładnie widziała plamki błota, zdobiące jego kamasze z białej skóry.

Dunlop odchrząknął i splunął śliną oraz przezutym tytoniem w piasek kilka cali od twarzy Delii.

- Hej, McQuaid! - zawołał. - O co te krzyki?

Deski nad głową Delii wygięły się i zaskrzypiały. Ojciec wyszedł na werandę.

- A, to pan, konstablu ... - Na widok przedstawiciela prawa Ezra McQuaid jakby wytrzeźwiał. Za pijaństwo w miejscu publicznym i zakłócanie spokoju można było pójść w dyby na dwaanaście godzin. - Nie widział pan przypadkiem mojej Delii? Gdzieś mi, cholera, czmychnęła.

Konstabl ponownie odchrząknął i splunął.

- Ano, nie widziałem. Patrzyłem na zatokę. Właśnie przyplłynęła "Moravia". Będzie dziś spokojna noc. Kiedy łapacze zejną na ląd, żaden chłop, który ma dwie zdrowe nogi i nadaje się choćby na chłopca okrętowego, nie wystawi nosa za drzwi ... A więc co ta dziewczucha znowu zmalowała?

_ Znalazła sześć pensów, którym schował na czarną godzinę Ródrzekł Ezra McQuaid tonem człowieka ciężko i niezastuzenie skrzywdzonego. _ Znalazła i zabrała, ot co. Mam zamiar wygarrbować jej za to skórę. Toż to grzech okradać własnego ojca.

Ty łgarzu _ pomyślała Delia. Te sześć pensów należało do niej. Schowała monetę w garnku ze smalcem, ale tatko wywąchał ją bezbłędnie, jak zawsze, kiedy pragnienie dało mu się we znaki. Tylko że tym razem sześć pensów nie wystarczyło, chociaż kuupował najtańsze piwo, galon za pensa. Tak to już było z jej tatkiem. Jak mu się zebrało na picie, nie przestawał, dopóki nie urznął się do nieprzytomności. Piwo się skończyło, więc zażądał od niej pieniędzy. Ale ona nie miała już ani pensa.

Wtedy rzucił
się na nią z pięściami.

_ Już dawno trzeba było dziewczynisko wydać za mąż. - Konstabl

Dunlop zrobił współczującą minę: -

Niech kto inny uczy ją dyscypliny.

Ezra McQuaid zaśmiał się gromko z głębi ogromnego brzucha.

_ A co, chce pan prosić o jej rękę, konstablu?

_ Kto, ja? Broń Boże. Nadto zuchwała, jak na mój gust.

Mężczyźni zaśmiali się zgodnie.

Potem Dunlop westchnął nieznacznie i rzekł:

_ No, dobrze. Muszę iść na obchód. Jeśli natknę się na twoją dziewczynę, nie omieszkać jej tu przyprowadzić. Niech odpokutuje za swoje grzechy.

_ Z góry dziękuję, panie konstablu. Ale gdyby była w pracy, w szynku "Pod Dziarskim Lwem", niech pan jej da spokój. Pootrzebujemy pieniędzy, a baty zawsze zdążę jej sprawić.

Konstabl zarechotał ubawiony i raz jeszcze strzyknął przez zęby tytoniowym sokiem.

_ Ano zdążysz. W takim razie bywaj, McQuaid.

Ułócone kamasze wykonały zwrot i zniknęły Delii z oczu.

Zatrzeszczały deski werandy, szcęknęła klamka zamykanych drzwi.

W zaułku panowała cisza, ale jeszcze przez dobrą chwilę Delia leżała w bezruchu. Łagodny wiatr przyjemnie chłodził jej spoconą twarz. Wraz z wiatrem pod werandę docierał zapach solonych dorszy i stukanie drewnianego młotka kotlarza z sąsiedniego warsztatu. Tato był kiedyś kotlarzem, dopóki pociąg do gorzałki nie zawładnął nim bez reszty.

Wytknęła głowę spod werandy i rozejrzała się powoli, niczym kot wypuszczony z koszyka. Następnie wparła dlonie w błoto i jęła się wyczołgiwać na otwartą przestrzeń.

Chwilę później czyjaś dłoń zacisnęła się na jej włosach. Jedno bolesne szarpnięcie i Delia stała już na nogach. Krzyknęła, kiedy Ezra McQuaid przysunął twarz do jej twarzy.

W gęstwinie czarnej brody, całkowicie kryjącej usta, zabłysły zęby, wyszczerzone w triumfalnym grymasie.

- Myślałaś, że wróciłem do domu, co? A ja cię nabrałem. Taa, nabrałem cię, jak się patrzy. Gdzie pieniądze?

- Nie ma już pieniędzy, tato. Przysięgam ...

- Parszywa kłamczucha!

Trzymając dziewczynę za włosy, uniósł ją nad ziemię i brutalnie potrząsnął. Następnie puścił ją, ale nim upadła, zamachnął się i trzasnął pięścią w bok.

Pałący ból przebiegł jej ciało, pozbawiając oddechu. Poczula w gardle gorzki smak wymiocin. Siła ciosu zakręciła nią i głową naprzód cisnęła na słupki balustrady. Spróchniałe drewno pękło pod jej ciężarem, kalecząc rękę, którą próbowała złagodzić impet upadku.

Ojciec znów ruszył w jej stronę. Odwróciła ku niemu głowę i przez krótką chwilę jak zahipnotyzowana wpatrywała się w jeego żółte oczy, płonące pod strzechą zmierzwionych włosów. Jej umysł wypełniła jedna myśl: tym razem nie przestanie, dopóki mnie nie zabije.

Sięgnęła za siebie, rozpaczliwie próbując wstać i uciekać, uciekać, gdzie oczy poniosą ... i jej palce zacisnęły się na kawałku połamanej balustrady. Zerwała się i z półobrotu palnęła nim ojca w głowę.

Chwilę później biegła uliczką, ślizgając się na nierównościach gruntu i zalegających wszędzie nieczystościach. Gonił za nią głos ojca, pełen zaskoczenia i bólu, stopniowo przechodzący w ryk wściekłości. Biegła więc coraz szybciej. Niebawem znalazła się na nabrzeżu i jej bose stopy zadudniły na deskach pomostu. Klucząc między skrzyniami i beczkami, spłoszyła parę świń, ryyjących w stosie rybich wnętrzności.

Biegła, dopóki nie minęła stoczni Seara i nabrzeża Ship Street.

Potem oparła się o ścianę powroźni i sporo czasu minęło, nim udało jej się opanować oddech. Bok, na którym wylądowała

ojcowska pięść, bolał niczym rana zadana nożem. Ostrożnie przeesunęła dłońią po żebrach, przestraszona, że może jej coś złamał. - Och, tatusiu ...

Oczy Delii wypełniły się łzami. Odchyliła głowę do tyłu, zamknęła oczy - i wnet je otworzyła, bo ktoś stojący przed nią oparł się o ścianę, kładąc dłonie po obu stronach jej twarzy.

- Tu jesteś, kochanie. Wszędzie cię szukałem.

Delia zajrzała w bystre niebieskie oczy, patrzące na nią spod szopy kędzierzawych, jasnych włosów, częściowo przykrytej czerrwoną płócienną czapką.

- Tom ... Przestraszyłeś mnie.

Młodzieniec zaczął się uśmiechać, ale w otatniej chwili przybrał poważną minę i spytał:

- Co ci się stało?

Delia otarła łzę, która nie wiedzieć kiedy wymknęła się jej spod powieki.

- Nic. - Odetchnęła głęboko i uśmiechnęła się z przymusem. - A ty dlaczego szwendasz się po porcie w poniedziałkowe popołudnie? Co będzie, jak stary Jake cię tu przyłapie?

Tom Mullins służył u Jake'a Steerborna, miejscowego kowala.

Gdyby majster dowiedział się, że jego terminator spaceruje sobie po nabrzeżach zamiast pilnować kuźni, Tom dostałby baty.

- Stary łajdak poszedł coś przekąsić i łyknąć rumu - odrzekł Tom. - Nie będę sterczał w rozgrzanej kuźni i dał w miechy, jeśli nie ma kowala. Gdzie się ostatnio podziewałaś? Tęskniłem za tobą ...

Zbliżył usta do jej ust, ale odwróciła głowę. On jednak ujął ją za podbródek, odwrócił twarzą ku sobie, i w końcu pozwoliła mu się pocałować.

Ale kiedy zaczął rozwiązywać tasiemki jej gorsetu, kiedy na języku poczuła dotyk jego języka, przypomniała sobie, dlaczego ostatnio unikała Toma Mullinsa, i cofnęła się o krok.

- Przestań, Tom. Nie powinniśmy ... - powiedziała. - A zresztą i tak nic by z tego nie wynikło - dodała po chwili, bo jako terminator Tom nie mógł się ożenić. - Jeszcze cztery lata musisz przepracować u swojego majstra. Dopiero wtedy moglibyśmy się pobrać ...

- Pobrać się! A kto tu mówi o małżeństwie? - przystojna twarz Toma stężała w grymasie gniewu.

Uderzył pięścią w ścianę

tuż obok jej głowy, tak że podskoczyła ze strachu. - A niech cię, Delio! Dlaczego się ze mną drażnisz?

Niejednemu już uległaś. Czemu mnie odmawiasz?

Gwałtownie wciągnęła powietrze.

- Kto mówi o mnie takie rzeczy?

- Wszyscy. Każdy, kto bywa w szynku „Pod Dziarskim ł, wem”.

Odepchnęła go tak gwałtownie, że, zaskoczony, musiał się cofnąć, aby nie upaść.

- A więc wszyscy kłamią! Nie jestem ladacznicą, Tomie Mullinsie, a skoro mogłeś tak o mnie myśleć, nie chcę cię więcej znać!

Odwróciła się, chcąc odejść, ale chwycił ją za ramię i zmusił, by na powrót stanęła twarzą do niego.

Myślała, że chce ją uderzyć, i zeszywniała w oczekiwaniu ciosu.

Tymczasem jednak gniew go opuścił.

- Przepraszam, Delio ...

- Puść mnie - rozkazała, z trudem poruszając zmartwiałymi wargami.

Puścił, ale najpierw mocno ścisnął jej ramię; dostatecznie mocno, by pozostawić siniec.

- Na Boga, Delio, czyżbyś nie wiedziała, jak działasz na mężczyzn? -

Wsunął dłonie za pas samodziałowych spodni i spuścił wzrok na bose stopy. Zaraz się jednak wyprostował, twarz miał

dziwnie ściągniętą. - Na pewno wiesz. Tak, myślę, że wiesz. Patrzysz na nich zachęcająco tymi dziwnymi złotymi oczyma. Oczyma kota. I ten twój głos, gardłowy i ochryply, jak głos chłopaka.

Cholernie dobrze wiesz, jak bardzo to wszystko sprawia, że mężczyzna chce ...

Delia nie mogła już tego słuchać. Odwróciła się i uciekła.

I chociaż wołał za nią, nawet się nie obejrzała.

Widziała w jego oczach ten zamiar. Gotów był mnie uderzyć. Pomyślała. Och, tym razem jej nie uderzył

i pewnie nie uderzyłby przy następnej okazji. Ale pewnego dnia złość weźmie nad nim górę i rzuci się na nią z pięściami ... Jak tatko.

Szynk "Pod Dziarskim Lwem" był po prostu jedną z wielu portowych knajp oferujących tanie trunki

"skórzanym fartuuchom" - rzemieślnikom w rodzaju kowali, bednarzy czy sztauerów, którzy zarabiali na życie, obsługując statki kursujące po zatoce. To tutaj Delia McQuaid pracowała od piętnastego roku życia.

Jednakże wbrew temu, co zgodnie z powszechną opinią sądził Tom Mullins, nie była dziwką.

Zwyczajnie podawała do stołu, a od tego do łajdactwa daleka droga - powinien to przyznać nawet naj gorszy świntuch. Tak więc, stojąc w krzywych drzwiach zadymionej, tłocznej sali barowej, Delia starała się zgadnąć, który z tych roześmianych, podpitych mężczyzn pierwszy zaczął rozpuszczać o niej wstrętne plotki.

Owszem, każdy z nich prędzej czy później proponował jej pójście do pokoju na piętrze, ale tacy już byli mężczyźni. Nikomu nie miała za złe tych propozycji, o ile mężczyzna trzymał ręce przy sobie i umiał się pogodzić z odmową. Od dwóch lat nie miała butów, chociaż mogła na nie zarobić, raz tylko wchodząc po schodach na tyłach szynku. Duma jej na to nie pozwalała. Duma i przeświadczenie, że gdyby jeden jedyny raz położyła się z mężczyzną za pieniądze, natychmiast pogrzyżyłaby się w bagnie, z którego już nigdy by się nie wydostała.

Niemniej jakiś mężczyzna nazwał ją dziwką i wszyscy mu uwierzyli. Ta myśl raniła dumę Delii, sprawiała jej ból dotkliwszy niż posiniaczone żebra.

- Spóźniłaś się, dziewczyno - usłyszała nad uchem. Po cuchnącym kiełbasą oddechu poznała Sally Jedrup, właścicielkę szynku "Pod Dziarskim

Lwem” i dwu innych okolicznych szynków. Podbródek Sally zdobiona okazała fałda tłuszczu, która marszczyła się, gdy szynkarka mówiła. - Nie płacę ci za to, żebyś sobie spacerowała, kiedy masz ochotę ...

- Wcale się nie spóźniłam - odburknęła Delia, choć dzisiejszego wieczoru nie czuła się na siłach wojować z Sally. Wzięła z tłustych łap szynkarki drewnianą tacę zastawioną kwaterkami rumu. - Dla kogo to?

- Dla tych hałaśliwych prostaków tam, pod ścianą - odrzekła Sally i dodała w ślad za odchodzącą Delią: - I nie rozlewaj, bo za każdą kropelkę potrącę z zapłaty.

Delia poniosła tacę w kierunku grupy podpitych mężczyzn siedzących na ławach w głębi sali.

Spostrzegła, że jednym z nich jest Jake Steerborn. Mimo iż rozczarowała się co do intencji Toma, cieszyła się, że jego majster nie wrócił do kuźni i chłoopakowi nie grozi lanie za wałęsanie się w godzinach pracy.

Nad głową Jake’a wisiał na kółku skórzany worek, z którego wystawała głowa koguta. Z gardła ptaka dobywało się; radosne gruchanie - prawdopodobnie oznaka podniecenia przed zbliżającą się walką.

Na tyłach szynku „Pod Dziarskim Lwem” znajdowała się arena do walk kogutów i wszyscy bywalcy nabrzeży wiedzieli, że tego wieczoru odbędzie się wysoko obstawiany pojedynek między

niezwyciężonym dotąd ptakiem Jake’a a jednym z koogutów Sally Jedrup.

Kiedy Delia schyliła się, by rozstawić kwaterki z rumem na zachlapanym stole, kowal położył uwalaną sadzą dłoń na jej pośladku. Okrężnym ruchem głaskał szorstki materiał spodniczki, uszytej z pokrycia starego siennika.

- Delia, postawisz dziś trzy pensy na mojego dzielnego ptaszka?

Dziewczyna odepchnęła dłoń natręta i rzuciła cierpko:

- Nie postawiłabym nawet dwu pensów, skoro sprawa jest z góry przegrana.

W pewnym sensie było to ostrzeżenie dla Jake’a. Sally Jedrup miała zwyczaj nacierać gorczycą dzioby swoich kogutów, aby zadawały boleśniesz rany, i pić je brandy dla wzmożenia boojowego zapału.

Tymczasem Jake objął Delię w pasie, przyciągnął do siebie i wymamrotał:

- Miej serce, dziewczyno. Co ty na to, żebyśmy się potem trochę zabawili? - Zanurzył dłoń w kieszeni skózanego fartuucha. - Popatrz, daję ci dwa srebrne szylingi. Dwa szylingi za kilka minut twojego czasu ...

- Puść mnie, Jake - warknęła Delia, odpychając kowala.

On jednak wzmocnił uścisk, zmuszając ją, by się pochyliła.

I oto w miejscu, gdzie jej pierś wydostała się z uwięzi ciasno zasznurowanego stanika, poczuła mokry, lepki pocałunek. Taka obraza to już było za wiele. Sięgnęła w stronę stołu, chwyciła jedną z napełnionych rumem kwaterek i wylała jej zawartość na głowę Jake'a Steerborna.

Kowal puścił dziewczynę i przez chwilę siedział ogłupiały, a piekący, gęsty trunek ściekał z wolna po jego mięsistej twarzy. Wreszcie zerwał się z ławy, wybuchając stekiem przekleństw.

Delia była przygotowana na taką reakcję. Zamachnęła się i ciężką drewnianą tacą ugodziła w bok wielkiego, płaskiego nosa kowala. Siedzący wokół mężczyźni ryknęli śmiechem. Jake uniósł dłonie do twarzy, oczy wypełniły mu łzy bólu.

- Jezu, Delia - zajęczał spod dłoni, którą miętosił gigantyczny nochal, upewniając się, czy nie jest złamany. - Za co mi to zrobiłaś?

Nie speszona swoim postępkim, Delia zaczęła się jednak wycofywać, starając się utrzymać bezpieczny dystans między sobą a roslym kowalem.

- Na drugi raz będziesz pamiętał, żeby swoje wstrętne łapy i usta trzymać z dala ode mnie, Jake'u Steerbornie.

- Nie miałem złych zamiarów.

- Akurat! - Delia odwróciła się, by odejść, ale okazało się, że drogę do szynkwasu tarasuje grube cielsko Sally Jedrup.

- Co ty, do diabła, wyprawiasz, zdiro? - zasyczała szynkarka prosto w twarz Delii. - Awanturujesz się, żeby mi się tu policje zleciały?

Delia uniosła tacę nad głowę.

- Zejdź mi z drogi, obrzydła rajfuro, albo, jak mi Bóg miły, rozwalę ci łeb.

- Ja mam ci zejść z drogi?! - zawołała Sally. - Niedoczekanie twoje! - Niemniej cofnęła się o krok, poza zasięg morderczej broni Delii. - Zabieraj się stąd, dziewczyno. Już dla mnie nie pracujesz. I dopóki mam tu coś do powiedzenia, nie dostaniesz roboty w żadnym szynku.

Delia bez wahania podeszła do drzwi, otworzyła je i wyszła na światło przedwieczornego słońca. Sally Jedrup wrzasnęła jeszcze za nią:

- Mam nadzieję, że ty i ten twój zapijaczony ojciec zdechniecie z głodu!

Dopiero nieopodal nabrzeża Ciarka Delia zorientowała się, że wciąż trzyma w ręku drewnianą tacę.

Doszła do końca pirsu, cisnęła tacę w morze i zaczęła się śmiać. Coś

jednak ścisnęło ją w gardle i śmiech zamarł jej na ustach.

Mój Boże, ależ dziś narozrabiała! Rozbiła ojcu głowę i teraz nieprędko odważy się wrócić do domu. A kiedy już wróci, może mieć tylko nadzieję, że tatko będzie zbyt pijany, by wyładować na niej swoją wściekłość. Albo zbyt trzeźwy, by mieć na to ochotę.

Tom - to osobna sprawa. Jak głupia marzyła o chwili, gdy odsłuży swoje u majstra i będą się mogli pobrać. Wyobrażała sobie ich wspólne mieszkanie nad kuźnią, gromadki; dzieci siedzących wokół

kuchennego stołu i siebie, mieszającą coś aroomatycznego i bulgocącego w garnku na płycie. W tym czasie on siedziałby w kącie z fajką w zębach i kieliszeczkiem rumu w dłoni i przyglądał się jej sennym, zadowolonym wzrokiem. Delia z trudem stłumiła łkanie. Jakaż była głupia, dając się wziąć na słodkie słówka, ulegając urodzie Toma! Sama już nie wiedziała, co sprawiło, że łuski spadły jej z oczu: to, że tak pochopnie uznał ją za dziwkę, czy wyraz nienawiści i furii w jego oczach, gdy - jak sądziła - gotów był ją uderzyć.

I wreszcie ostatni kłopot - utrata pracy w szynku "Pod Dziarrskim Lwem", a wszystko przez głupotę i pijaństwo Jake'a Steerrborna, który chciał po prostu trochę pożartować i naprawdę nie miał złych intencji.

- I z czego będziesz teraz żyła, kapuściany głąbie? - powieedziała Delia na głos. - Myślisz, że najesz się swoją dumą?

Stała na krańcu pirsu, aż słońce jęło zachodzić za omotane pajęczyną want i wyblinek maszty statków w porcie. Wracająca z połowu łódź rybacka zmierzała w stronę ujścia rzeki. Niesione przyplływem łodygi wodorostów skalnych czepiały się obrośniętych muszlami pali pirsu. Tuż nad głową Delii przeleciała mewa, skrzecząc przeraźliwie. Nie wiedzieć czemu ten swojski dźwięk sprawił, że łzy znów napłynęły jej do oczu. Czowała się taka saamotna; jak mewa szybująca ponad falami.

Uwagę Delii zwrócił jakiś ruch w części nabrzeża, gdzie wznosiły się magazyny portowe. Dostrzegła kilku oficerów z fregaty "Moravia", zmierzających w kierunku tablicy ogłoszeń, na której widniały nazwy statków przebywających obecnie w porcie. Kilku miejscowych studiowało oferty pracy dla marynarzy i podoficerów. Teraz rozchodzili się pośpiesznie. Royal Navy, z jej werrbownikami-

łapaczami, nie cieszyła się sympatią mieszkańców Bostonu.

Delia stłumiła westchnienie i z wolna ruszyła pomostem w kierunku brzegu. Wieczorna bryza poruszała śmiecie, wałające się na nabrzeżu.

Stronica "Boston News-Letter" owinęła się wokół nóg Delii, zmuszając ją do przystąpienia. Wyplątała się z papierowych więzów i już miała wyrzucić gazetę do wody, kiedy jakieś słowo wybite tłustym drukiem przyciągnęło jej uwagę.

Złożyła gazetę tak, żeby luźny arkusz nie trzepotał na wietrze, ale niewiele to pomogło w czytaniu, bo ta umiejętność nie była jej naj mocniejszą stroną. Poruszając ustami, zdołała przeliterować dwa słowa napisane większymi, wyraźniejszymi literami: "koobieta" i "żona". Reszta tekstu była ponad jej siły.

Chciała już zrezygnować, kiedy jakiś cień padł na gazetę.

Delia podniosła wzrok i spostrzegła, że stoi przed nią jeden z oficerów angielskiej fregaty. Insygnia na epoletach eleganckiego, niebieskiego surduta świadczyły, że jest porucznikiem. Był wysoki i chudy jak szczapa, a szesane do tyłu włosy nosił splecione w ciasny warkocz, obciążony czymś w rodzaju pokrowca ze skóry węgorza, Uśmiechał się przyjaźnie.

- Dobry wieczór panience - odezwał się. Mówił z akcentem człowieka wykształconego. - Widziałem, jak stała pani na końcu pirsu i pomyślałem sobie, że wygląda pani na nieco samotną. Zastanawiałem się ... - Uśmiechnął się i na jego blade, zapadnięte policzki wypłynął lekki rumieniec.

Samotna? Żeby tylko! W innych okolicznościach Delia wyykpiłaby oficerka i szybko odebrała mu chęć do flirtów. Postanoowała jednak wykorzystać natręta.

Uśmiechnęła się najmiłszym ze swoich uśmiechów.

- Czy umie pan czytać, panie oficerze?

Porucznik wypiął wątlą pierś niczym tokujący indor.

- Tak. Oczywiście.

- Może mi pan to przeczytać? Na głos?

Młodzieniec z uśmiechem przyjął podaną mu gazetę. Chrząknął, uniósł arkusz do nosa i zmrużył

oczy.

- Aha - mruknął i zaczął czytać:

POSZUKUJE SIĘ KOBIETY NA ŻONĘ. Średniorolny gospoodarz z osiedla Merrymeeting (Sagadahoc Territory, Maine), znalazłszy się w trudnej sytuacji z powodu śmierci żony i zmuszony zapewnić opiekę dwóm małym córkom, proponuje miejsce w swoim domu przyzwoitej kobiecie, gotowej podjąć się obowiązków jego żony i matki rzeczonych córek. Kobieta owa winna być osobą silną, zdrową na ciele i umyśle, a nadto wzorową

chrześcijanką o nieposzlakowanej reputacji. Kandydatki zainteresowane powyższą ofertą mogą się zgłaszać do Tylera W. Savitcha, M.D., tymczasowo w zajeździe "Pod Czerrwonym Smokiem", King Street, Boston.

Głos czytającego ucichł. Porucznik spojrzął na Delię i uśmiechnął się, najwyraźniej bardzo z siebie zadowolony. Odpowiedziała uśmiechem, ale prawdę mówiąc, wcale go nie widziała. Myślała gorączkowo: farmer musi mieć jakiś dom, zwykle własnoręcznie zbudowany. I na pewno ma co jeść.

A mężczyzna zmuszony samotnie opiekować się dwiema córkami powinien być dobry dla kobiety gotowej zająć się jego dziećmi i domem ...

- "Pod Czerwonym Smokiem" ... Tyler W. Savitch, M.D. powtórzyła na głos. - Co to znaczy: M.D.?

- Medicinae doctor. Pan Savitch studiował na uniwersytecie. Ale jestem pewien, że pani nie zamierza skorzystać z tej propozycji. - Porucznik zaśmiał się i pogłaskał Delię po policzku. `Jest pani taka urocza. Szkoda pani dla jakiegoś farmera grzebiącego w ziemi gdzieś na dzikim odludziu ...

Delia wyjęła gazetę z dłoni młodzieńca.

- Dziękuję panu za fatygę. Bardzo pan uprzejmy.

- Zaczekaj! A co powiesz na to, żebym ci postawił kolację?

Delia nawet się nie obejrzała. Szybkim krokiem zmierzała w kierunku King Street i zajazdu "Pod Czerwonym Smokiem".

Skryta w cieniu wysokiej kamienicy, Delia spoglądała na przeciwną stronę King Street. Zajazd

"Pod Czerwonym Smokiem" nietrudno było odnaleźć. Wyróżniał się z ciasnego szeregu domów i warsztatów przepychem fasady i olbrzymim, kolorowym szyldem kołyszającym się nad drzwiami.

Żaden "skórzany fartuch" nie odważyłby się wejść tu do baru €myślała Delia. O nie, pub przy zajeździe przeznaczony był tylko dla dżentelmenów. Mogła sobie wyobrazić, jak wygląda w środku, choć jej stopa nie postąpiła w równie wykwintnym miejscu. Szlachetni panowie popijają z cynowych kufli, grają w karty i czytają gazety, pykając z porcelanowych fajek. Żadnego nieestosownego hałasu, nikt nie zachowuje się w sposób zakłócający tę dystygowaną atmosferę ...

Przed wejściem do zajazdu dwaj mężczyźni toczyli ożywioną rozmowę; może się kłócili? Portier i stajenny - obaj w czerwonych, zdobionych złotymi szamerunkami liberiach i w perukach z mnóstwem misternie ułożonych loczków. Delia miała nadzieję, że zdoła przemknąć się niepostrzeżenie do pokoju Tylera W. Savitcha, ale po kilku minutach

niecierpliwego oczekiwania zdała sobie sprawę, że musi skorzystać ze strzeżonego głównego wejścia do zajazdu, umieszczonego w głębokiej wnęce portalowej.

Poprawiła spódnicę, zadarła podbródek, przyjmując postawę właściwą - jak sądziła - prawdziwej damie, i ruszyła w kierunku drzwi. Przechodząc przez ulicę, musiała ominąć sprzedawcę mioteł, woziwodę i ślusarza z kołem do ostrzenia noży.

_ Raczcie wybaczyć, zacni panowie ...

Mężczyźni w czerwono-złoty liberiach przerwali rozmowę i jak na komendę odwrócili się ku Delii.

Na początek obejrzeni ją sobie od stóp do głowy - od pochłapanej błotem, wystrzępionej spódnicy po nieskromnie gołą głowę, nie nakrytą żadnym czeppkiem czy chustką. Stajenny był mniej więcej w wieku ojca Delii, niski i tęgi, miał dziwnie obrzmiałą twarz o jakby zamazanych rysach. Obrzucił dziewczynę niechętnym spojrzeniem i zmarszczył różowy, okrągły jak u królika nos.

Portier, wyższy i młodszy, uśmiechnął się obleśnie, odsłaniając zepsute zęby.

_ Kuchnia jest z tyłu, złociutka. Ale obawiam się, że nie potrzebujemy pomywaczki.

_ Dziękuję, ale nie szukam pracy - odrzekła z uśmiechem Delia. - Czy nie wie pan, gdzie mogłabym znaleźć pana Tylera W. Savitcha - Zawahała się, szukając w pamięci właściwego terminu. - M.D.?

Jestem z nim umówiona - dodała. To nie było kłamstwo. No, w każdym razie niezupełnie. Przecież w ogłoszeniu stało jak byk: "zainteresowane kandydatki".

_ Jesteś umówiona, powiadasz? A ja jestem królem Anglii! xzawołał stajenny i roześmiał się, ubawiony własnym żartem. Aż mu się peruka przekrzywiła. Nagle wesołość zniknęła z jego twarzą. -

Wynoś się, dziewczyno, bo zawołam konstabla.

_ Czekaj no - odezwał się portier i przerwał, aby otworzyć drzwi tęgiemu dżentelmenowi w bobrowej czapie, prawie tak wysokiej jak on sam. - Od jakiegoś tygodnia mnóstwo kobiet odwiedza doktora.

Najróżniejszych. Tak, i w większości nie lepszych niż ta tutaj ... za przeproszeniem panienki.

Stajenny raz jeszcze, z wyraźnym lekceważeniem, przyjrzał się Delii, syknął i pokręcił głową.

- Co to się wyrabia ... Na mój rozum to doktor zamieruje otworzyć burdel.

To samo podejrzenie zrodziło się właśnie w umyśle Delii.

Doszła do wniosku, że jednak nie chce się spotkać z Tylerem W. Savitchem, M.D., i odwróciła się, by odejść.

- Widzi panienka, doktor akurat wyszedł - przyjacielskim tonem oznajmił portier. Ale kiedy nań spojrzała, puścił do niej oko i znów uśmiechnął się lubieżnie. - Ma tu jednak apartament. Może panienka zaczekać na niego w salonie.

Stajenny, zdziwiony, uniósł pytająco brwi, ale nic nie powiedział.

Delia wahała się. A co tam - pomyślała wreszcie - jeśli doktor jej się nie spodoba, po prostu wyjdzie i koniec. Ostatecznie w tak szykownym zakładzie jak zajazd "Pod Czerwonym Smokiem" nie groziło jej nic strasznego.

Idąc za portierem, Delia miała okazję się przekonać, że sala barowa jest prawie pusta. Tylko przy kominku dwaj dżentelmeni w perukach i w eleganckich czarnych surdutach grali w trikk-traka. W

pewnym momencie jeden z nich mruknął coś pod nosem, na co jego towarzysz przyłożył do ucha trąbkę uszną i wrzasnął:

- Co? Co powiedziałaś? Niech cię diabli, Feathergrew, mów głośniej!

Delia zachichotała cichutko.

Portier nie poprowadził jej głównymi schodami. Przez kuchnię doszli do wąskich schodów dla służby, znajdujących się na tyłach hotelu. Delia zdążyła jeszcze rzucić okiem na hol o wyściełanej dywanami posadzce i zdobionym kasetonami suficie. Portier otworzył jakieś drzwi i wepchnął ją do środka.

- Biorę na siebie duże ryzyko, wpuszczając cię tu bez pozwolenia, więc przypadkiem niczego nie ukradnij - rzekł. Następnie pochylił się, uśmiechnął znacząco i wionął jej w twarz oddechem przesyconym wonią rumu i tytoniu. - Będę na dole przy wejściu. I pamiętaj, połowa tego, co dostaniesz, kiedy już skończysz ... ee ... robić interesy z panem doktorem, jest moja. Zrozumiałaś?

Delia, oczywiście, zrozumiała, ale nie była w stanie wydusić z siebie choćby słowa. Stała tuż za progiem numeru z szeroko otwartymi oczyma, bo oto miała przed sobą najpiękniejszy pokój, jaki kiedykolwiek widziała.

Wypolerowany parkiet pokrywały miękkie dywany, u wysookich okien z pionowo przesuwanymi skrzydłami wisały adamaaszkowe zasłony. Wieczór stosunkowo ciepłego wiosennego dnia był

chłodny, toteż na kominku płonął ogień; lampy także już zapalono. Ich

łagodne światło spływało na meble - wszystkie wyprodukowane w Anglii i wykończone na wysoki połysk - doobywając z nich lustrzane refleksy i podkreślając fakturę szlachetnego drewna.

Delia usłyszała odgłos zamykanych drzwi i z pewnym zaskooczeniem uświadomiła sobie, że została sama. Uśmiechnięta, nucąc coś pod nosem, obeszła dookoła cały ten przepiękny salon. Poogłaskała

oparcie stojącego przy kominku fotela, dotknęła wszystkich należących do niego przedmiotów, znalezionych na biurku i na komodzie: brzytwy, osełki, grzebienia z kości słoniowej, piór z metalowymi stalówkami, ułożonymi w ozdobnej mosiężnej szkatułce. Obejrzała też przedmioty związane z jego profesją: skalpele o kościanych rękojeściach, lekarską torbę i podręczną apteczkę, pełną dziwnie wyglądających naczyń. Niespodziewanie natknęła się na stojącą w kącie obok kominka traperską strzelbę. Jej naoliwiona lufa połyskiwała w blasku płomieni.

Czuła wzrastającą ciekawość. Kim był właściciel tych wszystkich rzeczy? Miała wrażenie, że wyczuwa jego obecność w pokoju, jego zapach - słabą woń tytoniu i dobrze wyprawionej skóry. Na pewno nie był ubogi. Wszystko, co posiadał, zostało wykonane solidnie, z najlepszych materiałów. Zastanawiała się, jak duża jest jego farma i w jakim wieku są osieroczone przez matkę córki.

Ale jaki mężczyzna szukałby żony poprzez ogłoszenie w gazecie? Może jest brzydki, oszpecony przez ospę? Albo stary? A może po prostu jest zbyt nieśmiały, by zbliżyć się do kobiety w nieco bardziej romantyczny sposób.

- Kim jesteś, Tylerze W. Savitch? - szepnęła Delia. Wiedziała, że nie powinna wchodzić do sypialni, ale nie mogła przemóc ciekawości. W lustrze nad kominkiem uchwyciła nagle swoje odbicie i omal nie krzyknęła - przez chwilę zdawało się jej, że nie jest w pokoju sama. Zachichotała nerwowo, ubawiona własną głupotą, i szybko zasłoniła usta. Przez chwilę patrzyła sobie w oczy, szeroko otwarte, roziskrzzone uśmiechem.

Niebawem jednak, ku swojemu głębokiemu niezadowoleniu, spostrzegła, że policzki ma uwalane zaschniętym błotem, a we włosach mnóstwo trawy i liści. Co gorsza, jej spódnica, już i tak niezbyt czysta, podczas zajścia z Jakiem Steerbornem została poplamiona rumem. Jak ja wyglądam! -

pomyślała Delia i roześmiała się na głos. Nic dziwnego, że stajenny groził jej wezwaniem konstabla.

Poślinionym palcem zwilżyła plamę na spódnicy, zdrapała nieco błota z policzków i na ile to było możliwe, wytrząsnęła śmiecie z gęstwy

kruczoczarnych włosów. Następnie rozejrzała się po pokoju i wzrok jej padł na szerokie łoże z baldachimem; pod śnieżnobiłą pościelą Delia domyśliła się puchowego materaca. Wyglądało na tak mięciutkie, że nie oparła się pokusie, by je wypróbować.

Z błogim westchnieniem złożyła głowę na dobrze wypchanych poduszkach. Tak tu było spokojnie - z dala od ulicy, od turkootu wozów i pokrzykiwania straganiarzy. Cudownie _ pomyślała, i oczy same jej się zamknęły. Jak cudownie byłoby zostać prawdziwą damą i sypiać na gęsim puchu w takim jak to łożu!

Pani Tylerowa W. Savitch - przemknęło jej przez myśl. Pani Tylerowa W. Savitch, M.D ...

2

Delia ziewnęła i przeciągnęła się rozkosznie. Przesunęła dłońmi po gładkim płótnie pościeli i wcisnęła twarz w miękkie zaagłębienie poduszki ...

Gwałtownie otworzyła oczy i usiadła. Chryste Panie, usnęła w łóżku obcego mężczyzny!

Powoli opadła na plecy. W pokoju było ciemno, łóżko, stojące w kącie pod ścianą, tonęło w głębokim mroku. Na zewnątrz świecił jednak księżyc - wpadająca przez okno srebrzysta poświata mieszała się ze strugą łagodnego, złocistego blasku lamp płonących w salonie.

Delia raz jeszcze się przeciągnęła, podkurczając palce stóp, a zaciśnięte w pięści dłonie wyciągnęła tak daleko nad głowę, że aż zaboląły ją posiniaczone żebra.

Która godzina? - pomyślała. Chyba było już późno. Domyśliła się, że przebudził ją głos nocnego strażnika, wykrzykującego godzinę. I chwała Bogu! Strach pomyśleć, co by się działo, gdyby gospodarz apartamentu znalazł ją śpiącą w jego łóżku. Gdyby naprawdę pod pretekstem szukania żony zbierał panienki do burdelu, mógłby ją uznać za doskonałą kandydatkę. Na samą tę myśl policzki paliły ją ze wstydu.

Poziewując, odgarnęła włosy z twarzy i przetarła oczy. Poddparła się na łokciu i tak pólśiedząc,

znieruchomiała, bo jej uszu dobiegł stłumiony śmiech i szelest odzieży. A potem pieszczotliwy i drżący głos kobiety:

- Och, Ty, to takie przyjemne ... tak, tutaj ... proszę.

Rozległo się ciche westchnienie, a potem męski głos mruknął:

- Tutaj?

- O, taaak ... - I znów cichutkie westchnienie.

Delia usiadła sztywno, rozglądając się przerażonym wzrokiem.

Jej oczy były teraz oczyma szopa schwytanego w krąg światła pochodni. Oszołomiona, nie zdążyła nawet spuścić nóg na podłogę, kiedy było już za późno - mężczyzna i kobieta wchodzili do sypialni.

Ona weszła pierwsza, ze śmiechem prowadząc go za rękę.

Tuż za progiem zatrzymała się jednak i oparła plecami o ścianę. Chwyła mężczyznę za gors koszuli i pociągnęła ku sobie. Musnął ustami jej szyję, na co odpowiedziała kolejnym westchnieniem.

Delia była wstrząśnięta. Ten mężczyzna nie tylko werbował dziwki, ale też osobiście je wypróbował! Pomyślała, że poowinna narobić hałasu, ujawnić swoją obecność w sypialni, coś przedsięwziąć ... Nabrała powietrza do płuc ...

- Och, Ty, myślałam, że oszaleję, widząc cię tańczącego z tyymi fałszywymi niewiniątkami - mruzczała kobieta. - Powiedz, że wszystkie były brzydkie i strasznie się z nimi nudziłeś.

- Wszystkie były brzydkie - powtórzył niski męski głos i okropnie mnie wynudziły.

- Przez cały wieczór ani razu na mnie nie spojrzales.

- Ależ spojrzalem, Pris, spojrzalem. - Tu mężczyzna przerwał i gwałtownie wciągnął powietrze, bo kobieta wsunęła mu dłoń

w spodnie, jednym ruchem odpiawszy guzik przytrzymujący zaakładkę rozporka. Zaśmiała się głębokim, gardłowym chichotem.

- I co my tu mamy? No, no, Tylerze Savitch, jestem pełna podziwu.

W odpowiedzi zamknął jej usta pocałunkami. Przycisnął ją biodrami do ściany, pieszcząc jej ramiona i barki. Tymczasem już obie dłonie kobiety myszkowały w jego spodniach.

Delii tak zaschło w gardle, że nie mogła przełknąć śliny. Praacując w szynku „Pod Dziarskim Lwem”, napatrzyła się różności, ale nigdy nie widziała ludzi robiących ... to. I oto teraz miała wszystko jak na dłoni. Stali zwróceni bokiem do niej, oświetleni blaskiem księżyca. Kobieta była drobna, przystojna i ubrana tak, jakby właśnie wróciła z balu. Mężczyzna miał na sobie tylko koszulę i spodnie, teraz zsunięte do połowy ud. Rozpięty do pasa stanik sukni kobiety odsłaniał jej piersi. Jedną z nich nakrywała dłoń mężczyzny, długie, smukłe palce delikatnie pieściły sutek. Kobieta odchyliła do tyłu głowę i jęknęła.

Niewiele brakowało, a z ust Delii wyrwałoby się podobne jękknięcie. Oblała ją fala wilgotnego gorąca, jakby nasyconego parą powietrza, buchającego z otwartych drzwi pralni. Poczowała dziwny ucisk w piersiach. Głośne oddechy kochanków nie były w stanie zagłuszyć bicia jej serca. Nie śmiała się poruszyć, bojąc się jakimkolwiek odgłosem zdradzić swą obecność. Wiedziała, że poostępuje niegodnie, przyglądając się scenie przy drzwiach. Zamknęła oczy, ale wnet same się otworzyły, jakby całkowicie wbrew jej woli.

Mężczyzna ustami pieścił szyję i piersi kobiety, ona zaś, wyygięta w łuk, półleżąc w jego ramionach, zarzuciła mu ręce na kark, przywierając doń

całym ciałem. Jej dłonie zacisnęły się kurrzowo na kołnierzu jego koszuli. Oddychała coraz szybciej, w rytmie dyktowanym ruchami bioder kochanka.

Wreszcie jęknęła:

- Teraz, Ty, proszę .. Dłużej już nie wytrzymam. Proszę! Delia ujrzała, jak mężczyzna pochyła się, bierze kobietę na ręce i odwraca się w stronę łóżka. Widziała, jak ona chwyta go za włosy i przyciąga jego usta ku swoim zachłannie rozchylonym wargom. Widziała, jak kochankowie przekraczają smugę księżycowego blasku, kierując się ku miejscu, gdzie siedziała w bezruchu z szeroko rozwartymi

oczyma. Widziała to wszystko i nie mogła się ruszyć, nie mogła się ruszyć ...

A potem nieznanymi, spleceni ramionami, z ustami na ustach, opadli na łóżko ... prosto na Delię.

Krzyknęła z bólu, kiedy ramię mężczyzny ugodziło ją w rozzbki bok. Kobieta jak oparzona wyskoczyła z łóżka i zaniósła się przeraźliwym wrzaskiem. Tylko mężczyzna nie wydał żadnego gJpsu, a po chwili Delia poczuła na szyi ukłucie czegoś ostrego.

- Do licha, Priscillo, zamknij się! Chcesz obudzić cały Boston? A, ty, coś ty za jeden?

Minęło kilka sekund, zanim Delia zrozumiała, że to ostatnie p}tanie skierowane było do niej. Nim zdążyła pozbierać myśli, ntężczyzna mocniej przycisnął ostrze noża, kalecząc jej skórę ra szyl.

- Kim jesteś? - powtórzył głosem tak zimnym i twardym, że dreszcz przebiegł Delii po plecach.

-Proszę ... mnie nie zabijać - wyjąkała. Strach sprawił, że jej z atury gardłowy, niski głos zabrzmiał jeszcze niżej.

Kobieta, która na szczęście przestała już wrzeszczeć, rozeeśm lała się histerycznie. ‘

- Ależ, Ty, to tylko jakiś chłopiec.

- Nie jestem chłopcem! - zaprotestowała Delia. Ponieważ nie czuła już na szyi dotyku noża, usiadła, zirytowana i obrażona. Kiedy jednak chciała zejść z łóżka, twarda dłoń mężczyzny spoczęła na jej ramieniu.

- Nie ruszaj się ... Pris, przynieś lampę. - Kobieta zawahała się, ale przynaglona surowym “Priscillo!”, szeleszcząc sukniami, wybiegła z pokoju.

Mężczyzna podniósł się z łóżka i odwrócił do Delii plecami, aby poprawić spodnie i zapiąć rozporek.

Przypomniała sobie, jak siedziała w ciemności, przyglądając się kobiecie tak śmiało dootykalającej tej części jego ciała ... Ze wstydu jęknęła w duchu.

W pokoju zrobiło się nagle tak cicho, że Delia słyszała dobiegające nie wiedzieć skąd tykanie zegara.

Pomyślała, że może powinna coś powiedzieć, przedstawić się, ale formułka "Jak pan się miewa, doktorze Savitch?" nie wydała jej się stosowna w tych okolicznościach. Ciekawe, jak w podobnej sytuacji zachowałyby się prawdziwa dama. Ale prawdziwa dama przede wszystkim nie wpakowałyby się w taką aferę.

Wróciła kobieta z lampą. Ona także zdążyła doprowadzić się do porządku. Miała na sobie niewątpliwie drogą ciemnozieloną

atłasową spódnicę, na którą narzucono drugą, ze srebrzystego brokatu, podwiązaną z obu stron tak, żeby uwydatnić biodra. Perłowobiałe piersi wylewały się z głęboko wciętego stanika!, obficie zdobionego koronkami. Całości dopełniało eleganckie nakrycie głowy - wysoki zawój udekorowany kitą ze strusich piór.

Złote włosy, niebieskie oczy, biała, bielutka skóra i tylko jedwabna muszka w kąciku pełnych ust -

och, była niezaprzeczenie piękna. Ale też starsza, niż Delia przypuszczała. Musiała już dobiegać trzydziestki!

Nie wyglądała też na ladacznicę, a już na pewno nie przypominała tanich dziwek handlujących swymi wdziękami w szynku "Pod Dziarskim Lwem" i w innych portowych szynkach.

Kobieta postawiła lampę na skrzyni przy łóżku i teraz oboje z mężczyzną przyglądali się dziewczynie, niezgrabnie gramolącej się z pościeli. Delia podniosła głowę i odpowiedziała im hardym spojrzeniem, choć najchętniej zapadłaby się pod ziemię.

Kobieta zmarszczyła kształtny nosek.

- Doprawdy, Ty, myślałam, że masz lepszy gust.

- Zapewniam cię, Pris, że widzę tę dziewczynę po raz pierwszy w życiu.

Delia zerknęła na twarz mężczyzny - ogorzałą, o wyrazistych rysach, cienkim, prostym nosie, kwadratowej szczęce i wydatnych kościach policzkowych. Skórzane spodnie i batystowa kooszula były niewątpliwie częścią stroju dżentelmena, ale ich właściciel nie nosił peruki. Bujne kasztanowate włosy miał związane z tyłu głowy zwykłą wstążką. Spod lekko uniesionych brwi spooglądały na Delię

czarne, błyszczące oczy. Czują się zauroczona ich spojrzeniem, ale, rzecz

dziwna, wcale się nie bała ...

Ostry głos Priscilli wyrwał Delię z oszołomienia.

- Może powinnam wyjść?

- Tak, myślę, że powinnaś.

Najwyraźniej nie to Priscilla chciała usłyszeć.

- W takim razie ... Stevens na pewno poradzi sobie z odwiezieniem mnie do domu - rzekła sucho. -

Nie fatyguj się, sama trafię do drzwi.

Przez chwilę przyglądała się jeszcze swojemu mężczyźnie wpaatrzonemu w Delię, jakby chciała ocenić jego intencje, potem odwróciła się na pięcie i opuściła sypialnię.

_ Czekał tu - rzucił rozkazującym tonem i pospieszył za wychodzącą.

Zrazu Delia siedziała posłusznie na krawędzi materaca, dopóki nie przypomniała sobie, co gospodarz pokoju i jego przyjaciółka zamierzali robić w tym właśnie łóżku. Pewnie myśli, że teraz mnie wypróbuje, sprawdzi, czy się nadaję do jego burdelu! Ta myśl sprawiła, że zerwała się z łóżka i na drżących nogach przeeszła do salonu.

Mężczyzna i Priscilla, już ubrana do wyjścia w czerwony płaszcz z kapturem, stali przy drzwiach. Jego dłonie spoczywały na jej ramionach, kiedy mówił łagodnym, uspokajającym tonem: _

Prawdopodobnie znalazła się tutaj z powodu tego przekłętego ogłoszenia. Tak czy inaczej jest już późno, kochanie, i musisz wracać do domu.

- Ty, jeśli weźmiesz tę dziewczynę do łóżka ...

_ Óóó - mruknął, kładąc jej palec na ustach. - Wiesz, że nigdy bym tego nie zrobił. W końcu przyjechałem tu aż z Maine między innymi po to, żeby się z tobą spotkać, Pris.

- A jutro wyjeżdżasz - odparła nieco drżącym głosem. - Miesiące, może lata miną, nim znów cię zobaczę.

Uśmiechnął się krzywo, ale nie odebrało to jego twarzy uwodzicielskiego wyrazu.

- Jakoś mi się nie wydaje, by pod moją nieobecność brakowało ci towarzystwa.

Zachichotała i lekko uderzyła go w policzek kolorowym wachlarzem z kości słoniowej.

- No wiesz ... Masz nieczyste myśli, Tylerze Savitchu.

_ Do widzenia, Pris - powiedział i musnął ustami jej skroń. _ Uważaj na

siebie, Ty - odparła z uśmiechem. Ale gdy odwróciła się, trochę na oślep sięgając do klamki, Delii wydało się, że widzi w jej oczach blask łez.

Ty zamknął drzwi za Priscillą i nie patrząc na Delię, podszedł do kominka. Poruszał się płynnie, z wdziękiem. Jego szczupłe ciało emanowało siłą, pod cienkim batysem koszuli grały potężne mięśnie klatki piersiowej i karku.

Z oparcia fotela przy kominku zdjął haftowaną kamizelkę i niedbałym ruchem naciągnął na siebie, zostawiając jednak rozpiętą. Od ognia w kominku zapalił świecę, a potem przytknął jej płomień do pęku smolnego, sosnowego łuczywa, osadzonego w uchwycie na ścianie. Pokój zalało jaskrawe światło.

Mężczyzna odwrócił się. Twarz miał surową, usta zaciśnięte, między brwiami widniała głęboka zmarszczka. Skierował wzrok na Delię. Musiała aż napiąć mięśnie, żeby nie skulić się pod tym SpoJrzemem.

- Chodź tutaj - powiedział.

Przełknęła ślinę i postąpiła dwa małe kroki. Obiecał tamtej kobiecie, że nie weźmie Delii do łóżka, ale przecież mógł kłamać.

A poza tym skąd wiadomo, że nie rzuci się na nią z pięściami, jak tatko? Spojrzała mu w oczy. Nie były czarne. Za to przeepastnie głębokie, ciemnoniebieskie, prawie granatowe.

- Domyślam się, że zamierzasz utrzymywać, iż przez pomyłkę trafiłaś do niewłaściwego łóżka.

Twarz dziewczyny oblała się rumieńcem. Znów sobie przypomniała, jak wyglądał, kochając się z

Priscillą. Delia uważała siebie za osobę, która zna życie i wie, co to miłość. Nigdy jednak nie przypuszczała, że może w niej być tyle ... dzikiej namiętności. Zastanawiała się, dlaczego taki przystojny mężczyzna musi szukać żony przez ogłoszenie w gazecie. Być może przed dokonaniem wyboru zamierzał wypróbować wszystkie kandydatki, przekonać się, która najlepiej mu dogodzi. Na tę myśl jej żołądek wywinął zamaszystego kozła.

- A więc? - Twarz mężczyzny wciąż miała srogi wyraz, ale w niebieskich oczach błyskało Powściągane rozbawienie. _ Co robiłaś w moim łóżku, mała?

Delia podniosła głowę i z kieszeni spódnicy wyjęła złożoną w kostkę gazetę.

- Czy pan nazywa się Tyler W. Savitch, M.D.? *zapytała, choć już od dawna wiedziała, że tak. Rękę z gazetą wyciągnęła ku mężczyźnie, brudnym*

palcem wskazując ogłoszenie. Chyba nie zaprzeczy pan, że to pańskie ogłoszenie.

- Trzymasz gazetę do góry nogami.

Dziewczyna spaşowiała, ale zaraz wysunęła wojowniczo dolną szczękę i oznajmiła:

- Umiem czytać. Trochę. A zresztą w ogłoszeniu nie ma mowy o czytaniu.

- Istotnie, nie ma. Jak się nazywasz?

- Delia. Delia McQuaid.

Skinął na nią leniwie i mruknął:

- Zbliź się, Delio McQuaid.

Delia zeszywniała.

_ Nie wiem, o co panu chodzi, ale jedną rzecz musi pan przyjąć do wiadomości: nie zamierzam kłaść się z żadnym mężżl/.yzną, w każdym razie nie wcześniej, aż zobaczę na palcu ślubną obrączkę.

Uniósł jedną brew i uśmiechnął się bez przekonania.

_ Dziękuję za ostrzeżenie. A teraz podejdź tu, żebym mógł ci się przyjrzeć. No chodź, przecież cię nie ugryzę.

W kilku energicznych krokach zbliżyła się do fotela. Skrzywił się z wyraźnym niesmakiem.

_ Jezu, śmierdzisz jak gorzelnia. Kiedy ostatnio się kąpałaś? Delia poczuła się śmiertelnie obrażona.

_ Widzisz go, jaki wrażliwy! Dowiedz się, mądralo, że kąpię się raz w miesiącu!

_ Widocznie ten miesiąc właśnie się kończy. Otwórz usta.

- Że co?

Złapał ją za podbródek i siłą rozchylił szczęki. Szybko się jednak wyrwała i z urazą w głosie warknęła: _ Jeszcze czego! Nikt mi nie będzie zaglądał w zęby. Nie jestem koniem, którego możesz pan sobie kupić.

- W każdym razie twoje zęby są czystsze niż reszta.

Przekręcił fotel i z nogą na jego siedzeniu oparł się plecami o obramowanie kominka. Wsunął kciuki w kieszenie kamizelki i jał się przyglądać Delii badawczym, taksującym spojrzeniem, jak niedawno w sypialni. Czwała się nieswojo, gdy tak na nią patrzył, ale jego skończenie męska poza robiła na niej pewne wrażenie, sprawiała, że serce szybciej biło jej w piersi ..

Na koniec westchnął gęęboko, zsunął nogę z fotela i wyprostował się.

_ No 'CÓż, Delio McQuaid, pewnie mi za to nie podziękujesz, ale muszę cię zawiadomić ...

_ Czy to przez nią ... tę jakąś Priscillę? Czy to ją wybrał pan na stanowisko żony? - Nie, żeby Delia miała mu taki wybór za złe, chociaż tamta kobieta wydawała się dlań za stara. Była jednak nie tylko piękna, ale sądząc po stroju - także bogata. I niewątpliwie wiedziała, do czego służy sypialnia.

Tyler Savitch roześmiał się gromko, na co Delia zareagowała kolejnym rumieńcem.

- Nikogo nie wybrałem. Chciałem właśnie powiedzieć, że muszę cię zawiadomić, iż to, jak się wyraziłaś, stanowisko jest twoje. Jeśli je chcesz. Muszę znaleźć kogoś do jutra, a wybór ciebie wydaje mi się najmniejszym złem.

Delia podejrzewała, że znów została obrażona, i natychmiast zadarła brodę, przybierając obronną postawę.

- A co to ma niby znaczyć?

- To znaczy, że jesteś młoda, krzepka i zdrowa na umyśle, choć czy masz trochę rozumu w głowie, to się dopiero okaże ...

Delia słuchała z otwartymi ustami, z wyrazem osłupienia na twarzy.

- I chociaż jest rzeczą niewątpliwie dyskusyjną, czy możesz uchodzić za Wzór cnoty, nie wyglądasz na zarażoną, jakkolwiek syfilis ...

- Ach ty! - wrzasnęła Delia tak głośno, że jej rozmówca, zaskoczony, zmrużył oczy. - Ty nikczemna świni! To, że pracuję i w szynku, nie znaczy, że jestem dziwką. Wcale nie powiedziałam, że biorę to stanowisko, a teraz to już na pewno go nie wezmę. Nie wyszłabym za ciebie, choćbyś był ostatnim mężczyzną na świecie, ty ... ty ...

Wyglądał na zbitego z tropu. Po chwili jednak odrzucił głowę do tyłu i roześmiał się serdecznie. Delia rozejrzała się po pokoju, szukając czegoś, czym mogłaby go uderzyć. Nie znalazła jednak niczego, co gwarantowałoby pożądaną skuteczną, z wyjątkiem może pogrzebacza...

- Delio, Delio - powiedział, ocierając zażawione ze śmiechu oczy. - Coś mi mówi, że Merrymeeting nigdy już nie będzie takie jak niegdyś, jeśli ty tam zamieszkas. A Nat zechce pewnie powiesić moją skórę na drzwiach stodoły za to, że popchnąłem cię w jego ramiona.

- Nie rozumiem - odrzekła Delia, z trudem poruszając zmarrtwiałyymi ustami. Chciało jej się płakać.

Już się nie śmiał, ale błysk rozbawienia w oczach nadawał jego twarzy figlarny wyraz.

- To nie ja jestem tym nieszczęśliwym, rozpaczliwie szukającym żony.
Pan Bóg uchował.

- Ale pan powiedział... Gazeta ...

- Zamieściłem to ogłoszenie w imieniu mojego sąsiada, który ~tracił żonę przed dwoma miesiącami.

Ma dwie małe córki i sporą farmę, potrzebuje więc kobiety do pomocy. Ale w Maine trudno o materiał na żonę. - O ile Delia wiedziała, nazwą Maine określało dzikie tereny położone na północny wschód od kolonii New Hampshire. - I tak miałem jechać do Bostonu, żeby znaleźć pastora dla naszej osady. Nat błagał, bym przy okazji wyszukał mu narzeczoną. Uznałem, że zvariował, i nie omieszkałem mu tego powiedzieć, ale skoro się uparł ...

Delia poczuła, że robi jej się niedobrze. Zbyt gwałtownie ściągnięto ją na ziemię. Nie spodziewała się takiego rozczarowania. Jak mogła przypuszczać, że mężczyzna taki jak Tyler Savitch taki przystojny i emanujący męskim czarem - może zniżyć się do poszukiwania żony poprzez ogłoszenie w gazecie albo w ogóle mieć kłopoty z jej znalezieniem. Zrobiła z siebie kompletną idiotkę, najpierw podglądając go bezwstydnie, a potem ... Wyobraziała sobie, jak musi wyglądać w jego oczach - głupia i brudna, i poczuła, że chce Umrzeć.

Zmusiła się, by spojrzeć mu w oczy.

- Co stało się żonie pańskiego przyjaciela? - Uznała, że wyypada o to zapytać, bo skoro ma jechać aż do Maine i tam poślubić zupełnie obcego człowieka, dobrze byłoby wiedzieć, jak umarła jego pierwsza żona. Bo co, jeśli to on wysłał ją na tamten świat?

Ty przysiadł na skraju biurka i spuścił wzrok na złożone na udach dłonie. Idąc za jego wzrokiem, Delia także jęła się im przyglądać. Były to dłonie dżentelmena - szczupłe, ruchliwe, o długich palcach.

- Umarła na chorobę gardła.

- Och!

Delia przełknęła ślinę, odetchnęła głęboko i spróbowała ułożyć sobie to wszystko w głowie. Czy Tyler Savitch zamierzał wziąć ją ze sobą do Maine, by została żoną jego przyjaciela? Czy ona tego chciała?

Właściwie nic się nie zmieniło. Nadal w sposób przyprawiający ją niemal o fizyczny ból tęskniła do chwili, kiedy kiedy mogła uciec z Bostonu, od nędzy jej dotychczasowego bytowania, i gdzieś zacząć żyć od nowa, zyskać

szansę, by zostać osobą godną szacunku, prawdziwą damą ..

- W jakim wieku są te sierotki?

- Jedna ma dziesięć lat, druga, zdaje się, trzy.

- Aha.

Przynajmniej nie były takie małe. Delia nie miała żadnego doświadczenia w opiekowaniu się dziećmi, ale, rzecz jasna, nie zamierzała się do tego przyznawać.

- A jaki jest ten pański przyjaciel?

- Nathaniel Parkes jest raczej moim sąsiadem niż przyjacielem, ale to dobry człowiek, Delio. O to możesz być spokojna. Posiada dwieście akrów lasu i sto dwadzieścia ziemi uprawnej, choć dopiero połowę z tego udało mu się oczyścić. Zbudował sobie porządny dom. Będziesz musiała ciężko pracować, ale Saagadahoc to urodzajna kraina i niczego ci nie zabraknie.

- Nie boję się ciężkiej pracy.

- Zdążyłem już zauważyć, że niewiele jest rzeczy, których się boisz. - Podniósł na nią wzrok i uśmiechnął się ujmująco. Była zachwycona, widząc, jak uśmiech odmienia jego twarz. Doszła do wniosku, że usta nie pasują do tej twarzy. Były pełne i zmysłowe, szczególnie dolna warga. Ciekawe, jakie to byłoby uczucie, gdyby przesunąć po niej palcem ...

Do licha, Delio, jakaś ty głupia! Myślisz, że on pozwoliłby komuś takiemu jak ty, śmierdzącemu niczym gorzelnia, zbliżyć się do siebie na wyciągnięcie ręki?

- Czy pan też mieszka w Merrymeeting?

- Zazwyczaj.

Zwilżyła usta i spuściła wzrok.

- A czy ... czy jest pan żonaty?

Przez chwilę milczał, a Delia klęła w duchu swoją niewczesną ciekawość. Potem wstał z biurka i podszedł do niej tak blisko, że miała wrażenie, iż czuje ciepło jego ciała. I jego zapach _ woń skóry i tytoniu, i jeszcze czegoś nieokreślonego, ale zdecydowanie męskiego. Tak, to było to - zapach mężczyzny.

- Nie jestem żonaty - powiedział nagle. - Ale Nat Parkes potrzebuje żony. Jeśli nadal jesteś zainteresowana ...

Nie wiedzieć czemu jego bliskość sprawiła, że krew zaczęła szybciej krążyć w jej żyłach. Słyszała nawet tętnienie pulsu w uszach, przypominające nieco bicie morskich fal o brzeg. Poddniosła głowę, by odpowiedzieć, i jej wzrok padł na usta mężczyzny; słowa zamarły jej na wargach.

- Widzę, że zmieniałaś zdanie. Nie mam ci tego za złe _ rzekł. - To był idiotyczny pomysł. Od początku mówiłem Natowi, co myślę o szukaniu żony przez ogłoszenie. Mimo wszystko nie chcę, żebyś stąd wyszła z pustymi rękami. - wsunął dwa palce do kieszeni kamizelki, następnie sięgnął po rękę Delii i wcisnął jej w garść wydobytą z kieszeni monetę ..

Spojrzała na leżącego na dłoni złotego suwerena. Nigdy w życiu nie widziała tyle pieniędzy naraz.

Duża, ciężka moneta zdaawała się parzyć ją w palce, jakby przed chwilą wyszła spod menniczej prasy.

Zacisnęła dłoń i spojrzała mu w oczy. Uśmiechał się, a ona czuła, że go nienawidzi. Nienawidziła go, bo potrzebowała tych pieniędzy, potrzebowała bardziej niż kiedykolwiek, ale i za to, że on o tym wiedział i litował się nad nią, i sądził, że będzie mu wdzięczna. Nienawidziła go, ponieważ z niezrozumiałych dla siebie powodów i niemal podświadomie chciała, żeby ją lubił, żeby jej pragnął, chciała jego, a wiedziała, że nigdy go nie zdobędzie.

_ Nie potrzebuję twojej łaski, sukinsynu! - zawołała i cisnęła mu monetę w twarz.

Sztuka złota uderzyła Tylera w policzek i spadła na podłogę.

Delia zamarła, wstrząśnięta swoim postępkiem, a potem odwróciła się gwałtownie, gotowa uciekać, gdzie oczy poniosą ..

Złapał ją w pasie i przytrzymał. Krzyknęła, kiedy jego ramię zacisnęło się na bolących żebrach. Miała wrażenie, że coś przebija jej płuca. Ból był tak straszny, że aż pociemniało jej w oczach. Zachwiała się, zgięła w pół, chwytając za pierś, i jęknęła rozpaczliwie.

Kiedy krzyknęła, puścił ją natychmiast, ale teraz położył jej rękę na ramieniu.

_ Na Boga, Delio, co z tobą? Jesteś ranna?

_ Moje żebra - odparła, z trudem łapiąc powietrze. - Chyba są połamane.

_ Spokojnie. Możesz się wyprostować?

Skinęła głową i wyprostowała się powoli. Stęknęła, czując kolejne ukłucie bólu. Przesunął palcami po jej boku. Gdy dotarł do ogniska bólu, wzdrygnęła się i gwałtownie wciągnęła powietrze.

- Czy ktoś cię pobił?

Zagryzła wargi i skinęła głową.

_ Tato mi przyłożył. Po pijanemu.

- Zdejmij stanik.

Fuknęła przez nos, odwracając się doń plecami.

- Ach, ci mężczyźni. Wszyscy jesteście tacy sami. Jak ja was nienawidzę!

- Na miłość boską, Delio, jestem lekarzem. Jak mam cię zbaadać bez rozbierania? Jeśli masz złamane żebra, trzeba zrobić opatrunek.

No tak, znów zrobiła z siebie idiotkę. Teraz już chciała tylko wyjść z tego pokoju, wyjść i zapomnieć, że to wszystko kiedykolwiek się zdarzyło.

Ale on jest lekarzem i nie pozwoli jej odejść, dopóki nie zrobi tego, co uważa za swój obowiązek.

- No dobrze, rozbiore się - mruknęła niechętnie. _ Ale musi się pan odwrócić.

Uniósł brwi, myślała, że chce coś powiedzieć, ale nie, milczał.

I zamiast się odwrócić, podszedł do składanego stolika, na którym trzymał instrumenty lekarskie.

Wrzucił do moździerza kilka suszonych liści jakiejś rośliny i zaczął je rozcierać.

- Rozbierz się, Delio - rozkazał, nie przerywając pracy. Delia, zapatrzona na jego muskularne ramiona, poruszające się rytmicznie pod cienkim materiałem koszuli, podskoczyła i spiekła raka, jak dziecko przyłapanie na wyjadaniu konfitur. Drżącymi palcami rozsznurowała stanik, ściągnęła go przez głowę i upuściła na podłogę. Niebawem dołączyła do niego koszula. I oto stała na środku pokoju naga do pasa, i chociaż w kominku wciąż płonął ogień, na ramionach wystąpiła jej gęsia skórka, jak w zimnym pomieszczeniu.

Ty odwrócił się i ruszył w kierunku pacjentki. A potem jego wzrok padł na jej nagie piersi i to sprawiło, że na moment jakby się zawahał.

Próbowała osłonić je dłońmi, ale nie na wiele się to zdało, jako że natura zbyt szczerze wyposażyła ją w niektóre wdzięki. Nigdy w życiu nie czuła się tak naga. I w rzeczy samej nigdy nie była tak naga, bo spała, nawet kąpała się w koszuli.

- Nie wstydz się - rzekł z uspokajającym uśmiechem. _ My, lekarze, potrafimy zachować obojętność na widok kobiecego ciała.

- Pół godziny temu nie był pan zbyt obojętny na taki widok _ mruknęła z przekąsem i zaraz tego pożałowała. Po co mu o tym przypomina?

Ty wydał dźwięk trochę podobny do śmiechu, ale nie mogła zobaczyć wyrazu jego twarzy, ponieważ, schylony, oglądał właśnie jej bok. Badał dotykiem kości i mięśnie, a Delia myślała, że nikt jeszcze nie dotykał jej tak delikatnie. Muśnięcia jego palców zdawały się koić ból. Znów poczuła na nogach i ramionach gęsią skórę, ale też jakieś dziwne mrowienie, wędrujące

w dół wzdłuż kręgosłupa.

Musiała zacisnąć zęby, żeby nie zadrzeć. I wtedy jego przedramię najzupełniej przypadkiem musnęło jej pierś. Ciało Delii przebiegł dreszcz.

- Zimno ci?

- Tak - szepnęła. Skóra wokół jej sutków napięła się, a one stwardniały i wyprężyły się. Modliła się w duchu, żeby tego nie zauważył.

Ty kapuściany głąbie! Jak ma tego nie zauważyć, kiedy nieewiele brakuje, żebyś szturchnęła go cyckiem w nos?

Ty pomacał stary siniak, żółty i już ginący, tuż nad kością biodrową. Było jej wstyd, że obcy człowiek dowiaduje się o jej kłopotach. Zwłaszcza on. Wstydziła się, że tata jest pijakiem, ale najbardziej wstydziła się za siebie. To ona była wszystkim winna, bo gdyby umiała właściwie prowadzić ich dom, tak jak to robiła mama, zanim umarła, tatko nie musiałby topić swoich smutków w kieliszku.

- To wszystko moja wina. Rozzłościłam go swoją bezczelnością - powiedziała. Ponieważ nie widziała oczu mężczyzny, mówiała do srebrnych guzików jego kamizelki.

- Dobry Boże - mruknął pod nosem.

Ich oczy spotkały się i Delia dostrzegła na jego twarzy wyraz gniewu. Myślała, że to na nią się złości, i lzy wstydu napłynęły jej do oczu. Odwróciła głowę, tak że nie zdążył tego zauważyć.

- Żebra nie są połamane - oznajmił burkliwym tonem. - Ale na pewno zostały naruszone i kto wie, czy któreś nie pękło. Na wszelki wypadek trzeba je unieruchomić. Pójdę teraz do sypialni po bandaż. Nie uciekniesz?

Delia parsknęła i ukradkiem otarła łzy.

- Na golasa? Jasne, że nie!

Ty wszedł do sypialni i zaraz wrócił z długim paskiem lnianego płótna. Owinął nim żebra Delii - tak ciasno, że zastanawiała

się, jak będzie oddychać. I wciąż, wciąż jego dotknięcia były niewiarygodnie delikatne. Czowała pieczenie pod powiekami i jakiś dziwny, słodki ból w piersi. Znów niechcący musnął ręką jej pierś i ów słodki ból w jednej chwili przeistoczył się w dojmującą tęsknotę, rodzaj głodu, zupełnie innego niż ten dobrze jej znany, biorący się z pustego żołądka. Ten ssący ból rodził się gdzieś w okolicy serca.

Znała tego mężczyznę ledwie od kilkunastu minut. Był jej obcy pod każdym względem, z wyjątkiem jednego - zaznała kojącego dotknięcia jego dłoni. I wiedziała, jakoś wiedziała, że tylko on jedyny może ukoić jej duszę.

Wiedziała. I to wystarczyło, by zapragnęła na zawsze pozostać blisko niego, żyć tam, gdzie on żył.

Zapragnęła, by budząc się rano, mogła mieć nadzieję, choćby najmniejszą, że tego dnia zobaczy jego twarz.

Przełknęła ślinę i nabrała powietrza w płuca.

- Doktorze Savitch ...

- Tak?

- Czy mogę jeszcze raz zmienić zdanie?

- Podobno prawo do Częstej zmiany zdania jest przywilejem kobiet.

- A więc zabierze mnie pan do Merrymeeting, żebym została żoną pańskiego przyjaciela?

- Jak chcesz. Albo pojedziesz ty, albo nikt, bo, szczerze mówiąc, nie mam czasu ni ochoty, żeby przepytować kolejne zdeesperowane kandydatki na pannę młodą. - Szybkim ruchem zaawiązał węzeł, mocując opatrunek. - Możesz się ubierać.

Kiedy wkładała ubranie, podszedł do komody, na której stała taca z cynowym dzbankiem i parą kubków. Nalał nieco wina do kubka i zaniósł naczynie na stolik z lekarskimi przyborami. Mówił i jednocześnie przygotowywał lekarstwo z utartych wcześniej liści.

- Posłuchaj, Delio. Cokolwiek postanowisz, zawsze będziesz się mogła wycofać, przynajmniej dopóki ty i Nat nie zostaniecie małżonkami. W Falmouth dość łatwo złapać żaglowiec płynący na zachód, oczywiście nie zimą, bo wtedy zatoka jest skuta lodem. Jeśli stwierdzisz, że nie podoba ci się w Merrymeeting albo że nie możesz polubić Nata, albo on ciebie, będziesz mogła wrócić do Bostonu. Na mój koszt.

Delia zrobiła małą minę do jego pleców. Boże, przez niego czuła się jak przedmiot transakcji handlowej. Towar wybrakowany podlega zwrotowi.

Ty podał jej kubek z gotowym lekarstwem.

- Wypij to.

- A co to jest? - spytała podejrzliwie.

- Coś, co pomoże ci zapomnieć o bólu.

Sięgając po kubek, dotknęła jego dłoni i odczuła to dotknięcie aż w czubkach palców u nóg. Ale w jego wyglądzie nic nie wskazywało na to, by i on doznał podobnych emocji.

Wypiła lekarstwo, pusty kubek oddała Tylerowi. Już miała obetrzeć usta wierzchem dłoni, ale w porę się opamiętała.

- A więc ... - bąknęła, nagle dziwnie skrepowana. - Kiedy ... ee ...

- Bądź tu jutro o ósmej rano. Wiem, że daję ci mało czasu na przygotowanie, ale powinniśmy wyjechać dwa dni temu. Czekają nas dobre trzy tygodnie ciężkiej podróży.

Trzy tygodnie! Delia nie zdawała sobie sprawy, że Maine leży tak daleko. Myśl o osiedleniu się w leśnej głuszy gdzieś na końcu świata przejęła ją nagłym lękiem. Ale pokusa była zbyt silna hoto pojawiła się przed nią szansa rozpoczęcia życia na nowo, zdobycia własnego domu i mężczyzny, który o nią zadba, który jej potrzebuje i czeka na nią, albo na kogoś takiego jak ona na samotną, zrozczoną kobietę, gotową zostać jego żoną i matką jego dzieci. Wszystko to ciągnęło ją do Merrymeeting ...

Podniosła wzrok i napotkała zniewalające spojrzenie lekarza. Jeszcze czuła dotknięcie jego dłoni na swoim ciele. I do niego usłyszała cichy głosik wołający gdzieś w jej głowie. Próbowwała go nie słuchać, ale bez powodzenia. Jedziesz tam, bo zależy ci na nim.

- No to ... do jutra - powiedziała. Ruszyła ku drzwiom, ale zatrzymał ją, wymawiając lagodnie jej imię.

- A co na to twój ojciec? Kiedy powiesz mu, że wyjeżdżasz, . ? czy nie

Zaśmiała się i lekceważąco machnęła ręką.

- Ee tam, dziś nic mi z jego strony nie grozi. Do tej pory już dawno leży pijany jak kłoda i chrapie, aż dom się trzęsie.

Uśmiechnął się, a ona poczuła, że coś dziwnego dzieje się z jej sercem, trzepoczącym w zabandażowanej piersi.

- A więc spotykamy się jutro rano - powiedział. _ I nie zaabieraj więcej rzeczy, niż możesz udźwignąć.

Strasznie ją to rozśmieszyło. Nagle poczuła się szczęśliwa i cudownie wolna.

- Coś pan, doktorze - rzuciła drwiąco. _ Ja me mam tylu rzeczy, żeby nie mogła udźwignąć.

3Tyler Savitch spojrział na stojący przed nim drewniany talerz i skrzywił się. Zawartość talerza stanowił

solony dorsz pływający w sosie z masła i jajek, mocno przyprawiony pieprzem. Prawdoopodobnie była to specjalność zajazdu "Pod Czerwonym Smookiem", ale wystarczył sam widok potrawy i odrobina jej woni, by wnętrze Tylera zabalgotowały ostrzegawczo.

Rozejrzał się po pustej sali barowej, szukając kogoś, kto zaabrałby talerz i przyniósł mu coś nadającego się do jedzenia, na przykład miskę kaszy

kukurydzianej albo kromkę chleba, przyrumienioną na patelni. Już miał wstać i udać się na Poszukiwanie służącego, kiedy posłyszał dobiegające z holu hałasy _ głośne stuknięcie, a potem skrzekliwy wrzask:

- Ach ty! Mówię ci, przeklęty durniu, że on na mnie czeka! Następnie ktoś mówiący gardłowym, ochryłym głosem wyrzucił z siebie litanie przekleństw, jakich Ty nie słyszał nawet w obozowiskach drwali na terytorium Sagadahoc. Rozpoznał ten głos. Jakżeby inaczej, skoro przez pół nocy dręczył go w sennych koszmarach.

Drzwi otworzyły się z trzaskiem i do sali wkroczyła Delia McQuaid. Jedną ręką przytrzymała na głowie wystrzępiony słomkowy kapelusz, w drugiej dzierżyła niezgrabny worek z grubo tkanego płótna. Nadal miała na sobie to samo ublocone, zaachłapane rumem ubranie, co poprzedniego wieczoru, z tym że dziś włożyła jeszcze nadjedzony przez mole wełniany płaszcz, który wyglądał jak wyciągnięty ze śmietnika.

Z rozmachem usiadła na ławie naprzeciw Tylera, cisnowszy worek pod nogi. Najprawdopodobniej mieścił 0/1 cały dobytek dziewczyny - z wyjątkiem łachmanów, które miała na sobie. Ty westchnął w duchu, uświadamiając sobie, że poplamiony rumem stanik był najpewniej jedynym, jaki Delia miała.

Niemniej z bliska zauważył, że wymyła się i nie wyglądała już tak niechlujnie jak wczoraj. Była wręcz ładna. Spod brudu wyrzała gładka, zdrowa skóra, biała niczym płatek śniegu, jeśli nie liczyć rumieńców na policzkach i szerokich, wyrazistych ust barwy koralu. Zadbana nawet o włosy. Wczoraj wyglądały jak jeden okropny, czarny kołtun. Dziś - stwierdził Ty - ich gęste sploty połyskiwały rubinowym blaskiem. Przepych i uroda tych włosów wydawały się czymś zgoła niestosownym u kelnerki z portowego szynku.

Delia westchnęła głośno i odrzuciła z czoła kosmyk włosów.

- Przeklęty portier. Zdaje mu się, że stoi na straży przed bramą pałacu Buckingham. - Przerwała, rzuciła Tylerowi przeciągłe spojrzenie i uśmiechnęła się radośnie. - ... dobry.

Ty milczał. Dopił piwo i z rozmachem odstawił kufel. Jego wzrok automatycznie powędrował ku piersiom Delii, wyrywającym się z uwięzi przymałego stanika. Nie tylko ów zmysłowy, nieco ochrypy głos dręczył go tej nocy w snach, nie pozwalał zasnąć. Także obraz tych piersi.

Ty był zły, że ciało dziewczyny budzi jego zainteresowanie, że go

pociąga. W końcu chodziło o żalostną, niedomytą smarkulę z dzielnicy portowej. I jego pacjentkę! To, co czuł, było takie nieprofesjonalne, takie niepodobne do niego. Powtarzał sobie, iż to wszystko dlatego, że położył się wczoraj spać na wpół pijany i w stanie boleśnie niezaspokojonej żądy. Czemu winna była oczywiście ta nikczemna kreatura siedząca naprzeciw niego.

Spod ronda trójgraniastego kapelusza cisnął dziewczynie po-gardliwe spojrzenie.

- Wyglądasz dziś na niezadowolonego z życia - zauważyła.

- Człowiek o tak wyrafinowanym smaku jak ja - oznajmił z powagą - nie powinien się opijać rumem zapaskudzonym ara-kiem, herbatą i sokiem cytrynowym.

- Że co?

- Wczoraj na przyjęciu u gubernatora wypilem za dużo tego świństwa. Głowę mam jak dynia kopnięta przez muła. A ty trzas-kasz drzwiami i wrzeszczysz niczym walczące kocury, co też nie poprawia mi samopoczucia.

- Byłeś wczoraj podпиты? - mówiąc to, Delia łakomie zerkała na talerz solonego dorsza. Gdyby była psem, pewnie zaczęłaby się ślinić. - Niczego nie zauważyłam, a przecież zawsze wiem, kiedy tatko łyknął sobie kwaterkę czy dwie. Będziesz to jadł?

Ty pchnął talerz i łyżkę w jej stronę.

- Proszę. Częstuj się. Jak twoje zebra?

Uśmiechnęła się promiennie.

- Och, twoje ręce czynią cuda, doktorze. Już prawie mnie nie boli.

Siedziała z łokciami na stole, pakowała do ust kopiaste łyżki ryby - jeden ruch szczęką, łyknięcie, i już nabierała kolejną łyżkę. Nieco sosu pociekło jej na brodę; wytarła ją wierzchem dłoni.

- A więc byłeś wczoraj na bani. Kto by pomyślał. _ Uśmiechnęła się z ustami pełnymi na wpół

przeżutego dorsza. Ty poczuł, że przewraca mu się żołądek.

- Nie mów z pełnymi ustami. I, na miłość boską, żuj jedzenie, zanim połkniesz.

Uśmiech zamarł Delii na ustach, szybko zacisnęła szczęki.

Ciemny rumieniec zalał jej twarz i szyję. Dłoń, zaciśnięta kurruczowo na łyżce - zadrżała.

Minęło kilka chwil, i oto charakterystycznym dla siebie gestem zadarła

podbródek, nabrała na czubek łyżki odrobinę dorsza i zaniosła do ust. Następnie jąła przeżuwać bardzo, bardzo powoli, utkwiwszy wzrok w jego twarzy. Nad stołem zapadła przedłużająca się cisza.

Jezu! - pomyślał Ty, i wzdrygnął się nieznacznie. Co ja zroobiłem? Zabębnił palcami po stole. Czy to możliwe, że zgodził się zabrać tego knajpianego wycierucha do Merrymeeting, uczynić żoną Nata i

opiekunką dwójki sierot? Ona żoną Nathaniela Parrkesa, zasadniczego, pracowitego mężczyzny, który na szabatoowych zgromadzeniach ich wspólnoty czytał na głos psalmy i kiedyś nieśmiało wyznał Tylerowi, że w sensie biblijnym poznał w życiu tylko jedną kobietę - swoją żonę, tę właśnie, która po dziesięciu latach małżeństwa odumarała go przed ledwie dwoma miesiącami. Ty próbował

wyobrazić sobie Nata z dziewczyną siedzącą w tej chwili naprzeciw niego, dziewczyną, która pewnie od trzynastego roku życia dawida za pieniądze ... Słumił wesstchnienie.

- Ten szynk, w którym pracujesz ...

- "Pod Dziarskim Lwem". - Znów sos pociekł jej na brodę, zgarnęła tłuszcz palcami, te zaś wytarła w spódnicę. - Tylko że już tam nie pracuję, po tym, jak wylałam Jake'owi Steerbornowi kwaterkę rumu na głowę i rozpląszczyłam mu tłusty nochal tacą ... a wszystko przez to, że poczuł się ociupinkę zbyt dziarsko. -Roześmiała się, aż ślina z kawałkami jedzenia prysnęła jej z ust na stół. Ty miał wrażenie, że za chwilę zwymiotuje.

- Do diabła, Delio, zachowujesz się jak świnia!

- Och, pokornie proszę o wybaczenie! - odwarknęła. Musiała poczuć się dotknięta, bo rzuciła łyżkę na talerz i wlepiła wzrok w złożone na stole dłonie. Ty zaklął w duchu.

- Przepraszam. - Wyciągnął rękę i poklepał ją po dłoni -dziwnie bladej i niematerialnej n~ tle surowych dębowych desek. Uświadomił sobie, jaka jest szczupła i krucha. Boże - pomyślał -ta mała jest zwyczajnie zagłodzona, a ty robisz jej awanturę

o niewłaściwe zachowanie przy stole.

- Kiedy ostatni raz jadłaś przyzwoity posiłek? Wzruszyła ramionami.

- Chyba wczoraj. Kawałek zimnej wieprzowiny i kromkę chleba.

Trącił palcem talerz z solonym dorszem.

- No, dokończ to. A może chciałabyś coś innego? Odepchnęła naczynie na środek stołu.

- Dziękuję, już się najadłam.

Powiedziała to tak, jakby owo “dziękuję, już się najadłam” ćwiczyła długie godziny przed lustrem w nadziei, że kiedyś trafi się jej okazja, by tak powiedzieć. Przypomniawszy sobie, jak przy najmniejszej prowokacji wojowniczo zadziera podbródek. Jej dumą bawiła go i wzruszała.

Tak, była w jej zachowaniu duma i swoista godność - mimo zaniedbania i okropnych manier. To właśnie dlatego wybrał ją spośród wszystkich tych prostytutek, flejtuch i zropaczonych, sponiewieranych przez życie kobiet w różnym wieku, które przychodziły doń w nadziei, że zapewni im trzy przyzwoite posiłki dziennie i dach nad głową w zamian za niewolniczą harówkę na farmie i ogrzewanie łóżka obcego mężczyzny. Jej duma i potem te przerażające sińce na ciele przekonały go, że podjął właściwą decyzję. Na wspomnienie tego, co widział minionego wieczoru, poczuł przypływ gniewu. Jeśli zabierze Delię do Merrymeeting, przynajmniej jej zapijaczony ojciec nie będzie mógł się nad nią znęcać.

Zorientował się, że coś do niego powiedziała.

- Słucham?

- Pytałam, jak wyglądało przyjęcie u gubernatora. Na pewno była muzyka i tańce, i gra w karty, i wszystko, co trzeba. _ Westchnęła. Jej oczy - zauważył nagle Ty _ były piękne, ciemnoożłote, wokół źrenicy nakrapiane zielonymi cętkami. Spoglądały nań, rozpromienione wewnętrznym blaskiem. _

Och, co bym dała, żeby tam się znaleźć!

Ty wyobraził sobie osobę w rodzaju Delii McQuaid w salonie domu gubernatora i uśmiechnął się mimowolnie.

Zamrugła i jej oczy przygasły, a twarz przybrała poważny wyraz. Ty stwierdził, że nie może oderwać od niej Wzroku. Przyglądała mu się tak długo, że poczuł się nieswojo. Na koniec powiedziała:

- Wiesz, że masz naprawdę miły uśmiech? Lubię, jak się uśmiechasz.

- Dziękuję - odparł, aż dziwił się, jak uradowany tym komplementem.

- I masz cholernie zgrabną dupę.

- Do licha! - Ty poczuł, że palą go policzki. Zażenowanie faktem, iż się rumieni, PODsyciło jego gniew.

_ Posłuchaj, moja panno. Wiem, że trudno uznać cię za damę, tak więc nie oczekuję od ciebie zachowania na poziomie. Wszelako żądam, byś w mojej obecności nie wyrażała się jak pijany marynarz. Mówiłem ci, że jestem człowiekiem o wyrafinowanym smaku i lubię, by wszystko w moim otoczeniu prezentowało pewną klasę.

Była czerwona jak piwonia i wyraźnie zmieszana. A jednak _ spostrzegł Ty - nie omieszkała buntowniczo zadrzeć podbródka. Miał ochotę zwymyślać ją za to.

Wnet jednak wyraz jej twarzy uległ zmianie. Skruszona spuściła oczy, zaciskając kurczowo dłonie.

- O Boże, Ty, przepraszam. Kiedy rozpuszczę jęzor, zupełnie przestaję myśleć. I ciągle mam przez to kłopoty. _ Spojrzała na

niego błagalnie. - Nie zamierzasz się chyba rozmyślić i zostawić mnie w Bostonie?

- Nie pleć bzdur - odburknął, czując się jak brutal. _ Chodźmy, mała. Czas na nas - rzekł, wstając od stołu, i nie patrząc na

Delię, ruszył ku drzwiom. Zerwała się jak oparzona, chwyciła worek, kapelusz nacisnęła na głowę i pośpieszyła za Tylerem. - Nadęty osioł - usłyszał, jak mamrocze pod nosem. - W nosie mam jego wyrafinowany smak.

Z trudem powstrzymał się, by nie wybuchnąć śmiechem.

Delia czuła się podekscytowana jak nigdy w życiu.

Kiedys zdarzyło jej się płynąć promem na drugą stronę rzeki, do Charles Town, na jarmark, i była to prawdziwa przygoda. No i raz pojechała z Tomem wozem kowala na sobotni piknik nad Mili Pond.

Ale nigdy, przenigdy nie miała okazji jechać najprawdziejszym powozem.

Był czarny, zdobiony srebrem. Miał nawet herb na drzwiczkach. A ciągnęła go para identycznych czarnych koni. Wysoki, czarnowłosy służący, imieniem Lackie, który przyszedł po Tylera do zajazdu

“Pod Czerwonym Smokiem”, zajął miejsce na ławeczce za skrzynią pojazdu. Drugi, w takiej samej czarnej, szamowanej srebrem liberii - powoził. Delia usiadła obok Tylera wewnątrz powozu, na siedzeniu z mięciutkiej jak jedwab skóry.

Westchnęła zadowolona, poprawiła spódnicę i spróbowała przybrać godny wyraz twarzy.

Postanowiła, że będzie się zachowywać jak prawdziwa dama, ponieważ miała oto jechać eleganckim powozem przez cały Boston, aby spotkać się z dziadkiem Tylera.

Bo kiedy szli do wyjścia z zajazdu, Ty przodem, Delia tuż za nim, niemal deptając mu po piętach, drzwi uchylły się i przez szparę wsunęła się głowa w ogromnej, rudej peruce. Kolczyk ze sprzączki od buta -zwisiał z czarnego

ucha, kołysząc się na wietrze, brązowe oczy przeszukiwały hol.

Ty stanął jak wryty, tak że Delia zatrzymała się na jego plecach.

- Jackie, co ty tu robisz, do ciężkiej cholery?

Przybysz dostrzegł Tylera i jego twarz rozjaśnił szeroki uśmiech.

Otworzył szerzej drzwi i oto w progu stał wysoki Muurzyn w czarno-srebrnej liberii, ze srebrną obrożą niewolnika na szyi.

- O, massa Tyler. Mnie wysłać powozem, żeby pan przywieźć. P'III Ski dziadek chce pana widzieć. On bardzo zły. Jak Boga kocham, taki zły, że mógłby gryźć gwoździe.

- Cholera jasna! - zaklął znów Ty.

Delia miała ochotę zrobić uwagę, że te wszystkie "cholery" nie bardzo pasują do dżentelmena o wyrafinowanym smaku, ale zmilczała. Nie знаła go na tyle, by wiedzieć, co się kryje pod maską powściągliwości i chłodu.

Wyczuwała jednak, że jego opaanowanie ma swoje granice.

Tak więc, zamiast szukać wątpliwej przewagi nad nim, z rozzkoszą gładziła dłońmi gładką skórę siedzenia i pełną piersią wdychała jej delikatny zapach. Powóz z turkotem toczył się ulicą, mijając niezliczone wozy, gigi i lektyki. Ty milczał i z ponurą miną wyglądał przez okno.

Delia nie wierzyła własnemu szczęściu, kiedy zdecydował, że zabierze ją ze sobą. Wiedziała, że zrazu

nie miał takiego zamiaru. Już zaczął jej tłumaczyć, że ma spokojnie czekać na jego powrót i nie rozrabiać, kiedy na jego twarzy pojawił się wyraz złośliwej przekory.

- Chociaż z drugiej strony ... Na Boga, myślę, że wezmę cię ze sobą - oznajmił i zaśmiał się ochryple. -

Tak, tak właśnie zrobię!

Delia była więc zadowolona, że zadała sobie trud, by umyć się dokładnie przy publicznej studni, chociaż wymagało to od niej zerwania się sporo przed świtem, bo tylko o tej porze mogła liczyć, że będzie przy studni sama.

Zmarzła okropnie, stojąc na wietrze znad zatoki. Miała szczęście, że nie aresztowano jej za obrazę moralności i nie złapała malarii. A wszystko po to, by jemu sprawić przyjemność, żeby zobaczył ją w nowym, czystym wcieleniu. Tymczasem on uznał, że paskudnie zachowuje się przy stole, i zwymyślał od świa. Zacerwieniła się na samo wspomnienie tamtej chwili. Ale się wtedy zawstydzila! "Wiem, że trudno uznać cię za damę" - powiedział później. Boże, z całego serca pragnęła dowieść mu, że się myli ...

Zerknęła ukradkiem na jego twarz. Wczoraj stwierdziła, że jest

przystojny. Teraz, przyglądając mu się w świetle dnia, doszła do wniosku, iż jest najprzystojniejszym mężczyzną, jakiego w życiu widziała.

Nie ubierał się jak lekarz; nie nosił peruki, czarnego surduta i laski ze złotą rączką, jak większość przedstawicieli tej profesji. Miał na sobie krótkie spodnie z jedwabiu i tabaczkowego moheru, spięte u kolan klamerkami z prawdziwego srebra, granatowy surdut i lnianą koszulę, ozdobioną szerokim, zawiązanym wysoko pod brodą koronkowym halsztukiem. Biel halsztuka tworzyła ostry kontrast z jego śniadą cerą.

On w ogóle jest człowiekiem pełnym sprzeczności - pomyślała Delia. Choćby sposób mówienia; wyraża się jak wykształcony dżentelmen, by w chwilę później kłać zupełnie jak jej tatko. I to pogardliwe skrzywienie ust, kłócące się ze zmarszczkami śmiechu wokół oczu. Udaje kobieciarza i rozpustnika, ale jak czule żegnał się wczoraj wieczorem ze swoją kobietą; traktował ją z wielkim szacunkiem. Delia wiedziała, że nawet nie powinna o tym marzyć, ale bardzo pragnęła, by do niej odnosił się tak samo.

Z szacunkiem.

Powóz okrążył ratusz, skręcił w stronę Queen Street i nagle się zatrzymał. Delia omal nie spadła z siedzenia na podłogę. W ostatniej chwili przytrzymała się nogi Tylera. Przez cienki materiał spodni czuła ciepło uda, które pod jej dotknięciem na pięło się, stwardniało. Nie cofała ręki o wiele dłużej, niż było to potrzebne, aż spojrzał wymownie na jej dłoń, potem na nią. Zaczerwieniła się i zabrała rękę, mimowolnie zaciskając dłoń w pięść.

Po chwili do jej świadomości dotarły odgłosy jakiegoś zamieszania, dobiegające z zewnątrz.

Wychyliła się z okna, by zobaczyć, co to za krzyk. Ujrzała obnażoną do pasa kobietę, przywiązaną do tyłu ciągnionego przez woły ciężkiego wozu, którą przeganiało batogiem wokół placu przed ratuszem.

Mężczyzna wykonujący chłostę nie bił zbyt mocno, ale i tak nagie plecy kobiety przecinały czerwone pręgi. Na jej ramieniu widniało świeże piętno - wypalona rozgrzanym żelazem litera A - adulteress, cudzołożnica. Ten widok przywiódł Delii na myśl kobietę, która była z Tylerem ubiegłego wieczoru.

- Zdaje się, że jakaś dziwka dostaje to, na co zasłużyła - mruknęła dość głośno, by ją usłyszał. -

Zgrzeszyła, pokładając się z chłopem, który nie był jej mężem ...

Ty odwrócił wzrok od nieprzyjemnej sceny na placu i napotkał oskarżycielskie spojrzenie Delii.

- Wiem, do czego pijesz, Delio. Ale się mylisz. Kobieta, o którą chodzi

...

- Priscilla - podsunęła, żeby wszystko było jasne.

- Priscilla - zgodził się, zaciskając zęby - jest wdową. Jest także miłą, przyzwoitą i uczciwą kobietą, jednym z najlepszych ludzi, jakich znam. Dlaczego nie miałaby wziąć sobie od czasu do czasu kochankę, skoro ma na to ochotę?

- Niejeden bogobojny bostończyk nie zgodziłby się z tobą. I uważam, że winienesz poślubić tę kobietę,

Tylerze Savitch, jeśli zamierzasz robić z nią ... to, co robisz.

- Gdybym się jej oświadczył, dostajbym kosza, bo zbyt wyysoko ceni sobie wolność. Podobnie zresztą jak ja. _ Obrzucił ją gniewnym Sporzeniem.

- Do licha, czemu ja się tłumaczę komuś takiemu?

Wszystko to nie twój zakichany interes!

Delia nie odpowiedziała, choć czuła się urażona jego wybuuchem. W tym, co mówił, było tyle hipokryzji. Priscilla była damą, bogatą i ustosunkowaną, i dlatego mogła robić, co chciała, nie obawiając się potępienia. Tymczasem biedaczka taka jak Delia nie mogła pracować w szynku, żeby nie przypięto jej etykietyki ladacznicy.

Ty odwrócił się do okna, ale widocznie nie powiedział jeszcze ostatniego słowa, bo po chwili spojrział

na Delię i warknął:

- Jeśli ta kobieta - tu wskazał za okno powozu _ istotnie zgrzeszyła, jakiś mężczyzna musiał jej w tym pomóc. Dlaczego więc nie widzę go przywiązanego do wozu i biorącego baty razem z nią?

Delia zrobiła zaskoczona minę. Nigdy by na to nie wpadła.

Tu też kryła się jakaś forma hipokryzji, i Ty, mężczyzna, wyczuł ją bezbłędnie.

Powóz skręcił w Beacon Street, a Delia wciąż jeszcze dumiała nad złożonością charakteru Tylera Savitcha. Zatrzymali się przed okazałym domem, czy raczej dworem, wznoszącym się w głębi obszernej, zadrzewionej posesji. Tylko cztery domy stały po tej stronie ulicy biegnącej do podnóża Beacon Hill, wzgórza, na którym wznosił się maszt sygnałowy, zdobny trzepoczącymi na wietrze flagami; ten sam wiatr niósł słodki zapach melasy z goorzelnii przy Mill Pond, gdzie produkowano rum.

Foryś otworzył drzwiczki powozu i pomógł Delii wysiąść.

Przez chwilę zachwyconym wzrokiem przyglądała się domowi, zbudowanemu z granitu i brunatnego piaskowca. Wysoki na dwa piętra, miał

mansardowy dach, kryty niebieską łupkową dachówką, i mnóstwo okien. Portal z fryzem i kolumnami zdobił fronton dworu. U drzwi wisiała mosiężna kołatka w kształcie głowy lwa.

- Och, Ty, nigdy nie widziałam takiego wspaniałego domu! - zawołała Delia. - Czy mogę wejść z tobą do środka? Prooszę. Obiecuję, że będę się zachowywać jak prawdziwa dama, naprawdę.

Ty uśmiechnął się. A potem wziął ją pod rękę, jakby już była prawdziwą damą, i pierś Delii napełniła się dumą.

On jednak zaraz wszystko popsuł, mówiąc:

- Nie chcę, żebyś zachowywała się jak dama, nawet jeśli leży lo w twoich możliwościach. Chcę, byś była sobą.

Nim Ty zdążył zapukać, drzwi się otworzyły i stanęła w nich służąca - niebywale wysoka, niemal dorównująca wzrostem Tyykrowi.

Wykrochmalony fartuch szeleścił przy każdym jej ruchu, na głowie rozmiarów dyni kołysał się gigantyczny turban. Ona lówniej miała na szyi srebrną obrozę niewolnicy z wygrawerowanym nazwiskiem właściciela. Jej uśmiech był tak zaraźliwy, że Delia, chcąc nie chcąc, także się uśmiechnęła.

- Dzień dobry panience. - Służąca ukłoniła się Delii, która szeroko otwartymi oczyma chłoneła widok długiego holu, zakończzonego krętymi schodami z ozdobną balustradą. - I dzień dobry panu, massa Tylec. - Odbierając od Delii płaszcz i worek z rzeczami, służąca zachowywała się tak, jakby płaszcz zrobiony był z jedwabiu, a worek niczym nie różnił się od eleganckiego skórzanego sakwojażu. -

Ładny ranek, prawda? Sir Patrick czeka w swojej sypialni, massa Tyler.

Sir Patrick? Wielkie nieba - pomyślała Delia - czyżby dziadek Tylera był jakimś cholernym lordem?

Zaczynała żałować, że nie zosłała na zewnątrz.

- Dziękuję, Frailty - rzucił Ty i ruszył ku schodom. Delia złapała go za rękaw surduta.

-Czy twój dziadek jest jego lordowską mością?

Ty odruchowo spojrzał na olejny portret, wiszący w holu nad kredensikiem z orzechowego drewna.

Delia domyśliła się, że widoczny na nim mężczyzna to właśnie sir Patrick. Nigdy nie widziała osoby o równie dumnej postawie ... ani o równie wrednym wyrazie twarzy.

-Sir Patrick Graham - powiedział Ty - nie jest lordem. Prawdę mówiąc, jest synem szkockiego chłopca.

Tytuł szlachecki otrzymał przed laty od królowej Anny, po tym, jak u wybrzeży Bahamów odkrył

zatopiony hiszpański galeon pełen skarbów. -

Tyler uśmiechnął się porozumiewawczo i dodał:

- To prawdziwy nadęty osioł i liczę na to, że wbijesz mu kilka szpilek.

Frailty cmoknęła donośnie i pogroziła Tylerowi palcem.

- Jak panu nie wstyd, massa Tyler, wykorzystywać biedną dziewczynę, żeby dopiec dziadkowi? Nie pozwól mu na to, złotko - zwróciła się do Delii.

Delia jeszcze raz zerknęła na portret. Widoczny na nim mężczyzna o haczykowatym nosie i surowym wejrzeniu nie wyglądał na kogoś, kto pozwoli wbijać sobie szpilki kelnerce z szynku, która nie wiadomo skąd wzięła się w jego okazałym domu na Beacon Street.

Nerwowo przełknęła ślinę i znów pociągnęła Tylera za rękaw. .

-Co teraz robi twój dziadek? To znaczy ... oprócz tego, że jest szlachcicem.

- Handluje niewolnikami.

Idąc za Tylerem po schodach, Delia obejrzała się przez ramię na Frailty, która wciąż stała w holu.

Służąca uśmiechnęła się, jakby chciała dziewczynie dodać otuchy. Delia odpowiedziała uśmiechem.

Handlarz niewolników. Dziadek Tylera był handlarzem niewolników.

Wychowana w portowych slumsach Bostonu, Delia знаła haniebny proceder, na którym zbudowana została niejedna nowoangielska fortuna. Statki krążyły po trójkącie: z rumem do Afryki po niewolników, z niewolnikami do Indii Zachodnich po melasę i cukier, i z powrotem do Bostonu, gdzie melasę i cukier prze-rabiano na rum. Ale nie wszyscy niewolnicy trafiali do Indii Zachodnich.

Niektórzy lądowali w Nowej Anglii i wielu miejscowych bogaczy dla dodania sobie prestiżu trzymało przynajmniej jednego lub dwu czarnych służących.

Dotarli do drzwi w końcu szerokiego korytarza na piętrze. Ty zapukał krótko i zaraz sięgnął do klamki. Drzwi się otwały i Delia ukryta za szerokimi plecami Tylera niczym za tarczą, ciekawie zerknęła do środka.

Do tej chwili sądziła, że nie może być nic wspanialszego niż apartament w zajezdzie "Pod Czerwonym Smokiem". Ale ten pokój pod względem przepychu górował nad wszystkim, co dotąd widziała.

Jedwabne obicia na ścianach, marmurowy kominek, puszyste dywany na mozaikowym parkiecie -

wszystko to wyglądało jak z bajki. Głównym elementem wyposażenia pokoju

było ogromne łóżko z misternie rzeźbionymi słupkami baldachimu i zasłonami z zielonego adamaszku.

Wyposażono je nawet w tuiłowe siatki, chroniące przed moskitami.

Mężczyzna w czerwonym jedwabnym szlafroku i filcowych kapciach o zadartych do góry noskach, siedzący w nogach łóżka, to ani chybi sir Patrick we własnej osobie - pomyślała Delia.

Miał przykryte rękami ramiona i siedział głęboko pochylony, ze skreconym z papieru stożkiem przy twarzy, a służący posypywał mu perukę pudrem z gruszki.

- Ty, to ty, chłopcze? - rozległ się starczy głos, stłumiony przez papierowy niby-lejek. - Zamierzałeś czmychnąć bez mojej wiedzy, co? - Odjął lejek od twarzy i rzucił go lokajowi. - Wystarczy, do diabła.

Zmiałaj, nie jesteś mi już potrzebny.

Służący zabrał rękawicę i cicho wyszedł z pokoju. Dziadek wnuk zmierzlił się wzrokiem.

- I co? - odezwał się starzec. - Co masz mi do powiedzenia? Uwagi Delii nie uszedł wymowny skurcz, jaki przebiegł przez mięśnie szczęk Tylera.

- Kiedy byłem tu przed trzema dniami, powiedziałaś, że bym zszedł ci z oczu.

- A tak, jednakowoż miałem nadzieję, że niebawem ochłoniesz i pójdiesz po rozum do głowy. Ten swój upór musiałeś odziedzić po ojcu. Grahamowie nie są tacy. - Sir Patrick podszedł do toaletki, przejrzał się w lustrze i poprawił perukę. Następnie odwrócił się i obrzucił wnuka gniewnym spojrzeniem. - Czekam, chłopcze. Chcę usłyszeć, że zmieniłeś zdanie i że zostajesz w Bostonie, by przejąć Graham Shipping, jak to zaplanowałem.

W odpowiedzi Tylera zabrzmiał niezłomny upór.

- W takim razie będziesz czekał, aż w piekle spadnie śnieg. Jestem lekarzem, chcę leczyć ludzkie ciała, a nie handlować nimi.

Starzec sapnął wściekle, aż z peruki posypał się puder, osiadając mu na ramionach. Widok tego wysokiego mężczyzny o surowej, wykrzywionej złością twarzy, stojącego na środku pokoju w jaskrawoczerwonym szlafroku, przypominał Delii zionącego ogniem potwora z szyldu zajazdu "Pod

Czerwonym Smokiem”.

- Tak czy inaczej, nie czaj się w progę, jak jakiś półgłówek –warknął sir Patrick. - Mam ci jeszcze coś do powiedzenia i, na Boga, tym razem wysłuchasz mnie do końca!

Podszedł do kominka, poły szlafroka trzepotały wokół jego chudych nóg. Odwrócił się, założył ręce na plecy i w tym momencie jego wzrok padł na Delię.

- Dobry Boże! Kim jest ta dziewczyna?

- Zabieram ją ze sobą do Merrymeeting. - Ty uśmiechnął się złośliwie i wciągnął nieco opierającą się Delię do pokoju.

- Diabła tam, zabierasz!

Delia wyrwała ramię z uścisku Tylera, spuściła skromnie oczy wykonała chwiejny dyg.

- Jak pan się miewa, wasza lordowska mość?

- Hę? Och ... bardzo mi miło poznać panienkę. Bardzo. _ Sir Patrick uważnie przyjrzał się Delii i na widok jej wystrzępionej spódnicy i bosych stóp uniósł brwi aż do krawędzi peruki.

- Ładna, Ty. Naprawdę ładna.

Delia wyprostowała się i posłała Tylerowi triumfujące spojrzenie. Zmarszczył brwi.

Szczupłą, żyłastą dłonią sir Patrick wskazał obite brokatem krzesło.

- Proszę siadać, panienko. Gdzie twoje maniery, Ty? Tam na stole jest dzbanek z gorącym ale. Nalej trochę biedaczce. Nie widzisz, że trzęsie się od porannego chłodu?

Ty rzucił dziewczynie groźne spojrzenie, ale podszedł do stołu i nalał jej kubek piwa. Kiedy odwrócił

się plecami, starzec puścił do Delii oko, tak że z trudem stłumiła chichot. Jeśli Ty zamierzał

wykorzystać jej obecność, by dopiec dziadkowi, jego plan spalił na panewce.

- Lubi mnie prowokować - rzekł sir Patrick, jakby czytał w myślach Delii. - Nie myśl, że o tym nie wiem. Posłałem go na uniwersytet w Edynburgu, żeby studiował prawo, a on wrócił z dyplomem lekarza. Tylko po to, by mnie zirytować.

Ty zaśmiał się ironicznie.

- Doprawdy, sir Patricku, pochlebiasz sobie, jeśli sądzisz, że moim życiem kieruje chęć, by cię irytować.

- Po co więc przylazłeś tu dziś z samego rana, jak nie po to, żeby mnie zezłościć?

Ty odwrócił się od stołu i skłonił dwornie.

- Przybyłem na pańskie wezwanie, sir - oznajmił drwiącym tonem.

- Ha! A niby po co zadałeś sobie trud podróżowania do Bostonu, skoro nie zamierzałeś zabawić tu nawet tygodnia? Chciałeś mnie zirytować, ot co, i powybrzydzać na to, co próbuję dla ciebie zrobić.

Ty wcisnął Delii do ręki kubek z piwem.

- Och, dziękuję, doktorze Savitch - zaszczębiotała.

- Gdzie twój cięty język, mała? - odrzekł półgłosem.

Delia uśmiechnęła się skromnie i wypila maleńki - jak to dama - łycełek piwa. Pokaże Tylerowi

Savitchowi, że gdy chce, potrafi się zachować jak kobieta z klasą.

- Przyjechałem do Bostonu, żeby znaleźć kobietę na tyle wytrzymałą, by zechciała wyjść za mąż. -

Odpowiadając na pytanie dziadka, Ty prowokacyjnie uśmiechnął się do Delii.

Sir Patrick znów uniósł brwi, a gniewne spojrzenie jego zieleonych oczu spoczęło na zarumienionej twarzy dziewczyny. Nic jednak nie powiedział.

- Przyjechałem też po pastora dla naszego osiedla. Poza tym słyszałem o próbach inokulacji ospy, dokonanych przez Cottona Mathera. Chciałem na własne oczy zobaczyć wyniki tego eksperymentu.

Sir Patrick skrzywił się.

- Nie podoba mi się ta historia z inokulacjami. Nie wolno nam ingerować w dzieło boże. Jeśli Pan chce, by człowiek zaapadał na ospę, widocznie tak musi być.

- Zmieniłbyś zdanie, gdybyś sam zachorował. Epidemia nie dotarła jeszcze do Maine. Zamierzam przekonać mieszkańców Merrymeeting i innych osad ...

- Merrymeeting-Śmerrymeeting - starzec tupnął kapciem w podłogę. - Nawet ta nazwa brzmi, jakby była wymyślona przez durnia'. Bezużyteczny dyplom lekarza to nie jedyne, co przywiozłeś z Edynburga. Zagustowałeś tam w kosztownych przedmiotach i kosztownych kobietach. Nie widzę cię w chacie z sosnowych bali, odmrażającego sobie tyłek podczas zimowych nocy, i bez kobiety, która grzałaby ci łóżko. Chyba że znalazłbyś sobie jakąś squaw ... - Sir Patrick urwał i spojrzał na Delię.

Uśmiechnęła się doń tak słodko, że zamrugał zmieszany.

Ty nie zwracał na nich uwagi. Usiadł na krześle naprzeciw Delii i założył nogę na nogę. Widać było, że z trudem zachowuje spokój: kolysał stopą, bębnił palcami po stole.

- Przez dwa lata udawało mi się żyć tam całkiem znośnie – powiedział. - I jeśli martwią cię; moje kosztowne upodobania ... Jestem jedynym lekarzem między Wells a Port Royal i za swoje usługi otrzymuję przyzwoite wynagrodzenie.

- Przyzwoite wynagrodzenie, powiadasz? Dobrze sobie! - Sir Patrick klasnął w dłonie. - Czy w tym swoim zapomnianym przez Boga osiedlu żyjesz tak jak ja tutaj? No, sam powiedz.

Ty podniósł się z krzesła.

- Nie chcę żyć jak ty. Zwłaszcza kosztem ludzkich nieszczęść. Przez chwilę sir Patrick wodził wzrokiem za przechadzającym się po pokoju wnukiem. Delia miała wrażenie, że w jego twardych oczach dostrzega coś na kształt rozpacz.

- Posłuchaj, Ty. Pozwoliłem ci się wyszumieć i dałem ci czas, byś się nacieszył dziczą. Ale nie staję się coraz młodszy, toteż zamierzam położyć kres tym idiotyzmom. Od dzisiaj przejmujesz nadzór nad kompanią. Potrzebuję cię. Mam tylko ciebie, a zresztą jesteś mi coś winien, chłopcze.

Ty spojrzał na dziadka z twarzą pociemniałą od gniewu.

- Niczego nie jestem ci winien! Skąd, na Boga, przyszło ci do głowy, że zgodzę się choćby jedną stopę postawić na nabrzeżu Graham Shipping? Nie rozumiesz, że gardzę tym, co robisz?

Sir Patrick wyprostował się, w jego oczach zapalił się gniew. - Śmiesz mnie krytykować? Kiedy znalazłem cię przed dzieśięcioma laty, byłeś nagim, bezbożnym dzikusiem, niczym więcej. - I zwracając się do Delii, słuchającej tego wszystkiego z szeroko rozwartymi oczyma, dodał: - Tak, nie był lepszy od

pierwszego z brzegu niewolnika! .

- To kłamstwo, i dobrze o tym wiesz - wycodził Ty przez zaciśnięte zęby. - Musiałeś mnie siłą sprowadzić do swego świata. Miałem swoje życie, rodzinę ...

- O tak, poczciwe były z nich ludziska - drwiąco odparł starzec. Znów zwrócił się do Delii, jakby to ona była osobą, którą chciał przekonać. - Miał ledwie szesnaście lat, kiedy go znalazłem, a już zbierał kolekcję skalpów. Uprawdzili go jako sześciolatniego chłopca i uczynili

jednym z nich, zrobili zeń

krwiożerczego dzikusa i zabili ... zabili ...

Oczy sir Patricka wypełniły się nagle łzami. Spojrzał na obraz wiszący nad jego głową. Był to portret młodej kobiety o eterycznym wyglądzie, stojącej z ręką na oparciu krzesła, jakby potrzebowała wsparcia. Jej niebywale jasne włosy wyglądały niemal jak siwe, a niebieskie oczy miały barwę morza o zmierzchu.

Oczy Tylera, identycznej barwy, również spoczęły na portrecie.

Delia spostrzegła, że gniew stopniowo go opuszcza. Westchnął ciężko i przesunął dłoń po czole.

_ Tyle razy ci mówiłem ... Oni jej nie zabili. Umarła w połogu.

_ Ale najpierw została zgwałcona przez jednego z twoich dzikich Abenaków!

_ On był jej mężem.

_ Jej mąż został zamordowany!

Sir Patrick zbliżył się do wnuka i stanął naprzeciw niego.

Kiedyś musieli być równego wzrostu - pomyślała Delia - choć teraz wiek zgarbił już plecy starca.

Przez chwilę mierzyli się wzrokiem, ale sir Patrickowi nie udało się zmusić Tylera do spuszczenia oczu.

_ Jak możesz żyć w miejscu, gdzie się to wszystko stało? Gdzie są oni _ powiedział starzec wyraźnie błagalnym tonem.

Ty przełknął ślinę•

_ Sagadahoc jest moim domem. Wracam tam.

Sir Patrick zamrugał i łza spłynęła mu po policzku.

_ Myślałem, że zrobię z ciebie Anglika. Dałem ci wykształcenie, nauczyłem cię ubierać się i mówić jak dżentelmen, ale nigdy nie dotarłem do twojego serca. Nie, w sercu nadal jesteś jednym z nich.

Nadal jesteś dzikim Abenakiem.

_ Nie wiem ... sam już nie wiem, kim jestem - szepnął Ty.

Jego oczy wyrażały cierpienie udręczonej ponad miarę duszy. Starzec był jednak zbyt urażony i zły, by to dostrzec.

Idź precz rzucił ochryple. - Wracaj do swoich ukochanych dzikusów. Nigdy więcej nie chcę cię widzieć.

Tysiąc pytań cisnęło się Delii na usta, kiedy wracali do zajazdu "Pod Czerwonym Smokiem".

Większość z nich dotyczyła polujących na skalpy dzikich Indian i

odległości ich siedzib od Mer-rymeeting. Ale posępny wyraz twarzy Tylera sprawił, że nie odważyła się zapytać o cokolwiek.

Gdy dojechali, Ty bez słowa wyskoczył z powozu i zniknął w drzwiach zajazdu. Chciała pójść za nim, ale ponieważ jej o to

nie poprosił, postanowiła poczekać przed pobliskim sklepem szmuklerskim. Widziała, jak stajenny z zajazdu wchodzi do stajni i wyprowadza stamtąd dziarskiego kłusaka rasy Narragansett i drugiego, cięższego konia z siodłem do juków. Domyśliła się, że Ty szykuje się do wyjazdu, i zadrżała, przejęta nagłym dreszczem.

Drzwi zajazdu otworzyły się i ukazał się portier, zgięty pod ciężarem trzech wypchanych skórzanych toreb, które umieścił na grzbiecie jucznego konia. Po chwili z zajazdu wyszedł Ty.

Delia ledwo go poznała. Zniknął elegancki dżentelmen, a w jego miejsce pojawił się traper w wytartych spodniach z kozłowej skóry i myśliwskiej bluzie z grubego, farbowanego na brązowo sukna, ozdobionej frędzlami u ramion i wzdłuż rękawów. W dłoni trzymał pensylwańską skałkówkę, a u wyszywanego pacior-kami bandoletu zawiesił róg z prochem, woreczek z kulami i indiański topór. Tylko szyte na miarę buty przypominały o jego niedawnej elegancji.

Ponury, ze ściągniętą twarzą, robił wrażenie niebezpiecznego zabijaki. Wyglądał na czowieka, który rzeczywiście mógł się czuć szczęśliwy w puszczy, nawet wśród dzikusów. Delia pomyślała, że gdyby

dziadek zobaczył go w tej chwili, zrozumiałby, iż jego rachuby są całkowicie mylne.

Ty wsunął strzelbę w olstro przy siodle, ujął wodze jucznego konia i dosiadł kłusaka. W tym momencie Delia uświadomiła sobie, że zamierza odjechać bez niej.

Zarzuciła worek na ramię i pobiegła ulicą, wołając: - Ty, zaczekaj! Zaczekaj na mnie!

Zawrócił konia. Miał taki wyraz twarzy, że Delia od razu domyśliła się prawdy - po prostu zupełnie o niej zapomniał.

- Delia ... - Rysy jego twarzy zmiękły, zdołał się nawet uśmiechnąć. - Później znajdziemy dla ciebie konia. Na razie pojedziesz ze mną.

Delia ani drgnęła. Stała na środku ulicy i wpatrywała się w Ty-lera. Już by chyba wołała, żeby o nie zapomnieli. Jak mógł ją tak potraktować? Ale też, co ona dla niego znaczyła? Była tylko źródłem kłopotów, paczką, którą dostarcza się na miejsce prze-znaczenia i wyrzuca z pamięci.

- Rusz się, Delio - zniecierpliwiał się Ty. - Wielebny i jego żona już od godziny czekają na nas na błoniach miejskich.

Ostrożnie zbliżyła się do konia.

- Nie umiem jeździć wierzchem.

- Nie pora teraz na naukę - warknął. - Po prostu podaj mi rękę, postaw prawą nogę na mojej stopie, a lewą przerzuć przez zad konia.

Zrobiła, jak rozkazał, i chwilę później z rozmachem wylądowała na końskim karku. Sierść zwierzęcia nieprzyjemnie drażniła jej nagie uda, spódnica podciągnęła się aż do kolan, ale nie miała czasu o tym myśleć, bo Ty puścił konia w szybki trucht. Stłumiła okrzyk strachu i kurczowo objęła go w pasie; dłonie splotła na jego brzuchu, a policzek przytuliła do ramienia.

Błonia miejskie nie były daleko. Delia nie miała nawet czasu, by nacieszyć się bliskością Tylera, bliskością tak intymną, że czuła ciepło jego ciała i słyszała bicie serca, gdy już skręcili w Common Street i oto mieli przed sobą błonia - rozległe, błotniste pastwisko, na którym pasły się stada krów i wołów. Na skraju błonia czekał zaprzężony w parę wołów wóz, załadowany meblami i skrzyniami. Na wozie siedziała młoda kobieta, jej towarzysz przechadzał się wokół zaprzęgu, nerwowo popatrując w kierunku ulicy.

Ty podniósł dłoń w geście pozdrowienia. Kiedy zbliżyli się do wozu, zsunął się z siodła, tak że pozbawiona oparcia Delia poleciałaby w błoto, gdyby nie przytrzymał jej za ramię.

- Witam, pastorze Hooker - rzekł. Puścił ramię Delii i uściśnął dłoń młodzieńca. - Przepraszam za spóźnienie.

Wielebny Hooker miał niewiele ponad dwadzieścia lat. Był szczupły, a jego pociągła, ascetyczna twarz nadawała mu wygląd urodzonego duchownego. Nosił pospolite czarne ubranie i czarny kapelusz z szerokim rondem i niską okrągłą główką. Nawet hals z tukiem miał czarny.

Uśmiechnął się do Tylera, a potem spojrzenie jego niebieskich, poważnie patrzących oczu spoczęło na Delii. Do niej także się uśmiechnął, ale uśmiech szybko zniknął z jego twarzy, gdy spostrzegł, jak nędznie jest odziana.

- Jestem Delia - oznajmiła. - Zdaje się, że wszyscy tutaj jedziemy do Merrymeeting.

Pastor wyglądał na zaskoczonego.

- Ee ... ja ... jestem Caleb - rzekł, wykonując nerwowe ruchy dłońmi. Chrząknął i odwrócił się do Tylera. Zwracając się do niego, mówił już jak prawdziwy kaznodzieja - niskim, melodyj-wozu. _

Doktorze Savitch, chciałbym przedstawić pana mojej żonie, Elizabeth.

Delia z ciekawością Spojrzała na żonę młodego pastora. Długa, łabędzia szyja, mlecznobiała cera, dziecięce, choć doskonale regularne rysy i usta o uniesionych kącikach, przywodzące na myśl płatki irysa - oto co w tej kobiecie przede wszystkim rzucało się w oczy. Ona także była ubrana na czarno, jeśli nie liczyć białego kołnierzyka i mankietów, wystających spod płaszcza. Niemal całą jej głowę okrywał kaptur, usztywniony z przodu wiklinową obręczą. Opadające na czoło pojedyncze kosmyki

włosów były niezwykle jasne, niemal białe. Na kolanach trzymała oprawioną w cielęcą skórę Biblię z połączonym zatrzaskiem.

- Lizzie, to jest ten poczciwy doktor, o którym ci opowiadałem - powiedział wielebny Hooker głosem, w którym brzmiało niewątpliwe szczere uczucie, jakie żywił do Swojej żony. _ Masz więc przed sobą człowieka, który zawiezie nas do Merrymeeting. A to jest... ee ... Delia.

Spojrzenie szarych oczu dziewczyny, szarych jak niebo przed Świtem, prześliznęło się po Tylerze i Delii i wróciło do trzymanej na kolanach Biblii.

- Miło mi pana poznać, doktorze Savitch _ powiedziała łagodnym, melodyjnym głosem.

Ty milczał. I właśnie to jego dziwne milczenie kazało Delii odwrócić wzrok od młodej kobiety.

Spojrzała na twarz Tylera i nagle poczuła się tak, jakby za chwilę miało je pęknąć serce.

Bo Tyler Savitch patrzył na żonę pastora z wyrazem najwyższego zachwyty w oczach.

4

Przeprawili się promem przez Charles River, dzieląc pokład ze stosem baryłek z rumem i stadkiem wniebogłosy beczących kóz. Elizabeth Hooker, ze strachu przed rzeką albo przed kozami, czy może przed jednym i drugim, kurczowo uczepiła się wozu i zamknęła oczy. Ty krzątał się wokół niej, męski i opiekuńczy.

Widok tej pary sprawiał Delii nieznośny ból. Jakże nienasycone jest ludzkie serce - dumiała, jeszcze wczoraj chciała jedynie być blisko niego, widzieć jego twarz. A teraz już jej to nie wystarczyło.

Chciała czegoś, czego nie mogła dostać.

Uznała, że łatwiej to znieść, jeśli nie będzie widziała tych dwojga, i poszła na rufę łodzi. Przez chwilę patrzyła na oddalający się brzeg, na to wszystko, co odtąd miało być tylko wspomnieniem - wieże bostońskich zborów, nabrzeża portu, migocący w słońcu miedziany dach latarni morskiej na Beacon Island ... Wcale nie było jej smutno, że odjeżdża, to tylko słońce świeciło tak mocno, aż oczy zaszyły jej łzami.

Och, tatku ...

Kiedy wieczorem wróciła do domu, okazało się, że tatko nie śpi, pijany do nieprzytomności, tylko pewnie urzęduje w jakimś szynku, bo w domu go nie było. Nie mogła się z nim pożegnać, ale to pewnie i lepiej. I tak nie przestałby pić, a jeszcze mógł rzucić się na nią z pięściami.

Dopiero kiedy wytrzeźwieje, zacznie za nią tęsknić. Nie będzie nawet pamiętał, że dostał od niej po głowie słupkiem z balustrady. Obejdzie nabrzeża, będzie jej szukał, martwił się, aż w końcu zrozumie, że odeszła na dobre. Bo jej tato wcale nie był głupi, przynajmniej na trzeźwo. I wtedy się popłacze, jak zawsze, kiedy jest mu smutno i ciężko na sercu.

Delia poczuła, że ogarnia ją wstyd i poczucie winy. Po przyjeździe do Merrymeeting musi kogoś poprosić, by pomógł jej napisać list, żeby tato dowiedział się, iż nic jej nie grozi. Przynajmniej nie będzie się martwił. Biedny tatko ... Kto się nim teraz zajmie?

I na kim będzie mógł wyładować złość, kiedy trunek zamąci mu w głowie?

Zamknęła oczy i wywołała z pamięci obraz ojcowskiej twarzy. Ale to nie był ten tato, którego widywała ostatnio, lecz mgliste wspomnienie ojca z

czasów, gdy wydawał jej się kimś na kształt boga -

wysoki, silny, wspaniały. Stali na krańcu pirsu, tylko ona i tatko, i on pokazywał jej statki wpływające do portu. Pamiętała dotyk jego dużej, silnej dłoni i podniecenie na widok owych tajemniczych skrzydlatych łodzi. Jakież ogromny i wspaniały wydawał jej się wówczas świat! A jednocześnie czuła się całkowicie bezpieczna, bo był z nią tatko, który nie pozwoliłby zrobić jej krzywdy. Zadarła głowę i spojrzała na niego, a on uśmiechnął się i powiedział: "Kocham cię, myszko ..."

Ale potem umarła marna i bóg przeistoczył się w potwora.

- Czy ma pani rodzinę w Merrymeeting?

Delia odwróciła się i napotkała spojrzenie wielbnego Caleba Hookera. Uśmiechnął się do niej i

wtedy zauważyła, że jego przednie zęby zachodzą odrobinę na siebie. Nawet jej się to podobało, a w każdym razie czyniło go bardziej ludzkim.

- Jadę do Maine, żeby wyjść za pewnego wdowca i zostać matką jego dwu córek - odparła, uśmiechem odpowiadając na jego uśmiech.

- Rozumiem - mruknął, ale nie wyglądało na to, że istotnie rozumie.

Przez chwilę spoglądali na siebie w milczeniu, by nagle, jak na komendę, odwrócić się ku przodowi promu. Żona pastora nadal siedziała na koźle wozu. Obok stał Tyler Savitch i coś do niej mówił.

Chyba coś zabawnego, bo zaśmiała się i na krótką chwilę oderwała wzrok od Biblii.

- Moja żona ... bardzo się bała podróży do dzikich okolic _ odezwał się Caleb. - Najbardziej lubi siedzieć przy kominku ze swoim kołowrotkiem. Wtedy czuje się szczęśliwa. Jest naprawdę dobrą prządką i tkaczką. - Zdjął kapelusz i przeczesał palcami włosy barwy morskich wodorostów. - Ta podróż będzie dla niej ciężką próbą. Ale kiedy już urządzimy się na plebanii w Merrymeeting, poczuje się lepiej - zakończył takim tonem, jakby sam siebie próbował przekonać, że tak właśnie będzie.

Delia uśmiechnęła się pocieszająco.

- O tak, na pewno.

Po chwili milczenia zapytał:

- Przyłączy się pani do naszej kongregacji?

- No cóż ... - zaczerwieniła się i spuściła wzrok na bosa stopy, wystające spod wystrzępionej spódnicy.

- Prawdę mówiąc, nigdy nie byłam za bardzo religijna.

Ktoś zaśmiał się cicho za ich plecami. Odwrócili się pospiesznie. O krok

od nich stał Tyler Savitch i przyglądał im się oczyma barwy wody w rzece za jego plecami. Kciuki zatknął za pasek spodni, trójgraniasty kapelusz zsunął na tył głowy. Wiatr rozchyłał poły myśliwskiej bluzy, odsłaniając muskularną pierś. Wyglądał tak wspaniale, że Delia poczuła w piersi bolesne ukłucie.

— Obawiam się, pastorze, iż nie znajdzie pan w Maine zbyt wielu świętych - powiedział Ty z ironicznym uśmiechem. Najwidoczniej rozmowa z Elizabeth Hooker przywróciła mu dobry humor. Ale Delia czuła się nieszczęśliwa; to ona chciała być przyczyną uśmiechu, który rozjaśniał jego twarz.

— Przecież powiedziano mi, że jestem tam potrzebny - zaproponował pastor. Nie zauważył smutku, jaki pojawił się w oczach Delii. Ty nawet nie raczył na nią spojrzeć.

— Prawo kolonii Massachusetts stanowi, że osada, w której nie ma kościoła i szkoły, nie zostanie uznana za miasto. Niestety aktualny stan kasy naszej wspólnoty nie pozwolił nam na zatrudnienie jednocześnie pastora i nauczyciela. Przeprowadziliśmy głosowanie i zwolennicy pastora wygrali dwoma głosami. - Ty wypchnął językiem policzek i odwrócił głowę, udając, że przygląda się rzece. -

Oczywiście znaleźli się tacy, którzy twierdzili, że wyniki głosowania zostały sfalszowane.

Ku zdziwieniu Delii pastor wybuchnął śmiechem. Pomyślała, że to dobrze, gdy taki poważnie myślący człowiek umie się z siebie śmiać. I cieszyła się, że będzie przy niej podczas długiej podróży do Merrymeeting, a i później także. Tak, zwłaszcza później. Bo Caleb Hooker należał do tego rzadkiego gatunku mężczyzn, z którymi kobieta może się po prostu zaprzyjaźnić. A Delia McQuaid miała przeczucie, że będzie potrzebowała przyjaciela.

Przeprawa dobiegła końca. Teraz mieli wyruszyć szlakiem pocztowym, kierując się na północny wschód. I wtedy doszło do pierwszej w tej podróży kłótni pomiędzy Tylerem a Delią. A przyczyną był koń.

- Nie jadę z tobą na tym zwierzaku - oznajmiła dziewczyna w chwili, gdy Ty miał ją wsadzić na siodło.

Powiedziała to tak, jakby po prostu bała się jazdy konnej. Ale w gruncie rzeczy chodziło o Tylera, a dokładniej o to, co czuła, znalazłszy się tak blisko niego. Wiedziała, że nie zniesie wielogodzinnej jazdy z rękami na jego brzuchu i z policzkiem na jego plecach, kiedy on co chwilę będzie zerkał ku

pani Hooker.

- Co więc zamierzasz? Iść na piechotę do Merrymeeting? –Ty nawet nie próbował ukryć rozdrażnienia.

_ A żebyś wiedział! - odparła. - Przecież nie polecę tam na skrzydłach!

- Do licha! - wrzasnął, zapominając o obecności pastora i jego żony. - Bądźże rozsądna! Przy pierwszej okazji kupię ci konia, ale na razie ...

- Już ci mówiłam, Tylerze Savitch. Niczego od ciebie nie chcę.

- Niczego, powiadasz? A jak myślisz, kto będzie płacił za twoje wyżywienie i miejsce do spania podczas tej małej wy-cieczki?

Zaczerwieniła się, ale wyraz hardego uporu nie opuścił jej twarzy.

- Nie jestem głupia, Tylerze Savitch. Wiem, że w drodze do Maine muszę coś jeść, ale zamierzam zwrócić ci wszystko, co na mnie wydasz. - Ty uniósł brwi, co naturalnie dodatkowo zirytowało Delię. -

Tak czy inaczej, nie wsiądę na tego przekłętego konia ani zresztą na żadnego innego konia, osła czy muła, jeśli to ty za niego zapłacisz!

Ty nie mógł się nie roześmiać.

- Jezu, co cię znów ugryzło, że wściekasz się jak raniony skunks?

Delia odwróciła się na pięcie i ruszyła drogą przed siebie.

W myśli obrzucała Tylera naj gorszymi wyzwiskami, jakie przy-szły jej do głowy.

- Zaczekaj, Delio! - zawołał za nią Caleb Hooker. _ Chyba znajdzie się dla ciebie miejsce u nas. To znaczy ... no wiesz, do Maine jest dość daleko.

Delia przystanęła i spojrzała najpierw na Elizabeth Hooker, która wpatrywała się w męża z przerażeniem w oczach, a następnie na wóz, do granic możliwości wyładowany meblami, skrzy-niami i tobołami. Na Szczycie tej góry dObytku stały dwa różne kołowrotki - jeden do wełny, drugi do lnu. Nie, na tym wozie nie było dla niej miejsca, nawet na zatylniku, nawet gdyby pa-storowa zgodziła się podróżować w tak podłym towarzystwie.

Delia uśmiechnęła się do Caleba i Pokręciła głową.

- Dziękuję za dobre chęci, pastorze, ale nie Skorzystam.

- Jeśli tak zdecydowałaś ...

- A teraz, skoro wszystko jest już jasne, może byśmy ruszyli?- rzekł oschle Ty. - Chciałbym się znaleźć w Merrymeeting przed pierwszymi śniegami.

Caleb rzucił Delii przepaszające spojrzenie i pospiesznie wgramolił się na kozioł wozu. Już sięgał po oścień, kiedy ode-zwała się Elizabeth:

- Calebie, czy nie powinieneś zmówić modlitwy, zanim wyruszymy?
- Och ... tak, oczywiście. - Pastor skłonił głowę na piersi. - Niech Twoja wola, o Panie, prowadzi nas w tej podróży, którą odbywamy w służbie imienia Jehowy. Amen. - Skończył, podniósł głowę i uśmiechnął się szeroko do Tylera.

Następnie szturchnął ościeniem prowadzącego wołu, wóz zaś skrzypiał i potoczył się z turkotem. Tak oto zaczęła się ich podróż do Merrymeeting, Sagadahoc Territory, Maine.

Jechali wolno. Droga zarośnięta była zielskiem, pełna dziur i wybojów. Musieli się często zatrzymywać i otwierać bramy w płotach, jako że szlak biegł często przez farmerskie pastwiska. Delia szła obok zaprzęgu pastora. Odpowiadało jej towarzystwo statecznych, masywnych rudych wołów.

Jakby udzielał jej się ich spokój. Jazda na koniu z Tylerem na pewno kosztowałaby ją mnóstwo nerwów.

Ty był wyraźnie zniecierpliwiony. Kłusak chyba wyczuwał nastrój jeźdźca, bo tańczył po całej szerokości drogi, strzygł uszami i nerwowo wymachiwał ogonem. Delia zastanawiała się, skąd u Tylera ten wieczny niepokój, to wewnętrzne rozedrganie. Pewnie miało to związek z przeżyciami w dzieciństwie. Cóż, jeśli człowiek spędził dziesięć lat wśród dzikich, a potem wrócił do cywilizacji i

został wychowany na angielskiego dżentelmena, może się czuć trochę dziwnie. Być może zostało w.

nim coś z dzikusa i ta część jego osoby pozostawała w konflikcie z Tylerem Savitchem - lekarzem i dżentelmenem.

Czas biegł niepostrzeżenie. Mijali pojedyncze farmy i małe, kilkuzagrodowe wioski. Wokół zieleniły się sady i pola, ogrodzone murkami z polnego kamienia. Świeżo zasiana kukurydza dopiero wysuwała z ziemi spiczaste kielki. W pewnej chwili Delia spostrzegła grupkę dziewcząt zajętych suszeniem lnu. Zamachała do nich ręką, a one odpowiedziały na jej pozdrowienie. Ogarnęła ją wówczas taka beztroška i radość, że roześmiała się w głos. Ale gdy obejrzała się na Tylera i zobaczyła, że przygląda jej się z marsową miną, szybko umilkła.

Ani chybi prawdziwe damy nie uzewnętrzniają swoich uczuć w tak prostacki sposób. Delia postanowiła, że będzie się bardziej pilnować.

Pod wieczór wjechali na słone bagna, gdzie zaatakowały ich chmary wielkich niebieskich much.

Niesłychanie natarczywe, spragnione ludzkiej i bydłowej krwi, kąsały

dotkliwie. Delia próbowała odganiać je od wołów gałęzią, ale nie na wiele się to zdało. Także szyja konia Tylera wkrótce spuchła od ukąszeń krwiożerczych owadów.

Na skraju bagien droga nieco się rozszerzyła i niebawem znaleźli się w niewielkiej wiosce. Ty oznajmił, że zatrzymają się tu na noc, zwłaszcza że taka natarczywość much zapowiada burzę. Jutro pewnie będzie padało, ale deszcz powinien spłoszyć owady.

Wioska przedstawiała żalosny widok. Była tak mała, że dałoby się splunąć z jednego jej krańca na drugi. Domu modlitwy nie wyposażono w najnędźniejszą nawet dzwonnice, a miano wioskowych błoni nosił tutaj błotnisty wybieg, na którym pasło się kilka mizernych krów. Ostatnim budynkiem we wsi była jedyna w okolicy gospoda. Zamiast szyldu nad drzwiami wisiała stara kotwica, umocowana kawałkiem zardzewiałego łańcucha. Z bliżka czuło się dolatujący od strony podwórza odór chlewu i wychodka.

Pojawił się gospodarz. Wyszedł przed drzwi, drapiąc się pod pachą, z ustami wypchanymi tytoniem do zucia. Miał na sobie wystrzępione wełniane portki i "wiejskie sztylpy" – coś w rodzaju cholewek z kawałków starego koca, związanych w kostkach i pod kolanami. Za karczmarzem wykuśtykał na podjazd przeraźliwie chudy pies i położył się u stóp pana.

Karczmarz skinął kudłatą głową i z trudem poruszając językiem w wypchanych tytoniem ustach, wybełkotał:

- Sie macie, ludziska.

Ty zsiadł z konia.

- Och, całkiem nieźle. Otwarte?

- Tak jest, pszešana. Witam w karczmie "Pod Błękitną Kotwicą". - Taksującym spojrzeniem obrzucił

gości, próbując odgadnąć pojemność ich sakiewek. - To będzie ... cztery szylingi za nocleg z kolacją i dwa szylingi za bydłeta.

Ty zażądał soli i ciepłej wody do natarcia szyi kłusaka. Hoo-kerowie zsiadli z wozu. Elizabeth wyglądała na bardzo wyczerpaną i zaraz weszła do gospody. Delia zamierzała pójść za nią, ale Ty położył jej rękę na ramieniu i spojrzawszy wymownie na podrapane i posiniaczone stopy dziewczyny, rzucił:

- Pozwól, że najpierw zajmę się twoimi nogami.

- Sama potrafię o siebie zadbać, dziękuję.

Zacisnął usta i westchnął głęboko. Widać było, że stara się powściągnąć

gniew. Nie chciała go złościć, wcale ją to nie bawiło. Obawiała się jednak, że jeśli będzie dla niego zbyt miła, przejrzy jej grę, zorientuje się, że to on jest tym magnesem, który przyciąga ją do Merrymeeting. Może zacząłby się wtedy nad nią litować, może uznałby jej marzenia za głupie ... Wszystko jedno, nie zniosłaby ani jednego, ani drugiego.

- W każdym razie musisz przyznać, że niesłusznie się ze mną spierałaś.

Jutro jedziesz na moim koniu

- oznajmił Ty.

- Niczego takiego nie powiedziałam.

Zamiast się rozzłościć pogłaskał ją po policzku. Nie mogła opanować drżenia pod delikatnym dotknięciem jego palców. Uśmiechnął się, a ona poczuła, że chce jej się płakać.

- O co chodzi, mała? - spytał niespodziewanie łagodnym głosem. - Czym się denerwujesz?

- Zostaw mnie w spokoju!

Zakręciła się jak fryga i wpadła do gospody, trzasnąwszy za sobą drzwiami z taką siłą, że omal nie wypadły z zawiasów. Ty został na podjeździe i przez dłuższą chwilę nie ruszał się z miej-sca. Miotaly nim sprzeczne uczucia. Miał ochotę złapać dziewczynę za kark i wbić jej trochę rozumu do głowy, a jednocześnie kusiło go, by obsypać pocałunkami tę nadąsaną twarzyczkę, pie-ścić owe wysokie piersi, aż zacznie się wic w jego ramionach. Oczywiście nie zrobił ani jednego, ani drugiego, tylko pomógł Calebowi wypręgać woły, ale jeszcze długo mamrotał coś pod nosem na temat kobiet, końskich much i innych nieznośnych stworzeń.

W godzinę później siedzieli we czworo przy rozklekotanym stole z surowych desek, a niechlujna posługaczka rozstawiała przed nimi drewniane talerze z rozgotowaną na papkę kukury-dzianą kaszą i kubki z rumem.

- Boziu kochana, jestem głodna jak wszyscy diabl i! - zawołała Delia, czując, że na widok jadła zaczyna jej burczeć w brzuchu.

Spojrzała po obecnych. Elizabeth wyglądała na wstrząśniętą, Ty robił groźne miny, tylko pastor się śmiał.

- Nie możesz być głodniejsza ode mnie.

Delia zawtórowała mu śmiechem. Nabrała kopiastą łyżkę kaszy właśnie niosła ją do ust, kiedy wielebny Hooker rzekł:

- Natchnij nas wdzięcznością, o Panie, za wszystkie Twoje dary.

Delia miała ochotę zapaść się pod ziemię, jej łyżka z głośnym klekotem wylądowała na powrót w talerzu. Spuściła z szacun-kiem wzrok, zastanawiaj

c się, czy ktoś zauważył jej gafę. Zerknęła spod opuszczonych powiek i stwierdziła, że Ty, oczywiście, zauważył. Zmarszczył brwi i rzucił Delii takie spojrzenie, iż skuliła się na ławie, uderzając kolanami o blat stołu. Stojący przed nią kubek rumu przewrócił się, a jego zawartość chlusnęła na stół i kolana Tylera.

- Do dia ... - Ty zerwał się na równe nogi i jął wycierać serwetką poplamione spodnie. Spozstrzegł, że Caleb uśmiecha się, rozbawiony, i rumieniec zakłopotania wypłynął na jego twarz.

Usiadł, nachylił się ku Delii i warknął jej prosto w twarz:

- Nie zapomnę ci tego, mała.

- Nie chciałam, Ty. Naprawdę.

- Diabła tam, nie chciałaś.

Delia wlepiła wzrok w talerz. Zamierzała pokazać Tylerowi, że umie jeść jak prawdziwa dama: nie śmiać się, nie mówić z pełnymi ustami, żuć starannie, zanim połknie ... Tymczasem jeszcze nie zaczęła jeść, a już narozrabiała. Spojrzała na Elizabeth, która zręcznie operując łyżką, pojadała swoją kaszkę, po każdym kęsie ocierając serwetką kąciki ust.

Nigdy się tego nie nauczę - pomyślała z rozpaczą Delia. Nigdy nie opanuję wszystkich tajników, jak być prawdziwą damą, i Ty nigdy mnie nie polubi. Bo i za co?

Czuła się upokorzona i nieszczęśliwa. Nietknięty talerz odsunęła na środek stołu.

- Wiesz, kochanie, doktor Savitch ostrzegł mnie, że być może w Merrymeeting nikt nas nie oczekuje -

rzekł Caleb Hooker do żony, gdy posiłek dobiegł końca.

Delia z udręką w sercu patrzyła, jak Ty śle pastorowej czarujący uśmiech.

- Och, nie ma obawy, pani Hooker, na pewno zostanieie mile przyjęci. Chciałem tylko powiedzieć, że

wielebny nie powinien oczekiwać, iż od razu uda mu się zapędzić wszystkich do domu modlitwy.

Nad niektórymi trzeba będzie trochę popracować. Połowa mieszkańców Maine to prości traperzy, nieokrzesani, lubieżni, dzicy.

Ku niesmakowi Delii Elizabeth zaczerwieniła się przy słowie "lubieżni".

- Nazywamy ich leśnymi bestiami - ciągnął Ty. - Większość z nich jest kompletnie szalona.

Elizabeth spojrzała na Tylera wzrokiem małej dziewczynki.

Delii zrobiło się niedobrze, miała ochotę beknąć.

- A pan, doktorze Savitch? - odezwała się Elizabeth. - Czy przyłączy się pan do naszej kongregacji?

Delia była ciekawa, jak Ty wybrnie z tej sytuacji, bo już zdążyła się zorientować, że nie należał do ludzi religijnych. Urałował go karczmarz, który nagle zagadał z za szynkwasu:

- Taa, w Maine spotkacie od groma drapieżnych bydłat.

- Jakich na przykład? - spytała Delia, odwracając się od stołu.

- No, oczywiście wilków i panter. I niedźwiedzi. W lasach

Maine aż się roi od niedźwiedzi wielkich jak krowy. Ale nie brakuje dwunożnych drapieżników, takich jak piraci ...

- Piraci! - Delia spojrzała na Tylera wyraźnie podekscytowana. - Naprawdę macie tam prawdziwych, jak się patrzy piratów? Ojej, może natkniemy się na jakiś ukryty w ziemi skarb!

- Oni wolą się nazywać korsarzami - odrzekł ze śmiechem Ty. - I nie zakopują swoich łupów, ale je sprzedają, pieniądze zaś przepuszczają.

- A najgorsze drapieżne to Indyjany - ciągnął karczmarz, z uśmiechem zadowolenia na brodatej twarzy.

Elizabeth Hooker wyprostowała się gwałtownie, pobladła.

- Indianie? Myślałam, że już nie są niebezpieczni. Że podpisano z nimi odpowiedni układ. Calebie, mówiłeś ...

- Jeszcze się nie narodził taki Indyjanie, co by się przejmował jakimś układem - oznajmił karczmarz.

- Słyszałam, że kiedy złapią jakiegoś nieszczęśnika, nadzieją go na zaostriżony pal i pieką na wolnym ogniu. Zupełnie jak święteczną gęś - powiedziała Delia i zauważyła, uśmiechając się w duchu, że Elizabeth była blada jak płótno.

- Ano, to święta prawda - przytaknął karczmarz, uszczęśliwiony takim obrotem rozmowy. - Ale do pieczenia biorą się dopiero później. Najpierw robią z biedakiem takie nikczemne rzeczy ... Przypalają go rozgrzanym żelazem, odcinają mu kawałki ciała ...

- I pożerają je na jego oczach! - dokończyła Delia.

Elizabeth zerwała się, przewracając ławkę, na której siedziała, przycisnęła dłoń do ust i wybiegła z baru. Po koślawych schodach wspięła się na piętro, gdzie mieściły się pokoje sypialne. Nad głowami pozostałych w jadalni trzasnęły drzwi.

Ty podniósł się od stołu i Delia sądziła, że pospieszy za pałstora. Ale

nie, złapał Delię za ramię, postawił na nogi i nim zdążyła zaprotestować, wyciągnął na. podwórze.

Kiedy odwrócił ją twarzą do siebie, aż się skuliła, tyle wściekłości było w jego oczach. Potrząsnął nią brutalnie.

- Powinienem zaprowadzić cię do drewni i przykładowie złoić ci skórę!

- Ja tylko po przyjacielsku gawędziłam sobie z karczmarzem. To nie moja wina, że twoja kochana Lizzie boi się własnego cienia.

- Elizabeth Hooker jest wrażliwą młodą kobietą, a ty nie jesteś głupia, Delio. Wyczułaś jej lęk i żerujesz na nim, powodowana złościwością, podłością albo sam nie wiem czym. Zachowujesz się jak zepsuta smarkula.

Czy on ma zegarek zamiast serca? - pomyślała Delia. Nie widzi, co się z nią dzieje? Nie widzi, że umiera z miłości do niego, podczas gdy on traktuje ją jak uprzykrzoną muchę? Albo smarkulę?

Spuściła wzrok na ziemię.

- Przepraszam, Ty - szepnęła.

- To nie mnie powinnaś przeprosić - rzekł, puszczając jej ramię.

- Przepraszę ją. Później. Ale może i ty powinieneś kogoś przeprosić. Na przykład pastora, za to, że węszysz wokół jego żony jak rozplodowy buhaj.

- Co! - warknął Ty i nozdrza mu się rozdęły. Zupełnie jak bykowi - zauważyła Delia. Roześmiałyby się, gdyby nie była tak bliska płaczu.

- Myślałeś, że nikt nie widzi, jak się do niej kleisz, jak zaglądasz jej w oczy. To doprawdy obrzydliwe

...

Chwycił ją za ramiona, przysunął twarz do jej twarzy i wycedził:

- To są myśli rodem z rysztocka, Delio. Czy nie rozumiesz, że mężczyzna może być uprzejmy i przyjacielski, i nawet za-chwycać się urodą kobiety, wcale nie myśląc o spaniu z nią?

- Nie zaprzeczysz, że pożądasz żony pastora!

- A właśnie że zaprzeczę.

Ale Delia nie słuchała. Wyrwała się i pobiegła drogą wychodzącą z miasta. Łzy zalewały jej twarz, w gardle czuła bolesny spazm.

Po chwili skręciła w las i wbiegła na stok wzgórza, porośnięty świerkami i różnego gatunku sosnami.

Przedwieczne słońce z trudem przebijało się przez sklepienie konarów. Wokół panowała kojąca cisza, gruba warstwa opadłych z drzew igieł tłumiła odgłos jej kroków. Zwolniła, ale nadal szła przed siebie, trzymając się jeleniej ścieżki.

Las był piękny. Twarz Delii obeschła z łez, ustąpił ciężar w piersi. Z zachwytem rozglądała się dokoła.

Dzięcioł bębnił w pień martwego drzewa, poszukując robaków. Jaskrawożółte motyle krążyły nad jej głową, jakby zapraszały do wspólnej zabawy. Między paprociami czerwieniły się muchomory, stojące w równych szeregach, niczym żołnierze na paradzie.

W pewnym miejscu ścieżkę przegradzało zwalone drzewo, pozostałość po niedawnej burzy.

Zawahała się. Czy nie powinna już wracać? Nie chciała, żeby Ty znów na nią krzyczał. A poza tym las, choć taki piękny, był też siedliskiem drapieżników. Panter i niedźwiedzi. Wilków ...

Coś zaszeleściło w krzakach, serce podeszło jej do gardła. Odwróciła się i wyteżyła wzrok, ale niczego podejrzanego nie zauważyła. Miała wszakże wrażenie, iż w ciągu ostatnich kilku minut las pociemniał. Tak, należało wracać. Zdecydowanie nie miała ochoty znaleźć się w puszczy po zmierzchu.

Zawróciła i nadal trzymając się ścieżki, ruszyła tam, skąd przyszła. Tylko że kilkanaście kroków dalej ścieżka się rozwidlała – jedna jej odnoga biegła w lewo, druga w prawo ...

Wybrała prawą, ale wnet zatrzymała się, zdezorientowana. Nie dostrzegła tu niczego znajomego.

Chociaż nie, przeciwnie: wszystko wydawało się takie samo - wszędzie takie same drzewa i paprocie.

Jej wzrok przyciągnęła kępa żółtych kwiatów. Nawłocie. Była pewna, że pamiętałaby tę plamę złota, doskonale widoczną na tle ciemnej zieleni paproci.

Zrozumiała, że pomyliła ścieżki.

Zawróciła, szukając rozwidlenia, ale okazało się, że miast dwu odnóg ma przed sobą trzy. Nagle las wydał się pełen drózek, rozwidlających się, krzyżujących ze sobą ...

Gdzieś za nią zaszeleściły krzaki. Trzasnęła pękająca gałązka. Zerwała się do biegu. Przeskoczyła uschniętą paproć, odgarnęła z drogi nisko wiszące gałęzie świerku i ... ziemia rozstała jej się pod stopami.

Spadając, odruchowo schowała głowę między ramiona, tak że wylądowawszy na dnie jamy, wywinęła koziołka. To uratowało jej życie. Olbrzymia belka, która spadła do dołu w ślad za nią, uderzyła w miejsce, gdzie przed ułamkiem sekundy spoczywała jej głowa.

Ani chybi strzaskałaby jej czaszkę, a tak upadła w poprzek nóg.

Dziewczyna krzyknęła z bólu. Z góry

sypał się deszcz piasku, świerkowych igieł i suchych liści. Potem zapadła cisza.

Podniosła wzrok. Wysoko w górze widziała skrawek nieba i gałęzie świerku. Dół, do którego wpadła, musiał mieć przynajmniej osiem stóp głębokości. Mimo to wydostałaby się zeń bez trudu, gdyby nie ciężka belka, krępująca jej ruchy, przygniatająca do dna jamy.

- Ratunku!

Okrzyk wrócił do niej odbity echem, a ona poczuła się tak, jakby jedna jedyna została na świecie.

Jedyna ludzka istota ...

Nadstawiła uszu, bo znów jej się wydało, że słyszy szelest liści. Tak, niewątpliwie. Zaciśnęła zęby i tłumiąc krzyk strachu, spróbowała ruszyć belkę. Ani drgnęła. Znów zaszleściły krzaki, tym razem bliżej.

A potem jej uszu dobiegło głośnie sapanie. I coś jakby niskie warknięcie.

- O, Boże w niebiosach ...

Wilk! Na pewno wilk. Czy wilki jedzą ludzi? Jeśli są głodne ...

Miała nadzieję, że ten nie jest głodny, tylko ciekawy. Wyraźnie się ściemniało. Plama błękitu w górze przybrała szarą barwę.

Nieco piasku i liści zsyłało się po ścianie dołu prosto na plecy Delii. Odwróciła powoli głowę i spojrzała do góry ... prosto w płonące, żółte ślepie i paszczę pełną wyszczerzonych zębów.

Krzyknęła i oczy oraz zęby zniknęły. Chwyciła belkę, natężyła siłę, aż żyły wystąpiły jej na szyi, i spróbowała zepchnąć ją z nóg.

Bezskutecznie.

Wyczerpana opadła na piasek i jeszcze raz spojrzała w górę.

No, no usłyszała znajomy, drwiący głos. - Zdaje się, że złowiliśmy jakiegoś drapieżnika.

5

Stał oparty na strzelbie i patrzył na nią z góry. _ Wyciągnij mnie stąd - powiedziała.

- Dlaczego?

_ Bo ... Ooch, przestań mnie złościć. Myślisz, że chcę spędzić w tej dziurze całą noc? Wyciągnij mnie.

_ Żebyś znowu straszyla biedną panią Hooker bujdami o krwiożerczych Indianach?

_ Przeprosiłam ...

_ Żebyś grała mi na nerwach, ilekroć staram się być dla ciebie miły?

_ Miły? Dobrze sobie! Chyba nie dla mnie.

. Westchnął ciężko, ale Delia nie dała się nabrać. Po głosie poznała, że naj zwyczajniej w świecie bawi się jej kosztem.

Promienie zachodzącego słońca przedostały się przez gałęzie drzew, padając na twarz Tylera i opromieniając jego głowę złocistą aureolą. Na Delii ten widok wywarł piorunujące wrażenie. Serce jej się ścisnęło. Był takim cudownym mężczyzną .. • Miała nadzieję, że nie widzi jej zbyt dokładnie w mroku dołu. Musiała wyglądać okropnie, obsypana piaskiem i świerkowymi igłami, ze spódnicą podwiniętą do pasa.

_ Pomogę ci, ale pod pewnym warunkiem - rzekł Ty.

_ Nie wsiądę na twojego przeklętego konia! - zawołała, domyślając się, jaki to może być warunek.

_ A więc dobrze. - I zniknął jej z oczu.

_ Do diabła! Ty! - Kiedy nadal się nie pokazywał, krzyknęła:- Ty, wróć! Proszę. Zrobię, co zechcesz, ale wróć. Ty!

Wrócił. Usiadł na krawędzi dołu ze strzelbą na kolanach i zachowywał się tak, jakby nigdzie mu się nie śpieszyło.

- Wkrótce będzie ciemno - oznajmił wesoło, zerknąwszy na niebo.

Delia zacisnęła zęby.

- Tak, tak - westchnął Ty. - Koło północy pewnie zacznie padać.

- Ty, gdzieś tu w pobliżu czai się wilk - zaczęła Delia, starając się, by w jej głosie słycać było strach. A potem wypaliła: _ Mam nadzieję, że cię zje! Na nic innego nie zasługujesz.

Roześmiał się.

- Nie sądzę, żebyś widziała wilka. Tak blisko wioski? To pewnie stary ogar karczmarza.

W umyśle Delii zaczęło się rodzić nieміłe podejrzenie.

- Jak ... jak daleko jesteśmy od wioski?

- Och, jakieś sto sążni.

Poczuła, że płoną jej policzki. Na szczęście w dole było ciemno i Ty nie mógł widzieć jej zażenowania.

Myślała, że zagubiła się gdzieś w sercu puszczy, a tymczasem znajdowała się głupie sto sążni od gospody!

Niespodziewanie Ty wskoczył do dołu, zgrabnie lądując u jej boku. Odszukał ją po omacku i zaklął

pod nosem, natrafiwszy na belkę.

- Jezus, dlaczego nic mi nie powiedziałaś?

- Myślałam, że wiesz.

- A skąd miałem ... - Urwał, objął belkę ramionami, stęknął... i Delia była wolna. - Nie ruszaj się -

rozkazał, kiedy spróbowała usiąść.

Dokładnie zbadał jej nogi, od kostek aż po biodra, nawet pod spódnicą. Ta, na którą upadła belka, pulsowała nieznośnym bólem, który jednak osłabł, gdy tylko położył na niej dłoń. Delia przyłknęła oczy. Jej ciało zdawało się topnieć pod delikatnym dotknięciem jego palców ... tak bardzo, bardzo delikatnym. Czowała promieniujące skądś z głębi brzucha gorąco, od którego jej skóra zdawała się płonąć. Gardło miała ściśnięte i suche. Jego głos dobiegał do niej jakby z oddali.

- Nie jest złamana, ale będziesz miała kolejny twarzowy siniac. Szczęście, że nie zginęłaś. Ten dół to stara pułapka na jelenie, a belka, spadając, miała zabijać uwięzione zwierzęta. Mogła jak nic rozłupać ci głowę.

Delia zadrżała. I jeszcze raz zadrżała, kiedy objął ją w pasie, pomagając wstać.

- Możesz się oprzeć na tej nodze?

- Chyba tak. Tak, mogę - powiedziała czy raczej spróbowała powiedzieć, bo słowa więzły jej w gardle.

Jego dłonie na jej biodrach, jego pierś dotykająca jej pleców.

Nigdy nie odczuwała silniej bliskości Tylera. Czowała bijące odeń gorąco, a w ciszy, jaka nagle zapadła, słyszała jego oddech ...

- Uklęknię, a ty złapiesz mnie za ramiona. Potem wywinduję cię do góry -

powiedział.

W jego głosie pojawiła się szorstka nuta. Może był na nią zły? Jak idiotka wpakowała się znowu w kabałę. Prawdziwa dama nie biegałaby po lesie, nie wpadłaby do dziury w ziemi, z której trzeba by ją było wyciągać.

Ty odwrócił się i klęknął przed nią. Zawahała się, bo naprawdę nie chciała go dotykać. Było coś, co chciałyby robić z Tylerem Savitchem, ale miała jedynie mętne wyobrażenie, co by to miało być.

Wiedziała jednak, że kiedy zacznie go dotykać, nie będzie umiała przestać.

Chrząknął zniecierpliwiony.

- Rusz się, Delio.

Odetchnęła głęboko i zarzuciła mu ręce na szyję. Ujął jej nogi, owinął je sobie wokół pasa i wstał

jednym płynnym ruchem. Krawędź dołu była teraz tuż nad jej głową. Mogła puścić szyję Tylera i bez trudu wydostać się z pułapki.

Ona jednak ani drgnęła. Czuła puls bijący w jego szyi, wznośnienie się i opadanie żeber pod jej udami, dotyk jego muskularnych, gorących pleców na swym łonie. I jego zapach - woń skóry, tytoniu i męzczyzny.

Mimowolnie otarła się policzkiem o włosy na tyle jego głowy.

- Czy będziemy tak stać całą noc? - mruknął.

To ją otrzeźwiło. Prawie siedziała mu na plecach, było mu ciężko i pewnie dlatego w jego głosie brzmiało to dziwne napięcie. Puściła szyję Tylera i wyciągnęła rozdygotane dłonie ku krawędzi dołu.

Wbijając palce w miękką ziemię, zdołała się podciągnąć i wydostać na płaski teren. W ostatniej chwili Ty położył jej dłoń na pośladkach i pchnął silnie, ułatwiając pokonanie krawędzi. Wstrząs, jakim było dotknięcie w tak intymnym miejscu, sprawił, że jęknęła głośno.

- Nic ci się nie stało? - zapytał.

Klęknęła i spojrzała w dół na uniesioną twarz Tylera. Mimo wieczornego chłodu miał czoło zroszone potem. Zaciśnięte usta tworzyły twardą, prostą linię. Widziała ruch jego grdyki, gdy przełykał ślinę.

- Pomóż mi.

Podła mu rękę. Zaciśnął palce na jej nadgarstku, a ona odchyliła się do tyłu, by zrównoważyć jego ciężar. Wdrapał się po lekko pochyłej ścianie pułapki szybciej, niż się spodziewała. Tak szybko, że nagle pozbawiona przeciwwagi upadła na plecy, a on na nią. Ledwie zdążył podeprzeć się łokciami, wbijając je w igliwie obok jej ramion.

Ich twarze dzieliło teraz ledwie kilka centymetrów. Czowała ciepło i wilgoć jego oddechu, widziała nawet swoje odbicie w jego ciemnych, niemal granatowych oczach. Słońce już zaszło, ale wciąż jeszcze było na tyle jasno, że widziała, jak przymyka oczy, a jego usta rozchylają się nieznacznie.

I oto te usta dotknęły ust Delii, zrazu lekko, musnęły tylko wypukłość jej warg. Potem całował ją coraz mocniej, aż z wolna ją odpowiadać na jego pocałunki. Objęła go, wpijając palce w mięśnie ramion, i poczuła, że drży. A kiedy wyprężyła się, przylegając doń całym ciałem, wyszeptał:

- O Boże, Delio ...

Znów ją całował, coraz gwałtowniej, coraz śmieiej. Czowała w ustach smak jego języka i sama próbowała pieścić językiem jego usta. Wiedziała jednak, że pocałunki to tylko początek. Było coś więcej, och, znacznie więcej, i chciała tego, chciała tego Wszystkiego. Chciała jego.

Usta Tylera, gorące i wilgotne, sunęły teraz w dół jej szyi.

On sam oparł się całym ciężarem ciała na jednym łokciu, wolną ręką manipulując przy tasiemkach stanika dziewczyny. Nie wiedząc kiedy uwolniona z gorsetu pierś znalazła się w jego dłoni. Druga dłoń wędrowała z wolna w dół, wzdłuż brzucha, bioder ...

Spódnicę i koszulę miała zadarte nad kolana. Kiedy Tylera dotknęły nagiego uda i w tym samym momencie jego usta zamknęły się wokół wyprężonej sutki piersi. Szarpnęła się, a całe jej ciało przebiegł płomień ...

Odepchnęła go z całej siły, zrzuciła z siebie i przeturlała się w bok. Usiadła i spostrzegła, że leży w bezruchu, wsparty na łokciach, ze zwieszoną głową. Oddychał ciężko, chrapliwie. Na koniec uniósł się i klęknął przed nią, oparłszy dłonie na biodrach. - I co ja mam teraz zrobić, Delio? Lubisz być przymuszana? A może się spodziewasz, że najpierw ci zapłacę?

Zamachnęła się i z całej siły trzasnęła go otwartą dłonią w twarz, aż się zachwiał i głowa odskoczyła mu do tyłu.

- Ach, ty mała ...

Twarcz miał pociemniałą od gniewu. Wyciągnął rękę, jakby chciał ją złapać, ale poderwała się i odskoczyła na bezpieczny dystans. Wstał powoli, usta wykrzywiały mu zły uśmiezek. Mięśnie policzka, poniżej czerwonego znaku, jaki zostawiła jej dłoń, przebiegł skurcz.

Cofnęła się o krok, przyciskając zwiniętą w pięść dłoń do rozpiętego stanika.

- Nie dotykaj mnie, bydlaku!

Uśmiechnął się drwiąco.

- Czemu nie? Jeśli nie chciałaś być dotykana i tylko udawałaś, że chcesz, to szło ci to cholernie dobrze.

Odwróciła się, zrywając do ucieczki, ale nim zrobiła pierwszy krok, pochwycił ją, opasał w talii

ramieniem i przyciągnął ku sobie.

Dźgnęła go łokciem w żebra, aż stęknął boleśnie. Ale zaraz przysunął usta do jej ucha i wydyszał:

- Jestem od ciebie większy, silniejszy i podlejszy, nie wygrasz ze mną, Delio. Nie każ mi dowodzić swojej przewagi.

- Idź do diabła, ty ... ty ... - Obrzuciła go nagorszymi obelgami, jednocześnie próbując kopnąć bosą stopą w goleń.

- A bodaj to! - zaklął, kiedy rozorała paznokciami wierzch jego dłoni. Mocniej zacisnął ramię na jej talii. Uczuła przeszywający ból, tak silny, że krzyknęła.

Ty natychmiast cofnął ramię. Skulona, oddaliła się odeń krok czy dwa, przyciskając dłoń do boku i ciężko oddychając przez zaciśnięte zęby.

- Delio ... - Wyciągnął rękę, ale uchyliła się przed jego dotknięciem.

Odetchnęła głęboko, wydając odgłos podobny do łkania. Jej usta, piersi, całe jej ciało płonęło. Otarła wargi grzbietem drżącej dłoni.

- Nienawidzę cię, Tylerze Savitch. Boże, jakja cię nienawidzę!

Pokręcił głową z udawanym smutkiem.

- Wiem. Nienawidzisz mnie i moje pocałunki są ci, rzecz jasna, wstrętne. Ale czy to powód, żeby podbijać mi oko?

- Nie zamierzam ci służyć do zaspokajania żądz, Tylerze Savitchu - rzuciła rozdygotanym głosem, pospiesznie zawiązując tasiemki stanika. - Zwłaszcza że tak naprawdę tęsknisz za Elizabeth Hooker.

Skrzywił się, zirytowany, i odgarnął włosy z czoła.

- Znów wracasz do tego tematu? Ile razy mam ci mówić, że ani mi w głowie ...

- Nie myśl, że mnie cokolwiek obchodzicie. Możesz z nią robić, co chcesz. - Łzy gniewu wypełniły jej oczy. Otarła je, zła także na siebie za ten objaw słabości. - Ale to nie w porządku, kiedy mężczyzna całuje jedną kobietę, a w duchu pragnie innej.

- Mylisz się. Nie pragnę Elizabeth.

Delia czuła, że zaczyna jej drzeć podbródek.

- Właśnie że pragniesz.

- Nie.

Położył jej dłoń na policzku, nachylił się, aż poczuła ciepło jego oddechu. I znów zalala ją fala żaru.

- Och, Delio, Delio - szepnęła pieszczotliwie, na co jej serce zareagowało gwałtownym biciem. - To ciebie pragnę. To ty ... _ Jego usta zawisły nad rozchyłonymi wargami dziewczyny.

- Chcę wrócić do gospody, Ty - powiedziała sucho, odwracając głowę. Wprostował się, cofnął o krok.

- Wracaj więc. Nie zamierzam cię zatrzymywać.

Przez chwilę stała w bezruchu, a dziwne myśli kłębiły jej się w głowie. Pożądał jej ... Miała tego dowody, a zresztą sam się do tego przyznał. Bynajmniej nie czuła się tym przerażona. Bała się raczej tego, co objawiało się trzepotaniem jej własnego serca i uczuciem bolesnej pustki w dole brzucha.

Przerażała ją świa-domość, że ona pożąda jego.

Ruszyła ścieżką przed siebie, energicznie otrzepując spódnicę z igieł i liści. Musiał dwukrotnie zawołać jej imię, i nawet pod-biec za nią kilka kroków, nim się zatrzymała.

- Idąc w tym kierunku, nieprędko dotrzesz do celu *rzekł*. Ale kiedy się tam wreszcie znajdziesz, okaże się, że znów jesteś w Bostonie.

Zmieszała się, zarumieniła. Nadal jednak nie umiała spojrzeć mu w oczy.

- Och ... To przez te przekłete ścieżki, wszystkie wyglądają tak samo. Mógłby ktoś porozstawiać drogowskazy albo co.

Ty zaśmiał się i pokręcił głową•

- Na Boga, Delio, dziwna z ciebie dziewczyna. - Zszedł ze ścieżki i wykonał błazeński ukłon. - Proszę tędy, milady.

Wracali do gospody obok siebie, ale nie dotykali się i nie rozmawiali. Niebawem wyszli z lasu na drogę. Ich niewyraźne, wydłużone cienie sunęły przed nimi po ziemi jeden obok dru-giego, a przecież osobno.

Wyglądając przez "szybę" z natuszczzonego papieru w oknie sypialni, Elizabeth widziała ciemne sylwetki drzew, rysujące się na tle szarobiałego nieba.

O tej porze w Bostonie, na plebanii kościoła przy Brattle Street, jej ojciec zapala lampę na biurku, szykując się do pracy nad środowym kazaniem. Matka siedzi pewnie przed kominkiem i wyczesuje wełnę, którą jutro będzie prząść. Młodsze siostry wyszywają, rozmawiając o jedwabnych wstążkach kupionych te-go popołudnia albo o ciastkach, które zamierzają upiec na

so-botnie zebranie parafian.

Oczyrna wyobraźni Elizabeth widziała ogień na kominku, odbijający się w srebrnym serwisie do herbaty, dym unoszący się z ojcowskiej fajki, rozkołysane wahadło zegara, którego tykanie wypełnia pokój, mieszając się z cichymi głosami sióstr ...

Zacisnęła powieki, usta wygięła jak do płaczu.

- Chcę do domu! - rozległo się w ciszy niechlujnego pokoju na piętrze zagubionej wśród lasów gospody. - Calebie, proszę, zabierz mnie do domu. - Ale Caleb tego nie słyszał.

Po chwili Elizabeth wciągnęła głęboko powietrze, otworzyła oczy i znów zapatrzyła się na las. Już go nienawidziła i była pewna, że Merrymeeting także szybko znienawidzi. Wszędzie brud i prostactwo.

Po całodziennym jeździe nieresorowanym wo-zem bolały ją wszystkie kości. Gardło paliło od nieustannego wdychania kurzu. Skóra szyi, twarzy i rąk - w miejscach nie osłoniętych ubraniem - nosiła ślady po ukąszeniach much.

Czuby sosen kołysały się majestatycznie na tle ciemniejącego nieba. Nawet przez zamknięte okno Elizabeth słyszała wzdychanie wiatru i czuła zapach nadchodzącego deszczu. Przypomniała sobie, co ten wstrętny kramarz mówił o dzikich i o tym, jak traktują swoich jeńców. Żołądek ścisnął jej się z przerażenia. Kto wie, czy nie czają się gdzieś w lesie, czekając, aż zapadnie noc i rozpęta się burza, a wówczas ...

Rozdygotanymi dłońmi zamknęła okiennice, zasunęła skoble.

Pulsowanie w skroniach, wywołane strachem, ucichło, ale tym wyraźniej czuła swędzenie szyi w miejscach ukąszeń owadów.

Zacisnęła pięści, z najwyższym trudem powstrzymując się od drapania. Takie zachowanie byłoby nie godne damy. Odwróciła się od okna i rozejrzała po pokoju, prawie pustym, jeśli nie liczyć krzesła i drewnianego łóżka z materacem wypchanym gałganami i kukurydzianymi łuskami. W pościeli na pewno roiło się od wszy i pluskiew - pomyślała i wstrząsnęła się z obrzydzenia. Przynajmniej na to była przygotowana, bo matka poradziła jej zapakować pościel tak, żeby mogła z niej skorzystać w czasie podróży.

Podeszła do kufra, przyniesionego przez Caleba z wozu. Na jego wieku znalazła swoją Biblię, zapewne położoną tam przez męża. Przyklękła i końcami palców pogładziła skórzaną oprawę, zdobioną wytłaczanymi wzorami. Caleb był dobrym człowiekiem, miłym i opiekuńczym, ale chwilami nienawidziła go za to, że oderwał ją od rodziny. A teraz jeszcze

ciągnął ją ze sobą do dzikiej puszczy, przez cały dzień kazać znosić trzęsienie wozu, kurz i napastliwe owady. Nieraz podczas tego długiego dnia powtarzała sobie w duchu, że go nienawidzi. Teraz czuła się winna i miała wyrzuty sumienia; w końcu był jej mężem.

Zacisnęła usta. Jutro będzie dla niego lepsza. Jutro i jej będzie już łatwiej. Pierwszy dzień podróży zawsze wydaje się najtrudniejszy.

Zdjęła pościel z łóżka i zasłała je własnymi prześcieradłami i kocami. Sama przędła wełnę i len na tę

pościel, sama ją utkała i była dumna z jej jakości. Stanowiła część wyprawy ślubnej Elizabeth. Kiedy w dzień wesela pokazała ją Calebowi, wykrzyknął, że nikt nie miał tyle szczęścia przy wyborze żony co pastor Caleb Hooker. Często zastanawiała się, czy nadal myśli tak samo teraz, kiedy lepiej ją poznał.

Wyglądziła koc, wsuwając jego brzeg pod materac. Wieczorna pora i myśli o mężu sprawiły, że gdzieś w głębi jej brzucha jęło się rodzić mdlące uczucie ni to strachu, ni to obrzydzenia. Na czoło wystąpiły jej krople potu. Kiedyś lubiła te chwile przed nastaniem nocy, gdy całą rodziną zasiadali przy kominku. Ale od dnia zamążpójścia każdy wieczór napawał ją strachem, bo nie wiedziała, czy akurat tej nocy Caleb nie zechce wyegzekwować swoich męzowskich praw.

Ulegała mu, ilekroć tego zażądał, bo to był jej obowiązek.

I była wdzięczna Calebowi, że nie kładzie się z nią zbyt często, mimo że, jak podejrzewała, czerpie przyjemność z aktu małżeńskiego, choć nigdy tego nie powiedział. To nie powinno sprawiać przyjemności. Tak stało w Piśmie. oczywiście, było to czymś niezbędnym. Niezbędnym do zapewnienia ciągłości rodzaju ludzkiego. Dlatego żona musiała ulegać mężowi. Co do tego Pismo także nie zostawiało wątpliwości.

W noc przed ślubem matka ostrzegła ją, że zazna bólu i będzie trochę krwawić. Po pierwszych dwu czy trzech razach krwawienia ustały, ale nadal bolało. Och, były też chwile, które nawet lubiła. Caleb, zanim się na niej położył, zawsze pocałował ją przynajmniej raz, kilkakrotnie pogładził po ciele. Po wszystkim zwykle szeptał, że ją kocha. Nienawidziła jednak tego, co robił z nią przedtem.

Nienawidziła. To bolało i sprawiało, że czuła się taka ... stłamszona. Właśnie, stłamszona.

Szybko, żeby zdążyć przed przyjściem męża, przebrała się w nocną koszulę. Siedziała na jedynym w pokoju krześle i wymawiała spinki z

włosów, kiedy drzwi się otworzyły, wionęło chłodem z korytarza i wszedł Caleb.

_ Przyniosłem światło - oznajmił. Zwiniętą dłonią osłaniał płonący nasiarkowany knot. Zapalił od niego łojówkę i uśmiechnął się do żony.

Odpowiedziała uśmiechem i uprzedzając jego pytanie, rzekła:

_ Już czuję się całkiem dobrze, Calebie.

Wyjął jej szczotkę z dłoni.

_ pozwól, że ja to zrobię•

Usiadła wygodnie i przymknęła oczy, a Caleb jął szczotkować jej długie, popielatoblond włosy.

_ Co sądzisz o doktorze Savitchu? - spytał.

To dobry człowiek - odparła bez namysłu. Dobry i sympatyczny jak Caleb. Miał czarujący sposób bycia i szczerze zabiegał o jej wygodę. Ale mimo iż taki pełen ogłady, kulturalny, wydawał się trochę jak ta puszcza, z której przyjechał na pierwszy rzut oka piękny, ale w sercu dziki.

- Ta Delia to zupełnie inna sprawa - ciągnął Caleb. _ Prawdziwa awanturka. Musimy się gorąco modlić, by ujrzała światło łaski pańskiej. - Odłożył szczotkę, obszedł krzesło i przyklęknął przed żoną, kładąc jej dłonie na kolanach. - Myślę, Lizzie, że ta dziewczyna została skrzywdzona. Bardzo dotkliwie. Będzie potrzebowała przyjaciela.

- Lubię Delię - powiedziała Elizabeth. I czuła, że mówi prawdę. Ale zazdrościła Delii także.

Pamiętała, jak dziewczyna maśserowała obok zaprzęgu, śmiało stawiając długie kroki, jak cieszyła się każdym nowym widokiem. Zdawała się nie dbać o kurz i muchy.

Elizabeth wstała z krzesła i podeszła do łóżka. Położyła się od ściany i z rosnącym lękiem przyglądała mężowi. Właśnie zaczął się rozbierać.

Caleb postawił świeczkę na podłodze koło łóżka. Palila się nierównym, migoczącym płomieniem.

Powiększony cień męża zdawał się tańczyć na ścianie za Elizabeth.

- Lizzie ... - Urwał, żeby odchrząknąć. - Jak się dziś czujesz? Wiedziała, co kryje się za tym pytaniem.

Całe jej ciało zeszywniało. Przełknęła ślinę i oblizała usta.

- Jestem bardzo zmęczona, Calebie.

Był wyraźnie zawiedziony. Widziała to w jego oczach.

- No tak, oczywiście - mruknął jednak. - Dla ciebie to musiał być bardzo męczący dzień.

Odetchnęła z ulgą.

Położył się do łóżka. Przez chwilę milczał, leżąc bez ruchu, na koniec wziął ją za rękę i rzekł:

- Wiem, że ci ciężko, Lizzie. Domyślam się, jak bardzo nie chciałaś wyjeżdżać z Bostonu, zostawiać rodziny. Mogę sobie wyobrazić, jak bardzo za nią tęsknisz ...

Wyczuła coś na kształt sceptycyzmu w jego głosie. Niczego nie rozumiał. Miała jego i to powinno jej wystarczyć.

- Kiedy dojedziemy do Merrymeeting, poczujesz się lepiej _ ciągnął. - Ty mówi, że zbudowano dla nas plebanię tuż przy domu modlitwy, że dostaniemy kawałek ziemi. Będziemy mieli sąsiadów, a ty poznasz nowe przyjaciółki. *Ścisnął jej dłoń.* Jest moim obowiązkiem iść i pełnić duchowną posługę tam, gdzie mnie potrzebują. Rozumiesz to, prawda? Taka jest wola boża. - Tak. Wola boża.

Obejmij mnie, Calebie - chciała powiedzieć. Ale zmilczała ze strachu, że pomyśli, iż chce czegoś innego.

Przekręcił się na bok i zdmuchnął świecę. Potem leżał bez ruchu, milcząc tak długo, że sądziła, iż zasnął. Nagle w ciemności rozległ się jego głos:

- Lizzie? Nie uważasz, że moglibyśmy w najbliższym czasie mieć dziecko? Chciałabyś tego, prawda?

Pomyśl tylko: nasze własne dziecko.

Zesztywniała, pewna, że teraz odwróci się ku niej i podciągnie jej nocną koszulę.

- Lizzie?

Wypuściła długo wstrzymywany oddech.

- Tak ... tak, oczywiście, Calebie. Miło byłoby mieć dziecko. Westchnął. Po chwili usłyszała jego pochrapywanie i rozluźniła się powoli. Nareszcie zasnął.

Tego ranka obyło się bez kłótni o to, czy Delia ma jechać konno i czy tego chce. Kiedy bowiem wyszła na ganek, ziewając, przeciągając się i w głos złorzeczając karczmarzowi, przez którego musiała spać w tak niewygodnym łóżku, Tyler po prostu złapał ją wpół i posadził na siodle.

Chwyciła się oburącz łęku, zrazu tylko zdziwiona i zaskoczona, ale widać było, że już wszystko zaczyna się w niej gotować.

- Ani słowa! - warknął ostrzegawczo Ty. - Ani jednego słówka! Już miała wybuchnąć, ale nagle zmieniła front. Uśmiechnęła się i rzekła:

- Chciałam tylko powiedzieć dzień dobry.

Ty burknął coś pod nosem.

Nie był w dobrym nastroju. Już drugą noc kładł się zawieszony, niezaspokojony seksualnie, by przez całą noc słyszeć w koszmarach gardłowy, zmysłowy głos i widzieć parę wysokich, pełnych piersi. Nie dość, że ta mała knajpiana wycierucha pociągała go jak wszyscy diabli, to jeszcze wzgardziła jego pieszczotami. Nie do wiary! Sądził, że się jej podoba, że przed wstąpieniem w kierat małżeńskiego żywota zechce się zabawić po raz ostatni. I rzecz jasna, był pewien, ba!

postawiłby ostatniego szylinga na to, że właśnie z nim miała ochotę pofiglować. Dopóki nie strzeliła go w pysk.

W nocy padało i nadal po niebie ciągnęły niskie, ciężkie chmury. Z drzew i z dachu gospody spadały jeszcze krople wody. Podjazd wyglądał jak jedna wielka kałuża. Płacąc karczmarzowi, Ty czuł, jak deszczówka leje mu się za kołnier. Elizabeth już siedziała na koźle wozu, czekając, aż Caleb skończy zaprzęgać woły. W jej twarzy był upór i determinacja, kiedy skulona ścigała pod brodą kołnier płaszcz.

- Jak daleko możemy dzisiaj dojechać? - spytał Caleb, gdy Ty skończył się rozliczać z karczmarzem.

- Byłoby dobrze przeprowić się dziś przez Merrimack - odparł Ty.

Caleb spojrział na żonę, podrapał się w szyję i przestąpił z nogi na nogę.

- Ale jak długo będziemy na szlaku? Elizabeth jest trochę... ee ...

Ty stłumił westchnienie. W takim tempie dotarcie do Merry-meeting zajmie im całe lato.

- Nie będziemy się dziś przemęczać.

Caleb wyraźnie się uspokoił. Postawił nogę na stopniu wozu i poklepał kolano żony.

- Widzisz, Lizzie, nie będzie tak źle. Spojrzała na zasnucone chmurami niebo. - Znosi się na deszcz.

- Ano, przynajmniej muchy dadzą nam spokój - odrzekł Caleb, nie przestając się uśmiechać.

Ty podszedł do siedzącej na kłusaku Delii. Uśmiechnęła się do niego. Spojrział w jej roziskrzone oczy, błyszczące niczym złote monety, i poczuł dziwny ucisk w piersi. Na chwilę zabrakło mu tchu. Niewiele brakowało, a odpowiedziałby jej uśmiechem.

Miał tego zrobić groźną minę i ujął wodze, aby wyprowadzić konia na drogę.

- Nie będziesz jechał ze mną? - spytała Delia.

Ty warknął tylko coś, co miało oznaczać przeczenie, i zatopił się w ponurych myślach. Już sobie wyobrażał, jak wyglądałaby ich wspólna jazda - te cudowne piersi ocierające się o jego plecy, gorący oddech Delii na szyi, jej dłonie splecione na jego brzuchu, co rusz osuwające się niżej pasa ...

Do licha! Poczł, że pot występuje mu na czoło. Musiałby przystawać co milę i chłodzić się w leśnych potokach.

Wczesnym popołudniem dotarł do Merrimack i tu musieli się zatrzymać. Rzeka była zbyt głęboka i szeroka, by dało się ją przebyć w bród wozem zaprzężonym w woły. Nigdzie nie było widać promu, ale na słupie obok pomostu wisiał dzwon. Ty gwałtownie pociągnął za sznur. Kiedy po pięciu minutach nikt się nie zjawił, usiłował wołaniem wezwać przewoźnika. Wiedział jednak, że sprawa jest beznadziejna. Stary łajdak pracował, kiedy chciał, w zależności od tego, czy danego dnia ryby dobrze brały.

- Wygląda na to, że będziemy obozować po tej stronie rzeki - oznajmił Ty. Liczne pozostałości ognisk obozowych na łące u przeprawy świadczyły o tym, że nie byli pierwszymi, którzy musieli spędzić noc na zachodnim brzegu Merrimack.

Delia zsunęła się z konia i stanęła na drżących nogach. Rozmasowała sobie pupę i westchnęła głośno.

- Boziu, jak nie mam całej dupsko w bąblach ...

Urwała i spiekła raka. Spuściła wzrok, ssąc dolną wargę. Ty złapał się na myśli, jak też smakowałaby owa warga, gdyby ją pocałować. Miał w jukach trochę balsamu, ale nie przyznał się do tego. Sama myśl, że miałby go wcierać w tyłeczek dziewczyny, sprawiła, iż omal nie jęknął głośno.

Wydobył strzelbę z olstra przy siodle.

- Pójdę się rozejrzeć i przy okazji ustrzelę może coś na kolację. Delio, gdybyś dla odmiany zechciała być użyteczna, nazbieraj trochę chrustu na ognisko ...

- Ja to zrobię - odezwał się pospiesznie Caleb. - Czuję, że muszę rozprostować nogi.

Ty zniknął w lesie. Pastor pomógł żonie zsiąść z wozu.

- Lizzie, pamiętasz ten strumyk, przez który przejeżdżaliśmy niedaleko stąd? Zauważyłem, że pod kępą świerków utworzyło coś w rodzaju stawu. Zastanawiam się, czy nie mogłabyś się trochę umyć ...

Elizabeth rozejrzała się, przelknęła ślinę i skinęła głową.

- Tak, mogłabym. To dobry pomysł, Calebie.

Kiedy zaczęła się oddalać drogą, którą dotarli do przeprawy, Delia zerwała się i pobięła za nią.

- Pani Hooker, proszę zaczekać! Czy mogłabym pójść z panią?

Była pewna, że pastorowa jej odmówi, ale ta uśmiechnęła się ujmująco i rzekła:

- Och, tak. Proszę ... Ale musisz mi mówić Elizabeth.

Bez trudu znalazły kępę świerków. Niewielkie, płytkie rozlewisko u stóp drzew wyglądało zachęcająco. Delia natychmiast usiadła na brzegu i zanurzyła stopy w przyjemnie chłodnej wodzie.

Po nocnej burzy nie zostało śladu - wyrzało słońce, powietrze pachniało wilgocią i świeżością.

Elizabeth przyklękła na porośniętych mchem kamieniach, podwinęła rękawy i obmyła wodą twarz i ręce.

- Szkoda, że nie zabrałyśmy mydła - powiedziała. - Przyjemnie byłoby się wykąpać.

- Kąpałam się wczoraj rano - oznajmiła Delia, dumna, że taka z niej czyściocha. - U myłam nawet włosy.

Elizabeth osuszyła twarz i dłonie rąbkiem spódnicy.

- Wczoraj po tym kurzu i muchach strasznie tęskniłam wieczorem za kąpielą. - Uśmiechnęła się nieśmiało i dodała: - Ale wyobraź sobie, jak by się zachował ten okropny karczmarz, gdybym poprosiła o wannę gorącej wody.

Niesamowita myśl zrodziła się w głowie Delii.

- Powiedz mi, Elizabeth, jak często się kąpiesz.

- Och, przynajmniej dwa razy w tygodniu, latem nawet trzy.

- Dwa razy w tygodniu! - Delia z niedowierzaniem spojrzała na swoją rozmówczynię. - Ależ to niezdrowo! - Elizabeth nie wyglądała na zbyt silną. Dziw, że już dawno nie zapadła na gorączkę płucną i nie umarła.

Tu jednak Delia przypomniała sobie, jak Ty narzekał na jej zapach. Być może jedna kąpiel miesięcznie to za mało. Stłumiła westchnienie. Wyglądało na to, że będzie się musiała kąpać dwa razy w tygodniu, jeśli chce zostać prawdziwą damą. Nawet ryzykując zdrowie i życie.

Elizabeth siedziała na brzegu, obejmując rękami podciągnięte pod brodę kolana. Rozglądała się nerwowo i Delia mimowolnie zaczęła robić to samo. Niczego ciekawego jednak nie zauważyła, oprócz kilku krwistoczerwonych dzikich maków i brązowej żaby, spasionej na majowych muchach, wygrzewającej się w słońcu.

- Ładnie tutaj, prawda? - powiedziała.

- Tak ... ładnie i tak cicho.

- Elizabeth ... - Delia urwała, poszukując właściwych słów. Chciała spełnić daną Tylerowi obietnicę, ale okazało się to trudniejsze, niż przypuszczała. - Przepraszam za moje wczorajsze zachowanie, za to, że chciałam cię przestraszyć. To było podłe z mojej strony i ... no ... przepraszam.

- Już dobrze, nic się nie stało. - Elizabeth uśmiechnęła się z przymusem. - Wiem, że zachowuję się jak przerażony królik, ale jak dotąd największą przygodą mojego życia była wyprawa promem do Charles Town na jarmark.

- Coś takiego! Ja też tam raz byłam. - Delia z najwyższym zadowoleniem przyjęła fakt, że coś ją jednak łączyło z Elizabeth, prawdziwą damą bądź co bądź. - Tata zabrał mnie na jarmark, kiedy miałam siedem lat. Zjadłam wtedy za dużo ciastek z daktylami, zemdliło mnie i zabrudziłam mu całe niedzielne ubranie.

Delia roześmiała się i po chwili Elizabeth także cichutko zachichotała. Niespodziewanie zawtórował im serdeczny męski śmiech.

Zaskoczone, jednocześnie spojrzały na przeciwległy brzeg strumienia. Stał tam Indianin i uśmiechał się do nich szeroko.

Na głowie miał zniszczony trójgraniasty kapelusz z bobrowej skóry, ozdobiony pojedynczym gołębiem piórką. Przyciasny europejski surdut odsłaniał brązową pierś. Od pasa w dół ubrany był

bardziej po indiańsku - miał skórzane nogawice i coś w rodzaju sięgającego kolan kitla z zajęczych skórek. W zgięciu ramienia trzymał stary, zardzewiały francuski muszkiet.

Delia spojrzała na Elizabeth. Pastorowa zbladła, szczególnie wyraźnie wokół ust, pot wystąpił jej na czoło.

- Nie pokazuj po sobie, że się boisz - syknęła Delia i ostrożnie podniosła się na nogi.

- Dzień dobry, Angielki - rzekł Indianin. Mówił bardzo niewyraźnie, jakby słowa dobywały mu się z głębi brzucha.

Delia przełknęła ślinę. Tak jej zaschło w gardle, że ledwie mogła mówić.

- Dzień dobry ... panu.

Indianin wyszczerzył zęby w uśmiechu i skinął głową. Delia odpowiedziała tym samym. Tuż obok słyszała przyspieszony, jękliwy

oddech Elizabeth.

- Myślę, że jest przyjaźnie usposobiony - powiedziała Delia, poruszając tylko kącikiem ust. Na wszelki wypadek jeszcze raz się uśmiechnęła i skinęła głową.

Indianin cisnął muszkiet na ziemię i wszedł do wody. Elizabeth pisnęła przeraźliwie i zerwała się na nogi.

- Nie uciekaj! - zawołała Delia. Ale już było za późno. Elizabeth na oślep pognała między drzewa, wrzeszcząc wniebogłosy. Indianin zatrzymał się na środku stawu i wyrzucił z siebie potok słów w nieznanym Delii języku. Następnie skinął na nią dłonią i uśmiechnął się od ucha do ucha.

- Ty przyjsć - rzekł, ciągle uśmiechnięty. - Ty głodny? My łowić ryba.

- Ryba?

- Ryba - przytaknął z zapalem.

Nie daj po sobie poznać, że się boisz - powtarzała w duchu Delia. Boże przenajświętszy, a co, jeśli on nie jest tak przyjazny, jak się wydaje ...

Weszła do stawu.

Indianin ponownie wyszczerzył zęby i skinął głową.

- Iść.

Zatrzymała się kilka metrów od niego. Spostrzegła, że był dość stary, twarz miał pobrużdżoną zmarszczkami, wymykające się spod kapelusza włosy przyprószone siwizną. Pochylił się i wskazał

dno stawu. Delia podeszła krok bliżej i też się pochylila. Około pół tuzina dorodnych pstrągów stało w bezruchu między gładkimi, omszałymi głazami.

Indianin podwinął rękaw surduta i zanurzył rękę do wody.

Powoli przesuwiał dłoń tak, że znalazła się nad rybą, i znieruchomiał.

Nagle woda się zakotłowała -

palce Indianina zacisnęły się na skrzelach ryby. Wyprostował się, trzymając w dłoni wijącego się, wymachującego ogonem pstrąga.

Chrząknął i uśmiechnął się. - Ryba!

Delia uradowana klasnęła w dłonie.

- Czegoś takiego jeszcze nie widziałam! Możesz mi pokazać, jak to się robi?

Na krzyk Elizabeth Ty puścił się pędem w stronę obozu, w biegu gotując broń do strzału. Pastorowa szlochala histerycznie na piersi męża. Nigdzie nie widać było Delii.

- Co się stało?

Caleb bezradnie wzruszył ramionami.

- Nie wiem. Nie mogę jej uspokoić. Nic, tylko płacze.

Ty oderwał Elizabeth od męża, potrząsnął nią, zrazu lekko, potem nieco mocniej.

- Elizabeth! - krzyknął i jej łkanie odrobinę ścisnęło. - Spokojnie, spokojnie, weź głęboki oddech ... A teraz powiedz nam, co się stało.

- Dzi ... dzikus. On ... on ...

- Gdzie jest Delia?

- Nie wiem. Uciekłam. Ona ... nie wiem.

Ty z trudem się opanowałeś, by nie potrząsnąć biedaczką jeszcze raz.

- Gdzie ją zostawiłaś?

- Nad stawem.

- Poszły nad staw, który mijaliśmy niedaleko stąd - wyjaśnił Caleb. - Ten pod świerkami. Elizabeth chciała się umyć ...

- Puściłeś je same? Do diabła, człowieku, gdzie ty masz głowę? Caleb zbladł.

- Nie przypuszczałem, że coś im może grozić ... - zaczął, ale Ty nie słuchał. Biegł drogą w kierunku nieodległej kępy świerków.

Zbliżywszy się do stawu, zwolnił i starał się iść bezszelestnie, zadowolony, że w przewidywaniu długiego marszu włożył rano mokasyny. Najpierw ich usłyszał - gardłowy śmiech Delii i basowy rechot mężczyzny. Wyprostował się i oparł o pień jednego ze świerków. Strzelbę z odwiedzionym kurkiem umieścił w zgięciu ręki.

Delia i stary Indianin stali na środku stawu. Dziewczyna pochylała się nad lustrem wody, mokra spódniczka oblepiała jej szczupłe nogi. Poruszała ręką w wodzie, jakby czegoś szukała.

Nagle wyprostowała się i podniosła nad głowę trzepoczącą ogonem rybę.

- Mam ją! - zawołała. - Mam!

Ty poczuł, że duma wypełnia mu piersi. Była niesamowita, ta jego dzielna szynkareczka.

Jednakże obok dumy czuł coś jeszcze. Ponieważ jednak nigdy wcześniej nie doznał tego uczucia, nie umiał go nazwać. Miało jakiś związek z poczuciem własności - była jego dzielną szynkareczką.

Wyszedł zza świerku na brzeg stawu. Indianin pierwszy go

zauważył i uśmiech zniknął z jego pomarszczonego oblicza. Delia, widząc tę zmianę, odwróciła się pospiesznie. Spozobiegła Tyiera i radosny uśmiech rozjaśnił jej twarz.

- Spójrz, Ty! - zawołała, pokazując mu pstrąga. - Złapałam rybę na

kolację.

6

Tłuste, pręgowane wiewiórki tłoczyły się wokół Delii, skrzeczając i popiskując. Ty zżymał się w duchu, obserwując, jak dziewczyna karmi je okruchami kukurydzianych placków. Słońce dobywało rubinowe błyski z jej hebanowych włosów, brązowożłote oczy iskrzyły się radosnym ogniem.

Ty nie znał nikogo, kto by tak jak ona po prostu umiał cieszyć się życiem. Co dziwniejsze, jej bez troska i optymizm wydawały się zaraźliwe, bo nieraz w ciągu minionych dwu dni łapał się na tym, że uśmiecha się lub śmieje razem z Delią i tęsknił za nią, kiedy znikała mu z oczu ...

Zaklął pod nosem, odkorkował płaską rogową butelkę zawierającą brandy i pociągnął solidny łyk.

Owszem, dziewczyna była niepospolicie ładna, miała pociągające ciało, co sprawiało, że na jej widok mężczyzna odruchowo zaczynał myśleć o łóżku. Ale była też chutliwą knajpianą dziewczką, która wie, jak rozpalić męskie zmysły. Nie da się ukryć, Savitch, że ciebie rozgrzała do czerwoności.

- Daj sobie spokój, Delio, bo i tak nic z tego nie będzie _ mruknął do siebie.

Delia rzuciła wiewiórkom resztę okruchów, otrzepała ręce i z uśmiechem - jakim uśmiechem! _

spojrzała na Tylera.

- Mówiłeś coś, Ty?

Przez chwilę gapił się na nią w milczeniu, chłonał jej obraz, niezdolny wykrztusić słowa.

- Nic takiego - burknął wreszcie i pociągnął kolejny łyk brandy.

Do ogniska zostały podtoczone dwa grube sosnowe bale. Na jednym siedzieli Ty i Delia, na drugim Hookerowie, zagłębieni w lekturze Biblii. Właśnie zjedli kolację - złowioną przez Delię rybę i kukurydziane placki. Ponieważ zmuszeni byli stosunkowo

wcześnie zatrzymać się na popas, mieli jeszcze dobrą godzinę do zmierzchu.

Ty w zamyśleniu przyglądaj się Hookerom, pochylonym nad Biblią. Na koniec wyjął z juków cienki płatek kory brzozonej i opalonym w ogniu patykiem narysował na niej trzy koncentryczne okręgi.

- Co to będzie? - spytała Delia, zaglądając mu przez ramię.

Przy okazji jej piersi dotknęły jego ramienia. Zacisnął zęby.

- A jak myślisz? - warknął. Jeśli zaraz nie zabierze tych przeklętych piersi z jego ramienia - pomyślał -

zawlecze ją za włosy do lasu i da jej zakosztować takich wrażeń, o jakich nawet nie śniła. - Robię tarczę strzelecką.

Delia wyprostowała się i Ty odetchnął z ulgą.

- Tarczę? Będziesz do niej strzelał?

- Nie ja. Ty.

- Ja? - spytała z niedowierzaniem. - Ależ, Ty, ja nie umiem strzelać.

- Wkrótce będziesz umiała. - Podniósł głowę i spojrzał na siedzącego po przeciwnej stronie ogniska Caleba. - Pan także, pastorze.

Caleb drgnął, wyrwany z zadumy. Spojrzał znacząco na żonę, wytarł dłonie o spodnie i powoli wstał.

Chrząknął i oznajmił:

- Przyznaję, że taka umiejętność może być użyteczna tam, dokąd się udajemy. Umożliwia, na przykład, polowanie dla rozrywki. Ale nigdy nie zdobyłbym się na to, by strzelić do ludzkiej istoty.

Nawet do dzikusa.

Ty z powątpiewaniem słuchał przemowy Caleba. Rozumiał, że ktoś może mieć opory przed zabiciem innego człowieka, ale to właśnie purytańska Wspólnota Świętych głosiła pogląd, że jedyną skuteczną formą obrony przed czerwonoskórymi poganami jest wybicie ich do nogi. Nie Indianie, lecz biali osadnicy wprowadzili ohydny zwyczaj zdzierania skalpów na dowód śmierci wroga. Kasa miejska Bostonu nadal wypłacała dziesięć funtów za każdy skalp wojownika Abenaków, choć formalnie od kilku lat obowiązywał rozejm z tym plemieniem.

Rzecz jasna, o prawdziwym pokoju nie mogło być mowy.

Ameryka była terenem nie kończących się wojen pomiędzy Francją i Anglią, przy czym obie strony wchodziły w sojusze z tubylcami. Abenakowie, na przykład, już i tak oburzeni i zaniepokojeni utratą swoich terenów łowieckich, byli podburzani przez francuskich jezuitów i namawiani do położenia kresu osadnictwu angielskiemu w Maine. Wojna podjazdowa, w której celowali Indianie, torturowanie jeńców, zabijanie kobiet i dzieci, czyli ogólnie - tubylcze zwyczaje wojenne, budziły w osadnikach żądzę zemsty na całym narodzie Abenaki.

Błędne koło wojen, śmierci i zemsty kręciło się już od blisko

pięćdziesięciu lat, a niepośledni udział

we wprawianiu go w ruch mieli purytanie z Nowej Anglii. Ty nie przypuszczał, że w osobie wielebnego Caleba Hookera ma do czynienia z hipokrytą.

- Sądziłem, że zabijanie Indian jest częścią waszej religii, pastorze.

Caleb dumnie podniósł głowę.

- Jestem panem swojego losu i swoich uczynków, doktorze. Iskry gniewu w oczach Tylera przygasły, ale twarz miał nadal zaszępioną•

- Ma pan także żonę, Calebie. - Ty ściszył głos tak, by jego słowa nie docierały do uszu Elizabeth. - Czy widział pan kiedyś oskalpowaną kobietę? Wie pan, jak to się robi? Dobrze, jeśli kobieta ma długie włosy. Owija je pan sobie wokół pięści i nożem do skalpowania robi głębokie nacięcie na skroniach i nad czołem. Potem wystarczy jedno solidne szarpnięcie i skalp zostaje panu w ręku. Schodzi z głowy jak krwawa rękawiczka. W jego miejscu zostaje wielka, brocząca krwią dziura.

Caleb zbladł. Tyler trochę żałował, że był wobec niego taki brutalny. Ale Hookerowie musieli zrozumieć, czym jest puszcza, jeśli chcieli w niej przeżyć.

- Jeśli ten obraz pana przeraża, pastorze - ciągnął Ty zimnym, twardym głosem - powinien pan zrobić, co w pańskiej mocy, żeby go nigdy nie ujrzeć w rzeczywistości. Jeśli napadną pana Indianie, lepiej, żeby był pan w stanie ich pozabijać, zanim oni zabiją pana. Albo Elizabeth.

Ty zauważył, że Delia z całkowitym spokojem wysłuchiwała opisu zdejmowania skalpu. Jednakże głos

Caleba jeszcze drżał, kiedy siłac się na zdecydowanie, oznajmił:

- Tak ... tak, teraz widzę, że ma pan rację.

Elizabeth podniosła głowę znad Biblii i ostro spojrzała na męża.

_ Ależ, Calebie, chyba nie zamierzasz ...

_ Owszem, Lizzie - odrzekł twardo. - To konieczne. Dla samoobrony. Indianie ...

_ Ależ tamten Indianin był wobec nas przyjazny. Sam pan to przyznał, doktorze.

_ Istotnie, pani Hooker. Ale następny może być nieprzyjazny.

Ty wstał i podszedł do odległego o mniej więcej pięćdziesiąt kroków drzewa. Umieścił tarczę w rozwidleniu gałęzi i wracając do ogniska, zabrał strzelbę. Elizabeth stanęła obok męża, kładąc mu rękę na ramieniu. Z

dezaprobatą przyglądała się poczynaniom Tylera, jakby jedynym jego celem było nakłonienie Caleba, by złamał swoje zasady moralne.

Ty nie zwracał na nią uwagi. Obrzucił Caleba i Delię twardym spojrzeniem i rzekł: _ Patrzcie uważnie. Musicie nauczyć się nie tylko strzelać, ale i ładować. A kiedy ma się na karku pięćdziesięciu wyjących czerwonoskórych wojowników, trzeba to robić szybko.

Wyjął z ładownicy papierowy nabój i rozerwał go zębami.

Odciągnął do połowy kurek strzelby i posypał nieco prochu na panewkę. Zamknął wieczko panewki, strzelbę oparł kolbą na ziemi, wsypał do lufy resztę prochu i wrzucił kulę. pozostały po naboju papier zmiął w garści, wcisnął w lufę i wszystko przybił solidnie stemplem.

Następnie ustawił się przodem do celu, uniósł strzelbę do oka, odciągnął do końca kurek i nacisnął spust. Błysnęło, z lufy buchnął gryzący czarny dym i echo strzału przetoczyło się po lesie.

Nim Ty odjął broń od ramienia, Delia rzuciła się biegiem ku drzewu z tarczą•

_ W sam środek! - zawołała uradowana. - Trafiłeś w sam środek, Ty!

Czekał na nią z zaciśniętymi zębami. Kiedy podeszła, złapał ją za ramię i przyciągnął do siebie.

_ Jeśli jeszcze raz wybiegniesz na linię ognia, stłukę cię na kwaśne jabłko.

Była zdziwiona jego wściekłością. Zrobiła nieco nadąsaną minkę, ale gdy się odezwała, w jej głosie brzmiała szczerza skrucha.

_ Przepraszam, Ty.

Puścił jej ramię, a ona roztarła ślad po jego palcach.

_ Już dobrze. Ale więcej tego nie rób.

- Czy teraz ja mogę spróbować? - spytała błagalnym tonem. _ Ja pierwsza, dobrze? - Podniecenie sprawiło, że jej z natury i tak niski głos brzmiał jak namiętny, gardłowy szept. Serce Tylera znów jęło wyczyniać dziwne harce.

- Niech ci będzie - mruknął i podał jej nie naładowaną strzelbę. - Zobaczmy, czy uważałaś na lekcji.

Ku jego zdziwieniu już za pierwszym razem szybko i sprawnie nabiła broń i przygotowała ją do strzału. Bez żadnej pomocy z jego strony. Kiedy jednak uniosła strzelbę do ramienia, okazało się, że nie jest w stanie utrzymać

jej nieruchomo. Niewiele myśląc, Ty stanął za nią i opasawszy ją ramionami, podłożył dłoń pod lufę. Nie było to rozsądne z jego strony, bo gdy się wyprostowała, miękka wypukłość jej pośladków naparła na jego nagle pobudzoną męskość.

Oboje zastygli w bezruchu. Ty czuł, jak mu serce wali w piersi, nagle jakby za małej, za ciasnej.

Sytuację pogarszał fakt, iż cała ta scena rozgrywała się pod baczным okiem Hookerów, czego i Tyler, i Delia byli aż boleśnie świadomi.

- C-co mam teraz zrobić, Ty? - spytała Delia łamiącym się głosem.

W ustach tak mu zaschło, że z trudem wymawiał słowa.

- Odciągnij do końca kurek. Patrząc wzdłuż lufy, wyceluj w tarczę ... i ściągnij spust. Powoli i delikatnie.

Strzelba wypaliła. Pchnięta siłą odrzutu, Delia jeszcze mocniej przywarła plecami do piersi Tylera, a pośladkami do jego lędźwi.

Zaklął w duchu, bo zdawał sobie sprawę, że Hookerowie bez . trudu się domyślą, co oznacza zdradziecka wypukłość w okolicy jego rozporoka. Cofnął się o krok, ale nadal starał się trzymać dziewczynę między sobą a Hookerami.

Delia odwróciła się do niego i uśmiechnęła promiennie. - Czy trafiłam w środek tarczy?

Roześmiał się, na pozór spokojny, choć głos mu trochę drżał. - Do licha, Delio, nie trafiłaś nawet w drzewo!

Zrobiła zawiedzioną minę.

- Nie martw się. Spróbujemy jeszcze raz. Tylko teraz postaraj się nie zamykać oczu.

Przy czwartej próbie udało jej się trafić tuż obok tarczy i Ty uznał, że można zakończyć pierwszą lekcję. Zresztą czuł, że

dłuższy kontakt z ciałem dziewczyny może go skompromitować, to znaczy ujawnić jego stan ducha.

Z ulgą w głosie zwrócił się do Caleba:

- Pańska kolej, pastorze.

Caleb miał nieszczęśliwą minę, ale skinął głową na znak, że jest gotów.

Młody duchowny okazał się znacznie mniej pojętym uczniem niż Delia. Jego największym sukcesem było odstrzelenie gałęzi dość znacznie oddalanej od celu. Ty wiedział jednak, że męż-czyzna strzela o wiele celniej, kiedy od jego skuteczności zależy życie żony i dzieci.

Zaszło słońce i niebawem zrobiło się zbyt ciemno na naukę strzelania ..

Hookerowie, nieco zgaszeni od chwili, gdy Ty przypomniał im o niebezpieczeństwach, które miały się stać nieodłączną częścią ich życia, w milczeniu ułożyli się do snu. Tyler usadowił się na kłodzie przy ognisku i zajął

czyszczeniem i oliwieniem broni. Siedząca nieopodal Delia patrzyła na niego bez słowa, marszcząc w zamyśleniu brwi.

Po chwili zaczął zerkać ku niej, zaniepokojony przedłużającym się milczeniem, aż wreszcie rzekł:

- Zdaje się, że chcesz coś powiedzieć. Wyduś to wreszcie.

- Czy naprawdę zdzieralesz skalpy, kiedy żyłeś wśród Indian?

Oczekiwał tego pytania. Kobiety, gdy dowiadywały się, że spędził dziesięć lat wśród Indian Abenaków, były często bardziej podekscytowane niż przerażone. Fakt, iż więcej łóżkowych sukcesów zawdzięczał swojej przeszłości niż wdziękowi czy dobrym manierom, napawał go zawsze cyniczną uciechą.

- Tak, zdejmowałem skalpy - odpowiedział, pewien, że ujrzy zgrozę w jej oczach. Ale nie.

- Białym kobietom także? - spytała rzeczowym tonem.

- Raczej kobietom Yengi.

- Co?

- Abenakowie nazywają białych "Yengi". To znaczy: milczący - wyjaśnił, a kiedy zrobiła zdziwioną minę, dodał ze śmiechem: - To taki indiański żart. Większość białych nie wie, kiedy trzymać buzię na kłodkę.

- Aha ... A więc skalpowałeś kobiety Yengi?

Przez chwilę milczał, obserwując ją ukradkiem. Nie była przerażona czy zgorszona ani nawet zaciekawiona. Raczej zmieszana,

jakby już pogodziła się z tym, co jej wyznał, i tylko nie bardzo pasowało jej to do wizerunku lekarza i dżentelmena. Nagle poczuł, że pragnie, aby go zaakceptowali całego, obie jego połowy, tę Abenaka i tę Yengi.

Zaklął w duchu. A niby czemu miałoby go obchodzić, co o nim myśli jakaś lam szynkarka? Czy ona dbała o to, co pomyśla klientki szynku "Pod Dziarskim Lwem", kiedy handlowała swoimi wdziękami?

A przecież ... jakoś mu zależało na jej akceptacji. Pochylił się i delikatnie pogłaskał ją po policzku.

- Nigdy nie zabiłem kobiety, Delio.

- Ale zabijałeś mężczyzn? I zdzieralesz im skalpy.

- Tak. Lecz nie Yengi. Co prawda tylko dlatego, że gdy dorosłem i

zostałem sannup, wojownikiem Abenaków, zobowiązanym uczestniczyć w wyprawach wojennych, mój szczerp nie atakował

angielskich osad. Prowadziliśmy za to wielką wojnę z plemieniem Erie, zwłaszcza ze szczerpem Mohawk ... _ Umilkł, bo uświadomił sobie, że zaczyna się usprawiedliwiać, a już dawno postanowił, że nigdy nie będzie się wstydzil lat spędzonych wśród Indian. - Wkrótce po tym, jak zostałem wojownikiem, dziadek zabrał mnie do siebie.

- Ale jak się czułeś ...

- Ćśśś ... - Położył jej palec na ustach. - Dość już tych rozmów, mała. Kładź się spać. Musisz odpocząć.

Te rozchylone wargi - ciepłe, wilgotne i wręcz niewiarygodnie delikatne - aż prosiły o pocałunek, lecz napięcie w lędźwiach . ostrzegało go, że nie poprzestałby na tym. Co prawda, instynkt podpowiadał

mu, że gdyby wziął ją za rękę i poprowadził w las, nie stawiałaby oporu. Ale po jej wcześniejszej reakcji nie do-wierzał już instynktowi. Ostatnią rzeczą, jakiej pragnął, były zapasy z Delią na oczach Hookerów.

- Idź spać, Delio - powtórzył.

Posłuchała od razu, choć on, wbrew temu, co jej przykazał, nie miałby nic przeciwko temu, by jeszcze chwilę przy nim posiedziała.

Ty odchylił się na oparcie krzesła i zaciągnął się mocno dymem z fajki.

- Ma pan tu ładny kawałek ziemi - mruknął przez zaciśnięte na ustniku zęby. Od przeprawy przez Merrimack minęły dwa dni i teraz byli pięćdziesiąt mil bliżej Merrymeeting.

- Ciekawe, ale zdaje mi się, że czuję zapach morskiej wody -odezwał się Caleb, zajmujący krzesło u boku Tylera.

Ich gospodarz, farmer Silas Poller, uśmiechnął się i skinął głową.

- Ocean jest tuż za tamtym wzgórzem.

Wspomniane wzgórze porośnięte było jodłami, zasłaniającymi widok na bliski Atlantyk, nad którym właśnie zachodziło słońce. Wytężając słuch, Ty miał wrażenie, że słyszy szum przyboju.

Siedzieli na ganku chaty z ociosanych sosnowych bali. Poller dopiero zaczął oczyszczanie gruntu.

Obkopał drzewa i popodcinał ich korzenie. Między nimi zasiał jarą kukurydzę. Jesienią zbierze kukurydzę, martwe drzewa spali, a karcze powyrywa.

Chata miała tylko jedną izbę, ale farmer, z pomocą sąsiadów, zbudował sobie piękną stodołę i tam pozwolił przenocować Tylerowi Savitchowi i

jego kompanii.

- A co u pana? - spytał Potter. - Słyszałem, że pan też ma trochę ziemi ...
Gdzie to? Nad zatoką Merrymeeting?

- Tak. A wielbny Hooker - Ty wskazał fajkę Caleba, który oparłszy
brodę na piersi, wyraźnie szykował się do drzemki - będzie naszym pastorem.
Dzięki niemu nasza osada stanie się szacownym miastem.

- Sądziłem, że nadal brakuje wam nauczyciela - uśmiechnął się Caleb .

- Och, jakoś sobie poradzimy.

Z wnętrza chaty dobiegł grzechot naczyń i kobiece głosy.

Przez otwarte drzwi padało na ganek chybotliwe światło łojówki z
knotem z sitowia. Przed chwilą Silas i jego żona Betsy podejmowali gości
sutą kolacją, na którą złożył się mocny jabłecznik, kiełbasa i chleb z
kukurydzianej mąki. Teraz kobiety zmywały naczynia, a mężczyźni wyszli
na ganek, na wieczorną fajkę. Dla Caleba i Tylera farmer wyniósł jedyne dwa
krzesła, jakie posiadał, sam zaś usiadł

na odwróconej baryłce. Z kotła utoczył trzy kubki piwa warzonego na
świerkowych pędach. Wyglądał

na zadowolonego z towarzystwa. Niewielu podróżnych zapuszczało się
szlakiem pocztowym tak daleko na wschód.

Z izby wyjrzała Delia.

- Pani Potter chce wiedzieć, czy nie zjedlibyście placków z dżemem. -
Pytanie było skierowane do wszystkich, ale wzrok dziewczyny spoczywał na
Tylerze. Tak więc to on jej odpowiedział:

- Ja nie. Jestem pełny jak nadziewana gęś.

Przez chwilę Delia wpatrywała się w Tylera, bezwiednie mnąc w
dłoniach fałdę spódnicy. Czmychnęła dopiero wtedy, gdy spostrzegła, że
Caleb i farmer przyglądają jej się ciekawie.

- Ta pańska dziewczyna - odezwał się farmer, czyniąc ruch głową w
kierunku drzwi - przypomina mi moją córkę Jenny. Była taka sama, wysoka i
chuda jak czapla. Zmarła też zimy, nasza Jenny. Miała szesnaście lat.

- Delia jest chyba trochę starsza - odrzekł Ty, ściągając nieco brwi.

Farmer westchnął.

- Ciężką mieliśmy zimę.

Caleb chrząknął i spuścił oczy.

- Niezbadane są wyroki pańskie ... - zaczął, ale Ty nie pozwolił mu się
rozgadać.

- Ma pan jeszcze jakieś ubrania po córce?

Potter skinął głową.

- Betsy nie miała serca ich wyrzucić.

- Jeśli to możliwe, chętnie bym je odkupił.

Caleb wyprostował się, najwyraźniej zdziwiony, ale Ty skwapliwie omijał wzrokiem pastora.

Farmer podrapał się w brodę, udając, że się namyśla, ale oczy mu zabłyśły.

- Bo ja wiem ... A czym by pan zapłacił?

- Brzęczącą monetą - odparł Ty. Już wiedział, że dobije targu. Nie miał niczego wartościowego na wymianę, może tylko konia. Szylingi bite w Massachusetts też niechętnie przyjmowano. Ale za srebrne angielskie funty można było w puszczy kupić wszystko.

Delia spędziła noc w stajni. Rankiem, gdy klęczała właśnie naga, jak ją Pan Bóg stworzył, nad dużym wiadrem wody ze studni Imyła się, wrota stajni otworzyły się i wszedł Ty. .

Stanął jak wryty i z wolna uniósł brwi. Uczynił taki ruch, jakby chciał wyjść, ale poczuł, że nie jest zdolny oderwać nóg od klepiska.

Delia zmierzyła intruza wściekłym spojrzeniem znad wiadra.

Tymczasem jego wzrok wędrował od twarzy dziewczyny ku jej piersiom, potem ku trójkątowi ciemnych włosów w spojeniu ud i znów ku piersiom. Oczy mu pociemniały, stając się niemal czarne.

Widziała w nich głód, rozpaczliwe i gorące łaknienie, i serce podeszło jej do gardła.

Postąpił krok w jej stronę i to ją otrzeźwiło.

Zasłoniła rękami piersi, gorączkowo rozglądając się za ubra-niem. To jednak leżało w odległym kącie boksu.

- Co ty, do diabła, wyprawiasz! - rzuciła ze złością. - Jak śmiesz włązić tu nieproszony, a potem jeszcze ... jeszcze ...

Uśmiechnął się bez śladu skruchy.

- ... dobry, Delio - powiedział dziwnie schrypniętym głosem.

Wyjął zza pleców rękę, w której dzierżył związany sznurkiem węzełek odzieży. - Kupiłem ci prezent.

Nawet nie spojrzała na prezent. Prawdę mówiąc, właściwie nie słyszała, co powiedział. Wiedziała tylko, że klęczy naga u stóp Tylera Savitcha i wcale nie chce, żeby wyszedł. Chciałaby wstać, podejść do niego i pozwolić mu, by robił z nią to, co obiecywały jego oczy.

- Widzę, że bierzesz kąpiel - zauważył z uśmiechem. - A więc zaczął się

nowy miesiąc.

- Wynoś się - rzuciła przez zaciśnięte zęby. Rzucił w jej stronę węzełek odzieży.

- Nie podziękujesz mi za prezent? Może byś to od razu włożyła. Niech zobaczę, czy pasuje.

- Wynoś się.

- Wiesz co, mała? Jak na takie chucherko masz naprawdę wspaniałe ...

- Precz! - Schwyciła zawiniątko i cisnęła w niego, celując w głowę.

Ty roześmiał się, osłaniając twarz ramieniem, i wybiegł ze stajni.

Przez chwilę Delia stała w bezruchu. Czuła ulgę, lecz zarazem była rozczarowana i może trochę przestraszona.

Gdyby jej przed chwilą dotknął, chybaby umarła.

Nigdy w życiu tak bardzo nie pragnęła dotknięcia męskiej dłoni.

Spojrzała na węzełek z odzieżą. Przerwała sznurek i jęła przeglądać jego zawartość. Znalazła grubą welnianą spódnicę i krótką sukienkę z perkalu w niebieskie paski. Poza tym był tam czepek z tego samego, co sukienka, materiału, para welnianych pończoch i koszula z delikatnego płótna. I na koniec - para bucików z ciemnej skóry, z cynowymi sprzączkami i ślicznymi czerwonymi obcasikami.

Aż łzy zakręciły się w jej oczach na ten widok. Westchnęła, zachwycona, i pogłaskała delikatną skórę.

Nigdy nie miała niczego tak wytwornego. Oto były buciki godne prawdziwej damy - modne, bo nie sznurowane, lecz zapinane na sprzączki, a obcasy miały co najmniej cal wysokości.

Pospiesznie kończyła toaletę. Szorowała się, aż skóra zaczęła ją piec. Wieczorem pożyczyła od Elizabeth kawałek perfumowanego olejkiem sasafrasowym mydła, po którym jej ciało pachniało słodko wawrzynem. Wymyła też włosy - chciała być naprawdę czysta, nim włoży nowe ubranie.

Wszystko doskonale na nią pasowało, z wyjątkiem stanika, który okazał się nieco przyciasny na jej obfity biust. Wygładziła dłońmi przód sukienki, poprawiła spódnicę. Na koniec założyła buty.

Przeszła się po stajni, a czuła się przy tym niczym wysoka i pełna gracji księżniczka.

Nagle parsknęła śmiechem i zakręciła się w kółko, obejmując się ramionami. Czuła się taka ładna.

Żałowała tylko, że nie może się przejrzeć w lustrze.

Gotowa była krzyczeć ze szczęścia. Zamknęła oczy, żeby się nie

rozpłakać. Nikt nigdy nie kupił jej najnudniejszej szmatki. A co dopiero butów! Znaczyło to, że Ty nie tylko jej pożądał. Czuł coś więcej, choć nie chciał się do tego przyznać. Mężczyzna nie daje dziewczynie czegoś tak osobistego jak buty, jeśli ma na nią ochotę i nic poza tym.

Mężczyzna, który kupuje dziewczynie ubrania, musi ... To jasne, że musi mu na niej zależeć.

7

Ty stał w deszczu oparty o płot padoku i przyglądał się nie-wielkiej gniadej klaczy, posilającej się wiązka siana. W pewnej chwili zwierzę, chyba ugryzione przez muchę, wierzgnęło gwałtownie.

_ No, nie wiem - powiedział Ty. - Wygląda mi na dość nerwową. Wolałbym, żeby miała łagodniejszy charakter. - By zrównoważyć charakter kobiety, która będzie jej dosiadać - po-myślał i uśmiechnął się w duchu.

Właścicielowi klaczy bardzo zależało na dobiciu targu.

_ Ależ ona jest łagodna jak baranek.

Ty chrząknął.

_ Będę potrzebował jakiejś uprzęży.

_ Za dwa funty sprzedam ją z uprzężą i siodłem.

Ty odsunął się od płotu.

_ Zastanowię się - rzucił i ruszył w stronę portu.

_ Niech będzie funt i dziesięć szylingów! - zawołał za nim właściciel klaczy.

Ty nawet się nie obejrzał. Ta sprawa mogła poczekać.

Miasto Portsmouth leżało na południowym brzegu ujścia rzeki Piscataqua. O jego charakterze decydowała mnogość stoczni i tartaków, wykorzystujących siłę wody. Było to miasto gwarne, tętniące życiem i zamożne, sądząc po ożywionym ruchu, panującym na nabrzeżach. W drodze do przystani

promu Ty mijał sągi wszelkiego rodzaju drewna - od dębowych klepek na beczki i baryłki po deski, dźwigary, dachówki i długie sosnowe maszty dla okrętów Jego Królewskiej Mości.

Północną stronę ujścia Piscataqua, tę leżącą już na terytorium Maine, zajmowała osada Kittery, mniejsza i nie tak gęsto zabudowana jak Portsmouth. Budynki koszar z ledwo ociosanych sosnowych bali nadawały temu miejscu atmosferę pewnej surowości. W Kittery można było przejść ulicą bez potrzeby torowania sobie drogi łokciami. To tutaj Tyler Savitch spędził pierwsze sześć lat życia.

Niewiele pamiętał z tego okresu. Późniejsze przeżycia zataryły wspomnienia dzieciństwa. Ilekroć jednak widział nabrzeża, ko-szary i

stocznie Kittery, doznawał bolesnego uczucia zagubienia, straty czegoś, co mogło się wydarzyć, ale nigdy się nie wydarzyło.

- Ty ...

Obejrzał się, zirytowany.

_ Czego znów, u licha?

Delia cofnęła się o krok, uniosła rękę do piersi.

_ Przepraszam. Ja tylko ... Przepraszam ...

Chciała odejść, ale przytrzymał ją za ramię. Widział po jej oczach, że czuje się zraniona, choć usiłowała nadać twarzy wyraz urażonej dumy.

- Wybacz, Delia, nie chciałem cię urazić ... Nie odchodź. - Zdawał sobie sprawę, że mówi szczerze. Jej widok sprawił, że przestało mu zależeć na samotności, choć wychodząc z zajazdu, celowo nikogo ze sobą nie zabrał. - Nie odchodź - powtórzył.

- Chciałam tylko spytać, czy nie jesteś głodny.

- Nie. Ale chcę, żebyś ze mną została.

Delia ściągnęła na piersiach połę starego, wytartego płaszcza. Jak zwykle wzrok Tylera powędrował

ku tym piersiom, wyraźnie rysującym się pod napiętym materiałem sukienki. Do diabła - pomyślał -

dlaczego nie przyszło mu do głowy, by kupić od Pottera także płaszcz? Perkalowy czepek w niebieskie prążki skrywał przed jego wzrokiem twarz i włosy dziewczyny. To mu się wcale nie podobało. Ujął

koniec wstążki, przytrzymujący czepek.

- Zdejmij to. Nie pasuje do ciebie.

- Ależ, Ty, pada deszcz!

Próbowała go powstrzymać, ale wyraźnie się uparł. Zdjął czepek, wyjął nawet z włosów szpilki, którymi upięła rano coś w rodzaju koka.

Kruczoczarne sploty opadły falą na jej plecy. Światło dnia dobywało z nich rubinowe błyski - mieniły się niczym czerwone wino w srebrnym pucharze.

- Teraz lepiej - rzekł, zanurzając dłoń we włosy dziewczyny, pozwalając im przepływać między palcami. - A deszcz i tak przestaje padać.

Upuścił czepek na ziemię. Delia schyliła się po niego.

- A niech cię, Ty. Tak się staram, żeby zachowywać się jak prawdziwa dama, a ty wszystko psujesz.

Damy nie latają po ulicy z gołą głową i włosami jak jakiś cholerny kołtun, tylko ... o do diabła!

Ku jego rozbawieniu zakryła dłonią usta, a potem z udawaną skruchą,

lecz śmiejącymi się oczyma zauważyła:

- No tak, ale prawdziwe damy nie latają też po ulicy, przeklinając jak szewc, prawda?

- Nieważne. Podobasz mi się z rozpuszczonymi włosami. I zaczynam się przyzwyczajać do twego słownictwa.

Uśmiechnęła się szeroko.

- Ach ty, z tym twoim wyrafinowanym smakiem!

Roześmiał się i wziął ją za rękę•

- Chodźmy, mała.

Szybkim krokiem przemierzyli nabrzeże i niebawem znaleźli się nad rzeką, podążając w górę jej

biegu. Przez cały ten czas dłoń Delii spoczywała w silnym uścisku jego dłoni. Musiała prawie biec, aby dotrzymać mu kroku.

- Dokąd idziemy? - spytała wreszcie, zadyszana.

- Popłyniemy na drugą stronę rzeki.

- Dlaczego nie promem?

Nie odpowiedział. Zeszli nad wodę i tam Ty znalazł ukryte w trawie canoe z brzoźowej kory. Odwrócił

je i zepchnął na wodę. Złapał dziewczynę wpół i wsadził do łódki.

- Ty - powiedziała, rozglądając się nerwowo - chyba nie kradniemy tej łodzi? Nie chciałabym wylądować w więzieniu w Portsmouth.

- Tylko ją pożyczamy na godzinkę lub dwie. - Wsiadł do canoe, pochylił się i ujął twarz Delii w dłonie.

- Posłuchaj, chcę popłynąć na drugą stronę rzeki i chcę, żebyś była ze mną. Nie chodzi mi o nic innego. Po prostu bądź przy mnie.

Dopiero wypowiedziawszy te słowa, uzmysłowił sobie, co się z nim dzieje. Naprawdę rozpaczliwie potrzebował jej towarzysztwa. Ale może to tylko dlatego, że czuł się samotny i niespokojny, a ona zawsze umiała go rozśmieszyć?

Wiosłował na sposób indiański, tak jak nauczyli go Abenakowie - z wyprostowanym przedramieniem i napierając na wiosło całym ciężarem górnej połowy ciała. Wysiłek fizyczny sprawiał mu przyjemność. Wciąż jednak był wewnętrznie spięty, niczym struna gotowa za chwilę pęknąć.

Lekki wiatr niósł żywiczny zapach iglastego lasu. Przejaśniło się, a chylące się ku zachodowi słońce rzucało na wodę złote refleksy. Wysokie, ciemnozielone drzewa odbijały się w rzece. Złotozielone smugi na wodzie ... kolor jej oczu.

Spojrzała na niego i uśmiechnęła się, akurat gdy o tym pomyślał.

Nie płynęli w kierunku Kittery, lecz w górę rzeki. Gdy mijali zakręt, spłoszyli stojącą u wodopoju łanię. Poderwała głowę, spojrziała na nich wielkimi brązowymi oczyma i po chwili zniknęła między drzewami.

Ty skierował canoe ku brzegowi, właśnie w miejsce, gdzie znajdowała się łania. Tylko wąski spłachetek piasku oddzielał tu drzewa od wody. Po niedawnym deszczu spadały jeszcze z gałęzi świerków i jodeł ciężkie krople.

Ty przeszedł się po piasku, kopnął wyrzuconą przez rzekę spróchniałą kłodę, płosząc przy tym brodzieca, szukającego pożywienia między rzecznyymi głazami.

Delia przyglądała mu się z nieco zaniepokojoną miną.

- Bardzo ładne miejsce - odezwała się, kiedy milczenie mężczyzny przeciągało się ponad miarę. -

Tutaj zginął mój ojciec.

- Och, Ty ... to straszne.

Odwrócił się i zapatrzył na rzekę. Podeszła doń i stanęła u jego boku. Był zaskoczony, kiedy wsunęła mu rękę w dłoń, splatając palce z jego palcami. Poczuł jakby odrobinę ciepła wokół serca. Już nie był

taki samotny.

- Czy to Indianie go zabili?

- Tak. Ze szczepu Pequawket. Prowadzeni przez Francuzów.

Tę wojnę nazwano później wojną królowej Anny. Francja walczyła z Anglią, a Nowy Świat to było tylko jedno z pól bitewnych. Oczywiście, przyczyny i sens owego konfliktu nie miały żadnego znaczenia dla sześciolatniego chłopca mieszkającego w drewnianym domu na skraju puszczy. Zresztą Ty do dziś nie bardzo wiedział, o co chodziło wojującym stronom.

- Tamtej jesieni ciągle mówiło się o zagrożeniu ze strony Indian. O tym, że Francuzi podburzają ich i nakłaniają do mordów, obiecując nagrodę za każdy angielski skalp. Wiele osad opustoszało, bo ich mieszkańcy uciekli do Bostonu. Mój ojciec był właścicielem stoczni, która właśnie zaczęła

przynosić

zyski. Gdyby porzucił ją choćby na rok, nie miałby do czego wracać.

Ty zamilkł zaskoczony, że obrazy z przeszłości wciąż stoją mu przed oczami jak żywe. Może zapamiętał to wszystko dokładnie, bo wtedy matka krzyczała na ojca, a ona rzadko podnosiła głos.

To właśnie matka zdecydowanie sprzeciwiła się wyjazdowi z Kittery.

- Nadeszła zima i poczuliśmy się nieco bezpieczniej. Ale pewnej nocy ujrzeliśmy na niebie łunę pożaru. To płonęły osady leżące w górze rzeki. Był luty, ziemię pokrywała gruba warstwa śniegu. Nie sądziliśmy, że możemy zostać zaatakowani w środku tak śnieżnej zimy. Noc była mroźna, bezksiężycowa. Kiedy biegli, śnieg skrzypiał pod ich stopami. Drzewa okrywała gruba warstwa srebrzystego szronu. Małe krysztalki lodu tańczyły w powietrzu, gnane podmuchami wiatru.

Przewrócił się i ojciec podniósł go za ramię tak wysoko, że przez chwilę przebierał nogami nad ziemią. Śmiał się w głos, zbyt mały, by rozumieć, że powinien się bać.

- W koszarach w Portsmouth stacjonował angielski garnizon. Rzeka była skuta lodem. Wystarczyło więc przedostać się na jej południowy brzeg i schronić się w forcie. - Wzrok Tylera padł na wąski pas piasku przy brzegu. - Dotarliśmy tylko dotąd.

Zdawało się, że wyskakują z pni drzew, wznosząc te swoje wojenne okrzyki. Matka krzyknęła, a ojciec uniósł muszkiet do oka i strzelił. Czyjeś ramię zacisnęło się na szyi Tylera, ujrzał błysk tomahawka.

Kopał i szarpał się, ale po chwili zrozumiał, że to na nic, i w jego dziecięcej świadomości zrodziło się prze-czucie śmierci. Matka rzuciła się ku trzymającemu go wojownikowi i chociaż inni zaraz ją odciągnęli, Ty wiedział, że bezpo-średnie niebezpieczeństwo minęło i że będzie żył.

Ojca nic już nie mogło uratować. Ty i matka stali w tym właśnie miejscu, a Indianie tańczyli dokoła nich, śpiewając trium-falną pieśń wojenną. Wokół głowy ojca rozlewała się kałuża czerwieni, plamiąc śnieg. Krysztalki lodu wirowały nad krwa-wiącą, odartą z włosów czaszką.

Znacznie później, kiedy Ty miał czternaście lat i pod każdym względem - z wyjątkiem pochodzenia -

był wojownikiem Abe-naków, jego szczerp wyruszył na wojnę przeciw Mohawkom. Po raz pierwszy uczestniczył wtedy w bitwie i zdobył trzy skalpy. Czuł się dumny, dzielny i niezwyciężony i tańczył

nad ciałami swoich ofiar tak, jak Pequawket tańczyli wokół jego ojca.

Nagle Ty poczuł, że zaczynają mu drżeć nogi. Nie bacząc na wilgoć, usiadł tam, gdzie stał, sadowiąc Delię między swoimi udami. Oparła się o jego pierś, obejmując ramionami podciągnięte pod brodę kolana. Dobrze było mieć ją przy sobie, czuć ciepło jej ciała. I oto po raz pierwszy od wielu lat, może nawet od dnia, kiedy rozdzielono go z jego indiańską rodziną i przenie-siono na powrót do świata Yengi, Ty zaznał uczucia wewnętrznego

spokoju.

Siedzieli tak w milczeniu przez długą chwilę. Wreszcie Delia poruszyła się i pogłaskała go po kolanie.

A kiedy się odezwała,

pożałował, że tyle jej o sobie powiedział. Nagle poczuł się zażenowany, że tak bardzo się przed nią otworzył.

- Porwali ciebie i twoją mamę. Dla sześciolatniego chłopca to musiało być straszne.

Chciał powiedzieć, że niespecjalnie, ale wtedy pomyślał, że pewnie jednak było, a tylko on wyrzucił z pamięci najstraszniejsze wspomnienia.

- Objuczyli nas jak zwierzęta dobrem zrabowanym z osiedla, które spalili. Potem gnali nas czterysta kilometrów przez puszcę, aż do Quebecu. Francuzi płacili za angielskiego jeńca dziesięć funtów, ale tyle samo za skalp Anglika. Tak więc, jeśli ktoś nie miał siły iść, najpierw go bili ...

- Ale chyba nie ciebie! Przecież byłeś dzieckiem.

- Byłem dość duży, by iść. Ale po pewnym czasie człowiek przestaje reagować na bicie. Czuje się tak zmęczony i zmarznięty, że przestaje dbać o to, co się z nim stanie. Po prostu kładzie się na szlaku i zamyka oczy. Wtedy właśnie dostaje cios tomahawkiem. Z Kittery wyszło nas dwadzieścia sześć osób, głównie kobiety i dzieci; do Quebecu dotarło dziesięcioro z nas.

- Znienawidziłabym ich za to! - wybuchnęła Delia. - Życzyłabym im śmierci.

Ty pomyślał, że być może właśnie nienawiść trzymała ludzi przy życiu. Ale nie jego. Był zbyt mały, by nienawidzić.

- Co było potem? Kiedy doszliście do Quebecu?

- Szczep Pequawket należy do plemienia Abenaków. Wodzowie wszystkich szczepów ludu Abenaków spotkali się tamtej zimy w Quebecu na powow, naradzie wojennej. Był wśród nich Assacumbuit, wielki sachem szczepu Norridgewock. Pewnej nocy Pequawsket urządzili ucztę, z tańcami i śpiewem, podczas której chwalili się wojennymi łupami i jeńcami. Assacumbuit zobaczył moją matkę i zapragnął ją mieć. Wojownikowi Pequawket, który nas pojmał, zapłacił pięćdziesiąt bobrowych skórek - królewski okup. Tak więc, zamiast trafić do francuskiego więzienia, wróciliśmy do Maine.

Razem z Assacumbuitem i Norridgewockami. I możesz nazwać moją matkę tchórzem, ale ona go nie nienawidziła.

- Och, nie, Ty. Uważam, że musiała być bardzo dzielna, żeby to wszystko

wytrzymać. I bardzo silna.

- Nie tak bardzo. Umarła, wydając na świat dziecko Assa-cumbuita.

- A mimo to ty go kochałeś - zauważyła Delia, jakby odgadła przyczynę jego wieloletniej udręki. -

Mimo tego, co Indianie zrobili tobie i twojej mamie, kochałeś swojego indiańskiego ojca.

- Tak ... - przyznał, choć nie przyszło mu to łatwo. - Tak, kochałem go.

- Dlaczego więc go opuściłeś? Dlaczego wróciłeś do cywilizacji?

- Zrobiłem, co mi kazał - odparł Ty. Ale miał dość już tej rozmowy. Delia jakoś to wyczuła i nie zadawała więcej pytań. Milczeli, ona siedziała wsparta o jego pierś i to dziwne uczucie ukojenia znów zawładnęło Tylerem, mimo wszystkich przykrych wspomnień, jakie wywoływało to miejsce.

Nikt, a już zwłaszcza dziadek, nie rozumiał, dlaczego Ty tak niechętnie wraca do świata swoich rodziców. Po prostu nikt nie rozumiał, że po tych dziesięciu latach był już Abenakiem - nie-wiele pamiętał z dzieciństwa i znał ledwie kilka angielskich słów. Miał rodzinę, nowego ojca i przyrodniego brata, chłopca, którego indiańskie imię znaczyło tyle co "Nawiedzony". Był przyjacielem Tylera i jego rywalem, razem polowali, ale i często ze sobą walczyli. Kiedy Ty miał szesnaście lat, Abenakowie zawarli z Anglikami traktat pokojowy, na mocy którego musieli uwolnić wszystkich białych jeńców. Assacumbuit odprowadził go do fortu w Wells.

Pokój trwał zaledwie sześć miesięcy, ale w tym czasie do Wells przyплыł z Bostonu dziadek Tylera i zabrał go do siebie. Sir Patrick postanowił jak najszybciej uczynić z chłopca prawdziwego Anglika.

Tłukł go laską, ilekroć ten odezwał się w języku Abenaków albo zachowywał jak Indianin. W wiosce Norridgewo-cków Ty był sannupem, szanowanym wojownikiem, dlatego czuł się poniżony, kiedy bito go jak niewolnika albo kobietę.

Niemniej znosił razy ze stoickim spokojem, ponieważ wychowano go w szacunku dla starszych.

Wiedział jednak, że nie zrobił nic złego, i nie potrafił się wstydić swojej indiańskiej przeszłości i indiańskiego ojca. Z czasem wszakże zaczął tracić pewność siebie i niebawem nie czuł się ani Abenakiem, ani Yengi. Nie przynależał do żadnego z tych światów, na nikim mu nie zależało. Ostatnie lata młodości wspominał jako okres wypełniony samotnością, niepewnością i goryczą. Nie był zresztą pewien, czy kiedykolwiek nie czuł się samotny.

Ty poruszył się i odruchowo musnął policzkiem włosy Delii. Dość już

tych ponurych rozmyślań posłanowił w duchu.

- Pora wracać.

Płynęli wolno, niesieni nurtem rzeki. Delia siedziała między jego nogami, a on pokazywał jej, jak się wiosłuje na indiańską modłę. Prowadził rękę, dziewczyny, nadając kierunek pociągnięciom wiosła.

Był zaskoczony siłą i sprężystością jej mięśni. Pachniała sasafrasem i sosną. Wiałł zwiewał mu na twarz jej włosy, pierś ocierała się o jego ramię. Mimo melancholijnego nastroju poczuł się nagle podniecony.

Dotąd pociągały go drobne, eteryczne blondynki, zwykle chłodne i bpanowane. Trzeba je było długo

adorować i uwodzić, by zdobyć ich łaski. Nigdy nie przypuszczał, że zainteresuje się dziewczyną taką jak Delia - prostytutką o swobodnym sposobie bycia, knajpianą dziewczką, która nie należała do żadnego mężczyzny, choć niejedną ją miał. A przecież była w niej jakaś duma i godność, a także coś

... coś ... Czy nie chodziło o to, że można ją było adorować i uwieść, ale nigdy zawojować bez reszty?

Ta myśl dziwnie go zafrasowała.

Delia odwróciła się i jej usta rozchyliły się w uśmiechu. Przez chwilę patrzyli sobie w oczy.

- Jeśli Abenakowie cię adoptowali, musieli dać ci imię. Jak cię nazwali?

Wyrwany z zamyślenia, nie od razu zrozumiał pytanie.

- Co?

- Jak brzmiało twoje indiańskie imię?

- Bedagi.

- Beda ... - zaczęła, ale położył jej dłoń na ustach.

- Indianie wierzą, że nie należy zbyt często wymawiać czyjegoś imienia, bo straci ono swoją moc.

Poważnie skinęła głową. Jeszcze przez chwilę dotykał jej ust, a kiedy w końcu zmusił się do cofnięcia ręki, odruchowo oblizła wargi. Tylerowi zaparło dech w piersiach.

Pochwyciła jego spojrzenie, a on nagle poczuł się jak człowiek wciągnięty przez wir wodny, tonął w złotobrazowej otchłani jej oczu.

- Możesz mi powiedzieć, co twoje imię znaczy po angielsku? Jeśli to nie pozbawi go mocy.

Nim odpowiedział, musiał przełknąć ślinę, by rozluźnić ściśnięte gardło.

- Znaczy "Wielki Grzmot".

Delia wybuchnęła śmiechem.

- Co w tym, do diaska, takiego śmiesznego, mała? - obruszył się, zawiedziony (a może to było uczucie ulgi?), że czar prysnął.

- Och, Ty ... Ty ... - Delia nie mogła powstrzymać śmiechu. -Wielki Grzmot... Jak to do ciebie pasuje!

Nagle spoważniała i w jej oczach pojawił się znany Tylerowi wyraz zachęty czy może przyzwolenia.

Odwróciła się ku niemu, oparła dłonie na jego udach i nim sobie uświadomił, co zamierza, podsunęła mu' usta do pocałunku.

Wpił się w nie łapczywie, jednocześnie nachylając się ku niej i chwytając w ramiona. Zachwiała się pod jego ciężarem i prze-wróciła na plecy, pociągając go za sobą. Zadrzał, gdy ich ciała się zetknęły, ale w tym samym momencie spleceni ramionami uderzyli w burtę łódki. Canoe się przewróciło.

Ty nie wypuścił z ramion Delii, kiedy z pluskiem lądowali w wodzie. Ale canoe odwróciło się do góry dnem, krawędzią burty uderzając go w czoło. Na chwilę pociemniało mu w oczach. Kiedy oprzytomniał, Delii przy nim nie było; prąd rzeki wciągał go stopniowo w głębinę.

Jednym potężnym kopnięciem wy dostał się na powierzchnię.

Odgarnął włosy z oczu, kaszląc i plując połkniętą bezwiednie wodą. Rozejrzał się, szukając Delii, ale nigdzie jej nie dostrzegł. Poczł narastający lęk. Niesione prądem przewrócone canoe od-dalalo się coraz szybciej. Przez głowę przemknęła mu straszna myśl, że może dziewczyna jest uwięziona pod czółnem. I wtedy w niewielkiej odległości od niego wynurzyła się głowa i jedna ręka Delii. Ty odetchnął z ulgą, ale przedwcześnie, bo oto roz-puszczone czarne włosy i szczupłe ramię znów pograżyły się w wodzie.

Zanurkował w tamtym kierunku. Po niedawnych roztopach woda w rzece była lodowato zimna i ciemna jak atrament, wzrok Tylera nie sięgał nawet na wyciągnięcie ręki. Poczł macać przed sobą na oślepi, a strach i zimno wyciskały mu powietrze z płuc. Już szykował się do powrotu na powierzchnię, kiedy jego ręka natrafiła na skraj jej płaszcza. Zacisnął palce na materiale i rzucił się ku górze, wlokąc Delię za sobą.

Nie straciła jeszcze przytomności i sądził, że ogarnięta paniką będzie się wyrywać, ale nie - leżała bezwładnie w kołysce jego ramion. Bez trudu przepłynął kilkanaście metrów dzielących go od lądu i wyciągnął dziewczynę na piaszczysty brzeg.

Pomógł jej się unieść. Klęcząc, pluća, kaszlała i wymiotowała wodą, podczas gdy jej płuca walczyły o odrobinę powietrza.

Na koniec zaczęła oddychać nieco spokojniej i głębiej. Drżącą dłonią odgarnęła włosy z twarzy i posłała Tylerowi słaby uśmiech. - Nigdy nie byłam zbyt dobra w pływaniu.

- A niech cię, Delio! - krzyknął.

Nie ze złości, po prostu tak bardzo się bał. Nagle spostrzegł, że jej usta przybrały siną barwę, a ciałem wstrząsają gwałtowne dreszcze, i znów się przeraził.

Nigdy w życiu nie rozpałił tak szybko ogniska, nie mając pod ręką hubki i krzesiwa. Nazbierał trochę kory i cienkich gałązek, pokruszył i ułożył w stosik. Następnie znalazł dobrze wyschnięty patyk grubości kciuka i zestругał go z dwu stron tak, żeby pewnie leżał na ziemi. Wyciął w nim niewielkie zagłębienie, a w nim umieścił koniec cieńszego, także suchego patyka, którym jął szybko kręcić między dłońmi. Miał wrażenie, że minęła cała wieczność, nim w powietrze uniosła się pierwsza strużka dymu.

Kiedy zapłonęła podpałka, stopniowo wrzucał do ognia coraz grubsze gałęzie. Jednocześnie zrzędził z udawaną złością.

- Jesteś największą niezdara, jaką miałem nieszczęście pro-wadzić przez puszcę. Nie umiesz jeździć konno i nie umiesz pływać. Wałęsasz się po lesie, wpadając w doły i zadajesz się -ze starymi Indianami. Masz piekielne szczęście, że jeszcze za-chowałaś swój skalp. Nie potrafisz trafić ze strzelby nawet we wrota stodoły i nie sądzę, żebyś miała choć naj bledsze pojęcie o tym, jak zakłada się sidła.

- N-nie wiem - odparła, szcękając zębami i przysuwając się jeszcze bliżej ognia, choć już prawie siedziała na ognisku. -Nigdy nie próbowałam.

Zdjął z niej przemoczony płaszcz, a następnie objął ją i przytulił do piersi, starając się ogrzewać własnym ciałem.

- No więc: czy ty w ogóle coś potrafisz, hę?

- Umiem łapać ryby gołymi rękami.

Roześmiał się

- Istotnie. Zapomniałem.

- I potrafię cię rozśmieszyć. W tym jestem naprawdę dobra.

- Do licha, mała ... - Przytulił ją mocniej i całkiem nieświadomie, po prostu dlatego, że była tak blisko; przycisnął usta do jej włosów. Trzymał ją objęciami, aż przestała się trząść z zimna.

Westchnęła i otarła się policzkiem o jego policzek niczym kot domagający się pieszczot. Ale zaraz się odsunęła i spojrzała bardzo poważnym wzrokiem.

_ Jesteś całkowicie poplątany, Tylerze Savitch. I pełen sprzeczności.

- Ja jestem poplątany?

- Tak. Jesteś jak ten ogon przy zegarze ...

- Ogon przy zegarze?

Znowu usiadła wsparta o jego pierś.

- No wiesz ... ta część, która kiwa się tam i z powrotem. Tik - i wrzeszczysz na mnie z powodu jakiegoś głupstwa. Tak - i całujesz mnie tak mocno, że wypadamy z canoe.

- Nie ogon, ale wahadło - rzekł Ty, tłumiąc śmiech. - I to ty mnie pocałowałaś.

Delia machnęła ręką, uznając ten detal za nieważny.

- Tik - i pleciesz o tych swoich wyrafinowanych gustach. Tak - i gapisz się na mnie, kiedy klęczę z gołym tyłkiem i nie mam się czym zasłonić.

Pierś Tylera pod plecami Delii zadrżała od śmiechu.

_ Nie mogłem się nie gapić. Nigdy nie widziałem równie ponętnego obrazka.

Delia wyglądała na dumną z komplementu, ale odrzekła chłodno:

- Dżentelmen by się odwrócił.

- Dżentelmen owszem - zgodził się Ty.

Delia wyciągnęła nogi w stronę ogniska i poruszyła palcami stóp. Po chwili znów zaczęła analizować charakter Tylera.

_ Tik - i jesteś najbardziej opiekuńczym lekarzem na świecie. Tak - i ... o, do stu diabłów!

Zerwała się i pognęła w kierunku rzeki. Nim ją dogonił, stała już po kolana w wodzie.

- Delio, na miłość boską, co ty wyprawiasz?

Chwycił ją wpół, ale wyrywała się tak gwałtownie, że pośliznął się na omszałych kamieniach i klapnął

na zadek, pociągając ją

za sobą. Zaklął, gdy lodowata woda przeniknęła spodnie, ale dziewczyny nic puścił, choć próbowała się uwolnić, tłukąc go pięściami w pierś.

- Moje buty, Ty! Zgubiłam w rzece buty!

- Ależ, Delio! - Objął ją tak mocno, że prawie nie mogła oddychać, ale nadal się; wyrywała. Musiał nią solidnie potrząsnąć.

_ Już przepadło Kupię ci drugie. Kupię; ci tuzin par nowych butów!

Przestała się; szarpać. Odwróciła ku niemu zalaną łzami twarz i wyjąkała:

- Ale to były pierwsze buty, jakie mi kupiłeś. A tylko jedno mogą być

pierwsze.

- Och, Delio. - Przytulił ją do piersi i kołysał niczym niemowlę, a ona szlochała z twarzą wtuloną w jego bluzę. _ Nie płacz, kochanie. Nie płacz ...

To przecież tylko buty - myśla!. Zawsze można je zastąpić innymi. Nie miał pojęcia, dlaczego były dla niej takie ważne. Bo płakała, jakby ich strata złamała jej serce.

8

Delia stała na ganku zajazdu i patrzyła na moknącą w deszczu drobną, gniadą klacz stojącą u koniowiązu.

- Och, Ty, kupiłeś mi konia!

Uśmiechnęła się szeroko i uniosła ku niemu błyszczące z podniecenia oczy.

Odpowiedział badawczym spojrzeniem, jakby próbował odgadnąć, co naprawdę oznacza wyraz jej twarzy. Zmarszczył brwi, a ona odruchowo skuliła się, jakby w obawie, że zobaczył zbyt dużo.

- Zmęczyło mnie podróżowanie na piechotę - oznajmił niemal gniewnym tonem, ale to nie zrobiło na niej wielkiego wrażenia. Przywykła już do jego porannych humorów. _ A poza tym ~ dodał -
obiecałem, że kupię.

Nie zważając na ulewę, Delia wychyliła się z ganku i poklepała klaczkę po pysku. Zwierzę parsknęło i Delia pospiesznie cofnęła dłoń. Wbrew temu, czego oczekiwała, Ty się nie roześmiał.

Mrużąc oczy, patrzył poprzez deszcz na drogę, po której szedł chłopiec, popędzając kijem krowę .

- Niestety, nie udało mi się znaleźć butów dla ciebie. Jedyne szewc w Portsmouth twierdzi, że jest taki zajęty, iż mógłby się zabrać za twoje buty nie wcześniej niż po południu. Naprawdę nie możemy czekać tak długo, Delio. Przykro mi.

- Och, to nic, Ty - odparła, choć ilekroć pomyślała o utraconych butach, ogarniał ją głęboki smutek.

To pewnie znaczyło, że te buty nie były jej przeznaczone, że nie była jej przeznaczona miłość Tylera. -

Nie potrzebuję butów, Ty. Zwłaszcza teraz, kiedy mogę jechać na własnym koniu.

Chyba jej nie słuchał. Pochylony, szukał czegoś w leżącym pod nogami plecaku.

- Pomyślałem, że na razie możesz nosić te - rzekł po prostu i podał jej parę miękkich, białych mokasynów z jeleniej skóry, misternie zdobionych kolorowymi paciorkami i muszelkami. Były tak piękne, że Delia nie miała odwagi wziąć ich do ręki. Łzy zakręciły jej się w oczach.

- Och, Ty ...

Przycisnęła jej mokasyny do brzucha.

- No, bierzesz je czy nie?

Uniosła wzrok ku jego twarzy. Usta miał zaciśnięte w wąską linię, ale w oczach dostrzegła tyle niezrozumiałego dla niej napięcia, aż serce zaczęło jej walić jak oszalałe.

Nagle ganek stał się jakby za mały dla nich dwojga. Uczyniła taki ruch, jakby chciała uciec w deszcz.

Aż podskoczyła, kiedy ciężko opuścił jej dłoń na ramię.

- Ależ, Ty, nie mogę - pokręciła głową.

- Możesz. Siadaj - rzucił rozkazująco, ruchem głowy wskazując ławkę pod ścianą. - Założę ci je na nogi.

Delia odgarnęła połę płaszcza i usiadła. Na podwórzu chlupotała woda wylewająca się z przepelnionych rynsztoków, ale na ganku było przytulnie i sucho. Ty klęknął u jej stóp. Patrząc nań z góry, widziała w rozcięciu myśliwskiej bluzy ciemne włosy, porastające jego pierś. A wśród nich niewielki mieszek zawieszony na opasującym szyję rzemyku.

Dotknęła go czubkiem palca.

- Co to jest?

Podniósł na nią chmurne spojrzenie.

- Po prostu woreczek.

- Ale co jest w środku?

Westchnął.

- Totem ... symbol. Mojego Manitou, ducha opiekuńczego. Zapatrzyła się na woreczek, zastanawiając się jednocześnie,

jak by to było, gdyby przesunęła palcami po tych miękkich, kręconych włosach. Albo przycisnęła usta do zagłębienia przy obojczyku, gdzie widać było miarowe bicie pulsu.

- Naprawdę wierzysz w te indiańskie sprawy? W duchy opiekuńcze? - zapytała, by przerwać przedłużające się milczenie. Głos jej drżał bezwiednie.

Nie odpowiedział.

- Daj mi stopę - zakomenderował.

Jego dłoń zacisnęła się na kostce dziewczyny. Zadrzała i dreszcz przebiegł jej wzdłuż nogi.

- Widzisz, już się pewnie przeziębiłaś - zrzędził. - Kto to widział latać na bosaka w taką pogodę! -

Niezbyt delikatnie wsunął mokasyn na jej stopę. - Dawaj drugą nogę.
- To bardzo eleganckie mokasyny. Skąd je masz? - zapytała i zaraz pożałowała, że nie ugryzła się w język. Bo co, jeśli te mokasyny były własnością jakiejś dziewczyny z plemienia Abe-naków, dawnej kochanki Tylera, a może i obecnej?

Nie spodziewała się, że odpowie. A jednak.

- Należały do mojej matki.

Delia spojrzała na pochyloną głowę klęczącego u jej stóp mężczyzny. Serce przepełniała jej miłość tak wielka, że aż bolesna. - Ty, obiecuję, że będę o nie bardzo dbała. Wiem, że chciałbyś, bym ci je zwróciła.

- To prezent, Delio. Nie chcę, żebyś mi je zwracała.

Drugi mokasyn znalazł się na swoim miejscu, ale Ty nie puścił stopy dziewczyny. Wygładził skórę bucika na palcach, a potem jego dłoń, sunąc po jej łydce, wślizgnął się pod spódnicę i znieruchomiała pod kolanem. Delia drgnęła gwałtownie.

Spojrzał na nią i uśmiechnął się łagodnie.

- Masz łaskotki, mała?

- Tak - szepnęła bez tchu. Siedziała sztywno, bojąc się poruszyć, żeby nie zachęcić jego dłoni do wędrówki wyżej. A przecież... jej uda wręcz domagały się pieczyoty. I nie tylko uda ...

Tymczasem on zsunął dłoń wzdłuż łydki, przez chwilę bawił się jej kostką i cofnął rękę. Przez cały czas patrzył jej prosto w oczy. Topniała pod tym spojrzeniem niczym grudka masła w upalnym słońcu.

- Przyjdź do mnie w nocy, Delio - powiedział niskim, nieco ochrypniętym głosem, równie uwodzicielskim jak jego spojrzenie. - Przydziesz?

_ Co? - Ku rozpaczycy Delii jej głos brzmiał jak pisk myszy schwytanej w pułapkę.

Uśmiechnął się promiennie, spokojny i rozluźniony, niemal rozbawiony.

- Proszę cię, żebyś dziś w nocy przyszła do mojego łóżka. Chcę się z tobą kochać, Delio.

Skrzypnęły drzwi i na ganek wkroczył wielebny Caleb Hooker.

Za nim jego żona. Delia zarumieniła się, a pastor mrugnął do niej konspiracyjnie i wyjrzał na zalane wodą podwórze.

- Ciężką będziemy dzisiaj mieli podróż. Dlaczego klęczysz przed Delią, Ty? Chyba się jej nie oś ...

_ Nie bądź osłem, Calebie. - Ty wstał spiesznie, a potem schylił się, udając, że strzepuje kurz z kolan.

Domyślny uśmiezek na twarzy Caleba sprawił, że nieco się zaczerwienił. Delia wyciągnęła przed siebie nogi, pokazując mokasyny. - Patrzcie, co Ty mi dał!

_ Och, jakie piękne! - Elizabeth, która smutnym wzrokiem patrzyła na zalane deszczem podwórze, teraz podeszła do Delii i uśmiech rozjaśnił jej twarz. - Prawda, że piękne, Calebie?

Pastor ożywił się na widok uśmiechu żony i przytaknął skwapliwie.

- O tak, w rzeczy samej.

- Zabierajmy się stąd, do wszystkich diabłów! - warknął Ty, podnosząc z podłogi plecak. - Jeszcze nigdy nie spotkałem takich marudnych ludzi. Cały ranek przegadali. Podróżując w tym tempie, dojadę do Marrymeeting jako siwy starzec.

_ Nie zwracajcie na niego uwagi - odezwała się Delia. - Rano zawsze jest zły jak osa. Poburczy, poburczy i do południa mu przejdzie.

Hookerowie zaśmiali się, a Ty obrzucił Delię groźnym spojrzeniem. Odpowiedziała mu szelmowskim uśmiechem. Chcę się z tobą kochać, Delio. Czy naprawdę to powiedział?

Przeprawili się promem do Kittery. Od tego miejsca mieli podróżować Królewskim Gościńcem, biegnącym równolegle do brzegu morskiego i prowadzącym do Falmouth, daleko w głębi terytorium Maine. Jadąc obok wozu Hookerów, Delia ciekawie rozglądała się po osadzie, w której urodził się Ty.

Urodził się i wzrastał, otoczony miłością rodziców, aż do tego lutowego dnia, kiedy wprowadzili go dzicy, by z czasem i z niego uczynić dzikusa.

Serce Delii wypełniło się smutkiem na myśl o dzieciństwie Ty. Po kolei tracił wszystkich, których kochał - ojca, matkę, ojczyma. Teraz rozumiała cierpienie w jego oczach, kiedy w domu dziadka wyznał: "Już sam nie wiem, kim jestem".

Kiedy mijali otoczony palisadą budynek garnizonu, ich uwagę przyciągnęła dwójka Indian strzelających z łuków do namalowanej na częstokole tarczy. Wokół nich stali hałaśliwi, brodaci mężczyźni, obstawiając wynik każdej kolejki strzałów.

Delia zerknęła na Elizabeth. Miała nadzieję, że nie zacznie wrzeszczeć tak jak wtedy, gdy zobaczyła Indianina. Ale pastorowa była zbyt zajęta uzalaniem się nad sobą, by się bać. Siedziała skulona na koźle wozu, z kapturem głęboko naciągniętym na oczy. Wiatr nagle zmienił kierunek, smagając deszczem ich twarze. Caleb troskliwie odwrócił się do żony i

pomógł jej szczerzej owinać się płaszczem. Spojrzenie, jakie mu rzuciła, nie wyrażało jednak wdzięczności.

Delia spostrzegła, że pierś pastora unosi się w ciężkim westchnieniu. Żal jej było wielebnego, bo najwyraźniej szczerze kochał żonę i pragnął jej szczęścia. Tymczasem wszelkie jego starania spotykały się z niechętną odprawą.

Zastanawiała się właśnie, w jaki sposób podnieść pastora na duchu, gdy Elizabeth wskazała coś po ich lewej stronie i zawołała: - Spójrzcie tylko!

Delia spojrzała we wskazanym kierunku i oczom jej ukazał się ociekający deszczem, na wpół

zrujnowany budynek o ścianach szalowanych krótkimi deszczułkami.

Wyglądał na dawno opuszczony. Wejściowe drzwi smętnie zwisały na jednym zawiasie. Na werandzie, między deskami podłogi, pleniło się zielsko i karłowate drzewka. W większości okien brakowało ram, a północną ścianę pokrywała gruba warstwa mchu. Najdziwniejsze wrażenie robił galion, stojący na postumencie obok drzwi.

Była to rzeźba przedstawiająca syrenę, kiedyś niewątpliwie pomalowana jaskrawymi kolorami: włosy

- rubinową czerwienią, ogon - jaszczurkową zielenią, tułów i nagie piersi o różowych sutkach musiały mieć barwę prześwieconej słońcem perły. Ale farba popękała i wyblakła, a rysy w drewnie poznały twarz syreny jakby śladami łez. Delia poczuła wielki smutek, patrząc na tę mityczną boginkę morską skazaną na wieczną samotność, porzuconą na lądzie, wydaną na pastwę słońca i wiatru.

Zmrużyła oczy, próbując odczytać wyblakły napis widoczny na szyldzie biegnącym przez cały fronton budynku, ale klnąc w duchu własną ignorancją, musiała zrezygnować.

- Co tam jest napisane? - spytała Elizabeth.

- Stocznia, Savitch i Syn - Caleb odpowiedział za żonę, a w jego głosie zabrzmiało zdziwienie. Wszyscy spojrzeli w kierunku Tylera, jadącego daleko w przodzie. Nie patrzył na budynek z syreną, lecz w stronę morza. Jeśli nawet słyszał, o czym rozmawiali, nie dał tego po sobie poznać.

Caleb już otwierał usta, ale Delia uprzedziła jego pytanie.

- Ojciec Tylera mieszkał tu, w Kittery, i był skutnikiem - oznajmiła pospiesznie. - Wiele lat temu zabili go Indianie. W tym budynku musiała się mieścić jego firma.

- Ach ... rozumiem. - Pastor spojrzał smutno za coraz bardziej

oddalającym się Tylerem.

Wzrok Delii znów powędrował ku sztyldowi. Savitch i Syn.

Człowiek, który kazał zrobić ten napis, już wtedy musiał myśleć o dniu, kiedy syn zacznie pracować u jego boku i jak on - budować statki. Ojciec Tylera umarł tak młodo, tak nagle, tak wiele po sobie zostawił. Stocznię, która zmarniała bez niego, żonę, która umarła, wydając na świat dziecko wroga. I syna, który wyrósł na wysokiego, silnego mężczyznę. Ale jakże samotnego!

- Czy tylko Ty z całej rodziny przeżył masakrę?

Minęła dobra chwila, nim pytanie Caleba dotarło do zamyślanej Delii.

- Co? Och, nie ... Ty i jego mama dostali się do niewoli. Ale ona później umarła.

Pełne współczucia spojrzenie pastora znów spoczęło na plecach Tylera. Elizabeth siedziała obok męża spięta i blada. Wzmianka o dokonanej przez Indian masakrze na nowo rozbudziła jej strach przed puszcza. Minęli ostatnie zabudowania Kittery i rozmowa się urwała. Delia odetchnęła z ulgą.

Nie mogła jednak uciszyć swoich myśli. Chcę się z tobą kochać, Delio. Sam to powiedział, bez najmniejszej zachęty z jej strony. Ale co właściwie miał na myśli? Wiedziała, że mężczyzna może odczuwać rozkosz z kobietą, wcale jej nie kochając. Tacy już byli mężczyźni. Kierowali się popędem i dziewczęta z szynku "Pod Dziarskim Lwem" brały po dwa szylingi za jego zaspokojenie. Czy Tylera też przyciągał do niej tylko popęd?

W pobliżu Kittery mijali jeszcze ciągnięte przez woły zaprzęgi, wiozące drewno do nadrzecznych tartaków, ale niebawem zostali na drodze sami. O ile szlak, którym podróżowali, można było nazwać drogą. Gościniec Królewski wił się wzdłuż linii brzegowej to bliżej, to znów dalej od morza. Dwie głębokie koleiny, wyżłobione kołami pojazdów w błotnistym gruncie i pełne deszczowej wody - oto cały gościniec. Trzykrotnie wóz Hookerów grzązał w błocie i wszyscy musieli go wyciągać, toteż wkrótce wszyscy byli ubłoceni po uszy - nawet Elizabeth. Deszcz ani myślał zelżeć, a fale bijące o skalisty brzeg wyrzucały w powietrze słoną mgiełkę, która osiadała na ich zabłoconych włosach, twarzach i ubraniach.

Przyjdź wieczorem do mojego łóżka. Chcę się z tobą kochać, Delio.

Teraz jednak prawie na nią nie patrzył, a odzywał się jedynie po to, by wydać jakieś polecenie.

Nawrzeszczał na nią, kiedy uparła się zdjąć mokasyny, żeby nie

ucierpiałły od wody i błota.

Chcę się z tobą kochać, Delio. Klęczał, gdy to mówił. Tak jakby - Delię przeszył dreszcz podniecenia -

jakby zamierzał jej się oświadczyć ...

Delio, ty kapuściany głąbie! Z ust tego mężczyzny nigdy nie padło słowo "małżeństwo". Musi być niezwykle ostrożna. Tak bardzo go kochała, tak bardzo pragnęła jego miłości, że gotowa była przypisywać mu uczucia, których wcale nie żywił.

Tego dnia, z powodu deszczu i fatalnego stanu drogi, nie po-sunęli się zbyt daleko. Zatrzymali się na noc w York, niewielkiej osadzie, rozciągającej się na przestrzeni kilku kilometrów na wschodnim brzegu rzeki Agamenticus. Nie było tam nawet go-spody czy karczmy. Na szczęście pewna wdowa po farmerze, zabitym przez Indian, przekształciła swój dom w coś w rodzaju zajazdu dla nielicznych podróżnych, zapuszczających się w te odległe strony.

Na poddaszu budynku znajdowały się sypialnie - maleńkie komórki oddzielone cienkimi przepierzeniami. Wchodziło się tam po drabinie przez drzwiczki w suficie jadalni. Łóżka zastępowały sienniki, leżące na podłodze z sosnowych desek. Na prośbę Ty-lera, popartą drobną zapłatą, gospodyni pozwoliła napełnić balię gorącą wodą. Najpierw wykąpały się kobiety, następnie mężczyźni. Po raz pierwszy w życiu Delia brała kąpiel dwukrotnie w ciągu trzech dni.

Szybko - zdaniem Delii zbyt szybko - zjedli kolację i nim się obejrzała, zupełnie nie przygotowana na to, co miało nastąpić, siedziała sama przed kominkiem w jadalni, podczas gdy Hooke-rowie wspinali się po drabinie do sypialnej części domu. Ty wyszedł do stajni, by sprawdzić, czy należycie zajęto się ich końmi i wołami, ale niebawem wróci, spodziewając się, że De-lia wejdzie z nim na poddasze, położy się w jego łóżku i po-zwoli mu ...

- Delio!

Drgnęła i podniosła wzrok, napotykać spojrzeń Tylera.

Włosy miał wilgotne i pachniał deszczem. Uśmiechał się uwo-dzicielsko.

- Nad czym tak dumasz, mała? Już myślałem, że będę musiał zagwizdać na palcach, by zwrócić twoją uwagę.

Poczuła, że zalewa ją fala gorąca.

- Tak tylko ... zastanawiałam się ...

Przestał się uśmiechać. Wpatrywał się w nią hipnotyzującym wzrokiem. W głębi jego ciemnoniebieskich oczu czał się głód.

- Chodź do łóżka, Delio - rzekł i zabrzmiało to jak rozkaz.

Oblizwała usta i wstała niepewnie, odruchowo cofając się o krok.

- M-muszę iść za potrzebą.

- Tylko nie marudź zbyt długo - mruknął.

Mokra trawa chłostała jej stopy, gdy biegła przez ciemne podwórze w kierunku wychodka. Wcale nie potrzebowała z niego korzystać, bo zrobiła to ledwie pół godziny wcześniej. Chciała tylko odwlec moment, gdy wstąpi na drabinę, by wylądować w ramionach Tyłera Savitcha.

Zadarła głowę i spojrzała w nocne niebo. Porywisty wiatr rozpędzał deszczowe chmury. Pośród sunących po niebie ławic obłoków mrugały gwiazdy.

Czy przyjdiesz do mnie? Mój Boże, a skąd miała znaleźć na to odwagę? Kochała go miłością zachłanną, olbrzymią, wręcz przerastającą ją samą. Nie wiedziała, że ludzkie serce może pomieścić tyle miłości i nie pęknąć. Obejmując się ramionami, stała na wietrze - miotana sprzecznymi uczuciami - strachu i pożądania. Wracając do zajazdu pięć minut później, nadal nie miała pojęcia, co powinna zrobić.

Ty czekał na nią u szczytu drabiny.

Znieruchomiała na jego widok, tak że ujął ją pod ramiona i niemal wciągnął przez drzwi w podłódze.

Kiedy ją objął i przytulił, bezwiednie zarzuciła mu ręce na szyję. Czowała teraz pod palcami napięte mięśnie jego pleców. Ich ciała przylegały do siebie tak ciasno, że Delia była pewna, iż Ty czuje bicie jej serca.

- Do licha, Delio, myślałem, że ten dzień nigdy się nie skończy. - Poczowała na włosach ciepło jego oddechu, a potem dotknięcie nogi, wciskającej się między jej uda. Na chwilę zabrakło jej tchu.

- Ty ... - zaprotestowała. Tylko że nie zabrzmiało to jak protest, raczej jak zaproszenie.

- Doprowadzasz mnie do szaleństwa, dziewczyno. Jeszcze chwila i eksploduję - mówił ochryplym, niskim szeptem. Musnął podbródkiem jej szyję i Delia zadrżała, tłumiąc jęk. Wyprostował się i ruchem głowy wskazał jedno z przepierzeń, dzielących poddasze na boksy sypialne. - Tam jest twoje miejsce - powiedział cicho. - Moje tuż obok. Na szczęście Hookerowie śpią na drugim końcu poddasza. Zaczekam, aż porządnie zasną, i wtedy przyjdę do ciebie ...

Serce podskoczyło Delii do gardła.

- Nie! Ja ... ja przyjdę do ciebie, Ty ...

Poczowała na ustach szybki, mocny, wilgotny pocałunek.

- Dobrze, tylko nie zwlekaj. Chryste, jak ja cię pragnę! _ Zanim odszedł, na chwilę zsunął dłoń z jej pleców na pośladki.

Delia leżała w ciemności na twardym sienniku. Minuta mijała za minutą, noc uciekała, a Tyler Savitch wciąż czekał na nią po drugiej stronie przepierzenia. Gdyby tylko - powtarzała sobie w duchu, po raz setny przewracając się z boku na bok - gdyby tylko była pewna, że ją kocha ...

Ale on jej nie kochał. Bo przecież by powiedział, że kocha.

Zgoda, mężczyźni nie szafują tym słowem tak jak kobiety. No i czyż nie dał jej różnych rzeczy?

Najpierw te śliczne bucki na czerwonych obcasach, potem mokasyny po matce ...

Niemniej wiózł ją do Marrymeeting, by została żoną innego mężczyzny. Jak się zachowa, jeśli ona pójdzie z nim dziś do łóżka? Czy ożeni się z nią? Czy może da jeszcze jeden prezent, pocałuje na pożegnanie i odda Nathanielowi Parkesowi? Ta myśl przepelniała jej serce nieznośnym bólem.

Nie kocha cię - myślała, wierząc się na szeleszczącym kuku-rydzianymi łuskami sienniku. Uderzyła pięścią w poduszkę. Nie kocha cię, i jeśli pójdziesz dziś do niego, będziesz nie lepsza niż uliczna dziwka, szmata, jak zwykł nazywać cię tatko.

A co z Natem Parkesem? Jemu też była coś winna. Spodziewał się, że zostanie jego żoną, matką jego córek. Patrz, Delio, co narobiłaś. Zakochałaś się w mężczyźnie, który nigdy cię nie pokocha, i obiecałaś zostać żoną innego, choć nigdy go nie widziałaś.

Delia odwróciła się na bok, wbijając wzrok w przepierzenie, za którym leżał Tyler Savitch i czekał na nią. Gotowa była wiele poświęcić w imię miłości do Tylera - dziewictwo, nawet honor, łamiąc obietnicę daną panu Parkesowi. Ale tylko gdyby była pewna, że Ty ją kocha. Gdyby była pewna ...

I chociaż mężczyzna, którego kochałaś, czekał na nią do rana za cienkim przepierzeniem, spędziła tę bezsenność sama. Myślała o nim, pragnęła go, ale do niego nie poszła.

Bardzo wcześnie rano Delia zeszła po drabinie do jadalni w nadziei, iż zanim przebudzą się pozostali, zdąży wypić filiżankę kojącej nerwy herbaty. Okazało się jednak, że Ty wstał przed nią - siedział przy stole z głową wspartą na złożonych rękach. Na odgłos jej kroków podniósł wzrok.

Spróbowała uśmiechnąć się beztrąsko.

- Dzień. dobry, Ty.

Wpatrywał się w nią przekrwionymi oczyma.

Obeszła stół, kierując się w stronę komórki, gdzie przechowywano sprzęt kuchenny i skąd wychodziło się na tylne podwórze.

Ty zerwał się, przewracając przy tym ciężką dębową ławę, i w dwóch krokach znalazł się przy Delii.

Chciała uciekać, ale potknęła się o wór pełen kukurydzianych łusek. Poderwała się błyskawicznie, ale Ty zdążył schwycić ją za rękę. Obrócił ją twarzą ku sobie i całym ciężarem ciała przycisnął do ściany.

- Zgnieciesz mnie! - zawołała, bardziej zła niż przestraszona.

Jakimś sposobem wiedziała, że Ty nigdy jej nie uderzy, choćby najbardziej go rozzłościła.

Cofnął się nieco, ale nadal więził ją, oparłszy dłonie o ścianę na wysokości jej ramion.

- Gdzie byłaś w nocy?

- Puść mnie.

- Nie.

- Rano jesteś zawsze taki wredny, że ...

- Gdzie byłaś w nocy?

- Nie powiedziałam, że na pewno do ciebie przyjdę. Po prostu źle mnie zrozumiałeś.

- Jezu! - odsunął się od ściany i przeciągnął dłonią po włosach. - Dlaczego mi to robisz?

- Jeśli sądzisz, iż wystarczy pstryknąć palcami, żebym poszła z tobą do łóżka, to się mylisz.

Ściągnął brwi, zmrużył oczy, a nozdrza mu zadrzały. Delia uświadomiła sobie z przestachem, że być może nie zna go tak dobrze, jak jej się zdawało, bo oto miała przed sobą człowieka ogarniętego zimną furją, nieobliczalnego i niebezpiecznego.

Istotnie, chyba go nie znała, gdyż nie minęła sekunda, a już śmiał się serdecznie, z głową odrzuconą do tyłu.

- Zabawna jesteś, mała. O ile dobrze pamiętam, to poznaliśmy się właśnie w moim łóżku.

Łzy napłynęły jej do oczu, kiedy pogłaskał ją po policzku, a potem przesunął dłonią po włosach, od skroni aż po kosmyki wijące się na jej piersi.

- Delio ... - zaczął, ale już go nie słuchała. Przemknęła obok niego i przez komórkę wybiegła na podwórze.

Nie zatrzymała się, dopóki nie nabrała pewności, że za nią nie idzie.

W Wells panowała ospa.

Epidemia już wygasła. Chorowały jeszcze tylko dwie osoby, stara kobieta i dziecko, i nikt nie spodziewał się, że dożyją rana. Ty i jego kompania zamierzali przenocować w miasteczku rozciągniętym na przestrzeni kilku kilometrów wzdłuż morskiego wybrzeża. Dowiedziawszy się jednak o epidemii, minęli Wells i rozbili obóz daleko za miastem.

Ty nawet nie czekał na kolację. Właśnie szykował się, by wsiąść na konia i wrócić do umęczonego miasta, kiedy dopadła go Delia.

- Ty, nie możesz tam wracać! - zawołała, chwytając go za ramię. - Co będzie, jeśli sam zachorujesz?

Nachylił się i pocałował ją w czubek nosa.

- Nie zachoruję, Delio. Byłem inokulowany.

Rozmawiali po raz pierwszy od porannej kłótni. Delia cieszyła się, że Ty już się na nią nie gniewa, lecz z drugiej strony wciąż była na niego wściekła. On należał do ludzi, którzy łatwo się unoszą, ale i łatwo wybaczą. Ona natomiast miała skłonność do chowania urazy w sercu i szybko o niej nie zapominała. Teraz mocniej zacisnęła dłoń na jego ramieniu.

- Ta inok ... to jakaś bzdura. Tak powiedział sir Patrick. -Prawdę mówiąc, nie miała pojęcia, co znaczy słowo "inokulacja".

Zdjął jej rękę z ramienia.

- Kiedy ty i sir Patrick pokażecie mi swoje dyplomy lekarskie, być może poświęcę nieco uwagi waszym opiniom. - Ty dosiadł konia i z góry spojrzął na zmartwioną, zagniewaną twarz dziewczyny. - Jestem lekarzem, Delio. Nie mogę zostawić chorych w potrzebie.

- Ale skoro i tak mają umrzeć ...

- Mogę pomóc im umrzeć bez zbędnych cierpień - odrzekł Ty. Zawrócił kłusaka i odjechał gościńcem w kierunku miasta, ścigany krzykiem Delii:

- Jesteś skończonym głupcem, Tylerze Savitchu! Jeśli złapiesz ospę, nie spodziewaj się, że będę cię pielęgnowała!

W wieczornej ciszy rozniósł się jego gromki śmiech. Delia patrzyła za nim rozkochanym, pełnym troski wzrokiem. Wiedziała, że na dobrą sprawę to, za co go kochała, było jednocześnie przyczyną jej obawy ... że go straci.

Delio, ty kapuściany głąbie! Jak można stracić coś, czego się nigdy nie miało?

Kilka godzin później Delia stała w ciemności na brzegu oce

anu, pozwalając falom przyływu zbliżyć się tuż do jej stóp. Oddychała głęboko rześkim powietrzem, przesyconym wonią morza i wodorostów.

Łagodna bryza miłośnie pieściła jej policzki.

Atlantyk rozciągał się przed nią niczym ogromna cynowa taca, w której odbijał się złoty puchar księżyca. Za plecami miała las, sięgający w tym miejscu plaży i nadbrzeżnych rumowisk skalnych.

Nieco po prawej stronie, zza wydm, bił blask ich obozowego ogniska, a na piasku kładły się ruchome cienie ludzkich postaci. Uszu Delii dobiegał monotony głos Caleba czytającego żonie jakiś rozdział

Biblii. Potem usłyszała za sobą odgłos kroków.

Napięła się, ale nie odwróciła głowy nawet wtedy, gdy Ty zarzucił jej płaszcz na ramiona. Pogłaskał ją lekko po szyi i cofnął rękę.

- Pomyślałem, że pewnie ci zimno - rzekł.

Nie odpowiedziała. Stał więc przed nią, nie zważając na wodę chlupocącą wokół butów. Wetknął jej we włosy gałązkę lawendy i uśmiechnął się chłopięcym, nieśmiałym uśmiechem.

Cóż to był za ujmujący drań! Potrafiłby uwieść żonę biskupa, i pewnie już jakąś uwiódł.

Ta myśl sprawiła, że Delia uśmiechnęła się nie znacznie, by zaraz potem zauważyć bez śladu wesołości:

- Pewnie myślisz, że jak będziesz dla mnie taki miły, to ci przebaczę.

Zaśmiał się i wzruszył ramionami.

- Jak dotąd nie zrobiłem niczego, co musiałybyś mi wybaczać.

- Dobrze sobie - odburknęła, ale uniosła dłoń i dotknęła drobnych kwiatków, które wsunął jej we włosy. W ciemności nie mogła odczytać wyrazu twarzy Tylera, lecz niemal fizycznie czuła na sobie jego spojrzenie.

Wystarczyło zrobić krok, by ich ciała się zetknęły, i Ty ten krok uczynił. Nie cofnęła się. Jakby z oddali słyszała plusk małych fal, rozbijających się o jego buty.

Powoli nachylił się ku niej, ale gdy ich usta już, już miały się spotkać, znieruchomiał, jakby chciał

sprovokować ją do przejścia inicjatywy. Czuła na twarzy jego ciepły oddech, gdy mówił:

- Pragniesz mnie, Delio.

Z trudem wydobyła głos ze ściśniętego gardła.

- Nie.

- Tak.

- Wcale ...

- Tak. Potrafię sprawić, byś mnie pragnęła.

Jego usta opadły na jej wargi, miażdżąc je w gwałtownym, zachłannym pocałunku. Jeśli chciała zaprotestować, to z chwilą gdy poczuła na ustach dotknięcie jego języka, było już za późno.

Z jej gardła wyrwał się cichy jęk. Miała wrażenie, że unosi się w powietrzu, podtrzymywana jedynie dłonią Tylera, spoczywającą na jej głowie. Wyciągnęła ręce i uczepliła się jego ramion, wpijając czubki palców w twarde mięśnie.

Cofnął się bez uprzedzenia i w ciemności zabłysły jego zęby.

Uśmiechnął się.

- Pragniesz mnie, Delio. Ale pomyślałem, że następnym razem postaram się, abyś to ty mnie prosiła.

Odszedł, zostawiając ją samą na ciemnej plaży, płonąca pożądaniami. Miał rację, potrafił sprawić, by go pragnęła.

9

Maleńka osada na przylądku Falmouth pachniała świeżo wańrzonym mydłem.

Zapach dobywał się z podwórza starego, warownego domu z surowych sosnowych bali, wznoszącego się dokładnie naprzeciwko głównego nabrzeża miejscowego portu. Przylądek Falmouth z trzech stron oblewały wody zatoki Casco.

W pękatym żelaznym kociołku zawieszonym nad ogniskiem gotowała się mieszanina tłuszczu i ługu z popiołu drzewnego. Stojąca obok ogniska kobieta mieszała w kotle długim polanem, mając za pomocnika kilkuletniego chłopca. Na widok podróżnych, z Tylerem na czele, wjeżdżających na podwórze, kobieta prze-rwała pracę. Odgarnęła włosy z oczu i nagle szeroki uśmiech okraślił jej twarz.

- Ty! - zawołała. Upuściła polano i pobiegła ku nadjeżdżającym. Ty zeskoczył z kłusaka i wyciągnął

ramiona. Rzuciła mu się w objęcia, a on podniósł ją w powietrze i mocno pocałował w usta.

Delia przyglądała się tej scenie ze złym uśmieszkiem. Nieznajoma kobieta była niewątpliwie w typie Tylera - jasnowłosa,

delikatnej budowy i - sądząc po tym, czym się właśnie zajmowała - czysta jak święta w niedzielę.

Właśnie klepnęła Tylera po plecach i cofnęła się o krok, przyglądając mu się z jawnym zachwytem.

- No, no, prezentujesz się wyśmienicie. - Uniosła ręce do włosów, potem wytarła dłonie w spódnicę wyblakłej sukienki z szarego płótna. - Do licha, Tylerze Savitchu, jak ty to robisz, że zawsze zjawiasz się, kiedy wyglądam jak strach na wróble?

- Wyglądasz pięknie, Suz - rzekł Ty.

Hookerowie już wysiedli z wozu, toteż i Delii nie pozostało nic innego, niż zsunąć się z siodła. Kiedy jednak doszło do prezentacji, trzymała się z tyłu. Kobieta nazywała się Susannah Marsten, była wdową i prowadziła faktorię w Falmouth. Miała pięcioletniego syna imieniem Tobias. Malec musiał

znać Tylera, podszedł do niego, a ten położył mu rękę na głowie.

Susannah stała tuż obok, tak blisko Tylera, że ich ramiona stykały się co chwilę, i śmiała się wyraźnie uszczęśliwiona. Delia pomyślała, że tych troje wygląda jak rodzina, i zalała ją fala piekającej zażdrości.

- Bardzo nam miło pana gościć, pastorze - rzekła Susannah, kiedy Ty przedstawił jej Hookerów. -

Panią też, Mrs. Hooker. Brakowało nam tutaj duchownego.

Caleb uśmiechnął się szeroko, odsłaniając zachodzące na siebie zęby.

- Z tego, co mówił Ty, wywnioskowałem, że zatrudniono mnie tylko po to, by Merrymeeting zyskało status miasta.

- Och, proszę nie traktować poważnie tego, co mówi Tyler. Uwielbia się przekomarzać - zaśmiała się Susannah i uniosła wzrok na Tylera. Oczywiście miała niebieskie jak chabry - z zazdrością spostrzegła Delia.

- A to jest Delia. Dziewczyna, którą wiozę dla Nata - oznajmił Ty i skinął na Delię. - Pokaż się, mała.

Od kiedy to jesteś nieśmiała jak stara panna?

Delia podniosła hardo głowę i postąpiła naprzód.

- Chciałam być uprzejma i nie przeszkadzać starym przyjaciółom w powitaniu.

Ty, rzecz jasna, zrobił wściekłą minę, a Susannah uważnie przyjrzała się Delii i przeniosła wzrok na stojącego obok niej mężczyznę. Delia z przyjemnością zauważyła wyraz niepokoju na jej twarzy.

Zapadło niezręczne milczenie.

- Na pewno chce się wam pić - odezwała się wreszcie gospodyni.

Ty odwrócił się od Delii, którą bez większego powodzenia próbował spiorunować wzrokiem, objął

Susannah w pasie i uściśnął poufale.

- Jestem tak spragniony wody, że zaraz zacznę kwakać jak kaczka.

Susannah wybuchnęła śmiechem.

- A więc zapraszam do środka. Wszystkich. Otworzę świeżą beczkę piwa. I Ty ... mam tu kogoś, kogo powinieneś zbadać. - Poruszając się z niewymuszonym wdziękiem, poprowadziła ich ku wejściu do domu. - Ten stary leśny potwór, Wielka Łycha, przyszedł do miasta sprzedać skóry. Przeprowadził

swoją squaw. Dziewczyna jest bardzo chora.

Weszli do długiego pomieszczenia z kominkiem w kącie, przed którym stała ława i kilka krzeseł. Duży stół i kredens z klonowego drewna, wypełniony angielskim szkłem, dopełniały wyposażenia pokoju.

Obok kredensu wisiał na jelenich rogach muszkiet, zaczepiony lufą w dół za osłonę spustu. Z kołków nad gzymsem kominka zwieszały się cztery miedziane rondle.

Sklepową część pomieszczenia oddzielało od części mieszkalnej metrowej wysokości przepierzenie z wahadłowymi drzwiczkami. Wzdłuż jednej ze ścian ciągnął się tu szeroki kontuar, a za nim półki, pełne wszelkiego dobra - od guzików i podwiązek po ostrza siekier i olej do lamp.

Niemal całą powierzchnię sklepu wypełniały baryłki z rumem, garnce jabłecznika, bele bobrowych i niedźwiedzich skór oraz koce i sznury paciorków, którymi handlowano z tubylcami. Jedynie wąskie przejście prowadziło od drzwi do kontuaru.

Przed kominkiem siedział jakiś mężczyzna. Podniósł się, kiedy nowi goście weszli do pokoju. Od stóp po głowę ubrany w jelenie skóry, wyplamione tłuszczem i zaschniętą krwią, miał siwe, opadające na twarz włosy i zmierzwioną brodę. Ciemne małe oczka bacznie obserwowały przybyłych.

Ktoś leżał na sienniku u jego stóp. Kiedy Ty i jego towarzysze podeszli bliżej, w ich nozdrza uderzył

nieznośny odór krwi i wymiocin. Smród był tak silny, że Elizabeth omal nie zwymiotowała.

- Lizzie, może powinnaś poczekać na zewnątrz - rzekł Caleb. Ku zdziwieniu Delii Elizabeth z rozdrażnieniem, wręcz ze złością odburknęła:

- Głupstwa wygadujesz, Calebie. Biedna dziewczyna potrzebuje naszej pomocy.

Zdaniem Delii dziewczyna potrzebowała przede wszystkim pomocy Tylera. Gdy klęknął przy niej, spojrzała nań wielkimi oczyma, głęboko zapadniętymi w wychudzonej twarzy. Miała proste, czarne włosy i spiczasty podbródek. Wyglądała co najwyżej na czternaście lat.

Susannah Marsten odsunęła słój z niedźwiedzim sadłem i garnek z fasolą, robiąc miejsce na kontuarze.

- Połóż ją tutaj, Łycha. Doktor będzie mógł biedaczkę lepiej obejrzeć - powiedziała i wzięła się za dokładanie drew do kominka, rozżarzone węgle odgarniając na bok, by potem postawić na nich czajnik. Elizabeth pospieszyła jej z pomocą.

Ty sam dźwignął Indiankę z brudnego siennika i ostrożnie złożył na blacie kontuaru. Powiedział coś do niej w tubylczym języku. Delia z pewnym zdziwieniem słuchała gardłowych dźwięków dobywających się z ust - było

nie było - białego dżentelmena.

Ty rozsznurował z przodu skórzaną sukienkę dziewczyny i przesunął dłońmi wzdłuż mostka w dół, w kierunku brzucha. Indianka uśmiechnęła się. Straciła większość zębów, z dziąseł sączyła się krew, ale jej uśmiech był niemal radosny i Delia widziała, jak grymas bólu znika z ciemnej twarzy.

Jego dłonie potrafią czynić cuda - pomyślała z dziwną mieszaniną dumy, podziwu i Poczucia własności. Patrzyła na ostry profil Tylera Savitcha nachylonego nad Indianką. Uśmiechał się kojąco, jakby chciał dodać jej otuchy. W tej chwili Delia kochała go bardziej niż kiedykolwiek.

Stary traper przyczłapał do kontuaru.

Co jej jest, doktorze?

- Jej chorobę wywołało złe odżywianie. Nie możecie całymi miesiącami jeść tylko solonego mięsa i

sucharów. _ Tu Tyler powiedział coś do dziewczyny w języku Abenaków, a ta poważnie skinęła głową. - Ugotuj jej garnek zupy z krabów i przypilnuj, żeby zjadła do ostatniej łyżki. Potem niech wypije kilka kubków piwa na pędach świerkowych. Możesz to zrobić?

- A jużci. Będzie żyła?

- Jeśli zaczniesz ją odpowiednio żywić. Piwo świerkowe, zielenina i warzywa niemal co dzień. Leśne owoce i jabłka, świeże w sezonie, zimą suszone lub w postaci przetworów. Teraz dam ci coś z moich leków. Podasz jej to z herbatą, pomoże zatrzymać biegunkę•

Stary traper pokiwał głową. Wziął dziewczynę na ręce i bez słowa poszedł za Tylerem na podwórze.

Susannah patrzyła za nimi, wzdychając i kręcąc głową.

- Ten Łycha to kompletny wariat. Biedna dziewczyna. Chociaż myślę, że w głębi serca stary dureń jest do niej szczerze przywiązany. - Jeszcze raz westchnęła i z uśmiechem zwróciła się do Hookerów, stojących przed kominkiem. - Muszę się wziąć do obiadu. Mam nadzieję, że zostaniecie przynajmniej do jutra.

- Ja też - odrzekł Caleb i westchnął. Minęły dwa tygodnie, odkąd opuścili Wells. Dwa tygodnie wyczerpującej podróży przez bezdroża Maine. - Ty wspomniał, że resztę drogi do Merrymeeting odbędziemy szkunerem. Domyślam się, że nie ma innej możliwości.

- Tu, w Falmouth, kończy się trakt pocztowy. Wokół zatoki prowadzi jeszcze ścieżka, jeleni szlak. Ale tamtędy trudno przejechać na koniu, a co dopiero wozem ciągnionym przez woły! Szkuner kapitana Abbotta cumuje

powyżej ujścia rzeki. Jutro was zabierze. Stary pirat ma dług wobec Tylera, bo przedostatniej zimy zapadł na płuca, a Ty go z tego wyciągnął.

- Jak daleko jest stąd do Merrymeeting? - zapytała Delia, choć dotąd Susannah udawała, że jej nie zauważa.

- Niedaleko. Statkiem dopłynię się w ciągu jednego dnia, dla tego większość ludzi korzysta z drogi morskiej ... - Pogłaskała czuprynę syna, który trzymał się matczynej spódnicy i szeroko rozwartymi, niebieskimi oczyma patrzył na wszystko, co działo się dookoła. - Toby, może byś pobiegł na strych i przyniósł wiązkę kolb kukurydzianych? Uprażymy sobie przed obiadem trochę kukurydzy i wypijemy szklaneczkę lub dwie. Ty bardzo to lubi. - Roześmiała się niemal dziewczęcym śmiechem i obejrzała w stronę drzwi, w których właśnie pojawił się Ty, schylając się, by nie uderzyć głową o niską ościeżnicę. - Mam na myśli szklaneczkę, nie kukurydzę - dodała i znów wybuchnęła śmiechem na widok skrzywionego półśmiechu Tylera.

Dzień drogi statkiem - myślała Delia. To znaczy, że jutro będą w Merrymeeting i Ty odda ją Nathanielowi Parkesowi. Zo stanie żoną mężczyzny, którego twarzy nigdy nie widziała. Będzie mieszkała niedaleko Tylera, będzie go od czasu do czasu widywała na tańcach albo przy pracy i może w niedzielę, jeśli raczy przyjść na nabożeństwo. Jeśli zachoruje, Ty przyjdzie, uśmiechnie się do niej i dotknie jej swymi magicznymi dłońmi. A jeśli będzie miała dzieci ...

Co ranka będzie się budzić z nadzieją, że być może dziś ujrzy jego twarz. Sądziła, iż tego właśnie pragnęła. Ale, dobry Boże, skąd jej przyszło do głowy, że to wystarczy!

Susannah Marsten przygotowywała ciasto na suchary, energicznie kręcąc łyżką w drewnianej misce pełnej mąki i maślanki. Delia siedziała po przeciwnej stronie stołu na kamieniu do ostrzenia noży i łuskała fasolę do trzymanego na podolku garnka. Trzaskanie strąków i postukiwanie łyżki były jedynymi dźwiękami zakłócającymi martwą ciszę.

Oprócz Delii i Susannah w pomieszczeniu znajdował się tylko mały Tobiasz, zajęty obracaniem różną, na którym piekła się ćwiartka sarniny. Delia miała wrażenie, iż to ona jest przyczyną złego humoru gopodyni. I, Szczerze mówiąc, sama też czuła się trochę nieswojo.

Po zjedzeniu miski prażonej kukurydzy i wypiciu kilku szklaneczek piwa z jajami, słodzonego melasą i wzmocnionego rumem, Ty i Caleb poczuli się senni i ociężali niczym dwa kocury

wygrzewające się na słońcu. Z niejakim trudem Ty zmusił się do wyjścia

z domu. Chciał odszukać kapitana Abbotta i omówić z nim sprawę jutrzejszego lub pojutrzejszego rejsu do Merry-meeting.

Caleb postanowił mu towarzyszyć, choć chwiał się nieco na swych długich, chudych nogach.

Co pewien czas Susannah popatrywała ku zamkniętym drzwiom sypialni, dokąd przed godziną udała się Elizabeth Hooker, stwierdziwszy, że musi odpocząć przed obiadem.

- Czy pani Hooker jest chora? - spytała wreszcie, gdy nieprzyjemna cisza zanadto dała jej się we znaki.

- Nie sędzę. - Delia wzruszyła ramionami. - Jest trochę zmęczona długą jazdą. Przywykła do wygodniejszego życia. Jej tatko jest pastorem w kościele na Brattle Street w Bostonie.

Susannah parsknęła z pogardą i Delia uświadomiła sobie, że obmawia Elizabeth, choć wcale nie miała takiego zamiaru.

- Pani Hooker zawsze była dla mnie bardzo miła - dorzuciła pospiesznie, ale to tylko pogłębiło wyraz pogardy na twarzy jej rozmówczyni.

Susannah postawiła naczynie z ciastem na gzymsie kominka, żeby rosło, zanim nagrzej się piec.

Dotknęła ramienia syna i mruknęła:

- Toby, skocz do chłodni i przynieś mi dzbanek mleka. Chłopiec posłusznie ruszył wykonać polecenie.

- Dobre dziecko z tego pani syna, ale mało rozmowne - zauważyła Delia.

- Przy obcych zawsze jest nieśmiały. Do wieczoru będzie wszystkim chodził po głowach.

Susannah przeciągnęła się, wytarła ręce w fartuch. Po wyjściu Tylera przebrała się w nową spódnicę i krótką suknię z dekoltem odsłaniającym sporą część uniesionych przez gorset piersi. Głowę okryła długą haftowaną chustą, która opadała jej na ramiona. Zaczesane do tyłu włosy stanowiły doskonałe tło dla twarzy o delikatnych rysach, wesołych ustach, zadartym nosku i drobny, spiczastym podbródkiem.

Jest piękna - pomyślała ze strachem Delia. I taka inna niż ona sama.

Susannah odwróciła się od kominka i Delia szybko opuściła wzrok na garnek z fasolą. Czuła na sobie taksujące spojrzenie kobiety i zeszywniała mimowolnie. Podciągnęła nogi, opierając stopy o krawędź kamienia, jakby potrzebowała oparcia.

- Ładne mokasyny - powiedziała Susannah, uśmiechając się wymuszenie.

- Dostałam je od Tylera. Należały do jego matki - odparła Delia z

triumfalnym błyskiem w oku.

Susannah nachmurzyła się, co jeszcze bardziej poprawiło samo-poczucie Delii.

- Oo ... to ładnie z jego strony - bąknęła gospodyni.

Delia poczuła, że nie zazna spokoju, jeśli nie dowie się prawdy.

A jedynym sposobem poznania prawdy było zadanie pytania o istotę rzeczy ...

- Czy pani sypia z Tylerem?

Susannah drgnęła, a jej twarz okryła się ciemnym rumieńcem.

- Oczywiście, że nie! I jak śmiesz nawet posądzać mnie o takie świństwa! - zawołała, co zdaniem Delii niechybnie oznaczało, że jeśli tego dotąd nie zrobiła, to na pewno o tym myślała, prawdopodobnie nie raz.

Po długiej chwili napiętego milczenia Susannah rzuciła:

- A więc jedziesz do Merrymeeting, żeby wyjść za Nathaniela Parkesa?

- Tak ... jeśli będziemy do siebie pasowali - odparła Delia i po kolejnej chwili milczenia dodała: - Jak to się stało, że pani go nie poślubiła?

Susannah porwała ze stołu rondel z obłuskaną fasolą, by zaraz odstawić go z trzaskiem. Jej twarz miała kolor dojrzałych jabłek. - Nigdy mi się nie oświadczył.

Delia uśmiechnęła się nieznacznie.

- Nie miałam na myśli Tylera, ale pana Parkesa. Pani straciła męża, on żonę, więc byłoby rzeczą naturalną, gdybyście się zeszli. Skończyłam z tą fasolą.

Susannah przez chwilę nie była w stanie wykrztusić słowa.

Stała nieruchomo jak posąg z na wpół otwartymi ustami. Wreszcie warknęła:

- Naczynia są w górnej szufladzie kredensu. Może byś zaczęła nakrywać do stołu.

Delia przesypała fasolę do rondla i podeszła do kredensu. We wskazanej szufladzie znalazła cynową zastawę i lniane serwetki. Wszystko w bardzo dobrym guście. Ty byłby zadowolony.

- Jeśli o to chodzi, to Nat mi się oświadczył - rozległo się za plecami Delii. - To dobry człowiek, ale nie pasowaliśmy do siebie.

A to znaczy - pomyślała Delia - że ona czeka na lepszą propozycję. Od Tylera Savitcha.

Ty zjadł trzy grube plastry pieczonej sarniny i osiem sucharów maczanych w sosie.

Posprzątawszy po obiedzie, Susannah wyjęła z komórki par-ciany worek i oznajmiła, że zabiera Tobiasa i idzie do młyna. Mówiąc to, patrzyła na Tylera, ale ten, choć się miło uśmiechał, nie zaproponował jej swojego towarzystwa.

Caleb i Elizabeth usiedli na ławie przed kominkiem i nieba-wem rozległ się melodyjny głos pastora czytającego Biblię. Ty

usadowił się na stołku zrobionym z pustej baryłki obciążonej foczą skórą i wziął się do czyszczenia strzelby. Zapomniana fajka leżała na podłodze. Delia przycupnęła obok Tylera na kamieniu do ostrzenia noży - tak blisko, jak mogła się odważyć, nie zwracając na siebie uwagi. Z nie uświadomioną zazdrością przyglądała się szczupłym dłoniom Tylera manipulującym bronią tak delikat-nie, jakby pieściły ciało kobiety. Zastanawiała się, czy nadcho-dzącą noc Ty spędzi w łóżku Susannah Marsten.

Caleb zaczynał właśnie czytać ulubiony psalm Delii, Dwu-dziesty drugi, kiedy rozległo się głośne pukanie do drzwi. Ty odłożył strzelbę na podłogę i wstał. Okazało się jednak, że po wyjściu Susannah nikt nie zablokował klamki i oto drzwi otwały się z trzaskiem, i stanęło w nich przedziwne monstrum w kobie-cej postaci. Przybyła energicznie przekroczyła próg, zatrzymała się, potoczyła wzrokiem po pokoju, aż wreszcie jej spojrzenie spoczęło na Tylerze.

Na jej widok Ty wytrzeszczył oczy, a z ust wyrwało mu się ciche:

- O cholera!

Obejrzał się, jakby w nadziei, że znajdzie dodatkowe wyjście z pokoju.

Kobieta postąpiła krok naprzód i Ty cofnął się tak, by mieć baryłkę między sobą a nią. Ona zaś przystanęła w pół drogi do kontuaru, wycelowała w Tylera tłusty paluch i pokiwała nim w sposób wyrażający oczywistą groźbę.

- Nie uciekniesz przede mną, obwiesiu, więc nawet nie próbuj.

Dowiedziałam się od siostry, że dziś rano przyjechałeś do miasta.

- O ile pamiętam, wcale się z tym nie kryłem, Saro Kemble -rzekł Ty. - Witaj, Obadiah - dodał i skinął

głową drobnemu, chudemu mężczyźnie, ledwo widocznemu zza ogromnej figury kobiety. Miał siwe wąsy z żółtymi plamami od tytoniu i małe, blade oczka, przypominające pestki dyni, wpółzakryte ciężkimi, sennymi powiekami ... Ty uśmiechnął się doń nieznacznie.

- Co was sprowadza do Falmouth, ludziska?

Obadiah Kemble już otwierał usta, ale żona go ubiegła.

- Przyjechaliśmy w odwiedziny do mojej siostry, ale to nie twoja rzecz. Nie przyszedłem tutaj rozmawiać o swoich sprawach.

Sara Kemble uderzyła biodrem w wahadłowe drzwiczki prowadzące do mieszkalnej części pomieszczenia i już stała na środku jadalni. Mąż podążył za nią cicho jak cień.

Miała na sobie pikowaną spódnicę i biały czepiec z mnóstwem wstążek, co przy jej tuszy dawało taki efekt, że wyglądała jak statek pod pełnymi żaglami. Wzięła się pod boki i spojrzała po obecnych. Jej wzrok prześliznął się po Delii i zatrzymał na Hookerach. Już z chwilą jej wejścia Caleb podniósł się

grzecznie i teraz spróbował się uśmiechnąć, na co nie zwróciła najmniejszej uwagi. Jej przymrużone oczy o dziwnie krótkich rzęsach znów zwróciły się ku Tylerowi.

- No, gdzie on jest? Coś z nim zrobił? Ty usiłował przybrać minę niewiniątka.

- Co zrobiłem z kim?

- Nie udawaj durnia, Tylerze Savitch. Posłaliśmy cię do Bostonu, żebyś przywiózł nam pastora, a ja nie widzę tu nikogo takiego. Znając ciebie, przypuszczam, że piłeś i łajdaczyłeś się, miast zająć się czym należało.

Widać było, że Ty z trudem powstrzymuje się od śmiechu, ale Delia spostrzegła, że nadal pilnuje, by mieć baryłkę między sobą a panią Kemble.

- Bynajmniej. Właśnie patrzyłaś na naszego pastora.

Sara Kemble odwróciła się ku Calebowi tak gwałtownie, aż zatrzęsł się jej podwójny podbródek. Tym razem uważniej przyjrzała się pastorowi, mierząc go wzrokiem od kapelusza o krągłej główce po trzewiki o kwadratowych noskach.

Caleb przełknął ślinę, aż podskoczyło mu jabłko Adama.

- Jak pani się miewa ... ee ... pani Kemble?

Sara uniosła wysoko brwi, wzięła głęboki oddech i huknęła z głębi piersi:

- Co? Przecież on wygląda tak, jakby dopiero co wyjęto go z kołyski!

- Jednakowoż zdążył już uzyskać dyplom magistra teologii na Harvardzie - oznajmił Ty, uśmiechając się do Caleba.

- Też coś! - Sara Kemble prychnęła pogardliwie, a całe jej nadzwyczaj obfite ciało zatrzęsło się z irytacji. - My tu w Merymeeting jesteśmy ludźmi prostymi - rzekła w stronę Caleba - ale bogobojnymi. Na nic nam przemądrzali teologowie z Harvardu.

- To tak ... cóż, ja ... - Caleb spojrział na Tylera z niemym błaganiem o pomoc, ale ten udał, że niczego nie widzi.

Sara Kemble ponownie wzięła się pod boki.

- A ty co? Zapomniałeś języka w gębie? Co się tak jąkasz?

Jak możesz odprawić przyzwoite nabożeństwo, jeśli język ci się płacze na co drugim słowie? Nie nauczyli cię mówić na tym całym Harvardzie?

- Ja, ee ... - Caleb głośno przełknął ślinę i drżącą dłonią próbował rozluźnić kołnierzyk. Następnie ściągnął Elizabeth z krzesła i wypchnął ją przed siebie. - To jest. .. ee ... moja żona, Elizabeth.

Elizabeth Hooker.

Delia była dumna ze swojej przyjaciółki, bo ta całkiem nieźle poradziła sobie z Sarą Kemble. Na początek mierzyły się wzrokiem i to starsza kobieta pierwsza zamrugała i spuściła oczy. Potem Elizabeth złożyła grzeczny, choć powściągliwy ukłon i powiedziała:

- Witajcie, matko Kemble.

Był to już nieco staroświecki sposób zwracania się do zamężnych kobiet średniego stanu, żon farmerów czy rzemieślników. W taki oto sposób pani Kemble została napomniana, gdzie jest jej miejsce.

Sara uważnie przyjrzała się Elizabeth oczyma koloru błota i z aprobatą skinęła głową.

- No, dobrze. Przynajmniej twoja żona ma poukładane w głowie - mruknęła pod adresem Caleba. -

Ale, ale ... - dodała, zwracając się do Tylera, a wyraz aprobaty zniknął z jej twarzy. - To mi coś przypomniało ... Czy przywiozłeś żonę dla Nathaniela, jak obiecałeś?

- Właściwie ...

Ale wzrok Sary Kemble już spoczął na Delii.

- A więc to ona, tak? Wstań no, dziewczyno.

Delia podniosła się z wolna, odruchowo zadzierając podbródek.

- A niech cię, Tylerze Savitch! Przecież każdy, kto ma choć odrobinę oleju w głowie, zaraz się połapie, że to zwykła dziwka.

Delia zeszywniała jak uderzona.

- Ależ, Saro, nie możesz się spodziewać ... - zaczął Ty.

- Spodziewałam się, że masz dość rozumu, aby przywieźć Nathanielowi przyzwoitą kobietę, która mogłaby zostać jego żoną i matką biednych dziewczuszek. A ty sprowadzasz tu coś takiego. Wstydź

się, Tylerze Savitchu.

Wiedziałam, że tak będzie. Mówiłam panu Kemble'owi, że w takiej sprawie nie należało ci ufać. -

Szukając potwierdzenia swych słów, pani Kemble odwróciła się ku mężowi, który nadal krył się za przepierzeniem. -Czyż nie tak, panie Kemble? Teraz widzisz, że miałam rację.

- Tak, moja duszko - bąknął Obadiah, rzucając Tylerowi przepaszające spojrzenie.

Ty zerknął na stojącą obok niego Delię, sztywno wyprostowaną i bladą jak chusta.

- Nat prosił, żebyś zrobił, co będzie w mojej mocy. To, że Delia pracowała w szynku, nie znaczy, że jest...

- Wiemy, czym ona jest. A ty jesteś leniem, Tylerze Savitchu. Gdzie szukałeś żony dla Nata?. Oczywiście, nie dalej niż w knajpie, gdzie ona pracowała. Nie wmawiaj mi, że z wszystkich niezamężnych kobiet w Bostonie ta mała dziwka była najlepszą kandydatką...

- Ooo nie! - Delia złapała strzelbę Tylera, trzymając ją niczym pałkę. - Jeszcze raz nazwij mnie dziwką, ty stara rajfuro, a owinę tę strzelbę wokół twojej tłustej, pomarszczonej szyi!

Sara Kemble rozdziawiła usta. Cofnęła się o dwa kroki i przycisnęła dłoń do piersi.

- Zmiłuj się, Panie Boże. Niech ktoś coś zrobi. Ona chce mnie zastrzelić!

- Właśnie, zastrzelić albo jeszcze gorzej. - Delia uniosła strzelbę nad głowę. - Masz natychmiast odwołać wszystko, co o mnie mówiłaś, ty spasiona wiedźmo!

Sara zachłysnęła się, aż zafalował jej gigantyczny biust.

- Nazwała mnie wiedźmą!

- A tak, w Bostonie wieszamy takie jak ty. Założę się, że gdyby dać ci miotłę, tobyś wyfrunęła przez komin.

Pani Kemble odwróciła się na pięcie i roztrzając ciałem skrzydła wahadłowych drzwiczek, puściła się truchtem ku wyjściu. Podłoga dudniła pod jej stopami. Zmagając się z klamką drzwi na taras, obejrzała się lękliwie. Spostrzegłszy, że Delia jej nie goni, już stojąc w drzwiach, odwróciła się ku zebranym w mieszkalnej części pomieszczenia. Jej twarz wykrzywił gniew.

- Jeszcze pożałujesz, bezczelna dziewucho. I ty też, Tylerze Savitchu. Oboje będziecie przeklinać ten dzień.

Wyszła, trzaskając drzwiami. Zaraz jednak uchyliła a je i wrzasnęła:

_ Panie Kemble! Długo mam czekać?

Obadiah spojrział na Delię, a na jego twarzy pojawił się wyraz szczerego podziwu. Następnie poczłapał

ku wyjściu.

Zapanowała cisza. Ku zaskoczeniu Delii Elizabeth Hooker podbiegła do niej i objęła ją serdecznie.

_ Och, Delio, taka jestem z ciebie dumna. Wspaniale stawiałaś czoło tej okropnej kobiecie. - Elizabeth uściskała Delię, a potem miażdżącym spojrzeniem obrzuciła Caleba i Tylera. - I to bez żadnej pomocy ze strony obecnych tu dżentelmenów, którzy najwyraźniej zapomnieli języka w gębach.

Caleb zrobił skruszoną minę i nagle zgiął się wpół i zaczął trząść ze śmiechu.

_ A to dopiero, Ty, widziałeś twarz tej jędzy, kiedy Delia zagroziła, że owinie strzelbę wokół jej tłustej szyi?

Tyler zaciskał usta, najwyraźniej próbując powściągnąć roz-bawienie, ale nie wytrzymał i wybuchnął gromkim śmiechem.

_ A jak sapała! Myślałem, że pęknie ze złości! - zawołał i klepnął Caleba w plecy, jakby to jemu

gratulował poskromienia Sary Kemble. Tylko Delia się nie śmiała.

_ Od lat - ciągnął Ty - ludzie w Merrymeeting zachodzili w głowę, jak utrzyć nosa kochanej pani Kemble. Niech no się tylko rozniesie, co się tu dziś wydarzyło! Stara wiedźma nie będzie mogła nosa za drzwi wystawić, żeby ktoś nie ...

_ Nie ma się z czego śmiać - odezwała się Delia. Śmiech ucichł, wszyscy zwrócili na nią wzrok.

_ Nie ma się z czego śmiać - powtórzyła i rzuciła Tylerowi strzelbę, tak nagle i mocno, że z trudem udało mu się ją złapać. - Nazwała mnie dziwką, a ja swoim zachowaniem udowodniłam, że zasługuję na to określenie, prawda?

_ Ależ, Delio ... ! - Ty spróbował objąć Delię za ramiona, ale zeszywniała i cofnęła się•

_ Prawdziwa dama nigdy by się tak nie zachowała, dobrze o tym wiesz - powiedziała i spoglądając na Caleba, dorzuciła: -

Wszyscy o tym wiecie.

Nie rozplakała się, choć strasznie chciało jej się płakać. Odeszła powoli, niepewnie stąpając na sztywnych nogach. Przemierzyła

tak całą odległość do drzwi i wyszła na taras. Ale, w odróżnieniu od Sary Kemble, mijając próg, nie spojrzała za siebie.

10

Delia stała na najbardziej wysuniętym w morze skrawku skałistego cypla i tęsknym wzrokiem spoglądała w przestwór oceanu. Wody zatoki obmywały dziesiątki wysepek, które wyglądały jak flotylla statków płynących w paradnym szyku.

Wychyliła się i spojrzała w dół, na wąski pas plaży, po odpływie pełen kałuż i pokrytych wodorostami skał. Dokładnie na linii przyływu czepiała się urwiska samotna sosna. Krążyła nad nią para mew, skrzeczając rozgłośnie jedna przez drugą. Czyżby to była kłótnia kochanków?

- Delio! Zejdź stamtąd!

Odwróciła się. Tyler Savitch stał pośród rumowiska zwęglonych belek, które niegdyś musiały tworzyć palisadę fortu. Nawet z tej odległości Delia wyczuła napięcie w jego głosie. Jakby się obawiał, że skoczy z urwiska. Nie wiedzieć czemu, rozśmieszyło ją to. Co za głupek! Gdyby chciała rzucić się do morza, zrobiłaby to w Bostonie i oszczędziła sobie całego mnóstwa sercowych cierpień, nie mówiąc już o bąblach na tyłku od jazdy na tym przeklętym koniu.

Opuściła skraj urwiska i podeszła ku niemu, zatrzymując się dopiero wtedy, gdy stanęła z nim twarzą w twarz. Przyglądał się jej, kciuki obu dłoni zahaczywszy o pas, stojąc na szeroko rozstawionych nogach z biodrami nieco podanymi do przodu. Co tu dużo mówić, była to bardzo męska poza. Delia uśmiechnęła się w duchu.

Wiatr zwał jej kosmyk włosów na usta. Ty odgarnął go z jej twarzy, założył za ucho, a ona poczuła, że od delikatnego dotknięcia jego palców krew żywiej popłynęła w żyłach.

- Kochasz się w Susannah Marsten?

Wyglądał na zaskoczonego tym pytaniem. Zarumienił się-jednako. Potem zaśmiał się wymuszenie.

- Do licha, Delio! Pewnego dnia napytasz sobie biedy przez ten długi język.

- Kochasz ją?

Starli się wzrokiem i po chwili nieszczerzy uśmiech wypełził mu na twarz.

- Niepotrzebnie się złościsz. Susannah i ja jesteśmy po prostu dobrymi przyjaciółmi.

Ty jesteś dla niej kimś więcej - pomyślała Delia, ale nie powiedziała tego. Bąknęła tylko: _ Ładna z niej kobieta.

_ Owszem, jest ładna ... - Ujął jej rękę i przycisnął usta do dłoni, a w jego oczach zabłysło coś jakby łagodne wyzwanie. - Ale ty też.

Ku nieskrywanej przyjemności Delii Ty trzymał ją za rękę, kiedy wracali przez ruiny fortu. Czując

dotyk jego silnych palców, miała wrażenie, że stanowi część kroczącego obok mężczyzny. Dłoń miał

ciepłą, jej dotknięcie działało na nią pobudzająco, a jego siła sprawiała, że czuła się bezpieczna, chroniona. Oddychali w jednym rytmie i Delia zastanawiała się, czy ich serca też biją jak jedno.

Mogłaby tak iść bez końca, z dłonią w jego dłoni.

_ Te ruiny to jest wszystko, co zostało ze starego Fort Loyal. - Ty machnął ręką w kierunku resztek palisady i zburzonego blok-hauzu. _ Został zniszczony podczas ostatniej wojny z Indianami. Już go nie odbudowano, pewnie dlatego, że nigdy nie było z niego wielkiego pożytku.

Lufę porzuconego działa okrył czerwonawy nalot rdzy. Nie było skierowane ku morzu, jak należało oczekiwać, lecz w stronę zbocza, u którego stóp wznosiły się suszarnie ryb Falmouth Neck. Suszarnie miały kształt drewnianych stelaży, na których pod-suszano oceaniczne dorsze, by potem, zasolone i załadowane w beczki, mogły trafić do naj dalszych zakątków świata. Kilkoro mężczyzn i kobiet otoczonych gromadą dzieci uwijało się między suszarniami, odwracając ryby. Słony zapach dorsza wypełniał powietrze, mimo iż od zatoki nadlatywały podmuchy bryzy.

Ty przystanął, oparł się o działo i przyciągnął Delię ku sobie.

Opasał ją ramionami, a wtedy ona naturalnym gestem objęła go w talii. Wiatr trzepotał rękawami jego koszuli, owijał spódnicę wokół jej nóg. Ty splótł dłonie na plecach Delii, mocniej przy-ciskając ją do siebie. Poczowała żar jego ciała i w jednej chwili ogarnęła ją gorączka pożądania. Bo właśnie pożądanie kryło

się za tą nagłą suchością w gardle, uczuciem braku powietrza w płucach.

Aby uspokoić bicie serca, Delia spojrzała w kierunku zatoki i dalej, ku bezmiarowi oceanu.

- Kiedyś marzyłam o dalekich morzach. O żeglowaniu do róż-nych ciekawych miejsc. Na przykład do Indii. Albo nawet do Anglii. - Zaśmiała się cicho. - A jutro mam płynąć do miejsca zwanego Sagadahoc Territory, miejsca, o którym nigdy nawet nie słyszałam, i wcale nie jestem podniecona.

Jestem przerażona. - Jej oczy odszukały jego twarz. - Czy ty nigdy nie ma-rzyłeś, Ty?

Odetchnął głęboko i przez chwilę milczał. Wreszcie odrzekł:

- Nigdy nie marnowałem czasu na marzenia.

Delia miała jednak uczucie, że skłamał.

Kiedy mówił, wpatrywała się w jego usta. Pamiętała, jak bar-dzo pragnęła przesunąć końcami palców po zmysłowej dolnej wardze Tylera, kiedy spotkała go po raz pierwszy.

Uczyniła to teraz.

Jego usta poruszyły się pod jej palcami.

- Czy wybiegłaś z factorii tak nagle, bo miałaś nadzieję, że pójdę za tobą?

- Tak - przyznała. - Tak.

- I poszedłem. - Wyprostował się, zsunął dłonie na pośladki dziewczyny i gwałtownie szarpnął ją ku sobie. - I cholernie do-brze wiesz, dlaczego - wychrypiał.

- Dlaczego? - spytała, myśląc: pokaż mi, dlaczego. I on po-kazał.

Objął ją mocno, pochylił się i jego usta z miażdżącą siłą spadły na jej wargi.

Było jakieś desperackie zapamiętanie w tym pocałunku, niemal brutalność. Językiem zmusił jej usta do rozchylenia się i tym razem go nie powstrzymywała. Modliła się w duchu, żeby nie przestawał.

Wsunęła mu dłoń we włosy wilgotne od morskiej mgły, za-cisnęła w pięść i odciągnęła do tyłu jego głowę, by przycisnąć usta do zagłębienia między obojczykami. Czuła nierówne bicie. jego pulsu i wibrowanie krtani, gdy z ust wyrwał mu się niski jęk. Objął jej pośladki, wpijając w ciało czubki palców, i napał na nią biodrami. Był podniecony i chciał, by o tym wle-działa.

Znów się całowali. Znów zetknęły się ich języki i każdy z tych pocałunków zdawał się trwać wieczność.

Delia wyraźnie słyszała, jak bije jej serce. Zupełnie jakby huk przyboju, dobiegający od stóp urwiska, odzywał się echem w jej żyłach. Ich spazmatyczne, urywane oddechy zagłuszyły szum wiatru między drzewami. Nad jej głową weszło rozzarzone do białości słońce, a ziemia zako-łysała się pod stopami.

Odrzuciła do tyłu głowę, ocierając się piersiami o jego pierś, otworzyła oczy i ujrzała bezkresne błękitne niebo, wirujące nad jej głową jak oszalałe. Jego rozchylone wargi spoczęły na jej szyi.

- Kochasz mnie, Ty?

- O Boże, Delio ... - Te słowa raczej poczuła, niż usłyszała.

Nagle osłabłe, rozdygotane nogi nie były już w stanie utrzymać jej ciężaru i ją się powoli osuwać na ziemię.

- Nie, nie tutaj - szepnął, podtrzymując ją ramieniem. - Za dużo tu kamieni. - Zacisnął dłoń na jej nadgarstku i pociągnął w las. Pod sklepieniem gałęzi panował półmrok i głęboka, hipnotyzująca cisza.

Przyglądała się jego dłoniom, kiedy ją rozbiera!. Szczupłe, opalone palce szybko uporały się z tasienkami i guzikami sukienki. Pieścił jej piersi przez cienki materiał koszuli, sprawiając, że ich sutki stwardniały, wyprężyły się. Stała przed nim z odrzuconą do tyłu głową, z dłońmi na jego ramionach, pogrążona w ekstazie. A on całował jej szyję i wciąż delikatnie pieścił sutki.

Wprost do ucha szeptał miłosne zaklęcia, jednocześnie szukając końca sznurowadła gorsetu.

Znalazł, szarpnął - i w miejscu wiązania pojawił się węzeł.

- A niech to! - mruknął ze śmiechem, a jego gorący oddech owionął jej policzek. - Odwróć się.

Zebrał jej włosy z pleców, przerzucił na piersi i całował kark i szyję, zarazem próbując rozwiązać węzeł. Zbyt jednak pochłaniało go to pierwsze zajęcie, by był w stanie uporać się z mocno zasupłanym sznurowadłem.

Wreszcie Delia musiała przekręcić gorset i sama rozwiązała węzeł.

Gorset i spódnica zsunęły się z jej bioder. Z koszulą Ty poradził sobie znacznie łatwiej. Ściągnął ją Delii przez głowę. Na

nagiej skórze poczuła delikatne, chłodne dotknięcie leśnego powietrza.

Stał za nią z dłońmi na jej ramionach, muskając ustami jej kark.

- Od dawna pragnąłem ujrzeć cię nagą - szepnął. Otarł się biodrami o jej pośladki. - Czujesz to, Delio?

Wkrótce ... wkrótce poczujesz to w sobie.

- Wkrótce ... - powtórzyła jak echo, a serce zatrzepotało w piersi.

Przesunął dłońmi po jej plecach aż do pośladków, następnie ujął za biodra i delikatnie odwrócił ją twarzą do siebie. Zmusił się do oderwania rąk od bioder dziewczyny i cofnął się o krok, chcąc jej się przyjrzeć.

Próbowała osłonić piersi skrzyżowanymi ramionami, ale nie pozwolił jej na to, zmuszając do opuszczenia rąk.

- Nie, moja słodka Delio. Chcę na ciebie patrzeć.

Uniosła ku niemu oczy. W jego oczach dojrzała płomień pożądania i

szybko spuściła wzrok. Ale nie mogła oderwać spojrzenia od wypukłości z przodu jego spodni. Miała wrażenie, że jej skóra jest na nią za mała, pęknie, jeśli on jeszcze raz jej dotknie. Wkrótce ... poczuje to w sobie ... wkrótce: ..

I tak się stało. A wtedy, w chwili największego uniesienia, które pozwoliło zapomnieć o niedawnym bólu, miłość ku Tylerowi wybuchła w niej z taką siłą, że była zdziwiona, jak udało jej się to przeżyć.

Ty leżał na ziemi wyciągnięty na wznak i dyszał ciężko. Całe ciało miał jak z ołowiu. Nie był nawet w stanie otworzyć oczu. Jezu - myślał - słodki Jezu!

Wyczuł poruszenie leżącej obok dziewczyny i na oślep wyciągnął rękę. Trafił na łokieć, potem odszukał dłoni. Jej dłonie zawsze wydawały się tak cholernie małe. Poczł bolesny ucisk w piersi.

Nagle ogarnęło go przygnębiecie. Uświadomił sobie, że jest bliski płaczu, tylko nie miał pojęcia _
dlaczego.

Zdołał wykrzesać z siebie dość siły, by przekręcić się na bok.

Spojrzał na Delię i uśmiechnął się.

Leżała w bezruchu i w milczeniu wodziła wzrokiem po jego twarzy. Musnęła czubkami palców jego dolną wargę.

~ Kocham cię, Tylerze Savitchu.

Gębokie uczucie, z jakim wypowiedziała te słowa, sprawiło, że poczuł się nieswojo. Zbliżył usta do jej twarzy i pocałował w nos. A ponieważ sprawiło mu to przyjemność, pocałował ją w policzek, a potem w usta. Westchnęła i odpowiedziała pocałunkiem. Jej usta były gorące i wilgotne, jakby Bóg stworzył je tylko po to, by darzyły go rozkoszą.

Odsunął się. Unosząc biodra, podciągnął spodnie, zapiął. Jej słowa unosiły się w powietrzu niemal jak coś materialnego. Kocham cię, Tylerze Savitchu. Na Boga, nie chciał tego usłyszeć.

Odwrócił się i spojrzał na nią. Leżała na ziemi w lubieżnej pozie, z szeroko rozrzuconymi nogami, wspaniała w swej nagości i gotowa na wszystko. I, och, jak piekielnie pociągająca! Ich oczy się spotkały i przez chwilę wspólnie rozpamiętywali to, co zaszło między nimi. Nagle Delia śpiesznie usiadła i sięgnęła po gorset. Starannie zasłoniła piersi, a na jej twarzy wypłynął rumieniec zakłopotania. Omal się nie roześmiał, tak zabawna wydała mu się ta spóźniona skromność.

- Delio, dlaczego mi nie powiedziałaś, że jesteś dziewicą? Na chwilę zamknęła oczy, a kiedy je otworzyła, były pełne łez. - Powiedziałam ci tej

nocy, kiedy spotkaliśmy się po raz pierwszy, że to, iż pracuję w szynku, nie czyni ze mnie dziwki. Wiedziałam, że mi nie uwierzyłeś.

Ty 'nie mógł zaprzeczyć, ale nie chciał psuć harmonii, jaka panowała między nimi po wspólnie przeżytej rozkoszy, toteż uśmiechnął się uwodzicielsko i pogłaskał dziewczynę po policzku.

- Powinienem był się domyślić. Ilekroć próbowałem się do ciebie zbliżyć, opierałaś się, jak tylko dziewica potrafi. Czy chociaż wiesz, jak piekielne męki kazałaś mi znosić przez te ostatnie tygodnie?

Zaśmiała się, ale kiedy próbował ją pocałować, skuszony widokiem rozkosznie drżącej dolnej wargi, uchyliła się.

- To dzisiaj nie było dla ciebie zbyt przyjemne, prawda?

Okazałam się dziewicą, nie mającą zielonego pojęcia, co należy robić.

- Ależ, Delio ... - Położył jej dłoń na karku i potrząsnął nią łagodnie. Z uśmiechem zająknął w poważną, przejętą twarz. Biedna mała ... Martwiła się, niepewna, czy udało jej się go zadowolić, podczas gdy dla niej na pewno nie było to przyjemne przeżycie. _ To ja się nie popisałem. Pewnie bolało cię jak wszyscy ...

Pokręciła głową.

- Och nie, Ty ...

Położył jej palec na ustach.

- Bolało. Wiem o tym. - Przyciągnął ją do siebie, a ona złożyła mu głowę na ramieniu. - Do licha, nie powinienem był rzucać się na ciebie jak jakiś cholerny buhaj.

- Bolało tylko na początku - zaprotestowała. _ Później, kiedy byłeś już we mnie, czułam się wspaniale!

- Ja też czułem się wspaniale - rzekł i uświadomił sobie, że słowa bardzo słabo oddają to, co czuł w chwili zespolenia z Delią. Wspaniale? Do licha, toż to była najczystsza ekstaza!

Pocałował ją, musnął tylko jej usta, cofając się, nim przelotna pieszczota zmieniła się w coś więcej.

- Następnym razem, kiedy będę się z tobą kochał, zrobię to powolutku i delikatnie, tak jak mężczyzna powinien się kochać z piękną, oddaną mu dziewczyną.

- Następnym razem ... - Radość płonęła w oczach Delii. _ Och, Ty, czy to znaczy, że znów będziesz mnie pragnął?

Objął ją, przytulił, pieścił ustami jej kark i szyję.

- Tak, będę cię pragnął. I znów, i znów, i znów ... Roześmiała się,

zadowolona, i opadła plecami na ziemię, po-
ciągając go za sobą.

- Teraz?

Śmiał się, cudownie szczęśliwy, i ucałował ją mocno, a potem odrzucił precz zawadzający gorset.

- Co za nienasycone stworzenie! Między jednym a drugim razem mężczyzna musi trochę odpocząć.

Mamy przed sobą resztę popołudnia i całą noc. Ale na razie - usta Tylera objęły sutek dziewczyny, w jednej chwili zmieniając go w twardy gruzełek - możemy się postarać, żebyś była gotowa. I nauczyć cię *puścić sutek i teraz czubkiem języka pieścić spód jej piersi* co masz robić, żebyśmy i ja byli gotowi.

Gwałtownie wciągnęła powietrze i zatopiła palce w jego włosach.

- Ty, co my teraz zrobimy z panem Parkesem?

Ale Ty wyrzucił z pamięci Nata Parkesa, a już na pewno nie miał chęci myśleć o nim teraz, z tą rozkoszną istotą w ramionach, rozgrzaną, niemal gotową ponownie rzucić się w wir namiętności.

- Nie powiemu mu ... - wymamrotał, czubkiem języka muskając pępek dziewczyny.

Wiła się pod jego dotknięciem, zmysłowo kręcąc biodrami.

Ty uśmiechnął się w duchu. Może to nie był taki zły pomysł, by wtajemniczyć Delię McQuaid w arkaną sztuki miłosnej.

- Ale, Ty, musimy mu coś powiedzieć - rzuciła nieco zdyszonym szeptem. Skórę pod jego ustami przeszedł dreszcz. - Czy nie będzie źły, kiedy się dowie, że to nie on, tylko ty masz się ze mną ożenić?

Ty znieruchomiał. Nagle zrobiło się tak cicho, że słyhać było krzyk mew nad odległym urwiskiem i nawoływania rybaków na przystani w Falmouth. Ty poczuł na nagich plecach zimny podmuch wiatru.

Zsunął się z Delii i usiadł. Zmusił się do spojrzenia w jej oczy, w tej chwili wyrażające zdziwienie i zaskoczenie. Gdzieś w brzuchu czuł mdlący ucisk, wywołany obrzydzeniem do samego siebie.

Posadził Delię tak, że siedzieli naprzeciwko siebie, stykając się kolanami. W tej pozycji wydawała się taka mała i bezbronna - nieledwie dziecko. I, do diabła, była niemal dzieckiem, dziewczynką. .. Choć pod pewnym istotnym względem już nie dziewczynką. I to dzięki niemu.

Dostrzegł w jej oczach niepokój. Odetchnął głęboko, próbując odzyskać zimną krew.

- Nie ożenię się z tobą, Delio.

Potrząsnęła głową i skrzywiła się zabawnie.

- Przecież powiedziałeś, że mnie kochasz.

- Nigdy tego nie powiedziałem.

- Właśnie że tak! Czy myślisz, że inaczej pozwoliłabym ... O mój Boże! -

Uderzyła w uda zaciśniętymi dłońmi. Łzy poćiekły jej po policzkach. - Czy myślisz, że stałoby się to, co się stało, gdybym wątpiła w twoją miłość? Ale dałeś mi te różne rzeczy ... ubranie i konia. I mokasyny, Ty. Mokasyny twojej matki.

- Delio ...

- I tam przy armacie powiedziałeś, że mnie kochasz. Inaczej nigdy bym ci nie pozwoliła, nigdy, nigdy

... Ale ja ciebie kocham. Nie widzisz, jak bardzo? I ty też powiedziałeś, że mnie kochasz.

Czyżby istotnie w chwilowym zapamiętaniu wymówił te dwa przekłete słowa? Był pewien, że nie.

Delia płakała. Krztusiła się, szlochała, zanosila łkaniem. To było straszne, a jednocześnie Ty czuł się przygnieciony ogromem jej bólu i miłości, schwytany w pułapkę.

- Przykro mi, że tak się stało. Nigdy nie chciałem cię skrzywdzić. Wierz mi, proszę ...

- Kłamca!

Wyciągnął ku niej rękę, ale uchyliła się i zerwała na nogi.

Pospiesznie włożyła koszulę. Ty również wstał. Zachwiał się przy tym, bo mdlące uczucie dziwnej słabości, rozchodzące się z brzucha, sięgnęło nóg.

Rozłożył ręce gestem wyrażającym bezradność wobec sił niezależnych od jego woli.

- Chodzi o to, że po prostu nie jestem na razie gotów do małżeństwa.

Dobry Boże, moje oczekiwania

wobec życia zmieniają się w zależności od tego, którą nogą wstanę z łóżka. Jak można się po mnie spodziewać, że będę wiedział, czego oczekuję po żonie!

Stała w bezruchu, w kurczowo zaciśniętej dłoni trzymając rozwiązany gorset. Nagle upuściła go i osunęła się na kolana, obejmując nogi Tylera.

- Boże, Ty, nie rób mi tego. Tak bardzo cię kocham i naprawdę będę dla ciebie dobra. Będę najlepszą żoną, jaką ...

Postawił ją na nogi, mocno potrząsnął za ramiona.

- Przestań, do cholery! Nie ożenię się z tobą!

Płacz umilkł jak nożem uciał. Jakby ktoś położył rękę na jej ustach. Zadrżała i przesunęła dłońmi po twarzy i włosach.

- Przepraszam ... nie chciałam wprawić cię w zakłopotanie. Ani narobić sobie wstydu.

Odeszła kilka kroków, by skończyć się ubierać. Czuł, że powinien coś zrobić, coś powiedzieć, wyjaśnić ...

- Gdybym wiedział, że jesteś dziewicą i że ubzdurałaś sobie, iż mnie kochasz, nigdy bym nie dopuścił, by sprawy zaszły tak daleko ...

Gwałtownie odwróciła się ku niemu i to była znów dawna Delia - dumna, rozgniewana, gotowa stawić mu czoło.

- A więc twoim zdaniem moje uczucie do ciebie to bzdura?

- Cóż by innego? Prawie się nie znamy.

Skończyła wiązać sukienkę i stanęła przed nim, niepokojąco blisko.

- Ale uważasz, iż znasz mnie dość dobrze, żeby ze mną spać, tak? A może to taka twoja rozrywka -

uwodzenie niewinnych dziewcząt?

- Niewinnych! - zaśmiał się szorstko. Chwycił ją za włosy i przyciągnął jej twarz do swojej twarzy.

- Nieważne, czy byłaś dziewicą. Doskonale wiedziałaś, co robisz. I jeśli sądzisz, że teraz uda ci się wykorzystać utratę wianka, by zmusić mnie do małżeństwa, to się mylisz.

Jej ciałem wstrząsnął szloch, ale robiła, co mogła, aby się nie rozpląkać. Nie mogła jednak ukryć bólu, wycierającego z jej oczu. - To nie tak, Ty - wykrztusiła. - Nie próbowałam cię do niczego zmusić, przysięgam ...

- Nie? - Puścił ją tak nagle, że na chwilę straciła równowagę. - Chryste, spójrz tylko na siebie! Tego wieczoru, kiedy cię poznałem, byłaś zwykłą obdartą, niechlujną, knajpianą dziewczką. A zresztą gdzie cię znalazłem? W swoim łóżku! Nikt by mnie nie potępił za to, że wziąłem cię za dwuszylingową dziwkę, gotową rozłożyć nogi na jedno moje skinienie ...

Strach i poczucie winy dyktowały mu te słowa. Umilkł dopiero w chwili, gdy uświadomił sobie, co one dla niej znaczą, i ujrzał, jaki wywarły skutek. Delia zbladła, jakby wszystka krew odpłynęła jej z twarzy, jak człowiek raniony w serce. Oczy przybrały błędny wyraz, zachwiała się lekko.

Wyciągnął

rękę, by ją podtrzymać.

- Boże, Delio, nie chciałem ... Wstrząsnęła się gwałtownie.

- Nie dotykaj mnie - powiedziała ochryplym, napiętym głosem.

Opuścił rękę. Jezu, Savitch, co z ciebie za sukinsyn!

Zmusił się do spojrzenia jej w oczy, czując się małym, nędżnym szubrawcem. Wolałby, żeby go uderzyła albo krzyczała, że go nienawidzi. Ale ze sposobu, w jaki bezwiednie błędziła wzrokiem po jego twarzy, jakby jej rysy chciała zapisać w swoim sercu, poznał, że wcale go nie nienawidzi i nieważne, jak bardzo na to zasłużył. Kochała go i to było najbardziej przerażające. Nie chciał takiej władzy nad inną ludzką istotą i, oczywiście, nie zamierzał dać takiej władzy nad sobą komukolwiek.

- Nigdy nie chciałem cię skrzywdzić, Delio. Wyciągnęła dłoń ku jego twarzy, ale pozwoliła jej opaść w pół drogi.

- Och, wiem, że nie chciałeś. To wszystko moja wina, bo chciałam czegoś, czego nie mogłam mieć, i pozwoliłam sobie uwierzyć ...

- Delio, nie ...

- Tego wieczoru, kiedy ujrzałam cię po raz pierwszy, dotknąłeś mnie. Pomyślałam wtedy, że nie ma na świecie nikogo równie cudownego jak ty. I wtedy się w tobie zakochałam, Tylerze Savitchu. Ale nie powinnam była składać swojej czci w twoje ręce. Nie powinnam była pozwolić ci wziąć mnie jak uliczną dziewczkę.

Odwróciła się i odeszła. O mały włos, a zawołałby, żeby wróciła, błagając o przebaczenie, nawet, palicho! _ obiecał małżeństwo. Lecz chociaż czuł, że zrobiłby niemal wszystko, by zetrzeć smutek z jej twarzy, to wiedział też, iż w ostatecznym rachunku, wołając ją, tylko przysporzy jej cierpienie. Bo tym, czego chciała, była miłość, a tego nie mógł jej dać.

Stał bez ruchu jeszcze długo po odejściu Delii. Na koniec sięgnął po koszulę. Zaczął ją wkładać i wówczas spostrzegł, że poplamiona jest krwią. Jej krwią.

Zszedł na plażę, klęknął na piasku przy kałuży pozostałej po odpływie i zamoczył koszulę. Przyglądał

się, jak plamy krwi rozpuszczają się w wodzie, blakną i wreszcie znikają. Nie wiedzieć czemu zdało mu się, że wraz z dziewiczą krwią Delii pozbywa się także czegoś z siebie samego, czegoś, co było weń tak wrośnięte, iż dotąd tego nie zauważał. Aż do tej chwili, gdy to utracił.

I nagle uświadomił sobie, co to było. Radość. Przez minione trzy tygodnie, od czasu, gdy Delia wtargnęła do jego życia, czuł zwyczajną radość, budząc się rano i mając pewność, że zobaczy tę przekornie uśmiechniętą twarzyczkę, usłyszy ten gardłowy głos. Rozśmieszała go i

złościła, ale nade wszystko dzięki niej cieszył się, że żyje. Sprawiała, że pragnął jej jak niczego na świecie, i ten głód -

niech będzie przeklęta ona i jej odbierające rozum zmysłowe ciało - wciąż pozostał

niezaspokojony. A mimo to nie znajdował w sobie dość odwagi, by pokochać tę dziewczynę, toteż pozwolił, aby odeszła.

Zabierając ze sobą jego radość.

11

Piękne, wyszywane paciorkami mokasyny leżały na plecaku TyJera. Na ich widok przykucnął i już wyciągał po nie rękę, kiedy się zawahał. Jak gdyby nie mógł się zmusić do ich do-tknięcia. Po chwili jednak z wyraźną złością chwycił mokasyny i wcisnął je na dno plecaka, jakby chciał o nich jak najszybciej zapomnieć.

- A niech cię diabli, Delio McQuaid!

Zarzucił plecak na ramię i wyszedł z factorii w światło po-ranka. Susannah Marsten czekała nań na podwórzu.

- Szkoda, że nie możesz zostać dłużej - powiedziała i zaru-mieniła się nieco, kiedy się do niej zbliżył.

Podnosząc z ziemi przygotowany do zabrania pakunek, napo-tkał jej wzrok i odwrócił głowę.

Minionej nocy Susannah, po kilku miesiącach wahań, zaprosiła go do swego łóżka. Miał

przy-najmniej dość przyzwoitości, by nie skorzystać z tej propozycji. Niemniej dla niej okazało się to niemal równie bolesne, jak bolesne byłyby konsekwencje jego nocnej wizyty. W ciągu mi-nionej doby udało mu się skrzywdzić dwie wspaniałe kobiety, toteż tego ranka Tyler Savitch nie był z siebie bynajmniej zado-wolony.

- Dojadę do Merrymeeting i w przyszłym tygodniu wracam -oznajmił. - Pewna kobieta z Cape Elizabeth oczekuje dziecka. Jest taka drobna, że poród będzie dla niej prawdziwym piekłem.

Obiecałem, że będę w pobliżu, na wypadek gdyby coś poszło nie tak.

Susannah zawięła na palec rąbek spódnicy.

- To, w takim razie ... zapraszam do nas na nocleg. Jeśli ci będzie po drodze.

Tylerowi udało się nieobowiązująco skinąć głową, ale nic nie powiedział.

Stali obok wielkiego, okopconego kotła na podwórzu factorii.

Ogień w palenisku dawno już wygasł. Naczynie było pełne na wpeł skrzepłego mydła. Mieli stąd widok na przystań, gdzie Delia i Hookerowie przyglądali się, jak marynarze wpędzają woły na pomost łączący pirs ze szkunerem, który dziś jeszcze zawiezie ich wszystkich do Merrymeeting.

Caleb pokazywał coś Delii i radosny śmiech dziewczyny, niesiony poranną

bryzą, docierał aż na podwórze.

- Zamyślasz sam ożenić się z tą dziewczyną? _ spytała Susannah, siląc się na żartobliwą nonszalancję. Niestety wypadło to bardzo żałośnie.

Wzrok Tylera skierowany był na Delię, lecz teraz jego pociemniałe od gniewu oczy obróciły się na Susannah.

- Nie mam zamiaru się żenić. Ani teraz, ani kiedykolwiek.

Susannah zbladła, palce zaplątane w fałdy spódnicy zdrząły.

Zrobiło mu się przykro z powodu brutalności tych słów, ale nie żałował, że je wypowiedział. Nie chciał, by powtórzyło się to, co stało się Wczoraj.

Zacisnął zęby, wpatrując się w dziewczęcą postać na przystani.

Oto była prawdziwa przyczyna dręczącego go smutku, pomieszczenia i Poczucia winy. Do diabła, weź

kobietę do łóżka, ba! _ ledwo pomyśl, by ją wziąć do łóżka, a za chwilę usłyszysz, jak ustala termin ślubu i mruczy kołysanki.

Delia nie musiała się odwracać, by wiedzieć, że Ty ją obserwuje. Po prostu czuła na plecach spojrzenie jego ciemnoniebieskich oczu. Pulsujący ból między udami, choć coraz słabszy, przypominał jej o tym, co zaszło między nimi Wczoraj. Zresztą czy mogłaby o tym zapomnieć?

Wiedziała, że prędzej czy później będzie musiała się z nim spotkać, porozmawiać. Ale, dobry Boże, jeszcze nie teraz. Proszę.

Poczuła, że ktoś dotyka jej ramienia. Odwróciła się i oto miała przed sobą zatroskaną twarz Elizabeth Hooker.

- Delio, dobrze się czujesz? Wyglądasz ... wyglądasz, jakbyś płakała.

- Myślę, że trochę tęsknię za domem - skłamała Delia. _ I może jestem odrobinę zdenerwowana.

Dzisiejszym spotkaniem z panem Parkesem, i w ogóle.

Nie było to kłamstwo. W końcu obiecała swą rękę jednemu mężczyźnie, a zakochała się w drugim.

Oddała się Tylerowi jak jakaś rozpustnica ... Była pewna, że cały świat widzi jej hańbę, jakby swoje postęпки miała wypisane na twarzy. Sądziła, że w Merrymeeting rozpocznie nowe życie, że zdobędzie ludzki szacunek. Teraz na to nie zasługiwała. A i biedny Nat Parkes i jego córki nie zasłużyli na kogoś takiego jak ona.

Na pokład szkunera wszedł Caleb. Rozejrzał się i ruszył do ładowni, by sprawdzić, czy odpowiednio zajęto się jego cennymi wołami. Elizabeth odczekała, aż mąż zniknie pod pokładem, przyśunęła się bliżej Delii i ścisząc głos, spytała:

- Czy jesteś pewna, że powinnaś wyjść za pana Parkesa? A co z doktorem Savitchem? Wydawało mi się, że ty i on ... no, że wy dwoje ...

Delia zagryzła wargi i odwróciwszy głowę, zamrugowała, by po-wstrzymać cisnące się do oczu łzy. Czuła okropny, dławiący ucisk w gardle. Jakby próbowała w całości połknąć jajko, a ono utknęło jej w przełyku.

- Prosiłam Tylera, żeby się ze mną ożenił. Ale on mnie nie chce.

- Och, Delio ... - Elizabeth spojrzała w kierunku podwórza factorii, gdzie obok wielkiego kotła z mydłem stali Tyler i Su-sannah Marsten.

Delia wyprostowała się, zadzierając podbródek.

- Cóż, pewnie nadejdzie jeszcze dzień, kiedy wspominając to wszystko, będę dziękować Bogu, że sprawy przybrały taki właśnie obrót.

- Tak, jestem pewna, że masz rację - zapewniła Elizabeth ze szczerym entuzjazmem. - Doktor Savitch

to przyzwoity człowiek, ale nie sędzę, by stanowił dobry materiał na męża.

Caleb wychylony przez parapet statku wołał, że czas wchodzić na pokład. Elizabeth ostrożnie ruszyła po trapie, ale Delia jeszcze zwlekała.

Oczy piekły ją od łez wylanych minionej nocy, gardło miała obolałe, a w dole brzucha czuła lodowatą pustkę. Nieustający ból w piersi utrudniał oddychanie. Wieczorem nie wróciła do factorii. Spędziła noc w ruinach fortu, skulona obok zardzewiałej armaty. Płakała aż do zupełnego wyczerpania.

Myślała nawet, że ten płacz ją zabije.

Boże, Ty, jak ja cię kocham!

Ale on ciebie nie kocha, Delio. I nigdy nie pokocha.

Czy jednak wiedząc o tym, mogła przestać go kochać? Jej duma ... Och, jakże sobie ceniła kiedyś swoją dumę! Tylko cóż po dumie, gdy zostało się odtrąconym przez mężczyzną, którego się kocha?

Miał ją za dwuszylingową dziwkę i wziął ją jak dziwkę. Wiedziała, że powinna go nienawidzić, ale jak miała znaleźć w sobie nienawiść, skoro go kochała?

Kiedy myślała o tym, co robili, zamiast wstydu czuła tamtą ekstazę ... Kiedy jego nasienie wypełniło jej łono, było tak, jakby dotknęła jej ręka Boga, obdarowując życiem. Jak można nienawidzić mężczyzny, któremu zawdzięcza się takie uczucie?

- Delio ...

Serce w niej zamarło, by po chwili ruszyć galopem. Odwróciła się powoli, starając się przybrać taki wyraz twarzy, by Ty nie odgadł

prawdziwego stanu jej uczuć.

Zatrzymał się dwa kroki przed nią i obrzucił ją badawczym spojrzeniem. Zmarszczył brwi. Domyśliła się, że spostrzegł jej spuchnięte powieki i zaczerwienione oczy. Kącik jego ust zadrgał, nadając twarzy wyraz żalu.

- Dzień dobry, Delio - powiedział łagodnym, opiekuńczym tonem.

Delia odetchnęła z ulgą. Po tym wszystkim, co zaszło między nimi, obawiała się, że nie będzie chciał

nawet z nią rozmawiać. Obdarzyła go najbardziej promiennym ze swoich uśmiechów.

- ... dobry, Ty.

Przez chwilę stali w milczeniu, patrząc na siebie. Wreszcie Ty westchnął głęboko i rzekł:

- Chciałem cię przeprosić za to, co ... co stało się wczoraj. Zwłaszcza za to, co powiedziałem ...

- Och, myślę, że niemal każdy mężczyzna zareagowałby podobnie, gdyby jakaś histeryczka rzuciła mu się do nóg.

- Do licha, przestań o wszystko obwiniać siebie! _ Wykrzyknął te słowa tonem wyrażającym irytację, ale jednocześnie przesunął dłonią po włosach, a wiedziała, że gest ten oznacza, iż jest raczej przygnębiony niż zły. - To ... to się po prostu stało, nic więcej, i ...

- Nie, Ty. To nie stało się samo z siebie. - Duma kazała Delii podnieść głowę i powściągnąć łzy. - Nie wstydzę się miłości do ciebie. Ale obiecuję nigdy więcej o niej nie mówić. Nigdy też nie będę ci sprawiała kłopotu swoim zachowaniem. Chciałabym jednak zachować twoją przyjaźń, Ty. Naprawdę nie potrafię się pogodzić z myślą, że nie moglibyśmy zostać choćby przyjaciółmi.

Odwrócił wzrok ku zatoce, by po chwili znów wlepić oczy w twarz Delii. Odezwał się, wymawiając słowa z najwyższym trudem, jakby nie chciały przejść mu przez gardło.

- Bardzo bym sobie cenił twoją przyjaźń, Delio.

Radość wypełniła jej serce. Nadal będzie do niej należał. Nie tak, jakby chciała, ale nadal jakaś częśćka jego będzie jej. A skoro nie mogła mieć więcej, zadowoli się tą częśćką.

Niestety, ta radość nie trwała długo.

- Zdajesz sobie sprawę, że możesz być w ciąży. To nawet bardzo prawdopodobne - powiedział Ty, już zupełnie innym, oschłym, twardym tonem.

- N-nie ... - wykrztusiła, przerażona samą myślą, że mogłaby nosić w swoim łonie dziecko.

- Owszem, tak - odrzekł nieubłaganie. - I chcę, byś obiecała, że zawiadomisz mnie, jeśli odkryjesz u siebie objawy ciąży.

- I wtedy się ze mną ożenisz? Jeśli okaże się, że noszę twoje dziecko? Milczał przez długą chwilę, wreszcie warknął:

- Chyba będę musiał, nie? Nie opierałaś się, wręcz przeciwnie, ale dziewczyną jednak byłaś.

Znów poczuła dławienie w gardle. Nienawidzi nawet myśli, że mógłby się z nią ożenić.

Uczyła krok naprzód, chcąc go wyminąć, ale zastąpił jej drogę.

- Chciałbym usłyszeć od ciebie tę obietnicę, Delio.

- Ale jej nie usłyszysz - rzekła. Odwróciła się na pięcie i odeszła. Nawet się nie obejrzała.

Kapitan Abbott, dowódca szkunera "The Sagadahoc Maiden", wcale nie wyglądał tak, jak zdaniem Delii powinien wyglądać pirat. Nosił koszule z koronkowymi mankietami, a długie jasne włosy opadały mu masą loków aż na ramiona. Jego czarujący uśmiech mógł przyprawić o drżenie najbardziej oziębłe dziewicze serce.

Nie był piratem w ścisłym znaczeniu tego słowa. Raczej kimś, kogo mieszkańcy Maine zwą z francuska contrebandler - pośrednikiem w zyskowym, choć nielegalnym handlu z francuskiimi osadnikami z Acadii. Lecz gdy zdarzało się, że "Sagadahoc Maiden" natknął się na zabłąkany lub uszkodzony statek kupiecki, kapitan Abbott nie był bynajmniej od tego, by ulżyć jego ładowni.

- Rozumie pani, taki akt miłosierdzia - oznajmił Delii z chytrym uśmieszkiem, całkiem otwarcie gapiąc się przy tym na jej biust.

Podnoszone żagle załopotały na wietrze i odbili od brzegu, wypływając na wody zatoki Casco. Szkuner kapitana Abbotta była to w gruncie rzeczy cuchnąca i niemiłosiernie rozkołysana krypa, ale Delii to nie zniechęcało. Żeglowanie ku odległej linii horyzontu przeżywała jak najwspanialszą przygodę, nawet jeśli brzeg wciąż pozostawał w zasięgu jej wzroku. Zachwycaly ją dźwięki wydawane przez płynący statek - skrzywienie lin i szum wody rozcinanej dziobem. A także zapachy - ryb, soli i mokrych konopi. Uwielbiała czuć, jak wiatr rozwiewa jej rozpuszczone włosy.

Zupełnie inaczej na kołysanie statku i pozorny ruch skalistego,

porośniętego sosną i świerkiem brzegu reagowała Elizabeth Hooper. Caleb raz tylko spojrzął na spoconą, bladą twarz żony, na jej nerwowo zaciśnięte usta i poprosił kapitana o udostępnienie im swojej kabiny.

Wobec Delii kapitan występował w roli cicerone. Morze w zatoce Casco usiane jest mnóstwem wysp i wysepek. Okazało się, że chyba wszystkie mają swoje nazwy. Niektóre z nich były zamieszkałe.

Wznosiły się na nich drewniane lub kamienne domy, na brzegu widać było schnące sieci rybackie i suszarnie dorsza.

Delia wypatrzyła płynącą obok statku fokę. Jej gładkie ciało z gracją ślizgało się po falach, kształtna głowa co rusz wynurzała się na powierzchnię. Kapitan Abbott polecił jednemu z majtków, by przyniósł kilka kawałków suszonego dorsza, i prowadził rękę Delii, gdy wychylona za burłę karmiła fokę. Żadne z nich nie zauważyło Tylera, który wsparty o okrężnicę burty, ze skrzyżowanymi na piersi rękami, przyglądał się im z ponurą miną. Znadto bawiło ich obserwowanie foki, która odwróciwszy się na plecy, machała płetwami i poszczekiwała, jakby dziękując za poczęstunek.

Pokonanie zatoki Casco zajęło szkunerowi niemal cały dzień.

Wschodnią granicę zatoki wyznaczał duży półwysep, którego powierzchnię stanowiły gigantyczne granitowe schody, porośnięte masztową sosną. Wokół cypla półwyspu dziesięciokilometrowym szerokim kanałem, usianym niewielkim i wyspami, wiodła droga do zatoki Merrymeeting.

Zachodzące słońce zabarwiło purpurą żagle szkunera. Kiedy wpłynęli do kanału, wokół statku zaroilo się od fok, ale karmienie ich suszonym dorszem nie miało sensu, bo w tamtejszych wodach żyło takie mnóstwo okoni i łososi, że można by je chyba wygarniać z morza kosztami. Delia stała na dziobie szkunera i szeroko rozwartymi oczyma chłonęła rozciągający się przed nią wspaniały widok.

- Jak tu pięknie! - szepnęła do siebie.

Ktoś poruszył się u jej boku. Sądziła, że to kapitan Abbott, ale gdy odwróciła głowę, napotkała spojrzenie Tylera. Fala gorąca załała jej kark i szyję, serce poczęło bić szybszym rytmem.

— Legenda głosi - powiedział Ty - że gdzieś w Maine znajduje się miasto zbudowane ze złota. Nazywa się Norumbega. Wielu próbowało je odnaleźć, ale nikomu się nie udało.

Morze w zatoce Merrymeeting tworzyło jakby olbrzymie, turkusowe zwierciadło, czyste jak niebo w górze, tak że jedno wydawało się odbiciem drugiego. W oddali widać było przesłonięte niebieskawą mgiełką wzgórze.

Blżej ład opadał łagodnie ku wo-dzie. Gęsto rosnące sosny, cedry i świerki tworzyły intensywnie zielony dywan roślinności, sięgający skraju plaży. Ujścia niezłi-czonych strumieni i rzeczulek porastał dziki ryż i bagienne trawy. Pięć dużych rzek, w tym potężny Kennebec, znajdujących swój początek daleko w zaśnieżonych górach, wlewało swe wody do zatoki.

- To miejsce - szepnęła Delia - jest piękniejsze niż jakiegol-wiek miasto ze złota. - Kiedy odwróciła się ku Tylerowi, do-strzegła w jego oczach niemal nabożny zachwył.

- Zatoka Merrymeeting ...

Kocha to miejsce - pomyślała. To dobrze. Cieszyła się, że istnieje taki punkt na ziemi, gdzie czuje się szczęśliwy. Miejsce, które może traktować jak swój dom.

Ty otrząsnął się, jakby budząc ze snu.

_ Abenakowie nazywają zatokę Quinnebequi. To także imię ducha rzeki. Wierzą, że zamieszkuje on w tych wodach. To święte miejsce.

Zimny dreszcz przebiegł Delii po plecach.

- Czy to przyjazny duch, ten Quinnebequi?

_ Oczywiście - uśmiechnął się. - Czy myślisz, że zło mogłoby się zagnieździć pośród takiego piękna?

Te ziemie, to znaczy dorzecze Kennebecu, stanowiły kiedyś teren polowań mojego ple ...

Norridgewocków.

- Kiedyś?

Po twarzy Tylera przebieg skurcz bólu.

- Teraz mieszkają tu Yengi.

Chciała powiedzieć: "Ty też jesteś Yengi. W twoich żyłach płynie angielska krew". Ale wiedziała, że w jego ciele kryją się dwie dusze. Albo że jego dusza została rozdarta na pół. Delia podejrzewała, iż właśnie tutaj, na terenach łowieckich Norridge-wocków, strzeżonych przez ducha Quinnebequi, indiańska część duszy Tylera czuje się najlepiej.

Żagle "Sagadahoc Maiden" załopotwały i szkuner wykonał skręt, kierując się ku ujściu rzeki Kennabec.

I oto Delia po raz pierwszy ujrzała miejsce, które miało być jej domem - osadę Merrymeeting.

Najpierw zobaczyła krótki, szeroki pomost nabrzeża, gdzie pośród mnóstwa beczek, baryłek uwijali się ludzie, którzy za pomocą ręcznych kołowrotek wciągali sosnowe maszty do ładowni statku.

Nad przystanią górował tartak, wykorzystujący siłę fali pływowej do cięcia pni na belki i deski. Obok wznosił się okazały ziemiański dom z czerwonej cegły.

Na znacznym odcinku wybrzeża między drzewami kryły się proste drewniane domy. Na niewielkim wzniesieniu stał otoczony palisadą piętrowy blokhauz z ociosanych drewnianych bali. Ściany zaopatrzone w strzelnicę i wieżyczka obserwacyjna na dachu z dzwonem alarmowym stanowiły niemiłe przypomnienie faktu, że Merrymeeting, aczkolwiek miało tartak oraz zbór i pre-tendowało do miana miasta, nadal pozostawało oazą cywilizacji otoczoną dziką, wrogą puszcza.

Szkuner ominął prowizoryczny falochron z powiązanych w szereg łodzi i skierował się ku wolnemu miejscu przy pirsie. Na pokład wyszli Hookerowie. Delia z radością stwierdziła, że Elizabeth, choć wciąż nienaturalnie blada, na widok bliskiego

lądu wyraźnie się ożywiła.

- Patrzcie - Elizabeth wyciągnęła rękę w stronę przystani. _ Czekają na nas.

Mrużąc oczy przed słońcem, Delia spojrzała we wskazanym kierunku. Na pomoście dostrzegła grupkę

ludzi, w większości mężczyzn, i domyśliła się, że musi być między nimi Nat Parkes. Miejsce na czele grupy okupowała pękata postać w pikowanej spódnicy, wstążki czepka powiewały na wietrze. Trudno było nie poznać Sary Kemble.

Ty zaklął pod nosem.

_ Jak ona dotarła tu przed nami? - zdziwił się Caleb, robiąc zmartwioną minę.

_ Jej szwagier jest rybakiem - odrzekł Ty. - Pewnie zmusiła go, żeby w nocy przywiózł ją swoją łodzią•

Niech diabli porwą tę wredną plotkarę!

Rumieniec wstydu wypełził na policzki Delii, a jej podbródek bezwiednie powędrował w górę. Całe Merrymeeting wiedziało już, że Ty przywiózł z Bostonu wulgarną, niechlujną knajpianą dziewczkę, by została żoną Nathaniela Parkesa i matką jego córek.

Kiedy pasażerowie "The Sagadahoc Maiden" zaczęli schodzić na ląd, od grupy oczekujących oddzielili się mężczyzna i kobieta i podeszli do trapu. Strój mężczyzny wskazywał, iż jest przed-stawicielem miejscowej szlachty. Nosił eleganckie ubranie wy-kończony czerwonym atłasem, srebrne

sprzączki u kolan i przy butach oraz wysoką bobrową czapę, założoną na jasną perukę. Okrągła, pomarszczona twarz o rumianej cerze przywodziła na myśl podpieczone jabłko.

Szedł ku przybyłym, energicznie kołysząc zgiętymi w łokciach, odsuniętymi od tułowia rękami.

Towarzyszyła mu kobieta, którą Delia wzięła za służącą czy ochmistrzynię, jako że miała na sobie poplamiony gorset założony na narzuconą na ramiona chustę, pasiasty fartuch i ciężką wełnianą spódnicę. Wyblakłe kasztanowe włosy nosiła zaczesane do tyłu i przykryte białym czepkiem. Była przeraźliwie chuda, tak że nawet przez gorset widziało się wystające kości obojczyków. Idąc, podrygiwała dziwnie, jakby jej kości łączyły nie stawy, lecz sznurkowe wiązania.

Rumiany dżentelmen wypatrzył Caleba i już z daleka wyciągnął ku niemu dłoń.

— Ani chybi wielebny Hooker! Witam w Merrymeeting.

Ty dokonywał prezentacji obecnych, a Delia kręciła się nerwowo u jego boku. Przyglądała się pozostałym na pomoście mężczyznom, starając się zgadnąć, który z nich jest Natem Parkesem.

Dżentelmen, który pierwszy pospieszył przywitać Caleba, okazał się agentem Korony, kierującym wysyłką sosny masztowej, i dowódcą lokalnej milicji. Ty zwracał się doń: “pułkowniku”. Nazywał

się Giles Bishop. Kobieta, którą Delia uznała za służącą, była jego żoną, panią Anną Bishop. W

pewnym momencie Delia wypatrzyła szczupłego, wysokiego mężczyznę o włosach barwy słomy, stojącego w cieniu magazynu drewna. Towarzyszyły mu dwie małe dziewczynki. Spojrzenia ich oczu spotkały się na chwilę, potem oboje spiesznie odwrócili wzrok.

Mężczyzna wziął dziewczynki za ręce i ruszył w stronę Delii. Ty objął Delię pozornie ojcowskim gestem i zmusił do uczynienia kilku kroków. Dotykał jej po raz pierwszy, odkąd się kochali, i to dotknięcie podziało na dziewczynę jak wstrząs elektryczny. Zgubiła krok, nagle zabrakło jej tchu.

Mylnie biorąc zachowanie Delii za objaw zdenerwowania, Ty mruknął:

- Nat to porządny człowiek. - Mówił bardzo cicho, choć Hookerowie i państwo Bishopowie wdali się w ożywioną konwersację na temat wspólnych znajomych w Bostonie. — Nie będzie cię osądzał, dopóki się z tobą nie zapozna.

Delia zorientowała się jednak, że Sara Kemble musiała nakłusć Natowi

do uszu sporo plotek na temat jego przyszłej żony, bo zbliżając się do niej, przybrał poważny, nieco zatroskany wyraz twarzy i co rusz spoglądał na Tylera z niemym pytaniem w oczach.

Ty ujął Delię za ramiona i wypchnął przed siebie. Wolałaby, żeby nie dotykał jej tak bezceremonialnie. Jakoś niezręcznie było jej witać przyszłego męża, gdy czuła jeszcze dreszcz wywołany dotknięciem innego mężczyzny.

- Nat, to Delia McQuaid z Bostonu - rzekł Ty i uśmiechnął się promiennie, jakby wszystkich obecnych chciał zarazić swoim optymizmem.

Delia śmiało spojrzała w badawczo wpatrzonych w nią oczach mężczyzny. Odziany z niedbałą prostotą,

miał na sobie brązowe spodnie z tkanego w domu materiału, dżersejową kurtkę, odsłaniającą gołą szyję, i stary filcowy kapelusz, zsunięty na tył głowy. Był wzrostu Tylera, może nawet trochę wyższy.

Jednakże Ty, choć szczupły, był jednak muskularny i proporcjonalnie zbudowany. Nat Parkes natomiast, przeraźliwie chudy, grubokościsty, o wielkich dłoniach i stopach, wyglądał cokolwiek pociesznie. Jego twarzy nie sposób było nazwać urodziwą, a to z powodu odstających uszu i płaskiego nosa. Miał szerokie, mięsiste usta ujęte w nawias głębokich zmarszczek, tak że robił wrażenie kogoś, kto w przeszłości często się śmiał, chociaż teraz nawet się nie uśmiechał.

Ty puścił wreszcie ramiona Delii i dołączył do Hookerów, dając przyszyłym małżonkom możliwość porozmawiania w cztery oczy.

Delia pierwsza przerwała milczenie, jakie zapadło po odejściu Tylera.

- To właśnie ja odpowiedziałam na pańskie ogłoszenie w sprawie małżeństwa.

Nathaniel Parkes energicznie skinął głową, odchrząknął i rzekł: - Zacznie to z pani strony, że uzaliła się pani nad moją sytuacją.

- Nie nad pańską sytuacją się uzaliłam, panie Parkes, lecz nad swoją własną.

Nat zamrugnął zdziwiony. Już miał się uśmiechnąć, ale widać uznał, że lepiej będzie ponownie skinąć głową.

- Ano, wychodzi na to, że nawzajem przychodzimy sobie z pomocą. - Spojrzał z góry na mniej więcej dziewięcioletnią dziewczynkę, oburącz ściskającą jego prawą dłoń. - To moja starsza córka, Margaret.

Wołamy na nią Meg.

- Witaj, Meg. - Delia uśmiechnęła się do dziewczynki. Meg zadarła mały, spiczasty podbródek i obrzuciła nieznajomą groźnym spojrzeniem, jakby

chciała powiedzieć: no, spróbuj znaleźć we mnie cokolwiek sympatycznego. Delia podjęła wyzwanie i w jednej chwili pokochała małą bez reszty.

Jakże podobna byłam do niej w tym wieku - pomyślała. Chu-da, niezgrabna, o ciemnych, kręconych włosach opadających aż na oczy, Meg istotnie wyglądała jak Delia przed dziesięcioma laty. Tak szybko wyrastała z ubrań, że przykrótka spódniczka odsłaniała sporą część podrapanych, posiniaczonych nóg. Delia bez trudu mogła odgadnąć, jakie myśli chodzą Meg po głowie: ta pani na pewno mnie nie polubi, więc i ja nie będę jej lubiła.

- A to moje maleństwo, Tildy - dumnie oznajmił Nat. Tildy była naprawdę uroczym dzieckiem, puciołowatym brzdącem, o jasnych, kręconych włosach i rumianych policzkach. Nosila kolorowy fartuszek, a z tyłu do sukienki miała przyszyte jakby dodatkowe rękawy, umożliwiające pomoc dziecku w nauce cho-dzenia.

- Mam trzy lata i pół - poinformowała Delię Tildy.

- No, no, aż trzy lata!

- I pół!

Delia roześmiała się.

- I na dokładkę jeszcze pół!

Tildy ścisnęła w ramionach lalkę z kukurydzianych łusek, po-wiązaną pędem winorośli i pomalowaną sokiem z jagód. Teraz pokazała ją Delii, która przyklękła przed dzieckiem i delikatnie potrząsnęła rączką lalki.

- A to, któż to taki?

- Nazywa się Gretchen - nie bez dumy oświadczyła Tildy.

- Jak się masz, Gretchen. Ładna z ciebie panienka. I miła.

Tildy uśmiechnęła się, zadowolona, i uniosła wzrok ku ojcu.

- Ona lubi moją Gretchen.

- Na to wygląda - odrzekł Nat. Jego sposób wysławiania się, poważny i dobitny, napawał Delię pewnym zakłopotaniem.

Tildy ponownie wróciła się ku dziewczynie:

- Czy ty będziesz naszą nową mamą?

- Nie może być naszą mamą! - gniewnie wtrąciła Meg. _ Nawet jeśli tata się z nią ożeni, to nie znaczy, że ona zostanie naszą mamą. Bo nasza prawdziwa mama nie żyje.

- Meg ... - zaczął Nat, ale Delia przerwała mu, nim zdążył zbesztać córkę.

- Oczywiście, nie mam zamiaru zająć miejsca waszej mamy _

powiedziała rzeczowym tonem. Bez uśmiechu zajrzała w na-chmurzoną twarz dziewczynki. - Będę nową żoną waszego taty, a to przecież co innego, prawda?

Meg nie odpowiedziała, ale i nie zmieniła wrogiego wyrazu twarzy. Nie będzie łatwo podbić jej serce -

pomyślała Delia. Jednakże już kochała tę małą właśnie za jej upartą dumę.

- Na razie zatrzyma się pani u Bishopów - odezwał się Nat. _ Dopilnuję, żeby się panią zajęli. -

Rozejrzał się po nabrzd. _ Gdzie są pani rzeczy?

Delia uświadomiła sobie, że zostawiła swój worek z jego żałosną zawartością na pokładzie "The Sagadahoc Maiden". Pewnie Ty później go jej dostarczy, ale właściwie nie bardzo wypadało, by zakładała na siebie tamte stare łachmany. Miała też jeszcze klaczkę od Tylera. Ale i tak zamierzała mu ją oddać.

Obdarzyła Nata promiennym uśmiechem i pokazała puste dłonie.

- Przyjechałam tak, jak tu stoję, panie Parkes.

Na widok dezaprobaty na twarzy wpatzonego w nią mężczyzny spoważniała i nerwowo przestąpiła z nogi na nogę. Najwyraźniej Nat nie był nią zachwycony.

- Proszę mi lepiej mówić Nat - rzekł po chwili milczenia.

- Nat - powtórzyła Delia głosem nieco piskliwym ze zdenerwowania.

Patrzył na nią jeszcze przez chwilę z pogłębiającą się zmarszczką między brwiami. Na koniec westchnął głęboko i mruknął:

- Ano ... to chodźmy do Bishopów.

Ruszyli wzdłuż nabrzeża w kierunku dużego domu z cegły obok tartaku. Delia spostrzegła, że Nathaniel Parkes porusza się dziwnie sztywno, wyraźnie kuleje. Jego ciężkie rybackie buty z grubej skóry dudniły nierówno na deskach pomostu.

Mimo niezbyt entuzjastycznego powitania ze strony Nata Parkesa Delia rozglądała się wokół z radosnym podnieceniem. Oto było miejsce jej startu w nowe życie, i nie mogłaby znaleźć do tego piękniejszego otoczenia.

Powietrze przesycił zapach świeżo ciętego drewna sosnowego i cedrowego, zmieszany z ostrym aromatem morza - wonią ryb, smoły i wodorostów. Zachodzące słońce wyłocilo powierzchnię zatoki i wody delty Kennebecu. Od strony składu drewna dochodziły miarowe odgłosy łupania klepek.

Minęli kilku robotników obrabiających okazałych rozmiarów belkę. Zupełnie otwarcie gapili się na Delię, pozdrawiali Natę okrzykami. Jeden z mężczyzn kantował surowy bal siekierką, drugi, postępując za nim, obciosywał go toporem ciesielskim.

Meg wskazała mężczyznę z toporem, kierując na Delię niepokojne brązowe oczy.

- Właśnie przy takiej robocie nasz tata stracił stopę. _Delia spojrzała na Natę ze zdumieniem.

Owszem, kulał wyrażnie, ale żeby ktoś tak chodził, mając jedną stopę! - Masz tylko jedną stopę?

Odwrócił wzrok.

- Ty ci nie powiedział? Pracowałem czasem w tartaku, ilekroć moja Mary ... - Urwał, zaczerwienił się lekko. - Kiedy potrzebowaliśmy czegoś do domu. W marcu minął rok, jak to się zdarzyło.

Dokładnie na rok przed ...

Głos mu się załamał, ale Delia domyśliła się, że chciał powiedzieć, iż wypadek zdarzył się na rok przed śmiercią jego żony. Najwyraźniej wciąż bardzo za nią tęsknił i nie potrafił mówić o niej bez wzruszenia. Ale czy w takim razie powinien żenić się ponownie? - zastanawiała się Delia.

Wystarczyło jednak, że raz tylko spojrzała na szczupłą, ściągniętą bólem twarzyczkę Meg, i zrozumiała.

- Topór się ześliznął - podją Nat - i obciąłem sobie końce palców. Rana zaczęła się paskudzić i Ty orzekł, że trzeba odjąć stopę. Ale Obadiah Kemble, nasz stolarz, wyrzezał mi nową z orzecha. Nie musisz się obawiać, że nie potrafię utrzymać żony. Nadal nie gorzej od innych radzę sobie w lesie i w polu - zakończył oficjalnym tonem.

- A to dopiero! - zawołała Delia. - Masz stopę zrobioną z drewna? Mogę zobaczyć?

Nat wyglądał na niemiło zaskoczony tym pomysłem i Delia przeklęła w duchu swój długi język.

Jeśli nadal będzie się tak zachowywać, ani się obejrzy, jak znajdzie się na pokładzie "The Sagadahoc Maiden" w drodze powrotnej do Bostonu.

- Wątpię, czy to wypada ... - zaczął Nat, ale Meg przerwała mu, szarpiąc go za rękaw i wołając:

- Pokaż jej, tato!

- Pokaż jej, tato - powtórzyła jak echo Tildy.

Nat bezwiednie podrapał się po nosie i na chwilę jego wpałtrzone w

córkę oczy rozjaśnił uśmiech.

- No cóż, przypuszczam, że mógłbym ...

- Ależ nie, nie trzeba - zaoponowała Delia, coraz bardziej zażenowana skutkami jej niewczesnej ciekawości.

Ale Nat już pokuśtykał do baryłki z gwoździami, stojącej pod ścianą składu masztowej sosny, usiadł, zsuł but, zdjął skarpetki i wyciągnął nogę w stronę Delii. I nagle uśmiechnął się do niej szerokim, szczerym uśmiechem. Przez króciutką chwilę widziała go takim, jakim był przed tragedią, która na co dzień zasnuwała smutkiem jego twarz.

- Widzisz, ma stopę całą z drewna - powiedziała Meg, przyglądając się Delii badawczo i jakby z nadzieją, że ta ze zgrozą odskoczy od jej ojca.

Delia tymczasem, mimo najlepszych chęci, nie była w stanie powściągnąć ciekawości i pochyliła się, by lepiej przyjrzeć się protezie. Była to wspaniała kopia prawdziwej stopy, zaopatrzona nawet w pięć osobno wyrzeźbionych palców. Zawias umieszczony w miejscu kostki zginał się niemal tak dobrze jak prawdziwy staw. Orzechowa stopa wyglądała tak naturalnie, iż Delia miała ochotę jej dotknąć, aby upewnić się, że to drewno, nie ciało.

_ Och, Nat, to wspania ...

_ Doprawdy, powinieneś się wstydzicie, Nathanielu Parkesie.

Delia wyprostowała się pospiesznie, odwróciła, i oto miała przed sobą wyraźnie rozdrażnioną Sarę Kemble, stojącą z dłońmi na biodrach i z ogniem w zmrużonych oczach. Delia nie wiedziała, że Hookerowie, Bishopowie i Ty podążali w pewnej odległości za nią i Natem. Teraz wszyscy, łącznie z Sarą i jak zwykle niczym cieniem twarzyszącym jej panem Kemble'em, przystanęli na widok Nata, publicznie zdejmującego but i skarpetę, by pokazać przyszłej żonie drewnianą stopę.

Delia uśmiechnęła się do Obadiaha, świadomie ignorując obecność pani Kemble, co wcale nie było łatwe, bo ta dosłownie wisiała nad nią niczym zionący ogniem smok.

_ Panie Kemble, Nat pokazał mi stopę, którą mu pan zrobił! - wykrzyknęła Delia. - Nie wiem, czy kiedykolwiek widziałam równie wspaniałą robotę.

Sara Kemble wyduła tuste policzki i wydała z siebie rozgłosne prychnięcie.

_ Pan Kemble jest stolarzem, jedynym stolarzem na wschód od Wells. Nie ma potrzeby trwonić swojego talentu na takie

dzi wactwa ...

_ Myślę, że większość ludzi potrafi zrobić krzesło czy stół - rzekła Delia.

_ Ale sądziłam, iż stopę umiałby zrobić jedynie Pan Bóg.

_ Słyszał pan? *Sara Kemble wyciągnęła rękę w stronę wielebnego Hookera, który aż podskoczył, stając bez mała na baczność. Elizabeth zakryła dłonią usta, by stłumić chichot. Sara wycelowała drżący palec, przypominający okazałą parówkę, w Delię. Czy słyszał pan bluźniercze słowa,*

wypowiedziane właśnie przez to indywiduum?

_ Zamknij się, Saro - powiedział Obadiah uprzejmym jak zwykle tonem.

Sara Kemble rozdziawiła usta, następnie wyprostowała potężną figurę•

_ A kim ty jesteś, żeby ...

- Twoim mężem, ot kim. I kiedy mówię: zamknij się, masz się, do licha, zamknąć!

Sara zgrzytnęła zębami. W tym momencie przypominała krowę żującą pokarm na pastwisku.

Odwróciła się i odeszła nabrzeżem, potrząsając zwieńczoną czepkiem głową. Obadiah podążył za nią, ale przedtem nie omieszkał uśmiechnąć się i mrugnąć do Delii.

Dziewczyna napotkała rozbawione spojrzenie Tylera i uśmiechnęła się szeroko.

- Pan Kemble postawił na swoim. Dobry Boże, kto by to pomyślał!

Ty zaśmiał się, ale spojrzał przypadkiem na coś za plecami Delii i uśmiech zniknął z jego twarzy.

Odwróciła się i ujrzała Nata, wpatrującego się w nią ze swego miejsca na baryłce z gwoździami.

Dziewczynki tuliły się do ojca, a spojrzenie Meg płonęło blaskiem triumfu.

Policzki Delii zalał wściekły rumieniec. Spuściła głowę, skryła dłonie w fałdach spódnicy. Ty kapuściany głąbie! Jesteś tu od dziesięciu minut, a już udało ci się wprawić w zawstydzenie biedaka, który zobowiązał się ciebie poślubić.

Szczupła, opalona dłoń spoczęła na jej ramieniu, zmuszając ją, by się odwróciła. Z wolna podniosła głowę. Ich oczy się spotkały.

Na twarzy Tylera Savitcha wykwitł leniwy uśmiech.

- Witaj w Merrymeeting, Delio.

12

- Pod twoją nieobecność, Ty, przeżyliśmy napad leśnych piratów. -
Pułkownik Bishop odłożył łyżkę i otarł usta zawiązaną wokół szyi serwetką.
- Około pięćdziesięciu tych łotrów przy. płynęło słupami z Bostonu. Ścięli i
wywieźli kilka naszych najlepszych drzew.

- Przydałaby się nam wtedy twoja celna strzelba *dodała Anna Bishop.*
Głos miała ciekwi. • niczym skwaśniałe wino, co zadziwiająco
harmonizowało z jej kanciastą twarzą. Do Tylera uśmiechała się jednak w
sposób zdradzający głęboką sympatię.

Dobry strzał i kilka tych twoich mrozących krew w żyłach indiańskich
okrzyków wojennych szybko by ich wypłoszyły.

Ty wymamrotał coś w rodzaju “może następnym razem” i skrzywił się
ponuro. Delia czuła na sobie jego wzrok i wiedziała, że ten grymas
adresowany był także do niej. Popatrzyła po twarzach obecnych i napotkała
nieco zdziwione spojrzenie Nata Parkesa, który jakby nie bardzo pamiętał,
dlaczego znalazł się w tym miejscu. Światło świec pogłębiało zmarszczki na
jego twarzy, szare oczy wydawały się zasnuwane mgłą smutku. Delia czuła, że
Nat porównuje ją w myślach ze zmarłą żoną i porównanie to wypada na jej
niekorzyść.

Przyszła pani Parkes miała pozostać u Bishopów do czasu dopełnienia
formalności ślubnych. Tak nakazywała przyzwoitość. Pierwsza kolacja w
Merrymeeting z jej udziałem miała poniekąd uroczysty charakter. Zostali na
nią zaproszeni Hookerowie i oczywiście Nat. Niemniej już jego córki
musiały jeść w kuchni, ze służbą. Delia uważała, że gdyby dziewczynki były
obecne przy stole, jej brak obycia nie rzucałby się tak w oczy i Ty nie robiłby
do niej groźnych min.

Delia nigdy nie miała okazji jeść z porcelanowych ani cynowych
naczyni. Nie wiedziała też, że są ludzie, którzy mogą pozwolić sobie na
luksus posiadania oddzielnej jadalni. Zawsze jadła w kuchni albo przy barze
czy wręcz na ulicy. Środek jadalni Bishopów zajmował piękny stół z
przyciemnionego wiśniowego drewna. Stojące wokół krzesła miały tak
delikatną konstrukcję, że skrzypiały przy najlżejszym poruszeniu. W całym
pomieszczeniu unosił się zapach suszonych fiołków i tabaki, której
chmura otaczała zawsze pułkownika Bishopa.

Zapach tabaki spowodował, że Delia poczuła przemożną chęć kichnięcia. I im bardziej starała się powstrzymać, tym bardziej kręciło ją w nosie. Na koniec grzmotnęła niczym z armaty i czerwona jak burak zasłoniła dół twarzy serwetką.

- P-przepraszam - wymamrotała.

Nigdy nie czuła się tak zawstydzona. Nic dziwnego, że ani Ty, ani Nat nie chcą się z nią ożenić. Ona też nie miałaby ochoty żenić się z taką odrażającą, źle wychowaną prostytutką.

- To od tabaki - rzekła pani Bishop. - Doprawdy, Giles, . powinieneś bardziej uważać.

- Tak, oczywiście. Proszę o wybaczenie, panno McQuaid.

Delia zerknęła na Tylera, spodziewając się znów ujrzeć minę wyrażającą naganę, ale w jego oczach lśniły iskierki rozbawienia. Nagle uśmiechnął się ujmująco. Okropnie speszona, odwróciła wzrok.

Podczas gdy wszyscy jedli zupę, rozmawiając o piratach i wyćcinie lasu, Delia przyglądała się żonie pułkownika. Musiała mieć około pięćdziesiątki, ale wydawała się starsza od męża - przygarbiona i zniszczona życiem chyba bardziej, niż należałoby się spodziewać po mieszkance tak luksusowego domu. Otaczała ją aura jakiegoś smutku, wręcz cierpienia, choć z tych kilku słów, które wypowiedziała do Delii, przebijała prawdziwa dobroć. Delia spostrzegła duży żałobny pierścień z trupią czaszką na prawej dłoni gospodyni - chudej, kościstej, o spuchniętych stawach. Być może powód, dla którego nosiła ten pierścień, był przyczyną jej smutku.

- Zauważyłem, że wszystkie maszty zgromadzone na przystani noszą znak w kształcie strzały przypominającej ślad wroniej łapy - odezwał się pastor Hooker, kiedy służący zebrał ze stołu talerze po zupie. - Czy ten znak ma jakieś specjalne znaczenie?

- Prawo stanowi, że wszystkie maszty o średnicy przekraczającej pół metr• mają być przekazywane w użytkowanie Królewskiej Marynarce Wojennej - wyjaśnił pułkownik. - Jako agent Korony muszę dopilnować, aby na sosenach masztowych o tych rozmiarach wryto królewski znak "szerokiej strzały", w ten sposób rezerwując je dla Royal Navy. Obawiam się, że czyni to mnie niezbyt sympatycznym dla niektórych mieszkańców Merymeeing.

Anna Bishop parsknęła przez nos z wyraźną irytacją.

- To dlatego, że za swoje maszty mogą dostać w Lizbonie czy Kadyksie więcej, niż płaci skarb koronny. Niestety, nie wszyscy tutaj są lojalnymi, miłującymi prawo poddanymi Jego Królewskiej Mości.

- Ano, nie wiem dlaczego, ale wcale mnie to nie dziwi – rzekł Caleb. Wszyscy się roześmiali i Delia poczuła się nieco swobodniej.

Pułkownik Bishop jął wyjaśniać, że królewskie maszty powinny być idealnie proste, bez pęknięć i jakichkolwiek skaz, a tymczasem służący stawiał przed biesiadnikami talerze z grubymi plasterkami pieczonej wołowiny, duszoną kapustą i kromkami kukurydzianego chleba, posmarowanymi dżemem jabłkowym. Obok każdego talerza położył nóż i jakiś przedmiot w otwartym skórzanym pudełeczku, jakiego Delia nigdy przedtem nie widziała.

Owszem, widziała coś, co było podobne: narzędzie kuchenne z długą rękojeścią, zakończone parą dużych zębów, zwane widelcem. Służyło do przytrzymywania pieczeni przy krojeniu. Ale ten widelec był mały, rozmiarów łyżki do zupy. Miał kościaną rączkę i trzy małe zęby.

Delii z głodu burczało w brzuchu, jako że nie tknęła zupy w obawie, iż nie potrafi zjeść jej jak prawdziwa dama - bez siorbania, rozlewania na stół i brodę. Teraz z kolei bała się posłużyć tym dziwnym, zębatym przyrządem. Przez chwilę spod wpróżymkniętych powiek obserwowała Tylera.

Przyszpilił mięso zębami “widelca” do talerza, odkroił kawałeczek i podniósł go do ust. Delia przyglądała mu się, aż zrobił to kilka razy, nim sama spróbowała.

Ku jej radości już pierwsza próba wypadła całkiem pomyślnie.

Obyło się bez żenujących wypadków, a bała się, że nie trafi do ust czy upuści kawałek mięsa na kolana. Niemniej to nowomodne narzędzie do jedzenia budziło jej nieufność. Wydawało się takie

kłopotliwe. Najchętniej jadłaby po prostu palcami.

Tak czy inaczej, dała sobie radę! Siedziała w prawdziwej ja-dal ni, przy pięknym stole, jadła z porcelanowych talerzy i piła z cynowego kubka. I posługiwała się widelcem, czy jak tam się nazywa to cudaczne narzędzie.

Prawda, że wychowałaś się w portowej dzielnicy Bostonu i mieszkałaś w nędznej ruderze. Miałaś tatę pijaka i pracowałaś w szynku, odkąd skończyłaś czternaście lat. Ale to nie znaczy, że nie możesz się zmienić. Nigdy nie byłaś taka głupia, żeby nie nauczyć się, czego trzeba. Tak więc i teraz nauczysz się elegancko ubierać i panować nad tym swoim długim jęzorem. Zachowywać się jak prawdziwa dama.

Podniosła oczy i napotkała wzrok Tylera. Znow patrzył na nią z wyraźną przyganą. Dumnie podniosła głowę. Może i nie jestem warta twojego towarzystwa, Tylerze Savitchu, ale pewnego dnia to się zmieni. Jeszcze

zobaczysz.

Pewnego dnia Tyler Savitch spojrzy na nią, a ona w jego niebieskich oczach zobaczy podziw.

Podziw i żal.

Po kolacji Hookerowie opuścili dom pułkownikostwa razem z Tylerem. Odprowadził ich na plebanię, w jednej ręce trzymając wodze swojego kłusaka, w drugiej gotową do strzału flintę.

Nocą las wydawał się Calebowi groźny, pełen nieodgadnionych zagadek i niebezpieczeństw. Niemal spodziewał się, że za chwilę zobaczy płonące w mroku czerwone ślepia albo usłyszy wojenny okrzyk krwiożerczego Indianina. Spojrzał na żonę, na jej bladą twarz i zaciśnięte usta i domyślił się, że jeszcze szybciej niż on zrozumiała, czym było Merrymeeting. Pod przykrywką pięknej przyrody czaiło się tu tysiące niebezpieczeństw.

Zatrzymali się przed wejściem do nowej plebanii.

- Zaczekaj chwilę - odezwał się Caleb do Tylera. - Chciałbym z tobą porozmawiać.

Ty obwiązał wodze kłusaka wokół słupka podtrzymującego daszek ganku, a tymczasem Elizabeth weszła do domu, zabierając ze sobą oliwną latarnię. Widzieli jej cień w oknach, dopóki nie pozamykała okiennic, zostawiając ich w ciemności dźwięczącej głosami świerszczy. Blade światło księżycy ledwie wydobywało z mroku twarze mężczyzn.

- Muszę przyznać, że jestem trochę zawiedziony - powiedział Caleb.

- A czemuż to? Czyżby pani pastrowej nie spodobał się dom?

Caleb zdjął kapelusz i przeczesał palcami rzadkie włosy.

Uśmiechnął się nieznacznie.

- Och, plebanii nic nie brakuje, i jak tylko Lizzie urządzi wszystko po swoim, będzie się nam wydawało, że mieszkamy tu całe życie.

A przy tym wszystkim okna mają okiennice - pomyślał Caleb trochę bez związku z wypowiedzianą kwestią - tak więc moja Lizzie może się odgrodzić od puszc~y, bđ miasta, które już zdążyła znienawidzić, od wszystkiego, łącznie ze mną, i pruć, pruć, pruć ...

Stłumił westchnienie. Jak może być dobrym pastorem, pomagać innym, skoro nie umie pomóc Elizabeth ani sobie?

- Nie, rzecz w tym, że jeszcze podczas studiów na Harvardzie, ilekroć wyobrażałem sobie swoją pierwszą parafię, na dachu zboru widziałem pokaźną wieżyczkę. Z kurkiem na iglicy.

Ty spojrział w kierunku sąsiadującego z plebanią zboru - przyśadzistego

budynku o ścianach szalowanych surowymi deskami. - Nie ma wieżyczki - przyznał.

- To będzie dla mnie nauczka - ciągnął Caleb ostrożnie. - Żeby nie przywiązywać zbytnej wagi do marzeń.

- Nie ma nic złego w marzeniach - odrzekł Ty, ale nie zabrzmiało to tak, jakby naprawdę wierzył w swoje słowa.

Caleb nie odpowiedział. W trakcie podróży sporo rozmawiał z Tylerem, i gdyby teraz ktoś o to zapytał, powiedziałby, iż zostali przyjaciółmi. Dość szybko, zważywszy, że Ty był człowiekiem

raczej zamkniętym w sobie. Mimo wszystko Caleb nie bardzo wiedział, jak poruszyć temat, który chciał z Tylerem omówić.

Zdecydował się zacząć prosto z mostu.

- Czy jesteś pewien, że winienesz pozwolić Nathanielowi Parkesowi poślubić Delię?

- Nat powinien uważać się za szczęściarza, dostając Delię! - warknął Ty. - Będzie dla niego świetną żoną.

- Źle mnie zrozumiałeś. Myślę, że Delia byłaby świetną żoną dla każdego mężczyzny. A zwłaszcza dla ciebie, bo przecież wszyscy widzą, że bardzo cię kocha ... i podejrzewam, że ty ją także.

- A niech to wszyscy diabli! Nie kocham jej! Po prostu jestem ... - Ty ze złością kopnął schodek przed gankiem. - Do licha, Calebie, ja nie mam pojęcia, co to jest miłość, co powinno się czuć, gdy się kocha. Może zwyczajnie nie jestem zdolny do miłości.

- Och, myślę, że jesteś zdolny, i to w większym stopniu niż niejeden z nas. Dlatego tak się opierasz.

Być może czujesz, że miłość czyni cię zbyt miękkim albo bardziej podatnym na ból...

- Bzdura!

- W porządku. Chcesz zasłużyć na miano najbardziej upartego z osłów, twoja sprawa! - zawołał Caleb, w podnieceniu gestykulując gwałtownie. - Ale pamiętaj, kiedy Delia poślubi pana Parkesa, będzie dla ciebie stracona. Na zawsze.

No, jednak to powiedział. Tylko czy Ty weźmie sobie jego słowa do serca?

Zacisnąwszy dłonie w pięści, Ty wsadził je do kieszeni surduta.

Mdłe światło księżycy wyostrzyło rysy jego twarzy, pogłębiając cienie na policzkach.

- To co, twoim zdaniem, mam zrobić, pastorze? Oświadczyć się Delii zamiast Nata, bo być może ją kocham, tylko o tym nie wiem? Jestem ostatnio tak skołowany, że dobrze, jeśli rano pa-miętam, jak zakłada się spodnie. I ja mam wiedzieć, gdzie do-kładnie przebiega granica między miłością a pożądaniem? - Ty uśmiechnął się gorzko. - A jeśli już zdecyduję, że odczuwam to drugie, czy powinienem zrobić z niej swą kochankę? Wątpię, czybyś to pochwalił. A znając Delię, wiem, że dałaby mi po gębie za samą propozycję.

- Rozumiem twój punkt widzenia - odrzekł Caleb smutno. - Ale miłość, czuła, świetlista, duchowa miłość tak rzadko zdarza się między mężczyzną a kobietą, że jeśli ...

Ty zaśmiał się krótko. Zabrzmiało to jak warknięcie.

- Mam ochotę chędożyć tę dziewczynę, a nie poślubić. Co w tym, u diabła, duchowego?

Caleb przełknął ślinę i odwrócił głowę.

Ty zbliżył się i już innym tonem powiedział:

- Przepraszam, nie chciałem cię obrazić.

- Słyszałem już to słowo. - Caleb uśmiechnął się nieco żałośnie. - Kilka razy nawet sam go użyłem.

Jestem co prawda sługą bożym, ale nie przestałem być mężczyzną.

Tak, mężczyzną, jestem tylko mężczyzną ... Mężczyzną, któ-rego boli, gdy zbliżając się do żony, widzi strach i obrzydzenie na jej twarzy. Wiedział, że ona tego nienawidzi. Któremu z nich zabrakło miłości?

Obrócił się i spojrzał na Tylera. W oczach młodego lekarza dostrzegł ból, taki sam jak ten, który trawił jego serce.

- Przepraszam - powtórzył Ty.

- Nie, nie. Nie powinienem był poruszać tego tematu.

- Czy Delia powiedziała coś ...

- Nie, po prostu tak łatwo odgadnąć, co ta dziewczyna czuje ... kiedy jest szczęśliwa, kiedy się gniewa, kiedy cierpi.

- Lepiej jej będzie z Natem.

- Chciałbym, żebyś miał rację.

Ty rozstał się z pastorem na ganku nowej plebanii. Niebawem Merrymeeting z jego tartakiem, młynem, kuźnią i kilkunastoma domami zostało w tyle. Jadąc wzdłuż Kennebec River, Ty zmie-rzał

w kierunku swojej samotni - chaty ukrytej w głębinie lasów Sagadahoc.

Rozmyślał o naturze miłości.

Nie kochał Delii. A już na pewno nie taką miłością, o jakiej mówił wielebny Hooker. Bo gdzie, u czarta, miejsce na czułość i uduchowanie, jeśli na sam widok tej dziewczyny, na dźwięk jej przekłętego, gardłowego głosu krew poczyniała mu szybciej krążyć w żyłach, a pot występował na czoło? To było pożądanie, nie miłość, i powinien był mieć dość rozumu, by nie wiązać się z tą małą.

Albo wcześniej zaciągnąć ją do łóżka, bo wówczas może zdążyłby zaspokoić swoje żądze. A tak ...

No dobrze, nadal jej pragnął. Nie zamierzał się tego wypierać.

Ale nie było powodu, by robić zamieszanie tylko dlatego, że swędziało go między nogami. Delia poślubi Nathaniela Parkesa. Nat to porządny człowiek, będzie dla niej dobry, zapewni jej dobrobyt.

Delia będzie z nim szczęśliwa. A doktor Tyler Savitch pozostanie wolny ...

Wolny do czego? - zapytał przekorny głosik, dobiegający z licho wie jakich pokładów jego umysłu.

Ale Ty nie zwrócił nań uwagi.

Delia stała na nabrzeżu w głębokim cieniu rzucanym przez belki, ułożone w wysokie stopy, i patrzyła na atramentowoczarne wody zatoki Merrymeeting. Światło księżycy kładło się na gładkiej powierzchni morza srebrzystą poświatą, zmieniając je w gigantyczne lustro.

Uniosła głowę i spojrzała w niebo. Było o ton ciemniejsze od morza, pełne gwiazd, wiszących nisko, jakby unosiły się w powietrzu, mrugając niczym iskry w popielniku. Piękny to był widok, a mimo to Delię dławilo w gardle od powstrzymanego płaczu, czuła się nieszczęśliwa i bezgranicznie samotna. Przez chwilę nie pojmowała, skąd bierze się ten smutek, ale wnet zrozumiała ... Ty odszedł.

Wyszedł z Hookerami, by odprowadzić ich do nowej plebanii.

Mijając Delię w drzwiach, uśmiechnął się nawet i rzucił: "Do-branoc, mała". Lecz chociaż rano obiecali sobie przyjaźń, to później, gdy znaleźli się razem, pojawiło się między nimi dziwne napięcie. I to on był odpowiedzialny za taki stan rzeczy. Mimo iż pozował na uwodziciela, nie należał do mężczyzn, którym sprawia przyjemność uwiedzenie dziewczycy. Ilekroć patrzyła mu w oczy, widziała w nich wstyd i poczucie winy z powodu tego, co stało się w lesie niedaleko Falmouth Neck. W rezultacie gniewa się na nią za to, że z jej powodu czuje się tak podle.

Delia uśmiechnęła się do siebie w ciemności. W piersi tego wiecznie niezadowolonego, porywczego cynika biło czułe serce. Fakt ten Tyler Savitch ukrywał nawet sam przed sobą. Delia straciła dziewictwo, ale to Ty doznawał uczucia żalu.

Usłyszała za sobą odgłos kroków i odwróciła się spieszenie, z twarzą rozjaśnioną pełnym nadziei oczekiwaniem ...

- Powinnaś już być w łóżku - rzekła Anna Bishop głosem cierpkim jak sok zielonych cytryn. - Tu, w Maine, słońce wcześnie wstaje. Masz wszystko, czego ci potrzeba?

- O tak. Daliście mi państwo cudowny pokój.

Po raz pierwszy w życiu Delia miała spać w osobnym pokoju, gdzie było łóżko z baldachimem i puchowy materac. W pokoju stała nawet komoda na ubrania - tyle że Delia nie miała żadnych ubrań -

oraz kominek, a przed nim fotel i szydełkowy dywanik. Jako dziecko wyobrażała sobie nieraz taki pokój. Dziwnym trafem znalazła go w tej zagubionej w dziczy osadzie.

Anna dotknęła ramienia Delii.

- Chodź, dziewczyno. Moskity wyszły dziś na żer. Niedługo będzie ich tu więcej niż skrzypeków na jarmarku.

Istotnie, chwilę później Delia poczuła, że coś ukłuło ją w szyję.

Uderzyła dłonią w to miejsce, aż klasnęło.

Anna wydała z siebie zabawne parsknięcie.

- A nie mówiłam? Potrafią z człowieka wyssać krew do ostatniej kropelki, małe bestie.

Poszły w kierunku rezydencji Bishopów, by następnie przez werandę od strony plaży dostać się do długiego holu, dzielącego dom na dwie części. Drewniana podłoga była pomalowana w dziwny wzór z czarnych i białych rombów. Delia dostawała zawrotów głowy, ilekroć zbyt długo na nią patrzyła.

Schody ze spiralnymi słupkami w balustradzie wiodły na piętro, gdzie mieściły się sypialnie i pokoje gościnne. Delia zaczęła wchodzić na górę, ale przystanęła na podeście. Przez uchylone drzwi jednego z pokoi w dole padało migotliwe światło świec. Uwagę dziewczyny przyciągnął zrazu rzeźbiony kredensik, w jakim zwykle przechowuje się porcelanę. Co jednak było najdziwniejsze, półki kredensu, zamiast naczyń, wypełniały książki.

Zaintrygowana tym widokiem, zeszła ze schodów i wsunęła się do

dziwnego pokoju. Nie pomyślała o tym, że być może nie powinna tam wchodzić nieproszona.

_ To dodatkowy salon, ale ja, pewnie z próżności, nazywam ten pokój biblioteką - dobiegł od drzwi głos Anny Bishop.

_ Mój Boże! _ wykrzyknęła Delia. Z czią przesunęła palcem po grzbietach książek. - Wszystkie należą do pułkownika, tak? Musi być wykształconym człowiekiem. Jak T... jak doktor Savitch. Czy wie pani, że on studiował na uniwersytecie w Edynburgu? To tam się tyle nauczył... wszystkich tych dziwnych słów, i jak powinien się ubierać dżentelmen, i jak być lekarzem.

Anna wydała jedno ze swych prychnięć.

_ Skoro już mowa o Tylerze Savitchu, muszę przyznać, że zupełnie nie rozumiem tego człowieka.

Bywa wspaniały i w takich chwilach chyba nawet kamień młyński potrafiłby przyprawić o bicie serca. Zresztą dobrze o tym wie. A kiedy indziej zachowuje się jak indor, który rozkłada ogon, stoszy pióra i spodziewa się, że wszystkie indyczki w promieniu mili rzucą mu się do nóg. _ Tu rozległo się kolejne prychnięcie.

- I rzeczywiście wszystkie to robią, łącznie ze mną.

Delię rozbawił ten opis Tylera. On naprawdę taki czasem był.

_ Mój Oiles - ciągnęła pani Bishop - woli spędzać wolny czas, włócząc się po bagnach i sprawdzając, ile dzikich kaczek i gęsi uda mu się zamordować w ciągu jednego dnia ... Nie, te książki są moje.

Delia była wyraźnie zaskoczona.

_ Przeczytała je pani? Wszystkie?

_ Tak. Wiele z nich po kilka razy, choć Oiles się złości, ilekroć złapie mnie na czytaniu. Uważa, że w przypadku kobiety to marnowanie czasu. Niestety, większość mężczyzn jest zdania, że z odczytanej kobiety tyle pożytku co z dziurawego wiadra.

_ Mój tato jest taki sam. Zawsze mi mówił, że mężczyzna ma niewiele pożytku z kobiety poza kuchnią i łóżkiem ... - Delia umilkła, przestraszona własnymi słowami. Prawdziwa dama nie robiłaby aluzji do tego, co dzieje się między mężem a żoną. Kiedyż wreszcie się nauczy wpierw myśleć, a dopiero później mówić?

Anna Bishop nie wyglądała jednak na zgorszona. Przeciwnie, zaniósł się śmiechem, choć zdaniem Delii brzmiało to raczej jak gdakanie kury.

- Wiedz, Delio, że do rządzenia mężczyzną służą właśnie te dwa miejsca, kuchnia i sypialnia. I przysięgam, że częściej kuchnia. Moja matka umiała tak gotować, że wchodząc do naszej kuchni, mężczyźni robili się potulni jak baranki. Ojciec nigdy jej nie uderzył. Zresztą sama niebawem zobaczysz, jak to wszystko wygląda. Kiedy tylko wyjdiesz za mąż. Kuchnia i sypialnia to nasze królestwo.

Pani Bishop poklepała Delię po ramieniu, jakby ta była dzieckiem, i przelotny uśmiech rozjaśnił jej twarz.

- A teraz marsz do łóżka! Zobaczysz, że jutro z samego rana przyleci twój Nat. Będzie chciał

wyciągnąć cię z miasta, pokazać swoją farmę. Strasznie jest z niej dumny. Mój Nat - powtórzyła w myśli Delia.

Anna Bishop ponownie się do niej uśmiechnęła. Lecz choć Delia bardzo się starała, nie była w stanie odpowiedzieć uśmiechem.

13

- Pomyślałem, że może chciałabyś się przejechać za miasto i przy okazji zobaczyć farmę. - Nat Parkes mówił do Delii, lecz wzrok miał wbity w czubki swoich butów. Jednocześnie obracał w dłoniach trzymany za rondo filcowy kapelusz.

Delia przeżyła chwilę paniki. A co, jeśli pod jej nieobecność przyjedzie Ty? Szybko się jednak zreflektowała. To bez sensu. Ty nie miał powodu odwiedzać Bishopów, skoro spędził z nimi Wczorajszy wieczór. A już na pewno nie przyjedzie specjalnie po to, by zobaczyć się z nią.

Tak więc obdarzyła Nata olśniewającym uśmiechem i od-rzekła:

- To naprawdę wspaniały pomysł, Nat.

Poprowadził ją do stojącego na podwórzu wózka. Zaprzęzona doń klacz obudziła się z drzemki i powitała Delię głośnym parsk-nięciem. Nat pomógł dziewczynie wgramolić się na siedzenie. Poczowała na ramieniu dotknięcie jego silnych dłoni i czekała na dreszcz, jakim zawsze przejmował ją dotyk rąk Tylera. Nic takiego wszakże nie nastąpiło.

Zabudowania osady Merrymeeting układały się w kształt podkowy, z blokhauzem i nowym zbozem na końcach i przystanią oraz tartakiem w środku. Centrum zajmowały gminne błonia, porośnięte bagienną trawą, dzikim ryżem, kępami rozmarynu i ja-strzębca. Pośrodku błoni rosła samotna sosna, na jej szczycie zainstalowano wiatrowskaz. Anna Bishop z nieco złośliwym uśmiechem powiedziała Delii, że większość mieszkańców Merrymeeting zaraz po przebudzeniu przede wszystkim wygląda przez okno i sprawdza, z której strony wieje wiatr.

W tej chwili umiarkowana, wilgotna bryza dęła dokładnie od strony wody. Wiaterek trzepotał

spódnicą Delii, wyciągał jej włosy spod pasiastego biało-niebieskiego czepka, tak bardzo nie lubianego przez Tylera, choć to właśnie on go kupił. Nat powoził w milczeniu, a Delia na próżno szukała w koło wzrokiem ciem-nych włosów i pociągłej twarzy o wystających kościach policz-kowych.

Jechali drogą biegnącą skrajem osady, równoległe do zakola rzeki, i niebawem główna część Merrymeeting została za nimi. Wóz podskakiwał na ułożonych w poprzek drogi pniach; takie utwardzenie szlaku było niezbędne,

bo wiosny w Sagadahoc są deszczowe i błotniste. Przez niezliczone strumyki i rzeczki wpadające do zatoki Merrymeeting wiodły prowizoryczne mostki z kilku bali rzuconych w poprzek koryta. Wkrótce i droga z utwardzonego szlaku zmieniła się w parę wyjeżdżonych przez wozy kolein. Tu i ówdzie na wydartych puszczy polanach wznośli się drewniane domy. Delia była ciekawa, jak wygląda dom Tylera. Czy zawsze chciałby mieszkać w nim sam? Na koniec nie była w stanie powstrzymać cisnącego jej się na usta pytania.

- Czy któryś z tych domów należy do doktora Savitcha?

- Nie, jego chata znajduje się znacznie dalej w górę rzeki.

Jeszcze za moją ziemią. - Spojrzenie poważnych oczu Nata spooczyło na twarzy Delii. - Tyler Savitch to niezależny człowiek. Jak większość ludzi w Maine bardzo sobie ceni swoją prywatność. Lepiej o tym pamiętaj, jeśli zamierzasz żyć wśród nas.

- Będę pamiętać. - Zamilkła, speszona tonem, jakim udzieleno jej reprimendy, nie bardzo wiedząc, czym sobie na nią zasłużyła, i niepewna, co właściwie Nathaniel chciał powiedzieć.

Na koniec wóz skręcił i jęli się oddalać od rzeki, podskakując na wybojach i klucząc między drzewami.

Wreszcie Nat ściągnął

lejce. Nagle zrobiło się tak cicho, że słysząc było odległy głos bąka i cykanie świerszczy.

- Jesteśmy na miejscu - powiedział, badawczo przyglądając się Delii, jakby ciekaw jej reakcji.

Dom stał na całkowicie pozbawionej drzew polanie, z trzech stron otoczony polem kukurydzy.

Frontem skierowany był ku rzece, niewidocznej za drzewami, ale uszu Delii dobiegał mono-tonny szum wody - jakby wysokiej trawy, chłostanej wiatrem. Ściany domu oszalowano ręcznie łupanymi klepkami. Budynek był parterowy, miał jednak wysokie poddasze przeznaczone na sypialnie. Dwa mansardowe okna widniały na krytym cedrowymi gontami dachu. Sam dach był mocno spadzisty, co uniemożliwiało gromadzenie się śniegu. Przed domem znajdował się ogród warzywny, dalej niewielki sad. Stodołę, wzniesioną na zboczu pobliskiego wzgórza, dzieliła od domu dość znaczna odległość - nawet niesione silnym wiatrem iskry z komina nie mogły sięgnąć tak daleko. Do tylnej ściany domu przylegała drewnitnia i wędzarnia.

Delia z uśmiechem zwróciła się ku Natowi:

- Nie twierdę, że znam się na tych sprawach, ale w drodze z Bostonu do Merrymeeting minęliśmy wiele farm i ta jest najładniejsza, jaką widziałam.

Sądziła, że ucieszy go komplement, zresztą szczery, ale jego zaciśnięte usta nie rozluźniły się ani odrobinę.

- Trzeba ciężko pracować, żeby wszystko szło jak należy _ powiedział i Delia zrozumiała ostrzeżenie zawarte w tych słowach. Nie powinna się tu spodziewać lekkiego życia.

- Powiedziałam doktorowi Savitchowi, kiedy odpowiadałam na jego ogłoszenie, że nie boję się ciężkiej pracy.

- To jeszcze zależy - odparł, przeszywając ją wzrokiem _ co kto nazywa ciężką pracą.

Delia poczuła, że się czerwieni. Nat spostrzegł jej zakłopotanie.

Odwrócił wzrok i skinął głową, jakby potwierdziły się jego najgorsze podejrzenia.

- Nat, cokolwiek Sara Kemble powiedziała ci o mnie, chcę, żebyś wiedział ...

- Później. Porozmawiamy o tym później. W domu czekają dziewczęta. Meg zrobiła dla nas obiad. To znaczy ... jeśli zgodzisz się zostać na obiedzie.

Delia uśmiechnęła się potulnie.

- Och, bardzo chętnie, Nat. Dziękuję.

Nat pomógł jej zsiąść z wozu i poprowadził w stronę domu.

Raz jeszcze rozejrzała się dookoła. Farma naprawdę była piękna.

Mogłabym czuć się tu szczęśliwa -

pomyślała Delia. Gdyby tylko, gdyby ...

Drzewa rosnące w pobliżu wykarczowanego spłachetka gruntu miały podcięte korzenie i już zdążyły uschnąć. Między nimi, indiańskim sposobem, także posadzono kukurydzę, a ponadto fasolę i dynie.

Łodygi kukurydzy służyły za tyczki do fasoli, a jej liście dawały cień dyniom.

- Ziemia tu urodzajna - rzekł Nat - ale orka i bronowanie to prawdziwa męczarnia z powodu kamieni.

Dalibóg, one się chyba rozmnażają zimą pod śniegiem.

Uszu Delii dobiegło brzęczenie dzwonka.

- Ojej! - zawołała i uradowana klasnęła w dłonie. - Widzę, że masz koziółka!

Nat zaśmiał się. Może nieco wymuszenie, ale po raz pierwszy usłyszała jego śmiech, ciepły i łagodny, dobywający się z piersi rytmicznymi falami.

- Zdaje się, że nie masz zbyt wiele pojęcia o zwierzętach domowych - zauważył. - To koza. - Zwierzę było uwiązane do kołka tak, by mogło dosięgnąć sterty łądyg kukurydzianych, zgro-madzonych pod ścianą stodoły. - Dzięki niej mamy zawsze mleko i ser, ale niech no tylko uda jej się zerwać i dostać do ogródka ... Grządki wyglądają jak po przejściu szarańczy. Moja żona ... to znaczy M-Mary, tak się kiedyś zezłościła, że gotowa była prze-robić tę starą kozę na gulasz ...

Nat umilkł i odwrócił głowę. Kiedy ponownie spojrzął na Delię, w jego twarzy nie było śladu niedawnego ożywienia, a je-dynie ból.

- Cieszę się, że podoba ci się to miejsce, Delio.

- Podoba mi się, Nat. Naprawdę mi się podoba. - Delia starała się nadać swemu głosowi entuzjastyczne brzmienie w nadziei, że zetrze wyraz smutku z twarzy Nata. Ale na próżno.

Odwrócił się i pchnął drzwi domu. Prowadziły do niewielkiej sionki, której jedna ze ścian, zbudowana z granitowych głazów, była jednocześnie boczną ścianą pieca. Zwykła drabina z ostru-ganych kołków prowadziła na poddasze, do sypialnej części domu. Na lewo znajdował się niewielki pokój, którego przeznaczenia Delia nie знаła. Może była to jeszcze jedna sypialnia? Na prawo wchodziło się do najważniejszego pomieszczenia, gdzie domow-nicy spędzali najwięcej czasu. Pełniło ono zarazem funkcję kuch-ni, jadalni oraz salonu. Sionka pełna była narzędzi rolniczych _ motyk, grabi, siekier -

oraz sezonowej Odzieży, a więc kaloszy, raket do chodzenia po śniegu, płaszczy przeciwdeszczowych.

Nad drzwiami, na wbitych w ścianę kołkach, wisiał muszkiet.

Kiedy Delia weszła do kuchni, Tildy Parkes siedziała przy stole i przygryzając czubek języka, w wielkim skupieniu prze-pisywała litery z elementarza, służył jej do tego płatek kory brzozonej i zaostrizony pręcik z ołowiu. Meg, pochylona nad kuchnią, na widok Delii wyprostowała się z gniewnym marszem na czole.

- Przyszła nasza nowa mama! - zawołała Tildy i z arkuszem brzozonej kory w garści podreptała ku Delii. _ Patrz, właśnie uczyłam się pisać.

Delia obejrzała arkusik ze szczerym zainteresowaniem.

- No, no, mądra z ciebie dziewczynka.

- Ona nie jest naszą nową mamą! - zaprotestowała gniewnie Meg. - Nawet się jeszcze nie pobrali.

- Meg, nie zaczynaj znowu - mruknął Nat ostrzegawczym tonem. Mała

umilkła, ale rzuciła ojcu wyzywające spojrzenie, którego nie mógł nie zauważyć.

Odwróciła się i jęła zdejmować z ognia kociołek z gulaszem.

Naczynie było ciężkie - z wysiłku aż ścięгна wystąpiły na szczupłych ramionach dziewczynki. Delia zbliżyła się do pieca, chcąc jej pomóc.

- Sama sobie poradzę - warknęła wściekle Meg.

Nat zdecydowanym ruchem wyjął uchwyt kociołka z rąk córki.

- Dość mam twoich fochów, Meg. Jeśli zaraz nie zaczniesz się przyzwoicie zachowywać, poszukam sobie wierzbowej różgi.

Meg zblada i zacisnęła usta. Oczy jej się zaszklily, ale nie rozplakała się.

- Wychodzę - rzuciła. - Mam mnóstwo pracy w ogródku. Chodź, Tildy.

- Nie chcę - nadała się TiJdy. Ale Meg chwyciła siostrę za rękę i wyciągnęła z pokoju. Po chwili trzasnęły drzwi wejściowe i dopiero wtedy ucichły okrzyki protestu młodszej panny Parkes.

- Przepraszam, Delio. - Nat wyglądał na zakłopotanego. - Nie wiem, dlaczego ona tak się zachowuje.

Ale obiecuję ci, że położę kres tym breweriom - zakończył twardym tonem.

- Nie karz Meg z mojego powodu. Proszę. Daj jej trochę czasu. Moja mama też umarła, kiedy byłam w wieku Meg. Ona jest już dość duża, by rozumieć, co to znaczy śmierć i że umiera się na zawsze. Ta myśl napełnia ją przerażeniem. - Delia bezwiednie położyła dłoń na ramieniu Nata. - Proszę, nie karz

jej.

Nat zeszywniał i odsunął się, tak że ręka Delii opadła. Wlepił wzrok w podłogę, ściągnął usta, wreszcie wzruszył ramionami. - - No dobrze. Zresztą wątpię, czy w promieniu trzech mil znalazłaby się jakaś wierzba.

Delia roześmiała się. Nawet Nat zdobył się na wąty uśmiech.

Szybko jednak smutek wyparł tę odrobinę wesołości z jego oczu.

- Ale moja Mary nie tolerowałaby u Meg takich manier.

Na to Delia nie znalazła odpowiedzi. Wytarła w spódnicę nieco spocone dłonie i rozejrzała się po kuchni. Piec ze złomów granitu wyposażony był w okazałych rozmiarów rożen. Dzięki dobrze ciągnącemu kominowi, w który wbudowano piekarnik, w powietrzu nawet nie czuło się zapachu dymu. Ściany zdobiły boazerie z sosnowych desek, a w oknach wisiały zasłony z kretonu drukowanego w wesołe wzory. Większość mebli były to proste sprzęty domowej roboty - z wyjątkiem klonowego kredensu, ozdobionego

rzeźbionym gzymsem. Na wierzchu kredensu w charakterze dekoracji ustawiono porcelanowy czajnik i sześć malowanych glinianych talerzy. W powietrzu unosiła się przyjemna woń świec z wosku tłoczonego z woskownicy.

Wzrok Delii padł na wyszywaną jedwabiem lnianą makatkę, wiszącą na ścianie naprzeciwko pieca.

Podeszła bliżej i uważnie jej się przyjrzała.

- To robota mojej Mary - oznajmił Nat z dumą.

- Bardzo ładna.

Obrazek na makatce przedstawiał stodołę, konia i mężczyznę koszącego zboże. Poniżej widniał jakiś napis, ale Delia nie była w stanie go odcyfrować.

Nat przeczytał więc na głos słowa wyhaftowane ręką żony.

Moje to dzieło; w przyjaciół dłonie

pójdzie, gdy umrę i spocznę w grobie.

Delia zadrżała, przejęta mimowolną zgrozą. Kim była kobieta, która wyszyła te wersy? Na chwilę jak żywa stanęła jej przed oczyma mama pochylona nad makatką - ale o wiele weselszą, z literami alfabetu i kwietnym szlaczkiem. Niemal słyszała głos matki, wymieniającej nazwy ściegów: krzyżykowy, prosty, pętelka ...

Obok makatki, nad kołowrotkiem do przędzenia wlny, wisiał szafkowy zegar. Delii od razu się spodobał. Był zrobiony z pole-rowanego mosiądzu i wiśniowego drewna, a w jego miarowym tykaniu było coś domowego, coś, co sprawiało, że kuchnia stawała się bardziej przytulna.

- To mój prezent ślubny dla Mary - rzekł Nat napiętym głosem. - Nie mogłem się zdecydować, czy dać jej krowę, czy zegar. Wybrałem zegar. Później powiedziała mi, że powinienem być podarować jej krowę.

Delia pomyślała, że ona wolałaby zegar, ale oczywiście nie powiedziała tego na głos. Raz jeszcze rozejrzała się po kuchni. Kolorowe zasonki, naczynia na kredensie, kołowrotek, makatka. W tym domu i w sercach swojej rodziny Mary Parkes pozostała trwały ślad.

Delia spojrzała na twarz Nata. Patrzył na zegar, usta miał zaciśnięte, wzrok jakby oblakany. Mary Parkes zostawiła także swój ślad w duszy tego mężczyzny. Ślad nie do zatarcia. Delia uświadomiła sobie, że być może zgodziła się wziąć na barki ciężar ponad swoje siły. Stłumiła westchnienie i lekko zakręciła kołem kołowrotka. Skąd jej przyszło do głowy, że przyjedzie do Merrymeeting i najzwyczajniej w świecie zajmie miejsce innej kobiety?

- Mary zawsze mówiła, że w jej rękach kołowrotek potrafi zagrać każdą

melodię - powiedział Nat.

Delia sporzała mu w oczy, wzięła głęboki oddech.

- Będę z tobą szczerą, Nat. Wiem wszystko o pracy w szynku, ale do dnia wyjazdu z Bostonu moja stopa nigdy nie postąpiła na farmie. Mam nadzieję, że ktoś mnie wszystkiego nauczy.

Nat zamrugał i zrobił nieco kwaśną minę.

- Nie będę udawał, że nie jestem tym zawiedziony, Delio.

Musisz wiedzieć, iż po to właśnie szukałem żony, by przejęła ode mnie trud prowadzenia domu i opiekowania się dziewczynkami. No i żeby mieć dodatkową parę rąk do pracy w polu. Nie chodziło ...

Gdyby nie to, nie potrzebowalibyśmy kobiety.

Delia nie była pewna, jak ma rozumieć tę uwagę. Gdyby nie dom i farma, nie potrzebowaliby kobiety?

Poczuła się nagle pusta i bardzo, bardzo samotna.

- Może mógłbyś mnie nauczyć tego, co powinnam umieć - odezwała się, zła na siebie za ten ton rozpaczy w głosie. - Zwykle szybko się uczę.

- Może. - Nat zatrzymał obracający się kołowrotek. - Ale nie mogę cię nauczyć kobiecych zajęć.

- Och, Elizabeth Hooker jest świetną prządką. Tak przynajmniej twierdzi Caleb. Może ona zgodzi się mnie uczyć.

Przez chwilę spoglądali na siebie w milczeniu. Wreszcie Nat chrząknął i rzekł:

- Niewiele już zostało do pokazywania, ale może byś obejrzała resztę domu? Dziewczynki śpią na poddaszu, a Mary i ja ... - Urwał i zaczerwienił się. - To znaczy ... sypialnia jest w pokoju obok.

Drzwi do sypialni znajdowały się między piecem a spiżarką.

Był to mały pokój, gdzie ledwie starczyło miejsca na łóżko, skrzynię obitą cielęcą skórą i niewielką komódkę. Znajdował się tam jednak osobny kominek, którego przewód kominowy podłączony był

do komina pieca kuchennego. Widok pomalowanego na jaskrawoczerwony kolor łóżka wprowadził Delię w zakłopotanie. Nat także starannie omijał je wzrokiem. Podeszła do niewielkiego, wąskiego okna i oparła się dłońmi o nagrzaną słońcem ramę. Na parapecie widniało nacięcie, oznaczające miejsce, gdzie promienie słoneczne padają w południe. Delia przeciągnęła po nim palcem i wyjrzała na zewnątrz.

Dostrzegła Meg, zajęta pieleniem kukurydzy o łodygach oplecionych pędami fasoli. Co pewien czas dziewczynka prostowała się i spoglądała ku

domowi z mieszaniną gniewu i obawy w oczach. Tildy siedziała na ziemi w końcu jednego z rządków kukurydzy i bawiła się lalką imieniem Gretchen. Delia słyszała cieniutki głos małej, wyśpiewującej dziecięce rymowanki.

Usłyszała za plecami chrząknięcie Nata.

- Chciałbym, Delio, żebyś mi teraz powiedziała prawdę. O swoim życiu w Bostonie.

Odwróciła się i spojrzała mu w oczy.

- Mój tata był pijakiem, a ja od czternastego roku życia pracowałam w szynku. Żeby zarobić na niego i na siebie. Może i mam na sumieniu uczynki, których byś nie pochwalił, ale nigdy nie kupczyłam swoim ciałem. Nie zrobiłam tego ani razu. Nie jestem dziwką i nigdy nie byłam.

Patrzył jej twardo w oczy z surowo ściągniętymi brwiami.

- Chyba ci wierzę - oświadczył wreszcie. - Co do mnie, potrafię utrzymać rodzinę mimo tej drewnianej stopy. I jestem z natury abstynentem. - Uczynił gest w kierunku okna. - Wiądziałaś dom i farmę i sądzę, że oboje wiemy, czego winniśmy się spodziewać. Nie widzę więc powodu, by nie doprowadzić sprawy do końca. Jeśli nadal taka jest twoja wola. .

- Chcesz powiedzieć, że jesteś skłonny poślubić mnie?

Nat z powagą skinął głową.

- Tak, jestem skłonny. Delio McQuaid, czy zechcesz zostać moją żoną?

Przez chwilę Delia nie była w stanie wydusić z siebie słowa, nawet się poruszyć. To nie odbyło się tak, jak powinno. Nie tak powinny wyglądać oświadczenia. Jakiś głos w jej sercu wołał rozpaczliwie: "Och Ty, Ty, dlaczego to nie jesteś ty?"

Nie mogła poślubić Nata, gdy serce jej przepelniała miłość do innego mężczyzny. Tylko że Ty jej nie kochał. I choć Nat nie kocha jej także, to przynajmniej była mu potrzebna. Jemu i jego córkom, zwłaszcza Meg. Biednej, skrzywdzonej przez los, przerażonej Meg. Była jej potrzebna, a nikt jej dotąd nie potrzebował - oprócz tatka, ale jemu chodziło tylko o pieniądze na picie.

Musiała też wziąć pod uwagę swoją sytuację. Odrzuciwszy propozycję Nata, musiałyby znaleźć sobie jakieś źródło utrzymania. A w Merrymeeting nie było szynków, w których mogłyby szukać pracy. Ty powiedział, że odeśle ją do Bostonu, jeśli ona i Nat nie przypadną sobie do gustu. A co tam na nią czekało? Wiecznie pijany, grubiański ojciec, życie w nędzy z perspektywą zostania dziwką?

Za to w Merrymeeting ... Już pokochała to miejsce. Tu byłaby kobietą

zamożną, szanowaną żoną farmera. Miałyby dom i rodzinę. Mężczyznę, którym mogłyby się opiekować i który zaopiekowałby się nią. Nie mogła mieć tego, czego pragnęła najbardziej _ miłości Tylera. Ale mogła mieć Merrymeeting i nowe życie, którego to miejsce było symbolem.

I jeszcze coś, choć do tego nie chciała się przyznać nawet przed sobą. Tam, w górze rzeki, stała chata Tylera. Niewykluczone więc, że będzie go mogła czasem widywać. Wystarczy, żeby poszła wzdłuż rzeki ... i on tam będzie.

_ Tak, Nathanielu Parkes - odpowiedziała, i jeśli jej uśmiech nie był całkowicie szczery, tylko ona o tym wiedziała. - Zgadzam się zostać twoją żoną•

Nat westchnął ciężko, jakby od dłuższego czasu wstrzymywał oddech.

_ A więc uzgodnione. Myślę, że w mieście mają nadzieję pohulać na naszym weselu, więc im szybciej się wszystko załatwi, tym szybciej będziemy mogli się zająć ważniejszymi sprawami. Za kilka tygodni żniwa, a wtedy nie będzie czasu na żadne swawole.

_ No ... chyba nie ...

_ Poproszę nowego pastora, żeby już dzisiaj wywiesił na drzwiach zboru zapowiedź naszego ślubu. I zapłacę Jackowi Tysonowi ... To traper, ale zajmuje się też rybołówstwem. Niech popłynie swoją łodzią do Wells i przywiezie sędziego, żeby załatwił formalności.

Delia potakująco kiwała głową, czując narastający ucisk w gardle. Nie spodziewała się, że Nat ją pokocha, ale chciała, by cokolwiek do niej czuł. Tymczasem podchodzi do sprawy małżeństwa tak, jakby chodziło o zatrudnienie służącej. A przecież w ręce tego mężczyzny składała w jakimś sensie resztę swojego życia.

_ Nie przepadasz zbyt za rumem, prawda? - zapytała w nagłym przypływie paniki.

Nat już zmierzał ku drzwiom, ale zatrzymał się i odrzekł ze zwykłą sobie dobitnością: _ Powiedziałem ci, że jestem z natury abstynentem. Nie tykam żadnego trunku. To napój szatana.

Delia odetchnęła z ulgą. Nadal jednak czuła wewnętrzne drżenie.

- Jak myślisz, długo to potrwa? Zapowiedzi i tak dalej ...

Nat wzruszył ramionami.

_ Pewnie z dziesięć dni, nie więcej.

Dziesięć dni. Wzrok Delii ponad ramieniem Nata powędrował w stronę

łóżka. Dziesięć dni.

Po obiedzie, kiedy Nat poszedł zaprząć klacz do wózka, Delia wypatrzyła na krześle przy piecu elementarz Tildy i spytała, czy może go pożyczyć na tydzień.

- Możesz go sobie wziąć - odpowiedziała za siostrę Meg i uśmiechnęła się drwiąco. - Założę się, że nie umiesz czytać ani pisać. Zgadłam? Tildy ma tylko trzy lata, a już zna wszystkie litery. Prawda, Tildy?

Mała wlepiła w Delię szeroko rozwarte oczy.

- Tak trochę.

- Tildy niedługo zacznie czytać pierwsze czytanki - powiedziała Meg i widząc rumieniec na twarzy Delii, dodała: - Moja mama umiała wszystko przeczytać i napisać. Uczyła mnie, a teraz ja uczę Tildy.

Nie wiem, po co tata ma się z tobą żenić. Nie potrzebujemy cię. Zresztą ty nic nie umiesz.

Delia zmilczała, ale zabrała elementarz. Miała w pamięci półki pełne książek w "bibliotece" Anny Bishop. Może Anna zechce uczyć ją czytać i pisać. Wmawiała sobie, że po prostu chce być lepszą żoną i matką. Wiedziała jednak, że oszukuje samą siebie.

Chciała zrobić wrażenie na doktorze Savitchu. A może chciała też, żeby wiedział, jakiej to kobiecie pozwolił, by wymknęła mu się z rąk.

Przed domem Bishopów, na skraju gminnych błoni, zebrał się hałaśliwy tłum mieszkańców Merrymeeting. Delia natychmiast wypatrzyła Tylera stojącego na schodach przed frontowymi drzwiami. Krzyczał coś, a i z tłumy co rusz padały okrzyki pod jego adresem.

Anna Bishop stała na ganku obok Tylera, oparta o SCianę, z rękoma skrzyżowanymi na piersiach.

Delia precyzyjnie się ku schodom i wbiegła na ganek.

Ty rzucił jej krótkie spojrzenie i zawołał do kogoś w tłumie:

- A ty, Agnes Cartwright, zamierzasz beczynnie patrzeć, jak piątka twoich dzieci zaraża się ospą tylko dlatego, że jesteś zbyt uparta, a by przyznać mi rację?

- O co chodzi? - spytała Delia Annę. - Dlaczego wszyscy są tacy podnieceni?

- Och, nasz doktorek wyskoczył ze zwariowaną koncepcją, w myśl której wstrzyknięcie człowiekowi treści z krost cielecia chorego na krowiankę jakoby chroniło przed zachorowaniem na ospę•

Delia pamiętała rozmowę Tylera z dziadkiem na temat głośnego

eksperymentu Cottona Mathera. Ten zabieg jakoś się nazywał...

_ Ale w Bostonie już to robią - powiedziała.

Anna parsknęła wzgardliwie.

_ Też coś! Zараżenie ciała jedną chorobą ma chronić przed drugą?

Słowa te dotarły widać do uszu Tylera, bo odwrócił się i warknął:

_ Do diaska! Do twoich uszu nie dotarło ani jedno słowo z tego, co mówiłem.

_ Moje uszy przestają działać, kiedy ktoś mi do nich wrzeszczy.

Delia zachichotała, więc Ty teraz na nią spojrział gniewnie.

_ Gdzieś się, cholera, podziewała przez cały dzień?

_ Byłam z Natem. Oglądałam jego farmę• Wiesz, Ty, możesz mi to zrobić. Nie mam nic przeciwko temu.

Ty uniósł brwi i niespodziewanie się uśmiechnął.

_ To dość dwuznaczna propozycja, mała. Co miałbym ci zrobić?

Wskazała stojącą na balustradzie torbę lekarską Tylera.

_ Ten eksperyment z krowianką• Może jak wszyscy zobaczą, że przeżyłam, zgodzą się, byś i im to zrobił.

Ty nie wahał się ani chwili. Otworzył torbę i wyjął z niej komplet noży chirurgicznych oraz zawiniętą w płótno buteleczkę, o

której zawartości Delia wołała nie myśleć. Tłum nagle ucichł.

_ Podaj mi rękę, proszę - rzekł Ty.

Gniew już go opuścił.

Mówił miękkim głosem, a jego dotknięcie, kiedy podnosił jej rękę, było jak zwykle cudownie łagodne.

Głupie łzy zakręciły się pod powiekami Delii i musiała odwrócić głowę.

_ Chyba lepiej, żebyś nie patrzyła - mruknął Ty. - Nie należysz do tych, co to zaraz mdleją, prawda?

- Ni cholery.

_ Będę musiał ukłuć cię w ramię•

_ Nie bój się, nie będę wrzeszczeć.

Ty chrząknął.

_ Świetnie. Bo nie wiem, co by zostało z mojej reputacji, gdybyś zawyła tak, jak to tylko ty potrafisz.

_ Mam nadzieję, że wiesz, co robisz - wtrąciła Anna Bishop.

- Pewnie, że wie - odparła Delia. Z jej skierowanych na Tylera oczu wyzierało nieograniczone zaufanie.

Zabieg inokulacji trwał nie dłużej niż minutę. Zebrani przed domem

przyglądali mu się z przejęciem.

Kiedy było po wszystkim, Ty opatrzył kawałkiem płótna niewielkie skaleczenie na ramieniu Delii.

- Jeśli chodzi o ścisłość, przejdziesz teraz ospę krowią w bardzo łagodnej postaci - powiedział. -

Przez kilka dni możesz mieć niewielką gorączkę. Skaleczenie na ramieniu odrębnie się zaogni. Anno, może zabrałabyś ją do domu i poczęstowała kubkiem sasafrasowej herbaty?

- Ta twoja sasafrasowa herbata - parsknęła Anna. _ Można by pomyśleć, że to jakiś cudowny eliksir, bo zalecasz ją wszystkim chorym.

Ty uśmiechnął się.

- To jest Cudowny eliksir. - Spojrzał na Delię i pogłaskał ją po policzku. - Delio, ja ... Nieważne. Po prostu ... dziękuję ci.

Uśmiechnęła się krzywo.

- Nie ma za co, Ty. - I podnosząc głos tak, by wszyscy ją słyszeli, dodała: - A jeśli nie umrę do końca tygodnia, po całym Merrymeeting będę głosić twój sukces.

Podczas gdy Ty szczepił Delię na ganku domu Bishopów, Nat cierpliwie czekał na okazję porozmawiania z doktorem w cztery oczy. Okazja taka nadarzyła się pół godziny później, kiedy Tyler szedł przez błonia w kierunku nowej plebanii.

- Proszę mi powiedzieć, doktorze ... ale tak z ręką na sercu i bez ogródek, czy tam, w Bostonie, gdzie ją znalazłeś, Delia była dziwką?

Dla zyskania na czasie Ty przełożył torbę lekarską z prawej ręki do lewej. Nie wiedział, jak mu się udało spojrzeć Natowi w oczy, ale zrobił to.

- Nie, nie była. Wiem to na pewno - odrzekł i świadomość, że może powiedzieć Natowi prawdę, sprawiła mu przyjemność.

Nat zacisnął na chwilę powieki.

- Ona powiedziała mi to samo i uwierzyłem jej, ale potem zacząłem myśleć ... Nie mógłbym wprowadzić dziwki do domu Mary. Poza tym muszę myśleć o dziewczynkach. Dlatego musiałem mieć pewność.

Niespodziewanie Ty doznał uczucia ulgi, tak silnego, że nie mógł się nie uśmiechnąć.

- Nat, jeszcze w Bostonie powiedziałem Delii, że jeśli któreś z was uzna, iż nie pasujecie ...

- Nie, nie, to nie to. - Nat westchnął i przesunął ręką po włosach. - Rzecz w tym, że kiedy ujrzałem ją wczoraj, schodzącą z pokładu szkunera ... była

tak bardzo niepodobna do kobiety, której oczekiwałem. Myślę, że w głębi serca miałem głupią nadzieję, iż kobieta, którą przywieziesz, aby została moją żoną, będzie nowym wcieleniem M-Mary.

- Nat...

- Och, to nie twoja wina, doktorze. Ani tej biednej dziewczyny. Nie mogę przecież mieć jej za złe tego, że nie jest Mary. Myślę, że dopiero wczoraj tak naprawdę dotarło do mnie, iż Mary umarła. Umarła, Ty. - Głos się Natowi załamał. - To potworne. Boże, jak ja za nią tęsknię ... !

Ty milczał. Co mógł powiedzieć człowiekowi udręczonemu takim bólem? Na chwilę stanął mu przed oczyma obraz matki leżącej w kałuży krwi na posłaniu ze skór. Assacumbuit, ten dumny, nieugięty wojownik, klęczał obok niej i łzy spływały mu po twarzy ...

Ty zmusił się, by wrócić do teraźniejszości. Wnet jednak przypomniał sobie kobietę z Cape Elizabeth. Miała ogromny brzuch, co zapowiadało duże dziecko, a sama była tak piekielnie drobna, że prawie nie miała szans przeżyć porodu. Jej mąż niemal od zmysłów odchodzi z przerażenia.

Mężczyzna musi być głupcem, żeby kochać kobietę tak bardzo i narażać się na tak wielki ból w razie jej utraty. Bo przecież nawet gdy się z nią kocha, nie wie, czy nie pocznie dziecka, które ją zabije.

Nie, nie - pomyślał Ty. Lepiej nie kochać zbyt głęboko, lepiej się za bardzo nie przywiązywać, nie przejmować cudzym losem i potem nie cierpieć, gdy traci się to jedyne na świecie, na czym człowiekowi zależy.

- Nie myśl, że nie doceniam tego, co dla mnie zrobiłeś, przywożąc tu tę dziewczynę - zapewnił

pospiesznie Nat. - Chociaż ona jest odrobinę za młoda i wolałbym, żeby była mniej ... no, nieokrzesa i bardziej przygotowana do życia na wsi.

Wiem, że zrobiłeś, co mogłeś. Ale Delia tak bardzo różni się od Mary. Mary była moją opoką, była równie zrozumiała jak ta ziemia. - Szturchnął

czubkiem buta kępę bagiennej trawy. - A Delia jest jak liść na wietrze. Na dodatek ciągle mnie zaskakuje i przez to czuję się ... - Nat zaśmiał się skrzekliwie, zasłaniając dłonią usta. - "Prawdę mówiąc, nie jestem pewien, czy potrafię nią kierować.

- Może powinniście poczekać ze ślubem - podsunął Ty i znów poczuł niespodziewany przyływ ulgi. -

Będziecie mieli szansę lepiej się nawzajem poznać.

Nat pokręcił głową i owo dziwne uczucie opuściło Tylera.

- Nie ma na to czasu. Muszę zebrać zboże, zająć się ogrodem, warzywa

już duszą się od chwastów.

Zresztą nie będziemy pierwszymi, którzy pobierają się, nie znając swoich nawyków i charakterów.

- Nat mocno uściskał ramię Tylera. - Nie, skoro gwarantujesz, że ta dziewczyna nie jest ladaczną, nie ma powodu zwlekać. Właściwie to idę do walebnego Hookera poprosić, żeby ogłosił zapowiedzi.

Stojąc na środku gminnego błonia, Ty patrzył za Nathanielem Parkesem, odjeżdżającym jednokonnym wózkiem. Zaśmiał się gorzko. Dwa dni temu powiedziała, że go kocha. A teraz godziła się zostać żoną innego mężczyzny. Czyż to nie typowo kobiece zachowanie? Wszystkie one czują wewnętrzny przymus wyjścia za mąż i nieważne, kim jest przyszły małżonek, byle miał siły do pracy i mniej niż sześćdziesiątkę na karku.

Przecież Delia mogła poczekać z przyjęciem oświadczeń Nata Parkesa do chwili, aż on, Tyler, zadecyduje ... zadecyduje o czym? Czyżby ... nie, do licha, nie kochał jej! Pożądał tylko jej ciała.

Potrzebowała męża, a on ... Ostatnią rzeczą na świecie, jakiej potrzebował, była żona. Chodziło mu o coś bardzo prostego. By dzielą z nim łóżko przez jedno słodkie lato. Jedno lato, nie dłużej. Żadnego małżeństwa, żadnych dzieci, żadnej miłości po grób.

Spojrzał w kierunku domu i wydawało mu się, że w jednym z okien na parterze poruszyła się zasłona.

Był pewien, że to Delia.

Do diabła, Delio! - zawołał w duchu. - Dlaczego nie dasz mi spokoju?

14

Ciemna głowa Delii pochylona nad trzymaną na kolanach łupkową tabliczką, skrzypienie sunącej po kamieniu kredy ... —taki obrazek ukazał się oczom Anny Bishop, gdy stanęła w drzwiach werandy.

Przez chwilę przyglądała się dziewczynie,
a uśmiech łagodził ostre rysy jej twarzy.

Po chwili zbliżyła się do Delii i zajrzała jej przez ramię. Ta podniosła tabliczkę tak, żeby lepiej widać było jej dzieło.

_ Napisałam swoje imię. I pani, i pułkownika.

_ I, jak widzę, Tylera Savitcha.

Delia zaczerwieniła się i wilgotną szmatką szybko wytarła tabliczkę do czysta. Następnie odwróciła się z uśmiechem ku

Annie i rzekła:

_ Jestem pani bardzo wdzięczna za to, że uczy mnie pani liter.

Przez minione półtora tygodnia Delia ciężko pracowała nad swoją wymową i do starych przyzwyczajzeń wracała już tylko wtedy, gdy była zdenerwowana lub podniecona. Anna była dumna ze swojej uczennicy i z jej szybkich postępów. Delia McQuaid

już nie była dziewczyną z szynku.

Sprawię, że przed końcem miesiąca będziesz samodzielnie czytała Bunyana powiedziała wesoło. I rzeczywiście tak myślała. Ta dziewczyna naprawdę chwyciła wszystko w lot. A Tyler Savitch był głupcem.

Anna podeszła do balustrady i spojrzała na skrzące się w słońcu błękitne wody zatoki.

_ Niedługo powinnaś się zacząć ubierać. Przed chwią rozmawiałam z tym twoim Natem. Co to za nieznośny człowiek! Wczoraj co najmniej trzy razy mówiłam mu, że ma przyjść nie wcześniej niż pół godziny przed ceremonią.

Tego popołudnia miał się odbyć ślub Delii McQuaid z Nathanielem Parkesem. Służba Anny już ustawiała stoły na błoniach przed domem, gdzie po ceremonii zaślubin miało się odbyć wesele.

_ Biedny chłopak - ciągnęła Anna. - Nigdy nie widziałam go tak wystraszonego. Dosłownie trzęsły się pod nim nogi.

Delia westchnęła ciężko.

- Mój Boże, Anno, mnie też się trzęsą. Nigdy nie wychodziłam za mąż.
Anna wybuchnęła gdaczącym śmiechem.

- Zamażpójście wcale nie staje się łatwiejsze w miarę nabierania praktyki.

Delia odożyła tabliczkę na podłogę i wstała. W tym właśnie momencie służący wtoczył na werandę wózek z przyborami do parzenia herbaty. Anna odprawiła go ruchem ręki.

- Zabierz to, Bridget. Przynieś nam po kieliszku wytrawnego. Usiadły na ławce przy balustradzie. Z

niedalekiego tartaku dobiegało miarowe pobrzękiwanie pił, napędzanych siłą morskich pływów. Ten łagodny, kojący nerwy dźwięk co rusz zagłuszały przeraźliwe wrzaski krążących w górze mew.

Oświetlone popołudniowym słońcem wody zatoki wyglądały jak łąka pełna nagietków. Lekki wiatr niósł z sobą zapach słodkiej paproci i wośkownicy.

- Jak tu ładnie! - westchnęła Delia.

- Och, Merrymeeting to doprawdy najpiękniejsze miejsce na ziemi - potwierdziła Anna. - Ale bynajmniej nie raj. Powinnaś o tym pamiętać. - Bo któż wie o tym lepiej niż ja - pomyślała. Czyż nie pochowałam w tej ziemi pierwszego męża i trójki dzieci?

Wrócił Bridget z dwoma cynowymi pucharkami "wytrawne-go". Anna pociągnęła długi łyk cierpkiego, białego wina, rozkoszując się jego rześkim chłodem. Odwróciła się ku Delii i uniosła puchar w niewypowiedzianym toaście.

- Piękny dzień na ślub i wesele.

Oczy Delii posmutniały.

- O ile ludzie zechcą przyjść.

- A dlaczego mieliby nie przyjść?

- Przez Sarę Kemble. Opowiada wszystkim, że w Bostonie byłam ... że za psi grosz kładłam się z pierwszym lepszym męż-czyzną. Całe Merrymeeting o tym mówi. Na tyle głośno, żebym wszystko słyszała.

Anna parsknęła lekceważąco.

- Nie ma zączenia, co plecie ta paskudna plotkara. Niektórzy ludzie są chorzy, jeśli komuś nie mogą dopiec albo zaszkodzić, i Sara Kemble niewątpliwie do nich należy. - Anna nachyliła się ku Delii i zniżyła głos. - Sarę dręczy to, że jest brzydsza niż krowi placek i jałowa niczym wyschnięta

deska.

Zazdrości takiej ładnej i młodej dziewczynie jak ty.

Usta Delii zadrżały w uśmiechu.

- A więc do diabła z Sarą Kemble! - oznajmiła. Pociągnęła łyk wina i zakrztusiła się. - Uch! - Skrzywiła się i z odrazą zajrzała do pucharka.

- Damy piją wytrawne, Delio - rzekła Anna. - Musisz przywyknąć do tego smaku.

Delia skinęła głową i posłusznie wypila następny łyżeczek wina, starając się nie okazywać obrzydzenia.

Anna uśmiechnęła się nieznacznie. Ta dziewczyna była tak niebywale silna. Wystarczała silna, by zrobić wszystko, co musiała zrobić, by sprostać każdemu wyzwaniu losu - a wyzwań tych było niemało, o tym już Anna zdążyła się dowiedzieć. Przez chwilę zazdrościła Delii jej młodości i siły. Ona

sama już od wielu lat czuła się zmęczona życiem. Zmęczona i taka stara

...

- W zeszłym tygodniu nie widziałam doktora Savitcha - powiedziała Delia sztucznie niedbałym tonem, a Anna poczuła wywołane współczuciem ukłucie bólu w tej części serca, która, jak sądziła, już dawno stwardniała na kamieJi

- W środę odpłynął do Falmouth Neck.

- Och ... - Delia głośno przełknęła ślinę, a jej palce, zaciśnięte na pucharku, zbieleły.

- Odebrać dziecko pewnej kobiety z Cape Elizabeth.

- Ach tak! - zawołała Delia z widoczną ulgą.

- Za bardzo to widać, moja droga.

Delia, nieco spłoszona, spuściła oczy.

- Co widać?

Anna zaśmiała się. Odstawiła naczynie z winem na balustradę werandy i ujęła twarz dziewczyny w szorstkie, kościste dłonie. - Twoją miłość do Tylera Savitcha. Świadczy o niej wyraz twojej twarzy, sposób, w jaki wymawiasz jego imię i jak błyszczą ci wtedy oczy.

Delia cofnęła się, odwróciła plecami do Anny. Ta zaś ciągnęła: - Muszę przyznać, że sama jestem w nim odrobinę zakochana.

Wątpię, czy jest w Merrymeeting kobieta, która nie podkochałaby się w Tylerze Savitchu. Cóż, miło na niego spojrzeć.

Delia odwróciła się o gwałtownie, zadarła brodę.

- Kochałabym Tylera Savitcha, nawet gdyby był oszpecony przez ospę. Nie przestanę go kochać, kiedy będzie kulawym, bezzębnym starcem. I długo potem, jak umrę i zostanę pochowana, a moje ciało przemieni się w proch, nadal będę go kochać.

Anna wydała z siebie przeciągłe parsknięcie.

- Daj spokój z tymi sentymentalnymi bzdurami, dziewczyno. A co będzie dzisiejszej nocy, po twoim ślubie z Natem Parkesem? Na pewno wiesz, co się dzieje w małżeńskiej sypialni w noc poślubną...

Delia zbladła, jakby wszystka krew odpłynęła jej z twarzy.

- Wiem - odparła stłumionym głosem. - I przysięgam, że będę dla Nata dobrą żoną, bo to porządny człowiek i nie zasługuje na złe traktowanie. Ale on mnie nie kocha, wciąż kocha swoją zmarłą żonę.

Tak więc niczego go nie pozbawiam, kryjąc w głębi serca miłość do Tylera. Nat nigdy się o tym nie dowie.

- Widzisz, Delio, teraz być może jest tak, jak mówisz, ale wszystko się zmienia ...

Delia sięgnęła po dłoń Anny i ścisnęła ją kurczowo.

- Och, Anno, czy pani nie rozumie? Kocham Tylera, ale on mnie nie kocha. I wcale nie jest twardy, łatwo go zranić, choć myślę, że czasem się za to nienawidzi. Wie, co do niego czuję, wie, jak głęboko go kocham, i to sprawia, że czuje się nieszczęśliwy i winny ...

- Powinien czuć się winny!

Łzy wypełniły oczy Delii.

- Nie, nie, pani nic nie rozumie. Po prostu dotknął mnie swymi magicznymi dłońmi i zakochałam się, on nic nie mógł na to poradzić. Jeśli wyjdę za mąż, Ty przestanie się martwić z mojego powodu, z powodu mojej miłości do niego. - Usta dziewczyny ułożyły się w smutny uśmiech. - A kiedy nadejdzie dzień ślubu Tylera, będę się cieszyć razem z nim, tak, bo on będzie szczęśliwy. Teraz nie jest szczęśliwy. Jest samotny i smutny.

Dobry Boże - pomyślała Anna - być tak kochanym ... Okazało się, że Tyler Savitch wcale nie był

głupcem. Być tak kochanym ... Nic dziwnego, że się przeraził.

Wtem spostrzegła znajomą sylwetkę, zmierzającą ku nim wzdłuż nabrzeża.

- O wilku mowa ... - zaczęła, ale Delia, jakby wiedziona szóstym zmysłem, już odwróciła się w stronę portu.

Anna zabrała swój pucharek z winem i po chwili opuściła werandę.

Myślała o ludzkim życiu. Dlaczego w nim tyle bólu i porażek?

Na widok stojącej na werandzie Delii Ty przyspieszył kroku.

Po chwili co prawda zwolnił, ale na werandę wbiegł, skacząc po dwa schodki naraz, i niewiele brakowało, a porwałby dziewczynę w ramiona. Na szczęście w porę się opamiętał, choć kiedy spojrzył jej w oczy, zaparło mu oddech. Tak pięknej jeszcze jej nie widział.

Jednocześnie wydała mu się dziwnie odmieniona, i to w sposób, który nie bardzo go cieszył.

Wspaniałe włosy barwy starego wina były ukryte pod czepkiem. Nosila bluzkę z długimi rękawami, których sztywne mankiety osłaniały przeguby rąk. Jej spódnica sięgała czubków butów. Wyglądała świeżo, czysto i niewinnie i Ty wcale nie był pewien, czy mu się to podoba. Wolałby, żeby mu oddano jego portową dziewczynę•

_ Jak się masz, Delio?

_ Och, myślę, że nie najgorzej - odrzekła i uśmiechnęła się promiennie. Spojrzenie jej brązowych oczu, jaśniejących miłością do niego, zdawało się pieścić jego twarz. Ze wstydem uświadomił sobie, że czekał na tę pieszczotę, pragnął jej.

Ujął Delię za rękę. Drgnęła i próbowała się wyrwać, ale trzymał mocno. Odpiął guzik przy mankiecie bluzki.

_ Co ty wyprawiasz?! - zawołała.

Przez chwilę patrzył w jej oczy, nagle pociemniałe, o rozszerzonych źrenicach. Nie ruszał się, nic nie mówił. Palce zaciśnięte na przegubie dziewczyny rozgrzewał żar jej ciała.

Spostrzegł, że porusza ustami, i jakby z wielkiej dali dotarł do niego jej głos: _ Ty ... puść mnie. Proszę•

Drgnął i oderwał wzrok od oczu Delii. Czuł jej puls, nienormalnie szybki.

_ Po co się tak ciskać? - burknął. - Chcę tylko zbadać miejsce inokulacji.

Podwinął rękaw bluzki. pęcherzyk już wysechł i goił się bardzo ładnie.

_ Dobrze się czujesz? Nie miałaś gorączki?

N-nie ... Delia zagryzła wargi. Drżała. Kiedy Ty puścił jej rękę, szybko odsunęła się od niego.

Opuściła rękaw, zapięła mankiety. - Trochę swędziało.

Ty skinął głową.

- Czy już zadomowiłaś się trochę w Merrymeeting?

- O tak! Strasznie mi się tu podoba.

Uśmiechnął się.

- Ano, to dobrze ... cieszę się.

Umilkli. Cisza z każdą chwilą stawała się Coraz cięższa. Ich oczy znów się spotkały. Ty czuł nieprzewyciężoną ochotę, by pocałować Delię, ale zdołał się opanować. Na miłość boską, w końcu dzisiaj wychodziła za mąż!

- Tęskniłam za tobą, Ty - odezwała się nagle Delia. _ Tęskniłam za twoim widokiem.

- Wyjeżdżałem.

Skinęła głową.

- Wiem. Pojechałeś odebrać poród.

- Jesteś dobrze poinformowana. - Przyjrzał się jej uważnie.

Nie tylko wyglądała inaczej, zmienił się także jej sposób mówienia. Do licha, miała teraz wymowę prawdziwej małej damy. Ta myśl sprawiła, że się uśmiechnął.

- Czy matka i dziecko czują się dobrze? - spytała uprzejmym tonem, bardzo, bardzo starannie wymawiając wszystkie zgłoski ... Ty uśmiechnął się nieco szerzej.

- Było ciężko, ale żyją.

- A czy odwiedziłeś Susannah Marsten, przejeżdżając przez Falmouth Neck?

O, teraz to była dawna Delia - pomyślał Ty z rozbawieniem i irytacją zarazem. A niech ją, ależ ona potrafi zbić go z tropu! Poczul, że się czerwieni. Świadomość, że Delia umie doprowadzić go do takiego zmieszania, była niesłychanie denerwująca.

- Tak. Widziałem się z nią - odrzekł, wiedząc, co sobie teraz pomyśli i jak ją to zaboli.

- Poszedłeś z nią do łóżka? Jezu ...

Nie poszedł do łóżka z Susannah Marsten. Nie poszedł, bo przez cały czas myślał i marzył o pewnym wieczorze sprzed dwu tygodni. Tęsknił za jedwabistym dotykiem krągłych, ciężkich piersi i czułym, gardłowym szeptem, pieszczącym jego ucho:

“Kocham cię, Tylerze Savitchu ... kocham cię ... “

Nie, nie spał z Susannah Marsten i teraz już pewnie jej me zdobędzie. Ale Delia inaczej zrozumiała jego milczenie.

- Powinieneś się z nią ożenić - powiedziała.

- Mógłbym rozważyć taką ewentualność. - Ty uśmiechnął się i pochylił ku Delii tak blisko, że czuł

podniecający zapach sasafrasowego mydła, świec z woskownicy i jakby piżma - jej zapach. Lekko rozchylone usta dziewczyny wręcz zapraszały do pocałunku ... Ty zrobił drwiącą minę i rzucił:

- A co to, wzięłaś się teraz za swatanie, mała? To dlatego, że sama masz się stać niebawem szczęśliwą mężatką, tak?

Zaśmiała się. Coś takiego! Celowo próbował ją urazić, a ona się śmiała. Przez chwilę wyobrażał sobie, że chwyta tę wiotką szyję, zaciska dłonie ... Doprowadzała go do szaleństwa!

- Dlaczego się z nią nie ożenisz? - spytała Delia.

- Do diabła! - Grzmotnął w słup podtrzymujący daszek werandy kilka cali od jej twarzy. Nawet nie mrugnęła. - Skąd u ciebie taka obsesja na punkcie małżeństwa?

- Susannah to miła kobieta. I cię kocha.

- Ano, to, cholera, fatalnie, bo ja jej nie kocham.

Nie zamierzał tego powiedzieć, ale gdy już powiedział, sądził, że będzie zadowolona. Tymczasem ściągnęła brwi i zapytała:

- A czy kiedykolwiek kochałeś jakąś kobietę, Ty?

- Dlaczego to robisz?

- Co?

Znów nachylił się ku niej tak, że ich usta niemal się stykały.

- Myślisz, że to tylko żart, tak? - powiedział niskim, twardym głosem. - Twoja znajomość z Natem Parkesem i to wasze cholerne, nonsensowne małżeństwo. Myślisz, że nie pozwolę ci za niego wyjść, że w ostatniej chwili powstrzymam bieg wydarzeń ... Ano, mam dla ciebie niespodziankę, Delio ...

Chwycił ją za ramiona, potrząsnął brutalnie i wykrzyczał jej prosto w twarz:

- Nie kocham cię! Wiem o tym, więc nie próbuj mnie przekonać, że jest inaczej. I pamiętaj, że nic, co zrobisz, nie zmusi mnie do tego, bym cię pokochał.

Odepchnął ją i cofnął się o krok, jakby po to, by łatwiej oszacować wyrządzone przez siebie szkody.

Osiągnął to, co zamierzał. Twarz Delii była blada, nieruchoma, jak wykuta z lodu. Ciemniały w niej tylko oczy, niczym dwie bezdenne studnie. Nie mógł na to patrzeć.

Przez chwilę gotów był chwycić ją w ramiona i zawołać, że wszystko to były kłamstwa, wyłącznie kłamstwa. Nie tylko bał się, że ją kocha, ale wręcz

czuł, iż prawdopodobnie jego przeznaczeniem jest kochać ją przez resztę życia. Jeśli zaakceptuje taki stan rzeczy, jeśli przyzna się przed sobą do tej miłości, wówczas nieuchronnie ją straci. Tego zaś nie zniesie, nie przeżyje kolejnego rozstania z nią ...

Lecz mimo wszystko już, już miał się poddać ...

Ale wtedy ona wyprostowała się dumnie, uniosła wysoko podbródek i rzuciła chłodno:

- Czy już skończyłeś na mnie krzyczeć, Tylerze Savitch?

- Nie, na Boga ...

- Bo nie mam czasu tego słuchać. Muszę zacząć się ubierać. Na ślub. I odeszła w kierunku otwartych drzwi do domu.

- Delio! - zawołał za nią.

Nie odwróciła się jednak ani nie zatrzymała.

Powłócząc drewnianą stopą, Nat Parkes wspinał się na porośniętą młodą pszenicą wzniesienie za stodołą. Po kupieniu farmy ten kawałek ziemi wykarczował i obsiał jako pierwszy. Zrobił tak, ponieważ las porastający wzgórze podchodził pod sam tył domu. Obawiał się, że kryjąc się między drzewami i w wysokiej trawie, dzicy poganie mogą zbyt łatwo podkraść się w pobliże zabudowań.

Mary razem z nim pracowała przy karczowaniu wzgórza, dopóki nie zorientowała się, że nosi w swoim łonie Meg. Wtedy musiała zrezygnować z ciężkiej pracy, a wycinanie krzewów i wyrywanie pieńków to była naprawdę straszna harówka. Może dlatego, że pracowała tu razem z mężem, a może z jakiegoś innego powodu, ale wzgórze to było zawsze jej ulubionym miejscem. Często przesiadywała na nim samotnie, by "porozmawiać ze sobą", jak mówiła.

I tam właśnie Nat postanowił ją pochować.

Dwa tygodnie po pogrzebie świeżo poruszona czarna ziemia wyschła i zbrązowiała. Ale płyta nagrobna wciąż wyglądała jak nowa. Wykonał ją sprowadzony z Portsmouth kamieniarz. U góry wyryty był na niej symbol śmierci - czaszka i skrzyżowane piśszczele - niżej napis: Tu spoczywa ciało Mary Parkes, urodzonej 1693, lat 28. Nat chciał, żeby kamieniarz dopisał jeszcze: Ukochanej żony i matki, ale na płycie zabrakło miejsca.

Klęknął i powiódł palcami po literach składających się na jej imię

Mary ...

To ma się stać dzisiaj. Żenię się z tą dziewczyną. Chyba ci już mówiłem, że nazywa się Delia McQuaid.

Nie jestem pewien, czyby ci się podobała. Obawiam się, że jest trochę bezbożna. Podejrzewam też, że czasami potrafi być kapryśna. Zaśmiał się słabo. Zawsze mówiłaś, że kapryśną kobietą mężczyzna musi kierować twardą ręką ... Rzecz w tym, Mary, że to właśnie ją doktor Ty przywiózł z Bostonu, więc chyba muszę się z nią ożenić. Zresztą nie mam serca do szukania innej.

Nat odchylił głowę do tyłu i spojrzał w błękitne, czyste niebo.

Z trudem powstrzymywał łzy. Na chwilę zamknął oczy.

Wolałbym, żebyś nie prosiła mnie o tę obietnicę, Mary. Przypuszczam, że myślałś o dziewczynkach, a wiedziałaś, że z własnej woli nigdy nie bżenię się powtórnie. I nie ożeniłbym się.

Żadna kobieta nie może mi ciebie zastąpić, Mary. Żadna ...

Nat skulił się i zakrył twarz dłońmi tłumiąc szloch.

O Boże, Mary ... Dlaczego mnie opuściłaś?

Anna Bishop wplotła w połyskliwe włosy Delii wianek z kwiatów nawłoci i stokrotek. Musnęła palcami jedwabiste pasmo pojedynczego loka, który pozostawiony wolny, miał opadać na ramię dziewczyny.

Anna odstąpiła od Delii, a ta spojrzała w dół na swoje nowe ubranie i pogładziła materiał stanika krótkiej wierzchniej sukni. Zebrała fałdy perkalowej spódnicy, zachwycona jej lekkością i miękkością.

Była barwy kwiecia jabłoni, na tym tle widniały maleńkie zielone kropeczki. Sukienka była koloru leśnego mchu i miała sięgające łokci bufiaste rękawy. Kiedy Delia szła, nowa spódnica szeleściła lekko i ocierała się o jej nogi. W sumie był to idealny strój na wesele w puszczańskiej osadzie - zbyt elegancki, by nosić go na co dzień, ale nie aż tak wytworny, żeby nie można go było włożyć, idąc w niedzielę do zboru.

Delia roześmiała się nagle i okręciła na czubkach nowych skórzanych pantofelków.

- Och, Anno, czuję się taka wystrojona i ładna. Anna wytarła kciukiem kącik oka.

- Wyglądasz tak pięknie jak te łabędzie pływające po Kennebecu.

Delia przestała wirować i z uśmiechem spojrzała w okolone zmarszczkami, wyblakłe oczy Anny.

Patrzyły na nią bez mrugnięcia, ale niewymownie ciepło. Podczas minionych dziesięciu dni Delia pokochała tę dziwną, porywczą kobietę. W pewnym sensie Anna Bishop zastępowała jej utraconą w dzieciństwie matkę.

- Och, Anno ... nie wiem, jak pani dziękować za wszystko, co pani dla

mnie zrobiła. Za to nowe ubranie i za lekcje pisania i wymowy ... A także za gościnę w pani pięknym domu. - Delia rozejrzała się po pokoju, w którym czuła się u siebie jak nigdzie indziej, i westchnęła smutno. - Będę tęsknić za życiem tutaj, z panią i pułkownikiem.

- Przecież trzy razy w tygodniu będziesz tu przychodzić, żeby się dalej uczyć - rzekła Anna głosem kwaśnym jak ocet. - Nie po to spędziłam z tobą tyle czasu, ucząc cię czytać, pisać i poprawnie się wysławiać, żebyś utknęła na elementarnym poziomie edukacji. Zamierzam cię wykształcić, dziewczyno, choćbym miała cię zapędzać do nauki końcem szpicruty.

Delia zaśmiała się beztrąsko.

- Niedługo podczas dojenia będę mogła recytować wiersze tego Pope'a, które pani tak bardzo lubi.

Zrobię wielkie wrażenie na kozie Nata.

Anna parsknęła z udawaną irytacją. Następnie wyjęła z szuflady jakiś owinięty w jedwab pakiecik i wręczyła go Delii.

- Pomyślałam, że może zechcesz to włożyć. Dostałam je w prezencie od mamy i nosiłam podczas pierwszego ślubu. Chcę, żeby należały do ciebie.

Delia spojrzała na Annę szczerze zdziwiona, bo nie wiedziała, że ta była już raz zamężna. Nie mogła się zdobyć na rozwinięcie paczuszki. „Sam spowijający ją jedwab był zapewne więcej wart niż jakikolwiek prezent, jaki Delia do tej pory dostała. Może z wyjątkiem pewnych trzewików z cielejącej skórki z czerwonymi obcasami.

- No co, zmieniłaś się w słup soli? - mruknęła Anna. - Rozpakuj to, dziewczyno.

Delia rozwinęła jedwabną chustę. W środku znajdowały się białe atlasowe rękawiczki, wyszywane drobnymi perłami. Delia aż westchnęła z zachwyty.

- Och, Anno, jakie piękne! Ale nie mogę .. •

- Nie pleć. Możesz. - Anna pogłaskała Delię po policzku. - Nie mam córki, której mogłabym je podarować.

Łzy zakręciły się Delii w oczach. Otarła je wierzchem dłoni.

- O mój Boże ...

Wymieniły niepewne uśmiechy i wiedzione jednym impulsem, padły sobie w ramiona.

Anna pogłaskała Delię po karku.

- Bądź szczęśliwa.

Będę odrzekła Delia z twarzą na kościstym ramieniu Anny.

W głębi serca czuła się jednak boleśnie zawiedziona, tak bardzo, że chciało jej się płakać. Każda dziewczyna marzy o tym dniu _ dniu swego ślubu, kiedy na zawsze zostaje złączona z mężczyzną, którego kocha. Ale ukochany Delii nie kochał jej, a mężczyzna, którego miała poślubić, kochał zmarłą żonę•

Jedynym, który miał dziś powody świętować, był Tyler Savitch.

Nareszcie pozbędzie się pewnej kłopotliwej bostońskiej szynkarki i budzącego poczucie winy wspomnienia ciepłej, wietrznej nocy, spędzonej w lesie opodal Falmouth Neck.

Delia powoli schodziła ze schodów, sunąc lekko dłonią w aksamitnej rękawiczce po poręczu.

Nathaniel Parkes czekał na nią w holu, nerwowo obracając w dłoniach kapelusz. Słyszając kroki, uniósł

wzrok, postąpił ku schodom i znieruchomiał. Delia spostrzegła zdziwienie na jego twarzy, zmarszczki obok ust pogłębiły się w mimowolnym uśmiechu.

_ No, no, strasznie ładnie wyglądasz, Delio - wyrwało mu się. Wyglądał na zaskoczonego swoimi słowami nie mniej niż Delia, i ciemny rumieniec oblał mu twarz.

_ To najmiłszy komplement, jaki słyszałam - powiedziała

Delia. Chciała, żeby Nat poczuł się swobodniej, bo w końcu nie musiał zawsze być taki uważny i przejęty tym, co myślał czy czuł.

Wysiłek Delii spełził na niczym, bo, zamiast się rozluźnić, Nat ściągnął brwi i chociaż, prowadząc ją ku drzwiom, podał jej ramię, wyraźnie unikał fizycznego kontaktu z nią. Szli tak daleko od siebie, że spódnica Delii nawet nie musnęła jego nóg. Kulał tego dnia jakby bardziej, drewniana stopa poskrzypywała na deskach malowanej w romby podłogi. Delia poczuła, że coś ściska ją w gardle.

Przestań robić z siebie idiotkę. Czego się spodziewałaś, schodząc po schodach? Że w holu zamiast Nata będzie czekał na ciebie Tyler. Savitch z wyrazem dozgonnej miłości w oczach? Nat Parkes potrzebuje żony, a ty domu. Zresztą niewiele małżeństw zaczyna się miłością, a jeszcze mniej trwa w miłości. Porzuc więc mrzonki, poślub tego mężczyznę i niechże to wszystko wreszcie się skończy.

Ceremonia zaślubin miała się odbyć na łące przed domem.

A że ślub to dobra okazja do zabawy, całe Merrymeeting wyległo na

gminne błonia. Czekano, aż skończy się oficjalna część uroczystości i zacznie wesele. Kiedy otworzyły się drzwi domu Bi-shopów, wszyscy skierowali wzrok na młodą parę.

Tildy Parkes siedziała okrakiem na belce do wiązania koni i udawała, że jedzie wierzchem na ognistym rumaku. Teraz zsunęła się na ziemię z takim impetem, że omal się nie rozpląkała.

Rozmyśliła się jednak, przypomniawszy sobie, jaka wspaniała rzecz miała się za chwilę wydarzyć.

Puściła się biegiem ku ojcu, wołając:

- Tato, tato, czy to już teraz? Dostaniemy naszą nową mamę?

Dopadła nogi Nata i wyciągnęła ręce, by złapać się poły sięgającego bioder surduta. Nat pochylił się, otrzepał z kurzu ubranie córki, otarł łzę z policzka.

- Matyldo Parkes, obiecałaś mi, że postarasz się nie wybrudzić. A teraz powiedz, co zrobiłaś ze swoimi butami? _ łajał Nat dziewczynkę, ale w jego głosie było więcej rozbawienia niż złości. Uśmiechnął

się przepraszająco do Delii. - Miałem nadzieję, że posiedzi spokojnie choć przez te pięć minut, kiedy będziemy brali ślub.

Delia ze śmiechem wzięła małą na ręce i posadziła na biodrze, nie zwracając uwagi na to, że zabrudzone stopy dziecka zostawiają smugi na jej sukience.

- Tak, kotku - powiedziała i ucałowała Tildy w policzek. _ To już teraz. Twój tata i ja bierzemy ślub.

Tildy zapiszczała radośnie i tak głośno, że Delii aż zadzwoniło w uszach. Wybuchnęła śmiechem.

Z Tildy na rękach Delia weszła na błonie. Jej oczy badały tłum w poszukiwaniu pewnej twarzy. Zrazu nie mogła jej wypatrzeć i łzy zakręciły jej się w oczach. Nie raczył nawet przyjść na jej ślub. Czyżby znaczyła dla niego tak mało, że jej los był mu całkiem obojętny?

I wtedy go spostrzegła ... stał z tyłu, nonszalancko oparty o jeden z uginających się od jadła stołów ...

Ich oczy się spotkały, ale nie zdołała niczego wyczytać z jego ponuro skrzywionej twarzy. Odwróciła wzrok.

Nat także rozglądał się dokoła.

- Gdzie Meg?

- Meg jest zła - odparła Tildy. - Meg nie chce nowej mamy.

Nat westchnął. Robił wrażenie szczerze zatroskanego.

- Przepraszam, Delio. Już nie wiem, co mam zrobić z tą dziewczyną.
- W końcu pogodzi się z nową sytuacją, Nat, jeśli tylko nie będziesz jej zanadto popędział.

Delia spostrzegła Meg, która kryła się w cieniu prasy do wyciskania soku z jabłek, stojącej pod ścianą magazynu sosny masztowej. Ona także miała na sobie odświętne ubranie, ale w przydużej brązowej sukience wyglądała jak strach na wróble.

W tym momencie z tłumu wystąpił jakiś mężczyzna, zasłaniając Meg. Był to niziutki człowieczek w binoklach na płaskim nosie. Nat przedstawił go Delii jako Isaaca Deree, sędziego kolonii. To on miał

poprowadzić ceremonię zaślubin. Było to dość dziwne, że w społeczności, w której religia odgrywała tak ważną rolę, ślubu udzielał urzędnik kolonii, nie pastor. Jednakże na życzenie Nata wielebny Hooker także był obecny, zatem ich związek miał otrzymać również kościelną sankcję. Pastor, uśmiechnięty od ucha do ucha, zmierzał właśnie w kierunku młodej pary.

- Ślicznie wyglądasz, Delio. Wspaniały dzień na ślub, panie Parkes.

Nat zaczerwienił się, poprawił zawiązaną pod szyją chustkę i wymamrotał coś niewyraźnie.

- Dziękuję, Calebie - rzekła Delia. Caleb i Elizabeth okazali się prawdziwymi przyjaciółmi. Delia nawet nie zdawała sobie sprawy, jak niewielu przyjaciół miała w swoim życiu. Rozejrzała się, szukając Elizabeth. Ta postawiła właśnie na stole garnek zapiekanej fasoli i ruszyła w ich stronę, jak zwykle poruszając się z naturalnym wdziękiem urodzonej damy.

Zawsze powściągliwa, choć nieco zaróżowiona ze wzruszenia, powitała Delię słowami:

- Niech Bóg ma cię w swojej opiece, Delio. Ciebie i pana Parkesa.

Delia kolejno witała uśmiechem wszystkich gromadzących się w koło świadków zaślubin: Annę Bishop i pułkownika, Obadiaha Kemble'a, który uśmiechnął się i puścił do niej oko, nawet Sarę, choć ta odpowiedziała gniewnym spojrzeniem i zacisnęła usta w grymasie dezaprobaty.

Delia spojrzała w kierunku gromadki mieszkańców Merry-meeting, którzy przybyli w to ciepłe, wietrzne popołudnie, by zobaczyć, jak ona i Nat biorą ślub. Większości z nich jeszcze nie знаła, ale niebawem ci ludzie staną się jej sąsiadami i być może przyjaciółmi. Oto młynarz Constant Hall i jego żona, Charity, a tam - Samuel i Hannah Randolph. Rudzielec Sam był wioskowym kowalem.

Państwo Randolfowie mieli siedmioro dzieci, ósme było już w drodze. Dalej Guy i Nancy Sewallowie, których farma leżała naj bliżej gospodarstwa Nata ...

I Ty.

Ich oczy znów się spotkały i uśmiech zniknął z twarzy Delii.

Poczuła znajome ukłucie bólu.

Ty pierwszy odwrócił wzrok. Zaraz potem odszedł w kierunku zatoki, krocząc energicznie przez porastającą błonia wysoką trawę. Nie obejrzał się nawet, gdy sędzia odchrząknął i rzekł głośno:

- Jeśli możemy zacząć ...

Isaac Deree poprawił binokle i znacząco spojrział na Tildy, którą Delia nadal trzymała na rękach.

Teraz postawiła ją na ziemi, ale mała nie wypuściła jej dłoni. Dotknięcie małej, spoconej rączki dodawało Delii odwagi.

Spojrziała na Nata. Z ponurą miną, niewidzącym wzrokiem wpatrywał się w przestrzeń przed sobą.

Jak gdyby - pomyślała Delia - modlił się, by nagle z puszczy wyłoniła się jego Mary i ocaliła go przed złym losem i tym małżeństwem.

- Nat - powiedziała Delia cicho, nie zważając na obecność sędziego, który chcąc nie chcąc musiał ją słyszeć - jeszcze nie jest za późno, by zmienić zdanie.

Przełknął ślinę i na chwilę zamknął oczy.

_ Nie, Delio _ rzekł wreszcie - Nie. Tak musi być.

Tak - pomyślała. Musi.

Ale i ona chciałaby zostać ocalona. Gotowa była krzyczeć z całych sił, wołać Tylera, by wrócił i przeszkodził temu małżeństwu, które - jak to sobie właśnie uświadomiła - było strasznym błędem.

Nic takiego jednak nie zrobiła. Ty nie wrócił, a sędzia znudzonym głosem począł recytować formułki cywilnego rytuału ślubnego. Nat i Delia machinalnie odpowiadali na zadawane pytania. Każde z nich, gdyby zastanawiało się nad sensem tego, co mówi, nie byłoby w stanie wykrztusić ani słowa.

I nagle Delia usłyszała głos Isaaca Deree:

_ Zgodnie z prawem bożym i prawami tej kolonii ja, jako sędzia, ogłaszam was mężem i żoną•

15

Całe Merrymeeting świętowało w najlepsze, ale Meg nadal się dąsała – czy raczej “trzymała się na uboczu”, jak woląa myśleć o swoim zachowaniu.

Bawiła się nowym bączkiem, puszczając go na kawałku udeptanej ziemi przed domem Bishopów.

Pochyliła się i szybkim obrotem dłoni wprawiła zabawkę w ruch. Następnie wyprostowała się i jęła poganiać bączek smagnęciami bacika ze skóry węgorza. Wtedy właśnie wpadł na nią - najpewniej celowo - jeden z trójki chłopców bawiących się nieopodal w berka. Był to Daniel Randolph, najstarszy syn kowala. Meg nie znosiła go jak chyba nikogo na świecie.

Teraz zatrzymał się i rzucił drwiąco:

– Daj sobie spokój z tym bączkiem, Meg Parkes. I tak nigdy nie zdołasz zakręcić nim jak należy.

– Już robię to lepiej od ciebie, Danielu Randolfie. - W tym stwierdzeniu Meg kryło się nieco przesady.

Kręciła bączkiem równie dobrze jak Daniel, ale nie lepiej.

Chłopiec zaśmiał się lekceważąco.

- Kto to słyszał, żeby jakaś dziewczyna umiała dobrze kręcić bączkiem!

- Kto to słyszał, żeby dziewczyna umiała cokolwiek dobrze zrobić! -

dorzucił młodszy brat Daniela.

Meg gorączkowo szukała w pamięci jakiegoś druzgocącego epitetu lub szczególnie obraźliwej uwagi.

Jedyne, co przychodziło jej do głowy, to: “Twoja matka żuje tytoń!” - ale tej broni użyła już wcześniej na któregoś z synów kowala. Ograniczyła się więc do pokazania języka i krzyknęła:

- Idź do diabła, Danielu Randolfie!

Daniel i jego brat tylko się roześmiali i pobiegli w kierunku błoni, wydając indiańskie okrzyki i w ogóle popisując się, rzecz jasna, ku najwyższemu niesmakowi Meg.

- On nie ma racji, wiesz? Nie ma powodu, dla którego dziewczynka nie mogłaby kręcić bączkiem lepiej niż jakikolwiek chłopiec.

Meg odwróciła się, układając twarz w grymas niechęci. No tak, to Delia McQuaid, nowa żona taty. Ale nigdy, nigdy nie będzie jej mamą, ze ślubem

czy bez. Nikt, nawet tata nie zmusi jej do uznania Delii za mamę.

- Skąd wiesz? - rzuciła Meg, siląc się na ironię.

Delia uśmiechnęła się, ale w jej głosie dawało się wyczuć nerwowe drżenie.

- Przez pięć lat byłam mistrzem dzielnicy portowej Bostonu w kręceniu bączkiem. I wycofałam się niepokonana. Znam kilka sztuczek, na których widok tym chłopakom zrzedłaby mina. Chcesz, żebym ci je pokazała?

- Nie, i nie próbuj się ze mną zaprzyjaźnić, bo i tak cię nie polubię ..

- Tak? Trudno. Ale widzisz, mój tata zawsze mówi, że jestem uparta jak koziół. Jeśli więc pozwolisz, będę nadal próbować.

Meg wzruszyła ramionami. Postanowiła nie zwracać uwagi na Delię. Spojrzała w kierunku stołów rozstawionych pod samotną sosną na błoniach. Dwójka hałaśliwych, podpitych weselników próbowała podkraść jedzenie prosto z garnków. Pani Bishop krzyknęła na nich i przegoniła fartuchem. Inna kobieta roześmiała się.

Meg wskazała spiczastą brodą w stronę stołów.

_ Nie powinnaś być tam razem z innymi, podawać jedzenie?

_ Proponowałam pomoc - odrzekła smutno Delia - ale chyba nie chcę, żebym im pomagała.

Meg uśmiechnęła się w duchu. Widziała, jak kobiety przepędzały Delię od stołów, niczym teraz tych pijaków. Z wyjątkiem pani Bishop i żony nowego pastora inne kobiety nie lubiły Delii. Sara Kemble powiedziała, że ona w Bostonie robiła złe rzeczy. Na chwilę Meg zrobiło się żal Delii. Zaraz jednak pomyślała, że nie ma jej co żałować. Ma to, na co zasłużyła.

Mimo wszystko nie mogła się powstrzymać i z ociąganiem wręczyła Delii swój bączek.

_ Chyba możesz mi pokazać, jak kręcisz bączkiem. Naprawdę byłaś w tym mistrzynią?

O, tak! zawołała Delia, a jej oczy zabłyśły tak jasno, że Meg zaczęła żałować swego małego ustępstwa. - Pewnego razu kręciłam bączkiem przez dobrą godzinę. Pobiłam wszystkie rekordy ...

no, w każdym razie wszystkie rekordy, o których słyszałam.

Meg przyglądała się, jak Delia ustawia bączek, wprawia go w ruch obrotowy, a następnie poganiana drewniany podwójny stożek lekkimi smagnięciami bacika. Rozpędziła zabawkę tak, aż jej kształty poczęły się zamazywać. Meg śmiała się zachwycona, na chwilę zapominając, że przecież nie lubi nowej żony taty.

Delia zerknęła na dziewczynkę i uśmiechnęła się, odsłaniając równe, białe zęby.

— Wszystko zależy od tego, jak uderzasz batem. Trzeba to robić lekko, leciutko, jakbyś gładziła piórkiem powierzchnię wody, starając się jej nie wzburzyć. Lekko, lekko ... - powtórzyła, a bączek kręcił się jak szalony.

Daniel Randolph i inni bawiący się w pobliżu chłopcy przyglądali się poczynaniom Delii. Meg spostrzegła, że jej umiejętności zrobiły na nich potężne wrażenie. Kręciła bączkiem szybciej i już dłużej, niż kiedykolwiek udało się to jakimkolwiek chłopcu z Merrymeeting. A Delia była dziewczyną• No, kobietą, ale zawsze osobą płci żeńskiej. Meg wątpiła, czy ktokolwiek, nawet jej tata, umiałby lepiej kręcić bączkiem.

Trąciła łokciem Daniela Randolfa.

— Mnie też naucz, jak to się robi.

Daniel był przerażony.

- Naprawdę? O rany! Pszepani, czy i mnie pani naucz?! —zawołał do Delii.

Meg zeszywniała i wstrzymała oddech. Delia na ułamek sekundy oderwała wzrok od bączka i spojrzała na dziewczynkę. - Chciałabym, Danielu, naprawdę. Ale nie mogę. Ten sekret przeznaczony jest tylko dla nas, dziewcząt.

Chłopcy wyglądali na zawiedzionych, za to twarz Meg rozjaśnił triumfalny uśmiech.

- Wyzywam cię na pojedynek, Danielu. W przyszłą niedzielę zmierzymy się w kręceniu bączkiem.

Stawiam pensa, że będę kręcić dłużej niż ty.

Daniel odwrócił się na pięcie i odmaszerował.

- Nie pojedyнкуję się z dziewczynami - rzucił przez ramię. Meg patrzyła za nim, ściskając pięści.

- Uch, jak ja nienawidzę chłopaków!

- Tacy już oni są - zauważyła Delia, podnosząc z ziemi bączek, który, nie popędzany, zdążył się zatrzymać. - Jeden w drugiego zarozumialcy i aroganci. I z wiekiem wcale nie stają się lepsi.

Niespodziewanie powietrze wypełnił głęboki baryton męskiego śmiechu. Meg już wcześniej zauważyła doktora Tylera, zmierzającego ku nim od strony stajni pułkownika Bishopa. Prowadził za sobą śliczną, gniadą klacz. Ale Delia, odwrócona doń plecami, nie mogła go widzieć. Odwróciła się szybciej niż najlepiej zakręcony bączek, przyciskając dłonie do piersi, jakby

chciała po-wstrzymać serce od wyrwania się z uwięzi jej ciała~

- A niech cię, Tylerze Savitchu, jak śmiesz podkradać się do mnie w taki sposób!

Ty zarzucił sobie wodze na ramię i zatknął kciuki za pasek spodni.

- Wcale się nie podkradałem. Szedłem całkiem głośno. Meg, kochanie, nie wierz ani jednemu jej

słowu. - Uśmiechnął się do dziewczynki i pieszczotliwie pociągnął ją za kucyk. Chwilę później obłudnie niewinne spojrzenie jego oczu spoczęło na twa-rzy Delii.

- Nie wszyscy jesteśmy zarozumiałcami i arogantami. Weź mnie, na przykład ...

- Ha! - Zawołała Delia i pokraśniała jak piwonia. - Przecież nawet Anna uważa, że jesteś próżny jak paw. Albo jak indor.

Doktor Ty zrobił urażoną minę, ale tylko udawał, Meg poznała to po uśmiechu czającym się w kącikach jego ust. Patrząc na zaczerwienioną twarz Delii, na jej płonące gniewem oczy, doszła do wniosku, że ta kobieta nie przepada za doktorem. Ale zanim ustaliła przyczynę tej antypatii, spostrzegła ojca, który stał z Tildy przy stołach pod drzewem i ręką dawał jej znaki. Goście już zajmowali miejsca, siadając na ławkach, stołkach i krzesłach. Z rąk do rąk podawano sobie pierwsze półmiski z jedzeniem, dzbany świerkowego piwa i jabłeczniaka.

- Hej, można już jeść! - obwieściła Meg. Ale para dorosłych wydawała się zbyt zajęta wymienianiem gniewnych spojrzeń, by myśleć o jedzeniu. Meg wzruszyła ramionami, zabrała swojego bąka i pobiegła przez błonia ku samotnej sośnie.

Delia chciała pójść w ślady dziewczynki, ale Ty zatrzymał ją, kładąc rękę na jej ramieniu. Jak zwykle jego dotknięcie sprawiło, że fala gorąca uderzyła dziewczynie do głowy i na chwilę za-brakło jej tchu.

Myliła się, sądząc, że jeśli zostanie żoną innego mężczyzny, jej uczucia do Tylera ulegną zmianie.

Zawsze będzie go kochała, ale odtąd powinna zadbać o to, by nie okazywać swoich uczuć, nawet jemu. Ba! - zwłaszcza jemu.

Odsunęła się od Tylera, wykręcając głowę, by spojrzeć w stro-nę stołów.

- Ty, nie ... Nat pewnie na mnie czeka ...

- Chwileczkę - odparł. - Najpierw chciałbym ci wręczyć prezent ślubny.

Spojrzała na niego i odruchowo zadarła podbródek. Przez chwilę wodziła wzrokiem od jego kpiąco uśmiechniętej twarzy do gniadej klaczki, którą

przyprowadził. Zwierzę rzuciło głową i parsknęło.

Delia poznała klacz, którą już raz dostała od Tylera –tego wieczoru w Portsmouth, kiedy po raz pierwszy powiedział:

“Chcę się z tobą kochać ... “

Wzięła głęboki oddech i wypaliła:

- Już raz oddałam ci tego konia, więc i teraz zabieraj go sobie w cholere

...

Ty ujął w dwa palce wyzywająco sterczący ku górze podbródek dziewczyny i odparł:

- Ten koń jest dla was obojga, dla ciebie i dla Nata. I przestań mi ciskać w twarz prezentami, które dajesz ci ze szczerego serca. To nieuprzejme.

Delia szarpnęła się, uwolniła brodę.

- Ale chyba się nie zmartwisz, jeśli nie będę przesadnie wdzięczna.

Widzisz, nauczyłam się nie przywiązywać zbyt wielkiej wagi do twoich prezentów.

Twarz Tylera stężała, nozdrza rozděły się i Delia natychmiast pożałowała swych podłych, krzywdzących słów. Zrobiło jej się niewymownie przykro, przykro i głupio. Jeszcze trochę i Ty nie zechce nawet się z nią przyjaźnić.

Przełknęła ślinę i zebrawszy odwagę, spojrzała mu w oczy.

- Przepraszam, Ty. Źle się zachowałam. To piękny koń i bardzo cenny prezent. Dziękuję ci.

Jeszcze przez chwilę jego usta pozostawały zaciśnięte w wąską linię, potem gniew zeń wyleciał razem z długo powstrzymywanym oddechem.

- Ależ, Delio, nie chciałem cię rozzłościć, dając ci tę klacz w prezencie.

Kiedy ujrzałaś ją po raz pierwszy, wydawałaś się taka podniecona ... Myślałem, że się ucieszysz.

- Cieszę się, Ty, naprawdę. I Nat się ucieszy. W tej chwili ma tylko jednego konia, i to dość starego.

Radosny, chłopięcy uśmiech rozjaśnił twarz Tylera, na co serce Delii zalała fala szczęścia.

- Prawdę mówiąc, Nat już widział tę klacz. Po południu zamierzał pojechać na niej w wyścigu.

- Co to za wyścig? - spytała. - Przez całe popołudnie słyszę, jak wszyscy o nim rozmawiają.

Odrzucił z czoła kosmyk rozwianych przez wiatr włosów.

- To już tradycja zabaw w Merrymeeting.

- Domyślałam się, że to ty zwykle wygrywasz ten wyścig.
- Mylisz się. Zresztą nie biorę w nim udziału.
- Strach przed porażką, co?

W drzeniu jego ust kryło się Powściągane rozbawienie.

- Nie, mała. Nie startuję w wyścigu, bo to ja jestem nagrodą. A raczej obietnicą bezpłatnego porodu.
- Co?! - zawołała Delia i wybuchnęła śmiechem.
- Ten, kto wygra, ma moją obietnicę, że za darmo pomogę przyjść na świat jego następnemu dziecku.

To cenna nagroda, „gdyż moje usługi nie są tanie. A skutkiem tutejszych długich, mroźnych zim mieszkańcy Merrymeeting plenią się jak króliki. Nie bardzo świadoma swego zachowania, Delia rozkochanym wzrokiem wpatrywała się w twarz Tylera.

- Och, Ty! - wybuchnęła w końcu. - Jesteś najbardziej nie-zwykłym, naj cudowniejszym człowiekiem na świecie!

Uśmiech zniknął z jego twarzy. Odwrócił wzrok, oczy mu pociemniały, przybierając barwę jesiennego nieba.

- Nie tak znowu cudownym... Przepraszam, Delio, za te wszystkie przykre słowa, które ci wcześniej powiedziałem. Sam nie wiem ...

- Nie przepraszaj, Ty. Zapomnijmy o tym. Wszystko się zmieniło. Teraz jestem mężatką i... - Delia miała wrażenie, że za chwilę serce jej pęknie.

Ich oczy spotkały się na krótką chwilę. Niemal bezosobowym gestem krótko uściśnięła jej ramię, ale i to wystarczyło, by poczuła dławienie w gardle.

- Mam nadzieję, że będziesz szczęśliwa, Delio - powiedział ochryłym głosem. - Życzę tobie i Natowi wszelkiego szczęścia.

Skinęła głową, niezdolna wymówić słowa. Miała nadzieję, że Ty nie słyszysz, jak wali jej serce, i nie widzi łez wzbierających w oczach.

- No cóż ... - Cofnął rękę, a ona musiała zacisnąć zęby, żeby powstrzymać drzenie brody. - Lepiej chodźmy coś zjeść, bo za chwilę nic dla nas nie zostanie.

Patrzyła za nim, gdy odchodził, a serce jej przepełniał żal.

Żal nad sobą, nad Tylerem. I nadal pragnęła tego, czego mieć nie mogła.

Delia zebrała spódnicę w węzeł na wysokości kolan, odsłaniając najbardziej kształtne kostki, jakie dane było widzieć Tylerowi. Uśmiechając się, patrzył, jak ciska kulą w kierunku bramki - w tym przypadku stołka na trzech nogach. Daniel Randolph machnął kijem w powietrzu z taką siłą, że bezwładność ciała zmusiła go do wykonania czegoś w rodzaju piruetu.

Jednakże kula minęła go nietknięta i przewróciła stołek.

- Ha, ha! - wrzasnęła Meg, ułożywszy dłonie wokół ust na kształt tuby. - Chybiłeś, Danielu!

Chłopiec posłał Meg mordercze spojrzenie.

- Lepiej się zamknij, Meg Parkes!

Ty spojrzał z góry na ciemną głowę dziewczynki.

- Myślałem, że ty i Daniel jesteście dla siebie mili.

- Brr! - Meg skrzywiła się z odrazą. - Nienawidzę go! Jest podły jak wściekły szop i brzydszy niż zbutwiały kołek w płocie.

Ty spojrzał w kierunku chłopca. W rzeczywistości Daniel Randolph był przystojnym chłopcem o gibkim, kształtnym ciele i płowozłotych włosach. Jeszcze kilka lat - pomyślał Ty - i będą wymieniać całusy, nie obelgi.

Odezwała się Tildy Parkes, siedząca na ziemi ze skrzyżowanymi nogami i oparta o łydki Tylera:

- Doktorze Ty, dziewczynki potrafią grać w kulę i stołek tak samo dobrze jak chopcy. Tak mówi Delia!

- Wygląda na to że ma rację - zaśmiał się Ty, bo kolejny chłopiec Randolphów nie trafił w kulę po rzucie Delii.

Przyjemnie było na nią popatrzeć. Słońce wydobywało rubińowe błyski z jej rozwichrzonych przez wiatr włosów. Rumieńce na policzkach przywodziły na myśl dojrzałe brzoskwinie. Ale najbardziej intrygujące było to, co się działo z jej piersiami, kiedy rzucała kulą. Unosiły się, gdy brała zamach, by opaść, kiedy wyrzucała do przodu rękę z kulą, i znów się podnosiły, kołysząc się prowokacyjnie ...

- Delia jest moją nową mamą - dumnie oświadczyła Tildy. Ty drgnął. Coś zakłuło go w piersi i musiał odetchnąć głęboko.

Jezu, co on wyprawia? Zachowuje się jak stary lubieżny satyr. A Delia już nie jest dziewczyną z szynku, lecz żoną innego mężczyzny.

- Delio!

Przez błonie zmierzał ku nim Nathaniel Parkes. Jak na czło-wieka z drewnianą stopą poruszał się niebezpiecznie szybko. Na dźwięk głosu męża Delia oddała kulę chłopcom, poprawiła spód-nicę i pObiegła mu na spotkanie. Była troszkę zasapana i jej piersi gwałtownie unosiły się i opadały pod Pfl~ciasnym stani~kiem. Ty nie bez trudu zmusił się, by patrzeć w innym kierunku.

Za to Nat robił wrażenie całkowicie niewrażliwego na wdzięki

nowej żony.

- Co ty wyprawiasz? - spytał ze złością.

- Właśnie pokazywałam dziewczynkom, jak się rzuca ...

- Zauważyłem. Chodzi mi o to, dlaczego robisz z siebie takie widowisko?

Na miłość boską, przecież wszyscy patrzą!

W tym miejscu Nat nieco przesadził. Większość kobiet zajęta była sprzątaniami ze stołów, mężczyźni zaś gromadzili się na skraju błonia, gotując się do wyścigu.

Delia ze zmarszczonym czołem spoglądała na męża.

- Ale co szkodzi ...

- Szkodzi! Nie zastanawiałaś się nad tym, co powiedzą ludzie? A poza tym, Delio, nie pozwolę, byś rozpuszczała moje córki, zachęcała je do łobuzerskich wybryków. Moja Mary nigdy nie pozwoliłaby na takie zachowanie, a już tym bardziej sama by się tak nie zachowywała.

Słowa Nata podziały na Delię jak uderzenie. Skuliła się, wciągnęła głowę między ramiona.

- Przepraszam ... nie sądziłam, że ...

Ty poczuł, że ogarnia go złość. Już otwierał usta, by przemówić w obronie Delii, ale zdołał się pohamować. Jeśli Nat Parkes nie chciał, by żona grała w kulę i stołek - miał prawo jej tego zakazać.

Ty odetchnął głęboko i powoli rozluźnił zaciśnięte w pięści dłonie. Był zdziwiony i wstrząśnięty gwałtownością własnej reakcji na spotykającą Delię przykrość.

Nat poklepał żonę po czubku głowy, jakby była czołgającym się po ziemi psem, który właśnie dostał baty.

- Zapomnijmy o tym. Wiem, że nie chciałaś mi zrobić wstydu. W tym momencie od strony błonia dobiegło ich dzwonienie metalowego trójkąta. To pułkownik Bishop wzywał zawodników na start.

Meg, która z triumfalnym uśmiechem przyglądała się upokarzanej Delii, podbiegła do ojca.

- Tato, za chwilę zacznie się wyścig. Chyba nie chcesz się spóźnić na start.

Ty pomógł Tildy stanąć na nogi i mała także podreptała w stronę ojca. Nat wziął ją na ręce i posadził sobie na ramionach.

- Chodźmy więc, dziewczęta. Dzięki prezentowi ślubnemu naszego

doktora mam nadzieję wygrać ten wyścig.

Delia ze ściągniętą twarzą patrzyła za świeżo poślubionym mężem, odchodzącym z córkami przez błonie. Ty spostrzegł, że z trudem powstrzymuje łzy.

- Mój Boże, jak mogłam być taka głupia, żeby myśleć ... myśleć - poprawiła się, bezwiednie zaciskając zęby - że potrafię się zachowywać jak prawdziwa dama.

- Ależ, Delio ...

Żał mu było dziewczyny. Rozumiał jej uczucia tym lepiej, że sam zaznał ongiś wielu upokorzeń i wiedział, czym jest wstyd i zraniona duma. Ileż to razy, wróciwszy do świata Yengi, widział na twarzach ludzi obrzydzenie i strach! Naznaczony piętnem "dziłkiego Abenaki", czuł się zarazem zdrajcą, jakby wracając do świata białych, wypierał się więzi z człowiekiem, który przez dziesięć lat opiekował się nim i kochał go jak własnego syna.

Chciałby objąć Delię, utulić i scałować łzy z jej oczu. Ale oczywiście nie mógł. Już miał ją wziąć za rękę, kiedy uświadomił sobie, że nawet tego nie powinien robić. Mimowolnie zacisnął pięści.

- Chodźmy, mała. Popatrzmy na wyścig.

Delia skinęła głową, otarła łzę, która spływała jej po policzku.

- Dobrze, Ty - odrzekła i uśmiechnęła się z przymusem, już znów gotowa stawić czoło wszelkim przeciwnościom losu. Ty patrzył na nią z rozdzierającym bólem w sercu.

Wracając z domu Bishopów z pistoletem, który miał posłużyć za starter, Ty natknął się na wielebnego Hookera.

- Syszałem, że w tej gonitwie nagrodą jest darmowy poród - zagadnął pastor.

- Zgadza się - uśmiechnął się Ty. - A ty nie startujesz? Tobie i Elizabeth może się niebawem przydać taka nagroda.

Caleb zarumienił się i odruchowo spojrzął w kierunku żony, nadal siedzącej przy stole i pochłoniętej rozmową z Anną Bishop i Hannah Randolph, ciężarną małżonką kowala. Na jego twarzy pojawił się wyraz udreki, choć trwało to tak krótko, że Ty nie był pewien, czy nie uległ złudzeniu. Sekundę później Caleb śmiał się jak człowiek pozbawiony jakichkolwiek trosk.

- Mam wrażenie, że ta nagroda najbardziej potrzebna jest pani Randolph.

- Jeśli chodzi o usługi położnicze, to Hannah Randolph zawsze jest w potrzebie. Gdybyś chciał się pościgać, mogę ci pożyczyć konia.

Caleb zaśmiał się i pokręcił głową.

- Jakoś nie zdaje mi się, by moich bostońskich przełożonych uradowała wieść, że jeden z ich duchownych startuje w wyścigach konnych.

Ty był ciekaw, czy pastor wie, że wynik gonitwy jest przedmiotem zakładów. W grę wchodziły bynajmniej nie symboliczne stawki. Prawdopodobnie Caleb o tym wiedział, ale - bardzo rozsądnie - postanowił udawać nieświadomego.

Wyścigi konne w Merrymeeting tradycyjnie rozgrywano na dystansie pięciu mil. Zawodnicy startowali przy sośnie rosnącej na środku błoni, następnie okrążali magazyn sosny masztowej oraz tartak i mijając zbór i dom pastora, wyjeżdżali za miasto. Tam, z dala od oczu świadków, rywalizacja przybierała zwykle charakter bezpardonowej walki o lepszą pozycję, w której dozwolone były wszelkie chwytaki. Oprócz konkurentów przeciwnikiem jeźdźców była pełna pułapek puszcza.

Zatoczywszy cztero-milowy łuk, zawodnicy ponownie wjeżdżali do osady, mijali blokhauz i kończyli w miejscu startu - przy samotnej sośnie. Zazwyczaj zwyciężał jeździec, któremu po prostu udało się pokonać trasę bez większych wypadków. Po wyścigu doktor Savitch musiał zwykle zestawić wiele złamanych kości i opatrywać wiele ran.

Do zadań Tylera należało także dawanie sygnału do startu.

Zajął miejsce pod sosną, otoczony wianuszkami kobiet i dzieci, i uniósł nad głowę stary pistolet pułkownika Bishopa. Świadom był obecności Delii u swego boku. Z niewiadomych powodów jego serce reagowało na to szybszym biciem, choć Ty ganił się w duchu za tę głupią nadwrażliwość.

- Panowie, stawajcie na start! - zawołał nieco ochrypłym głosem.

Na błoniu nie wyznaczono linii startowej w ścisłym znaczeniu tego słowa, toteż jeźdźcy i ich wierzchowce przepychali się i potracali nawzajem, walcząc o zajęcie lepszej pozycji do startu.

Ty odwiódł kurek pistoletu.

- Uwaga!

Hej, doktorze! wrzasnął ktoś. - pospiesz się na miłość boską!

Ty roześmiał się i nacisnął spust. Huk wystrzału rozniósł się nad błoniem, jego echo utonęło w okrzykach widzów i tętnie końskich kopyt.

Delia, zapomniawszy o niedawnym upokorzeniu, podskakiwała z emocji. Kiedy zawodnicy mijali zbór, kierując się w stronę puszczy, Nat

znajdował się na czele stawki. Delia chwyciła Tylera za ramię i krzyknęła mu prosto do ucha:

- Spójrz Ty, Nat prowadzi. Och, mam nadzieję, że wygra. Ciało Tylera przebiegł dreszcz, wywołany dotykiem ręki dziewczyny. Spojrzał na jej roześmianą twarz i wtedy do jego świadomości dotarło prawdziwe znaczenie jej słów. Na chwilę zabrakło mu tchu. Nagrodą w wyścigu była darmowa pomoc przy narodzinach następnego dziecka ...

A następne dziecko Nat będzie miał z Delią.

Nat wygrywał wyścig.

Gniada klacz wyskoczyła z lasu tuż przy częstokole. Nat przywierał do jej szyi, a kaleka noga zwisała poza strzemieniem. Przed galopem do mety musieli jeszcze okrążyć palisadę, ale klacz wyprzedzała najbliższego rywala o dobre trzy długości i nadal miała dużo siły. Pozostawało pytanie, czy jeździec utrzyma się na koniu, zanim dotrą do drzewa.

Wreszcie okrążyli sosnę. Nat z całej siły ściągnął wodze i klacz zaryła kopytami w ziemię, wyrzucając w powietrze piasek i kępki trawy. Jeździec zeskoczył z siodła i zachwiał się, gdyż przez chwilę cały ciężar ciała spoczął na drewnianej stopie. Rękaw odświętnego ubrania miał rozdarty, z dwóch rozcięć na czole sączyła się krew, ale twarz promieniała triumfalnym uśmiechem.

Delia złapała Tildy na ręce i pobiegła do Nata, Meg poszła w jej ślady. Delia była tak podekscytowana, że zarzuciła mu wolną rękę na szyję i pocałowała go w usta.

- Och, Nat! Zwyciężyłeś! Nat!

Nat zeszywniał i uwolnił się z jej uścisku, ale nikt tego nie zauważył, bo właśnie Meg dobiegła do ojca i otoczywszy go w pasie ramionami, szczebiotała, podskakując jak piłka.

- Tata wygrał! Tata wygrał! - pisała Tildy.

- Tak. Wygrał! - Roześmiana Delia podała dziewczynkę ojcu.

- O rety! Tata nigdy dotąd nie wygrał gonitwy! _ powiedziała Meg, a z jej mizernej twarzyczki biła duma.

Nat roześmiał się niskim, dudniącym śmiechem i wzburzył włosy córki.

- Cicho, smarkata! Nie wypominaj mi dawnych klęsk! Uczestnicy gonitwy dobijali do mety i zbierali się wokół zwycięzcy z gratulacjami.

Kowal, Sam Randolph, zsiadł z konia obok Ty i dał mu

przyjacielskiego kuksańca w ramię.

- Coś mi się widzi, doktorze, że nagroda będzie musiała poczekać dobre

dziewięć miesięcy.

Powiedział to na tyle głośno, że wszyscy go usłyszeli. Zapłonowała ogólna wesołość. Paru mężczyzn pozwoliło sobie na rubaszne dowcipy o nadchodzącej żarliwej nocy poślubnej. Nat oblał się rumieńcem, lecz gdy jego wzrok napotkał oczy Delii, powoli rozciągnął usta w uśmiechu i otoczywszy ją ramieniem, przyciągnął ku sobie.

- Tato, będziesz w nocy rozpalał żar? - zdziwiła się na głos Tildy ze swego miejsca na biodrze ojca, biorąc dosłownie dwuznaczną ałuzję jednego z mężczyzn.

Nat szybko zakrył dłonią usta córki.

- Cicho, Tildy - nakazał jej, uśmiechając się z zażenowaniem do Delii. - Pamiętaj, że grzeczne małe dziewczynki powinno być widać, a nie słyszać.

Ty obserwował to wszystko - rumieńce, wymieniane uśmiechy oraz poufale gesty - i po raz pierwszy w życiu doznał uczucia palącej zazdrości. Wyobraźnia podsunęła mu obraz nagiej Delii pod potężnym ciałem Nata. Widział, jak ten wdziera się w to jej gorące, ciasne, wilgotne miejsce, a ona odchyła głowę do tyłu z wyrazem spełnienia na twarzy.

Wstrząsnął nim dreszcz, zacisnął powieki. Sam tego chciałeś, Savitch, ty skończony durniu. Wydałeś ją za męża, żeby nie mogła doprowadzać cię do szaleństwa, wzbudzając uczucia, na które nie byłeś gotowy. I jak masz zamiar teraz się z tym uporać?

To bez znaczenia, że Nat nie kocha Delii. Małżeństwo z rozsądku pozostaje małżeństwem.

Dzisiejszą noc Delia spędzi w łóżu Nata.

Ospały nastrój, który ogarnął wszystkich po sutym posiłku w upale, znikł podczas emocji gonitwy i w ludziach obudziła się chęć do zabawy. Kilku uzdolnionych muzycznie osadników na przedce stworzyło zespół, składający się ze skrzypiec i drumli.

Nat Parkes jako rygorystyczny kongregacjonalista nie ruszyłby do tańca, nawet gdyby nie przeszkadzała mu w tym drewniana stopa. Delia stała u boku swego świeżo poślubionego małżonka i ze smętnym uśmiechem obserwowała pary sunące w rytm żywej muzyki.

Tyler nie mógł patrzeć na jej smutek. Przeklinając się w duchu za to, że popełnia błąd, podszedł do niej i złożył dworny ukłon. - Delio, czy mogę cię prosić do tańca?

- Ja ... - zaczęła, rzucając niepewne spojrzenie na Nata.

- Wie pan, doktorze, że nie pochwalam tańców - odezwał się Nat. - To

diabelski wymysł.

Ty wygiął usta w lekkim uśmiechu i ruchem głowy wskazał na wirujące pary, wśród których zaróżowiona Elizabeth tańczyła z rozradowanym Calebem.

- Jeżeli pastor nie widzi w tym nic zdrożnego, to myślę, że i duszy pańskiej żony też nic nie zagraża.

Zanim Nat zdążył odpowiedzieć, Ty otoczył Delię ramieniem i wciągnął w krąg tańczących. Z

początku sztywna, po chwili poddała się radości płynącej z muzyki. Ich ciała zbliżały się do siebie i oddalały w rytm skomplikowanych tanecznych kroków.

Ty usiłował wyłączyć zmysły i nie reagować na jej wygląd i dotyk. Ale okazało się to tak samo beznadziejne jak powstrzymanie nadchodzącego świtu. Dotyk włosów Delii, owijanych przez podmuchy wiatru wokół jego szyi, przyprawiał go o dreszcze. Widział wilgotną skórę w zagłębieniu między piersiami, które unosiły się i opadały, gdy zdyszana chwytiała powietrze. Czuł słodki zapach kobiecego ciała i wody różanej. Wiedział, jak wyglądałaby pod nim naga.

Pragnął, by znalazła się pod nim naga.

Odbiegła, wirując w tanecznym pas, jej pełne wyrazu usta śmiały się do niego, a oczy o złotych źrenicach przyzywały go, nawoływały ... Pomyślał o swym szerokim, zarzuconym skórąmi łożu na poddaszu chaty. Był podniecony, niezaspokojony i pragnął jej. O Boże, jak bardzo pragnął zabrać ją do siebie tej nocy i położyć na wielkim, szerokim łożu!

Przez chwilę część jego natury, ta należąca do Abenaki, poważnie rozważała porwanie Delii.

Przerzuci ją przez konia i odjadą w dzikie ostępy. Wzniesie przytulny mały wigwam hen, na północy, nad brzegiem jeziora, i wymości w nim balsamiczne łoże. I na tym łożu będzie spędzać dni i noce, kochając się z nią jak szalonyż ...

Delia natrafiła stopą na kępę trawy, potknęła się i zatoczyła.

Wyciągnął ramiona, by uchronić ją przed upadkiem. Jego twarz znalazła się tak blisko ust dziewczyny, że owionął go jej gorący,

wilgotny, słodki oddech. Poczul na swoim torsie, jak łomocze serce Delii. Jego twardy, pulsujący penis znalazł się we wgłębieniu między jej nogami, więc odruchowo poruszył biodrami i napał na nią jeszcze silniej.

Oddech Delii przeszedł w chrapliwe westchnienie.

Uniósł głowę, by spojrzeć jej w twarz - na brązowe, zamglone oczy, rozchylone, wilgotne wargi, miękką linię policzka i brody ... Mało brakowało, a wpiłby usta w te jej wargi, nie bacząc, że patrzy na nich jej mąż i cała osada.

_ Ty, puść mnie ... Proszę - wyszeptała gardłowo.

Zwolnił uścisk akurat w chwili, gdy skrzypce przestały grać.

Uciekła od niego, a Ty rozejrzał się dokoła. Ktoś zaczynał grać na kobzie, tancerze ustawiali się do kolejnego tańca. Wszyscy wydawali się nieświadomi dramatu, który rozegrał się na ich oczach.

To dlatego, że tak naprawdę nic się nie wydarzyło - powiedział sobie Ty. Jednak wiedział, że to kłamstwo.

Wszystko się wydarzyło.

16

Na dźwięk otwieranych drzwi Delia podskoczyła, bezwiednie przyciskając dłoń do szyi.

_ Nie chciałem cię przestraszyć - usprawiedliwił się Nat.

_ Po prostu nie spodziewałam się ciebie ... tak szybko - odparła speszona.

_ Nie mogłem zagonić dziewczynek do łóżka, ale jak się w nim znalazły, z miejsca zasnęły -

powiedział, unikając jej wzroku.

_ To był dla nich długi dzień.

Spojrzenie Nata błędziło po izbie, prześlizgując się po skrzyni obitej cielecą skórą, umywalce z sosnowego drewna z glinianym dzbanem i misą, po perkalowych zasłonach, falujących w otwartym oknie, cały czas unikając kąta, w którym stało łóżko.

_ Dla nas ten dzień też był długi - odezwał się

- Tak ...

To przeklęte łóżko zajmuje cały pokój - pomyślała Delia.

Łoże było wspaniałe, z pomalowanego na czarno jesionu, z puchowymi kołdrami i materacem z pierza. Wyglądało miękko

i rozkosznie. Miała ochotę wyciągnąć się na nim i spać. Ale naJpierw ...

Ze zdenerwowania oblałają fala gorąca. Podeszła do otwartego okna, by wystawić twarz na chłodny nocny wiatr. Było tak cicho, że słyszała szelest kołyszącego się zboża i szum świerkowych gałęzi poruszanych wiatrem. Z oddali dochodziło stłumione po-hukiwanie sowy. Noc była aksamitnie, niemal namacalnie czarna. Cieniutki sierp poblądłego księżyca dawał

niewiele światła.

Izba była skąpana w delikatnej poświacie lampy naftowej. Nat podciągnął patykiem knot, by jaśniej zapłonął. Kręcił się między sprzętami, mocno utykając, a wysokie rybackie buty, które nosił ze względu na drewnianą stopę, płaskały głośno o łydki. Delia zastanawiała się, czy po całym dniu kikut nie sprawia mu bólu. Kula stała oparta o ścianę przy wygasłym kominku. Być może miał zwyczaj odpinać protezę po powrocie z pola.

- Nat? - przełknęła ślinę i odchrząknęła. - Dlaczego nie zdejmiesz protezy, jeśli cię uwiera?

Obrócił się do niej z zaciśniętymi ustami.

- Jedyną osobą, która widziała kikut, była moja żona.

Miała ochotę krzyknąć: "Ale teraz ja jestem twoją żoną".

Zamiast tego powiedziała tylko:

- Chciałam jedynie, byś wiedział, że nie raziłby mnie widok twojej nogi.

I zaraz pożałowała, że ma taki długi język. Ale o dziwo, Nat się roześmiał. Co prawda był to tylko krótki, cichy chichot, ale rozładował nieco napięcie między nimi.

W ciszy zalegającej izbę wzrok Nata powędrował ku łóżku. - Zabawa daje krótkie wytchnienie od pracy, ale na drugi dzień czeka dwa razy więcej obowiązków. Powinniśmy się położyć.

- Tak ... - wychrypiała. Nat zbliżył się do Delii.

Jego duże dłonie zamknęły się na jej ramionach. Z poważną miną popatrzył jej w twarz, a potem nachylił się i przycisnął wargi do jej ust.

Nie było spotkania języków, rozchylenia warg. Usta Nata były martwe. Delia poczuła ucisk w krtani, jakby za chwilę miała się udusić. Wytrzymała w tej pozycji, jak długo mogła, i wykręciła głowę, żeby złapać oddech. Nie widziała twarzy Nata, ale usłyszała jego westchnienie. Zabrzmiało to prawie jak westchnienie ulgi, jakby i on miał dość tego pocałunku.

Nat wyciągnął rękę i zamknął okiennice na haczyk. Potem bez słowa odwrócił się tyłem i zaczął zdejmować ubranie.

Delia wiedziała, że ona także powinna się rozebrać, ale nie mogła uczynić żadnego ruchu. Nat zaraz po przyjściu do domu zrzucił surdut i kamizelkę. Teraz wyciągnął poły koszuli zza pasa bryczesów, rozwiązał halsztuk i ściągnął koszulę przez głowę. Pierś miał gładką i pozbawioną włosów, ciało blade i żyłaste, o zwiotczałych mięśniach, a w okolicy żołądka rysowała się lek-ka wypukłość.

Kiedy wieształ koszulę na kołku, pochwycił spojrzenie Delii. Zarumienił się i jeszcze bardziej spochmurniał. - O co chodzi? - zapytał. Delia drgnęła, jakby co najmniej na nią krzyknął. Podniosła ręce do stanika krótkiej wierzchniej sukni, ale jej drżące palce nie radziły sobie z guzikami.

Może wyjdę na chwilę. - Nat nieporadnym gestem wskazał na drzwi. Delia kiwnęła głową, a kiedy opuścił izbę, z ulgą zamknęła oczy. Zaczęła spieszenie zdejmować ubranie. W ścianie tkwiły cztery kołki. Na dwóch wisiały rzeczy Nata, dwa pozostały wolne. Kiedyś Mary wieszala tam swoje ubranie - pomyślała Delia, tłumiąc łzy.

Ciekawe, co Nat zrobił z jej rzeczami. Oprócz wierzchniej sukni i halki Anna uszyła Delii nocną koszulę na noc poślubną. Dekolt i mankiety wykończyła koronką, którą znalazła w swoim przyborniku. Delia przez chwilę podziwiała koszulę, zanim ją włożyła. Potem kilkoma ruchami szczotki rozczesała włosy i weszła do łóżka. poczuła gładkość prześcieradeł pod gołymi łydkami, ale ich chłód przyprawił ją o dreszcz. Zastanawiała się, czy nie zgasić lampy, stojącej na skrzyni obitej cielecą skórą, lecz pomyślała, że może Nat woli, by lampa się paliła.

Nat tak długo zwlekał z powrotem, że ogarnęła ją senność. Na dźwięk otwieranych drzwi obróciła się półprzytomna i zamarła, widząc go na progu. Zawahał się, zanim podszedł do łóżka. Gdy skrzyżowały się ich spojrzenia, spłoszeni odwrócili wzrok. Nat nerwowo oblizał kąciki warg.

Nadal czuła dotyk jego ust. Miała nadzieję, że zrobi ... co musi, bez całowania. Odepchnęła wspomnienie innych pocałunków - tamtych ciepłych, sprężystych warg i natarczywego, smakującego ją języka.

Nat zgasił lampę i pokój ogarnęła ciemność. Materac zapadł się pod jego ciężarem. Siadł plecami do niej. Wysokie buty stuknęły o podłogę, potem łóżko zakołysało się jeszcze raz i zaszeleściły ściągane bryczesy. Widziała zarys jego pochylonej sylwetki, odgadła, że odpina protezę. Słyszała plaśnięcie skórzanych rzemieni o drewno, skrzypnięcie zawiasu. Czy wszystkie małżeńskie pary rozbierały się po ciemku? Nagle wydało jej się dziwne, że nie zobaczy twarzy Nata, kiedy będzie się z nią kochał. Ale on także nie będzie widział jej twarzy - pomyślała z ulgą.

Owionęło ją chłodne powietrze, gdy Nat odrzucił kołdrę. Leżała nieruchomo, próbując opanować drzenie. Ale kiedy wyciągnął rękę i dotknął jej piersi, podskoczyła nerwowo.

Przysunął się bliżej. Objął ją w pasie i niemal brutalnie przyciągnął do siebie. Noga Delii obsunęła się, przypadkiem dotykając uda Nata. Gdy na jedną sekundę jej kolano natrafiło na mały, wiotki członek, wyprostowała się gwałtownie, a Nat odskoczył na skraj łóżka.

Zsunął nogi na podłogę i usiadł do niej plecami. Przez cały ten czas żadne z nich nie odezwało się ani słowem. W zupełnej ciszy Delia usłyszała swój własny, ciężki, urywany oddech.

- Nie mogę - powiedział Nat.

Przełknęła ślinę, chcąc pozbyć się dławiącej ją kluski.

- Przepraszam, Delio ... nie mogę. Moja Mary ... nie żyje załedwie od trzech miesięcy. - Mówił w ciemną przestrzeń głosem pełnym bólu. - Dziesięć lat byliśmy małżeństwem: Dziesięć lat spaliśmy razem w tym łóżku. Dziesięć lat, z wyjątkiem urodzin naszych dziewczynek i mojej musztry w Wells.

Ona jest... była ... jedyną kobietą, z którą Delio, nie mam nic przeciwko tobie, ale po prostu nie mogę

- Nat, proszę, nic nie mów. Rozumiem. - Delia usiadła, opierając się o poduszkę.

Nat obrócił głowę, by spojrzeć na nią. W ciemnościach nie potrafiła odczytać wyrazu jego twarzy.

_ Dziś po południu, kiedy schodziłaś po schodach i potem, w tańcu, wyglądałaś tak ślicznie.

Pomyślałem, że może ... - zająknął się.

Delia poczuła, jak wstrząsnął ramionami.

_ Ale już sama myśl o tym, że ... mógłbym dotknąć innej kobiety, budzi we mnie poczucie winy.

Wiem, Mary nie żyje. Ale nic nie poradzę, że czuję się tak, jakbym ją zdradzał...

Delia z wahaniem wyciągnęła rękę i dotknęła ramienia Nata. _ Przecież nie musimy tego robić dzisiaj.

_ Nie, nie. Nie musimy - odpowiedział z głośnym westchnieniem. _ No i ty jako dziewczica potrzebujesz czasu ... Aż się lepiej poznamy - dodał z

nadzieją w głosie.

Delia dziękowała opatrznosci, że Nat nie widzi jej twarzy. Do głowy jej nie przyszło, iż sądzi, że jest dziewicą. O mało nie wybuchła histerycznym śmiechem - najpierw wziął ją za dziwkę, a teraz uważa za dziewicę! Boże w niebiosach - jak mogłam

wpakować się w taką kabałę?!

- Delio?

_ Tak, Nat _ westchnęła cicho. - Tego właśnie nam trzeba. Czasu, żeby lepiej się poznać.

Zaśmiał się nerwowo, bo kamień spadł mu z serca.

Materac zakołysał się, gdy Nat dzwignął się z łóżka. Trzymając się zagłówka, podskakiwał na zdrowej nodze do kominka po kulę. Umocował ją pod pachą i odwrócił się do łóżka.

- Delio ... ?

Głośno przełknęła ślinę.

- Nat, nie musisz ...

_ Myślę, że na razie będę spał gdzie indziej. Rozłożę sobie derkę w składziku, a na dzień będę ją zwijać. Szczerze mówiąc, moja Mary zawsze narzekała, że okropnie chrapię. Lepiej wypoczniesz w łóżku sama.

Zdjął z kołka koszulę i bryczesy, wsunął je pod ramię i ruszył do drzwi, wsparty na kuli.

Ładnie dziś wyglądałaś, Delio - powiedział z ręką na klamce. Czuję się dumny, gdy stanęłaś u mego boku jako moja żona.

- Dziękuję, Nat.

Czerwona poświata z kominka w komorze oświetliła łóżko, gdy otworzył drzwi, i zniknęła, kiedy zamknął je za sobą.

Delia wsunęła się pod kołdrę. Przewróciła się na brzuch i ukryła twarz w poduszce. Ścisnęła ją w gardle, ale powstrzymała szloch. Czowała się taka samotna. Pragnęła być tulona, dotykana, kochana. Ale nie przez Nata czy jakiegoś innego mężczyznę.

Chciała wyłącznie Tylera.

Nie kocha jej.

Tak sobie powiedział. Ale skoro jej nie kocha, to dlaczego czai się w ciemnościach ze wzrokiem wbitym w otwarte okno izby, gdzie wkrótce ona położy się w ramionach swego męża?

Oparł się o mur ułożony z kamieni, które Nat Parkes z mo-żołem

powybierał ze swego pola. Ich chropowata powierzchnia uwierała go przez cienki materiał koszuli. Noc była chłodna, a jednak się pocił. Ucisk w piersi i mocno napięte mięśnie sprawiały mu ból.

Wyprostował się gwałtownie, gdy jej sylwetka zarysowała się w oknie w żółtawym świetle lampy. Była sama. Wpatrywała się w noc i chociaż Ty wiedział, że to niemożliwe, wyobraził sobie, iż ona widzi go, stojącego przy murze pod drzewami. Wychylił się, jakby chciał do niej zawołać.

I wtedy zjawił się Nat i wziął ją w ramiona.

Na widok Nata wpijającego się w jej słodkie usta Ty odwrócił się do muru i zaczął walić weń pięścią, aż kropelki ciemnej krwi z otartej skóry poplamiały kamienie. Stuknęły zamykane okiennice, zniknęło żółte światło. Ty odrzucił głowę do tyłu i z całej siły zacisnął powieki, aż żyły na jego szyi nabrzmiały jak postronki. Stłuczona dłoń pulsowała boleśnie. Miał ochotę zawyć, wydać z siebie przejmujący okrzyk wojny i śmierci plemienia Abenaki.

Oderwał się od muru i wbiegł do lasu. Bał się tego, co może zrobić. Miał ochotę wdrzeć się do domu Nata i porwać Delię z małżeńskiego łóżka. A potem kochać się z nią, aż nasyci głód i wyleczy się z obsesyjnej żądz.

Biegł bezszelestnie przez puszcę, zobojętniały na czyhające niebezpieczeństwa. Obraz Delii w ramionach Nata, ich ust złączonych w gorącym pocałunku, zatruwał jego umysł.

Wbiegł na polankę, gdzie przy zakolu rzeki stała jego chata.

Plusk wody wydał mu się cichszy od szumu krwi pulsującej w skroniach. Odrzucił głowę i spojrzał na blady księżyc. Zamrugał, bo tarczę księżyca przesłoniła mu mgła.

— Delia! - Ciszę nocy zakłócił krzyk Tylera. - Do diabła z tobą, do diabła - wyszeptał. - Nie kocham cię.

Cholera jasna, nie kocham cię! - znów krzyknął na cały głos.

Trzy dni później Nat Parkes siedział z córkami w komorze przy stole zбитым z desek i kończył

śniadanie. W powietrzu unosił się zapach przypalonej potrawy, bo fasolowe piure przylgnęło Delii do garnka.

Nat przerzucał wystrzępione stronicę sfatygowanego almanachu rolniczego.

— Upały nie potrważą długo - oznajmił. - Sierpień ma być deszczowy. Dzisiaj zaczniemy zwozić siano.

Delia obchodziła stół, zbierając naczynia do misy. Pod talerzem Tildy

spostrzegła skórkę od chleba.

Chciała niepostrzeżenie wrzucić ją do miski, ale nie zdążyła.

- Tildy, skończ chleb - nakazał Nat.

_ Ale, tato, on jest twardy. - Dolna warga Tildy niebezpiecznie zadrżała.

_ Chleb mamy był zawsze pyszny i miękki - oświadczyła Meg, zerkając na Delię z pogardliwym uśmieszkiem.

Delia zamięsiła ciasto na chleb wieczorem, by upieść się przez noc w gorącym popiele. Była bardzo dumna ze swego pomysłu aż do chwili, gdy rano wyciągnęła z paleniska spieczony twardy bochen, który z trudem nadawał się do jedzenia.

_ N-nie szkodzi, namoczę go i podam świniom.

_ Ale to marnotrawstwo, Delio. - Poczula na swej spuszczonej głowie krytyczny wzrok Nata.

- To co mam z nim zrobić? - obruszyła się.

Była bliska łez. Trzy dni wystarczyły, by nabrała przekonania, że marna z niej będzie żona farmera.

Bladym świtem pierwszego dnia ich małżeństwa Nat wydoił kozę, by pokazać jej, jak to się robi, dając jednoznacznie do zrozumienia, że wykonując tę niemęską robotę, czyni gest w jej stronę. Następnego ranka Delia sama wydoiła przekłete zwierzę, które najpierw usiłowało zjeść jej włosy, a potem, gdy odwróciła się plecami, kopnęło w stołek, wywracając wiadro. Wróciła do domu z odrobiną mleka na dnie skopka, a Nat nawet nie usiłował ukryć dezaprobaty.

Następnego dnia poszła z motyką do ogrodu, gdzie po trzech godzinach pracy w palącym słońcu usłyszała od napawającej się jej klęską Meg, że wykopała sadzonki buraków i rzepy jako chwasty, a to, co wzięła za małe główki kapusty, jest zwykłym zielskiem.

- Delia zrujnowała ogródek mamy - doniosła Meg nachmurzonemu Natowi, gdy przyszedł na obiad.

A zaczęłam ten dzień, psując śniadanie - pomyślała Delia z rozpaczą. Ponieważ praca na farmie praktycznie nie miała końca, bała się kolejnych nieszczęść, które mogły się stać jej udziałem przed nastaniem nocy.

Rano posprzątała oborę, rozłożyła świeżą ściółkę, podsypała ziarna kurom, zebrała jajka i wydoiła kozę - a wszystko to zdążyła zrobić, jeszcze zanim przypaliła fasolowe piure. Westchnęła, spoglądając na pełne miski. Ale zauważyła, że czekoladę wypili do dna. Zrobiła ją na świeżym kozim mleku i osłodziła melasą. Jak przez mgłę pamiętała, że tak właśnie robiła jej

matka, gdy ona była małą dziewczynką.

Przynajmniej jednej rzeczy udało mi się nie spalić - pomyślała nie bez dumy.

Drgnęła nerwowo, gdy Nat z trzaskiem zamknął almanach, energicznie wstając od stołu.

- Jadę kosić siano - oznajmił.

Brak sprzączki przy jego bryczesach ze zgrzebnego płótna wywołał u niej poczucie winy. Wczoraj wieczorem obiecała ją przyszyć, ale potem zapomniała. Uczucie dumy zniknęło. Nigdy nie będzie z niej dobra żona - westchnęła głośno.

Nat kiwnął na Meg.

- Chodź, pomożesz mi przy sianie. A ty, Delio, kiedy skończysz pracę w domu, też przydałabyś się na polu.

- Nat - Delia wzięła głęboki oddech, zbierając się na odwagę - chciałabym po południu pójść na parę godzin do Merrymeeting ... na lekcję do pani Bishop.

Odwrócił się i spojrzał na nią.

- Pani Bishop zgodziła się, by pokazać ci, jak się przedzie? Sam nie wiem, Delio. W tej chwili najważniejsze jest siano.

Delia zwilżyła wargi językiem i splotła dłonie za plecami.

- Ona uczy mnie liter.

- Nie masz na to teraz czasu. - Machnął ręką. - I wcale ci to niepotrzebne.

- Ale ja dopiero zaczęłam się uczyć. Nie chcę przerywać ...

- Delio, powiedziałem. Koniec dyskusji.

Mocowali się wzrokiem.

- Nat, ja pójdę. A pracę w domu dokończę wieczorem.

Zmrużył oczy i zrobił krok w jej stronę, zaciskając dłoń w pięść. Czekwała na cios. Wtem Tildy wydała rozpaczliwy jęk. Rzucili się oboje do stołu, gdzie siedziała, z całej siły trąc po - wiekę.

- Oko mnie boli!

Delia uklękła przy niej i odciągnęła piąstkę od oka.

- Pokaż no, kotku.

Nat również przykucnął obok.

Brzeg powieki Tildy był zaczerwieniony i spuchnięty.

- To tylko jęczmień - powiedział ze złością Nat. - Zaprowadź ją do doktora Tylera. On będzie wiedział, co z tym zrobić.

Serce Delii podskoczyło do gardła.

- Ale ja nie ... Może niech Meg pójdzie ...

_ Meg pomaga mi przy sianie. Ona wie, jak się to robi, a ja nie zamierzam tracić czasu, żeby uczyć ciebie.

Delia ocierała łzy z puciołowatych policzków Tildy.

- No, już dobrze - uspokajała ją. - Pójdziemy do doktora Savitcha i zaraz będzie po wszystkim.

- Czy doktor Ty da mi ciastko? - rozpromieniła się Tildy. - Kiedy rozcięłam kolano, dostałam ciastko.

- Myślę, że tak.

Nat podniósł się i zdjął z kołka przy kominku filcowy kapelusz z szerokim rondem, po czym ruszył do drzwi na werandę•

Nat - powiedziała Delia do jego oddalających się pleców - po południu idę do Merrymeeting. Na lekcję.

Zesztywniał, ale nie zwolnił kroku. Chwilę później trzasnęły drzwi.

Meg znieruchomiała z szeroko otwartymi oczami i niezgłębioną miną•

- Rozgniewałaś tatę - powiedziała.

- Ano tak - przyznała Delia zrezygnowana, nie bacząc na niechęć dziewczynki.

- Nie boisz się?

- Boję. Ale lekcje są dla mnie bardzo ważne, Meg.

Z podwórka dobiegł ostry głos Nata wołającego Meg. Mała zerknęła na drzwi i przeniosła wzrok na Delię.

- Pamiętasz, że obiecałaś nauczyć mnie kręcić bączka? Może jutro mogłybyśmy ...

- Oczywiście, pamiętam - rozpogodziła się Delia. - Poćwi-czymy jutro, kiedy siano będzie zebrane, żeby nie drażnić twojego taty. Zgoda?

Ściągnięta twarz Meg wygładziła się i nawet pojawiło się na niej coś na kształt uśmiechu.

- Meg!

- Lepiej idź. Ojciec cię woła.

Meg wybiegła z domu, a Delia zrzuciła szorstką roboczą suk-nię. Tildy poszła za nią do sypialni i kiedy Delia przebierała się w nową płócienną sukienkę, dziewczynka szczebiotała o dokto-rze i ciasteczkach. W domu nie było lustra, więc przyczesując włosy i nakładając kaptur chroniący przed palącym słońcem, De-lia przeglądała się w okiennej szybie. Czowała, że ma wypieki, a serce biło jej nienaturalnie szybko. Wszystko było mało ważne, skoro zobaczy dzisiaj Tylera.

Siano Nata rosło na czteroakrowym pasie słonych bagien nad rzeką. Gdy Delia z Tildy za rękę szły ścieżką wzdłuż rzeki, widziały Nata i Meg przy pracy. Nat kosił siano, a Meg, idąc za nim, zgrabiła je

na sterty, które później miały zostać powiązane w snopki. Na koniec zwiozła snopki z pola na platformie i ustawiła w stóg przy stodole. Delia pomachała do Nata i Meg, ale nie przerwali pracy, by odpowiedzieć na pozdrowienie.

Rzeka płynęła leniwie. Ryba wyskoczyła nad powierzchnię w pogoni za muchą, płosząc wielką błękitną czaplę. Mijały kępy truskawek, które wyglądały tak kusząco, że Delia postanowiła zatrzymać się w drodze powrotnej i nazbierać soczystych owoców. Rozradowana Tildy pokazała Delii skaczącą przed nimi wiewiórkę z puszystym ogonem.

W miejscu, gdzie ścieżka skręcała w las, brzeg rzeki stawał się bardziej stromy. Otoczył je półmrok.

Sączące się przez gałęzie promienie słońca dawały dziwną zieloną poświatę. Tajemniczą ciszę puszczy zakłócił szebiot pary sikorek.

Przystanąły na chwilę na skraju polany, Delia z rozkoszą wciągnęła powietrze. Przed oczami miała długą chatę z przestronnym gankiem, otoczoną kępami niebieskich irysów, kwitnącymi krzakami borówki i dzikiej róży. Rzeka przepływała tu żwawiej, szemrząc wśród skał. Blisko brzegu, pod rozłożystą płaczącą wierzbą, wśród krzewów malin, stała niewielka chatka w kształcie stożka, okryta zwierzęcymi skórami i brzoźową korą. Wyglądem przypominała indiańską siedzibę. Delia zastanawiała się nad jej przeznaczeniem.

- Doktorze Ty! - zapiszczała Tildy, wrywając się Delii. -Doktorze Ty! Mam jęczmień! Czy mogę dostać ciastko?

Czarny kot wynurzył się spod schodów i leniwie otarł o nogi Tildy. Dziewczynka pisnęła z zachwytu i siadła na ziemi, a kocisko przewróciło się na grzbiet z głośnym mruzeniem.

Delia ostrożnie zbliżyła się do domu, postanawiając w duchu, że nie zachowa się jak kapuściany głąb.

Ale nie mogła powstrzymać dzikiego galopu serca ani uspokoić wzburzonego oddechu. Stała u stóp schodów i spojrzała w górę. Czuła, jak płoną jej policzki.

Ty siedział na werandzie z kubkiem w dłoni opartym o udo.

Nogę w wysokim bucie przerzucił przez balustradę i kiwał się na przechylonym krześle. Jego twarz ocieniał kilkudniowy zarost, włosy miał

wilgotne. Kropelki potu toczyły się po jego nagiej piersi, skręcając w czarne włosy, i łączyły się w cienkie strumyczki, które, znacząc kontury mięśni, spływały we wgłębienie w okolicy żołądka, tworząc ciemną plamę na obcisłych irchowych bryczesach ...

Delia westchnęła głośno i przeniosła wzrok na twarz Tylera.

Nie wydawał się zachwycony jej wizytą.

- Dzień dobry, Ty. Jesteś ... zgrzany.

- Ty za to wyglądasz świeżo i apetycznie. Małżeństwo najwyraźniej ci służy - odpowiedział, zlewając nieco słowa.

Usta miał półotwarte, oczy przekrwione. Delia poczuła ukłucie rozczarowania, widząc, że jest zamroczony alkoholem o tak wczesnej porze. Czegoś takiego mogłaby się spodziewać po swoim tatku, ale Ty?

- Dlaczego pijesz od rana? - natarła na niego, nie starając się nawet ukryć gniewu.

- To dalszy ciąg - wyszczerzył zęby w głupawym uśmiechu. - Piłem wczoraj i przedwczoraj też.

Wdrapała się na schodki. Odczuła jego bliskość na podobieństwo uderzenia fali gorąca z kowalskiego paleniska. Nie ogolony i półnagi wyglądał niebezpiecznie. Niebezpiecznie, a zarazem pociągająco.

Miała wrażenie, że stopi się pod intensywnym spojrzeniem jego błyszczących oczu. Walczyła z chęcią, by odwrócić się na pięcie i uciec w chłód leśnej gęstwiny.

- Co cię do mnie sprowadza, dziewczyno? Czy przyszłaś z wizytą?

- Och, nie ... - zająknęła się, rumieniec oblał jej policzki. - Tildy coś się stało w oko.

Ty opuścił przednie nogi krzesła na ziemię i powoli wstał.

Zawołał Tildy i kucając przed nią, uniósł delikatnie jej buzię do światła.

Delii przyszło do głowy, że Ty tylko udawał zamroczenie, chociaż niewątpliwie jego wygląd świadczył

o tym, że ostatnio nadużywał alkoholu. Najwyraźniej popijał miarowo od trzech dni ... od jej ślubu.

Przez chwilę pozwoliła sobie na szalone podejrzenie, że to ona jest tego przyczyną. Ta myśl zaparła jej dech w piersiach i przyprawiła o zawrót głowy.

- Mam jęczmień - oznajmiła Tildy.

- Zgadza się, kotku. - Ty ścisnął ją za ramię.

- Potrafisz go usunąć? - Delia postąpiła krok w ich stronę.

Przechylił głowę, obdarzając ją tym swoim czarującym kpiącym uśmiechem, który wprawiał jej serce w przedziwny płas. - Możesz przyjąć, że już go nie ma.

Delia podążyła za Tylerem i Tildy do środka chaty. Rozejrzała się po jej wnętrzu z żywym zainteresowaniem. Dom był zbudowany z ociosanych bali, tak ciasno zestawionych, że nawet ostrze noża nie przecisnęłoby się między nimi. W środku panował miły chłód, ale w zimie zapewne było tu ciepło i przytulnie. Delia wzięła głęboki oddech - powietrze było przesycone orzeźwiającym aromatem sosnowej żywicy i słodkawym zapachem oleju do konserwacji strzelby.

W chacie była tylko jedna przestronna izba z antresolą, na której zauważyła narożnik niskiego łóża z narzuconą nań nie-dźwiedzią skórą. Mimo że dom stał w środku puszczy, jego wyposażenie stanowiły luksusowe, niemal ekstrawaganckie sprzęty - kanapa z rzeźbionym oparciem, dwa krzesła wyściełane adama-szkim, a także serwantka z cynową zastawą za szkłem.

Tyler zgarnął dogasający w kominku żar i dorzucił naręcze szczap. Na haku nad paleniskiem zawiesił

kociołek, cały czas tłumacząc łagodnie Tildy, że będzie musiała trzymać buzię nad miską z wrzątkiem i mrugać mocno tak długo, aż jęczmień pęknie i ropa wypłynie razem ze łzami.

- A czy potem dostanę ciastko? - zainteresowała się Tildy. Niski śmiech Tylera wypełnił

pomieszczenie, wywołując uśmiech na twarzy Delii.

- Doktorze Ty, czy mogę otworzyć skrzynię z zabawkami? - dopytywała się ciekawym głosem dziewczynka.

- Oczywiście.

Tildy bezbłędnie trafiła do marynarskiego kufra z miedzianymi okuciami, stojącego w rogu pokoju.

Kufer przypominał wyglądem skrzynię na pirackie łupy, a ku miłemu zaskoczeniu Delii wypełniały go dziecięce skarby - lalki, lódeczki, piłki i szklane kulki. Tildy z pietyzmem wyjęła ze środka miniaturowy wóz, zaprzężony w dwa wystrugane z drewna woły, i zaczęła ładować do niego małe drewna.

Delia z ciepłym uśmiechem zapatrzyła się na Tylera, który obserwował bawiące się dziecko. Tylko ktoś, kto kocha dzieci, mógł trzymać u siebie zabawki na wypadek wizyty małych gości. Zastanawiała się, dlaczego Ty

dotąd się nie ożenił i nie ma własnych dzieci.

Delia obeszała piękne wnętrze chaty. Stanowiło ono zadziwiająco mieszaninę eleganckich sprzętów z przedmiotami typowymi dla surowego stylu życia mieszkańców osady na skraju puszczy. Na środku stołu stała delikatna kryształowa solniczka i srebrna cukiernica ze szczypczykami, a na tacy zawieszanej nad kominem suszyły się jabłka. Smukły świecznik z kutego żelaza pysznił się na rogu serwantki, a jednocześnie na kołku przy drzwiach wisiała zwykła latarnia z krowiego rogu. Komplet modnych cynowych kufli zgodnie egzystował z leżącą obok glinianą fajką, kapciuchem ze skóry wiewiórki i myśliwskim nożem.

W części pomieszczenia wydzielonej na praktykę lekarską stały słoje aptekarskie i moździerz z tłuczkiem, leżały dziwne, po-nuro wyglądające instrumenty medyczne oraz komplet ostrych lancetów. Delia rozpoznawała niektóre z medykamentów - siarka pomagała na febrę, sproszkowany czosnek łagodził ból zębów, mięta leczyła niestrawność. Zawartość innych słoików znała z wi-
dzenia -

bazylię, korę chinchony, wyciąg z piołunu - ale nie wiedziała, jakie przypadłości leczą. Natrafiła również na substancje, których nie potrafiła ani nazwać, ani rozpoznać.

Na kilku półkach na ścianie stały rzędem książki i foliały o tematyce medycznej. Odczytała tytuły dwóch z nich - Metody leczenia oraz Ziołolecznictwo i medycyna konwencjonalna. Jedną księgę, oprawioną w czerwoną cielęcą skórę, szczególnie przy-
ciągała jej uwagę. Ufna w swą nowo zdobytą umiejętność czytania, zdjęła ją z półki, by zajrzeć do środka, ale wnet okazało się, że litery składają się w słowa, których nie rozumie.

- To po łacinie - niespodziewanie odezwał się Ty. - Na wy-
padek, gdybyś chciała wiedzieć.

Delia okręciła się zaskoczona.

- Pani Bishop uczy mnie czytać - uniosła ramiona w obron-
nym geście.

- Słyszałem. To bardzo cenna umiejętność, gdy się pracuje w polu.

Odwróciła się do niego plecami i rozgniewana, energicznie odstawiała książkę na miejsce.

Już miała odejść od półki, gdy drogę zagroził jej potężny tors Tylera. Zobaczyła, jak mięśnie na jego piersi napięły się na skutek głębokiego oddechu, poczuła woń potu. Mimo że zapach nie wydał jej się przykry, nie darowała mu:

- Przydałaby ci się kąpiel.

Z satysfakcją stwierdziła, że uwaga okazała się celna, bo szczerpłe policzki Tylera oblał rumieniec.

Jego nozdrza wydeły się, usta zacisnęły w wąską linię. Postąpił krok do przodu, przypierając Delię do ściany. Jego biodra naciskały na jej miednicę, dłonie oparte o półkę po obu stronach głowy odebrały jej możliwość manewru. Przybliżył twarz do jej twarzy, tak że widziała pojedyncze włoski kilkudniowego zarostu, mimiczne zmarszczki w kącikach ust i intensywnie niebieską głębię źrenic.

- Co tutaj robisz, dziewczyno?! - wychrypiał. - Po co przyszłaś?

- Tildy ... - Świszczący głos z trudem wydobył się z jej ściśniętego gardła.

- Ummm. - Pokiwał głową powoli i jeszcze bardziej zbliżył twarz. Teraz, nawet oddychając płytko, musiałyby dotknąć ustami Jego warg.

- Nie sądzę, Delio. Myślę, że przyszłaś tu ...

Rozległ się syk pary.

- Doktorze Ty, gotuje się! - zawołała Tildy. - Woda się gotuje! Usta Tylera na sekundę zawisły nad ustami Delii. Potem zaklął pod nosem i odsunął się.

Ty postawił Tildy na stołku i kazał jej nachylić się nad cynową miską do golenia, pełną wrzątku.

Dziewczynka mrugała gwałtownie, trzymając buzię w obłoku pary, i po chwili jęczmień pękł. Ty osuszył jej twarz kawałkiem miękkiego materiału i obejmował powiekę.

- Czy jeszcze boli, Tildy?

- Nie. Mogę teraz dostać ciastko?

Ty wyjął z koszyka na serwantce dwa melasowe herbatniki, a Delia z zazdrością zastanawiała się, która z kobiet z Merry-meeting kosztem wolnego czasu piecze ciasteczka dla Tylera.

Nie było powodu, żeby przedłużać wizytę. Delia wzięła Tildy za rękę i skierowała się do drzwi.

Przyszło jej na myśl, że powinna zapłacić Tylerowi za poradę, ale nie miała przy sobie pieniędzy.

- Powiedz Natowi, ile jest ci winien - rzuciła.

- Dobrze - odparł oschle.

Na zewnątrz zrobiło się jeszcze goręcej. Wilgotne powietrze stało nieruchomo, słychać było chrzęst szarańczy w łozinie nad rzeką.

Przystanęła na werandzie, zbierając się na odwagę, by zadać Tylerowi

pewne pytanie.

Tildy z buzią wypchaną ciastkami ścigała pod schodami czarnego kota. Delia wskazała głową na rzekę i na chatę w kształcie stożka.

- Co to? - zapytała, chociaż nie to pytanie miała na myśli. Popęłniła błąd, spoglądając na Tylera! Stał

na rozstawionych nogach z kciukami zatkniętymi za pas bryczesów. Jego wspaniale wymodelowana pierś unosiła się i opadała w rytm powolnego oddechu. Zmysłowość emanująca z postaci Tylera

kazała jej czym prędzej odwrócić wzrok.

- To wigwam - odpowiedział po chwili. - Moja własna, słodka gawra.

- Och ... - Delia złapała haust powietrza, przełknęła ślinę i westchnęła.

Nie wiedziała, co to "wigwam"

ani "słodka gawra". Wreszcie wydusiła z siebie pytanie, które ją nurtowało.

- Czy obiecałeś Natowi, że kobieta, którą przywieziesz, będzie dziewicą? Zaskoczyła go, ale tylko na chwilę.

- O co chodzi? - uśmiechnął się cynicznie. - Czyżby był zawiedziony?

- Jak śmiesz ... ? - zachłysnęła się.

- A może to on ciebie rozczarował?

Ty zrobił krok i stanął przed nią. Gniew zdawał się bić od niego gorącymi falami.

- Czyżby Nat cię nie zadowolił?

Ich spojrzenia skrzyżowały się, podbródek Delii powędrował do przodu.

- Czy jesteś taki podły wobec wszystkich kobiet, z którymi ... czy to tylko ja wyzwałam w tobie to co najgorsze?

- Och, Delio - zaśmiał się szorstkim, gorzkim śmiechem. - Prawda jest taka, że po prostu ... - Urwał w pół zdania.

- Co "po prostu"?

- Nic. Nat zapytał mnie, czy byłaś dziwką w Bostonie. Wyprowadziłem go z błędu i to wszystko, co mu powiedziałem.

Ledwie słuchała jego wyjaśnień. Była pewna, że o mało nie przyznał się, iż jest zazdrosny. Zazdrosny o nią i Nata? Ta myśl zelektryzowała ją, a jednocześnie zmąciła rozum i obudziła strach.

Tildy wynurzyła się spod schodów, ciągnąc kota za tylne nogi.

Zwierzę opierało się z sykiem i pazurami żłobiło rowki w miękkiej ziemi.

- Chodź, kochanie! - zawołała ją ze śmiechem Delia i obeszła Tylera,

który nie ruszył się z miejsca. -

Musimy wracać do domu. Twój tata potrzebuje pomocy przy sianie.

Przystanęły na skraju polany i obejrzały się za siebie.

- Do widzenia, doktorze Ty! Dziękuję za ciasteczka! - Tildy zamaszycie pokiwała na pożegnanie.

Ty na moment uniósł dłoń. I kiedy tak stał na werandzie pod jaskrawym prażącym słońcem, wydał się Delii bardzo samotny.

- Naprawdę mam spuścić kurczaki przez komin? - Delia patrzyła na Meg z niedowierzaniem.

- Mama zawsze tak go czyściła, kiedy dymił. - Meg pokiwała głową z poważną miną na szczupłej buzi.

- Wiesz, kurczaki machają skrzydłami i wypychają sadzę•

- Kurczaki do komina - potwierdziła Tilda. - Oczy mnie szczypią!

Rzeczywiście kopciło z paleniska. Dym wybijał kosmatymi falami i snuł się po komorze, piekąc w oczy i wyciskając łzy. Dziewczynki i Nat zmuszeni byli skończyć śniadanie na dworze. Ze sposobu, w jaki Nat na nią patrzył, Delia odgadła, że ma pretensje o dymiący komin, chociaż nie bardzo wiedziała, na czym polega jej wina.

Nat poszedł na pole, a Delia nie miała wątpliwości, iż spodziewa się po niej, że samodzielnie upora się z problemem. Po miesiącu małżeństwa nadal była z niej beznadziejna gospodyni.

- Czy ty aby nie stroisz sobie ze mnie żartów? - popatrzyła czujnie na Meg.

Oczy dziewczynki zrobiły się okrągłe ze zdziwienia.

- Oczywiście, że nie - odparła urażona. - Tak robiła mama. Zapytaj tatę.

Delia nie miała ochoty pytać Nata. Atmosfera między nimi była tak napięta, że każda rozmowa kończyła się kłótnią• Ich początkowe onieśmielenie zmieniło się w jawną niechęć. Nat nadal sypiał na derce w składziku. Codziennie, przed zachodem słońca, chodził na wzgórek za oborą i tam przez

godzinę rozmawiał z Mary nad jej grobem.

- No dobrze - powiedziała z wahaniem Delia. - To powiedz mi, co mam robić.

Zgodnie z instrukcją Meg Delia zasypała żar trocinami i zalała wodą. Czarne kłęby dławiącego dymu buchały z kominka, pokrywając sprzęty warstwą sadzy. Delii chciało się płakać z rozpaczy -

będzie musiała posprzątać ten cały bałagan i nie zdąży na lekcję u pani Bishop.

Wyszła na podwórko i zwabiła drób garścią kukurydzy. Złapała jedną z kur za skrzydła i niosła przed sobą w wyciągniętych rękach.

- Co dalej? - zapytała chichoczącą Meg.

Kura wyrywała się, gdacząc przeraźliwie, a Tildy wirowała wokół Delii, piszcząc z radości.

- Weź ją na dach i wpuść do komina.

Delia zadarła głowę i spojrzała na komin sterczący ponad dachem z cedrowych gontów. Głośno przełknęła ślinę _ całe życie cierpiała na lęk wysokości, ale nie mogła się wycofać pod krytycznym spojrzeniem Meg.

- Przynieś mi worek. Nie wdrapię się po drabinie, trzymając tego cholera... ptaka.

W końcu przy pomocy Meg wepchnęła dwie największe kury do worka. Przyniosły razem drabinę z obory i oparły ją o niższą ścianę domu. Delia zzuła buty o śliskich skórzanych podeszwach i na trzęsących się nogach ruszyła w górę po drabinie, mrużąc pod nosem, że powinna mieć więcej rozumu i zostać w Bostonie, bo tam do zatkanych kominów woła się kominiarza.

Ze względu na duże opady śniegu dach był bardzo stromy.

Delia pełzła na czworakach, czepiając się gontów i ciągnąc za sobą podrygujący worek. Cały czas się pilnowała, by nie spojrzeć w dół. Gdy wdrapała się na samą górę, siadła okrakiem na szczytce dachu i zajrzała w głąb komina, ale nie zobaczyła nic oprócz czarnej czeluści.

- Meg! - wrzasnęła do dziewczyny, która nadal stała obok drabiny. - Meg, wejdź do środka! Będziesz łapać kurę!

- Mam łapać kurę?! - odkrzyknęła Meg.

- Tak!

Po chwili wahania Meg zniknęła w domu.

- Delio, nie spadnij! - zawołała Tildy.

- Nie spadnę - zapewniła ją słabym głosem, modląc się do Boga, by miał w opiece biedną dziewczynę z bostońskiego szynku, która przez pomyłkę zawędrowała na farmę w Maine.

Wyjęła z worka nastroszoną, rozgdakaną kurę i spojrzała w głąb komina.

- Gotowa?! - zawołała do Meg, a jej głos zadudnił w kominie i powrócił echem.

Wzięła stłumioną odpowiedź za potwierdzenie. Ściskając uda mi szczyt dachu, nachyliła się nad kominem i z trudem panując nad chęcią zaciśnięcia oczu, wrzuciła kurę do środka. Usłyszała przeraźliwe gdakanie i oszalały trzepot skrzydeł, a potem nagle zrobiło się cicho.

- Meg?!

- Utknęła! Kura utknęła!

Delia odgarnęła z twarzy wilgotne kosmyki. Boże jedyny, Delio, jak mogłaś wpakować się w takie tarapaty!

Zsunęła się ostrożnie z dachu i zeszła po drabinie. Na dole przystanęła na chwilę, rada, że wreszcie ma pod stopami pewny grunt, po czym wbiegła do domu.

- Nic nie słyhać - szepnęła Meg. - Myślisz, że nie żyje?

- Jeżeli tak, to ugotujemy ją na kolację.

- Jak masz zamiar gotować cokolwiek z zapchanym kominem?

To rzeczywiście był problem.

- Wiem - powiedziała Delia. - Popchnę ją czymś.

Wyszła na werandę, by wśród ogrodniczych narzędzi wyszukać odpowiedni sprzęt. Zdecydowała się na motykę.

Wsadziła trzonek motyki do komina, ale nie natrafiła na kurę - Nie sięgnę. Meg, musisz stanąć mi na ramionach i pogrzebać wyżej.

Oczy Meg zrobiły się ogromne, ale skwapliwie pokiwała głową.

Z motyką w dłoni dziewczynka wdrapała się jej na barki. Delia, nachylona, wsunęła się w palenisko i powoli wyprostowała w jego szybie.

- Meg, popchnij teraz porządnie.

Meg wepchnęła motykę wysoko w komin. Kura zaskrzeczała i zatrzepotała skrzydłami, wzbudzając obłok pierza i sadzy.

Nagle ptak zleciał na głowę Meg, zasypując jej twarz sadzą i miałem. Dziewczynka uchyliła się z piskiem i wtedy Delia straciła równowagę. Runęły obie na podłogę, zrzucając miednicę z trójnogu.

Ta z kolei zawadziła o trzonki do siekier, które Nat sezonował przy palenisku, tak że potoczyły się po całej izbie jak rozsypane szpilki. Delia, padając, gruchnęła plecami o podłogę, a Meg wylądowała na niej, pozbawiając ją oddechu.

Delia leżała przez chwilę w bezruchu, walcząc o łyk powietrza, i zastanawiała się, czy się nie udusi, zanim złapie oddech. Nareszcie udało jej się wciągnąć w płuca powietrze. Podciągnęła się na łokciach i spojrzała na wpatrującą się w nią Meg. Dwie pary białek łypały na siebie z dwóch usmolonych twarzy.

- Nic ci nie jest? - wyskrzeczwała Delia.

Meg usiadła, rozcierając czoło.

- Uderzyłam się w głowę - zachichotała, a Delia przygryzła dolną wargę.

Wkrótce ich głośny, histeryczny śmiech wypełnił izbę. Cudem ocalała kura drobiła wokół nich z oburzonym gdakaniem, ciągnąc po podłodze złamane skrzydło.

Nagle doszedł je z podwórka przeraźliwy krzyk Tildy. Obrazy Indian, wilków i tym podobnych okropieństw zawirowały w wyobraźni Delii. Czym prędzej pozbierała się z podłogi i łapiąc za motykę, wybiegła na dwór, a Meg popędziła za nią.

- Koza Nanny! - zawołała na ich widok Tildy, podskakując i pokazując na ogród. - Koza Nanny, tam w ogrodzie!

- Oooch! - zawyła rozsierdzona Delia i z motyką uniesioną nad głową pomknęła do swych cennych upraw, które z takim mozolem pielęgnowała w ostatnich tygodniach.

Miała szczery zamiar dać przeklętej bestii nauczkę, ale najpierw musiała ją dopaść. Ścigała kozę po ogrodzie, a jej furia rosła, w miarę jak ostre kopyta kozy rujnowały resztki tego, co zostało na grzędach ... Nagle do jej wzburzonego umysłu dotarło, że ... słyszy męski śmiech ...

Stała jak wryta i rozejrzała się dokoła. Zobaczyła rozbawionego Tylera Savitcha, który najwyraźniej śmiał się z niej.

Jego widok zaparł jej dech w piersi. Tyler był nagi ... albo powiedzmy, ubrany na tyle, by nie obrazić poczucia przyzwoitości tutejszych mieszkańców. Na nogach miał wysokie mokasyny, wykończone frędzlami w okolicy kolan, na biodrach indiańską przepaskę zakrywającą niezbędne minimum, a smukłe umięśnione uda pozostawały odkryte w całej okazałości. Trzymał przezrzucone przez ramię cielsko jakiegoś ogromnego zwierza o czarnym futrze, którego krew kapłała na jego nagą, śniadą pierś.

Delia znieruchomiała z otwartymi ustami, bo widok tego wspańskiego, półnagiego dzikusa przyprawił ją o suchość w gardle i skurcz w okolicy serca. Gdy zdała sobie sprawę, jaką musi mieć minę, zebrała się w sobie i ruszyła ku niemu, wywijając motyką.

- I czego się śmiejesz, ty ośła głowo?!

- Rety, dziewczyno! - Nie przestawał się śmiać Ty. - Coś ty ostatnio taka zła jak osa?

Jak śmiał oskarżać ją o złość! - wzburzyła się, idąc do niego z groźnie uniesioną motyką. Nie było go

tyle czasu. Co on może wiedzieć o stanie jej ducha?

Gdy znalazła się na tyle blisko, by złapać w nozdrza odór upolowanego zwierzęcia, skrzywiła się z odrazą.

- Fu!

Bezczelne spojrzenie Tylera prześliznęło się po wymykających się spod czepka, potarganych włosach Delii, po jej ściągniętej gniewem, umorusanej twarzy i sunąc po trzonku motyki, który z całej siły przyciskała do pełnych, drżących piersi, zawisło tam na dłużej. A wtedy - Boże jedyny! - jego usta ułożyły się w taki sposób, jakby zamierzał ją pocałować.

Na koniec opuścił wzrok na jej bose stopy i wygiął kąciki ust w lekkim grymasie. Następnie powiódł

oczyma z powrotem ku górze, ale zanim spojrzał jej w twarz, jego wzrok znów zatrzymał się na piersiach.

_ Czyściłaś komin? - zapytał z uśmiechem. - Co ty ... Co tu ... Cholera!

Żacisnęła palce na motyce. Miała ochotę go zdzielić, ale kto wie, czy nie uszkodziłaby tego wspaniałego ciała, więc poprzezstała na pytaniu:

- Co to za cuchnące ścierwo?

_ Pomyślałem, że oboje z Natem chętnie zjecie kawałek mięsa z niedźwiedzia, który tratował wam kukurydzę•

Delia przypomniała sobie, że Nat wspominał o niedźwiedzicy z małym, buszującej na polu po tej stronie rzeki. Popatrzyła z ukosa na wielką bryłę mięsa.

_ Co mam z tym zrobić? - zapytała, marszcząc nos.

_ No cóż - powiedział przeciągle, z rozbrajającym uśmiechem. - Opalisz sierść, ściągniesz skórę i powiesz ją na brzozy palu, a mięso upieczesz nad wielkim ogniskiem i będziecie je jeść.

_ Mam jeść mięso z niedźwiedzia? - zachnęła się Delia. - Nie ma mowy!

Meg przy pomocy Tildy przegoniła wreszcie kozę z ogrodu i teraz obie podbiegły do Delii. Na widok martwego zwierzęcia oczy Tildy zrobiły się okrągłe jak filiżanki.

- Sam pan zabił tego niedźwiedzia, doktorze Ty?

- Tak. Skręciłem mu kark gołymi rękami.

- Ojej! - Oczy dziewczynki stały się jeszcze większe.

- Przestań opowiadać bzdury! - skarciła go Delia.

- A co? Nie wierzysz? - zapytał, unosząc brew.

Kto wie? To całkiem możliwe. Był przecież taki odważny i silny. A w dodatku wychował się wśród Indian.

- Nieprawda! - zaprotestowała.

- Masz rację, mądralo! - Odrzucił głowę i parsknął zaraźliwym śmiechem.

- Dla bezpieczeństwa ukryłem się za skałą i strzeliłem do niedźwiedzicy z

kilkunastu metrów.

Zawtórowała mu śmiechem. Och, jak dobrze było znów na niego patrzeć! Dawno go nie widziała -

ostatni raz w kilka dni po jej weselu. Ciągle liczyła, że zjawi się w domu modlitwy w niedzielę. Ilekroć wybierała się do Merrymeeting, serce zaczęło jej szybciej bić na myśl, że natknie się na niego w domu Bishopów, w sklepie kolonialnym czy przy młynie. Ale nie miała szczęścia. Pozwól mi tylko popatrzeć na niego, Boże - modliła się - Popatrzeć i zamienić choć parę słów.

Kiedy jej modlitwy pozostawały bez odpowiedzi, wmówiła sobie, że tak będzie lepiej. Nie miała prawa myśleć o Tylerze w taki sposób.

- Dziewczynki - odezwał się Ty, nie odrywając oczu od Delii - skoczcie do domu, może znajdzie się jakiś kawałek flaneli, by zawinąć mięso?

Rozświergotane, chętnie spełniły polecenie.

Nagle na łące zrobiło się tak cicho, że Delia usłyszała brzęczenie pszczoł wśród traw. Słońce połyskiwało na niebie jak lane srebro, ciepły, wilgotny wiatr niósł zapach świeżo skoszonego siana.

- Delio, co u ciebie słychać? - zapytał Ty, wpatrując się w nią badawczym wzrokiem, który zdawał się przenikać ją na wskroś.

- Wszystko w porządku ... Tak, tak, w porządku. - Pomyślała, że kiwa głową jak niespełna rozumu, więc czym prędzej się opanowała. Ale trudno było zachować spokój - dopadło ją znajome łomotanie serca, a zamęt w głowie powodował suchość w gardle i pieczenie pod powiekami.

- Czy Nat dobrze cię traktuje?

- Och tak! - skłamała, a właściwie powiedziała półprawdę.

W końcu Nat jej nie bił, ale była to jedyna dobra rzecz między nimi.

- Nat jest teraz nad rzeką, karczkuje nowy kawałek łąki - dodała.

- To dobrze - skinął głową z obojętną miną i przerzucił swój balast na drugi bark, a ścięgnięta na jego umięśnionych przedramionach uwypukliły się z wysiłku. - Chciałbym to zanieść do zimnej spiżarni, jeśli nie masz nic przeciwko temu. Ta zdzira jest naprawdę ciężka - uśmiechnął się kącikami ust.

Delia zarumieniła się, bardziej pod wpływem jego uśmiechu niż z powodu wulgarnego słowa.

Za chałupą stała komórka zadaszona cedrowymi gontami, a w niej studnia ze źródlaną wodą. Delia oparła motykę o ścianę i szarpnęła wrota, które otworzyły się z głośnym piskiem zardzewiałych zawiasów. Chłód

panujący wewnątrz szopy nie przyniósł ulgi jej trawionemu gorączką ciału.

Ty zarzucił tuszę na rozwidlony żelazny hak. Gdy uniósł swe brzemie nad głowę, nabrzmiały mu mięśnie na plecach. Pasma ciemnych włosów kleiły się do wilgotnego karku. Piersi i uda miały

ogorzałe od słońca. Delia zastanawiała się bezwstydnie, czy cały jest taki opalony.

- My, to znaczy Nat i ja, zastanawialiśmy się, dlaczego nie bywasz w domu modlitwy - bąknęła i od razu tego serdecznie pożałowała, bo teraz będzie wiedział, że go tam wypatrywała. - Nie jestem zbyt wierzący. - Odwrócił się do niej z wyzywającym uśmiechem.

- Nie wierzysz w Boga?

- Wierzę w gitche Manitou, który nie jest bogiem, tylko duchem przenikającym całą przyrodę -

wyjaśnił i wyraźnie posmutniał, gdy jego wzrok spoczął na zwłokach niedźwiedzicy. - Dla tego właśnie odśpiewałem duchowi niedźwiedzicy pieśń pojednania i wyjaśniłem, dlaczego musiałem ją zabić.

Ty przepraszałeś ducha niedźwiedzicy? Delia spojrzała na skórzany worek na jego piersi, w którym nosił symbol swego ducha opiekuńczego. On, oświecony lekarz, wierzył w takie pogańskie gusła?

Jaki dziwny z niego człowiek! Pomyślała, czy kiedykolwiek zdoła go zrozumieć. Kto wie, czy on sam był w stanie zrozumieć swą dwoistą naturę!

Ty klęknął przy studni, wyciągnął wiadro wody i wylał je na siebie, by spłukać ślady krwi. Strużki wody spływały po owłosionej piersi i łącząc się w strumień, wsiąkały w przepaskę na biodrach.

Obserwowała jego dłonie, jak sunęły po twardych, napiętych mięśniach, i zapragnęła, by samej obmyć ciało Tylera. Wiedziała, że to zdołała, że grzeszy, ale nic na to nie mogła poradzić.

Zdjęła z gwoźdźnia kawałek płótna, który służył za ręcznik, ale Ty nie wytarł się, tylko zamoczył

szmatkę w wiadrze i podszedł do niej. Zareagowała na jego bliskość zduszonym westchnieniem.

Ty wziął ją za podbródek, odchylił głowę i delikatnie zmywał z jej twarzy sadzę i brud. Z zamkniętymi oczami rozkoszowała się dotykiem jego dłoni tak niewinnym, a jednocześnie tak podniecającym. Jej wielki głód dał o sobie znać gwałtownymi skurczami, gdzieś głęboko w trzewiach. Dusila się z pożądania. Tak bardzo go pragnęła ...

Odkoczyła od niego, tracąc równowagę. Przytrzymał ją za ramię•

- Delio ... ?

- O Boże!

- Czy, jeśli kiedykolwiek będziesz mnie potrzebować, obojętnie z jakiego powodu, nie zawahasz się do mnie przyjść?

To pytanie zaskoczyło ją i wzruszyło zarazem. Ale nie od razu mogła odpowiedzieć. Odchrząknęła i zwilżyła usta ...

- Wiesz, że tak.

Westchnął cicho i pochylił się nad nią. Nie mogła oderwać oczu od jego dolnej wargi - takiej pełnej, zmysłowej, kuszącej

Już odchyłona wyciągała rękę, by przesunąć po niej palcami, gdy drzwi komórki otwały się z łoskotem i do środka wbiegły dziewczynki.

- Doktorze Ty, czy to wystarczy? - pytała zadyszana Meg, machając kawałkiem wyblakłej niebieskiej flaneli.

- Jak najbardziej - odpowiedział nieswoim głosem.

Nogi Delii drżały tak mocno, że musiała się oprzeć o ścianę.

Oboje unikali swego wzroku.

Ty szybko owinał tuszę flanelą i wyszedł z komórki, bo nie było powodu, by dłużej zwlekał z odejściem. Delia w towarzystwie podskakujących dziewczynek odprowadziła go do miejsca, gdzie koleiny wozów, prowadzące do lasu, skręcały ku rzece.

Szli w milczeniu, nie patrząc na siebie. Oboje wiedzieli, że nie uniknęliby pocałunku, gdyby chwilę dłużej pozostali w komórce sami.

A kiedy złączyłyby się ich usta, nic już nie zdołałoby ich powstrzymać.

18

Przebrzmiały ostatnie słowa pieśni Bóg jest naszą opoką, odbite echem o surowe ściany zboru, zaskrzypiały ławy o wysokich oparciach - to członkowie kongregacji zajmowali miejsca.

Promienie gorącego sierpniowego słońca wdzierały się przez czyste szyby nowego zboru. W powietrzu nadal wirował trocinyowy pył. Delia z przerażeniem stwierdziła, że kręci ją w nosie, więc czym prędzej zacisnęła go palcami. Widziała, jak Nat posyła jej karcące spojrzenie spod krzaczastych, płowych brwi.

Spocona z napięcia, odjęła palce od nosa. I wtedy kichnęła siarczyście, wywołując falę stłumionych chichotów i ironiczny grymas Meg. Zerknęła na Nata - teraz patrzył na nią z wyraźną przyganą.

- Delia kichnęła - oznajmiła Tildy teatralnym szeptem, co spotkało się ze szmerem zduszonego śmiechu.

- Ciii - skarcił Tildy Nat, bo wielebny Caleb Hooker wchodził właśnie na ambonę.

Rzeźbiona ambona górowała nad ławami. Wieńczył ją daszek, który odbijając głos mówiącego, miał

go czynić bardziej donośnym, co w przypadku ciepłego barytonu Caleba wcale nie było konieczne.

Niedzielną msza, na którą składały się liturgia, modlitwy, śpiewanie hymnów i czytanie psalmów, trwała dwie godziny. Musieli wytrwać jeszcze przez godzinę. Potem, po wspólnym posiłku w domu parafialnym, nastąpi kolejne dwugodzinne nabożeństwo, które zgromadzi już znacznie mniejszą liczbę wiernych.

Delii zaczynały cierpnąć pośladki, więc wierciła się w ławce, ściągając na siebie kolejne, pełne dezaprobaty spojrzenie Nata. Westchnęła ciężko. Wiedziała, że w drodze do domu czeka ją kazanie, które Nat zawsze kończył sakramentalnym zdaniem, że jego Mary nigdy by sobie na coś takiego nie pozwoliła.

Caleb odchrząknął, odwrócił klepsydrę i zaczął mówić. Delia wyłączyła się i dla zabicia czasu podglądała, jak zdrętwiali od zbyt długiego siedzenia członkowie Kongregacji Świętych Pańskich w Merrymeeting zmagają się z ogarniającą ich sennością.

Constant Hill, właściciel młyna, który zazwyczaj zbierał na tacę, przechadzał się między rzędami z długą tyczką zakończoną futrzaną kitką, służącą do budzenia drzemiących wiernych. Delia zauważyła, że w ten duszny letni poranek Constant ma pełne ręce roboty. Gdy Sarze Kemble opadła głowa, a z jej mięsistych warg wydobyło się chrapanie, Delia z całej siły przygryzła po-liczek, by opanować atak śmiechu.

Kiedy przewielebny Caleb, zawile tłumacząc istotę grzechu, doszedł właśnie do nierządu i wierni jakby nieco się ożywili, ich uwagę rozproszyło skrzypnięcie drzwi. Wszystkie głowy obróciły się do tyłu, wszystkie usta zawisły półotwarte. Zdziwiona i ura-dowana Delia bezwiednie krzyknęła.

Na progu stał Tyler Savitch, wystrojony w szkarłatny surdut, brokatową kamizelkę i bryczesy w kolorze mchu. Koronkowe mankiety koszuli wystawały spod rękawów surduta, a żabot ka-śkadą koronek opadał na pierś. Stroju dopełniały wysokie buty z miękkiej czarnej skóry, opinające kształtne łydki.

Wcale nie speszony, że wszystkie oczy są skierowane na niego, rozglądał się nieśpiesznie i serce Delii podskoczyło, gdy odkryła, że jego wzrok zatrzymał się właśnie na niej. Może było to złu-dzenie, ale miała wrażenie, że Ty posłał jej krótkie, wymowne spojrzenie, i to wystarczyło, by po jej ciele przebiegła fala gorąca. Potem obdarzył gapiących się na niego wiernych rozbajającym, nieco łobuzerskim uśmiechem i usiadł w ostatniej ławce. Ciszę zburzył szmer rozmów, wszyscy odwracali się do sąsiadów, by wymienić szeptane uwagi.

- Hmm, hmm. - Niski głos Caleba przebił się przez gwar. *Doktorze Savitch, jesteśmy dumni, że aczkolwiek dość późno, jednak zdecydował się pan zaszczyścić nas swą obecnością ...* tu Caleb uśmiechnął się szeroko, a paru zebranych zawtórowa-ło mu śmiechem. - Ale czy pozwoli pan, bym kontynuował ka-żanie?

- Amen, wielebny - zadudnił radośnie Ty.

Ludziska ryknęli śmiechem, tylko Sara Kemble prychnęła obu-rzona.

Caleb z poważną miną podjął przerwany wątek. Czas ciągnął się niemożliwie. Delia nie rozumiała, skąd bierze siłę woli, by nie obrócić się i nie spojrzeć na Tylera. Siedziała sztywno i wkrót-ce rozboleły ją napięte mięśnie ramion i karku.

Nareszcie rozwlekła msza dobiegła końca. Constant, pełniący funkcję kościelnego, otworzył drzwi i ludzie zaczęli wylewać się na rozpalony

słońcem dziedziniec. Caleb wymieniał przy wyjściu grzeczności ze swymi owieczkami. Delia, chcąc zostać w tyle za Natem i dziewczynkami, przysiadła na brzegu ławki w ostatnim rzędzie i udawała, że poprawia coś przy obcasie trzewików. Nagle na myśl o spotkaniu twarz w twarz z Tylerem opuściła ją odwaga. Dwa razy znalazła się w jego pobliżu po swoim ślubie i w obydwu przypadkach wyszła na idiotkę; postanowiła więcej do tego nie dopuścić.

Nic się nie może stać - zapewniała się w duchu. Nic nie może się wydarzyć w obecności całej osady.

Jego uśmiech stopi ci serce. A jeśli się zaśmieje, krew zaszumi ci w żyłach. Może cię dotknąć, chociażby przypadkiem, i wtedy padniesz bez życia u jego stóp - podpowiadała jej intuicja.

- Delio, dobrze się czujesz?

Spłoszona podniosła głowę ... i spojrzała prosto w zatroskaną twarz wielbego Caleba Hookera.

Wysiliła się na promienny uśmiech, aby ukryć rozczarowanie, że to nie ten mężczyzna podszedł

zapytać o jej samopoczucie. - Och tak, pastorze. Zbieram się, by wyjść na tę spiekotę.

- Tak, tak, żar się dziś z nieba leje - przyznał Caleb i usiadł obok niej. - Delio - uśmiechnął się do niej nieśmiało i jakby z pewnym wahaniem. - Chciałbym z tobą porozmawiać ...

Poczuła suchość w gardle. Kiwnęła głową, przekonana, że udzieli jej reprimendy za 'to, iż jako mężatka zachowuje się skandalicznie, bezwstydnie wodząc oczyma za lekarzem stanu wolnego z Merrymeeting.

- Chodzi o moje kazania.

Odetchnęła uspokojona.

- Pp-ańskie kazania? Naprawdę nie zasnąłam tym razem. Szczerze. Może trochę nie uważałam, ale to wszystko przez ten upał. Ja ... - Nie przejmowała się, że mówi bzdury, bo czuła wielką ulgę.

- No właśnie, Delio! - zaśmiał się Caleb, odrzucając głowę do tyłu. - Właśnie w tym rzecz. Ty masz takie praktyczne po-dejście. Myślę ... mam wrażenie, że moje owieczki z Merrymeeting są nieco

rozczarowane kazaniem, które dla nich przygotowuję. Może mogłabyś mi podpowiedzieć, jak temu zaradzić?

Delia przygryzła wargę, dumając, czy podzielić się swoimi uwagami.

- Cóż, tak sobie myślę ...

- Śmiało, Delio. Oświeć mnie swoją mądrością.

Delia spostrzegła w drzwiach Tylera i pułkownika Bishopa.

Słyszała, jak pułkownik prosi o radę w związku z męczącymi go problemami jelitowymi, a Ty zaleca mu herbatkę z suszonych śliwek.

- Cóż ... - zaczęła z westchnieniem, uśmiechając się do Caleba. - Tak na mój rozum, to znaczy, gdybym była na pańskim miejscu, więcej straszyłabym ogniem piekielnym i Sądem Ostatecznym, a mniej mówiłabym o tych uczonych sprawach, które studiował pan na Harvardzie.

- Aha, rozumiem ... - Caleb z powagą pokiwał głową, choć kąciki ust zadrgały mu od tłumionego śmiechu. - I niech pan wymienia nazwiska.

- Nazwiska?

- Tak - zamasyście pokiwała głową. - Ludzie przychodzą na mszę nie tylko po rozgrzeszenie, ale i po to, żeby się spotkać i poplotkować. Więc niech pan, pastorze, wspomni na przykład, że Hannah Randolph spodziewa się dziecka w przyszłym miesiącu i że Randolphowie, którzy mają siedmiu synów, modlą się o dziewczynkę. Albo że kapitan Abbott przywiózł wczoraj nową partię francuskiego sukna czy też że upłynęły dobre dwa miesiące, odkąd doktor Savitch zrobił mi tę ino ... no ukłuł mnie lancetem.

- Inokulację - podpowiedział Ty, wyrastając obok.

- No właśnie. - Ciągle jeszcze zaskoczona niespodziewanym szczęściem, Delia zawisła wzrokiem na jego twarzy, kompletnie zapominając o swym wcześniejszym postanowieniu. - I nie padłam od tego trupem - uśmiechnęła się promiennie, unoszona radością. - Ani też nie zaraziłam się ospą.

- Zaczynam rozumieć, co masz na myśli - powiedział Caleb, po czym wstał i ściskając dłoń Tylera, dodał ze śmiechem: _

Dzisiaj, na przykład, powinienem ogłosić, że nasz znakomity doktor doznał łaski nawrócenia.

- To mogłoby się okazać nieco pochopne, pastorze - ostrzegł go roześmiany Ty.

Jego wzrok pieścił twarz Delii. Oczy obojga przesyłały sobie sekretną informację o radości ze spotkania.

Ale czy na pewno dobrze odczytuje jego wzrok? Dotąd niebieskie oczy Tylera ciemniały na jej widok z pożądania. Z pożądania i niezaspokojonej chuci. A tym razem gotowa była przyśięgnąć, że to, co w nich widzi, jest ...

Delio McQuaid! Ty kapuściany głąbie, co też ci chodzi po głowie!

Dość już naponiżała się w przeszłości, kiedy to przypisywała mu uczucia, jakich nie było. Jej serce nie wytrzymałoby kolejnego zawodu. A poza tym

była mężatką. Nawet myśli o Tylerze jako o przyjacielu były niewłaściwe. Jednak gdy spojrział na nią po raz drugi, omal nie utonęła w parzącej głębi jego oczu koloru indygo.

To wszystko było nie tylko niestosowne, ale też ponad jej siły, więc by oderwać od niego wzrok, zwróciła się do Caleba:

- Mam jeszcze jeden pomysł.

- Ho, ho, pastarze. Następnym razem Delia napisze za pana całe kazanie - zażartował Ty.

- Co może nie byłoby takie złe - całkiem serio odpowiedział Caleb.

Pułkownik Bishop przywołał Caleba od progu. Delia wiedziała, że wbrew swym dobrym intencjom zostanie sam na sam z Tylerem. Ale przecież tu, w kościele, nic jej nie grozi?!

- Nie przejmuj się, mądralo - uspokoił ją Ty, jakby czytając w jej myślach. - Przyrzekłem sobie solennie, że będę się dzisiaj zachowywać bez zarzutu - uśmiechnął się łobuzersko i podał jej ramię. -

Dołączymy do towarzystwa i rozejrzemy się za czymś do zjedzenia? Dobre zachowanie jest cholernie trudne, poza tym umieram z głodu.

Delia podniosła się i oparła dłoń na jego ramieniu.

- Doktorze Savitch, to wstyd tak przeklinać w kościele! Gdy poczuła pod palcami ciepłą miękkość materiału, a pod

nim sprężyste, muskularne ciało, zrozumiała, że dotykając Tylera nawet w ten niewinny sposób, popełniła błąd. Cofnęła rękę i odstąpiła o krok.

- Delio ...

Czekała na dalszy ciąg z bijącym sercem i szumem w głowie.

- Czy skosztowałaś już mojego niedźwiedzia? - zapytał, rozciągając usta we flegmatycznym uśmiechu, który sprawił, że zrobiło się jej ciepło w okolicy serca.

- Oszalałeś? - Wzruszyła ramionami, szeroko otwierając oczy. - Nie dotknę tego cuchnącego mięsa!

Ty wybuchnął śmiechem, a jej zaczęła szybciej krążyć krew. Lecz kiedy otoczył ją w talii ramieniem, by poprowadzić nawą do drzwi, wbrew swoim obawom nie rozsypała się na kawałeczki u jego stóp.

Ku swej wielkiej uldze spstrzegła Annę Bishop, więc czym prędzej wyzwoliła się z przyprowadzającego ją o gorączkę i drżenie uścisku Tylera.

- Anno! Tak bardzo chciałam się z tobą zobaczyć! - zawołała z udawaną wesołością.

Równie zadowolona ze spotkania Anna zrobiła srogą minę.

- Czy przeczytałaś Eseje Bacona? - zapytała.
- No, nie do końca. - Delia wbiła wzrok w noski swoich trzewików. -
Byłam trochę zajęta ...
- Zajęta wysługiwaniem się mężusiowi i jego niewdzięcznym córuniom! -
prychnęła Anna.
Delia zamknęła w dłoniach żylaste ramiona przyjaciółki.
- Anno, przestań gderać i posłuchaj, co mam do powiedzenia. Przyszedł
mi do głowy wspaniały pomysł!
Anna i Ty porozumiewawczo wzniesli oczy. W odpowiedzi Delia udawała
oburzenie.
- To naprawdę doskonały pomysł. Wymyśliłam, że pokierujesz szkołą w
Merrymeeting!
- Przecież jestem kobietą! - Zaskoczona Anna uniosła ramiona.
- No to co? Założę się, że żaden mężczyzna w Merrymeeting nie dorasta
ci do pięt. Nie mamy nikogo, a dzieci z dnia na dzień robią się coraz starsze.
A w dodatku Merrymeeting przestałoby płacić Bostonowi dziesięciofuntowe
grzywny za brak szkoły.
Anna i Ty wymienili spojrzenia.
- Jak dotąd w żadnym mieście kobieta nie zajmowała stanowiska
dyrektora szkoły - oponowała Anna, ale jej oczy rozbłyły z podniecenia.
- To prawda - powiedział z uśmiechem Ty. - Lecz nie sądzę, by istniało
prawo, które tego zabrania.
- Bo nikomu nie przyszło do głowy, ażeby je ustanowić - fuknęła Anna. -
Poza tym nasi ludzie są bardzo konserwatywni i niechętnie łamią uświęcone
zwyczaje.
- To też prawda - przytaknął Ty.
- Ty, porozmawiaj z ludźmi - wtrąciła Delia, a z jej spojrzenia biła wiara
w jego nieograniczone możliwości.
- Zaraz, chwilę ... - Uśmiech Tylera nieco przybladł.
- Ale z drugiej strony umiem więcej niż ktokolwiek w Maine, czy to
będzie mężczyzna, kobieta czy Indianin - skonstatowała Anna.
- I znowu masz rację - przyznał, śmiejąc się, Ty. - No, chyba że Delia cię
prześcignie.
- Myślę, że porozmawiam z Gilesem - postanowiła Anna. - Tak jest!
Tylko że on się nie zgodzi. On ma tyle rozumu, co kot napłakał. Nie, nie, ja
mu to po prostu oznajmię, tak jakby wszystko już zostało postanowione i
uzgodnione!

Ożywione głosy i smakowity aromat pieczonej kukurydzy płynęły przez uchylone drzwi domu

parafialnego. Zatopiona w myślach Anna weszła do środka i kręcąc głową, mruczała coś pod nosem o elementarzach, rysikach i tabliczkach.

Delia odwróciła się do Tylera, który patrzył na nią z dziwnym wyrazem twarzy.

- Co tak się przyglądasz? - zapytała, czerwieniąc się

- Czasami mnie zdumiewasz, Delio.

- Nie gap się. Nie wypada - prychnęła, naśladując Annę i podążyła za swą starszą przyjaciółką

- Aleś zabił ogromnego niedźwiedzia, Ty! - powiedział z uznaniem Sam Randolph. Toczył właśnie szczebelki do łóżeczka. Przy jego rosnącej jak grzyby po deszczu rodzinie co rusz potrzebne były nowe łóżka. - Bestia musiała być wielka jak góra!

- Bardzo możliwe - uśmiechnął się Ty, zaciskając zęby na ustniku fajki. - Ale szczerze mówiąc, tak się bałem, że przez cały czas miałem zamknięte oczy.

Pozostali mężczyźni śmiali się i kiwali głowami. Doskonale wiedzieli, że Tyler Savitch nigdy nie trafiłby w niedźwiedzia, gdyby ze strachu zaciskał oczy, ale prawdziwy mieszkaniec Maine nigdy nie przechwalał się swoimi dokonaniem. Pozwalał, by robili to za niego przyjaciele.

Ty nachylił się i szczypcami wyciągnął z kominka rozżarzone drewno. Przyłożył je do fajki i rozejrzał się po drugiej stronie izby, gdzie zgromadziły się kobiety. Delia przysiadła obok Elizabeth i patrzyła, jak ta przedzie na kołowrotku. Po raz setny tego dnia ich spojrzenia zetknęły się i ... rozstały.

Elizabeth Hooker chwyciła wrzeciono, zakręciła kołem i cofnęła się o krok, by fachowym okiem sprawdzić naprężenie włókna. Delia przyglądała się jej zręcznym, szybkim ruchom, zaciskając usta i marszcząc czoło w skupieniu. Nawet z taką miną podobała się Tylerowi.

A wydała mu się jeszcze piękniejsza, gdy w odpowiedzi na przytyk Hannah Randolph odrzuciła głowę i zaśmiała się perliście, rozchylając wargi. Ty wiedział, że chociaż z początku nie było jej łatwo, powoli zdobywała akceptację kobiet z Merrymeeting. Jej odwaga i determinacja napawały go dumą.

Nie ma co udawać, przyszedł na wieczornicę tylko ze względu na nią. Oczywiście, wmawiał sobie, że przywiodło go poczucie odpowiedzialności za Delię, chciał sprawdzić, czy jest szczęśliwa i czy Nat Parkes dobrze ją

traktuje. Musiał wiedzieć, czy półtora miesiąca po ślubie zdołała pokochać swojego męża. I czy Nat się w niej zakochał. A jeśli tak się stało, może łatwiej przyjdzie mu o niej zapomnieć?

Akurat!

Za każdym razem, gdy Delia zwracała się do Nata, Ty czuł skurcz w okolicach żołądka, a gdy uśmiechała się do męża, kipiał gniewem i bezwiednie zaciskał dłonie w pięści. W pewnej chwili, podczas wieczerzy, Delia przechyliła się do Nata, położyła mu rękę na barku i wsparta biustem o jego ramię, szepnęła mu do ucha coś, co wywołało rumieńce na jego surowej twarzy. Ty o mało nie zerwał

się z miejsca, żeby udusić _ nie Nata, lecz właśnie ją! Zacisnąć palce najej szyi i krzyknąć: “Cholera, Delio! Nie kochasz go! To mnie masz kochać! Słyszysz? Mnie!”

Jezu, co ona mu takiego powiedziała, że się zaczerwienił? Czy to była aluzja do igraszek w małżeńskiej sypialni?

Ciągle nie mógł wymazać z pamięci obrazu Delii w ramionach Nata tamtej nocy po ich ślubie. Gdy leżał w pustym łóżku w dłu-gie bezsenne godziny, jego żądze i palącą zazdrość podsycaly obrazy podsuwane przez wyobraźnię. Widział w nich podnieco-nego Nata wciskającego się między uda Delii, ssącego jej piersi, buszującego językiem w jej ustach. A kiedy czuł się szczególnie samotny i opuszczony, posuwał się jeszcze dalej w swych roje-niach. To on zajmował miejsce Nata. I podniecony do granic wytrzymałości, kochał się namiętnie z wyimaginowaną Delią, aż osiągał spełnienie i wewnątrz chaty wypełniał jego urwany krzyk.

Żadna kobieta tak na niego nie działała, więc dlaczego akurat ona? Dlaczego to musiała być Delia McQuaid - popychadło z szynku, zadziorna, niespełna osiemnastoletnia smarkuła ze skłonnością do popadania w tarapaty? Czemu to akurat jej uśmiech, jej oczy i jej śmiech go prześladowały, skoro

nigdy nie zdarzyło się tak w przypadku innych kobiet? Nawet jako żona innego mężczyzny nie dawała mu wytchnienia za dnia i dręczyła w nocy. Dlaczego, do diabła, nie zostawi go w spokoju?!

Mimo buntowniczych myśli jej osoba bez przerwy przyciągała jego wzrok i wabiła ku sobie. Ale nie widział w niej statecznej żony farmera w czepcu na głowie i w fartuchu narzuconym na sutą spódnicę.

Delia, jaką zapamiętał z lasu w Falmouth, leżała nago na jego koszuli, z rozsypanymi włosami i zachęcająco roz-suniętymi udami ...

- Czy pan sądzi, doktorze, że zostali pokonani?

- Słucham? - Ty drgnął, wyrwany z zadumy.

Obadiah Kemble wyczekująco wpatrywał się w niego małymi oczkami.

- Mówiłem, że Abenakowie od trzech lat nie wykopują topora wojennego. Zastanawiam się, czy to dlatego, że pogodzili się z przegraną.

- Eee tam. - Sam Randolf z powątpiewaniem potrząsnął rudą, kudłatą głową. - Wiem, doktorze, że spędził pan dzieciństwo wśród Indianców, ale musi pan przyznać, że aby ich pokonać, trzeba ich najpierw zabić.

- W języku Indian nie ma słowa "kapitulacja" - zaczął rozkojarzony Ty. Po raz pierwszy bolesne ćmienie w okolicy serca nie było związane z wrogością osadników w stosunku do ludu, który ukochał.

To Delia nadal zaprzętała jego myśli. - Ale Abenakowie mają kilka odpowiedników słowa "pokój" -

zakończył, chociaż z góry wiedział, że przekonywanie do zawarcia rozejmu na niewiele się zda.

I rzeczywiście, wszyscy mężczyźni, z wyjątkiem Caleba Hoo-kera, kręcili głowami i wymieniali mrukliwe uwagi. W Maine nie było prawdziwego spokoju, odkąd sto lat temu pierwsze żaglowce Anglików pojawiły się na linii wybrzeża.

Nat Parkes, który z ponurą miną dłubał w zębach, spojrzął spode łba na Tylera.

- Nie będzie pokoju, dopóki nie zginie ostatni z Abenaków. Albo oni, albo my - powiedział głośno to, co inni myśleli.

Z początku Delia musiała wyteżać słuch, by pochwycić strzępki rozmowy. Teraz kobiety milkły jedna po drugiej, słysząc, że dyskusja dotyczy zagrożenia ze strony Indian.

- To wstyd, że doktor Savitch broni tego pomiotu szatana! Ale czego można się spodziewać po dziecku kobiety, która pozwoliła się porwać tym dzikusom! - zawołała Sara Kemble, kręcąc głową z taką energią, aż podskakiwały wstążki przy jej monstrualnym czepcu.

- Pani tak mówi, jakby ona poszła dobrowolnie! - uniosła się Delia.

- Żyła wśród nich, tak? I zgodziła się, by jeden z nich zrobił z niej swoją squaw. Przyzwoita kobieta wybrałaby śmierć.

- Samobójstwo jest grzechem - zauważyła ze spokojem Eli-zabeth.

Delia spojrzała na nią ze zdziwieniem, bo żona pastora rzadko zabierała głos w kobiecych dyskusjach, woląc zatrzymać swoje sądy dla siebie. W dodatku jeszcze do niedawna na najmniejszą wzmiankę o Indianach

Elizabeth niemal mdlała ze strachu.

- Mój Sam ma rację - odezwała się Hannah Randolph, pocierając nerwowo swój ogromny brzuch. -

Dawno nie mieliśmy kłopotów z Indianami. Obyśmy nie stracili czujności. Pamiętajcie, jak ostatnim razem ... - Przygryzła wargę, nie kończąc zdania.

Wszyscy jak na komendę spojrzeli na Annę Bishop. Jej zapadnięte policzki zrobiły się białe jak ściana, a kącik ust zadrgał nerwowo.

- Anno? - Delia, zaniepokojona wyglądem przyjaciółki, wyciągnęła do niej rękę.

Anna wstała raptownie, przewracając krzesło, i wybiegła z domu. Delia ruszyła za nią, ale Hannah Randolph przytrzymała ją za ramię.

- Chyba lepiej zostawić ją samą•

- Ale ...

- Te dzikusy pojmały jej ostatniego syna i zamęczyły na śmierć - wyjaśniła jadowicie. - Trzy lata temu,

tu, w Merrymee-ting. Ostrzeżono nas w porę, ale Willy Bishop poszedł do lasu tropem łosia i złapali go za palisadę. Anna, pułkownik i my wszyscy to widzieliśmy. Na naszych oczach przywiązali nagiego chłopaka do krzyża i dźgali go nożami. A potem w rany wtykali płonące sosnowe drzazgi. I tak bez końca. Biedak krzyczał i krzyczał, a my nie mogliśmy nawet skrócić jego męki, bo był poza zasięgiem muszkietu.

- O Boże! - Delii zrobiło się słabo. Zacisnęła powieki, ale czym prędzej je uniosła, bo usłyszała głuchy łoskot.

To Elizabeth Hooker padła na ziemię zemdlona.

Caleb i Delia zerwali się z miejsc jednocześnie, gdy Ty pojawił się w drzwiach sypialni.

- C-co z nią? - zapytał młody pastor zduszonym głosem.

- Zasnęła - odparł Ty. - Calebie, ona po prostu zemdlła. Nie ma powodu do niepokoju.

Caleb pokiwał głową, nerwowo przełykając ślinę. Potem wsunął się na palcach do sypialni i zamknął za sobą drzwi.

Ty i Delia spojrzeli na siebie. Sprawiali takie wrażenie, jakby każde z nich chciało odczytać myśli drugiego, starannie maskując własne.

- Co się właściwie stało? - zapytał w końcu Ty.

- Sarze Kemble powinno się uciąć język - wycedziła Delia. -

Opowiedziała nam o synu Anny. Ty, czy ...

ci twoi ludzie z ple-mienia Abenaki naprawdę są tacy okrutni?

- Czasami. - Zadrżał mu mięsień na policzku.

Ty cierpiał. Poznawała to po jego zaciśniętych ustach, zamglo-nym spojrzeniu pociemniałych źrenic.

Miała ochotę przytulić jego głowę do piersi i pocieszyć go.

Delio, ty idiotko! Ten mężczyzna woli się trzymać od ciebie z daleka, bo wprawiasz go w zakłopotanie, wodząc za nim cie-lęcym wzrokiem. Więc uważaj, co robisz. Na wszelki wypadek ukryła uczucia pod groźną miną.

Ty dał się zwieść pionowej zmarszczce na jej czole.

- O co chodzi, Delio? - zapytał, krzywiąc twarz w gorzkim uśmiechu. - Czyżbyś litowała się nade mną, bo jako dziecko byłem świadkiem takich okropności? A może myślisz, że sam też brałem w nich udział?

- A brałeś?

- Jakie to ma znaczenie? - Potrząsnął głową z zaciśniętymi ustami. - Och, Delio, ciy naprawdę jesteś tą samą dziewczką z szyn-ku, która na kolanach błagała o moją miłość? A może, mądralo, myślisz, że nie jestem dla ciebie dość dobry?

Ścisnęło ją w gardle. Jego słowa zraniły ją do żywego. Bez-wiednie przycisnęła dłoń do piersi, jakby chciała uśmierzyć ból.

- Ty - wysunęła powoli drżący podbródek - jestem mężatką. I nic nie myślę na twój temat.

Oczy pociemniały mu jeszcze bardziej. Teraz przypominały twarde, gładkie kamienie.

- Chcesz powiedzieć, że kochasz Nata? - Złapał ją za ramię, wbijając palce w ciało.

- Puść. To boli.

Nasilił uścisk. Poczowała łzy w oczach.

- Nie odpowiedziałas na moje pytanie. - Zaciskał zęby, aż pulsowały mięśnie żuchwy. - Kochasz Nata?

- Jest moim mężem.

Wyprostował się gwałtownie, rozdymając nozdrza. Odrzucił jej rękę, jakby nagle zaczęła go parzyć.

Okręcił się na obcasie wysokich butów i szarpnął za klamkę. Potem usuwając się z pro-gu z ironiczną galanterią, szarmanckim gestem wskazał jej drogę.

- Pani Parkes, powinna pani wrócić do domu parafialnego.

Pani mąż zastanawia się zapewne, gdzie pani zniknęła.

Przeszła przez drzwi z wysoko uniesioną głową. Na dworze zerwał się wiatr. Szarpał jej spódnicą i owijając ją wokół nóg. Nat zaprzęgał klacz przed domem parafialnym, bo Caleb Hooker odwołał

wieczorne nabożeństwo. Zbierało się na burzę. Ciężkie, szare chmury wisiały nad odległymi górami. Z

miotanych wiatrem wierzchołków sosen podrywały się stada dzikich kaczek i znikwały na horyzoncie, uciekając przed nadchodzącym deszczem.

Delia przystanąła na ostatnim stopniu i obróciła się, by spojrzeć na Tylera. Ramię w miejscu, gdzie ją schwycił, nie przestawało pulsować.

- Do widzenia, Ty! - Z jakim bólem przyszło jej wymówić te słowa!

Jeszcze silniejszy ból sprawiła jego chłodna, obojętna odpowiedź.

- Do widzenia, Delio!

Odwróciła się od niego z wyprostowanymi ramionami. Gdy weszła na drogę, lunął rzęsisty deszcz.

Wilgotna ziemia parowała z gorąca.

19

Koło wirowało z monotonnym szumem. Elizabeth cofała się drobnymi kroczkami, podtrzymując drgającą, skręcającą się nicią. Potem prędko wracała do kołowrotka, by pozwolić nici nawinąć się na wrzeciono. I tak na zmianę: parę kroków do tyłu, skok do przodu. Nie przerywała pracy. Nicią nawijała się na wrzeciono, a jednostajny szum wirującego koła usypiał jej zmysły, odgrażdżając ją od rzeczywistości, od zewnętrznego świata ...

Dopiero za drugim razem usłyszała pukanie do drzwi. Zatrzymała koło, niezadowolona z wizyty. A może gdyby nie otworzyła, intruz poszedłby sobie?

Rozległo się kolejne, bardziej natarczywe pukanie. Uchyliła drzwi i wyjrzała przez szparę.

- A, to pan, doktorze Savitch! - Szczerze ucieszona, otworzyła drzwi na oścież.

Ty wszedł do wymuszkanej kuchni Elizabeth. Rozejrzał się wokół siebie, przesuwając wzrokiem po wypolerowanych mosiężnych rondlach, miedzianym imbryku, porcelanie ustawionej na kredensie i kołowrotku z kłębkami przędzy na wrzecionie. Na koniec uśmiechnął się do Elizabeth. Zauważyła, że Ty trzymasz lekarski kuferek.

- Ktoś w Merrymeeting zachorował, doktorze?

- Nie. Przyszedłem specjalnie do pani.

- Do mnie? - zapytała z nerwowym uśmiechem. - Och! Pewnie dlatego, że wczoraj zemdlałam! Ale już się dobrze czuję, naprawdę. Napije się pan herbaty?

Ty usiadł na obciążonym skórą krześle.

- Z przyjemnością. Pomyślałem, że może ma pani ochotę porozmawiać o przyczynie omdlenia.

- To przez tę rozmowę ... o Indianach. - Ręka Elizabeth zaдрżała, gdy podnosiła czajnik.

- Uhm. A ile czasu minęło od ostatniego krwawienia?

Czajnik z brzękiem spadł na podłogę, pokrywka potoczyła się pod stół. Gorący rumieniec oblał jej twarz - jak śmie pytać o takie intymne sprawy!

Jego silne dłonie podtrzymały ją za ramiona, zobaczyła na sobie zatroskany wzrok. Obdarzył ją łagodnym, pełnym zrozumienia uśmiechem,

który w dziwny sposób rozwiązał jej zakłopotanie.

- Niech pani usiądzie. Ja zrobię herbatę.

Siadła posłusznie, splatając dłonie na stole.

- Ostatnio miewam rano mdłości - wyznała prawie szeptem. - A to, o co pan pytał, nie zdarzyło się od dwóch miesięcy. Czy sądzi pan, że jestem przy nadziei?

- Myślę, że to wielce prawdopodobne - roześmiał się cicho. Dziecko! Będzie miała dziecko! Nie bardzo potrafiła określić, co czuje. Wiedziała, że Caleb będzie zachwycony. A ona ... Ona chyba trochę się bała.

Ty przykucnął przy niej i wziął ją za rękę.

- Czy pozwoli się pani zbadać?

- Czy będzie pan ... mnie dotykał?

- Trochę. Nie musi się pani rozbierać.

Patrzył jej prosto w oczy. Źrenice miał intensywnie niebieskie, bardziej niebieskie niż woda w zatoce.

Jego wzrok przeszywał ją na wylot, miała wrażenie, że Savitch czyta w jej oczach to, co trzymała tylko dla siebie.

Zestawił ze stołu solniczkę i cukiernicę, zabrał nożyczki. Po-mógł jej ułożyć się na stole. Wsunął rękę pod spódnice i koszulę. Podskoczyła, gdy dotknął skóry na brzuchu.

- Przepraszam, powinienem najpierw ogrzać dłonie nad ko-minkiem - powiedział z uprzejmym uśmiechem.

Potrząsnęła głową, przygryzając usta. Tak mocno napinała mięśnie, że aż bolało. Ale pod dotykiem jego dłoni napięcie stopniowo ustępowało, jak gdyby uśmierzał ból, z którego obec-ności nie zdawała sobie sprawy. Krew krążyła w rozluźnionym

ciele, szumiąc kojąco jak koło jej kołowrotka. Pomyślała nawet, że to ona jest tym kółem i wiruje, wiruje, wiruje ...

Zorientowała się, że zakończył badanie dopiero wtedy, kiedy otworzyła oczy. Patrzył na nią, wyginając kąciki ust w lekkim uśmiechu.

_ Nasze podejrzenia były słuszne, pani Hooker. Jest pani w ciąży.

_ Wyciągnął rękę, pomógł jej wstać.

_ Woda się gotuje. Napijemy się herbaty? Czy ma pani korę sassafrasu? Bardzo dobrze dziab na poranne mdłości.

pokiwała głową. Teraz, gdy było po wszystkim, poczuła się bardzo

zażenowana. Dotąd tylko jeden mężczyzna - jej mąż - dotykał jej w taki intymny sposób. I pomyśleć, że dotyk dłoni Savitcha sprawił

jej przyjemność! W przerażenie wprawiała ją myśl, że może zakochała się w doktorze. Zerknęła na jego przyśtojną twarz, kiedy odwrócił się do niej z imbrykiem w dłoni, i zaśmiała się w duchu z własnej głupoty. Czowała do niego sympatię, bo był dobry i taktowny, ale serce nie biło jej szybciej, tak jak wtedy, gdy patrzyła w drogą twarz Caleba.

Z tego wszystkiego o mało nie zaczęła chichotać. Bez wątpienia ma to związek z jej stanem. Stąd te dziwaczne pomysły.

Doktor nalał herbatę do dwóch ślicznych filiżanek z jej białoniebieskiego serwisu, odłupał

kawałeczek cukrowej głowy i wrzucił go do herbaty Elizabeth. Właśnie unosiła filiżankę do ust, gdy drzwi otwały się z rozmachem i stanął w nich zady-szany Caleb.

_ Sara Kemble ... - przez chwilę łapał powietrze - powiedziała, że widziała doktora ... Lizzie, co się stało? Znowu zemdlałaś? -dopytywał się, blady z przerażenia.

_ Zostaniesz tatusiem, pastorze - powiedział Ty, przeciągając słowa.

Caleb przesunął dłonią po kasztanowych włosach.

- O mój Boże!

Gdy pastor z impetem wbiegł do domu, Elizabeth uniosła się znad stołu. Teraz Caleb biegł do niej, ciągnąc za sobą krzesło.

_ Kochanie, na litość boską, usiądź! Czy ona może tak stać? -zwrócił się do Tylera. - Nie powinna się położyć? Mój Boże,

Ty! Nie stój tak! Zrób coś!

Ty i Elizabeth wymienili rozbawione spojrzenia.

- Przyślij po mnie, kiedy zaczną się bóle, wtedy się przydam! -Ty ze śmiechem złapał za swój kuferek.

- A teraz, jeśli pozwołicie ...

- Chyba nas tak nie zostawisz?! - Caleb chwycił go za ramię.

Ty przewrócił oczami.

- Przecież nie mogę u was siedzieć sześć miesięcy i czekać na poród!

- Ale ...

- Calebie, nie bądź niemądry - strofowała go Elizabeth.

- Niech pani pamięta o naparze z sassafrasu - rzucił Ty, omijając Caleba w drodze do wyjścia. -

Pomaga nie tylko na poranne mdłości, ale także koi nerwy przyszłych

tatusiów - dodał i mrugnął do niej porozumiewawczo.

Caleb wyszedł za nim przed dom.

- Rozumiem, że chcesz podnieść na duchu Elizabeth, i bardzo jestem ci wdzięczny, ale ze mną możesz być szczery.

- Jezu, Caleb! Nie ty pierwszy zostaniesz ojcem. Ani też Elizabeth nie będzie pierwszą kobietą, która urodzi dziecko! Ona jest zdrowsza i silniejsza, niż na to wygląda. Wszystko będzie dobrze, podchodź

do tego spokojnie. Zresztą oboje możecie być spokojni. - Ty zebrał lejce swojego stępaka. - Aha! -

Odwrócił się do Caleba z ostatnią wskazówką. - Jeżeli chodzi o współżycie, to możecie się nim cieszyć mniej więcej do dziewiątego miesiąca.

- Dlaczego o tym wspominasz? - Sposepniały Caleb opuścił głowę. - Czyżby Elizabeth cię pytała?

- Nie - wzruszył ramionami Ty. - Po prostu z twego zachowania wywnioskowałem, że możesz się obawiać, iż zrobisz krzywdę jej albo dziecku, gdyby przyszła wam ochota na amory w ciągu najbliższych miesięcy.

- Hmm ... eeh ... Ty?

Ty czekał cierpliwie, a Caleb tymczasem podrapał się po karku, zwilżył językiem krzywe zęby i wreszcie ze wzrokiem wbitym w noski kamaszy wydukał:

- Czy według twojej wiedzy ... większość żon ma często ochotę na zbliżenie?

- Nie mam dużego doświadczenia, jeśli chodzi o żony, - Ty uniósł brwi.

- Ale obcowałeś z wieloma kobietami.

Nie miał zamiaru zaprzeczać,

„Wiesz *zaśmiał się nerwowo Caleb - student teologii ma niewiele okazji, by.*” Westchnął głęboko i zaczerwienił się pod spojrzeniem Tylera. - Oboje z Elizabeth dochowaliśmy czystości do ślubu.

Chciałbym wiedzieć, czy, według ciebie, większość kobiet lubi się kochać.

„Sądzę, że tak.

Caleb zapatrzył się przed siebie,

„W takim razie - zadygotał zdruzgotany - to moja wina. Boże, ona musi mnie nienawidzić!

Ty zarzucił wodze na słupek i przyglądał się głęboko zasmuconej twarzy

przyjaciela, _ Calebie, ponosi cię wyobraźnia. Elizabeth cię kocha, Nawet ślepy by to zauważył.

Może. Ścisnęło go w gardle. Zamrugnął nerwowo, zanim zdobył się na wyznanie.

Ty taktownie odwrócił wzrok.

_ Jak kobieta może kochać mężczyznę, skoro nie znosi, by jej dotykał? Rzadko się z nią Kocham i krótko, chcę oszczędzić jej bólu, ale wiem, że znosi to z odrazą, Mówię ci, budzę w niej odrazę•

Ty aż drgnął z wrażenia.

_ Oszczędzić bólu?! Jesteś pewien, że ją to boli?

Caleb kiwnął głową i potarł dłońią policzek.

_ T-tak. Za każdym razem. Ona jest taka drobna, Ma wtedy łzy w oczach, Więc spieszę się, by jej nie narażać na ból, ale i tak cierpi,

Ty westchnął głęboko. Jakoś będzie musiał przez to przejść,

_ Masz trochę brandy? - Wskazał głową w kierunku plebanii.

_ Hmm, tak. Prawdę mówiąc...

_ To idź po nią. Musimy odbyć poważną rozmowę i obawiam się, przyjacielu, że lepiej dla nas obu, jeśli nieco się zamroczymy,

Delia nadziała skrawek solonej wieprzowiny na haczyk i wsuła ółszynową witkę w pulchną rączkę Tildy.

Trzymaj, kotku powiedziała, gładząc małą po jasnych lokach, i rzuciła linkę z przynętą do wody, -

Zobaczymy, czy

złapiesz rybkę.

Tildy przesuwała się na pupie coraz bliżej brzegu, w skupieniu zaciskając usta, przekonana, że lada moment ryba zacznie skubać przynętę.

- Zrób też wędkę dla Gretchen. - Podała Delii lalkę z kukuřydzianych łusek.

- Nie bądź niemądra - ofuknęła ją Meg ze swego posterunku na pobliskiej skałce. - Gretchen jest tylko lalką. Nie potrafi łowić ryb.

- Potrafi!

- Spokój, dziewczynki! - Delia wyszukała małą gałązkę i przywiązała do niej kawałek sznurka. -

Dlaczego Gretchen nie miałyby łowić z nami?

Meg pokazała młodszej siostrze język. Tildy odwdzięczyła się tym samym z buzią fioletową od czarnych jagód, których naźbierały nad rzeką.

Ich słodki zapach unosił się w powietrzu.

- Jeżeli będziecie grzeczne - Delia przymocowała do lalki malutką wędkę i posadziła ją na kamyku przy samym brzegu - to pokażę wam, jak łapać ryby rękami.

Meg prychnęła z powątpiewaniem.

- Nie wierzysz? - zaśmiała się Delia. - Nauczył mnie tego pewien stary Indianin.

Gorące słońce wypłynęło nad czubki drzew. Z wysokiej, so-czysto zielonej trawy na brzegu, jeszcze wilgotnej po wczoraj-szym deszczu, unosiły się opary. Nat zawiózł wóz świeżo wy-młóconego ziarna do młyna, a Delia z poczuciem winy, niczym uczennica na wagarach, wymknęła się z domu. Na farmie czekało mnóstwo obowiązków, kiedy jednak Meg zaproponowała, by po-szły na ryby, Delia bez chwili wahania postanowiła wykorzystać okazję, by spędzić ten czas z córkami Nata. Miała wrażenie, że od tamtego dnia, kiedy kura utknęła w kominie, niechęć Meg do niej cokolwiek zelżała, więc nie chciała zaprzepaścić szansy.

Koniec witki Tildy wygiął się raptownie ku wodzie.

- Złapałam! - zapiszczała. - Delio, Delio! Mam rybę! Wstała i wbiegła dwa kroki do wody. Meg pośpieszyła za nią i złapała ją w pasie.

- Trzymaj mocno, Tildy. Zaraz ją wyciągnę! - powiedziała, chwytając podrygującą witkę.

- Ja sama! - szarpnęła się Tildy. - Sama wyciągnę rybę! Delia próbowała interweniować i rąbkiem spódnicy zawadziła

o kukurydzianą lalkę, strącając ją do wody. W ułamku sekundy lalka, unoszona przez prąd, znalazła się na środku rzeki.

Tildy pierwsza spostrzegła, co się stało.

- Gretchen wpadła do rzeki! - zawołała zrozpaczona. - Utopi się!

Delia pchnęła dziewczynkę w ramiona starszej siostry, by nie przyszło jej czasem do głowy wbiec do wody po lalkę, i pod-ciągnawszy spódnicę, weszła do rzeki. Dalej od brzegu prąd był znacznie silniejszy, niż się spodziewała. Woda okazała się lodo-wata, cierpły jej nogi. Na szczęście lalka

zaczepiła się o skałę, inaczej nigdy nie zdołałaby jej dogonić. Ale rzeka stawała się coraz głębsza; teraz woda sięgała jej do pasa. Postąpiła jeszcze krok i zanurzyła się po piersi.

Nawet szum rozpędzonej wody nie zagłuszał histerycznego krzyku Tildy.

Prąd ciągnął Delię za spódnicę, gdy przechylona, ostrożnie sięgała po lalkę rozcapierzonymi palcami. Brakowało zaledwie kilku centymetrów.

Zrobiła jeszcze jeden krok... i masy wody zamknęły się nad jej głową.

Pozostawiony swemu instynktowi, koń Tylera szedł stępą w kierunku domu szlakiem wzdłuż rzeki, wyznaczonym przez koleiny wozów. Słońce prażyło niemiłosiernie i zwierzę, i jeźdźca. Jastrząb leniwie zataczał koła nad ich głowami, a jasnozielone pędy ryżu i bagienne trawy kołysał lekki wietrzyk. Dwie wiewiórki goniły się po drzewie z głośnym popiskiwaniami. Ty popatrzył na nie z niechęcią. "Męska rozmowa" z Calebem wprowadziła go w podły nastrój.

Oczywiście wiedział doskonale, że swoje złe samopoczucie

zawdzięcza częściowo brandy, szumiącej mu w żyłach o tak wczesnej porze. Pewien szczegół jego ciała, szczegół w tej chwili bardzo duży, rozpychał się w bryczesach w okolicznościach wielce niedogodnych dla ulegania podnietom. A wszystko przez te bardzo konkretne porady, których wielbny Hooker słuchał z płonąącymi uszami. Ty nie miał pewności, jaki efekt jego pikantny wykład wywarł na Calebie, ale on zapłacił za niego tą cholerną erekcją.

Cholera! Ty uniósł się w strzemionach, w poszukiwaniu wygodniejszej pozycji. Savitch, ty stary zbereźny rozpustniku, potrzeba ci kobiety.

Ciepłe parcie w kroczu uprzytomniło mu boleśnie, że od tamtej chwili w lesie pod Falmouth nie trzymał w objęciach kobiety – prawdziwej kobiety z krwi i kości. Problem polegał na tym, że na żadną nie miał ochoty.

Delia, dziewczyno - warknął przez zaciśnięte zęby - lepiej módl się do Boga, by nasze drogi nie skrzyżowały się w najbliższym czasie! Gdyby spotkał ją w takim stanie, w jakim się właśnie znajdował, przewróciłby ją na ziemię i wziął. Nieważne, że była zamężna. I nie pytałby, czy tego chce.

Tak był pogrążony w ponurych rozmyślaniach, że krzyki nie od razu dotarły do jego świadomości. Już miał popędzić konia w kierunku, skąd dochodziły wołania, gdy kątem oka zauważył jakiś ruch w wodzie. Przyjrzał się dokładniej, jednocześnie ściągając wodze. Prąd rzeki znosił jakieś ciało ku zatoce.

W tej samej chwili zza zakrętu wytoczyła się Meg Parkes z rozwrzeszczaną Tildy na rękach. Wśród łkań dziewczyny wyłowił tylko jedno słowo - ale to wystarczyło, by na moment zamarło mu serce.

Delia.

- Zostańcie tutaj! - rzucił przez ramię i ścisnąwszy kolanami boki konia, popędził wzdłuż brzegu.

Jeżeli istniała jakakolwiek nadzieja na wyciągnięcie Delii z wirującego odmetu, musiał wyprzedzić unoszący ją prąd. Zahaczył wodze o kulę przy siodle i ściągnął surdut, odrzucając go na bok razem z kapeluszem. Kierował konia udami, spłoszone zwierzę grzęzło w miękkiej ziemi i przedzierało się przez krzewy.

Wyprzedził Delię, ale czasu było niewiele. Uwolnił nogi ze strzemion i zeskoczył z konia, uginając kolana, by zamortyzować skok. Jego obute w mokasyny stopy wylądowały w grząskim podłożu. Brnął

w poprzek rzeki, ile sił w nogach, rozgarniając wodę ramionami. Gdy woda sięgnęła mu do piersi, odbił się i zaczął płynąć.

Jedyną szansą na uratowanie Delii było pochwycenie jej, gdy będzie przepływać obok. O mało tej szansy nie stracił - przez jeden upiorny ułamek sekundy jego dłonie chwyciły wyłącznie wodę, aż wreszcie wplątał palce w jej włosy. Nawet wtedy dwukrotnie o mało mu się nie wymknęła. Wartki nurt oddalał ich od siebie i nie od razu udało mu się przyciągnąć ją i mocno uchwycić. Był

przekonany, że Delia nie żyje. Jej bezwładne, drobne ciało ciążyło jak kamień, a jeden rzut oka na

zbielałą twarz wystarczył, by stwierdzić, że nie ma w niej życia.

Wyrzucił jej ciało na trawiasty brzeg i wspiął się po pochyłości.

Przycisnął palce do pulsu na szyi ... nie poczuł nic. - Nie! - krzyknął.

Złapał ją za ramiona i trząśł ile siły, jakby w ten sposób mógł wpompować w nią życie. Chwycił jej twarz w dłonie i przycisnął usta do jej zsiniałych warg.

- Nie! - krzyknął jeszcze raz.

To nie na uniwersytecie w Edynburgu nauczono doktora Savitcha, jak przywracać do życia topielca.

Widział kiedyś, jak to robi jego indiański ojciec, Assacumbuit, kiedy pewnego razu odratował dziecko, które wpadło do jeziora niedaleko wioski. Zaczął więc teraz robić to, co Assacumbuit z tamtym dzieckiem - energicznie pompował ramionami Delii w górę i w dół i uciskał

klatkę piersiową.

Nie ustawał w wysiłkach. Ani przez chwilę nie przyjmował do wiadomości, że ją utracił, bo nie wytrzymałby tej myśli. Przypomniawszy sobie szamanów Abenaki ratujących ofiary swym oddechem i zrobił to co oni -

przycisnął usta do jej warg i ile sił w płucach, wdmuchiwał powietrze.

Nagle głowa Delii osunęła się na bok. Zakaszłała raz i drugi - woda zaczęła wylewać się ustami i nosem, chwyciły ją torsje.

Uniósł jej głowę, by się nie zakrztusiła i łatwiej mogła za-czerpnąć powietrza. Gdy przestała się dławić i oddychała swo-bodniej, posadził ją sobie na kolanach i przyciskając jej głowę do piersi, kołysał jak dziecko.

_ Boże drogi, Delio! Śmiertelnie mnie wystraszyłaś.

_ Ty? _ Wczepiła się dłońmi w jego mokrą koszulę i przywarła do niego, przytulając policzek do jego piersi. Łapała oddech z wysiłkiem. Wydała mu się taka cholernie krucha i eteryczna.

Chryste, o mało jej nie utracił!

Niespodziewanie wyrwała się z jego ramion i usiłowała stanąć na nogach.

_ O Boże! Ty! Dziewczynki! Gdzie dziewczynki?!

_ Są bezpieczne. - Przytrzymał ją•

Ciągle jeszcze oddychała nieregularnie. Po szamotaninie z Ty-lerem znowu z trudem łapała oddech.

- A-ale, Ty ...

- Są niedaleko stąd. Kazałem im czekać. Na szczęście Meg miała na tyle rozumu, by biec po pomoc, zamiast skakać do wody za tobą. - Poglądził ją po policzku, jakby chciał się upewnić, że jest cała i zdrowa. - Delio, jak to się stało?

Odwróciła głowę na bok, jeszcze mocniej tuląc się do jego piersi.

- Dz-dziewczynki ... muszę iść ... Pewnie są przerażone. Wahał się. Nie miał ochoty wypuścić jej z objęć, ale wiedział, że muszą wrócić po córki Parkesa. Na szczęście problem roz-wiazał się sam. Meg, ciągle jeszcze z Tildy na rękach, biegła w ich kierunku drogą wzdłuż brzegu.

- Są dziewczynki. Nie ruszaj się.

- Ale ...

Złapał ją za ramiona.

- Delio, na miłość boską, czy chociaż raz, jedyny raz, zrobisz to, co mówię?

Wdrapał się na zbocze, zanim dziewczynki zdążyły zbiec ze skarpy. Meg przyglądała mu się szeroko otwartymi oczyma.

- Czy ona ... czy Delia ... ?

- Wszystko dobrze - uspokoił ją. - Co się stało? - Przykucnął, by spojrzeć na buzię Tildy. Zanosiła się od płaczu. Poza tym chyba nic jej nie było.

- Ł-łowi-iliśmy ry-yby - chlupała Meg.

- Nieważne - przerwał Ty, chcąc zapobiec atakowi hysterii.

Położył jej rękę na ramieniu. - Zaprowadź Tildy do domu i na-grzej wody. Za chwilę przywiozę Delię.

Jest cała i zdrowa, tylko trudno jej oddychać.

Meg skinęła głową i wycierając nos wierzchem dłoni, posłusznie ruszyła ścieżką.

Delia próbowała się właśnie podnieść, gdy Ty z powrotem znalazł się przy niej.

- Nie wstawaj - powiedział ostrzej, niż zamierzał. - Posiedź przez chwilę na słońcu, aż wyrówna ci się oddech.

Usiadł obok, sycąc się jej widokiem. Mokre włosy lepiły się do głowy, a piwne oczy w pobladłej twarzy wydawały się jeszcze większe. Usta miały sinawy odcień, od czasu do czasu wstrząsał nią dreszcz.

Mokre ubranie przylgnęło do ciała. Widział zarys jej krągłych piersi o sterczących z zimna brodawkach, unoszą-cych się pod cienkim, mokrym materiałem. Jezu, nawet jako

topieliца była pociągająca.

Ich oczy spotkały się i powoli na twarzy Delii pojawił się uśmiech.

_ Po raz drugi wyciągnąłeś mnie z wody, Ty. Dziękuję•

_ Kogo tym razem chciałaś pocałować, mądralo? - Wygiął do góry kąciki ust.

Roześmiała się i zaniosła kaszlem. Wzięła głęboki oddech, wydmuchała nos i wytarła go wierzchem dłoni, podobnie jak

Meg chwilę wcześniej.

_ Gretchen wpadła do wody. Chciałam ją wyciągnąć.

Gretchen? Serce podskoczyło Tylerowi do gardła. Omiótł spojrzeniem białawo połyskującą rzekę w poszukiwaniu kolejne-go, niesionego przez prąd ciała, chociaż teraz zapewne i tak byłoby za późno.

Delia wyciągnęła rękę i złapała go za koszulę•

_ Nie, Ty! Gretchen to lalka. - Niespodziewanie jej piersią wstrząsnął płacz. - Biedna Tildy! Straciła przeze mnie lalkę!

_ Lalka?! Wskoczyłaś do rzeki po lalkę? - Dłonie same za-cisnęły się na jej ramionach - Jezu, Delio! -

Potrząsnął nią - Przecież ty nie umiesz pływać!

_ Z-zapomniałam.

Przycisnął ją do siebie, aż jęknęła.

_ Rany boskie, Delio!

Wyrwała się z jego objęć.

Ty, nie krzycz na mnie! - Krzywiąc się, odepchnęła go od siebie.

Nadwerek mi zebra. Chyba mam siniaki.

Ogarnęła go furia, dygotał z wściekłości. Mój Boże, omal jej nie stracił przez głupią lalkę. Co sobie myślała, wskakując do wody za lalką, kiedy nawet nie potrafi pływać?!

— Powiniennem ci nabić parę siniaków na tyłku, ot co! - wysyczał przez zaciśnięte zęby.

Wlepiała w niego gniewne spojrzenie, a on, gdyby mógł, zabiłby ją wzrokiem. Nagle wydeła usta i zaniosła się śmiechem.

— To nie jest śmieszne! - zagrzemiał.

Czy ona zdaje sobie sprawę, co by było, gdyby ją utracił?

- Och, Ty! Jest śmieszne! - Nakryła usta dłonią, by stłumić śmiech. -

Wyglądasz z<lbawnie, kiedy się tak złościsz!

- Zabawnie!

- Szkoda, że siebie nie widzisz. Oczy ciemne jak chmura gradowa, brwi zjeżone, rozdęte nozdrza.

Wyglądasz jak rozju-szony buhaj.

- To wcale nie złość, Delio, tylko żądza. Teraz jemu chciało się śmiać z jej miny. - Żądza? - pisnęła.

Poderwała się z ziemi i odskoczyła od niego, przyciskając ramiona do piersi niczym spłoszona dziewczica broniąca swej czci.

Zbliżał się do niej powoli.

- Żądza - powtórzył z bezwzględną miną. - Zżera mnie tak długo, że nie pamiętam, co to znaczy normalnie żyć. Delio, czy wiesz, co robi wojownik z plemienia Abenaki, kiedy spodoba mu się jakaś kobieta?

- Boże w niebiesiech ...

- Bierze ją.

- Ale, Ty, ja jestem ... Nie wolno ci!

- Wolno. I zrobię to.

Wszystko zaczęło się od niewinnego przekomarzania, by od-płacić jej za to, że nazwała go zabawnym. Ale teraz żarty się skończyły. Chciał ją przygnieść do ziemi i słuchać, jak jęczy z rozkoszy.

Pragnął jej i zamierzał ją mieć.

Czytała to w jego oczach. Obróciła się na pięcie i zaczęła biec. Pochwycił ją. Przytrzymał jej głowę w obu dłoniach i opadł rozchylonymi ustami na jej wargi. Były takie gorące, wilgotne i słodkie. Z

początku, oparta o niego, wyszła naprzeciw jego agresywnemu językowi, ale zaraz zaczęła się wyrywać, odgrzdając się pięściami od jego piersi. Wykręcała głowę na bok, lecz nadal była w pułapce jego uścisku.

- Delio, kochanie, nie szarp się - szepnął, pochylając się nad jej ustami.

- Ty draniu! Puść mnie ...

Pocałował ją jeszcze raz. Tym razem się nie poddała. Walczyła ile sił, okładała go pięściami i kopała, dysząc mu prosto w półotwarte usta. Jej spazmatyczny, urywany oddech zamienił się w kaszel.

Uwolnił ją z uścisku. Zatoczyła się. Przyłożyła drżącą dłoń do ust i krztusząc się, walczyła o łyk powietrza. Ty wyciągnął ramiona, chcąc ją przytrzymać, ale wywinęła się z jego rąk.

- Delio ...

Stała przed nim. Nigdy jeszcze nie widział takiego żalu w kobiecych oczach. Aż zatrzęśło nim z obrzydzenia do samego siebie.

- Jak mogłeś mi coś takiego zrobić, Ty? - spytała zdławionym, pełnym bólu głosem. - Nie wolno ci ...

Nie masz prawa traktować mnie w taki sposób.

- Boże, Delio, źle mnie zrozumiałaś. Ja nie ...

Odeszła na chwiejnych nogach. Chciała biec i osunęła się na kolana. Ty złapał ją w ramiona.

- Co robisz? - Z łkaniem biła go pięściami po piersi. - Puść mnie!

Zacieśnił uścisk i nie bronił się przed jej ciosami. Pragnął nawet, by raziły go bardziej boleśniej.

- No, już spokój, Delio! - powiedział oschle, by ukryć miodające nim emocje. - Na dziś mam dość zakusów na twoją cnotę.

Nie odezwała się, kiedy wniósł ją na skarwę, ani też gdy szedł z nią na rękach ścieżką ku farmie.

W pewnej chwili powiedziała z żalem:

- Nie jestem taka, jak myślisz, Ty.

- Wiem, Delio - odparł z ciężkim sercem. - To moja wina. To ja jestem sukinsynem.

Westchnęła cichutko, rozluźniła napięte mięśnie i po chwili położyła mu głowę na piersi.

Jak dobrze tak ją trzymać w ramionach! - pomyślał Ty. Nic więcej, tylko trzymać.

20

W oborze pachniało zbożowym pyłem i gnojem. Delia przyśtanęła w drzwiach i przyglądała się, jak Nat młóci zboże. Ziarno wysypywało się z kłosów na ziemię w rytm głuchych uderzeń cepa. Nat sięgnął po widły do siana i wtedy ją zauważył. Stała w jego czapce zawadiacko zsuniętej na bakier, z muszkietem przewieszonym przez ramię.

Oparł się o widły, oddychając ciężko.

- Wyglądasz, jakbyś się wybierała na musztrę zamiast mnie _ zauważył, uśmiechając się mimo woli. -

Czy wszyscy już się zebrali?

- Tak jest! - Zasalutowała i Nat wybuchnął śmiechem. Odstawił grabie i sięgnął po okrycie leżące na beli siana.

- Na pewno nie masz nic przeciwko temu, że zostawiam cię samą z dziewczynkami? - zapytał, narzucając kurtkę.

- Damy sobie radę. Nic się nie martw - USpokajała go, przytrzymując mu połę i prostując materiał

na plecach. Niebieska wełniana kUrtka w odcieniu letniego nieba sięgała Natowi do połowy ud.

Uszyła mu ją żona. Jego pierwsza żona.

- Przecież Mary nie protestowała, kiedy szedłeś na musztrę _ nie darowała sobie uwagi.

Kolor kurtki gryzł się niemiłosiernie z głęboką zielenią ircho-wych bryczesów, stanowiących część umundurowania. Delia była zdumiona, gdy Nat oznajmił jej dzień wcześniej, że razem ze wszystkimi pełnosprawnymi mężczyznami z Merrymeeting musi się stawić na musztrę w Wells.

- Jeżeli nie pójdę, będę musiał zapłacić pięć szylingów grzyw-ny - wyjaśnił.

- Ale przecież ktoś, kto nie ma stopy, powinien być zwol-niony! - zagalopowała się.

Reakcja Nata nie była trudna do przewidzenia.

- Może nie jestem w stanie ćwiczyć na równi z innymi, ale nadal jestem przydatny - oznajmił, dumnie zadzierając podbró-dek. - Pułkownik Bishop mianował mnie swoim adiutantem. Oboje z Mary uważaliśmy, że przynajmniej w ten sposób mogę pomóc.

Delia chciała wytłumaczyć, że wspominając o kalectwie, nie miała zamiaru go poniżyć, ale wołała zamilczeć. Doświadczenie nauczyło ją, że wszelkie wyjaśnienia w dyskusjach z Natem je- szcze bardziej pogarszały sprawę.

Zdjęła czapkę i nasadziła ją na płową Czuprynę męża. Przypięła do niej Sosnową gałązkę i rozetkę ze wstążki. Podała Natowi muszkiet i wyszła za nim z obory. Grupka mężczyzn w dosko- nałych humorach czekała już na podwórku, śmiejąc się hałaśli- wie. Są podekscytowani jak mali chłopcy przed wycieczką _ po- myślała.

Dla mężczyzn z Merrymeeting musztra oznaczała pięciodnio- wy pobyt poza domem. Jeden dzień płynęli łodzią do Wells, trzy dni ćwiczyli i znowu wracali łodzią. Delia wywnioskowała z opo- wiadań kobiet, że te wyjazdy stanowiły dla nich okazję, by uwol- nić się na trochę od swoich żon. To prawda, że przedpołudniami sumiennie ćwiczyli, ale popołudnia upływały im na konnych wyścigach, konkursach strzeleckich i tym podobnych męskich rozrywkach. Wiezorami zaś wszyscy, z wyjątkiem pułkownika Bishopa, który odpowiadał za ludzi, i Nata, ograniczającego się wyłącznie do świerkowego piwa, tego popijali. Tylko ci dwaj ostatni zdawali się traktować ćwiczenia poważnie.

Nat wszedł na chwilę do domu, by pożegnać się z córkami i zabrać resztę rzeczy - woreczek z kulami, róg z prochem, to- mahawk i drewnianą manierkę. Delia rozglądała się po podwórku za przystojną twarzą o twardych rysach, okoloną czarnymi wło- sami. Zamiast tego jej wzrok przyciągnęła znajoma ruda czupryna.

Podparła się pod boki i podeszła do zwałistego kowala.

- A co ty tutaj robisz, Samie Randolfie? Zdaje się, że Hannah ma rodzić lada dzień?

Sam podskoczył, rumieniąc się jak chłopak.

- O rany, pani Parkes ...

- Ona już rodzi - przyszedł mu z pomocą Obadiah Kemble, nerwowo strzelając oczami. - Ale dzieciak idzie pośladkami i nie wiadomo, ile to potrwa. Zrobiliśmy zakłady i jeżeli, jak doktor przypuszcza, urodzi się jutro, to wygra wasz Nat.

Delia nie starała się nawet ukryć dezaprobaty.

- Tym bardziej należało zostać przy żonie - zmarszczyła groź- nie brwi.

Sam zaszurał nogami, ze wzrokiem wbitym w ziemię.

- Eech, pani Parkes. Nic Hannah nie będzie. Urodziła mi siedmiu

dziarskich chłopaków i nawet nie stęknęła. Nie jestem jej do niczego potrzebny. No i nasz doktor przy niej siedzi.

- Hmm. To dziwne, że on z wami nie idzie.

- Zazwyczaj bierze udział w ćwiczeniach - tłumaczył Oba-diach. - Mimo że lekarze są zwolnieni ze służby wojskowej. Nasz pułkownik chętnie go wysyła na zwiad, bo doktor orientuje się w puszczy i w ogóle ... Poza tym doktor lubi się ten, no ... pomusztrować.

Nat wyszedł z domu z rozszczebiotaną Tildy na rękach i z Meg u boku. Tildy ścisnęła w rączce nową lalkę, Indiankę w sukni z jeleniej skóry, z naszyjnikiem z maleńkich muszelek i w przybrani, u na głowie z wamp um - czyli pomalowanych na purpurowo muszelek, których Indianie używali zamiast pieniędzy.

Ty przyniósł lalkę dzień po utracie Gretchen, ale Delia go nie widziała, bo akurat siedziała w domu i usiłowała prząść na kołowrotku Mary. Niestety, wychodziły z tego wyłącznie kołtuny. Gdy nieco później Tildy z dumą pokazała jej lalkę, Delia zaskoczyła wszystkim swoim zachowaniem

wYbuchła płaczem i uciekła do alkowy, trzaskając za sobą drzwiami.

Kiedy wyłoniła się stamtąd późno wieczorem, Nat powiedział jej, że Tildy nazwała lalkę Hildegardę:

“Skąd ona bierze takie imiona?” - dziwił się z nerwowym uśmiechem i zerkał niepewnie na minę Delii, bo nadal miał w pamięci jej wcześniejsze dziwne zachowanie.

Delia sama nie rozumiała, dlaczego zareagowała na wspaniałość Tylera jak jakiś kapuściany głąb. Za każdym razem, kiedy spoglądała na lalkę, cisnęły jej się do oczu łzy. To Poczucie dumy z Tylera mieszało się z żalem, że nigdy nie obdarzy go dzieckiem, które mógłby pieścić i psuć.

Teraz jednak, gdy Nat wyszedł z dziećmi na podwórko, Delia zdobyła się na uśmiech. Nat pocałował

Tildy i podał ją Delii, a potem przykucnął i uściskał Meg.

- Dziewczynki, zachowujcie się grzecznie i Słuchajcie Delii _ przykazał.

Meg nic nie odpowiedziała. Delia zauważyła jednak, jak mała tłumi westchnienie i gniewnie wysuwa podbródek do przodu.

Nat zarzucił muszkiet na ramię i mężczyźni ruszyli ścieżką nad zatokę, do czekającej tam łodzi. Zanim weszli do lasu, Nat obrócił się i pomachał im na pożegnanie.

- Pa, pa, tatusiu! - wrzasnęła Tildy prosto w ucho Delii. Kiedy postać

Nata zniknęła za zakrętem, Meg zapytała z ironicznym uśmiechem:

- Dlaczego nie płaczesz? Mama zawsze płakała, kiedy tata szedł na musztrę do Wells.

- Naprawdę? - zdziwiła się Delia.

Nie wyobrażała sobie, by Mary, ten wzór wszelkich cnót, pozwalała sobie na chwilę słabości.

- Tata nie pocałował cię na pożegnanie - powiedziała Meg i patrząc spod oka, czekała na reakcję Delii.

- Mamę zawsze całował.

- Nie masz nic do roboty, Meg Parkes? - westchnęła Delia.

Po południu Delia postanowiła narąbać drzewa.

Dzień zaczął się od gęstej mgły, która osiadając, pozostawiła po sobie wilgoć pachnącą morzem.

Kiedy mężczyźni wychodzili na ćwiczenia, słońce wyjrzało zza chmur, ale horyzont nadal był lekko zamglony. Zaczął się wrzesień; dni robiły się krótsze, a liście na drzewach zdobyły kolorowe obwódki. Kukurydza na polach urósła wysoko - wkrótce trzeba ją będzie powiązać.

Rano Delia pomyślała, że niedługo noce staną się chłodniejsze i będzie musiała wyciągnąć dodatkowe derki ze skrzyni obitej cielecą skórą.

Postanowiła zaskoczyć Nata i ustawić spory sąg drewna na opał

podczas jego nieobecności. Szczapy z hikory są najlepsze - łatwo się palą i dają dużo ciepła.

Rąbała drzewo za oborą i rzucała je na platformę, by po skończonej robocie zawieźć je do składziku i ułożyć w stos. Uderzenia siekiery o polana odbijały się głuchym echem od potężnych pni w pobliskim lesie. Gdy przerywała robotę, by chwilę odpocząć, czuła ostry zapach butwiejącego igliwia, słyszała szelest kuropał przemykającej w rzędzie kukurydzy.

Myślała o Tylerze. Buch! Siekiera z trzaskiem rozszczepiła polano.

Wyobraziła sobie, że to jego głowa.

Siedział w domu u Randolfów i doglądał Hannah. Miała chęć tam pójść, zaproponować pomoc, może zanieść garnek pieczonej fasoli lub chleb z kukurydzy. Ale nie ma co udawać, byłby to wyłącznie pretekst, żeby się z nim zobaczyć.

Bach! Tym razem zobaczyła własną głowę pod toporem. Minęły trzy tygodnie, odkąd wyłowił ją z rzeki, i chociaż nie widziała go od tamtego dnia, nie było chwili, by o nim nie myślała i co rusz nie przeżywała na nowo jego pocałunku. Czuła na swoich ustach odcisk warg Tylera, jakby położył na

nich rozpaloną pieczęć. Wściekała się, że zamierzał użyć jej do załagodzenia swej chuci. Była zła na siebie, bo nadal go kochała i pragnąc go, bezwstydnie odwzajemniła pocałunek. A może wcale się nie pomylił, może była tanią dziwką, którą mężczyzna kupuje za dwa szylingi na godzinę lub dwie?

Buch! Teraz obraz głowy Nata posłużył do wyładowania frustracji. Nat, jej tak zwany mąż, który nadal sypiał w komórce! Nie stać go było nawet na cmoknięcie jej w policzek, kiedy zniknął z domu na całe pięć dni! Może nie ma między nimi miłości, ale byli mężem i żoną. Kto wie, czy Nat, gdyby zachowywał się jak prawdziwy mąż, nie pomógłby jej wyrwać obrazu Tylera Savitcha z myśli i serca!

Buch - precz! Buch, buch! Precz!

Przy każdym zamachu siekiera z kutego żelaza, które łatwo pękało przy chłodniejszej Pogodzie, ruszała się na stylisku. Delia nie zwróciła uwagi, że ostrze obluźowuje się coraz bardziej, aż ... przy kolejnym uderzeniu spadło i zakreśliwszy łuk w powietrzu, wbiło się przez spódnicę w jej udo. Z

początku nic nie poczuła i oniemiała patrzyła na stylisko, lecz za chwilę potężny, piekący ból wyrwał

jej z krtani przeraźliwy krzyk.

Z dłoni przyciśniętej do uda kapąła krew. Odrzuciła trzonek i oparła się o pieńki do rąbania. Ból był

tak potworny, że poćiemniało jej w Oczach. Zagryzając usta, by nie zemdleć, uniosła spódnicę.

To, co zobaczyła, przyprawiło ją o zawrót głowy, omal nie osunęła się z pieńka.

Z głębokiej rany o poszarpanych brzegach chlustała gęsta, ciemna, prawie czarna krew. Drżąc na całym ciele, przycisnęła pięść do rany, by zatamować krwotok.

Usłyszała trzaśnięcie drzwi komórki i cienki dziecienny głos Meg.

Otworzyła usta, żeby ją zawołać, ale zabrakło jej siły. Ciemne plamy przed oczyma rozlewały się Coraz szerzej. Zamrużyła i zobaczyła przed sobą przerażoną twarz Meg.

- Sprowadź doktora ... jest u ... Hannah Randolph.

Ciemność zasnęła wszystko, zostawiając jedynie dwa świecące punkciki, ale i te wkrótce zniknęły.

Parę minut, a kto wie, może zaledwie kilka sekund później poczuła na policzku mokre dotknięcie.

Zmusiła się, by otworzyć oczy. To Tilda przytuliła do niej swą pyzatą buzię.

- Skaleczyłaś się siekierą? - pytała z przejęciem teatralnym szeptem. - Będziesz miała drewnianą nogę jak nasz tata?

Delia uśmiechnęła się, a może tylko jej się tak zdawało, bo świat znowu przykryły ciemności.

Drżenie rąk doktora Tylera ustało, gdy z wprawą zakładał krępulec na smukłe udo Delii. Wolał nie myśleć, co by było, gdyby siekiera wbiła się parę centymetrów głębiej i uszkodziła arterię.

Wykrwawilaby się na śmierć, zanimby się przy niej znalazł.

Chryste, dlaczego ona mu to robi? Próbował się zdystansować, wyrzucić ją z myśli, by nie mogła go więcej ranić. Wszystko na nic - wbrew szczerym chęciom za bardzo mu na niej zależało. Mogłoby się wydawać, że Delia celowo igra ze śmiercią, by utwierdzić go w przekonaniu, iż nie przeżyłby jej utraty.

Palce Tylera umazane krwią Delii powędrowały bezwiednie ku jej wykrzywionej cierpieniem twarzy.

Uciąłby sobie własną nogę, gdyby w ten sposób mógł zaoszczędzić jej bólu. Nagle zrozumiał, że była mu droższa nad życie. Wszystko by dla niej poświęcił. Wszystko.

Powieki Delii zadrżały.

- Ty ... ?

Nachylił się i musnął ustami jej czoło.

- Jestem, kochanie.

- Siekiera pękła. Przecięła mi nogę.

- Wszystko będzie dobrze. Zaraz ją zeszyję. Ale najpierw zaniosę cię do domu.

Założył sobie na szyję ramię Delii i uniósł ją ostrożnie. Krzyknęła z bólu. Pomyślał, że byłoby lepiej, gdyby straciła przytomność na czas, kiedy będzie ją niósł do alkowy i układał na łóżku, ale pociemniałe z bólu oczy miała otwarte.

- Przepraszam, Ty, że sprawiam ci tyle kłopotów. Ciągłe coś ze mną masz.

- Przywykłem - odpowiedział i pogładził ją po policzku kostkami dłoni.

- Przyciągasz kłopoty jak muł muchy.

Cień uśmiechu zabłądził na jej usta, zamknęła powieki.

- Czy twój ojciec ma w domu rum albo brandy? - Ty zwrócił się do

stojącej na progu Meg, z uczeponą jej ręki, przerażoną Tildy.

- T-to taka duża butelka z lekarstwem? - Drgnęła nerwowo.

- Tak. To chyba to ... Przynies też kubek. I zagotuj wodę.

Meg wróciła z butelką brandy i garnuszkiem.

- Zabierz stąd Tildy i poczekajcie w komorze. I zamknij drzwi.

Ty przytknął kubek do warg Delii.

- Zamierzam cię porządnie spać, dziewczyno.

- Ale nie będziesz próbował wykorzystać sytuacji, prawda, Tylerze Savitchu? - uśmiechnęła się słabo.

Ścisnęło go w gardle. Milczał. Nawet nie silił się na uśmiech. Pomimo protestów Delii poił ją brandy, aż znalazła się na krańcu świadomości. Wtedy dokładnie oczyścił ranę i zszył ją, używając kościanej igły, baraniami jelitami, które na wszelki wypadek zawsze nosił w lekarskim kuferku. Delia, cały czas przytomna, pojękiwała cicho, a on nie przestawał mówić do niej, zapewniając ją, że nigdy nie spotkał takiej dzielnej dziewczyny jak ona.

Razem z Meg znaleźli pozwijany w cienkie rolki tytoń, który Nat żuł albo używał do fajki. Tyler rozprostował kilka liści, nałożył na nie jakieś grzyby ze swego kuferka i obłożył nimi ranę, by zapobiec zakażeniu, a potem zabandażował nogę kawałkiem płótna ze starego prześcieradła. Gdy skończył, stanął nad łóżkiem i popatrzył na Delię z groźną miną.

Jej oczy o złotych tęczówkach błyszczały, po części z powodu sporej porcji alkoholu, a trochę z gorączki.

- Tylko nie zacznij się na mnie wydzierać, Ty _ wybełkotała.

- Porozmawiamy o twojej bezmyślności innym razem _ obiecał surowym tonem.

- To moja wina. Nie powinieneś wrócić do Hannah?

- Urodziła dziewczynkę. Godzinę temu.

- To cudownie. Chciałabym mieć dziecko. - Dodała jeszcze coś, co zabrzmiało jak "twoje dziecko", ale nie był pewien, bo język się jej plątał.

Położył się ostrożnie obok niej i oparł ją o siebie. Jej włosy rozsypały mu się na piersi jak czarny koronkowy wachlarz. Gdy objął ją w pasie, usłyszał, jak westchnęła.

Ujęła jego rękę i wyciągając ją przed siebie, splotła swe smukłe białe palce z jego - długimi i śniadymi.

Ni stąd, ni zowąd ogarnął ją pijacki chichot.

- Masz magiczne palce, Ty. Zakochałam się w tobie, gdy pierwszy raz

poczułam ich dotyk. Taki ze mnie kapuściany głąb!

Zakłopotany tym wyznaniem i emocjami, jakie w nim wzburzyło, Ty mocniej zacisnął palce i opuścił

ich splecione dłonie na łóżko.

- Przez kilka dni noga będzie boleć jak diabli - zmienił temat. - Nie wolno ci nic robić. Może pošlę po

Nata?

Zamarła w jego ramionach.

- N-nie, Ty - odwróciła ku niemu głowę. - Nie rób tego. Proszę, nie ściągaj Nata.

Jej reakcja wywołała w nim zimny dreszcz niepokoju. Oczywiście miała prawo sądzić, że Nat zgani ją za brak ostrożności, ale obawa przed reprimendą męża nie powinna budzić aż takiej paniki.

Odruchowo przytulił ją do siebie.

- Delio, dlaczego boisz się Nata? Czy on cię bije?

- Nie, nie ... - zaprzeczyła energicznie, uderzając głową o pierś Tylera. - Tatko mnie bez przewy poszturchiwał. Nat nie. Nie podnosi na mnie ręki. On mnie w ogóle nie dotyka! - wybuchnęła histerycznym śmiechem, który przeszedł w pijacką czkawkę.

Spojrzał uważnie w jej twarz. Piwne oczy Delii wwierały się w niego, kłuły w serce.

- Nat mnie nie kocha, Ty. On nadal jest zakochany w swojej Mary. I ty mnie nie kochasz. Nikt mnie nie kocha.

Czuł pod ramieniem szybkie bicie jej serca. Z piersi wyrwało mu się gwałtowne westchnienie i uniosło połyskujące rubinowo pasemka jej czarnych włosów. Skórę miała taką bladą, niemal przezroczystą. A usta ... te jej usta. Pochylił się - koniecznie musiał ich dotknąć ...

- Ty, dlaczego mnie nie kochasz?

Zawisł nad jej ustami, ale nie pocałował jej. Bał się. Tak cholernie się bał.

- Boże, Delio, ja ...

... cię kocham.

Wyznanie uwięzło mu w gardle, słowa zadudniły w sercu. Kocham cię.

Delia otworzyła drzwi i ujrzała przed sobą śniadą, pełną wyrzutu twarz Tylera. W rozpiętej prawie do pasa myśliwskiej koszuli z frędzlami, w skórzanych, dopasowanych bryczesach i butach do kolan stał na progu tak bardzo przystojny i zniewalająco męski.

- Dlaczego nie leżysz? - napadł na nią.

Oblała się rumieńcem. Zawsze tak reagowała na jego widok nic nie mogła na to poradzić. Usiłowała pokryć zmieszanie i nerwowo zwilżyła wargi językiem, co przyciągnęło wzrok Tylera do jej ust.

- Och, Ty! Nie mogę wytrzymać w łóżku ani chwili dłużej.

Poza tym Nat wraca 'wieczorem, a ja mam dużo zaległości.

Nie odrywał oczu od jej ust. Zaciśnął zęby i zmarszczył brwi.

Teraz wyglądał jeszcze groźniej. Niespodziewanie złapał ją na ręce i poniół do alkowy. Zawsze lubiła, kiedy ją trzymał, kiedy jej dotykał.

Pozwoliła, by jej policzek na moment oparł się o jego potężną pierś. Szorstka koszula była ciepła i pachniała Tylerem.

Niech go diabli porwą!

- Ty, puść mnie!

- Za chwilę.

Ze sposobu, w jaki ją niósł, podejrzewała, że rzuci ją na łóżko jak worek rzepy, on tymczasem ułożył ją delikatnie.

- Masz gorączkę. - Dotknął dłonią jej czoła.

- Jestem rozgrzana, bo bardzo duszno na dworze. _ Uniosła się na łokciach. - Ty, mam milion rzeczy do ...

- Nat dzisiaj nie wróci. - Pchnął ją lekko na poduszkę. _ Zbiera się na burzę. Idzie sztorm od północnego wschodu. Nie wypłyną w taką pogodę.

Delia spojrzała za okno. Rzeczywiście, czarne złowrogie chmu-ry wisiały nisko nad wzgórzami.

Wilgotne powietrze miało sł- nawy smak morza i deszczu. Od czasu do czasu zrywał się wiatr i szarpał koronami drzew. Jego wycie zagłuszało odgłosy docho- dzące z obory, gdzie dziewczynki

przesiewały ziarno wymłócone cztery dni wcześniej przez ojca.

Ty ujął Delię za podbródek i odwrócił jej twarz ku sobie.

- Masz dać słowo, że dzisiaj nie ruszysz się z łóżka.

- Ale ...

Przyłożył palce do jej ust na znak milczenia. Ich dotyk był lekki, delikatny. Ledwo się powstrzymała, by ich nie pocałować.

- Delio, czekam.

Pokiwała głową na zgodę.

Cofnął dłoń. Usta wydały się Delii jakby nagie.

- A teraz powiedz, co miałaś zrobić, to ci pomogę.

- Zajmiesz się kobiecymi pracami? - Popatrzyła na niego z niedowierzaniem.

- Dla ciebie, tak - wygiął usta w szelmowskim uśmiechu. _ Ale nikomu nie mów, bobym tego nie przeżył.

Zapadała w krótkie drzemki i budziła się, kołysana głosem Tylera, wydającego polecenia dziewczynkom i krzątającego się po domu. Pierwszy raz doświadczyła luksusu, jakim była obecność Tylera pod tym samym dachem. Przyniósł jej filiżankę miętowej herbaty. Usiadł przy niej na łóżku i rozmawiali, popijając gorący płyn. Delia w życiu nie czuła się szczęśliwsza.

Burza rozpętała się przed wieczorem.

Niebo pociemniało i zerwał się bardzo silny wiatr. Słyszała jego ponure wycie w kominie. Strugi deszczu chlustały o szyby.

Wstała z łóżka i pokuśtykała do okna, by zamknąć okiennice.

Ty biegł długimi susami z obory, gdzie odprowadził konie. Deszcz czarną kaskadą walił o ziemię, zamieniając podwórko w błotniste bajoro.

Pośpieszyła do komory, opierając ciężar ciała na zdrowej nodze. W powietrzu unosiły się smakowite zapachy. Uśmiechnęła się do dziewczynek, które właśnie rozstawiały na stole świąteczną zastawę Mary.

Spotkała Tylera przy drzwiach. Czyścił buty o wycieraczkę.

Mokra koszula lepiła mu się do piersi, podkreślając rzeźbę mięśni. Kropelki wody spływały z mokrych włosów. W burzowym półmroku oczy Tylera zdawały się kobaltowe.

- Przemokłeś do suchej nitki! - zawołała ze śmiechem, ledwo opanowując chęć, by odgarnąć mu z czoła mokre kosmyki.

- Wiatr jest taki silny, że można pofrunąć - powiedział, dysząc ciężko, i uśmiechnął się szeroko, aż zaznaczyły się pionowe linie w okolicy ust.

Usiadł, oparty o ścianę werandy, i ściągał buty, by nie nanieść błota na świeżo posprzątaną przez siebie podłogę. Wzrok Delii zbłądził na nasiąkniętą wodą spodnie Tylera i prześliznął się po wyraźnie zaznaczających się biodrach i ... wnętrzu smukłych ud.

- Zdejmij koszulę, zanim się przeziębisz - poleciła energicznie, by, broń Boże, nie zorientował się, jak mocno zabiło jej serce. - Wyschnie nad ogniem, zanim zjesz kolację. Zostaniesz na kolacji, prawda?

- A jakże, skoro ją przygotowałem - wyszczerzył zęby w promiennym uśmiechu.

- Z tego, co do mnie docierało, należałoby raczej sądzić, że większość pracy zważyłaś na biedną Meg i Tildy.

Zdjął koszulę i powędrował w skarpetkach do komory. Oczy Delii przylgnęły do jego szerokich pleców, wąskich bioder i sprężystych

pośladków. Zrobiło jej się nieco słabo.

Boże, miej mnie w opiece - westchnęła pod nosem. Zazwyczaj kolacja stanowiła najłżejszy posiłek w ciągu dnia, ale tym razem Ty z dziewczynkami przygotowali prawdziwą ucztę. Na stole stał pieczony indyk, kukurydza z fasolą, świeżo upieczone bułeczki, a na deser ciasto z jeżynami. Ty, okryty

kołosem, usiadł przy stole naprzeciwko Delii. Płomienie z kominka oświetlały jego śniade ciało i rzucały złote refleksy na gęste kasztanowe włosy.

Patrzyła, jak nabija kawałek indyka na koniec noża.

- Przepraszam, ale nie ma u nas tych frymuśnych narzędzi do jedzenia, jakie podaje się u Bishopów.

Żując, wygiął lekko usta. Poznała po jego oczach, że go rozbawiła.

- Nie smakuje ci moja kuchnia? - zapytał, widząc, że nie je.

- Ach, nie, wszystko jest pyszne!

- To ja zrobiłam bułeczki! - pochwaliła się Tildy.

- Nieprawda! - zaproponowała Meg. - Ja je zrobiłam, a ty tylko chwilę mieszałaś masło.

Delia włożyła do ust bułeczkę posmarowaną melasą.

- Mmm! - wymruczała, wywracając oczyma. Dzieci i Ty roześmiali się ubawieni. Jego niski, gardłowy śmiech zapiekł ją aż gdzieś w żołądku.

Była zbyt podekscytowana, by jeść. Wiele razy marzył jej się taki właśnie obrazek - siedzi wieczorem z Tylerem przy stole, jedzą i rozmawiają o tym, co zdarzyło się w ciągu dnia, a w tle słychać dziecinnie głosiki.

- Ty, słyszałaś, że Anna Bishop ma oficjalną zgodę na prowadzenie szkoły?

- Dzięki tobie - odparł i spojrzał na nią tak, że aż się zaróżowiła. - Sprowadzenie cię do Merrymeeting było moim najmądrzejszym posunięciem.

Uśmiechnięta, jeszcze bardziej pokraśniała.

- To wyłącznie zasługa Anny. Planuje rozpocząć lekcje po żniwach. U siebie, w bibliotece.

- Słyszałem również, że Sara Kemble zamierza napisać do władz w Bostonie, iż szkołą kieruje kobieta.

- Och, nie!

- Och, tak. Na co Obadiah zagroził, że jeśli zobaczy ją z pałaniem i piórem w ręce, to ją spierze.

Wybuchnęli śmiechem, wyobrażając sobie, jak niepozorny Obadiah goni z różgą za potężną panią Kemble.

Ty nie pozwolił Delii posprzątać po kolacji, tylko usadził ją wygodnie na kanapie z nogą opartą na stołku z poduszką. Z pomocą dziewczynek raz-dwa doprowadził komorę do porządku i wszyscy razem zgromadzili się wokół Delii przy kominku.

_ Opowiedz o Goosecupie - poprosiła Tildy, wdrapując się Tylerowi na kolana.

- O Goosecupie? - zdziwiła się Delia.

_ Glooscapie - poprawił Tildy Ty. - To był olbrzym, który spłynął z nieba w kamiennym canoe tam, gdzie urywa się horyzont, i sprowadził na ziemię ludzi i zwierzęta.

- Przestań! - ofuknęła go Delia.

_ Tak właśnie było - odparł Ty z taką miną, jakby święcie wierzył w to, co mówi. - Dawno, dawno temu, zanim promienie słońca po raz pierwszy dotknęły ziemi.

Pod pretekstem słuchania legendy Delia mogła otwarcie sycić oczy widokiem ożywionej twarzy mężczyzny, w którym była tak bardzo zakochana. Siedziała upojona jego głosem. Ty opowiadał o olbrzymie Glooscapie, który dzięki magicznemu pasowi przybierał najróżniejsze postaci. O

morderczej walce, jaką stoczył, by wyrwać plemię Abenaków spod panowania swego brata Malsuma, złego olbrzyma z głową wilka, a także o innych dziwnych duchach: Keksumie, władcy mrozu, i Wokwotoonuku, panu wiatru północnego, który nawet w tej chwili wyładowywał swą furję na zewnątrz tego przytulnego, małego drewnianego domu.

Kiedy Ty się ożeni i będzie miał dzieci, tak właśnie będzie się zachowywał - pomyślała Delia. Och, jak bardzo zazdrościła kobiecie, która będzie miała szczęście dzielić z nim życie!

Nagle zdała sobie sprawę, że głos Ty stał się wolniejszy i cichszy. _ I tu - dodał prawie szeptem, nie odrywając wzroku od oczu Delii - następuje kespeadooksit, czyli koniec opowieści.

Delia odwróciła wzrok, nagle bardzo zainteresowana grą płomieni w kominku.

_ Dziewczynki - powiedziała chrapliwym głosem - jest późno, czas spać. Ty zaczął się podnosić, ale go powstrzymała.

- Nie, ja się tym zajmę. Siedziałam cały dzień. Potrzebuję ruchu.

Gdy wróciła, ułożywszy je do łóżek, przystanęła na progu, aby chwilę na niego popatrzeć. Nie zapalili łojowych świec, więc izbę oświetlał wyłącznie ogień z kominka. Ty leżał wyciągnięty na ławie, oparty plecami o stół. Zrzucił koc i grzejąc nagi tors w ciepłe płomieni, popijał piwo świerkowe, które nalał

sobie z sagana stojącego w kącie komory. W tej pozie, z kuflem opartym o udo, wyglądał leniwie, swobodnie i niesamowicie pociągająco.

Polano w palenisku obsunęło się, iskry i języki ognia strzeliły w górę. Ty spojrział na Delię.

- Zasnęły od razu - powiedziała. Czują, że płonie pod jego wzrokiem. Cholera, dlaczego głos mi skrzeczy jak u żaby? _ pomyślała.

- To dobrze. - Wysączył resztę piwa i odstawił kufel na stół.

Ciszę przerywało jedynie tykanie szafkowego zegara Mary i bębnienie deszczu o dach. Nawet wiatr na chwilę zamarł.

Delia weszła do izby, ale nie usiadła.

- Pewnie obudzą się w środku nocy i będą krzyczeć o potworach zjadających małe dziewczynki.

Jeden kącik ust Tylera wygiął się w tym cudownym półuśmiechu, który tak na nią działał.

- Glooscap będzie nad nimi czuwał - powiedział i przeciągnął się, prostując nogi. Jak urzeczona patrzyła na napięte mięśnie piersi i cień włosów pod pachami.

Nagle pokój zrobił się jakby za ciasny dla nich dwojga. Przez cały dzień nie dotknęli się nawet przypadkiem, ale i tak nigdy nie była bardziej świadoma jego obecności. Ani tego jak mocno go kochała i jak bardzo go pragnęła.

Tak bardzo ścisnęła ją w piersi, że z trudem oddychała.

- Ty, dziękuję za dzisiejszy dzień. Ale to, że tu jesteś ... nie jest w porządku. Myślę, że powinieneś już iść.

Oczy Tylera błyszczały jak nieokiełznane gorące płomienie.

Stała sztywno, uważając, by się nie zachwiać. - Czego się boisz?

- Ciebie - wyszeptała gardłowo. - I siebie.

Podniósł się powoli i opuścił ramiona. Teraz znalazł się tuż przy niej. Nie dotknął jej, ale nie miało to żadnego znaczenia, bo czuła, jak rozbiera ją wzrokiem.

- Kocham cię - powiedział.

Oblała ją fala ogromnej radości - tak jasnej i goręcej jak płomień

pochodni. Już po chwili wróciła do niej rzeczywistość, a razem z nią gniew.

Uderzyła go w twarz. Mocno. Tak mocno, że głowa odskoczyła mu na bok i krzyknął zaskoczony.

Potem uderzyła go w drugi policzek, jeszcze mocniej.

Biłaby go zapewne dalej, ale spostrzegła, że nie uchyla się od jej rąk. Stał przed nią wyprostowany, ze wzburzoną grzywą włosów nad brwiami i poczerwieniałą z gniewu twarzą, którą pokrył już lekki zarost.

Piekła ją dłoń, a serce krwawiło.

- Kocham cię - powtórzył.

- Niech cię diabli! - Łapczywie chwyciła powietrze, by się nie rozpłakać, nie rozkrzyknąć, nie umrzeć. -

Niech cię diabli! - - Kocham cię, Delio - powiedział raz jeszcze. - Wiem, że jest za późno, ale ... ale pomyślałem, że powinnaś wiedzieć.

Zdjął koszulę z kołka przy kominku i skierował się do drzwi.

Wciągnął buty i założył koszulę.

- Delio ... ? - odwrócił się z ręką na klamce.

- Idź już! - krzyknęła. - Idź! Nienawidzę cię!

Ty wyszedł.

Gdy zamknął drzwi, rzuciła się za nim. Palce zmagaly się z zamkiem, ale po chwili znieruchomiały.

Przycisnęła policzek do drzwi i osunęła się na kolana, wśród jęków i szlochów wołając jego imię.

21

Północno-wschodni wiatr wiał przez trzy dni. I przywiał na brzeg dary morza.

Osada dowiedziała się o nich od mężczyzn powracających łodzią z ćwiczeń. Kraby. Morze wyrzuciło na brzeg bardzo dużo krabów. Można je było zbierać całymi wozami i wykorzystać jako nawóz na polach. Przyptyw przyniósł jeszcze coś _ działa z wraku francuskiego statku kaperskiego.

Całe Merrymeeting zebrało się na polanie z wozami i platformami, by wspólnie udać się na plażę po kraby. Akurat gdy zbierali się do drogi, Ty wynurzył się z puszczy na swoim stępaku. W kaptanie z kozłej skóry, obszytym frędzlami, w mokasynach do kolan i lisiej czapie wyglądał jak dzikus z głębi kniei.

Wzrok Delii natychmiast powędrował ku niemu, ale ledwo na nią spojrział, czym prędzej odwróciła głowę, jakby dostrzegła coś niezwykle interesującego po drugiej stronie polany.

Kocha mnie! - śpiewała jej w duszy. Ten refren nie opuszczał Delii od trzech dni. Kocha mnie! -

powtarzała, ale zaraz ogarniała ją rozpacz ciężąca kamieniem na sercu, a oczy piekły od łez. Za późno!

Za późno! Za późno!

Delio, piekłaś kiedyś omułki w ognisku? - zapytał z uśmiechem Nat. Siedział obok niej na wozie w wyjątkowo dobrym humorze.

Nat - jej mąż.

- Nie, nigdy - pokręciła głową, siląc się na uśmiech. - To może być zabawne.

Za późno! Za późno! Za późno!

- Są pyszne! - dodał i odwrócił się do Meg i Tildy, siedzących z wyciągniętymi nogami z tyłu na wozie.

- Prawda; dziewczynki?

Nat ostatnio nieco złagodniał. Chociaż nadal odnosili się do siebie bardzo ceremonialnie, z jego oczu zniknął wyraz tamtej czujnej rezerwy i od czasu do czasu potrafił się nawet zdobyć na uśmiech. Delia spodziewała się awantury w związku z wypadkiem z siekierą, ale Nat okazał się bardziej zmartwiony niż zły. Podobnie zresztą zareagował, gdy omal nie utonąła,

próbując ratować lalkę Tildy.

- Jest w tobie wiele dobroci - powiedział jej, gdy tamtego wieczoru szli spać. - Prawdziwej dobroci.

Widać to szczególnie w kontaktach z dziewczynkami. Przywiązują się do ciebie. Nawet Meg cię polubiła - dodał z cieniem uśmiechu. A potem popatrzył na nią badawczo, jakby tak naprawdę dopiero teraz odkrył jej istnienie.

Dziesięćmilowy trakt na plażę były to dwie koleiny wyłożone przez wozy. Rzeczywiście, ziemię przy ujściu rzeki pokrywały tysiące krabów wyrzuconych przez morze. Ich szare, gładkie skorupy połyskiwały w promieniach słońca. Ponieważ wiele z nich jeszcze się ruszało, zasłana nimi ziemia zdawała się falować na podobieństwo morza.

Na plaży napełnili wozy skorupiakami. Nieco z boku, zakleśzczony między dwiema skałami, które porastały glony, wśród szczątków statku, leżał drugi dar morza - odlane z żelaza działo na trzyfuntowe kule. Zgromadzeni nad nim mężczyźni debatowali z przejęciem, bo jeden wystrzał z tego działa mógłby skutecznie zniechęcić Abenaków do wstępowania na ścieżkę wojenną.

- Można by je zaciągnąć wołami do blokhauzu - zaproponował pułkownik Bishop, w zamyśleniu trąc czerstwy policzek. - Jest zagwożdżone. Jak sądzisz, Sam, da się z niego wystrzelić?

Rudowłosy kowal niemal pieszczotliwie pogładził lufę.

- Tak. Ale nie mamy kul. Szkoda, że Francuzi nie dorzucili nam paru kul, gubiąc armatę.

- Można z niej strzelać ładunkiem z kul do muszkietów. Efekt będzie ten sam - odezwał się Ty i podniósł wzrok, podchwytyjąc spojrzenie Delii. Ona zaś, mrużąc gniewnie oczy, odwróciła się tyłem. -

Potrzebny jest jedynie proch, no i lont - dokończył, patrząc ze zmarszczonym czołem na plecy Delii.

Mając wozy pełne skorupiaków i problem działa rozwiązany, przynajmniej teoretycznie, ludziska z Merrymeeting skupili się na głównym punkcie programu - na pieczeniu omułek.

Pogoda tego popołudnia niezwykle im sprzyjała. Zazwyczaj w letnie miesiące nad morzem, wzdłuż brzegu, wisiała szara warstwa gęstej mgły. Ale sztorm rozwiął opary i linia horyzontu była niebieska i czysta. Jaskrawe słońce aż oślepiało, powietrze było krystaliczne, a po bezchmurnym niebie śmigały ptaki.

Osadnicy podzielili się na grupki, by przygotować ogniska.

Nat poprowadził Delię do ich sąsiadów, Sewallsów, a wkrótce dołączyli do nich Sam i Hannah Randolfowie razem z dziećmi. Delia była zdumiona, widząc Hannah na nogach tak szybko po porodzie. Kobiety, wśród ochów i achów, podziwiała maleństwo, leżące wygodnie w wiklinowym koszyku i ssące szmatkę, a Meg i młody Daniel Randolf z miejsca się posprzeccali o to, które z nich zje więcej omułek.

Delia była przekonana, że Ty wkrótce znajdzie się przy ich ognisku, więc na wszelki wypadek przybrała minę uprzejmej obojętności. Udając brak zainteresowania, czekała w napięciu, śledząc spod oka każdy jego krok.

Ty jednak przyłączył się do Bishopów.

Osadnicy układali kręgi z kamieni, a w środku umieszczali podpałkę. Ogień niecono, uderzając metalem o krzemień. Iskry sypały się na odrobinę prochu, od którego z kolei zapalał się lont, ułożony na kawałeczkach brzoźowej kory. Gdy kora się rozpałała, nakrywano ją dużą ilością chrustu, bo kamienie musiały mocno się nagrzać.

Przy akompaniamencie huku morza, bo fala nadal była wysoka, ludzie przechadzali się po kamienistej plaży i patykami wydłużali skorupiaki z piasku i błota. Delia znalazła małego zielonego kraba i gdy szturchnęła go patykiem, usłyszała za plecami znajomy głos.

- Uważaj, dziewczyno. To złośliwa mała bestia. Przyczepia się do palca u nogi albo u ręki i nie daje się oderwać.

Zerwała się i energicznym krokiem ruszyła przed siebie _ byle dalej od niego. Ręka Tylera zamknęła się na jej ramieniu, jednym ruchem odwrócił ją ku sobie. Gwałtowny obrót naciągnął szwy na udzie, zacisnęła zęby, żeby nie krzyknąć z bólu.

Oczy Tylera wwiercały się w nią - nieugięte, bezwzględne. - Masz zamiar cały dzień na zmianę piorunować mnie wzrokiem albo udawać, że mnie nie widzisz?

- Pochlebia pan sobie, doktorze Savitch. Do tej pory nie za-uważałam, że pan tu jest.

- Musimy porozmawiać.

- Nie mamy o czym. Och, chyba że ma pan na myśli honorarium za zszycie rany. Powiem mojemu mężowi. Trochę krucho u nas teraz z gotówką, może wystarczą dwa kurczaki. Albo mały prosiaczek?

- Delio, do diabła ... ! - Zacisnął szczęki.

- Przepraszam doktorze, mój mąż mnie woła.

Przemknęła obok niego i podbiegła do Nata, który, zajęty wyplątywaniem jaskrawopomarańczowej rozgwiazdy z włosów Tildy, ani myślał rozglądać się za nią.

W czasie gdy mieszkańcy osady zbierali skorupiaki, ogniska zdążyły się wypalić. Gorące hamienie omieciono z popiołu świerkowymi gałęziami i nasypano na nie całe wiadra omułków, układając na nich warstwę krabów. Wszystko to przykryto wodorostami, by zapobiec nadmiernemu parowaniu.

Gdy owoce morza zostały zjedzone i obficie splukane jabłecznikiem i świerkowym piwem, zaczęto zbierać je do domu. Kobiety zwoływały dzieci i ładowały rzeczy na wozy. Delia rozejrzała się ostrożnie, by sprawdzić, czy Ty jej nie obserwuje.

Nie patrzył na nią. Stał przy wyłowionym dziale, pogrążony w rozmowie z pułkownikiem Bishopem i Samem Randolfem. Zapewne debatowali, jak zaciągnąć tego kolosa do Merrymeeting. Nabrawszy

pewności, że Ty nie podąży za nią, Delia powiedziała Natowi, gdzie w razie czego ma jej szukać, i poszła nad morze, utykając lekko na chorej nodze. Całe popołudnie coś ją nurtowało i miała zamiar lepiej się temu przyjrzeć.

Owo "coś" było ogromną pryzmą z muszli ostryg, wyższą i szerszą niż jakakolwiek budowla, jaką miała okazję widzieć. Warstwa guana pokrywała pryzmę na podobieństwo śniegu. W szczelinach między muszlami znalazły mieszkanie pobrzechki, a tu i ówdzie wiły się całe pasma białych pijawek, przyssanych do śliskich muszli. Delia przesunęła dłonią po ciasno zestawionych skorupach, czując na zmianę gładkość powierzchni i ostrość krawędzi. Skąd wzięła się tutaj ta hałda? Na pewno nie była wytworem natury. A więc ułożył ją człowiek. Lecz ~ jakim celu? Musiała być bardzo stara.

Czy stała tu od dziesiątków lat, czy od wieków?

Zanim go zobaczyła, intuicyjnie wyczuła jego obecność. Odwróciła się powoli. Stał przed nią.

Najpiękniejszy mężczyzna, jakiego w życiu spotkała, jedyny, którego kochała, ten, którego pragnęła.

I ten właśnie mężczyzna powiedział jej - zbyt późno - że ją kocha.

- Delio ...

- Nie waż się mówić, że mnie kochasz, bo nie chcę tego słuchać.

- Kocham cię! - krzyknął jej w twarz. Rzuciła za siebie niepokojne

spojrzenie w obawie, że ktoś mógł to słyszeć, i szybko odeszła do następnej pryzmy. Ty podążył za nią.

Zatrzymała się parę metrów przed pryzmą. Musiała zadrzeć głowę, żeby zobaczyć jej szczyt.

- Co to właściwie jest? - Machnęła ręką w kierunku pryzmy.

- Nikt nie wie. Wzniesli je ludzie, którzy zamieszkiwali te obszary tysiące lat temu. Abenakowie nazwali ich ludźmi ostrzygowych muszli. Trudno zgadnąć, co oni zrobili z tymi ostrygami, zjedli je, używali jako nawozu, czy też ...

- Jak długo?

Ty potrzaskał głową, pasmo wijących się włosów opadło mu na czoło.

- Jak długo mnie kochasz?

- Od tamtego popołudnia na Falmouth Neck. - Nie spuszczał oczu z jej twarzy. - A może odkąd•

ujrzałem cię łowiącą ryby ze starym Indianinem. Cholera, kto wie, czy nie od chwili, gdy zobaczyłem cię po raz pierwszy, jak w nieprzyzwoitej i uwodzicielskiej pozie leżałaś w moim łóżku!

- Ty łajdaku! Dlaczego nic nie powiedziałeś?! Czemu łągałeś mi w oczy, że cię nie obchodzę, i pozwoliłeś, bym wyszła za innego?! Och, mam nadzieję, że czujesz się cholernie podle i że cierpisz męki!

- Cierpię, Delio.

Chyba mówił prawdę. Cerę miał szarawą, oczy przekrwione, a nad wystającymi kośćmi policzkowymi pojawiły się głębokie bruzdy. Pewnie z powodu zbyt dużej ilości wypijanego alkoholu.

I złamanego serca - pomyślała Delia, czując, jak jej własne ściska się z bólu.

- Cierpię, Delio - powtórzył.

- I bardzo dobrze!

Okręciła się, trzepocząc spódnicą, i poszła brzegiem, omijając połyskujące sterty brunatnych, gumiatych wodorostów, wyrzucanych podczas przyływu. Pośliznęła się na nich, a gdy przytrzymał ją za łokieć, wyrwała rękę.

- Dlaczego idziesz za mną? Chcesz, żeby całe Merrymeeting dowiedziało się, że czujesz pociąg do żony sąsiada?

Tak naprawdę to nikt ich nie mógł w tej chwili widzieć, bo zasłaniały ich hałdy z muszli.

- To nie pociąg - zaprotestował Ty.

- Cholera jasna, a co to jest?!
- Przestań kląć. Wyrażasz się gorzej od ...
- Dziewki z szynku? - zapytała, zastępując mu drogę.

Ściągnęła czepek i potrząsnęła głową. Włosy, rozwiane przez wiatr, przesłoniły jej twarz. Stała przed nim i wiedziała, że z włosami połyskującymi rudo w promieniach czerwonego słońca, z zaróżowionymi od wiatru policzkami i ustami wilgotnymi od morskiej mgły wygląda pięknie.

Patrzyła, jak oczy ciemnieją mu z pożądania, słyszała jego przyśpieszony oddech, widziała pulsującą żyłkę na szyi. Domyślała się, co może dostrzec niżej.

Z rozmysłem przeniosła wzrok na jego przyrodzenie. Wyraźnie zarysowana wypukłość była dowodem jego głodu, jego pragnienia, jego pożądania.

Zawisła tam spojrzeniem na moment i powędrowała wzrokiem po piersi, zatrzymując oczy na jego zaczerwienionej twarzy. Prawie mu współczuła. Jako mężczyzna nie był w stanie ukryć podniecenia. Skąd mógł wiedzieć, że jej piersi prężą się pod materiałem ciężkiej sukni, że spódnica kryje drżenie kolan, że w podbrzuszu wzbiera gorącą wilgocią tęsknota za zaspokojeniem?

Westchnęła głęboko, by się opanować, czym ściągnęła wzrok Tylera na swe piersi.

- Niech ci będzie, Delio, masz rację - jęknął gardłowo, twarz mu jeszcze bardziej poczerwieniała - to pożądanie. Ale wiedz, że cię kocham. Chcę z tobą żyć. Ożenić się z tobą.

- Jestem żoną Nata.

- Nie kochasz go!

- Moje uczucia w stosunku do męża nie powinny cię obchodzić.

Już miał odejść, ale, zmieniwszy zamiar, niespodziewanie złapał ją w ramiona i przycisnął do siebie, przywierając do jej ust, zanim zdążyła zaprotestować.

Zresztą było za późno na protesty. Nawet nie udawała, że się opiera, obezwładniona targającymi nią emocjami. Oddawała mu głębokie pocałunki i z ochotą nadstawiała usta na inwazję jego łapczywego języka. Wreszcie oderwali się od siebie, łapiąc powietrze. W obawie, by nie osunąć się na ziemię u stóp Tylera, wczepiła palce w jego koszulę.

- Delio, najdroższa, moje kochanie. Odejdź ze mną - szeptał, pocierając policzkiem o jej włosy.

- Nie mogę. Wiesz, że nie mogę! - krzyknęła z twarzą wykrzywioną bólem.

Wcześniej chciała, żeby Ty przez nią cierpiał, żeby tak jak ona znosił męki z miłości. Ale zemsta miała gorzki smak, bo to ona była tą, która cierpi.

- Nie mogę - powtórzyła płaczliwie.

Ujął w dłonie jej twarz, zmuszając, by patrzyła mu prosto w oczy.

- W takim razie powiedz, że mnie nie kochasz.

Tak właśnie zrobi. Powie mu, że go nie kocha, a wtedy on zostawi ją w spokoju.

- Ja ... och, nieważne. Jestem mężatką. Ja ...

Sięgnął ustami do jej warg, ale tym razem wykręciła głowę na bok.

Dłonią podłożoną pod kark uniósł

jej twarz do góry i leciutko, pieszczotliwie wodził kciukiem wzdłuż szyi

...

- Puść mnie - błagała.

- A jeśli nie? A gdybym tak uniósł cię daleko w głąb puszczy, gdzie nikt by nas nie znalazł?

Krew zaszumiała jej w uszach głośniejsze niż wzburzone fale za plecami. Ledwo słyszała własną odpowiedź:

- N-nie zrobiłbyś tego.

- Nie? - Kciuk Tylera nie ustawał w wędrówce po szyi, a usta znajdowały się o milimetr od jej twarzy.

Bała się, że zemdleje. _ To podobne do dzikusa z plemienia Abenaków i niech diabli: porwą prawa i zasady białych ludzi - mówił, gładząc jej szyję .. - Pamiętaj, że jestem po części dzikusiem, a ty jeszcze bardziej pobudzasz tę dziką część mojej natury. Co więcej, Delio, sposób, w jaki reagowałaś na moje pocałunki, daje mi prawo sądzić, że nie były ci wstrętne.

Wyzwolili się z jego uścisku i odstepiła o krok.

- Będę z tobą walczyć, Ty. Będę walczyć tak długo, aż się od ciebie uwolnię.

Grymas wykrzywił mu twarz. Tym razem było to cierpienie, nie gniew. Łzy napłynęły jej do oczu.

Przytuliła się do niego i chwyciła za rękę.

- Och, Ty, dlaczego muszę się przed tobą bronić? To mnie zabija ...

- Więc odejdz ze mną - ścisnął jej dłonie.

Odwróciła się od niego i przyłożyła pięści do ust, by stłumić łkanie. Policzki miała mokre od łez.

- Proszę, nie żądaj tego ode mnie. Nie mogę, nie mogę ...

- Kochanie, proszę cię, nie płacz. - Starł opuszkami palców wilgotne ślady z jej policzków.

- Ty, nie mogę ich zostawić. Złożyłam obietnicę Natowi, dziewczynkom. Przysięgałam przed Bogiem.

Tobie się wydaje, że skoro jestem kobietą, nie mam honoru. Tak nie jest, Ty.

- Sądziłem, że to mnie kochasz - powiedział z goryczą. Popatrzyła w tak drogą jej twarz.

- Kocham. Zawsze wiedziałeś, jak bardzo cię kocham. Ale co z Natem? Ożenił się ze mną w dobrej wierze. Powierzył mi swoje dzieci. Dziewczynki zaczynają się do mnie przekonywać. Skrzywdziłabym je, odchodząc, przecież niedawno straciły matkę. Czy moglibyśmy zbudować szczęście na ich cierpieniu? Jak mogłabym żyć, straciwszy szacunek do samej siebie? I jakie wtedy byłoby nasze wspólne życie?

Ty ujął w dłonie jej twarz i popatrzył głęboko w oczy.

- Delio, moja najcudowniejsza Delio - mówił, a jego wzrok potwierdzał szczerłość wyznania -

podziwiam twoją dumę, godność i siłę. Dlatego właśnie cię pokochałem.

- W takim razie rozumiesz ...

- Rozumiem, do diabła! - Opuścił ręce i uniósł głowę ku niebu, zaciskając zęby tak mocno, aż zaznaczyły się żyły na szyi. - Cholernie mi na tobie zależy. Bez ciebie ... - Przełknął ślinę i zadygotał. -

Potrzebuję cię, Delio.

Nigdy nie widziała go takiego zboląłego. Nie mogła tego znieść. Zaczęła biec plażą. Nie zatrzymywał

jej.

Odwrócił się twarzą do morza i zacisnął powieki. Kiedy otworzył oczy, bezkresny, niebieski, pusty ocean nadal był na swoim miejscu.

- Boże! - wyszeptał z rozpaczą.

- Nie, i koniec dyskusji!

Delia spojrzała przez ramię na skulone ze strachu dziewczynki i wyszła za Natem przed dom, zamykając za sobą drzwi od komory. Nat przysiadł na stopniu i nakładał buty na wełnianych podeszwach, z krótkimi, luźnymi cholewkami, przeznaczone do pracy na błotnistym terenie. Szedł

dzisiaj z mężczyznami na wycinkę do lasu.

- Nat, to tylko kilka godzin przed południem.

- Nie. - Podniósł się i niezgrabnie przytupnął, by wcisnąć pięty w buty, krzywiąc się przy tym, bo zabolął go kikut.

- Ale wszystkie dzieci z Merrymeeting będą chodzić do nowej szkoły - argumentowała Delia, starając się panować nad głosem. _ Poczują się gorsze.

Nat zdjął z głowy kapelusz, przeczesał palcami płowe włosy i nasadził go z powrotem.

- To dziewczynki. Do czego im nauka? Poza tym są potrzebne w gospodarstwie. Dużo tu roboty. Może gdybyś ... _ Urwał, ale Delia wiedziała, co chciał powiedzieć: Może gdybyś lepiej sobie radziła.

Złapał topór do ścinania drzew i ruszył przez polankę. Jego wysoka sylwetka w modrym kubraku stanowiła dysonans z jeśiennym tłem lasu.

- Pamiętasz, co mówił pastor? - nie rezygnowała Delia, podbiegając do niego. - Chrześcijańscy rodzice mają obowiązek nauczyć dzieci czytać Biblię.

- Ty to zrobisz, Delio - przystanął, piorunując ją wzrokiem. _ Chyba potrafisz, po tych wszystkich godzinach, które spędziłaś u Bishopów, podobno ucząc się liter - zakończył.

Poły kubraka obijały się o uda w rytm energicznie stawianych kroków. Podbródek Delii powędrował do przodu.

- Zaprowadzę je, Nat, czy się zgadzasz, czy nie! - wrzasnęła mu w plecy.

Odwrócił się gwałtownie i uniósł pięść.

- Niech cię piekło pochłonie, kobieto!

Odstąpiła o krok, bardziej pod wrażeniem przekleństwa niż groźby uderzenia. Pierwszy raz słyszała takie słowa w ustach Nata.

- W ciągu dziesięciu lat moja Mary nie sprawiła mi tyle kłopotów co ty przez trzy miesiące! Bóg mnie

... _ nie kończąc, obrócił się na pięcie i po raz trzeci podjął wędrówkę. Znowu pobiegła za nim.

- Pokarał tym małżeństwem, tak? - dokończyła z zaciętą mięną. Musiała złapać go za rękaw, żeby się zatrzymał.

Przez ślub z tym mężczyzną zrezygnowała z miłości i szczęścia. Ostatnio postanowiła wypełnić złożoną przysięgę. Sprawি, by ich małżeństwo zaistniało naprawdę.

- Jestem twoją żoną, Nat, i musisz się z tym pogodzić _ narętała. - A im prędzej przestaniesz porównywać mnie z Mary, tym łatwiej będzie nam

o bojgu.

- Mary ...

- Nie żyje! - potrząsnęła go za ramiona. - Nat, Mary nie żyje. A ja jestem żywa. I jestem twoją żoną!

Potrzebuję cię .. Potrzebujemy siebie nawzajem.

- Zaprowadź dziewczynki do szkoły. - Oderwał jej rękę. - Zrób, jak chcesz. I tak byś postąpiła po mojemu - zaśmiał się szorstko. - A teraz puść mnie. Muszę iść.

Październikowy poranek był raczej chłodny, a wyżej, na wzgórzach, w obozie drwali, powietrze wydawało się jeszcze ostrzejsze. Okolica mieniła się tęczą kolorów. Zestawienie bladozielonych i złotych liści brzoź i osiki z przytłumioną purpurą wiązów oraz pomarańczowoczerwonymi koronami klonów na tle ciemnej, soczystej zieleni świerków było niezwykle malownicze.

Ale Nat Parkes nie zwracał uwagi na piękno krajobrazu. Dla niego natura była terenem bezustannych zmagania. Ziemię pod pola należało oczyścić z pni i kamieni, drzewa pościnać. Gdy patrzył na majestatyczny sosnowy las, liczył w myślach pęcherze, których dorobi się przy jego wyrębie.

Tego dnia do mężczyzn z Merrymeeting dołączyły grupy drwali z dwóch innych osad nad rzeki Kennebec. Mieli zrobić przecinkę do transportu pni, zanim zajmą się wyrębem. Przez kilka tygodni będą przygotowywać szeroki leśny trakt, a w zimie zetną wysokie sosny i przetransportują je na saniach na brzeg rzeki. Gdy pod koniec marca puszczą lody, spławią pnie rzeką do Merrymeeting, by stamtąd przesłać je statkami do Anglii, gdzie posłużą do budowy królewskich okrętów. Od zniw w październiku do czasu zasiewów w kwietniu farmerzy z Maine utrzymywali rodziny z wyrębu lasu.

Pułkownik Bishop podzielił mężczyzn na drużyny. Zazwyczaj mieszkańcy tej samej osady pracowali razem, ale tak się złożyło, że Nat trafił do grupy z Topsham na miejsce farmera, który akurat tego ranka spadł ze stogu i złamał nogę. Mężczyźni pracowali dwójkami. Nat wybrał chłopaka, który przypominał mu jego samego sprzed lat. Obaj byli wysocy, kościści i mieli kołnospne czupryny, z tą tylko różnicą, że na twarzy chłopca nie było zmarszczek i bruzd.

- Zraniłeś się w nogę? - zapytał chłopak, widząc, że Nat utyka.

- Ummm. - Nie miał ochoty na dalsze wyjaśnienia. Gdyby powiedział mu o drewnianej stopie, chłopiec pewnie chciałby ją zobaczyć, tak jak to było z

Delią. Delia ...

Nat widział, że chłopak, ubrany jedynie w płócienną myśliwską koszulę, trzęsie się z zimna.

- Powinieneś być zabrać kapotę - zauważył półgębkiem, gdy nieco zasapany wspinał się za swym młodszym towarzyszem ku kępie sosen, gdzie przydzielono im miejsce.

- Nie myślałem, że na wzgórzach będzie tak zimno - odpowiedział z uśmiechem chłopak, nie bacząc

na krzywą minę Nat'a. - Ta twoja kurtka musi być ciepła.

- Moja żona ją zrobiła. Jest świetną prządką i tkaczką. Natowi czasami zdarzało się zapominać, że Mary nie żyje. Tę modrą kurtkę nosił nie tyle ze względu na grubość, co jej jaskrawy kolor. Był w niej widoczny na tle zieleni. Łatwo można zginać przy ścinaniu drzew. Drzewo potrafi pęknąć albo runąć w złą stronę; zdarza się, że martwa gałąź, nazywana w żargonie drwali owdowiaczem, spadnie na głowę i zabije człowieka albo pień stoczy się z sań i okaleczy lub przygniecie na śmierć. Och, wiele niebezpieczeństw czyha na ludzi w Maine. A Mary - pomyślał z nagłym ukłuciem bólu - zachorowała na gardło i w tydzień było po niej.

Nat zrobił karb na wybranym drzewie. Wziął zamach siekierą, mięśnie nabrzmiały mu jak węzły, uderzył w pień. Teraz po przeciwnej stronie drzewa stanął chłopak. Rąbali na zmianę. Z powodu protezy Nat był zmuszony przerzucać ciężar ciała na zdrową nogę, przez co jego zamachy wydawały się niezgrabne. Ale trafiał

. w nacięcie i z satysfakcją stwierdził, że rąbał głębiej niż jego towarzysz.

Regularne uderzenia toporów odbijały się głuchym echem w leśnej ciszy. Każdy cios wyrąbywał klin z wnętrza pnia. Gdy ścięli drzewo prawie do końca, chłopak odsunął się, by powalił je Nat. Ogromna sosna zachybotła i runęła na ziemię z potężnym trzaskiem, wzbijając w powietrze tuman piachu i igliwia.

Zapanowała cisza, opadł kurz. Wtedy z lasu dobiegło ich ostre, przeciągłe wycie wilka. Chłopak zadygotał.

- Mówiłem ci, że zmarzniesz bez płaszcza - powiedział Nat, chociaż z wysiłku pot płynął mu po plecach.

Wilk zawył ponownie, tym razem gdzieś bliżej. Nat zmarszczył brwi. Kolejne zagrożenie - pomyślał.

Można zostać rozszarpanym przez stado wilków.

Zacisnął mocniej dłoń na trzonku topora i zrobił nacięcie na następnej

sośnie.

Elizabeth i Delia szły obok siebie koleinami prowadzącymi do farmy. Lekki wiatr szeleścił w rzysku po kukurydzy. Ścięli ją przed tygodniem, a teraz złotobrazowe rzędy kolb, powiązanych w pęki, wisały u powały w kuchni Delii. Urządzili poczęstunek połączony z łuskaniem kukurydzy, ale Ty, mimo zaproszenia, nie przyszedł.

Delia rzucała dyskretne spojrzenia na przyjaciółkę. Elizabeth była w piątym miesiącu i wyglądała kwitnąco. Co jakiś czas odruchowo przeciągała dłonią po brzuchu, jakby sprawdzała, czy dziecko nadal tam jest. Ten powtórzony kolejny raz gest rozbawił Delię.

— To miło, Elizabeth, że zgodziłaś się pójść taki szmat drogi, by mi pokazać, jak kręcić tym przeklętym kołowrotkiem.

Ach, drobiazg. - Twarz Elizabeth była pogodna i odprężona. Dziwne pomyślała Delia - wygląda na to, że ciąża nastawiła Elizabeth pozytywnie do życia na tym odludziu.

Każdy kołowrotek ma swoje tajemnice - tłumaczyła Elizabeth. Dlatego najlepiej, żebym uczyła cię prażyć na twoim.

— Na Mary - sprostowała Delia.

— Teraz jest twój.

Nat by się z tym nie zgodził - przemknęło Delii przez myśl, ale nie powiedziała tego głośno. Gdy mijały sad, zauważyła pod drzewami mnóstwo jabłek, strąconych przez wiejący w nocy wiatr.

Chodź. Wzięła Elizabeth za rękę. - Nazbieramy jabłek. Niech się pieką, gdy my będziemy prażyć.

Dziewczynki ucieszą się z niespodzianki, kiedy wrócą do domu po pierwszym dniu w szkole.

- Jesteś dla nich bardzo dobra - zauważyła z uśmiechem Elizabeth, dając się prowadzić do sadu. -

Założę się, że oboje z Natem czekacie na wasze dziecko.

Delia prędko odwróciła głowę, więc przyjaciółka nie zdążyła zobaczyć łez w jej oczach. Nigdy nie będzie miała dziecka, jeżeli

Nat nie przestanie sypiać w składziku. A zresztą to z Tylerem chciała mieć dziecko, nie z Natem.

Zbierała czerwone, lśniące owoce w spódnicę swej wierzchniej sukni. Elizabeth zażartowała, że dziecko zbyt mocno wypycha jej suknię, by zmieścić tam jeszcze jabłka. Radosny śmiech kobiet zadźwięczał w rześkim

październikowym powietrzu.

Ogromny klucz dzikich kaczek przeleciał nad ich głowami.

Ptaki na chwilę przesłoniły przymglone jesienne słońce, a trzepot ich skrzydeł zabrzmiał złowieszczo jak grzmot. Zrobiło się jakby ciemniej i chłodniej, gdzieś w tle rozległo się wycie wilka.

Elizabeth zadrżała, w jej oczach pojawił się dawny strach.

Obronnym gestem nakryła dłońmi brzuch.

- Coś mi się tu nie podoba ... - zaniepokoiła się Delia. Ogarnęło ją złe przeczucie. W takiej chwili jej ojciec powiedziałby, że ktoś właśnie splunął na jej grób.

Instynktownie spojrzała na dom ... Powietrze rozdarł jej przeraźliwy krzyk.

Nat wbił topór w pniak i usiadł przy ognisku, grzejąc ręce o kubek z gorącym jabłecznikiem. Świeże pęcherze na dłoniach piekły żywym ogniem, więc krzywił się, ściskając kubek; trzeba namachać się siekierą przez kilka tygodni, zanim pęcherze zmiećnią się w ochronną warstwę twardych odcisków.

Nat puszczał mimo uszu żarty i śmiechy drwali, z którymi przyszło mu spędzić przerwę. Nie znał zbyt wielu mężczyzn z Topsham i nie bardzo interesowały go ich rozmowy. Pograżył się w rozmyślaniach o tym, co powiedziała, a właściwie wykrzyczała mu rano Delia ... Ma przyjąć do wiadomości, że Mary nie żyje i że teraz ona jest jego żoną. Hmm ...

Delia ...

Nadal nie wiedział, co do niej czuje. Czasami doprowadzała go do ostateczności. Ale musiał przyznać, że w stosunku do dziewczynek jest czuła i kochająca. No i jest ładna. Bywały dni, że zapierało mu dech w piersiach, gdy na nią patrzył. W czasach zalotów do Mary jego wyobraźnia nigdy nie pozwoliłaby sobie na takie obrazy ...

Odepchnął tę niepokojącą myśl.

Zamiast tego pomyślał o synach. Przydałoby się paru chłopaków w gospodarstwie. Był

rozczarowany, że Mary obdarzyła go aż dwiema córkami. Delia, co prawda, też jest wąska w biodrach, ale ten jej nieco swawolny wygląd każe przypuszczać, że poczęłaby chłopca.

Obraz rozswawolonej Delii, leżącej pod nim i poczynającej mu syna, wywołał mrowienie w łądźwiach.

Nie pierwszy raz zdarzało mu się podniecić na myśl o Delii, ale poczucie

winy, piekące poczucie winy, fatalnie wpływało na erekcję• Nie mógł zranić Mary, zdradzić jej, bo i tak nic by z tego nie wyszło, dopóki wyobrażał ją sobie patrzącą na nich z nieba.

Postarał się o bezpieczniejszy temat do rozmyślań. No, na przykład, świnioobicie. Trzeba to zrobić w przyszłym tygodniu. Zakłuje świniaki i zasoli mięso w beczkach na zimę• Musi również wypalić trawy przed nadejściem pierwszych śniegów na tych kawałkach pola, które wykarczował w lipcu ...

Nat spostrzegł, że ścieżką z obozu mężczyzn z Merrymeeting, usytuowanego po drugiej stronie wzgórza, schodzi pułkownik Bishop w towarzystwie pośrednika, skupującego sosny na maszty.

. Mężczyzna trzymał niedbale muszkiet w jednej ręce i szedł dziarskim krokiem, machając ramionami. Tym razem Nat nie wziął ze sobą muszkietu. W tej chwili bardzo tego żałował, być może dlatego, że znowu zawył wilk. Spojrzał ponad ogniskiem na swego partnera. On także wstał. Też był niespokojny, również wyczuwał to “coś”, ale tym razem to Nata przebiegł dreszcz.

Rozległ się cichy gwizd. pułkownik Bishop wyrzucił ramiona w górę, wygiął się i padł twarzą na ziemię• Na dwie sekundy zapanowała kompletna cisza ... i las zatrzęsł się od stłumionych nawoływań, mrozących krew w żyłach pohukiwań i okrzyków przerażenia.

Wywijając maczugami i tomahawkami, pomalowani w barwy wojenne, nadzy wojownicy Abenaków wyskoczyli z lasu i rozproszyli się po polanie na podobieństwo os wykurzonych z gniazda. Przez chwilę Nat stał jak skamieniały. Widział, jak jeden z nich nachylił się nad pułkownikiem, by go oskalpować, i odskoczył zdumiony z ufryzowaną peruką w dłoni. Histeryczny chi-chot zabulgotał w gardle Nata na widok zdziwionej miny Indianina, ale już w następnej sekundzie śmiech zamarł mu na ustach, bo oto u jego stóp osunęło się ciało drwala z Topsham z głową równiutko odciętą tomahawką.

Mój Boże, zabiją mnie - dotarło do niego wśród gonitwy myśli. Rzucił się na pień, w który wbił topór.

Nie zdążył. Indianin pierwszy doskoczył do siekiery, wyrwał ją z triumfalnym skowytom i wbił w plecy mężczyzny, który akurat przebiegał obok niego. Do wojennych okrzyków dołączyły teraz suche trzaski broni palnej, chmury czarnego, gryzącego dymu unosiły się nad obozowiskiem.

Nat usłyszał, jak jego partner, płowowłosy chłopak, krzyknął przeraźliwie. Zobaczył wysokiego nagiego wojownika z pałąką w uniesionej miedzianej pięści ... Maczuga zawirowała nad nie osłoniętą głową chłopca ...

Nat rzucił się do ucieczki.

Strach paraliżował mu oddech, nic nie widział. Mimo słusznego wzrostu kiedyś był bardzo zwinny, ale to było, zanim stracił stopę. Biegł, kulejąc, przez obozowisko, by szukać kryjówki w grupie sosen, które dopiero co ścinał. Słyszał za sobą tupot, czuł na karku kwaśny oddech. Umrę - zadudniła mu w głowie przerażająca myśl - zaraz umrę. Usiłował przyspieszyć. DREWNIANA stopa podwinęła się i poczuł potworny ból w czaszce. ZATOCZYŁ się, wyrzucił ramiona w górę i zapadł w czarną czeluść.

Języki ognia z trzaskiem lizwały cedrowe gonty dachu, kłęby dymu biły w górę i opadały na podwórko deszczem gorącego popiołu i sadzy. Spłoszone rżenie konia przeszło w przeraźliwy kwik, gdy ostry nóż do skalpowania przeciął mu gardło i struga krwi wystrzeliła łukiem w powietrze. To zginęła gniada klacz _ ślubny prezent Tylera.

Usiłowały uciekać, ale nie dobiegły nawet do granicy ogrodu, gdy otoczyła ich nowa grupa dzikusów, która właśnie wynurzyła się z lasu. Indianie naigrawali się z nich; zataczali szerokie koła, straszili dzikimi okrzykami, przerzucali z ręki do ręki noże i tomahawki. Metalowe ostrza połyskiwały, odbijając płomienie pożaru.

Elizabeth, uczipiona ramienia Delii, z gardłem suchym z przerażenia, osłaniała wolną ręką wzdęty brzuch.

- Moje dziecko - jęczała. - Boże, nie pozwól im skrzywdzić mojego dziecka ...

Delia złapała ją w pasie i przyciągnęła do siebie. Nie czuła, że nadal trzyma jabłka w PODWINIĘTEJ spódnicy.

Wojownicy byli zupełnie nadzy. Nie nosili nawet przepasek na biodrach. Wszyscy mieli na piersiach wymalowane ochrą iden-tyczne wilcze głowy. Ich twarze też były pomalowane, ale tu panowała dowolność wzorów. U jednego z nich trzy cynobrowe kreski na obu policzkach wyglądały jak krwawe nacięcia. Inny, z twarzą pomalowaną na żółto, z białymi otoczkami wokół oczu, przypominał sowę.

Ich obficie natłuszczone miedziane ciała błysz-czały, oświetlane przez płomienie, a skóra wydzieliała zjęłczały zapach podobny do woni masła, które zbyt długo leżało na słońcu.

Przez trzask płomieni przebił się do uszu Delii odgłos dzwonu bijącego

na alarm w blokhauzie.

Wysoki wojownik o potężnych ramionach wysunął się przed swych współplemieńców. Jego szyję zdobił ciasny sznur jakichś dziwnych koralii. Indianin rozciągnął wargi, pokazując w drapieźnym uśmiechu białe, równe zęby, i warknął coś groźnie do kobiet.

- N-nie rozumiem. - Grdyka Delii poruszyła się kilkakrotnie, zanim zdołała wydobyć z siebie głos. -

Nie z-znam języka Abenaków.

Ręka Indianina wystrzeliła w górę i ostrze noża zatrzymało się na gardle Delii, przecinając skórę.

Poczuła, jak chłodna krew kapie jej po szyi, ale zmusiła się, aby nie okazać strachu i nie spuścić wzroku pod bezlitosnym spojrzeniem czarnych i twardych jak obsydiany oczu w twarzy o orlim nosie.

Ręka przytrzymująca rąbek spódnicy opadła jej wzdłuż ciała i jabłka potoczyły się po ziemi. Indianin odstąpił o krok i z chrapliwym śmiechem nabił jedno z nich na nóż. Gdy wgryzł się w jabłko, jego zęby zabłyśły w słońcu.

Wojownik kocim ruchem złapał drugą, wolną ręką Elizabeth za włosy i powiedział w swym gardłowym języku coś, co wywołało jeszcze większą wesołość wśród jego współplemieńców.

Elizabeth zakwiliła cicho jak konające zwierzę, a jej źrenice popłynęły ku górze.

- Trzymaj się. - Delia wbiła jej paznokcie w ramię. - Jeżeli zemdlejesz, oskalpują cię.

Na kołczanach i uchwytach tomahawków wisały świeże skalpy. Krew z nich jeszcze teraz kapala na ziemię. Jeden z nich bardzo przypominał rudobrazowe włosy Nancy Sewall.

Wysoki, podobny do skowytu dźwięk rozległ się gdzieś nad rzeką. Musiał to być jakiś umówiony sygnał, bo Indianie zaprzestali "igraszek" i prędko skrzępowali z przodu ramiona obu kobiet.

Do okręconych rzemieniem nadgarstków przywiązali skórzane pasy i ruszyli truchtem do lasu, ciągnąc je za sobą.

Biegli już dłuższy czas. Delii rozsadało płuca przy każdym oddechu i kłuło ją w boku. Bała się o Elizabeth i jej dziecko. Co jakiś czas obracała się do tyłu, by sprawdzić, co dzieje się z przyjaciółką, a wtedy poganiano ją szarpnięciem pasa tak silnym, że ramiona wrywały się ze stawów.

Zwolnili, wspinając się na wzgórze. Delia poznała, że kierują się do

obożu drwali. W jej duszy zatliła iskierka nadziei na ocalenie.

Chwilę później, gdy zawleczono je na polanę pokrytą ciałami zaszlachtowanych mężczyzn, nadzieję zastąpiło przerażenie. Powietrze cuchnęło krwią, prochem strzelniczym i trwogą. Nadzy Indianie o naoliwionych i pomalowanych ciałach wirowali wokół ogniska jak banda czerwonych diabłów.

Spomiędzy drzew po przeciwnej stronie polny wyłoniła się następna grupka czerwono-skórych, ciągnąc jeszcze jednego jeńca - Sarę Kemble.

Ona także musiała biec dłuższy czas. Twarz miała czerwoną jak burak i z trudem chwyciła powietrze.

- Zabili Sewallów. Zabili i oskalpowali, zwyrodniałe dzi-ku ... ! - krzyknęła na widok Delii i Elizabeth.

Pięść, która wylądowała na karku Sary, zmieniła jej okrzyk w rżenie. Delia rzuciła się do niej, ale Indianin ściągnął krótko pas. Elizabeth patrzyła przed siebie nieruchomym wzrokiem, nawet nie mrugając, jakby nieświadoma tego, co dzieje się wokół niej.

Jakiś Indianin tańczył przed Delią, wymachując tomahawkiem i poszczekując niczym pies. Delia odskoczyła i krzyknęła w odruchu paniki, ponieważ dzikus miał na wysmarowanej tłuszczem głowie perukę pułkownika Bishopa nasadzoną tyłem do przodu. Rozszerzone ze strachu oczy Delii przesunęły się po porozrzucanych na polanie zwłokach. Rozpoznała pułkownika po świecącej, łysej czaszce. Leżał rozciągnięty w poprzek ścieżki ze strzałą w plecach. Gorące łzy ścisnęły jej gardło.

Biedna Anna!

Już miała odwrócić głowę, nie mogąc dłużej znieść tego widoku, gdy powieki pułkownika lekko zadrżały. Z całej siły za-panowała nad twarzą, by nie zdradzić żadnej reakcji, bo gdyby Indianie zorientowali się, że pułkownik żyje, niechybnie dobi-liby go.

Pułkownik powoli uniół powieki i zatrzymał wzrok na twarzy Delii. Zdawał się przesyłać jej niemą wiadomość. Co było w tym spojrzeniu _ otucha, ostrzeżenie? Nie potrafiła odgadnąć. Następnie jego wzrok powędrował w bok, poza nią, i jego oczy otworzyły się nieco szerzej, pociemniałe ze zgrozy. Dokładnie w tej samej chwili rozległ się krzyk Sary Kemble, a jej prześladowca zamknął jej usta uderzeniem wierzchem dłoni. Delia, jak gdyby kierowana jakąś niewidzialną siłą, obejrzała się za siebie.

Ogromny Indianin, który zranił ją w szyję, nachylał się nad ciałem leżącym na skraju polany. Na

widok wykręconych w nie-naturalnej pozycji nóg w płóciennych butach i zakrwawionej nie-bieskiej kurtki Delii zabrakło z wrażenia tchu. Plecy Indianina zasłaniały głowę leżącego, lecz gdy przesunął się nieco, zobaczyła krwawą masę, która niegdyś była twarzą. Załkała cicho. Indianin wyprostował się powoli i spojrzał na nią z demonicznym uśmiechem. A potem odrzucił głowę do tyłu, wydał z siebie długi przenikliwy skowyt triumfu i uniósł do góry pięść. W zaciśniętej dłoni trzymał płowowłosa skalp.

22

_ Spokojnie, proszę się nie ruszać. - Ty łagodnym głosem instruował pułkownika Bishopa, wyciągając postrzępiony grot z jego barku. - No, już!

Strzała wyszła z głośnym cmoknięciem. Rana momentalnie wypełniła się krwią. Ty przycisnął do niej poskładany kawałek płótna. Jego nozdrza rozszerzyły się na skutek fetoru krwi, wciąż-ganego z każdym oddechem. Krew zdawała się wisieć w powietrzu jak mgła.

_ Przeżyję? _ zapytał pułkownik między urywanymi oddechami, gdy Ty pomagał mu usiąść.

_ Będzie pan tańczył z Anną już na Boże Narodzenie. - Ty oparł pułkownika o pień drzewa i przyłożył

mu kubek z wodą do spierzchniętych warg. - Widzę, że stracił pan włosy pułkownik zaśmiał się ze świstem i sięgnął ręką do czaszki, krzywiąc się z bólu. Wydawał się nieco zamroczony i jakby nie do końca rozumiał, co się właściwie stało.

- Co pan tu robi, Ty?

- Nastawiałem w Topsham złamaną nogę. Usłyszałem strzały i zobaczyłem dym. Wyglądało to tak, jakby płonęły wszystkie farmy po tej stronie Kennebecu.

Starał się nie myśleć o Delii. Jeżeli nie żyje, jeżeli to się już stało, nic nie może zrobić. Potem przyjdzie czas, by uporać się z bólem. O ile to w ogóle możliwe.

Ty, klęcząc na jednym kolanie przy pułkowniku, przyglądał się skutkom rzezi dokonanej przez Abenaków. Sądził, że po dzie-sięciu latach życia wśród nich śmierć nie robiła już na nim wrażenia, a jednak na ten widok poczuł szarpający ból w oczodołach, jak gdyby ktoś wbijał mu drzazgi pod powieki. Drzazgi pod powiekami - ulubiona tortura Abenaków!

Zmusił się do obejrzenia zwłok. Z ulgą pomieszaną z poczuciem winy stwierdził, że ciała muszą należeć do ludzi z Topshaw, bo żadne ze zwłok nie przypominało mu nikogo z MeJTy meeting. I wtedy jego wzrok zatrzymał się na znajomej niebieskiej kurtce. Nie można było rozpoznać twarzy zmiażdżonej maczugą Abe-naka.

- Nat Parkes - potwierdził pułkownik, idąc za wzrokiem Ty-lera. -

Widziałem, jak go oskalpowali. - I otworzył szeroko oczy, przypominając sobie jeszcze coś. - Oni mają ...

Trzasnęła gałązka pod czyjąś stopą. Ty zacisnął dłoń na gotowym do strzału muszkiecie i wycelował

go w kierunku hałasu, choć nie przypuszczał, by mógł to być Indianin, ten ktoś poruszał się zbyt głośno.

- Nie strzelaj, Ty! To ja! - Z lasu wyłonił się Sam Randolph, a za nim jeszcze dwaj mężczyźni z Merrymeeting. _ Słyszeliśmy strzały i ... Jeezu! - krzyknął, gdy jego oczom ukazał się pełny obraz jatki na polanie.

Ty położył dłoń na ramieniu Sama i spojrzał na bladą, pokrytą kropelkami potu twarz pułkownika.

- Właśnie mówiłem ... oni mają jego żonę.

- Żonę Sama?

- Nie. Nata. Delię. Te dzikusy mają Delię i panią Hooker, i Sarę. Sarę Kemble.

Po ciele Tylera przebiegł zimny dreszcz, a w uszach rozległ się potężny szum, jakby znalazł się przy wodospadzie.

- Jak byli pomalowani? - Usłyszał własny głos, dochodzący z oddali.

- Wilki ... - westchnął Giles Bishop i stracił przytomność. Ty podniósł wzrok na porośnięte świerkami, niebieskawe wzgórze na północnym wschodzie. Malsum - pomyślał. Wilk - totem szczepu Norridgewock.

Stopy Delii krwawiły. Poraniła je o niewidoczne pod warstwą brunatnego igliwia kamienie i korzenie.

Bardzo chciało jej się pić - miała tak sucho w ustach, jakby trzymała w nich bawełnianą szmatkę.

Każdy z trudem łapany oddech dźgał w płucach jak uderzenie toporem w drzewo.

Podążali szlakiem jeleni. Światło słońca, filtrowane przez gałęzie drzew, stało się mniej intensywne.

Odkąd opuścili obozowisko, cały czas biegli galopem. Indianie nie odczuwali zmęczenia, ale kobiety dyszały ciężko i co rusz się potykały. Gdy padały, pbdrywały je do biegu bezlitosne razy rzemieniem po udach i łydkach.

Na szczęście rozwiązano im ręce i Delia, opasawszy Elizabeth ramieniem, ciągnęła ją za sobą.

Oniemiała ze strachu Elizabeth zapadła w odrętwienie. Nieczuła na rzeczywistość i ból, nie zareagowała na uderzenie rzemieniem - nawet nie

jęknęła. Delia obawiała się, że gdyby ją puściła, przyjaciółka najzwyczajniej w świecie usiadłaby na drodze i bez jednego mrugnięcia patrzyła swymi szaroniebieskimi oczyma, jak tomahawk spada na jej głowę.

Delia nie miała wątpliwości, że dzikusy zabiłyby je, gdyby opóźniały marsz. Tak omal nie stało się z Sarą Kemble. Uszli może z milę, gdy grubaska potknęła się o kamień i runęła na ziemię, aż wysoki czepiec opadł jej na oczy. Klęczała na ziemi podparta na dłoniach, złorzecząc i łkając między jednym a drugim świszczącym oddechem. Indianin o paskudnie dziobatej twarzy stanął nad nią i ze spokojem uniósł do góry maczugę. Jeszcze chwila, a spuściłby ją na jej pochyloną głowę.

- Nie! - krzyknęła Delia i niewiele myśląc, odepchnęła go uderzeniem w ramię. To był potworny błąd, bo teraz Indianin odsłonił zęby we wściekłym grymasie i zamierzył się maczugą na nią. Czytała w jego oczach obietnicę śmierci. W oczach czarnych i twardych jak węgiel.

I wtedy wkroczył między nich inny Indianin. Był wyższy i lepiej zbudowany od pozostałych.

Najwyraźniej dowodził nimi, bo jedno jego krótkie warknięcie powstrzymało cios. A potem złapał

Delię za włosy i wyrzucił z siebie chrapliwą tyradę. Chociaż go nie rozumiała, nie miała wątpliwości co do znaczenia słów _ niech nie waży się zrobić tego po raz drugi.

- Lusifee! - powiedział, wbijając wskazujący palec w obojczyk Delii tak mocno, że aż stanęły jej łzy w oczach, a wtedy pozostali Indianie wybuchnęli śmiechem, chociaż na twarzy ich przywódcy nie było ani śladu wesołości.

Głowa stojącej na czubkach palców Delii znajdowała się na wysokości potężnej nagiej piersi Indianina. Miedziana skóra była gładka i zupełnie pozbawiona włosów. Spływały po niej krople potu.

Ze zdziwieniem zauważyła, że Indianin ma na szyi różaniec. To był ten sam wojownik z dziwnym naszyjnikiem, który straszył ją, jedząc jabłko. Ten, co oskalpował Nata. Nat...

- Lusifee - powtórzył Indianin, znów szturchając ją palcem, potem szarpnął ją brutalnie za włosy i pchnął przed siebie na ścieżkę.

Zatrzymali się tylko raz na krótki odpoczynek, kiedy Indianie wygrzebywali z kryjówki w ziemi przepaski na biodra i skórzane nogawice. Ubrali się błyskawicznie i znowu ruszyli galopem.

Niewątpliwie obawiali się pościgu osadników z Merrymeeting.

Dopiero gdy zapadły ciemności, zatrzymali się na dobre. Na nocleg

wybrali niewielką, pokrytą mchem polankę obok strumyka. Kobiety natychmiast padły przy źródle na kolana. Delia pomyślała, że w życiu nie miała w ustach nic lepszego od tej lodowatej wody. Jednak zdążyła wypić zaledwie kilka łyków, bo została odciągnięta od strumienia szarpnięciem za włosy. Znowu skrepowano im ręce i każdą z bramek przywiązano do jednego Indianina - jak niewolnicę do swego pana. Delia przypadła temu potężnemu wojownikowi z różańcem na szyi.

Przez cały wlokący się bez końca dzień liczba ich prześladowców topniała - odrywali się grupkami i znikali w lesie. Teraz zostało ich zaledwie trzech. Rozpalili małe, bezdymne ognisko, a jeden z nich wyciągnął z torby ze skóry niedźwiedzia suszone mięso i pieczoną kukurydzę. O dziwo, wszyscy przeżegnali się przed jedzeniem!

Ssali i rwali zębami suszone mięso, mlaskali głośno, obgryzając kaczany, naigrawając się z kobiet, które patrzyły na nich głodnymi oczami. Jedynie Elizabeth siedziała, patrząc prosto przed siebie nic nie widzącym wzrokiem.

- Przepraszam. - Sara Kemble nie wytrzymała i zapytała słabym, schrypniętym głosem: - Czy nie dalibyście nam czegoś do jedzenia?

Indianie zignorowali ją.

Delia przyglądała się mężczyźnie, do którego ją przywiązano.

Miał wydatne kości policzkowe, szeroki orli nos, skośne oczy o ciężkich powiekach, a proste czarne włosy bez ozdób opadały mu na ramiona. Ze sposobu, w jaki współplemieńcy zwracali się do niego, odgadywała, że musiał być kimś w rodzaju wodza. Podczas gdy inni śmiali się i żartowali, jego twarz nie zmieniała wyrazu. Było coś okrutnego w jego wyglądzie - wydawał się ostry i twardy jak tomahawk. Choć uratował ją od śmierci, nie miała wątpliwości, że mógłby je wszystkie pozabijać, gdyby tylko miał taki kaprys.

Jeszcze jeden szczegół podpowiadał jej, że nie można liczyć na jego litość. Z maczugi zatkniętej za pas na jego piersi zwisał pęk płowych włosów. To był skalp Nata.

Abenaka pochwycił wzrok Delii utkwiony w skalpie. Podniósł go ze złym uśmiechem i przesunął
palcami po pozlepianych krwią
pasmach włosów. .

- Ty krwiożerczy zwyrodnialcu - warknęła pod nosem, czując się w miarę bezpiecznie, bo nie znał

angielskiego. Jednak musiał właściwie odczytać jej ton, bo chociaż nie powiedział, zmrużył oczy i zacisnął usta.

Nie kryjąc nienawiści, Delia patrzyła mu prosto w twarz. Przez chwilę była jak Elizabeth - nie dbała, co się z nią stanie. Odkąd opuścili splądrowane obozowisko, aż do teraz koncentrowała się wyłącznie na tym, by nie upaść podczas galopu przez las. Wreszcie jej umysł skupił się na potwornej śmierci Nata. Jej sercem targnął ostry ból, przyprawiony wyrzutami sumienia. Ich ostatnia rozmowa była pełna złości. A Tildy i Meg? Strach pomyśleć! Dopiero co pogrzebały matkę, a już straciły ojca.

Przynajmniej są bezpieczne - pocieszała się w duchu. Na pewno. Nie widziała dziecięcych skalpów na indiańskiej broni. Wzniósła dziękczynną modlitwę za to, że podczas napadu dzieci były akurat na lekcji u Anny Bishop, chronione grubymi murami jej domu.

Po posiłku Indianie palili w milczeniu fajkę, podając ją sobie wkoło. Twarz jej prześladowcy - śniada, o ostrych rysach - przywiodła Delii na myśl Tylera. Ogarnął ją spokój. Nie wątpiła, że Ty ocalał i że pójdzie jej tropem. To tylko kwestia czasu, musi więc zrobić wszystko, by utrzymać siebie i pozostałe kobiety przy życiu, zanim Ty je odnajdzie.

Tytoń podział na mężczyzn usypiająco. Zapadła czarna noc, zrobiło się chłodniej. Delia miała nadzieję, że Elizabeth zasnęła, ale ona siedziała ze wzrokiem utkwionym w zarys drzew ponad ogniskiem.

Nagle Sara Kemble zaczęła kołysać się w tył i w przód.

- To wszystko wina Obadiaha. Posłał mnie z krzesłem do Sewallów. Nie chciałam tam iść - zawodziła.

Indianin Delii spojrzął na nią spod oka i zacisnął dłoń na maczudze. Ale Sara Kemble, nieświadoma zagrożenia, jęczała dalej:

- Nigdy nie lubiłam Nancy Sewall. Cieszę się, że ją oskalpowali. Tak jest, cieszę się. Ale mnie tu nie powinno być. To przez Obadiaha ...

- Zamknij się - syknęła Delia. - Chcesz mieć tomahawk w czaszce?

- Zabili twojego Nata - zawodziła Sara, wwiercając w Delię okrągłe jak koraliki złośliwe oczka. - Zabili i oskalpowali. Dobrze mu tak. To kara za to, że się z tobą ożenił. Mówiłam mu, że jesteś zwykłą dziwką z szynku, ale nie słuchał. Założę się, że żałował.

Delia odwróciła głowę i zacisnęła zęby, by zdławić krzyk furii.

Jej gniew zastąpiło pragnienie, by rzucić się na ziemię i bijąc w nią pięściami, łkać z rozpacz. Och, Nat! Nat!

Po wybuchu Sary pilnujący jej ospowaty Indianin zaczął mrużać coś

śpiewnie, a potem zerwał się na nogi i odegrał panto-mimę przedstawiającą napad na obóz. Ruchem rąk zaprosił do tańca współplemieńców, ale oni pozostali przy ognisku i wyciągnięci leniwie, jedynie pohukiwali w rytm pieśni.

Indianin zakończył taniec wyskokiem w górę i wymachem maczugi, który symbolizował śmiertelny cios. A potem uniósł głowę i przykładając dłonie do ust, zawył jak wilk.

Rano następnego dnia ten sam Indianin zabił Sarę Kemble. Wyruszyli przed świtem i skierowali się nad Kennebec. Na brzegu wyciągnęli z zarośli zamaskowane świerkowymi gałęziami duże czółno z brzozy kory.

Sara siadła ciężko na głazie przy brzegu i oświadczyła, że nie wejdzie do łodzi.

_ Dziękuję, ale nie ma mowy. Może się wywrócić. Jeszcze utonę - powiedziała bardzo grzecznie, jakby uchylała się od wypicia następnej filiżanki herbaty.

Z twarzą wykrzywioną wściekłym grymasem ospowaty Indianin smagnął ją rzemieniem, ale bez skutku.

_ Nie, nie, nie - powtarzała, kręcąc głową jak uparte dziecko. - Nie zrobię tego. Nie zmusicie mnie.

Delia zobaczyła, jak dziobata twarz Indianina pociemniała z gniewu. Zaczęła gramolić się z łodzi, by przemówić Sarze do rozumu, ale szarpnięcie rzemienia ściągnęło ją na dno czółna. Upadła z łoskotem, uderzając biodrem o poprzeczkę. Błękitne chmury zawirowały, pociemniało jej w oczach z bólu.

Przeraźliwy wysoki krzyk Elizabeth spłoszył parę kaczek. Po-mknęły po wodzie, bijąc skrzydłami.

Delia usłyszała rżenie na brzegu. Podciągnęła się na kolana i dłonią zakryła usta Elizabeth, by stłumić jej kolejny krzyk.

_ Ciii, Lizzie, nie bój się - szeptała, nie bacząc, że silnym uściskiem siniaczy jej twarz. Odwróciła głowę przyjaciółki od ponurego widoku. - Nie krzycz, już po wszystkim.

Dziobaty Indianin wsiadł do czółna z poplamionym krwią czepkiem Sary i pękiem matowych, kasztanowosiwych włosów. Elizabeth łkała histerycznie w dłoń Delii.

Indianin z różańcem na szyi szarpnięciem za włosy oderwał Delię od Elizabeth. Szloch przyjaciółki uwolnił się spod jej dłoni jak woda z otwartej tamy.

_ Nie zabijajcie jej! - krzyknęła Delia, bo płacz dziewczyny niósł się

przeraźliwie głośno po obrośniętej świerkami rzece.

Potężny wojownik zacisnął swe długie palce na ramieniu Delii, pociągnął ją na dziób łodzi i przygniótł

do dna twardym natłuszczonego ciałem. Warknął jakąś komendę, lecz ona nie przestawała się wrywać, kopiąc i okładając go pięściami, pewna, że jeżeli nie uspokoi Elizabeth, Indianin, który jej pilnuje, zabije ją jednym ciosem tomahawka. •

Delia rozorała paznokciami policzek ,siłującego się z nią Indianina. Syknął i uderzeniem w twarz zwałił ją z nóg. Pociemniało jej w oczach, ale podniosła się na kolana. Elizabeth stłumiła szloch, przyciskając pięść do ust.

Delia ocierała rozbitą wargę wierzchem dłoni, patrząc z furją na swego prześladowcę. Nigdy nie czuła większej nienawiści.

- Pluję na ciebie ... ty ... ty krwiożerczy bękarcie, ty zwyrodniały dzikusie, ty ...

Uniósł jej głowę chwytem za gardło. Przybliżył do niej swą twarz. Z zadrapań na jego policzku sączyła się krew.

- Przyjmij do wiadomości - odezwał się czystą, płynną angielszczyzną - że choć może jestem dzikusiem, na pewno nie jestem bękartem. Moi rodzice byli małżeństwem. A ludzie nazywają mnie Dreamer - czyli marzyciel. Tyle że ty masz nazywać mnie swoim panem.

Zwarła zęby, by zatrzymać potok słów, cisnących się jej na usta. Nacisk na grdykę nasilił się, odcinając dostęp powietrza.

Wpatrywał się w nią przeciągle, aż obraz przed jej oczami zaczął się zamazywać. Wtedy puścił jej szyję i kilkoma ruchami wiosła skierował czołno z prądem rzeki.

- No, Lusifée - powiedział, gdy starała się ukryć przed nim ciężki oddech.
- Zobaczmy, czy będziesz taka odważna, biegnąc przez żelazną pięść.

Żelazna pięść.

Delia miała nadzieję, że nie dostrzegł strachu na jej twarzy.

By pokazać, jak mało ją obeszła ta groźba, wysiliła się na nonszalancki uśmiech.

- Mam na imię Delia - wyskrzeczwała.

Jej zachowanie nie wywołało żadnej reakcji na beznamiętnej twarzy Indianina.

- Nie masz imienia. Jesteś awakon - powiedział w końcu. _ Niewolnica.

Uśmiech Delii nieco przybladł.

- W takim razie co znaczy "Lusifée"?

Nie raczył odpowiedzieć, jedynie popatrzył na nią Oczyma zimnymi i Czarnymi jak zamarznięty staw.

Najpierw usłyszeli hałas - pohukiwania, piskliwe okrzyki, miażdżące uderzenia bębnow i ujadanie psów. Potem poczuli zapach mdlący fetor rozkładających się ryb. Obraz objawił się na końcu

rozległa polana na skraju połyskującego srebrzyście jeziora, otoczona majestatycznymi świerkami jak ciemnoniebieską palisadą.

Na polanie stały długie baraki i wigwamy. Dostępu do nich bronił częstokół z trzymetrowych pni.

Wokół wioski roztaczały się pola kukurydzy. Jej suche liście szeleściły na wietrze. Z hałd gnijących za palisadą rybich szczątków, których używano jako nawozu pod kukurydzę, unosił się duszący smród.

W gasnącym świetle dnia pełgały płomienie zapalonych świerkowych szczap, a z dymników w barakach i licznych niewielkich ognisk unosił się dym. Powietrze drgało od pokrzykiwań i pohukiwań, szczekania psów i dudnienia bębnow.

Czólno osiadło łagodnie na płaskim nadbrzeżu. Na ostrą komendę Dreamera Delia na zdrętwiałych nogach niezgrabnie wygramoliła się na kamienisty brzeg. Nie zważając na wściekłe spojrzenie mężczyzny, pomogła wysiąść Elizabeth. Ciałem przyjaciółki wstrząsały dreszcze, usta miała zsiniałe ze strachu. Delia chciała ją podnieść na duchu, ale słowa fałszywejpociechy uwięzły jej w gardle.

Zobaczyła żelazną pięść ...

Brama częstokołu była otwarta. Od wejścia aż po drewnianą platformę na środku wioski mężczyźni, kobiety i dzieci, uzbrojeni w kije, pałki i kolczaste gałęzie, uformowali szpaler. Wszyscy skandowali rytmicznie do wtóru bijących bębnow.

Dreamer zatrzymał się tak raptownie, że Delia, uwiązana na krótkim powrozie do jego nadgarstka, o mało nie nadepnęła mu na piętę. Z bramy energicznym krokiem wyszedł jezuita w sutannie, kołyszając kadzielnicą, z której wydobywał się aromatyczny dym. Jezuita stanął przed Dreamerem. Ku zaskoczeniu Delii potężny wojownik uklęknął u stóp księdza i pochylił głowę do błogosławieństwa.

Zakonnik wbił spojrzenie fanatycznych niebieskich oczu w branki. Był niezwykle chudy - same kości obciągnięte bladą skórą. Pod zakrzywionym nosem, przypominającym dziób jastrzębia, wąskie wargi układały się w dwie cienkie linie.

Gdy Dreamer, klęcząc, naciągnął powróż, Delia przytrzymała się skrzepowanymi dłońmi jego

ramienia, by nie paść na kolana. Ciało Indianina było twarde jak marmur i śliskie od tłuszczu.

Słaniając się, stała oparta o niego, dopóki jej z siebie nie strząsnął.

Ze zmęczenia i głodu była bliska omdlenia. Od czterech dni obie z Elizabeth nie miały w ustach nic, oprócz paru korzonków i orzechów, które udało się jej znaleźć po drodze. Fetor ryb mieszał się z zapachem pieczonego mięsa. Była gotowa błagać o jedzenie na kolanach. Nieraz bywała głodna, ale nigdy aż tak.

Dreamer warknął coś do niej w języku Abenaków. Patrzyła mu prosto w twarz, starając się nie okazać strachu. Ale czuła w ustach metaliczny smak paniki, podobny do smaku krwi.

- Rozbieraj się! - rozkazał, tym razem po angielsku.

Delia przeniosła spojrzenie na długi szpaler Abenaków, czełkających tylko, by opuścić kije i pałki na jej nagie ciało. Okrzyk! mężczyzn oraz jazgot kobiet i dzieci przybierały na sile. Niektóre z kobiet i młodych dziewcząt miały na kostkach u nóg grzechotki ze skorup żółwi i bransolety z pazurów niedźwiedzi. Poruszały nimi, przytupując w rytm bębnów. Chłopcy dmuchali w trzcino-we piszczalki i wywijali nad głową sznurami muszli, jeszcze bardziej potęgując złowieszczy hałas.

Po raz pierwszy zobaczyła pale na skalpy, ustawione wzdłuż podestu, wyznaczającego koniec żelaznej pięści. Zwisały z nich dziesiątki skalpów. Rozpięte na obręczach, pofarbowane i ozdobione, kołysały się w bryzie od jeziora.

W szynku w Bostonie słyszała opowieści o białych jeńcach, którym kazano biec nago przez żelazną pięść. Podobno nie zmuśzono do tego kobiet, chociaż zdarzały się takie wypadki. Zdarzały się ...

Twarz Dreamera z ironicznie wygiętymi wargami pojawiła się tuż przed jej oczyma.

- Rozbieraj się, Lusifée. Już!

Koścista dłoń pokryta niebieskimi żyłkami wylądowała na jej ramieniu.

- Radzę posłuchać - odezwał się francuski ksiądz z silnym akcentem. - Inaczej potnie ubranie na tobie. I nie będzie delikatny.

Boże, miej mnie w opiece - modliła się Delia, rozwiązując drżącymi rękami sznurówki stanika. Jej krótka koszula i spódnica

były postrzępione i brudne po czterodniowej uciążliwej wędrówce.

Nigdy nie zastanawiała się, jaką solidną warstwę ochronną stanowiły kobiece ubrania, nawet jeśli to były tylko łachmany, dopóki nie stanęła nago przed bezwzględными oczami Dreamera i tłumem rozwrzeszczanych, żądnych krwi Abenaków.

- Ty! - warknął Dreamer, wskazując wyprostowanym palcem na Elizabeth. - Rozbieraj się!

Elizabeth nawet nie drgnęła, otoczona murem własnego strachu. Dreamer postąpił krok do przodu, w jego ręce błysnął nóż. - Nie! - chwyciła go za ramię Delia, kuląc się w środku pod wrażeniem, jakie sprawiło na niej dotknięcie jego zimnego śliśkiego ciała.

Na widok noża źrenice Elizabeth pomknęły do góry i osunęła się na ziemię.

- Nie możesz jej tego zrobić! - krzyczała Delia. - Nie widzisz, że spodziewa się dziecka? To ją zabije!

- Pobiegnie. Chyba że ty zrobisz to za nią - powiedział, patrząc na nią z niedowierzaniem.

Pod Delią zatrzęsły się nogi.

- Niech będzie - kiwnęła głową, z trudem przełykając ślinę. Przyglądał się jej przez chwilę w milczeniu. A potem powiedział prawie ze smutkiem:

- Lusifee, nie przeżyjesz dwukrotnego bicia.

Delia spojrzała na szpaler Abenaków, dzierżących pałki i żądnych jej krwi. Dumnie zadarła podbródek.

- Dostałam w życiu swoją porcję bicia - oświadczyła z godnością, dla dodania sobie odwagi. - Od takich, co wiedzieli, jak bić. Banda cholernych, durnych dzikusów nie pokona Delii McQuaid.

Dreamer złapał ją za ramię i pchnął do przodu.

- Biegnij! Biegnij ze wszystkich sił!

Pobiegła. Pędziła, machając ramionami, i pierwsze uderzenia zaledwie musnęły ją po plecach. Ale w środku szpaleru Abenaków stali nieco rzadziej i mieli więcej miejsca do wzięcia za machu. Kije i pałki zdawały się spadać na nią ze wszystkich stron. Wywołany ciosami ból blokował i tak już krótki oddech i mącił wzrok.

Uniosła ramię, osłaniając twarz, i biegła ile sił w nogach, wbijając palce nóg w miękką ziemię.

Platforma zamajaczyła tuż -tuż przed jej oczami i przebiegł ją dreszcz radości, bo czuła, że wygra.

Wtem jakiś dzieciak w wieku Tildy podłożył jej kij pod nogi. Potknęła się

i runęła do przodu jak drzewo powalone toporem.

Nie zdążyła nawet wyciągnąć przed siebie ręk. Padając, przygryzła język i gorąca słona krew wypełniła jej usta. W uszach były dzwony. Indianie rzucili się ku niej i młócili bez litości.

Dźwignęła się na kolana. Krew z rozcięcia nad czołem zalewała jej oczy. Dzieciak, który ją przewrócił, starał się dźgnąć ją w twarz swoim kijem, ale wyrwała mu go i uderzyła nim po najbliższej parze nóg. Indianka odskoczyła z okrzykiem zdziwienia i bólu, upuszczając przy tym pałkę. Delia chwyciła ją i zataczając się, podniosła się z ziemi.

Łuuuu! - zawyła i ruszyła na swoich oprawców. Teraz nie była już I?elią Parkes, szacowną żoną farmera. Obudziła się w niej Delia McQuaid, dziewczka z szynku. Skoczyła ku swym prześladowcom, wykrzykując wszystkie najgorsze przekleństwa, zasłyszane w portowych slumsach Bostonu. Biła za wszystkie zniewagi, jakie spotkały ją w życiu - za ojca pijaka, za podszczypujących ją w szynku podpitych klientów, za Nata, który traktował ją protekcyjnie i upokarzał, za Toma Mullinsa i jego ukradkowe pocałunki i za Tylera, który kradnąc jej serce, sam bronił się przed miłością, aż było za późno, za późno, za późno ... Mściła się na tych wszystkich mężczyznach, którzy poniewierali nią, wykorzystywali ją, naginali, by stała się taka, jaką chcieli ją widzieć, i nie pozwalali, by została sobą ...

Zaskoczeni jej napadem szału, Indianie rozstępowali się pod ciosami śmigającej pałki Wreszcie silne uderzenie wytrąciło broń z jej dłoni. Zdyszana zrobiła pół obrotu i, odgarnawszy włosy z czoła, stanęła wyprostowana w oczekiwaniu na śmiertelny cios tomahawka Dreamera.

Ale to nie Dreamer stał przed nią.

Ten mężczyzna był jeszcze wyższy i mocniej zbudowany. I był przynajmniej trzydzieści lat starszy od Dreamera. Jego czarne długie włosy znaczyły pasma siwizny, a rzeźbioną twarz pokrywała siateczka zmarszczek. Linie zmarszczek rozchodziły się promieniście od oliwkowych oczu, bruzdy przy ustach pogłębiały surowy wyraz twarzy. Indianin miał na sobie zamszową koszulę z frędzlami i długi kasak suto zdobiony farbowanymi skorupami kolczatek, piórami i muszelkami. Na szyi nosił francuski ryngraf ze srebrnej blachy, a na głowie bobrową czapę z białym piórem. Delia myślała, że to Dreamer jest wodzem, ale teraz zrozumiała natychmiast, że jest nim ten mężczyzna.

Jego wzrok zmroził jej krew w żyłach, była pewna, że za chwilę skaże ją na śmierć. Jednak on popatrzył na przepychający się gniewny tłum, który

jeszcze przed chwilą stał uformowany w szpaler.

Zapytał ich o coś, wskazując na Delię. Indianie wybuchnęli potokiem słów, wytykając ją palcami i wymachując pięściami.

W pewnej chwili przed tłum wysunął się Dreamer i uciszył go ostrym warknięciem. A potem rzucił

wyzywające spojrzenie wodzowi.

U boku Delii pojawił się ksiądz.

- Tu kobiety decydują, co zrobić z jeńcem - wyjaśnił suchym, obojętnym tonem. - Zginiesz na stosie. -

Ruchem głowy wskazał platformę. - Mówią, że masz serce wojownika i dlatego powinnaś umrzeć jak wojownik. - Jego wąskie wargi wygięły się w sardonicznym uśmiechu. - Powinno ci to pochlebiać.

Ale Delia nie czuła się wyróżniona; była przerażona. Spojrzała na wysokiego wojownika, który nazwał

ją niewolnicą. Zanim się odezwała, dwukrotnie przełknęła ślinę, by zwilżyć suche gardło

. - A Dreamer? - zapytała głośno. - Co mówi Dreamer?

- Chce cię na swą drugą żonę - odpowiedział jej po angielsku sam wódz. Jego tubalny głos zabrzmiał donośnie w nagłej ciszy.

Ulga i przerażenie ogarnęły Delię prawie jednocześnie. Nie spłonnie na stosie, ale perspektywa ...

- A jeżeli ... - rzuciła Dreamerowi żalosne spojrzenie. - To jest czuję się zaszczyczona, tylko że ja ...

Delio, ty kapuściany głąbie. Zamknij się, bo wylądujesz na stosie i upieką cię jak święteczną gęś.

Ciemne oczy Dreamera wbiły się w nią z niemym wyzwaniem.

- Będiesz moją kobietą, Lusifée - oznajmił.

Lecz wtedy inny głos, niższy i twardszy, zagłuszył jego słowa.

- Ta kobieta należy do mnie!

23

Tyler Savitch, bez żadnej broni, długimi krokami wszedł dowioski Abenaków.

Po chwilowym zaskoczeniu twarz Dreamera przybrała triumfalny wyraz.

- Przyszedłeś, żeby zginąć, Yengi?

- Przyszedłem po moją kobietę. - Tyler powiedział to w języku Abenaków. Zwracał się wyłącznie do jednego człowieka. Do Assacumbuita. Swojego ojczyma.

Oczy Wielkiego Wodza na jedną małą chwilę ożywiły się, potem stwardniały i zobojętniały. Na rzeźbionej twarzy nie odbijały się żadne emocje, bo wojownik Abenaków nigdy nie zdradza swych uczuć. Ty również usiłował zachować kamienną twarz, ale wątpił, czy mu się to udało. Minęły lata, odkąd ostatni raz widział ojczyma - człowieka, którego uwielbiał jako dziecko. Człowieka, o którym nadal myślał jak o ojcu.

Assacumbuit przeniósł wzrok na Delię, ale Ty nie poszedł za jego spojrzeniem, choć wiedział, że Delia klęczała teraz przy nadal nieprzytomnej Elizabeth.

- To twoja żona? - zapytał Wielki Wódz.

Korciło go, żeby nieco nagiąć prawdę, ale prędzej wyrwałby sobie język, niż okłamał tego człowieka.

- Będzie moją żoną.

Dreamer wszedł między nich z twarzą zaczerwienioną z gniewu.

- Zdobyłem ją. Jest teraz moja.

Ty odwrócił nieznacznie głowę i osadził go spojrzeniem. Nie-nawiść, jaką darzyli się ci dwaj mężczyźni, zadrgała w powietrzu niczym napięta cięciwa łuku.

- A ja ją odbiorę - powiedział Ty.

- Najpierw będziesz musiał mnie zabić.

- Zrobię to.

- Spróbuj ...

- Dość! - Ostry głos Assacumbuita skutecznie uciszył obu mężczyzn. - Nic się nie zmieniliście. Jeżeli jesteście tacy głupi, by walczyć o kobietę, pozwolę wam. Ale pamiętajcie _ dodał, unosząc dłoń - tym razem nie będą to

chłopięce igraszki. Ten pojedynek zakończy się śmiercią jednego z was. Czy jesteście pewni, że ta kobieta jest tego warta?

Ty i Dreamer wymienili pełne wzajemnej niechęci i pogardy spojrzenia. W tej walce chodzi o znacznie więcej niż tylko o kobietę i wszyscy Norridgewockowie to wiedzieli.

- Niech więc tak będzie - westchnął Assacumbuit prawie ze smutkiem.

Nareszcie Ty obrócił się ku Delii, a ona powoli uniosła się z kolan. Jej twarz promieniała miłością i szczęściem. Chłonęła go wzrokiem, a on odwzajemniał się takim samym spojrzeniem. Teraz już wolny od wstydu i lęku, jaki niosła ze sobą miłość do niej, mógł nie kryć się dłużej ze swym uczuciem.

Ta oznaka słabości Tylera wywołała ironiczne parsknięcie Dreamera, ale on nie dbał o to. Kochał ją i cały cholerny świat mógł sobie myśleć, co chce.

Delia była naga, a całe jej ciało pokrywały rany i sińce. Ale oddawała ciosy. Ty nigdy nie zapomni tego

widoku, gdy miotając przekleństwa, w obronie honoru młóciła swych prześladowców maczugą. Nie spotkał się dotąd z większą odwagą. Uczucie dumy z Delii rozsadzało mu pierś. Nie zważając na otaczającą ich gromadę, podszedł do niej i delikatnie przesunął palcem po zasinienu na policzku. A potem zdjął koszulę i nałożył ją Delii przez głowę. Jego dłonie na chwilę zatrzymały się na jej barkach, obejmując pieszczotliwie szyję.

- Ty, o co w tym wszystkim chodzi? Co się dzieje? Dlaczego, do diabła, nie mówiłeś po angielsku, żebym mogła zrozumieć, o co chodzi? - wybuchła, nie mogąc dłużej zapanować nad sobą.

To jakże typowe zachowanie Delii wywołało uśmiech na twarzy Tylera.

- Muszę walczyć o ciebie z Dreamerem!

Z wrażenia otworzyła usta i spojrzała na potężnie zbudowanego wojownika, który obserwował ich z ironicznym grymasem.

- Ty, on cię zabije!

Ta uwaga zraniła jego męskie poczucie godności.

- Dziękuję, Delio, że we mnie wierzysz. - Cofnął ręce z jej szyi.

- Ale on jest taki ... - W jej oczach zakręciły się łzy. - On ma skalp Nata!

- Zauważyłem. - Wyraźny respekt Delii i strach przed odwagą rywala wywołały u niego ukłucie zazdrości. - Czy chcesz, żeby to on wygrał? Na tym ci zależy?

Na moment jej oczy zapłonęły gniewem.

- Nie bądź cholernym idio ... - Ścisnęło ją w gardle. Położyła miękko,

ciepłą dłoń na policzku Tylera.

Jej dotyk i zdławiony głos osłabiały go. - Och, Ty, nie przeżyłabym, gdybyś zginął. Zabiłabym się.

Nie mógł sobie pozwolić na uleganie uczuciom, więc przybrał twarde wyraz twarzy i odsunął jej rękę.

- Żadne z nas nie umrze - odparł oschle i odwrócił się od niej.

- Niech diabli porwą tego mężczyznę! - Usłyszał, odchodząc, jej ciche westchnienie za plecami. Z

trudem opanował uśmiech. Delio, ty bezczelna dziewczyno ... Boże, jak ja cię kocham.

Zaprowadzono go do małego wigwamu, by w samotności mógł się przygotować do pojedynku.

Wbrew temu, co powiedział Delii, jak na wojownika Abenaków przystało, sposobił się nie tylko do walki, ale i na śmierć.

Rozebrał się do naga i wysmarował ciało niedźwiedzim tłuszczem. Pomalował twarz w barwy nieba o wschodzie słońca - żółty kolor na podbródku, przechodzący w biel u góry twarzy, miał symbolizować zaranie nowego życia z Delią po jego wygranej. Kiedyś wierzył w magiczną moc rytualnych rysunków, nadal wierzy w to cząstką swojej duszy.

Dotknął woreczka z amuletem na szyi. Trzymał w nim symbol Ducha Piorunu, swego opiekuńczego Manitou. Odrzucił głowę do tyłu i zaśpiewał Pieśń Śmierci. Prosił w niej, aby jeśli spotka go śmierć, zniósł ją po męsku, z godnością i odwagą. Śpiewał ją często we wczesnej młodości. Teraz robił to po raz pierwszy od lat z takim samym uczuciem i wiarą jak dawniej. Gdyby mieszkańcy Merrymeeting mogli usłyszeć owe gardłowe zawo-dzenie człowieka, którego nazywali doktorem i uważali za osobę cywilizowaną, krew ścięłaby się im w żyłach ze strachu.

Ucichły ostatnie groźnie brzmiące tony i Ty z opuszczoną głową zatopił się w rozmyślaniach. Teraz nie myślał jak Abenaka, którego działaniem steruje wiara w wizje, opiekuńcze duchy i przeznaczenie, ale jak kierujący się logiką Anglik.

Myślał o swoim przeciwniku.

Kiedyś nazywał Dreamera bratem. Wspólnie polowali, walczyli, tańczyli i ucztowali. Razem śpiewali w saunie. I tego samego człowieka nazywali ojcem.

Ale zawsze zaciekle ze sobą rywalizowali. Byli prawie rówieśnikami. Dreamer, starszy od niego o rok czy dwa, zawsze górował nad nim wzrostem

i siłą. On z kolei wyćwiczył w sobie wytrwałość, kiedy z obrazem zabitego ojca przed oczyma, pędzony bezlitośnie przez leśne ostępy, odbył niehumanitarną wędrówkę do Quebecu. Choć niższy od Dreamera, był od niego bardziej wytrzymały.

Gdy Dreamer pokonywał go w strzelaniu z łuku lub rzucaniu oszczepem, tak długo ćwiczył, aż osiągał

takie same wyniki. Natomiast zawsze wygrywał w zapasach, biegach i pływaniu, bo słabszą kondycję fizyczną nadrabiał hartem ducha i uporem.

Jedyną dziedziną, w której Ty ustępowałeś Dreamerowi, było obcowanie ze światem niematerialnym.

Podobnie jak wszyscy chłopcy z plemienia Abenaków Ty poprzez głód i ascezę wprowadziłeś się w trans i spłynęła na niego wizja Bedagi - Ducha Piorunów, od którego przybrał swe imię. Ale to było jedyne spotkanie Tylera ze światem duchowym. Dreamer natomiast był wizjonerem i nawet jako małe dziecko miał objawienia. Dla Abenaków proroctwa były niezmiernie ważne, więc Dreamer zyskał sobie szacunek i podziw współplemieńców. A Ty byłeś Yengi i niezależnie od tego, ile wyścigów czy konkursów strzeleckich wygrał, jego dusza pozostawała biała. Ty nieraz myślałeś, że gdyby miał

wizję, klan łatwiej by go zaakceptował. Stałby się wtedy Abenakiem. Ale widzenia nie przychodziły, więc z całego serca zazdrościł ich Dreamerowi.

Wzajemna niechęć obu chłopców miała jednak głębsze podłoże niż tylko dziecięca rywalizacja. Gdy Assacumbuit sprowadził z Quebecu niewolników Yengi, był już mężem matki Dreamera. Wielki Wódz sam stał się niewolnikiem miłości do filigranowej kobiety o popielatych włosach. Odsunął

pierwszą żonę, rozwiódł się z nią i uczynił matkę Tylera swą jedyną małżonką. Dreamer nigdy nie otrząsnął się ze wstydu odrzucenia. Bał się, że ojciec, odsunawszy matkę, jego, również wyrzucił ze swego serca, a z małego Yengi uczynił swego ukochanego syna. Ta kobieta już dawno umarła, ale jej syn żyje. I jak długo będzie żył, wstyd i niepewność będą trawić duszę Dreamera.

Ty dobrze wiedział, że Dreamer ma ważniejsze powody do walki niż chęć posiadania kobiety. A to oznacza, że będzie walczył z determinacją i okrucieństwem, bo wystawia na próbę swoją dumę.

Być może uda się Tylerowi rozjuszyć Dreamera, do tego stopnia, że stanie się ofiarą własnego gniewu.

Pewnego razu Assacumbuit dał Tylerowi bolesną, aczkolwiek cenną lekcję, jak rozdrażnić przeciwnika, by ten, tracąc kontrolę, popełnił błąd. Tragiczny w skutkach błąd.

Gdy tak rozmyślał, zasłona ze skóry jelenia uniosła się i do wigwamu wszedł chłopiec z tarczą i bronią dla niego.

Będzie walczył casse-tete - indiańską maczugą wojenną. Wykonana z drewna białego orzecha pałka była ponabijana ostrymi odłamkami krzemienia i kłami zwierząt, a jej uchwyt zdobił pęk piór z piersi jastrzębia. Ty zabił kiedyś taką maczugą Irokeza i nie zapomniał widoku ani odgłosu, gdy czaszka Indianina pękła jak dojrzały melon. Nieważne, ile istnień ludzkich uratował od tego czasu jako lekarz, tamto wspomnienie pozostanie przy nim do śmierci.

Chłopiec podał mu maczugę, więc Ty czym prędzej skrył uczucie niechęci. Tarcza była owinięta w skóry. Ze względu na swe magiczne właściwości poza walką musiała pozostać zakryta. I nigdy nie mogła jej dotknąć kobieca dłoń. Wykonano ją z surowej skóry, zdobiąc magicznymi fetyszami i piórami.

Kiedy chłopiec z pietyzmem rozwinął skóry, oczy Tylera zaokrągliły się z radości, bo rozpoznał tę tarczę od razu. Należała do jego ojca, Assacumbuita, i rzeczywiście miała magiczną moc, mogła działać znacznie więcej niż tylko osłonić Tylera przed ciosami Dreamera. Gdy przyrodni brat rozpozna tarczę ojca w rękach przeciwnika, dowie się, któremu z synów sprzyja Wielki Wódz.

Dawne, zapiekłe uczucie wstydu, lęku i zawiści ożyje na nowo i wzbierze wielką falą w jego piersi.

Dreamer da się ponieść nienawiści, a wtedy Ty go pokona.

Sosnowe pochodnie paliły się z sykiem, oświetlając podest tortur. Usunięto z niego gruby pal, przy którym ogniem i nożami torturowano jeńców. Jednak skalpy zdobyte podczas dawnych wypraw dalej kołysały się w smugach dymu, zawieszzone na czterech słupach podtrzymujących konstrukcję, na której dwaj mężczyźni mieli stoczyć walkę na śmierć i życie.

Delii kazano stanąć przed platformą u boku Wielkiego Wodza.

Stalowowłosy wojownik zmierzył ją nieodgadnionym spojrzeniem i ponownie skierował wzrok przed siebie.

Wcześniej jakaś Indianka brutalnym uderzeniem w policzek ocuciła Elizabeth. Potem dwie kobiety o kamiennych twarzach poprowadziły

Elizabeth i Delię przez wieś. Delia była zaskoczona jej wielkością. Szły pomiędzy wigwamami i barakami z drewnianych bali, o dachach z wiązowych gontów, pasażami, które przypominały miejskie uliczki.

Indianki wprowadziły je do jednego z baraków i nakarmiły rozgotowaną, pozbawioną smaku dynią.

Elizabeth, którą nadal odgradzał od rzeczywistości pancerz strachu, ułożono na łożu z futer, a Delię wykąpano i przebrano w spodnie i prostą suknię z jeleniej skóry. Na koniec rozczesano jej włosy i wpleciono w nie rzemyki.

Teraz stała u boku wodza Abenaków i wycęzała wzrok, by dojrzeć Tylera. Każdy centymetr jej napiętego ze zdenerwowania ciała piekł, jakby wcześniej odarto ją ze skóry. Nie wyobrażała sobie, w jaki sposób Tyler Savitch, jakiego znała, ten uzdrowiciel o delikatnych, magicznych dłoniach, miałby pokonać brutalnego wojownika Abenaków.

- Jeżeli Ty zginie, sama zabiję twojego wielkiego Dreamera - oświadczyła z furią stojącemu obok mężczyźnie. - Gołymi rękami. Ja nie żartuję, do cholery!

Wielki Wódz ze zdziwienia uniósł brew. Zadrżał mu lekko kącik ust.

- Teraz rozumiem, dlaczego mój syn nazwał cię Lusifee.

- Twój syn? Dreamer jest twoim synem?!

- Obaj są moimi synami.

- Jesteś indiańskim ojcem Tylera? - Delia otworzyła oczy ze zdziwienia.

Mężczyzna nie odpowiedział.

- Jeżeli jesteś ojcem Tylera - nie ustępowała - dlaczego mu na to pozwalasz? - Wskazała na platformę.

- Możesz patrzeć, jak będzie umierał?

- On to robi dla ciebie. - Wódz wzruszył lekko ramionami, co było gestem bardziej francuskim niż indiańskim.

Złapała go za ramię, nie zważając, że skamieniał pod jej dotykiem. Była taka przerażona i tak bardzo się bała o życie Tylera, że wszystkie swoje siły skoncentrowała na tym, by nie wybuchnąć płaczem. Jej pierś ścisnęła bolesny skurcz.

- Zostanę drugą żoną Dreamera, z własnej woli ... - błagała, nieświadoma, że wbija paznokcie w twarde jak skała ramię wojownika. - Jeżeli uratujesz Tylera, oddam się twemu synowi. Twojemu indiańskiemu synowi. Masz moje słowo.

- Jesteś kobietą. Nie masz nic do gadania - uciał krótkim warknięciem. Po

chwili jednak skierował na nią spojrzenie swych nieodgadzionych oczu. - Dlaczego sądzisz, że Bedagi przegra? Może jednak nie znasz go tak dobrze, jak ci się wydaje.

Ciche jednostajne bębnienie tamtamów przerodziło się w grzmot, a w tłumie rozległy się wiwaty.

Wzrok Delii pomknął ku platformie akurat w chwili, gdy dwie postacie wskoczyły na nią z dwóch przeciwległych narożników. Z wrażenia zaparło jej dech.

Gdyby nie wiedziała, że to Ty, w życiu nie rozpoznałaby go w tym nagim, wysmarowanym tłuszczem wojownika z pomalowaną twarzą, który wyglądał równie okrutnie i dziko jak jego przeciwnik.

Patrząc na nich obu, gdy krążyli wokół siebie, prze-raziła się, jak bardzo Dreamer dominował

posturą nad niemałym przecież Tylerem. Abenak był prawdziwym olbrzymem.

Przeciwnicy obchodzili się w półprzysiadzie, obaj w jednej ręce trzymali śmiercionośne maczugi, a w drugiej niewielkie tarcze. Zadawali pierwsze próbne ciosy, które trafiając z łomotem w tarcze, wzbudzały entuzjastyczne okrzyki widzów. Nagle Ty potrząsnął swoją tarczą i warknął coś do Dreamera, a ten od-wrócił głowę w stronę ojca. W jego rozżarzonych oczach Delia wyraźnie dostrzegła żal. I wtedy Ty zadał cios.

Dreamer zmobilizował się na tyle szybko, by, odstępując do tyłu, przyjąć go wysoko na tarczę. Ty znowu powiedział coś śpiewnym, jadowitym tonem. Kipiąc ze złości, Dreamer rzucił się do kontrataku, wywijając maczugą.

Jeden z ciosów Dreamera trafił poniżej tarczy Tylera i z głuchym uderzeniem rozorał mu udo, co wzbudziło pohukiwanie i pomruki wśród widzów. Ale on jedynie wysyczał następną znie-wagę, na którą Dreamer zareagował furią i ponownie zamachnął się maczugą. Tym razem Ty odparował cios i maczugi skrzyżo-wały się jak szable. A Ty roześmiał się na głos.

- Co on mówi? Dlaczego on to robi? - dopytywała się Delia, lecz Wielki Wódz oczywiście nie odpowiedział.

Miała ochotę udusić Tylera własnymi rękami. Rozmyślnie pro-wokował Dreamera, a ten stawał się coraz bardziej zażarty i nie-bezpieczny.

Na skutek odniesionych obrażeń obaj mężczyźni zaczęli słabnąć. Oddychali chrapliwie, węzły nabrzmiątych mięśni pod naoliwioną skórą lśniły w świetle pochodni.

W pewnej chwili Dreamerowi dopisało szczęście; krzemienisty kolec na jego maczudze zahaczył o pasek skóry na tarczy Tylera i wytrącił mu ją z ręki. Tarcza wystrzeliła nad głowy wiwatującego tłumu niczym wirujący talerz.

Dreamer już rozciągał usta w pełnym triumfu uśmiechu, ale stracił nieco rezon, bo Ty nie wycofał się, tak jak przewidywał, tylko z mrożącym krew w żyłach wojennym okrzykiem rzucił się do ataku.

Rozkołysana do zadania śmiertelnego ciosu maczuga Dreamera trafiła w próżnię, a on sam na ślepo osłonił się tarczą. Ty odtrącił ją na bok silnym kopnięciem, po czym zadał błyskawiczny cios pięścią w splot słoneczny.

Dreamer z na wpół otwartymi ustami łapał powietrze jak ryba na piasku. Teraz Ty bez trudu wytrącił

mu tarczę. Doprowadzony do ostateczności Dreamer rzucił się na niego z uniesioną maczugą, ale Ty uskoczył w bok, kopiąc go jednocześnie piętą w ścięgno pod kolaniem.

Pod Dreamerem ugięły się nogi i pochylony potoczył się do przodu, ale Ty nie pozwolił mu upaść.

Chwycił go garścią za tłuste włosy i szarpnął do tyłu, wbijając kolano w wygięte plecy.

Przycisnęła maczugę do odsłoniętego gardła Dreamera, stopniowo zwiększając ucisk, aż Indianinowi oczy wyszły z orbit, a twarz zrobiła się purpurowa. Po tłumie przebiegł cichy szmer. Wszyscy wiedzieli, że Ty jednym szarpnięciem może złamać

kark przeciwnikowi.

Ty oddychał chrapliwie, pot spływał kropelkami po natłuszczonej skórze. Zwarł się spojrzeniem z oczyma Assacumbuita.

- Ta kobieta jest moja.

Przez chwilę, która wydawała się wiecznością, twarz Wielkiego Wodza pozostawała nieporuszona.

- Kobieta jest twoja. - Assacumbuit podkreślił werdykt krótkim skinieniem głowy. - Tak jak i życie Dreamera.

- Biorę kobietę. - Ty poluzował nacisk maczugi i puścił Dreamera. - A na jego życiu mi nie zależy.

Dreamer opadł powoli na deski, dusząc się i krztusząc z opuszczoną na piersi głową.

Gniewny szmer rozległ się dokoła. To Indianie oburzali się na taką zniewagę - rzucić życie pod nogi pokonanemu przeciwnikowi, jakby nie był

godny zginąć śmiercią wojownika?!

Assacumbuit bez słowa odwrócił się i odszedł.

Ty odrzucił maczugę i zeskoczył z podestu. Pobladła ze szczęścia Delia czekała, aż podejdzie do niej.

Gdy się zbliżył, zobaczyła jego wyczerpaną twarz. Całe ciało miał gęsto poznaczone ranami i podchodzącymi krwią sińcami. Nie zrozumiała wymiany zdań między Tylerem i Assacumbuitem, ale nie dbała o to – najważniejsze, że Ty przeżył. Miała ochotę zarzucić mu ramiona na szyję i przytulić

go z całej siły.

Ty zatrzymał się przed nią. Spojrzała mu w oczy i zobaczyła w nich jedynie pustkę.

- Ty ... ?

Uniósł dłoń, jakby chciał dotknąć jej twarzy, ale zmienił zamiar. Przeszedł obok i podążył za Assacumbuitem w ciemność nocy.

Ty opuścił klapę namiotu i poczekał, aż jego oczy przywykną do półmroku panującego we wnętrzu oświetlonym żarzącym się ogniskiem. Assacumbuit był sam. Siedział we władczej pozycji na macie przy ognisku, oparty o wałek ze skóry. Z jego ramion spływała udrapowana szata z orlich piór - jeden z symboli statusu Wielkiego Wodza.

Ty zbliżył się do niego na sztywnych nogach. Mimo godziny spędzonej w łaźni i pływania w jeziorze każde miejsce, gdzie dosięgła go maczuga Dreamera, piekło żywym ogniem.

- Posłałeś po mnie, mój ojciec - odezwał się, stając przed Wielkim Wodzem.

Assacumbuit podniósł głowę i zatrzymał na twarzy Tylera swoje nieprzeniknione oczy.

- Nie jestem twoim ojcem.

Ty postarał się, by nie okazać, że poczuł się dotknięty. Wraz z żalem wezbrał w nim gniew, ale tego akurat nie miał zamiaru hamować.

- Ty sam mnie odesłałeś do Yengi i, jako posłuszny syn, postąpiłem zgodnie z twoim życzeniem. Tylko że przedtem przez dziesięć lat nazywałem cię ojcem. Przeszłości nie można zmienić.

Wielki Wódz w charakterystyczny dla siebie francuski sposób wzruszył ramionami. Kilka lat wcześniej Assacumbuit udał się w podróż do Francji i był gościem na dworze króla Ludwika XIV. Król Słońce pasował go na rycerza i obdarował mieczem. Właśnie tam, na dworze, Assacumbuit

przyswoił

sobie niektóre francuskie maniery - między innymi owo wzruszanie ramionami.

- Przeszłość została zamknięta - powiedział wódz.

Ty zaklął cicho i odrzuciwszy głowę do tyłu, utkwiał wzrok w dymniku.

- Usiądź i zapal ze mną - rozkazał Assacumbuit. - I przestań się dąsać jak kobieta, bo nie możesz odwrócić biegu spraw, które i tak nie miały miejsca.

Ty najpierw oblał się ciemnym rumieńcem, a zaraz potem wybuchnął śmiechem.

Stary lis w ciągu tamtych dziesięciu lat nigdy nie podniósł na niego ręki, ale potrafił smagać słowami jak batem i Ty wielokrotnie odczuł to na własnej skórze.

Gdy Ty usiadł, Assacumbuit nabił fajkę. Wybrał calumet -świętą fajkę. Jej rzeźbioną główkę uformowano z cennej czerwonej glinki, sprowadzonej specjalnie z Ojibway w Krainie Wielkich Jezior, a trzcinowy cybuch ozdobiono tajemniczymi wzorami i piórami.

Assacumbuit pociągnął fajkę pierwszy i puścił dym w górę jako ofiarę dla gitche Manitou. Potem podał fajkę Tylerowi, który powtórzył rytuał i oddał ją wodzowi. Kolejne obłoczki dymu poświęcili Ziemi, Słońcu i Wodzie oraz czterem stronom świata. Dopiero po dopełnieniu obrzędu mogli zacząć rozmowę.

Palili kinnikinnik - mieszankę tytoniu i ziół, znanych ze swych halucynogennych właściwości. Ich dym wywołał euforyczną lekkość w głowie Tylera. Jeszcze trochę - pomyślał - a zacznę unosić się pod sufitem.

Pykali fajkę w milczeniu. Ty czekał cierpliwie, bo pierwszy musiał przemówić Wielki Wódz.

- Dobrze dziś walczyłeś - pochwalił go w końcu.

Ty aż pokraśniał, bo ojciec nie miał w zwyczaju szastać pochwałami.

- Miałem dobrego nauczyciela.

- A podcięcie kolan? Ja cię tego nie nauczyłem - zachnął się lekko Assacumbuit.

- Uniwersytety Yengi to niebezpieczne miejsca - odparł Ty. Stary wojownik zareagował uśmiechem na jego uwagę.

- Ale popełniłeś błąd - powiedział, podając fajkę Tylerowi. Ty zaciągnął się głęboko. Dym czynił cuda z jego zmaltretowanym ciałem. Było całkowicie znieczulone, a obrazy przed oczyma zaczynały przyjemnie falować.

- Tak? Jaki błąd?

Assacumbuit wskazał ruchem głowy na jakiś przedmiot zawieszony w skóry, leżący pod ścianą namiotu.

- To nie moją tarczę ci posłałem. Ta tarcza należała do pewnego wojownika, szczerze mówiąc, wielkiego tchórza, który prędko zginął - oświadczył, a oczy zamigotały mu z rozbawienia.

Ty zaśmiał się cicho. Dym wpłynął na niego odurzająco i właściwie z ulgą przyjął wiadomość, że Assacumbuit nie postawił go wyżej niż swego rodzonego syna. Jednocześnie przeszło go nieprzyjemne uczucie, bo zasugerował Dreamerowi, że ta zupełnie zwykła tarcza ma magiczne właściwości. Co gorsza, nie mając odwagi zabić jedyne go syna wodza, zhańbił go i skazał na los gorszy od śmierci.

Assacumbuit wciągnął dym, przymykając drgające powieki.

- Mój syn ma pewną słabość i mądrze ją wykorzystałeś. Ale ty też ją masz. Obaj musicie nauczyć się kontrolować waszą siłę i dumę.

Ty usiłował ściągnąć własną głowę spod sufitu.

- Dlaczego wykopałeś topór wojenny przeciwko moim ludziom? - Udało mu się w końcu zebrać myśli. Jego głos wydał mu się dziwnie stłumiony, jakby przesączał się przez pled.

- A jednak przyznajesz, że to Yengi są twoimi ludźmi - odparł Wielki Wódz, pozostawiając pytanie Tylera bez odpowiedzi. - Żyję wśród nich. Dzięki tobie.

- Kiedyś żyłeś wśród Abenaków.

Ty zwarł szczęki i z wysiłkiem zbierał porzucane myśli.

Nawet w bardziej sprzyjających okolicznościach rozmowa z Assacumbuitem przypominała często pojedynek z duchem.

- Co tu robi francuski klecha? - spróbował z innej strony.

- Yengi jest tak wiele jak ziaren piasku. Niedługo nie będziemy mieli gdzie rozłożyć naszych derek.

- I...? Jaki to ma związek z francuskim księdzem, który, jeśli wolno mi zauważyć, też jest Yengi?

- Twój brat i ci, co go popierają, przyjęli wiarę we francuskiego Boga.

- Aha. - Pomimo zawilego sposobu wyrażania myśli przez Assacumbuita i zamroczenia kinnikinnikiem Ty zaczął rozumieć powód najazdu na Merrymeeting. Wielkiego Wodza Abenaków wybierały kobiety, bo to do nich należało przedłużanie rodu. Przy wyborze decydowały cechy charakteru. Tytuł nie był dziedziczny, a władza - absolutna. Decyzje o wyprawach

wojennych podejmowała rada. Ale jeżeli jakiś wojownik zapragnął udać się na wyprawę, mógł to uczynić w każdej chwili, o ile znalazł chętnych do wzięcia udziału w najeździe.

Atak na Merrymeeting był pomysłem Dreamera, bez wątpienia wspieranym przez francuskiego księdza. Dreamer, by zostać następnym Wielkim Wodzem, prowadził kampanię w sposób bardzo podobny do tego, w jaki pułkownik mógłby ubiegać się o stanowisko w magistracie. Ale polityka Dreamera była niebezpieczna, mogła doprowadzić do totalnej wojny między Abenakami a angielskimi osadnikami.

- Chcesz ożenić się z tą kobietą Yengi? - zapytał Assacumbuit, w niezbyt subtelnym sposobie odwracając uwagę Tylera od najazdu na osadę.

Na myśl o Delii twarz Tylera rozjaśnił uśmiech.

- Tak.

Chcę się z nią ożenić. Rozpalać ją każdej nocy. Zaczynać dzień od spojrzenia w jej twarz. Spędzić wszystkie dni i noce, kochając ją.

W tej samej chwili uderzyła go myśl, że zdobył Delię poprzez śmierć Nata i hańbę Dreamera. I

ogarnęło go poczucie winy pomieszane z ulgą - cena była za wysoka, ale los oddał mu ją z powrotem.

Zadumany wódz kiwał głową, jak gdyby czytał w jego myślach.

- Ta kobieta raduje oczy.

- I serce - dopowiedział Ty. Coraz łatwiej mu przychodziło mówić o miłości do Delii.

- Ja też kochałem kobietę Yengi, twoją matkę.

Tylera zaskoczyła i bardzo wzruszyła bezpośredniość tego wyznania. Dodała mu odwagi, żeby zapytać:

- Dlaczego kazałeś mi do nich wrócić? Nawet nie wiedzieli, że żyję, dopóki im nie powiedziałeś.

Nie liczył na odpowiedź. Assacumbuit siedział jak posąg, z oczami w nieruchomej twarzy, wpatrzonymi gdzieś w dal. Wreszcie poruszył się i zatrzymał na Tylerze swe błyszczące i niemiłosiernie przenikliwe czarne źrenice.

- Odesłałem cię, bo wiedziałem, że w sercu na zawsze pozostaniesz Yengi.

Ty uśmiechnął się z goryczą.

- Mój dziadek, który jest Yengi, twierdzi, że mam serce Abenaka. Co jest prawdą? Czy mam w takim razie dwa serca, czy nie mam żadnego? Kim

jestem? - dopytywał się, a w jego głosie zabrzmiała ta sama nuta rozpaczy i niepewności jak w rozmowie z dziadkiem przed pięcioma miesiącami.

Assacumbuit jedynie wzruszył ramionami.

- To, co mówisz, jest wydumane. Wiesz, kim jesteś.

- Jestem lekarzem. Wkrótce zostanę mężem Delii _ podsumował Ty, nie zdając sobie sprawy, że mówi na głos. Zaskoczyło go, że po stwierdzeniu tych bezsprzecznych faktów spłynął na niego spokój.

- Jesteś szamanem Yengi? Naprawdę? - Szczerze zdumienie Assacumbuita rozbawiło Tylera.

Wojownik jeszcze przez chwilę trawił nowinę, a potem, otrząsnąwszy się z zamyślenia, odłożył fajkę.

- Wurregan. Idź. Oblubienica cię oczekuje.

To oznaczało koniec audiencji. Ty wstał, ale ociągał się z wyjściem.

- Byłeś za Wielką Wodą, więc sam widziałeś _ powiedział. _ Yengi jest tyle, ile ziaren piasku. Powiedz to twojemu synowi. Abenakowie muszą postarać się żyć z Yengi w pokoju, bo nie ma nadziei, by ich pokonali.

- Ich?

- Nas - przyznał z niechęcią Ty. - Nie pokonacie nas.

Stary wódz pokręcił głową ze smutkiem.

- Mój synu, nie mamy wyboru, musimy próbować. Prędzej umrę, niż okażę miękkie serce.

Delia czekała.

Pozostawiono ją samą w wigwamie. Pamiętała, że Ty też miał przed domem wigwam, tylko nieco mniejszy, więc zaciekawiona spędziła pierwsze chwile samotności na oglądaniu indiańskiej siedziby.

Szkielet z wygiętych u góry gałęzi obłożono podłużnymi kawałkami brzozy kory i pozszywanymi skórami. W samym środku jedyne, okrągłe, pomieszczenia znajdowało się prymitywne palenisko z ułożonych w okrąg kamieni, z którego dym uchodził przez otwór w suficie. Nie było podłogi, na ziemi leżały maty z sitowia, a całe umeblowanie stanowiło wielkie łóżce zarzucone gałązkami o balsamicznej woni, nakryte skórami łosia i niedźwiedzim futrem.

Przyprowadziła ją tu grupa kobiet z plemienia Abenaków, jej rówieśnic. Ponownie ją rozebrały i przebrały w długą szatę z miękkiej skóry renifera, ozdobioną kolcami jeżozwierz i wyszytą farbowanym włosiem łosia oraz szklanymi koralikami. W pasie przewięzały jej sznur z wampum z frędzlami z muszelek i koralu, które grzechotały przy każdym ruchu. Delia czuła się

bardziej jak królowa obsługiwana przez damy dworu niż indiańska branka.

Najmłodsza z dziewcząt, na oko czternastoletnia, z wielkim szacunkiem narzuciła jej na ramiona płaszcz ze skóry pantery. Potem kobiety rozczesywały jej włosy, aż spłynęły kaskadą połyaskujących

fal na miękko układający się płaszcz. Na koniec nałożyły jej na głowę mały stroik z łabędzich piór, tak białych i miękkich jak obłoczek.

Dziewczęta chichotały i rzucały jej onieśmiałe spojrzenia. Aż trudno uwierzyć, że jeszcze dwie godziny temu te obecnie przyjazne, miłe kobiety opowiedziały się za tym, żeby ją torturować i spalić na stosie. Nic dziwnego - myślała - że w Tylerze dochodzą do głosu dwie różne natury.

Gdy Delia została przyodziana, jedna z kobiet gestami i łamaną angielszczyzną oznajmiła, że teraz musi pomóc w przygotowaniu posiłku. W wigwamie pojawił się ogromny różowy płat łososia, który należało upiec na kamieniach w ognisku, podobnie jak nie odarte z zewnętrznych liści kolby kukurydzy. Wniesiono również misę z brzozowej kory z bulgoczącym w niej gulaszem z wiewiórki, z fasolą i kabaczkim, oraz pieczeń z łosia, duszoną we własnym sosie.

Rozkoszne zapachy przypomniały Delii o jej ściśniętym z głodu żołądku, jednak gdy grzecznie zapytała, czy może zjeść kawałek łososia, dowiedziała się wśród wstydliwych chichotów, że zanim sama zasiądzie do posiłku, musi do syta nakarmić swego mężczyznę.

Delia sarknęła z oburzenia na taką niesprawiedliwość. Oprócz odrobiny rozgotowanej dyni, która smakowała jak trociny, nie miała nic w ustach od czterech dni. A teraz ma siedzieć i patrzeć, jak Ty napycha swą przystojną buzię takimi delicjami! Hmm, jak nic zacznie się ślinić niczym zagłodzony pies i da okazję temu wyrafinowanemu dżentelmenowi, by powiedział jej, że zachowuje się jak prosię, co już zresztą miało miejsce. Nic z tego! Gdy rozświetlane kobiety opuściły wigwam, Delia skubnęła trochę jedzenia, by oszukać głód.

Nic jednak nie było w stanie oszukać jej zniecierpliwienia. Ciągnięto ją na powrozie przez kilometry dzikich ostępów jak zdobyczną krowę, zmuszono, by nago przebiegła przez szpaler oszalałych dzikusów, walczono o nią jak o kość rzuconą pomiędzy dwa wściekłe kundły. Złość zaczynała się w niej gotować jak woda w saganie na wolnym ogniu, a temperatura rosła z każdą minutą. Och, ma zamiar powiedzieć parę słów doktorowi Tylerowi Savitchowi! Oczywiście, o ile go zna, rozmowa będzie ostatnią rzeczą, na jaką będzie miał ochotę, gdy wreszcie się tu zjawi. Ale postanowiła tym razem

nie ulec jego czarowi.

Nat nie żyje (na chwilę naszły ją druzgocące wyrzuty sumienia na myśl o jego śmierci), więc ona i Ty mogą się pobrać. Ale jak może mu zaufać? Skąd wziąć pewność, że ją o to poprosi? Jeszcze niedawno ją odtrącił. A ona tak się starała przez ostatnie miesiące, by zetrzeć piętno przeszłości. Teraz jest godna szacunku, niemal jak prawdziwa dama. Nie zrezygnuje z tego za jedną namiętą noc. Ty nie ma prawa traktować jej jak wojennego łupu tylko dlatego, że wygrał tę okropną, idiotyczną walkę.

Przemierzała wigwam tam i z powrotem i podkreślała wagę swych postanowień uderzeniami pięści w otwartą dłoń. Nie chce być traktowana jak przedmiot, który się bierze, wygrywa lub posiada. Tym razem dopilnuje, by Tyler Savitch jak należy za-biegał o jej względy. Z szacunkiem. Nie rzuci się mu w ramiona tylko dlatego, że w końcu wydusił, z siebie, iż ją kocha. Ani do łóżka.

- Moja kobieta - powiedział. Ha! Zobaczysz jeszcze, ile kosztuje prawo, by tak mnie nazywać! -

mruczała gorączkowo. - Wkrótce się dowie, że ...

_ Na kogo tym razem tak pomstujesz, spryciaro?

Serce podskoczyło Delii do gardła, zrobiła gwałtowny obrót. Płomienie sosnowych szczap na zewnątrz wigwamu rzuciły

cię na jego twarz. Ale słyszała kpiącą nutkę w jego głosie. I.. czułość.

Stali bez słowa naprzeciw siebie. A potem zasłona ze skóry opadła, odcinając ich od światła i hałasów na zewnątrz.

Ty! zawołała Delia i rzuciwszy się mu w ramiona, jęła obsypywać jego twarz delikatnymi pocałunkami.

Ujął jej głowę w dłonie, by pocałować ją w usta. Ale żadne z nich nie było przygotowane na wrażenie, jakie wywoła w nich zetknięcie się ich warg. To było jak iskra dla prochu, jak woda dla zaschniętego

gardła. Przypominało raptowne pojawienie się słońca na letnim niebie - oślepiającego, gorącego, bezlitosnego słońca o brzasku.

To była miłość, namiętność i wieczność.

Pokrywali swe twarze oszalałymi pocałunkami. Delia wpiła palce we włosy Tylera i pociągnęła go ku sobie, jak gdyby chciała wtopić się rozgorączkowanymi wargami w jego usta. Gdyby nie oderwał się od niej, by wtulić głowę we wgłębienie jej obojczyka, straciłby pewnie przytomność z braku powietrza.

Jego krótki chrapliwy oddech uderzał falami gorąca o jej szyję.

Ich serca biły w równym rytmie, głośniejsze niż tamtamy Abenaków. Dłonie Tylera mknęły po jej ciele, jak gdyby chciały być wszędzie w tej samej chwili.

_ Słodki Jezu ... - Zachwiał się, a ona przyłgnęła do niego jeszcze mocniej.

Znowu szukał jej ust, ale tym razem wymknęła mu się z ramion, przerażona swoją reakcją na ten pocałunek, na niego.

Przecięgnęła językiem po nabrzmiałych, obolałych wargach. Smakowała Tylerem.

_ podobno mam cię nakarmić - wyszeptała chrapliwie.

_ Więc mnie nakarm - odpowiedział zdławionym głosem, nie zostawiając wątpliwości co do intencji tych słów.

Postąpił krok...

_ Jedzenie! _ rzuciła, cofając się przed nim, by uciec poza ognisko.

- Delio, dziewczyno - zaśmiał się szorstko. - Jak na taką ognistą kobietę jesteś strasznie trudna do zdobycia.

Osunął się zręcznie na ziemię i usiadł przy ogniu, po indiańsku krzyżując nogi.

Napełniła jedzeniem wydrążone w korze miski i talerze i zgodnie z instrukcją Indianek podawała je Tylerowi jedną po drugiej. Nie mieli nowomodnych widelców. Ty jadł palcami, oblizując je starannie po kolejnych potrawach. Przez cały czas nie spuszczał z niej oczu. Pod wpływem żaru tego spojrzenia piekła ją skóra, a głęboko w podbrzuszu pulsował płomień.

Karmiła oczy widokiem jego mocnej, kształtnej sylwetki. Ty również miał na sobie ozdobiony koralikami strój z irchy - kołszulę, przewiazaną identycznym jak jej pasem z wampum, przepaskę na biodrach i obcisłe nogawice. Z ciemnymi włosami, surowymi rysami i oczyma, których niebieski kolor tłumiał mrok, wyglądał jak prawdziwy Indianin. Przypomniała sobie, jak tam, na platformie, nagi, z pomalowaną twarzą, wymachiwał maczugą, wznosząc wojenne okrzyki. Nie znam tego mężczyzny - pomyślała. Ani trochę go nie znam. I obleciał ją strach.

Uśmiechnął się do niej. Ten jego grymas - gdy lekko unosił kącik ust - zawsze ją rozbierał. Odwróciła głowę, by nie odgadł, jak na nią działa.

Nagle w wigwamie zrobiło się gorąco. Delia odgarnęła z twarzy wilgotne pukle włosów i zaczęła manipulować przy zapince z muszli, przytrzymującej płaszcz ze skóry pantery. Był piękny, ale ciężki

jej na ramionach, a w dodatku grzał coraz bardziej, zwłaszcza pod palącym wzrokiem Tylera. Zsunęła go i położyła obok, gładząc pieszczotliwie czarne lśniące futro.

- Lusifée - powiedział Ty.

- On mnie tak nazywał. - Spojrzała na niego zaskoczona.

- Kto?

- Dreamer.

Uśmiech Tylera stężał.

- Proszę, proszę, a to ciekawe. A jak ty go nazywałaś?

Skrzywiła się.

- Kazał, bym nazywała go swoim panem ... Co znaczy lusifée? Jeszcze przez chwilę patrzył na nią ponuro.

- W języku Abenaków tak określa się kogoś, kogo darzy się szacunkiem - wyjaśnił z lekkim wzruszeniem ramion. - Nigdy•

nie słyszałem, by nazwano tak kobietę. - Oczy mu rozbłysły, wyraźnie miał ochotę się trochę podroczyć. - No, ale jeżeli już jakaś kobieta miałaby nosić to miano, to możesz nią być tylko ty.

Lusifée znaczy pantera.

Delia poczuła się dumna, ale i rozbawiona zarazem.

_ Och, Ty! - Jej melodyjny śmiech wypełnił wigwam. - A ja już zaczynałam myśleć, że to po abenacku kapuściany głąb!

Ty zawtórował jej śmiechem.

W małym żelaznym kociołku zawrzała woda, zarzucona młodymi pędami świerkowymi. Delia nabrała czerpakiem naparu i posłodziła go odrobiną klonowego cukru. Gdy podawała mu czerpak nad ogniskiem, pokręcił głową•

- Nie. Przynieś mi go.

- Ale ...

- Przynieś ...

Obeszła ognisko. Wziął od niej czerpak i postawił na ziemi.

Szybkim ruchem złapał ją wpół i nim zdążyła się zorientować, siedziała mu na kolanach, objęta w pasie silnym ramieniem.

Wierciła się, wyrywała, ale znieruchomiła, gdy natrafiła poślądkiem na twardą wypukłość.

_ Oszukałeś mnie! - protestowała zasapana.

_ Ummm - przyznał bezwstydnie. Przechylił jej twarz ku sobie i objął wargami jej usta w nieśpiesznym, ssącym pocałunku.

Przerwał, zanim ona miała dość, ale tylko po to, by wtulić usta w jej szyję.

— Ooch, Delia, dziewczyno ... Nie wytrzymam dłużej. Chcę cię. Teraz.

Osunęła się na niego, przylgnęła jak roztopiona melasa. Wilgotne, gorące odrętwienie rozlało się falą w podbrzuszu.

— Nie ... musimy przestać ... - powiedziała.

A może jej się tylko wydawało, że to mówi? Nie słyszała zbyt dobrze poprzez tętent krwi w uszach.

Gładził ją po talii, biodrach, udach. I znowu ... po udach, biodrach, talii. Przesuwał ustami po szyi w drażniącej wędrowce do ust. Przeniósł rękę na pierś i ugniatał ją przez irchową koszulę. Palce pieściły brodawkę, aż boleśnie stężała.

Walczyła z nim. Przynajmniej próbowała walczyć, bo każda cząstka jej ciała stawała się ociężała i równie niematerialna jak dym unoszący się z ogniska.

- Przestań, Ty Proszę

Musnął językiem płatek jej ucha. Z jękiem wygięła kark. Jego usta przesunęły się po smukłej białej kolumnie szyi. Mówił do niej. Jego głos przenikał w nią, pulsował w jej krwi.

- Kocham cię, Delio ... I ty mnie kochasz. Nareszcie jesteśmy razem. Tylko my dwoje. Wolni. Pozwól się kochać. Walczyłem o ciebie. Jesteś moją kobietą. Moją ...

- Nie!

Odepchnęła go. Uciekła, krzyżując ramiona na piersi w odwiecznym kobiecym geście obrony.

- Nie! Nigdy więcej. Nie pozwolę, żebyś znowu mnie uwiódł, Tylerze Savitchu. Jeżeli mnie chcesz, musisz się najpierw ze mną ożenić.

Wstał powoli i zbliżał się do niej z dziko błyszczącymi oczami.

- Chyba cię jednak uwiiodę.

- Och ... Nie!

Przycisnął ją do siebie tak mocno, że owo "nie" wionęło mu oddechem na twarz.

- Tak - wychrypiał.

Z dłońmi na jej biodrach ocierał się o nią, napierał podnieconym ciałem na wgłębienie między jej udami.

Wbiła mu paznokcie w ramiona i jęknęła, odrzucając do tyłu głowę. Gwiazdy! Widziała gwiazdy przez otwór dymnika. Obracały się ... drgały, a

ona ... ustępowała.

- Nie - wymruczała.

Znowu otarł się o nią.

- Chyba łatwo by mi to przyszło - szeptał jej w szyję. Spróbowała ostatni raz:

- Nie ...

Podtrzymał dłońmi jej głowę i zawisł nad jej ustami.

- Tak - powtórzył z uporem, przesuając delikatnie ustami po jej wargach. - Ale nie muszę. Moje kochanie, Delio, moja żono ... my już jesteśmy małżeństwem.

24

Jej rozchylone wargi zadrżały, otworzyła szeroko oczy.

- Jesteśmy małżeństwem? Nie, my nigdy ...

Ale Ty miał dość rozmowy, dość zwlekania. Opadł wargami na jej gorące, wilgotne usta.

Żaden ze smaków, które znał, nie mógł się równać ze słodyczą ust Delii. Ta kobieta zawładnęła nim, wzięła w posiadanie ciało i duszę. Musiał w zamian dostać coś od niej - choćby miał posiąść ją w bezwzględny porywie namiętności.

Usta Delii ustępowały, rozchylały się pod naporem jego języka.

Podtrzymywał ją, osłabłą, napierając na nią biodrami, by każdy ich kolisty ruch dał jej poczuć, za czym tak naprawdę tęskni. Uniósł ją, nie odrywając warg od jej ust, zatoczył się i chwiejnie opadł z nią w ramionach na stos miękkich futer.

Mocniej zaatakował językiem, odginając jednocześnie spódnicę. Kiedy gładził wnętrze jej ud, wygięła się w łuk, jakby jego palce parzyły delikatną skórę. Westchnęła jękliwie, wrażliwe ciało reagowało na pieszczotę jak jedwab na płomień świecy. Dłoń Tylera przesunęła się wyżej, nakrywając pulsujący wzgórek. Z ust Delii wydobył się jęk, gdy otworzył ją, rozchylając delikatne płatki ciała. Była taka mokra i gorąca. Straszliwie gorąca!

Jego palce wślizgnęły się w nią. Rozcierając wilgoć po kępce puszystych, skręconych włosów, muskał

kciukiem małe twarde miejsce, aż zaczęła się wić.

Oderwała od niego usta.

- Och ... Ty ... to jest... och ... proszę ...

Uniósł głowę, by popatrzeć na jej pociemniałe rozwarte oczy i wilgotne wargi, obrzękłe od pocałunków. Przytrzymała spojrzenie, błędząc ręką po jego przepasce na biodrach. Niemal brutalnie zamknęła palce na jego przyrodzeniu. Syknął z podniecenia pod jej gorącą dłonią.

Zacisnął zęby, aż zazgrzytały, i ukrył twarz we wgłębieniu jej obojczyka. Podniecenie wzbierało w nim do granic bólu.

- Ummm, Delio, słodki Jezu ... Nie wytrzymam dłużej ... wy-bacz ...

Pasek z wampum nie sprawiał trudności. Zmagał się chwilę z węzłem rzemyka podtrzymującego przepaskę na biodrach, nim udało mu się rozplątać

zaciągnięty supeł. Cisnął pod ścianę odporne ubranie i rozsuwając kolanami uda Delii, natarł na nią, podparty na wyciągniętych ramionach, by sycić się jej widokiem, gdy będzie w nią wchodził, gdy wypełni ją całą.

Pchnął. Zmrużyła oczy - jej ciało stawiało dziewiczy opór.

Zaskoczony uniósł pośladki i obniżył się znowu, otwierając ją tym razem powoli. Wygięła plecy i zacisnęła uda na jego biodrach. Zamknęła go niczym atlasowa rękawiczka, wciągając w wilgotne, pulsujące wnętrze.

Nie panował nad sobą. Rytmiczne z początku ruchy nabrały dzikości. Wychodziła naprzeciw

opętającym uderzeniom jego bioder z taką żarliwością, że o mało go z siebie nie strząsnęła. Jej szłał

zadziwiał go, zachwycił i jeszcze bardziej podniecał. Słyszał własny świszczący oddech pomiędzy zaciśniętych szczęk. Delia wbiła mu paznokcie w plecy i zatopiła zęby w jego barku. Wygiął kark i otworzył usta w bezgłośnym okrzyku rozkoszy.

- Ty, Ty, Ty - dyszała.

- Chryste!

Jednocześnie doznali spełnienia. Ciałem Tylera wstrząsnęła fala dreszczy, które rozpoczynając wędrówkę gdzieś w palcach u stóp, eksplodowały w mózgu z siłą tysiąca dział.

Został w niej, dopóki rozgalopowane serce nie przestało dudnić o żebra i nie wyrównał się oddech.

Dopóki nie nabrał pewności, że nie rozsypał się na kawałki i nie leży w częściach wokół wigwamu.

Leżał na jej piersi, z głową w zgięciu szyi, kosmyki jej włosów łaskotały go w nos. Pachniała sosnowym lasem, nim i tym swoim niepowtarzalnym, ekscytującym zapachem Delii.

Naszła go ochota, by spojrzeć jej w twarz. Obrócił się na bok i z głową opartą na łokciu zapatrzył się na nią. I nie zdołał powstrzymać śmiechu, bo po jej minie poznał, że jest tak samo oszołomiona jak on.

Skórę miała zarumienioną i wilgotną, wydęte wargi - spękane.

Zatonął w jej oczach koloru jeziora o zachodzie słońca - złotych z zielonymi cętkami. Żar z ogniska rzucał rubinowe refleksy na jej włosy. Rozsypane na ramionach i futrze, wyglądały niczym rozlane wino. Zgarnął je dłonią i przyłożył do ust, jak pije się wodę ze źródła.

Dostrzegął w jej rozmarzonym spojrzeniu miłość i czułość.

Uniosła ociężałą rękę i przesunęła opuszkami palców po jego dolnej

wardze.

- Ty ...

Wzruszenie ścisnęło mu gardło. Ze zdziwieniem poczuł łyzy w oczach. Kochał ją tak bardzo, że aż bolało.

Nachylił się i koniuszkiem języka powiódł po zarysie jej ust.

Wsunął w nie język i dotknął zębów. Poczuł wilgotny powiew jej cichego westchnienia. Oblizwała wargi, które dopiero co pieścił. Z głośnym pomrukiem znowu nakrył je ustami.

Zapamiętali się w pocałunkach - gorących, głębokich pocałunkach, które pozbawiały ich tchu, a dłoniom kazały zdzierać ubranie w tęsknocie za ciepłem nagich ciał. Ty ledwo wierzył, że to możliwe, by, syci po niedawnej euforii, znów mogli czuć taki dziki głód.

A jednak pragnął jej. Na nowo.

Niechętnie oderwał się od jej warg, by pieścić ustami, nosem, koniuszkiem języka szyję. Delia wsunęła dłonie pod jego koszulę i gładziła go po twardych mięśniach pleców i zwartych pośladkach, Słyszał tuż przy swym uchu jej ciche, pożądliwe westchnienia.

Rozsznurował jej suknię, uwalniając piersi. Napięte brodawki otaczały kręgi, ciemne jak jagodowy sok. Ujął jedną pierś, obrysowywał sutek językiem i muskał go cieniem dotyku. Ale takie pieszczoty były zbyt wyrafinowane na jego nastrój. Przywarł do piersi Delii jak zgłodniałe niemowlę.

Objął je obie, zanurzył w nich twarz i wodził językiem wzdłuż rowka.

- O Boże, żono, jak ty cudownie smakujesz! Zazdroszczę naszym dzieciom ...

- Tylerze Savitchu, jesteś podły! - Pchnęła go z taką siłą, aż krzyknął zaskoczony.

- Co, auu! - Unieruchomił jedną ręką jej oba nadgarstki, zanim zdążyła zamachnąć się po raz drugi, i unosząc jej ramiona ponad głowę, przygwoździł je do ziemi.

- Co ja takiego zrobiłem? - zapytał i dodał, naciskając na nią rozkołysanymi biodrami: - Poza tym co oczywiste?

- Jak możesz tak mnie okłamywać? Jakim prawem nazywasz mnie żoną i twierdzisz, że wzięliśmy ślub? Uuch, kolejny raz pozwoliłam ci się podejść! Nienawidzę cię!

Łzy pojawiły się w jej oczach, wykręciła głowę, by ukryć twarz w futrze.

- Siebie też nienawidzę - dodała cicho, rozzalona.

Przytrzymał jej głowę za podbródek.

- Delio, ty moja wątpiąca oblubienico! - Scałował łązy toczące się po policzkach. - Myślisz, że okłamywałbym cię w tak poważnej sprawie?

Obserwował gonitwę emocji na jej twarzy - zwątpienie, gniew i nieśmiałą nadzieję. Tyle razy zranił ją w przeszłości. Nigdy więcej, Delio. Obiecuję, nigdy więcej nie zadam ci bólu.

Przełknęła ślinę, chrząknęła.

- Kiedy ... się pobraliśmy?

- Dzisiaj - odparł z uśmiechem, szczęśliwy, że może jej ofiarować nie tylko przyjemność, ale i radość. -

Śluby u Abenaków są raczej prostą sprawą. Narzeczeni ubierają się w paradne stroje ...

Dotknęła jego haftowanej, naszywanej koralikami koszuli.

- Takie stroje?

- Uhm m - przesunął językiem po jej spuchniętej dolnej wardze. - Potem mężczyzna posyła do wigwamu kobiety jedzenie. Udowadnia w ten sposób, że potrafi ją utrzymać.

Zerknęła na resztki uczyty przy ognisku.

- To od ciebie?

- Ummm - Podgryzał jej wargę, wsysając ją w usta. - A kobieta przygotowuje posiłek i podaje go swemu mężczyźnie, by pokazać, jak będzie o niego dbać. - Objął jej usta wargami i delikatnie całował.

- I wtedy kochają się na łożu nakrytym skórami i zarzuconym pachnącymi ziołami.

Wbiła paznokiec w bruzdę przy jego ustach, dotknęła warg.

Rozchylił je i musnął językiem opuszek jej palca.

- Należało mnie uprzedzić - powiedziała.

Odchylił jej głowę i, nieco zbity z tropu, zajrzał w twarz. Tyle razy wyznawała mu swe uczucie, iż wydawało mu się oczywiste, że z radością uzna go za męża. Boże, dlaczego nie potrafił uwolnić się od tej miłości ... ?

- Czy gdyby cię uprzedzono, zgodziłabyś się? - zapytał, wstrzymując oddech.

Roześmiała się niskim, gardłowym śmiechem.

- A jak myślisz, Tylerze Savitchu? Zapragnęłam, żebyś mnie poślubił, w chwili gdy zobaczyłam cię po raz pierwszy - wyznała, jak zwykle bez ogródek, gdy chodziło o miłość do niego, i po-wiodła opuszkami palców po jego twarzy. - Tylko że ...

Uśmiechając się, pocałował jej otwartą dłoń.

_ Tylko że co?

_ Miałeś się najpierw do mnie zalecać we właściwy sposób. Jak do prawdziwej damy.

Przytulił twarz do jej piersi i wsunął dłoń pod spódnicę, pieszcząc palcami uda.

_ Czy to odpowiedni sposób? - spytał z ustami na jej sutku .

_ Wielce niewłaściwy ... jak sędzę. - Zaparło jej dech, drgnęła, gdy jego palce wsunęły się głębiej.

Wywinął się z jej ramion i podniósł z łoża. Rozbawiła go rozczarowana mina Delii ..

_ Nigdzie nie idę, ty zachłanna spryciaro. Zamierzam tylko wyplatać się z tych cholernych weselnych szat.

Uwolnił się z nich w sekundę. Wysoki, silny i nagi stanął nad nią, pozostawioną samej sobie, na stercie puszystych skór. Spód-nica okręciła się jej wokół talii, długie, smukłe nogi lśniły zło-ciście w świetle ogniska. Ciemny trójkąt między udami krył ta-jemnice, których dochodzenie nie znuży go do końca życia. Roz-sznurowana suknia, zsunięta z ramion, ukazywała krągłe piersi o rubinowych sutkach. powędrował wzrokiem po kremowej szyi ku rozchylonym ustom i zatrzymał się na oczach.

Ale to Delia odezwała się pierwsza:

- Jesteś piękny.

Roześmiał się, odrzucając głowę do tyłu.

_ Ja to miałem powiedzieć!

Nachylił się i pomógł jej wstać, podciągając ją za nadgarstki.

Rozwiązany jednym ruchem pas z wampum opadł na ziemię z cichym chrzęstem. Zebrał fałdy skórzanej sukni i ściągnął jej przez głowę. Pomogła mu, unosząc ręce do góry, jak rozbierane dziecko.

Oparła dłonie o jego tors, muskając palcami miękkie włosy.

Kiedy głąskała jego płaski brzuch, czuła, jak Ty napina mięśnie, wstrzymuje oddech. Jego westchnienie przeszło w gardłowy jęk, gdy dłonie zabłądziły niżej i delikatnie pieściły budzącą się mę-skość.

- Co ty wyprawiasz, Tylerze Savitchu? - zamruczała, niby to zdziwiona.

- Przygotowuję się, by skonsumować małżeństwo.

Zachichotała i przyciskając do niego nagie ciało, ocierała się, preżąc grzbiet jak kotka.

- Wydaje mi się, że już to zrobiliśmy.

- To był jedynie wstęp. - Przytrzymał jej dłoń na pulsującym członku. - Teraz nastąpi właściwa konsumpcja.

Ujął jej piersi i drażnił kciukami spiczaste czubki. Podciągnął Delię do góry, by sięgnąć ustami do jednej z nich. Syknęła, bo pieszczota była dość brutalna. Wygięła kręgosłup, zacisnęła poświeki.

Spleceni w uścisku osunęli się na futra.

Nakrył ją sobą, przytrzymując wyciągnięte nad głową ręce za szczupłe nadgarstki, jakby miał zamiar zdławić wszelki opór. Była pod nim niewiarygodnie mała. Bał się, że ją zmiażdży, a jednocześnie zawładnęło nim czysto samcze pragnienie, by ją osiąść, wziąć, uczynić swoją.

Pocierał napęczniałym penisem o trójkąt skręconych włosów między jej udami, nachylając się nad jej ustami tak nisko, że dotykali się nosami.

- Delio, dziewczyno, lepiej ułóż się wygodnie, bo zamierzam bardzo, bardzo długo konsumować nasze małżeństwo _ wyszeptał gardłowo.

Zaczął od ust. Badał ich wewnątrz językiem, zadziwiony temperaturą i jedwabistym dotykiem. Ssał i skubał wargi, szepcząc między pocałunkami, że są słodsze od klonowego soku z wiosennych przyrostów, a ona śmiała się pod jego ustami.

Powiódł czubkiem języka po zarysie jej szczęki i podbródka, który tak zuchwale wysuwała w chwilach gniewu czy strachu. Myśl o tym małym podbródku, dzielnie torującym jej drogę w świecie, sprawiła, że miał ochotę skryć ją w ramionach przed wszelkimi niebezpieczeństwami i smutkiem.

- Kocham cię, Delio - powiedział, całując otwartymi ustami jej szyję. Dziwił się, że słowa wydobywają się jeszcze z jego ściśniętego wzruszeniem gardła. - Nie musisz się niczego obawiać, masz teraz mnie.

Czuł, jak przetyka ślinę. Zanurzyła palce w jego włosach przytrzymała głowę.

- Ty. .. - powiedziała jedynie. Ale więcej mówić nie musiała. Zacisnęła palce, przyciągając do siebie jego głowę. Wygięła się w łuk i podsunęła mu pierś.

- Weź ...

Miłosny rozkaz przemknął przez jego ciało płomiennym dreszczem.

Przyjął zaproszenie do uczty na jej piersiach. Pieścił je pocałunkami i komplementami, masował, ssał i wielbił. Położył dłoń na jej brzuchu i podążył za nią ustami. Tuż nad wzgórkiem łonowym złożył

soczysty pocałunek i rozśmieszył ją, łaskocząc delikatnie twarzą.

Wsunął dłonie pod jej pośladki i uniósł ją do swych głodnych ust. Poczul, jak

zdzumiona zaciska mięśnie z rozkoszy, gdy wsunął język pomiędzy miękkie, wilgotne fałdy ciała.

- Ty! - jęknęła. - Co robisz?

- Kocham cię.

- Ależ ... O Boże ... - Otworzyła uda i przyciągnęła jego głowę, na wypadek gdyby miał zamiar przestać. Ty uśmiechnął się pod nosem, pieścąc ustami i językiem rozpalone słodkie miejscę.

Może i trudno było zdobyć Delię McQuaid, ale gdy się to stało, była nieokiełznaną kochanką.

Przygryzał zębami mały guziczek rozkoszy, skubał go wargami. Delia zdawała się rosnąć pod jego ustami. Miotła głową, zaciskała dłonie na futrze, a wigwam wypełniły jej zdławione okrzyki. Poczul

się potężny i męski, dając jej tę pieśczętę, a zarazem wybrany, że przyjmuje ją od niego.

- Kocham cię! - zawołał z twarzą wtuloną w nią, gdy jej ciałem przestały wstrząsać dreszcze. - Kocham cię, kocham.

Podciągnął się i przyciskając ją całym ciężarem, wszedł w nią, miażdżąc ustami jej wargi. Uniosła biodra na jego spotkanie. Krzyknął, gdy uwięziła go w sobie. Zanurzał się w niej i uciekał, aż poczuł, że jeszcze chwila, a straci życie. Natarł na nią z zacisniętymi szczękami. Krew dudniła mu w uszach; oddychali chrapliwie, a wilgotne, rozpalone ciała uderzały o siebie z głośnym plaskaniem.

Delia rozrzuciła nogi. Ty usłyszał własny szloch. Nie czuł się już teraz potężny. Delia wycisnęła z niego życiowe soki, starła go na proch i zmieniła w rozdygotanego samczyka, który bez niej był niczym, niczym, niczym.

Nigdy nie przeżył większej ekstazy.

Ogień zmienił się w kupkę popiołu. Nocne powietrze zapowiadało nadejście zimy i Ty szczerzej otulił ich futrami.

Z sennym westchnieniem Delia wcisnęła się głębiej w jego ramiona i przytuliła do piersi.

- Kocham cię, Tylerze Savitchu - wymruczała tak cicho, że do końca nie był pewien, czy naprawdę to słyszał, czy mu się tylko zdawało.

Objął ją mocniej i szeptał do ucha słowa miłosnej pieśni Abenaków. Potem powtórzył je po angielsku, by mogła zrozumieć ...

“Śpij, śpij, moja ukochana. Nie bój się ciemności ... bo dziś nasze serca biją wspólnym rytmem.

Dzisiaj stanowimy jedność”.

Delia zasnęła, a on, wsparty na łokciu, patrzył na nią. Po prostu patrzył i nie wierzył, że naprawdę jest jego. Nie chciał zasypiać w obawie, że gdy się obudzi, to wszystko okaże się snem. A poza tym lubił na nią patrzeć ...

Kilka godzin później Delia otworzyła oczy i zobaczyła, że Ty przygląda się jej z rozbawioną miną. Uśmiechnęła się do niego.

- Na co tak patrzysz, Tylerze Saviichu?

Musnął wargami jej skroń.

- Na moją żonę.

- Och, na nią - roześmiała się i poprawiła w jego objęciach.

Teraz plecami dotykała jego piersi, a on oplatał ją w talii ramionami.

Delikatnie objął dłońmi jej piersi.

- Delio? Czy jesteś dobudzona?

Wypięła prowokująco pupę.

- Czyżbyś znowu miał ochotę? - Pokazała zęby w uśmiechu.

- Tak. - Przycisnął się do niej, by poczuła jego wzbierające podniecenie. -

Sam jestem zdziwiony, ale tak. Tylko najpierw chcę jeszcze coś zrobić.

Spojrzała na niego przez ramię.

- Będziemy jeść? - spytała z wielkim zainteresowaniem.

- Nie - zaśmiał się i potarł koniuszkiem nosa o jej nos. _ Jedzenie również odłożymy na później.

Poburczała trochę, gdy odrzucił skóry i wystawił ich nagie ciała na rześkie powietrze. Pomagał jej się ubrać. Przekopali cały wigwam w poszukiwaniu jej mokasyna. Potem sam nałożył kołszulę, wciągnął nogawice i wsunął stopy w mokasyny. Chwycił futrzaną kapę z łóżka i wyprowadził Delię z wigwamu w ciemną noc.

Rześkie powietrze zdawało się skrzypieć od przymrozku, szczypało skórę, a para z oddechów osiadała

na twarzach. Niebo było tak czyste, że gwiazdy wisiały nieomal w zasięgu ręki. Dwa wilki zawyły gdzieś w lesie, ich skowyt odbił się echem od jeziora.

Ty obrócił Delię twarzą na północ. Z wrażenia zapało jej dech. Jasne promienie i świetliste smugi strzelały w górę znad horyzontu, układając się w tęczowy wachlarz.

- Och, Ty! Jakie to piękne! - zawołała. - Co to? Skąd to się wzięło?

- Duch Nocy ubrał się w swą szatę z kolorowych ogni - powiedział Ty i roześmiał się, bezradnie wzruszając ramionami: - Szczerze mówiąc, nie

wiem. Ale najpiękniejszy widok jest właśnie o tej porze roku.

Stanął za nią i owinąwszy ich oboje futrem, przytulił ją mocno do piersi. Przez jakiś czas w zupełnej ciszy obserwowali nie-zwykłe zjawisko.

- Delio, tak się bałem - odezwał się Ty po chwili.

Jakimś zmysłem wyczuła, że nie ma na myśli walki z Drea-merem.

- Czego? - spytała cicho.

- Mojej miłości do ciebie. Bałem się, co będzie, jeśli cię utracę, tak jak to się stało z moimi rodzicami, a później z As-sacumbitem i życiem, które poznałem tu, w Norridgewock. - Czują, jak jego ciało tężeje pod wpływem emocji. - Od samego początku tak bardzo się bałem uczucia do ciebie, że byłem jak dzieciak, który wyrywa się i broni z krzykiem przed zamknięciem w ciemnej komórce.

Odwróciła się twarzą do niego. Stali pierś w pierś, owinięci futrem. Oparła dłonie o jego zamszową koszulę i odchyliła głowę, by spojrzeć mu w twarz. Czują, jak pod dłońmi bije jego serce.

- Co sprawiło, że przestałeś się bać?

Wygiął usta w półuśmiechu.

- Nic. Myśl, że mógłbym cię utracić, nadal mnie przeraża.

- Nigdy mnie nie utra ...

Zamknął jej usta delikatnym pocałunkiem.

- Ciii ... Nic nie mów. Nikt nie zna przyszłości. Ale czymś znacznie gorszym byłoby cię w ogóle nie mieć. Te wszystkie miesiące, kiedy byłaś żoną Nata, kiedy myślałem o tym, że dzie-lisz z nim łóżko i że nigdy już nie zaznam radości kochania się z tobą ... - Zadrżał. - Przeżywałem piekło.

Delia już miała wyznać, że jej małżeństwo z Natem nigdy naprawdę nie istniało, ale pomyślała, iż takie wynurzenia zapewne wprowadziłyby Nata w zakłopotanie. Wprawdzie nie żył, jednak jej obowiązkiem było chronić jego godność. Więc zamiast tego po-wiedziała:

- Jestem twoja. Twoja do końca życia.

- Tak, Delio. Jesteś moją żoną, moją kochanką.

Przesunął policzkiem po jej włosach i przytulił ją jeszcze moc-mej.

- Nawet gdybyśmy mieli być ze sobą tylko ten jeden jedyny raz, i tak w duszy na zawsze pozostaniesz dla mnie żoną. Panią mego serca.

Jego słowa spływały miodem na jej skołataną duszę. Pierwszy raz, naprawdę pierwszy raz Szczerze wierzyła, że ją kocha.

- Nasze małżeństwo wydaje się takie ... nierealne - westchnęła mu w szyję.

- Ale istnieje naprawdę. Jeżeli to dla ciebie istotne, po powrocie do Merrymeeting pobierzemy się zgodnie ze zwyczajem Yt.ingi. I wtedy urodzisz mi dwanaścioro dzieci. Oczywiście pojedynczo ...

- Dwanaścioro! - Odchyliła się w jego ramionach, by spojrzeć na niego gniewnie. - Tylerze Savitchu, czy mam do końca życia chodzić w ciąży?

Uściskał ją.

- Hmm ... to nie najgorszy pomysł...

Nagle w jednym z baraków na tyłach wioski rozległ się rozdzierający krzyk. Słysząc było tupot i pokrzykiwania, rozszczękały się pobudzone psy.

Ty uniósł głowę i słuchał znieruchomiały.

- Ty, co się dzieje?

Odrzucił futro i chwytając Delię za rękę, ruszył biegiem do baraku, skąd dochodziły krótkie, powtarzające się krzyki.

- To Elizabeth Hooker! - wyjaśnił przez ramię.

Delia widziała, że Ty nie był przygotowany na to, co zastał w baraku. Elizabeth leżała na stercie nasiąkniętych krwią skór, a jej zapadnięta twarz była biała jak pergamin. Co kilka sekund przyciskała ręce do brzucha, wydając rozrywający gardło krzyk.

- Boże jedyny! - jęknął Ty, klękając obok udręczonej kobiety.

Nachylał się nad nią, bezradny, a Delia dostrzegła w jego oczach panikę.

Elizabeth krzyknęła, Delia zacisnęła dłonie w pięści, by nie krzyczeć razem z nią.

- Boże drogi, Ty! Czy ona umiera?

- Nie! - odpowiedział, już zmobilizowany i rzeczowy, kucając przy Elizabeth, by ją zbadać. - Nie, nie umrze ani ona, ani dziecko.

W tej chwili drzwi baraku otworzyły się na całą szerokość i do środka wtargnął diabeł w chmurze cuchnącego siarką dymu. Serce Delii o mało nie zatrzymało się z wrażenia.

Ty powiedział coś w języku Abenaków i wtedy Delia zorientowała się, że ma przed sobą szamana z twarzą pomalowaną czymś czarnym. Szaman poruszał misą z otworami, przez które wydobywał się oleisty, cuchnący dym. Przyklęknął obok Tylera i potrząsając grzechotką nad głową Elizabeth, mruzczał magiczne zaklęcia.

Przeźrocyste, poznaczone niebieskimi żyłkami powieki Elizabeth zadrgały i uniosły się. Jej spojrzenie zatrzymało się na twarzy szamana. Krzyknęła przerażona.

Delia ścisnęła drżącą dłoń Elizabeth.

- Ty, każ mu stąd iść. Ona się go boi.

- Nie. Potrzebuję go. On więcej wie o leczeniu, niż ja mógłbym się nauczyć przez całe życie.

Zdecydowanym ruchem przytrzymał Delię za ramiona.

- Kochanie, bardzo mi przykro, ale przeszkadzasz nam. –Uśmiechnął się przepaszająco. - Jeżeli chcesz pomóc, zadbaj, żeby nie zabrakło gorącej wody.

Przez noc i cały następny dzień Ty razem z szamanem ratowali życie Eizabeth, a Delia zgodnie z poleceniem nie wchodziła im

w drogę, donosząc na życzenie wodę i szarpie. Pierwszy raz zastanawiała się nad tym, ile odwagi musi wykazać Ty jako lekarz. Wydawał się dzielić cierpienie Elizabeth. Delia przeczuwała, że Ty za każdym razem ubolewa nad śmiercią pacjenta, nawet jeśli przypadek jest beznadziejny.

Słońce chyliło się ku zachodowi, gdy Ty niespodziewanie pojawił się przy Delii. Objął ją i przytulił, drżąc z wyczerpania i długo tłumionych emocji.

- Będzie żyć. - Delia poczuła na włosach jego głębokie westchnienie.

Łzy ulgi stanęły jej w oczach.

- A dziecko?

Roześmiał się znużony.

- Ten smarkul jest naprawdę bojowy. Kurczowo trzyma się życia. Ale, Delio ... - odsunął się, by spojrzeć jej w twarz, odgarnął z jej czoła kosmyk włosów. - Jeżeli chcemy dać temu dziecku szansę, Elizabeth musi je nosić jeszcze co najmniej trzy miesiące. Niełatwo będzie utrzymać tę ciążę.

Delia nakryła dłonią rękę, która dotykała jej policzka.

- Nie możemy wracać do domu, prawda?

- Aż do wiosny - potwierdził Ty.

Myśliwy przyglądał się śladom rozszczępionych kopyt tropionej przez siebie zwierzyny. Były świeże.

Wgnieciony śnieg skrzył się w zachodzącym zimowym słońcu. Myśliwy uśmiechnął się pod nosem -

wkrótce zakończy polowanie i będzie mógł wrócić do domu.

Podjął trop. W skórzanych butach na drewnianych owalnych podszwach, wygiętych jak płozy sań, poruszał się bez wysiłku po głębokim, puszystym śniegu. Zauważył, że ślady zawracały koło kępy brzoź. Łoś, za którym szedł, musiał być potężnym samcem. Korona jego rogów nie zmieściła się między pniami drzew, które rosły mniej więcej co dwa metry.

Myśliwy przystanął nad brzegiem zamrożonego jeziora schował się w zasypanym śniegiem, gęstym świerkowym zagajniku. Miał przed sobą pustą lodową tafłę, połyskującą tajemniczo w białym zimowym świetle głęboką zielenią. Myśliwy, oglądany z pewnej odległości, przypominał wyglądem zwierzę, które właśnie tropił. Był ubrany w grubą, długą kurtkę ze skóry łosia, a na głowie miał jego poroże. W pewnej chwili przyłożył do ust brzozową fujarkę i wydobył z niej niski dźwięk, ludzaco podobny do porykiwania samca. Potem zastygł w pozie oczekiwania, z cierpliwością, którą wyćwiczył w sobie jeszcze jako chłopiec.

Teraz, kiedy tak trwał w bezruchu, poczuł przenikający go dojmujący ziąb. Powietrze było ostre.

Nawet stopy w wyłożonych jelenią skórą mokasynach przemarzły na kość i stracił w nich czucie.

Warstwy ciężkich chmur wisały nad jeziorem. Wkrótce znowu zacznie padać śnieg. Miał w nozdrzach zapowiadający go szczypiący zapach.

Jakieś drzewo złamało się pod ciężarem śnieżnej czapy, wydając odgłos podobny do wystrzału ze strzelby i płosząc królika, który wysokimi skokami rzucił się do ucieczki przez jezioro. Myśliwy na wet nie drgnął. Słyszał coraz wyraźniejszy chrzęst łosich kopyt w pokrytych lodową skorupą zaspach.

Kiedy zwierzę dotarło do polanki, uniosło swą wspaniałą głowę i wciągnęło powietrze w nozdrza.

Myśliwy uniosł niewielki grubo łuk i napiął trzciniową strzałę na cięciwie z baranich jelit. Łoś zwrócił

ku niemu głowę. Mężczyzna i zwierzę, myśliwy i jego zdobycz, zwarli spojrzenia.

Tyler Savitch naciągnął cięciwę i wypuścił strzałę. Trafiła w potężną szyję zwierzęcia. Z przebitej tętnicy szyjnej trysnęła fontanna krwi. Ogromny łoś zachwiał się i bezgłośnie osunął w głęboki śnieg.

Myśliwy odrzucił głowę do tyłu i zaintonował dziękczynną pieśń dla duchów za ich dar. Jego głos zdawał się odbijać od nieba.

Ty sprawił i poćwiartował łośia, zostawiając daninę z części wnętrzości i kawałka mięsa dla drapieżników, z którymi dzielił łowieckie tereny. Musiał teraz pokonać trzykilometrowy szlak z mięsem na plecach do miejsca, gdzie zostawił tobogan. Swoją zdobycz niósł w workach z surowej skóry, na pasach z brzoźowego łyka.

Wędrowka stała się znacznie mniej uciążliwa, gdy przełożył mięso na tobogan. Tobogan, podobnie jak buty do chodzenia po

śniegu, były pomysłem Abenaków. Te sanki z wyprofilowanej deski szerokości trzydziestu centymetrów mógł ciągnąć człowiek albo psy. Drobinki lodu skrzypiały pod butami Tylera, tobogan ze świstem sunął po śniegu. Pomimo ciężkiego ładunku Ty szedł zwawym krokiem. Cały dzień spędził

poza domem, tęsknił za żoną.

Strużki niebieskiego, pachnącego świerkiem dymu unosiły się ku niebu. Ty wszedł na wzgórze i przystanął, by popatrzeć na przycupniętą w dolinie wieś. Słomiane dachy baraków tworzyły szare plamy na białym tle.

Obsypane śniegiem wigwamy przy-pominały pobielone gniazda os.

Ujadanie psów zawiadomiło wieś o jego przybyciu i kObiety wyległy z baraków i wigwamów, by uwolnić Tylera od cennego ładunku. Mięso na jakiś czas pozostanie w wędzarni, potem część pójdzie do wSpólnej spiżarni, większość jednak zostanie rozdzielona między rodziny, dla których Ty polował. Dla siebie zatrzyma pysk. Mięsista górna warga i nos to rarytasy należące do myśliwego.

Po drodze do swego wigwamu Ty mijał nagie słupy po roze-branych ze skór siedzibach. Na zimę, gdy trudniej było o poży-wienie, wiele rodzin wołało opuścić wieś i udać się tropem zwie-rzyny w głąb pokrytego śniegiem lasu.

Z powodu dokuczliwego zimna wszyscy ludzie, a nawet i psy, woleli nie wychodzić na zewnątrz.

- Delio, dziewczyno! - zawołał Ty z radosnym przyśpiewem, zdejmując

buty i otrzepując je ze śniegu o słup. Odsunął zasłonę i schylając głowę, wszedł do wigwamu.

- Gdzie jesteś, kobieto? Zmarzłem na kość i marzę o całusie ... Zawiesił głos i mina mu zrzedła, gdy zorientował się, że wigwam jest pusty. Zapewne poszła do baraku Assacumbuita, odwiedzić Elizabeth i jej dziecko. A jednak poczuł się rozczarowany, że go nie wita, tym bardziej iż przez całe Popołudnie prześladowały go myśli o jej ustach i piersiach. Pragnął jej.

Zaśmiał się sam z siebie. Do diabła, kiedy właściwie jej nie pragnął?! Jedyne konieczność zdobywania Pożywienia wyrywała go z jej ramion. Gdyby można było żyć samą miłością, nie ruszyłby się z domu na krok.

Wewnątrz wigwamu było ciepło od płonącego ogniska, a w powietrzu unosił się aromat drzewa laurowego, pomieszany z zapachem kukurydzy duszonej z żołądziami we francuskim kociołku na palenisku.

Ty usiadł na macie w pobliżu ognia i zdjął przemoczone mokasy. Zacerpnął warząchwą jedzenia i podniósł ją do ust. Żołądek domagał się swoich praw. Ty przeżył cały dzień na kawałku kukurydzianego suchara, słodzonego syropem klonowym - a przecież przeszedł co najmniej trzydzieści kilometrów, w dodatku przez większość drogi ciągnąc tobogan.

Uśmiechnął się na widok wiaderka z brzozy kory, z roztopionym śniegiem, który Delia postawiła specjalnie dla niego, by miał wodę do mycia, gdy wróci. Całe swoje dorosłe życie spędził, mieszkając samotnie. Posiadanie żony, która wychodziła naprzeciw jego potrzebom, wydawało mu się luksusem.

Miał szczęście, Delia zdawała się odgadywać jego życzenia, zanim on sam wiedział, czego chce.

Tłumaczył jej, że niepotrzebnie go rozpieszcza, bo i tak jest najszczęśliwszym człowiekiem pod słońcem, obdarowywany tak hojnie w łóżku. O ile dobrze pamięta, powiedziała mu wtedy, żeby przestał zachowywać się jak kapuściany głąb. Uśmiechał się teraz na samą myśl o niej. Rany boskie, jak on ją kocha! Tę Delię, swoją żonę ...

Przeszedł go dreszcz na wspomnienie tamtego dnia na Fallmouth Neck, kiedy powiedziała mu, że będzie dla niego najczulszą żoną, a on odepchnął i ją, i miłość, którą mu ofiarowała. Setny raz dziękował teraz swemu opiekuńczemu duchowi Bedagi, gitche Manitou, a także Bogowi chrześcijan, że po raz drugi dali mu szansę i mógł poślubić tę niezwykłą i piękną kobietę.

Z pełnym żołądkiem i rozgrzanymi stopami, rzucił naburmuszone spojrzenia na wejście do wigwamu, rozczulając się nad swą samotnością.

Brakowało mu jej pocałunków. Policzył w myślach godziny - osiem godzin się nie kochali. Jeżeli nie zaczną się lepiej starać, pewna cenna część jego ciała może ulec atrofii z braku używania.

Ty chodził niespokojnie po wigwamie. Psiakrew, to zaczyna wyglądać poważnie. Gdzie ona jest? Już na pewno dowiedziała się od kobiet, że wrócił. Mamrocząc pod nosem kolejne przekleństwo, wsunął

stopy w suche już mokasyny, narzucił kurtkę ze skóry łosia i łapiąc po drodze kawałek upolowanej zdobyczy, wyszedł z wigwamu. Najwyraźniej musi się pofatygować i osobiście ściągnąć ją z powrotem do swego łoża, tam gdzie jej miejsce.

Gdy wszedł do baraku, uderzył go niezwykle widok. Assacumbuit, wielki i dumny wojownik, drobił

tanecznymi krokami wokół ogniska, kołysząc w ramionach opatulone niemowlę. Podśpiewywał przy tym tworzoną na poczekaniu piosenkę owaligit wasis - pięknym chłopczyku z włosami jak len, który wyrosł nie na ogromnego, silnego myśliwego i wielkiego wodza swego ludu. Dziecko gruchało radośnie, a synowa Wielkiego Wodza, Srebrna Brzoza, siedziała z nisko pochyloną głową, by ukryć rozbawienie.

Ty postawił przy drzwiach worek z mięsem i nie chcąc zakłócić tej niesłychanej sceny, po cichu wszedł do środka.

W baraku nie było okien, smugi światła z wirującymi pyłkami kurzu wpadały przez dymniki.

Prostokątne wnętrza długości mniej więcej piętnastu metrów podzielono przepierzeniami na mniejsze pomieszczenia, a w każdym z nich było osobne palenisko. Krokwie poczerniały od dymu tych wszystkich ognisk.

Abenakowie, w odróżnieniu od innych plemion, mieszkali na stałe w jednym miejscu. Lecz nawet jak na nich ta siedziba była bardzo stara. To właśnie tutaj w dzieciństwie mieszkali Ty i Dreamer.

Assacumbuit zakończył swój taniec efektownym piruetem. Zawirował na czubkach palców i ...

stał jak wryty na widok uśmiechającego się pasierba. Pierwszy raz w życiu Ty dostrzegł

zakłopotanie na twarzy wojownika. Wódz nawet się zaczerwienił!

- Smarkacz miał problemy z beknięciem - rzekł opryskliwie

Assacumbuit.

- Aha, rozumiem - odparł Ty, uśmiechając się jeszcze szerzej. - A ty usiłowałaś wytrząść je z niego?

Wielki Wódz prychnął niby to z odrazą.

- No, kobieto, zabieraj go! - Podał podrygujące zawiniątko Srebrnej Brzozie, która ułożyła dziecko z powrotem w kołysce, zawieszanej na słupie.

- I co tam? - zaczął Assacumbuit. - We wsi aż huczy od pogłosek, że Yengi jedną strzałą zabił

ogromnego łosia o rogach tak rozłożystych, że zajęłyby cały wigwam.

- Uhu - przyznał Ty skromnie. - Przy drzwiach leży worek.

Srebrna Brzoza aż krzyknęła z zachwytu, gdy odwinęła mięso.

3_ Popatrz, teściu, on przyniósł nam pysk! Zwróciła pełne wdzięczności spojrzenie na Tylera.

Ale musisz go zabrać z powrotem. To nagroda dla myśliwego. Niemniej jednak przyjmujemy ten szczodry dar - wszedł

jej w słowo Assacumbuit.

Ty starał się utrzymać powagę• powiadano, że stary wojownik dał kiedyś dwie bobrowe skórki za ten rarytas, który uduszony smakował jak młode kurczę z wiosennego wylęgu.

Ty przemawiał pieszczotliwie do niemowlęcia, grzechocząc pomalowanymi kostkami, nanizanymi na sznurek, a maluszek obserwował go z uwagą swymi szarymi oczkami.

Ilekcroć spoglądał na to dziecko, on, lekarz przecież, nie mógł nadziwić się cudowi, jakim był dar życia.

Gdy pięć miesięcy temu Elizabeth Hooker zwijała się z bólu na nasiąkniętych krwią skórach, oładnęło nim przerażenie, dodatkowo spotęgowane wspomnieniem umierającej matki. Gdyby nie spojrzenie ogromnych złotych oczu Delii, pełnych miłości i wiary w niego, być może poddałby się strachowi. Ale nie wyobrażał sobie, że mógłby ją zawieść, i dlatego walczył o życie matki i dziecka z taką determinacją, jak gdyby chciał pokonać śmierć siłą własnej woli.

Przez pozostałe trzy miesiące ciąża była zagrożona. Elizabeth musiała leżeć, nie było mowy o wyczerpującej podróży do Merrymeeting. Dziecko przyszło na świat jako wcześniak na początku stycznia. Teraz musieli przeczekać, aż się ociepli, a noworodek i jego matka nabiorą sił.

Ty przez dwa tygodnie tropił starego trapera, Wielką Łychę, by przez niego przekazać wiadomość do Merrymeeting dla Caleba i reszty osadników, że obie kobiety żyją i że wrócą do domu na wiosnę.

Oboje z Delią martwili się o osierocone córki Nata. Na szczęście wiedzieli, że d? ich powrotu dziewczynkami zajmie się Anna Bishop. Ty nie

przypuszczał, by Nat miał jakichś krewnych, oprócz dalekiego kuzyna w Anglii, więc wspólnie z Delią postanowili, że zaadoptują jego córki zaraz po powrocie do domu.

Ty spostrzegł, że jego ojczym niezłe się bawi, patrząc, jak on ćwierka do dziecka, potrząsając grzechotką. Ze śmiechem podrzucił do góry kościane korale i wyłapawszy je drugą ręką, usiadł przy ognisku obok Assacumbuita. Nadziana mięsem kiszka łosia skwierczała nad ogniskiem, roztaczając apetyczny zapach.

Srebrna Brzoza, ciężarna żona Dreamera, obserwowała Tylera spod skromnie opuszczonych powiek, zupełnie zapomniawszy o swym zajęciu. Właśnie farbowała jelenią skórę mieszanką z kołry wiązu,

zwierzęcej wątroby i mózgu. Jej niewidoma i bardzo stara matka siedziała obok, mieląc na żarnach kukurydzę. Molsemis, pięcioletni wnuk Assacumbuita, strzelał z miniaturowego łuku do tarczy namalowanej na ścianie. Nigdzie nie widać było ani Delii, ani Elizabeth.

- Gdzie są moje kobiety? - zapytał beztroskim tonem, mimo że odczuwał lekki niepokój. Był pewien, że Delia jest u Assacumbuita i bawi się z dzieckiem, gwarząc z Elizabeth.

Assacumbuit leniwie obracał kubkiem z kośćmi, chcąc ich grzechotem zachęcić Tylera do gry, czego on z kolei wolał uniknąć, bo za każdym razem przegrywał.

- Łowią spod lodu - odparł wódz.

- Elizabeth też? - Ty uniósł brwi.

- Tak. Twoja Lusifée uznała, że świeże powietrze dobrze jej robi.

Niemowle zagruchało w kołysce nad ich głowami. Stary Indianin podniósł wzrok, jego czarne oczy zalśniły ciepło jak dwa rozżarzone węgle.

- Świetny chłopak. Powinieneś wziąć awakon Elizabeth jako drugą żonę.

Ty odkupił Elizabeth od Indianina, który ją pojmał, za pięć bobrowych skórek, więc Assacumbuit uważał ją za niewolnicę Tylera.

Ty roześmiał się, słysząc, jak stary bez żenady próbuje zdobyć kolejnego wnuka.

- Czy nie rozmawialiśmy o tym kilkakrotnie? Elizabeth ma bardzo dobrego męża. A Delia owinęłaby moje wnętrzności dookoła pala tortur, gdybym tylko śmiał pomyśleć o drugiej żonie. - Ta twoja Lusifée na pewno wycisnęłaby pieśń śmierci z twojego gardła ~ zarechotał Assacumbuit.

Srebrna Brzoza zachichotała cichutko. Lecz kiedy Ty spojrzał na nią, zobaczył jedynie czubek pochylonej głowy. Przedziałek lśniących czarnych

włosów pomalowała cynobrową gliną, strojną suknię przyozdobiła sznurem czerwonych i niebieskich szklanych koralików. Od pięciu miesięcy, dzień w dzień, chodziła odświętnie ubrana. Stroiła się tak na powrót Dreamera, jej męża, który od walki z Tylerem nie zjawił się w domu.

Przegrana walka z Yengi - nawet jeśli ten Yengi był pasierbem Assacumbuita - przyniosła Dreamerowi wstyd i wywołała niechęć ze strony współplemieńców. Nocą opuścił wioskę i nikt go od tamtej pory nie widział. Norridgewockowie, z wyjątkiem Srebrnej Brzozy, sądzili, iż udał się na Świętą Górę - Katahdin, by tam poprzez post, taniec i pieśni wprowadzić się w trans i doznać wizji.

Poryw wiatru załomotał w brzozowych gontach. Ty kręcił się niespokojnie. Tęsknił za żoną.

- Wytrzymaj jeszcze trochę - powiedział Assacumbuit, czytając w jego myślach, co wywołało rumieniec na twarzy Ty. - Mężczyzna nie może stać się niewolnikiem swych chęci. Szczególnie gdy w grę wchodzi jedna tylko kobieta.

Za późno - pomyślał Ty, śmiejąc się w duszy. Zaczął się zbierać.

- Myślę, że ...

Dłoń Assacumbuita opadła mu na ramię.

- Spokojnie, mój synu. Wyszły dopiero przed godziną, posłałem za nimi brata Srebrnej Brzozy, by je pilnował.

Ty z ociąganiem usiadł z powrotem na macie.

Wielki Wódz z szerokim uśmiechem potrząsnął kubkiem z kośćmi.

- A może byśmy zagrali?

Z dłońmi ukrytymi w mufce z niedźwiedziego futra, Elizabeth Hooker zaglądała przez obłoczek pary własnego oddechu w prze-rębel, który wyrąbały w lodzie na bagiennym brzegu.

- Nic nie widzę - oznajmiła.

- Nie możesz ich zobaczyć. Zagrzebały się głęboko w błocie - wyjaśniła Delia, dumna ze swej świeżo zdobytej wiedzy.

Dziubała w błocie na dnie przerębla włócznią zakończoną ostrzem z krzemienia. Młody wojownik,

Pulwaugh, obserwował ją krytycznie, żując świerkową żywicę, ale nie kwapił się z pomocą przy tym kobiecym zajęciu.

- Ty pokazał mi, jak to robić - powiedziała Delia, a informacja była przeznaczona przede wszystkim dla młodego Abenaka, który, jak podejrzewała, nie do końca ujawniał się ze swą znajomością angielskiego. -

Wielki Yengi, wojownik Bedagi, nie wstydził się nauczyć swej kobiety łapać węgorze.

Delia dźgnęła energicznie włócznią. Wydając triumfalny okrzyk, wyprostowała się, wyciągając z dna parę Węgorzy o żółtych brzuchach, które wiły się na trójzębnym ostrzu włóczni.

- Aż dwa!

- Uuuch! - wstrząsnęła się Elizabeth, odskakując do tyłu. _ Jakie ohydne!

- Ale są pyszne. Nigdy nie jadłaś wędzonych węgorzy?

Po plecach Elizabeth przebiegł jeszcze jeden dreszcz.

- Jadłam, ale nie miałam pojęcia, że żywe wyglądają tak ... obrzydliwie!

Śmiejąc się z Elizabeth, Delia nadziała węgorze na zaostrzony patyk, ciężki już od ryb. Złapały je w przeręblu na jeziorze na linkę z jelit i przynęty z kukurydzy. Gdzieś nad ich głowami zakłóciło zimową ciszę przypominające demoniczny śmiech, przeciągłe, upiorne pohukiwanie.

Delia osłoniła oczy przed rażącym białym światłem i spojrzała w niebo.

- Posłaniec Glooscapa - powiedziała z rozmarzonym uśmiechem na widok białego nura krążącego nad nimi. _ Zwiastuje burzę.

Za każdym razem, gdy widziała llura, wracała myślami do pewnego popołudnia na jeziorze. W

listopadzie po pierwszych śniegach zrobiło się nagle ciepło jak w lecie. Norridgewockowie, korzystając z dobrej pogody, szykowali się do zimy - gromadzili zapasy żywności, sporządzali oraz reperowali broń i ubrania niezbędne do zimowych polowań. Ty postanowił zabrać Delię do lasu, chciał pokazać jej, jak zakładać sidła na króliki.

Rzeczywiście, nieco czasu spędzili na zakładaniu pułapek. Ty nauczył ją robić pętle ze skórnego łyka. Zaznaczył, że zawsze powinna wiązać po cztery pętle, ponieważ czwórka ze względu na cztery kierunki wiatrów i cztery strony świata jest magiczną liczbą. Nauczył ją również pieśni, którą należy nucić, aby odpędzić złośliwe duchy, gdy sidła pozostają puste.

Uznali jednak, że dziciele był zbyt piękny na takie zajęcia, i wypłynęli w canoe na jezioro. Delia siedziała oparta o pierś Tylera, bezpieczna w gnieździe jego ramion.

Rozmawiali, przeplatając rozmowę pocałunkami. Wkrótce słowa zamilkły, ustępując coraz gorętszym pocałunkom. Łódź zachybotwała się niebezpiecznie.

Delia z wyraźną niechęcią wysunęła się z objęć Tylera.

- Przestań! - zaprotestowała z głośno bijącym sercem, choć wcale nie ze

strachu przed wywrotką. -

Pamiętasz, co się stało, gdy próbowałeś całować mnie na łódce?

- O ile dobrze sobie przypominam - wymruczał, stosując na jej usta atak z flanki, czyli od strony szyi -

to ty mnie wtedy całowałaś.

Śmiech Delii przeszedł w pełny zadowolenia pomruk.

- Czyżbym była tak bezwstydnie rozpustna?

- Bądź znowu taka - zaproponował Ty i widząc w jej oczach zachętę, wsunął ręce za dekolt sukni z jeleniej skóry.

Nagle ciszę przeciął opętańczy śmiech tuż nad ich głowami i ogromny muskularny ptak opadł na jezioro obok łódki. Bryzgi wody poleciały prosto na nich, łódka przechyliła się i o mało nie skąpali się w lodowatej wodzie.

Oniemiała Delia usiadła gwałtownie, przyciskając do piersi rozpiętą sukienkę. Wpatrywała się w miejsce, gdzie ptak zanurkował, ale zobaczyła już tylko rozchodzące się fale.

- Co to było, do jasnej cholery? - Jej pełne oburzenia pytanie przyprawilo Tylera o napad szaleńczego śmiechu.

I właśnie wtedy tuż nad taflą wody pojawił się ostry dziób, a zaraz za nim połyskująca tęczowo zielonkawo-purpurowa główka. Za chwilę ptak wynurzył się cały, w przepychu jeszcze letniego upierzenia - wzór na tułowiu i skrzydłach układał się w biało-czarną kratkę, a szyję zdobiła pasiasta kryza. Małeńkie oczka podobne do koralików wwierciły się w Delię i ptak zajął.

Za plecami Delii rozległ się identyczny dźwięk. Wykręciła głowę i ze zdziwieniem stwierdziła, że to Ty odpowiedział ptakowi.

Ptaszysko okrężyło łódkę w szalonym tempie, przebierając po tafli wyprostowanymi łapami o połączonych błoną palcach. Gdy wydał z siebie przeciągłe pohukiwanie, Ty dokładnie powtórzył

dźwięk. Ptak zajął i Ty odpowiedział. Ty się roześmiał, ptak powtórzył.

Delia zapatrzyła się w rozradowaną, przystojną twarz męża, a w jej sercu wezbrała tak wielka miłość, że aż się dziwiła, że to serce było jeszcze całe.

Ileż ten mężczyzna miał twarzy! Doktor Ty -

uzdrowiciel, Tyler Savitch - dżentelmen o wyrafinowanych

manierach, Bedagi - indiański wojownik. Zdecydowała, że to ostatnie wcielenie pokochała najbardziej.

A teraz miała przed sobą Tylera - małego chłopca, który bawił się z

nurem.

Poczuła na ramieniu dotyk. To sprowadziło ją na ziemię. Spojrzała na zaróżowioną twarz Elizabeth.

- Znowu zaczyna prószyć śnieg. Nie sądzisz, że powinniśmy wracać?

Delia już otwierała usta, żeby przytaknąć, gdy nagle zobaczyła, jak rumieńce znikają z twarzy przyjaciółki. Elizabeth z okrzykiem przerażenia wskazała ręką na las.

Pulwaugh obrócił się pierwszy i również zareagował piskliwym okrzykiem. Trzęsącą się dłonią namacał tomahawk przy pasie.

- Duch! - zawołał.

- Bzdura! - zganiała go Delia. W życiu nie spotkała ludzi bardziej przesądnych od Abcnaków. - To tylko człowiek.

Człowiek, chociaż wysoki i szeroki w barach, był niewiarygodnie wychudzony. Strzępy ubrania łopotwały na wietrze, a pasma długich czarnych włosów smagały twarz jak podarta flaga. Kiedy tak stali wszyscy troje wpatrzeni w niego, mężczyzna podniósł rękę w geście naśladującym błogosławieństwo francuskiego księdza.

- Przecież to Dreamer! - powiedziała Delia. Ze smutkiem pomyślała o Srebrnej Brzozie, czekającej w wiosce na jego powrót. - Może powinniśmy z nim porozmawiać? Wygląda na załgodzonego i ziębniętego.

Pulwaugh gniewnie pokręcił głową i zaczął warkliwie je poganiać. Pozbierali rzeczy i ruszyli do wsi.

Delia nie protestowała. Szczerze mówiąc, Dreamer budził w niej lęk. Absolutnie nie podeszłaby do niego sama.

Gdy wracali po swych własnych śladach do domu, obejrzała się na jezioro. Dreamer stał i patrzył za nimi. Jego ciemna sylwetka na białym tle przypominała monstrualnych rozmiarów wronę. Delia opanowała zabobonny dreszcz ...

Mówiło się, że wrony zwiastują śmierć.

Wiatr kłął przez poszarpane irchowe odzienie, kryształki zamrzniętego śniegu wirowały wokół

głowy. Ale Dreamer nie czuł

zimna. Odprowadził wzrokiem trzy postaci w śnieżnych butach, aż zniknęły w zadymce. Nie rozpoznał twarzy ukrytych w futrzanych kapturach i nie dbał o to. Oszołomiony głodem i trawiącą go gorączką, żył w świecie halucynacji.

Wydawało mu się, że jest duchem, chociaż do końca nie był tego pewien.

Obcował teraz z duchami na Katahdinie, największej z gór. Żaden Abenak nie považył się dotąd na takie przedsięwzięcie, a jeżeli nawet się na nie zdobył, to nie przeżył, bo Dreamer nigdy nie słyszał, by ktoś się tym przechwalał.

Ludzie z plemienia Abenaków koczowali i przemieszczali się wśród lasów i nad wodami poniżej świętej góry, ale na nią samą nigdy nie wchodzili, bo mieszkał tam Pamola, Duch Burzy, bestia ze skrzydłami i pazurami orła, torsem mężczyzny i głową łosia. Gdy wybuchał gniewem, zsyłał na nich, bezbronnych, wiatry, pioruny i śnieżne burze. Naruszając spokój Pamoli w jego kryjówe, ludzie narażali się na okrutną śmierć.

Lecz Dreamer wdrapał się na sam szczyt Katahdinu. Tam nawiedziły go wizje, jakich nigdy dotąd nie doświadczył. Nie rozumiał jeszcze znaczenia tych dziwnych, chaotycznych objawień, ale prędzej czy później ich treść stanie się dla niego jasna i wtedy będzie działał zgodnie z ich przesłaniem. Każdy Abenak wiedział, że spotka go nieszczęście, jeżeli zignoruje wizje. Człowiek powinien wypełnić to, co mu objawia, inaczej narazi się na zemstę bogów. Wizje to był dar od bogów, a takiego daru nigdy nie wolno odrzucić.

Dreamer odchylił głowę do tyłu i zaśmiał się na myśl o potędze swych proroczych snów. Jego opętańczy śmiech, podobny do kwakania nura, odbił się echem od zamarznętego jeziora. Zaśmiał się jeszcze raz i spod kurtki ze skóry łosia wyjął szklaną butelkę. Wyciągnął korek zębami i wlał prosto w gardło pałacy, brunatny płyn.

Gardło zapiekło żywym ogniem, aż oczy zasły mu łzami.

Ale skutek był prawie natychmiastowy. Obrazy tańczyły mu przed oczami. Musiał zmrużyć powieki, by je przytrzymać.

Assacumbuit ostrzegał go kiedyś, że wizje wywołane wodą ognistą Yengi nie są prawdziwe. A Czarna Sutanna mówił, że bóg Yengi, jedyny prawdziwy Bóg, gniewa się na ludzi, którzy ją piją. Ale Dreamer wyrzekł się boga Czarnej Sutanny. Z odrazą

zdarł z szyi koraliki - totem tamtego boga - i wdeptał je w ziemię. Nie było w nich keskamzit - magicznej mocy.

A woda ognista miała keskamzit, więc pociągnął jeszcze łyk w oczekiwaniu na prorocze widzenie.

Tym razem było wyraźne, bardzo wyraźne. Widział mnóstwo Yengi, setki bladokórych ludzi napływających szerokimi, rwącymi rzekami. A

przewodziła im lusifree - pantera. Nagle potężny wilk wyłonił się z lasu i rozszarpał panterę jednym uderzeniem swych potężnych kłów. Pantera padła nieżywa, a rzeki wraz z Yengi cofnęły się do oceanu, gdzie pochłonięły ich odpływ.

Wizja zniknęła, pozostawiając Dreamera w euforycznym oszołomieniu. Uniósł głowę ku niebu i pełnym głosem wydał wojenny okrzyk. Nareszcie bogowie wskazali mu jego przeznaczenie.

Podmuchy wiatru przybierały na sile, Delia chowała twarz w kapturze przed kłującymi kryształkami zamrożonego śniegu. Drżące nogi piekły ze zmęczenia. Szczególny sposób stawiania stóp palcami do wewnątrz, wymuszony przez śnieżne buty, nadwerżył mięśnie, których istnienia nawet nie podejrzewała. Na ślepo podążała za Pulwaughem, ufając, że zna drogę, bo ona już dawno straciła orientację w tej bezkresnej bieli.

Elizabeth zatoczyła się i młody wojownik wziął ją na rękę.

Delia westchnęła z ulgą na widok zarysu palisady. Westchnienie przeszło w okrzyk radości, gdy w wirującym śniegu pojawiła się sylwetka mężczyzny.

- Ty! - zawołała.

Ostatnie dzielące ich kilka metrów przebrnęła biegiem i rzuciła mu się w ramiona. Nareszcie czuła się bezpieczna, nadal bowiem prześladował ją budzący smutek, a zarazem przerażenie, obraz Dreamera.

Ty przycisnął ją do piersi.

- Bałem się, że zgubiliście drogę w zadymce - powiedział, przekrzykując wiatr.

Pulwaugh z Elizabeth na rękach skierował się do baraku Wielkiego Wodza, Delia zamierzała pójść za nim, lecz Ty pociągnął ją do wigwamu.

- Ależ, Ty, chciałam zanieść węgorze twojemu ojcu - protestowała, gdy znaleźli się w środku, a on zsunął jej z głowy kaptur i rozcierał wysmagane wiatrem policzki.

- Zrobisz to później. A poza tym ludzie znoszący mu przy-smaki dość go dziś rozpieścili jak na jeden dzień.

Ujął jej twarz w dłonie i uniósł do góry. Czuła na ustach ciepło jego oddechu.

- Teraz mnie porozpieszczaj dla odmiany. Daj mi moje przy-smaki.

Uwielbiała go rozpieszczać. Sięgnęła do jego ust. Były ciepłe i delikatne. Całowały mocno i pożądliwie. Odgięła głowę i zamknęła oczy. Czuła, jak jego wargi dotknęły pulsującego miejsca na szyi ... I wtedy przed oczami stanął jej obdarty i poczerniały Dreamer. Przebiegł ją dreszcz.

Zimno ci? Rozcierał jej ramiona i plecy, pieszcząc twarz pełnym miłości spojrzeniem. - Chodźmy do łóżka. Sprawię, że zaraz zrobi ci się ciepło, wręcz gorąco ...

Ty przytrzymała go, odsuwając się nieco - widzieliśmy Dreamera. Nad jeziorem.

Jesteś pewna? Na czole Tylera pojawiła się pionowa zmarszczka.

Nie ... do końca. Zamknęła oczy, przywołując w pamięci sylwetkę podobną do wrony. - Ten kapuściany głąb, pulwaugh, uważa, że to był duch.

_ Jeśli to rzeczywiście był Dreamer, to raczej był to duch.

_ Nie, to był człowiek z krwi i kości. I mam przeczucie, że to był on. _

Otworzyła oczy. - Czemu się krzywisz?

Uśmiechnął się smętnie.

_ Do diabła, Delio. Chyba jestem o niego zazdrosny. Wolałbym, żebyś była nim mniej zafascynowana.

_ To nie fascynacja, ja się go boję.

_ Zapomnij o nim. Myśl o mnie.

Zamknął dłonie na jej pośladkach i przycisnął ją do siebie.

_ Czy wiesz, ile czasu ...

_ Dziesięć godzin.

_ A wydaje się, że całe wieki.

Poprowadził jej rękę między swoje uda. Twarde wzniesienie uwierało ją w dłoń, parząc przez bryczesy.

_ Widzisz _ powiedział napiętym z podniecenia głosem. - Umieram z pragnienia.

_ Chce pan tak stać do końca życia i zagadać mnie na śmierć? - prychnęła z butną miną, z jaką kiedyś zwracała się do bywalców szynku „Frisky Lion”, zaciskając jednocześnie dłoń na jego na-brzmiałej męskości.

Z gardłowym pomrukiem przeniósł ją na łóżko i opadł na nią łapczywie w głębokim, przyprawiającym o dreszcz pocałunku.

Parę minut później wyszeptał zdyszany:

- Wróciłem do domu, a Ciebie nie było. Nigdy więcej mnie tak nie zostawiaj.

Delia uśmiechnęła się w myślach, bo wiedziała, że tylko śmierć mogła ją z nim rozdzielić.

26

Ty chlusnął wodą z warzachwi na rozgrzane do czerwoności kamienie. Kłęby duszącej pary wypełniły mały wigwam.

- Za gorąco, Ty - sapnęła Delia.

Odprężona i senna, na wpół leżała, wsparta na wałku ze zwińniętych skór.

Ty uchylił klapę wigwamu i podniósł miotełkę z ogona jeżozwierza.

- Chodź tu - powiedział.

Podeszła z ochotą i usadowiła się między jego nogami. To był ich niemal codzienny popołudniowy rytuał _ kąpiel parowa, szczotkowanie włosów, rozmowy i ... miłość. Norridgewockowie z pobłażaniem przyjęli kaprys Bedagi, gdy zbudował swoją prywatną łaźnię, by dzielić przyjemność kąpieli ze swoją kobietą.

Ty przeciągnął szczotką po długich czarnych włosach Delii.

Skręcone pod wpływem wilgoci pasma owijały się wokół jego dłoni i ud. Zamruczała jak kotka. W

całym ciele czuła mrowienie wywołane działaniem gorącej pary, dotykiem Tylera i intymnym kontaktem z jego nagim, wilgotnym, rozgrzanym ciałem.

- Myślisz, że twój dom splonął podczas najazdu? _ spytała leniwie. -

Szkoda by było lych wszystkich pięknych przedmiotów.

- To tylko rzeczy. - Odłożył szczotkę i podciągnął ją wyżej, by się oparła plecami na jego piersi.

- A mokasyny twojej malki? Te wszystkie książki, i ...

Przerwał jej pocałunkiem.

- Nieważne. Mam ciebie i tylko to się liczy. - Oparł podbródek o jej bark.

- Tak czy owak, musiałbym wybudować nowy dom. Tamten nie pomieściłby dwanaściorga berbeciów.

Odwróciła głowę, by nie mógł widzieć, jak się uśmiecha.

- No pewnie. I trzech żon, które by ci je urodziły - rzuciła zadziornie, chociaż podobała jej się myśl o domu pełnym dzieci. Dzieci jej i Tylera ... i Nata. Tak samo mocno pragnęła Tildy i Meg jak kiedyś w przyszłości własnych dzieci.

- Często myślę o dziewczynkach. Szczególnie o Meg - wyznała. - Biedna

Meg! Tak bardzo przeżyła śmierć swojej mamy. A teraz jeszcze to ...

Delikatnie ścisnął ją za ramiona. - Mają jeszcze ciebie.

- Ale mnie tam nie ma. - Odwróciła do niego głowę. - Kiedy my ...

Położył palec na jej ustach.

- Niedługo, naj droższa. Z początkiem wiosny.

Odsunął się od niej, by polać trochę wody na kamienie. Rozdzielił ich obłok gęstej pary. Ty wyciągnął się, podparty na łokciu. Przebiegła wzrokiem po jego nagim, twardym, jak rzeźbionym ciele. Zapragnęła, żeby ją kochał.

Nie, nie. To ona miała ochotę go kochać.

Uniosła się na łokciach, wypinając pełne, jędrne piersi o ciemnych sterczących sutkach. Z

zamglonymi oczyma rozsunała nogi i potarła kolanem o udo Tylera.

Koraliki wody połyskiwały na trójkącie czarnych loczków jak rosa na pajęczynie.

Pierś Tylera zadrgała od stłumionego śmiechu.

- Czy ty przypadkiem nie starasz się mnie uwieść, rozpustna dziewczyno?

- Bynajmniej. Marzenie ściętej głowy, Tylerze Savitchu. Rzucił się na nią i spleceni w uścisku przetoczyli się po matkach. Wydobyła się na wierzch i usiadła na Tylerze okrakiem. Otworzyła szeroko oczy na widok potężnej erekcji.

- Czyżbyś zobaczyła coś, na co masz ochotę, kochanie? - zapytał przeciągle.

- Ummm.

Na nic więcej nie było ją stać, bo w jej łonie rozkręcała się płomienna spirala, gorąca jak żar z rozgrzanych do czerwoności kamieni za plecami.

Pełna podziwu, pieszczotliwie przesuwiała dłonią w górę i w dół po nabrzmałym penisie. Syciła się myślą o

tym, co zrobi za chwilę.

Objęła wargami jego krągły koniec.

Ty wciągnął krótki, świszczący oddech. Zamknęła usta i wciągnęła policzki. Napięte mięśnie ud Tylera zaczęły drżeć.

Pochłaniała go, wodząc językiem po pulsujących żyłach, i podgryzała delikatnie, aż doprowadziła Tylera do granicy szaleństwa. - O Boże ... ! - krzyknął. - Dość ... !

Zanurzył ręce w jej włosach, odciągnął od siebie. Objęła kolanami jego smukłe biodra, uniosła się i opadła z impetem. Zachłysnęła się głośno powietrzem, bo Ty zdawał się wypełniać ją całą, przenikać na wskroś.

Wodziła palcami po twardych mięśniach torsu, znacząc ślady i wirki w mokrych włosach

i na wilgotnej skórze. Wychyliła się do przodu i podała mu na dłoniach swe piersi, podsuwając do ust wezbrane sutki, niczym dwie dojrzale, soczyste truskawki.

Muskał je wargami, pieścił językiem, smakował.

Balansował biodrami, a ona wychodziła naprzeciw ich ruchom.

Opadała na niego z narastającą gwałtownością. Ich ciała sprzęgły się w zgodnym rytmie, gdy ujeżdżała go Coraz szybciej i mocniej. Łapczywie chwyтали gęste od pary, gorące powietrze. Delia płonęła od trzewi po skórę.

Ostatnie silne pchnięcia wydarły chrapliwy okrzyk z gardła Tylera. Uderzał raz za razem, aż stopili się w jednowywołującej ekstazie.

Gdy otworzyła oczy, by spojrzeć mu w twarz, po jej ciele nadal przebiegały lekkie dreszcze.

Ty mrugnięciem strzepnął pot z powiek i przełknął ślinę. Odychał z wysiłkiem.

- Delio, to było ... - Nic dokończył, wstrząśnięty. Rozdygotana Delia miała wrażenie, że rozsypała się na tysiąc małych kawałków, jakby potrząsnęła nią potężna ręka jakiegoś olbrzymia.

- Chyba jednak przeżyję. - Błyszcząca od potu pierś Tylera uniosła się wysoko w głębokim oddechu.

Mokre włosy Delii rozsypały się po jego ramionach, gdy przechylił ją ku sobie i złożył na jej ustach długi, czuły pocałunek. Potem ze śmiechem zarzucił biodrami i strząsnął ją z siebie.

- Chodź! Wykapiemy się w śniegu!

- Ty, niee! - zapiszczała, odpychając jego rękę.

Nie dbał, że wierzga nogami i młóci go pięściami, kiedy wynosił ją z wigwamu w oślepiającą biel.

Niebo, słońce i śnieg raziły oczy najczystszą migotliwą bielą. Maleńkie kryształki lodu wirowały w przeraźliwie zimnym powietrzu.

Zamajaczyła przed nimi ogromna, puszysta jak gęsie pierze zaspą.

- Boże w niebiosach! - Zacisnęła oczy.

Z przeraźliwym krzykiem wleciała w suchy, skrzypiący śnieg.

Rozgrzane mięśnie naprężyły się jak cięciwa łuku. Ostre jak nóż zimno na moment pozbawiło ją czucia.

Ale już po chwili jej skóra zdawała się parować i skwierczeć jak gorące kamienie oblewane wodą.

Ciało wibrowało energią.

Widziała nad sobą twarz Tylera. Na brwiach osiadły mu kryształki śniegu, a policzki zarumieniły się z zimna. Niebieskie oczy błyszczały większym blaskiem niż słońce odbite w lodzie i patrzyły na nią z taką miłością, że leżąc nago w śnieżnym łożu, nie czuła zimna pod ich spojrzeniem.

Ty wygiął kąciki ust w łobuzerskim uśmiechu.

- Rany boskie, zaraz odmrozę sobie klejnoty!

Ze śmiechem wygrzebywali się z sypkiego śniegu. Nagle Delia opadła z powrotem na kolana.

- Ty, spójrz .. !

Na kawałeczku ziemi wolnym od śnieżnej pokrywy wyrastał maleńki, podobny do gwiazdki, niebieski kwiatek. Delia dotknęła go ostrożnie opuszką palca. Wpatrzeni w swe rozpromienione miłością, szczęściem i nadzieją twarze, powiedzieli:

- Wiosna!

Wiosna budziła się z hałasem.

Topniejące czapy śniegu z pluskaniem i głuchym dudnieniem osuwały się z konarów drzew. Lód trzaskał na zasnutym mgłą jeziorze i na rzece. Ich gładkie do niedawna powierzchnie znały teraz rysy i pęknięcia. Krople wody, spadające z sopli na gałęziach i dachach, bębliły jak deszcz. Całą przyrodę zdominowały łoskot, szum i chlupot płynącej wody. Po wielu miesiącach białej śnieżnej ciszy wiosenne hałasy raziły uszy.

Wiatr zmienił kierunek, a jego podmuchy stały się wilgotne ciepłe. W klonach wzbierał słodki sok,

kwiaty przebijały się przez topniejący śnieg. Na brzozech i bukach rozwijały się pierwsze drobne listki. Cała natura śpiewała o wiosnie.

W zależności od usposobienia ludzie w Merrymeeting prze-trwali zimę w różnych nastrojach-niektórzy z rezygnacją, inni ze zniecierpliwieniem, a jeszcze inni z nadzieją.

Zmarłych pogrzebano i oplakano, a życie toczyło się dalej zgodnie z porządkiem kalendarza. W

listopadzie osadnicy składowali dziękczynienie za plony, piekli ciasto z dyni, kukurydzą i kasztany.

Potem nadszedł czas świniobicia, napychania kielbas i topienia skwarek. Na Boże Narodzenie domostwa zapachniały zielonymi świerkowymi gałązkami i mielonym mięsem zapiekany w cieście, a w marcu witano

nadejście wiosny pitnym miodem i dojrzałym jabłecznikiem. W Wielki Piątek we wszystkich domach pieczono bułeczki ze znakiem krzyża.

Farmerzy znad Kennebecu, których zabudowania spłonęły podczas najazdu Indian, schronili się wewnątrz palisady. Wzdłuż ostrokołu stał rząd niewielkich chat, których dachy służyły jako stanowiska dla strzelców. Tam pogorzelnicy spędzali noc. Za dnia gotowali i wspólnie spędzali czas w blokhauzie.

Większość mężczyzn nie zrezygnowała tej zimy z pracy przy wyrębie wysokich sosen, ale drwale wychodzili do lasu grupami i zawsze uzbrojeni. W głównym obozowisku postawili małą, dobrze zabezpieczoną strażnicę, gdzie aż do pierwszych wielkich śniegów mieszkali nieżonaci mężczyźni.

Pułkownik Bishop wysłał zwiadowców na promienisty rekoniesans po całym Sagadahoc Territory.

Wszyscy osadnicy, zarówno ci mieszkający w Merrymeeting, jak i ci, którzy zdecydowali się pozostać na swych samotnych farmach poza palisadą, żyli, nadstawiając uszu, czy nie słychać czasem dzwonów ostrzegających o kolejnym najeździe. Ale poczucie bezpieczeństwa znacznie wzrosło, gdy zwiadowcy zapewniali po powrocie, że nigdzie nie natrafili na ślady Indian.

W drugim tygodniu marca, kiedy ludziska wygrzebywali już resztki solonej wieprzowiny z dna beczek, lody na Kennebecu pękły z takim hukiem i łomotem, że ziemia zadrżała jak podczas trzęsienia. Tego dnia mężczyźni wracali z lasu rańniejszym krokiem, a kobiety podśpiewywały, przygotowując kolację. Niestety, w nocy przyszła zadymka i pokryła ziemię trzydziestocentymetrową warstwą śniegu. Rano siarczysty mróz znów wykręcał palce u stóp. Starzy ludzie powiadali, że to typowe kaprysy pogody w Maine. Wiosna zwlekała z nadejściem, ale w powietrzu czuło się już jej zapowiedź. Na zmianę łudziła nadzieją i rozczarowywała.

Kowal Sam Randolph klął, strzykał śliną i rwał z głowy rude kudły, aż wreszcie w lutym doszedł do wniosku, że mogą wystrzelić z działa, jeżeli do zapalenia prochu na spłonce użyją lontu. Wycelowali armatę na rzekę. Gdyby Abenakowie wrócili i chcieli walczyć jak mężczyźni, osadnicy byli gotowi na ich przyjęcie. "Tym razem rozwalimy drani" - oświadczył Sam Randolph. Niestety, nie wypróbowali działa, bo musieli oszczędzać kule.

Pomimo strachu przed Indianami farmerzy szykowali się do orki i siewów, bo ziemia leżąca odłogiem zarastała zielskiem i stawała się żerowiskiem dla jastrzębi. Kiedy pułkownik Bishop podzielił się z żoną obawą co do ryzyka, związanego z pracą na oddalonych od osady polach, ta

odparła hardo: "Tak samo można umrzeć z głodu jak i ze strachu". Nie znajdując żadnych logicznych argumentów, pułkownik w zamyśleniu skrobał się po głowie. Nie nosił teraz peruki, a skóra pokryta meszkiem odrastających włosów swędziała jak wszyscy diabli.

Obadiah Kemble spędził zimę na pijaństwie i sprowadził z Cape Elizabeth kobietę, by ogrzewała mu łóżko. Wszystkim, którzy tylko chcieli słuchać, opowiadał, że w życiu się lepiej nie bawił. Mieszkancki Merrymeeting uznały jego zachowanie za skandaliczne, mężczyźni natomiast stwierdzili zgodnie, że Obadiah Kemble, jak każdy skazaniec po odsiedzeniu wyroku, ma prawo uczcić odzyskaną wolność.

Daniel Randolph zdybał po lekcjach samotną Meg Parkes na werandzie u Bishopów i pocałował ją w usta. Ta w rewanżu jedynym ciosem zwała go z nóg i rozkwaślała nos. Młody Randolph przyrzekł sobie, że nie zbliży się do niej do końca życia.

Każdego wieczoru po modlitwie mała Tilda Parkes pytała Annę Bishop, kiedy wróci jej nowa mama.

"Na wiosnę" - odpowiadała niezmiennie Anna. Tilda co rano budziła się z tym samym pytaniem:

"Czy wiosna już przyszła?" Więc postawiły bałwana przed bramą palisady. Oczy miał z guzików od starego płaszcza pułkownika, nos z kolby kukurydzy i kapelusz z kawałka skóry. Obadiah Kemble zrobił mu drewnianą strzelbę, by odstraszał Abenaków.

- Kiedy bałwan zacznie się topić - oznajmiła małej Anna - będziesz wiedziała, że jest wiosna.

Na początku listopada - tego dnia, gdy traper Wielka Łycha przyniósł wiadomość od doktora Ty -

rozgorzał spór między pułkownikiem Bishopem a wielebnym Calebem Hookerem. Przez następnych pięć miesięcy przynajmniej raz w tygodniu wracali do tego tematu. Caleb chciał iść w puszcę, szukać żony, pułkownik zarzucał mu skrajną głupotę.

- Nie wiesz, gdzie jest ani jak się tam dostać. A nawet gdybyś ją znalazł, nie umiałbyś wrócić! -

grzmiał pułkownik prosto w ściągniętą smutkiem twarz Caleba. - Doktor Ty ją odnalazł, Elizabeth żyje. Doktor wychował się wśród tych dzikusów i wie, jak z nimi postępować. A ty zyskałbyś tyle, że twój skalp ozdobiłby słupek w ich wiosce. I co by Elizabeth z tego przyszło? No i dziecko jest w drodze

..
W marcu Caleb chodzi! tak przygnębiony, że pułkownik w nadziei, iż duchowny choć na chwilę odsłoni w uśmiechu swe krzywe zęby, obiecał jako pierwszą rzecz na wiosnę wznieść wieżyczkę na domu modlitwy. Jednak nie doczekał się uśmiechu Caleba.

Pierwszego kwietnia slollec przygrzało tak mocno, że bałwa-nowi roztopiła się twarz i ramię. Jak określiła to Tildy Parkes:

“Zrobił się rozciapciany”.

Anna Bishop chwyciła za kosze i wraz z dziewczynkami Parkesa udała się na brzeg lasu po wschodniej stronie palisady, by nazbierać wiosennych roślin. Po odżywianiu się całą zimę wie-przowiną i mamaiy-g’l osadnicy chętnie zjadali delikatne listki mniszka i młode pędy paproci.

Tildy, która była zbyt mała, by rozpoznać rośliny jadalne, dostała osobny kosz.

- Pani Bishop, skoro to są wiosenne roślinki, czy to znaczy, że jest wiosna? - dopytywała się, przykucnięta nad kępką zielska. Przydługie rękawy miała wilgotne od roztopionego śniegu.

Anna stłumiła westchnienie, bo знаła już dalszy ciąg.

- Czy inaczej ludzie nazywaliby je wiosennymi roślinami, ty głuptasie? - warknęła Meg i z naburmuszoną miną energicznie odstawiła swój kosz.

Buzia Tildy wyjaśniała.

- To kiedy moja nowa ...

- Niedługo - powiedziała Anna, gładząc ją po główce. - Delia wkrótce wróci. Musisz jej dać trochę czasu na dojście.

Meg kopnęła kosz, aż się odbił od drzewa, czym zaskoczyła i Annę, i Tildy.

- Pani kłamie! - Odwróciła się do Anny z twarzą czerwoną ze złości. A potem opadła na ziemię ze szlochom. - Pani kłamie ... kłamie ...

Anna przyklękła obok dziewczynki, tuląc ją w ramionach.

- Meg? Czemu płaczesz?

Głośnie łkane szarpało piersią Meg.

- Ppani myśli, że ja nnie wiem, że ona niee żyje! Indianie oskalpowali ją i zrabili tak jak ... jak pozostałych. Ona nnigdy nie wróci. Ppani tylko tak mmówi. To kłamstwo!

Anna położyła duże dłonie na kościstych barkach dziewczynki.

Trzymała ją na wyciągnięcie ramion, by patrzeć jej w twarz.

- Meg?! Posłuchaj mnie. Byłam wtedy w salonie i słyszałam, jak Wielka

Łycha mówił, że doktor Ty odnalazł twoją mamę i że ona żyje. Pani Hooker, jak wiesz, spodziewała się dziecka. Hmm, nastąpiły pewne komplikacje, więc nie mogły ruszyć w drogę• Ale do tej pory dziecko przyszło na świat i lada chwila będą z powrotem. - Anna lekko potrząsnęła Meg. - Już niedługo, skarbie, twoja mama wróci do domu.

Meg stłumiła szloch i wysunęła podbródek.

- Delia nie jest moją mamą. - Broda zaczęła jej drżeć, bo z oczu popłynęła nowa kaskada łez. - Ale chcę, żeby wróciła. Żeby tu była i żeby wszystko było jak przedtem ...

Anna przytuliła Meg do swej płaskiej piersi.

- Kochanie, wróci. Obiecuję, że wróci.

- Pani Bishop, dlaczego ten pan tak biegnie?

Spojrzenie Anny podążyło za wyciągniętą rączką Tildy. W tej samej chwili mężczyzna zauważył je i skręcił w ich stronę• Gdy znalazł się nieco bliżej, Anna rozpoznała w nim jednego ze zwiadowców, których jej mąż wysłał na rekonesans dwa dni temu.

- Widziałem ich! - krzyknął mężczyzna. - Widziałem ich jakieś dziesięć kilometrów stąd w górę rzeki.

Powinni tu być przed zmierzchem.

Serce podskoczyło Annie do gardła, w ustach zrobiło jej się sucho ze strachu. Abenakowie! -

pomyślała, zaciskając dłonie na ramionach Meg, aż dziewczyna pisnęła z bólu. Dopiero wtedy Anna spostrzegła szeroki uśmiech na twarzy zwiadowcy.

- Hanku Littlewoodzie, przez ciebie o mało nie umarłam ze strachu! Co ty pleciesz?

Spojrzał na nią jak na niespełna rozumu, dziwiąc się, że z miejsca nie odgadła, kogo ma na myśli.

- No, jak to? Mówię o doktorze Ty i kobietach. No i, o dziec-ku! Pani Hooker ma chłopczyka. Mały ma włoski w kolorze lnu, a ryczy tak, że człowiekowi skóra cierpnie na plecach. - Zaniósł się śmiechem. -

Aż dziw, że go tutaj nie słyhać.

Anna podniosła się i wzięła obie dziewczynki za ręce. - Tildy, Meg. Wasza mama wróciła do domu.

Dotarli do osady, kiedy słońce kąpało się w zatoce. Całe Mer-rymeeting wyległo na powitanie. Ludzie urządzili iluminację na ich cześć. Na placyku

rozpalili wielkie ognisko, a w każdym oknie ustawili płonąca świecę.

Caleb Hooker wysunął się przed gromadę. Stał sztywny, dygocząc na całym ciele. Pierwszy wyłonił

się z lasu Tyler Savitch. Ciągnął za sobą małe puste sanki, a obok niego szły dwie In-dianki. Caleb niepewnie postąpił krok do przodu. Gdy dojrzał zawiniątko w ramionach jednej z kobiet i blond czuprynkę, rzucił się biegiem.

Ledwo się pohamował, by nie zgnieść w uścisku żony i dziecka. Pożerał wzrokiem jej promieniejącą zdrowiem twarz i szare, pełne blasku oczy.

- Elizabeth ... Boże drogi, Elizabeth ...

Z nieśmiałym uśmiechem wysunęła ręce z zawiniątkiem i odgięła róg futrzanego nakrycia.

- Wielebny Hookerze, poznaj swego syna, Ezekiela.

Dłoń Caleba zawisała niepewnie nad buzią niemowlęcia, delikatnie dotknął palcem pulchnego policzka. Ezekiel zaniósł się głośnym płaczem, a wystraszony Caleb czym prędzej cofnął rękę. - Chyba jest głodny - zaśmiała się Elizabeth.

Ty otoczył Delię w pasie ramieniem, kiedy podprowadzał ją do ludzi zgromadzonych na placu. Delia niespokojnie rozglądała się za Tildy i Meg. Wyłuskawszy ich twarze z tłumu, uśmiechnęła się rozradowana. Gdy Ty popchnął ją lekko w stronę dziewczynek, puściła się do nich biegiem.

Tildy wybiegła jej naprzeciw, bijąc tłustymi kolankami o przy-krótką sukienkę•

_ Jest wiosna, Delio! Jest wiosna! - wykrzykiwała, obłapiając ją za nogi.

_ Pewnie, że jest, kotku! - Delia ze śmiechem porwała małą w ramiona i posadziła sobie na biodrze.

Cmoknęła głośno w pucołowaty policzek. Odwracając się, natrafiła na spojrzenie Tylera, który akurat znalazł się przy nich. Wymienili pełne miłości i szczęścia uśmiechy.

- Witaj, Delio.

Delia obróciła się w stronę głosu. Meg sztywnym krokiem zbliżała się do niej z ramionami skrzyżowanymi na piersi. Przystanęła i dużymi piwnymi oczami zawisała na twarzy Delii. Delia

obdarzyła ją promiennym uśmiechem.

_ Meg Parkes! Strzeliłaś w górę jak fasola. No, no, kto wie, może kiedyś będziesz taka wysoka jak twój

... jak nasz doktor Ty.

Meg z onieśmieleniem postąpiła jeszcze dwa kroki i po chwili wahania wsunęła drobną dłoń w rękę Delii. Delia ponownie spojrzała na Tylera zamglonymi ze wzruszenia oczyma.

_ Myślałam, że Indianie cię zabili - wyznała Meg drżącym głosem.

Delia ścisnęła jej dłoń.

_ Och, Meg, mam tyle do opowiadania tobie i Tildy! Doktor Ty walczył o mnie z olbrzymem z plemienia Abenaków - pochwaliła się, a Ty wykrzywił twarz i wyrócił oczyma.

_ Ojejku! - zapiszczała Tilda i wyzwoliwszy się z ramion

Delii, szarpała Tylera za nogawkę spodni.

_ Naprawdę walczył pan z olbrzymem, doktorze Ty? Czy to był Goosecup?

Ty wzburzył palcami jej jasne loki.

_ To nie był olbrzym, Tildy, tylko zwyczajny człowiek. Głośne prychnie zaahonsowało nadejście Anny Bishop.

_ Niech pan nie próbuje być taki skromny na starość, Tylerze Savitchu. - Klepnęła go lekko w ramię -

Nie śpieszył się pan zbyt do domu - zauważyła swym najkwaśniejszym z tonów.

- Anno?

Anna wstrząsnęła ramionami, uniosła wysoko głowę i zacisnęła usta.

- Delio McQuaid. Złożę się, że ani razu nie zajrzałaś do książki.

Nagle jej twarz skrzywiła się, a z piersi wyrwał się szloch. Rzuciła się w otwarte ramiona Delii.

Ludzie tłoczyli się wokół nich, mówiąc jeden przez drugiego.

Delia wzięła Tildy na ręce, a Meg uczepiła się frędzli przy jej irchowej sukni, jak gdyby się bała, że Delia znowu zniknie jej z oczu. Wszyscy z uwagą wpatrywali się w Tylera, kiedy odpoowiadał na pytania o Abenaków. Chcieli wiedzieć, czy Indianie zamierzają wkroczyć wiosną na wojenną ścieżkę.

Nie od razu doszedł do Delii szorstki głos Anny Bishop, szeppczący jej do ucha:

- ... spędził całą zimę w obozie drwali. Ale Giles posłał tam umyślnego, jak tylko was spostrzegli.

Pewnie leci jak na skrzydłach i jest już w polowie drogi.

- Anno, o czym ty ... - zaczęła Delia. Ale pytanie uwięzło jej w gardle, bo zobaczyła, jak Ty, wpatrzony w jakiś odległy punkt, zmienia się na

twarzy. W jednej sekundzie odpłynęła z niej cała krew, jak woda z beczki, gdy wyciągnie się szpunt. Kości policzkowe uwydatniły się jeszcze bardziej, a nieruchome, szeroko otwarte oczy mocno pociemniały. Poraziło go wrażenie i ... strach.

W tej samej chwili dłoń Anny Bishop opadła na ramię Delii.

- A nie mówiłam? Już przybiegł.

- Ale to nie ... Nic ... - belkotała Delia, nawet nie próbując się odwrócić, bo i tak wiedziała, co tam zobaczy.

Szedł do niej na swych pająkowatych nogach, lekko utykając.

W sięgających ramion nie strzyżonych włosach błyskały złote refleksy z płonącego ogniska. Bruzdy na policzkach pogłębiły się, gdy uśmiechnął się do niej uszczęśliwiony. Nigdy dotąd nie widziała u niego takiego uśmiechu.

- Delio! - zawołał.

- Nat?

Nat Parkes biegł do niej z takim zapałem, że aż przeraziła się, iż ma zamiar pochwycić ją w ramiona.

Cofnęła się o krok, przyciskając Tildy do piersi niczym tarczę.

- Nat... myśleliśmy, że nie żyjesz.

Zatrzymał się tuż przed nią i z napięciem patrzył jej w twarz.

- Rzeczywiście, masz minę, jakbyś zobaczyła ducha! - zaśmiał się nieco zbyt głośno.

- Benakis uderzył tatę w głowę! - zawołała Tildy, ciągnąc Delię za włosy, by zwrócić na siebie jej uwagę.

Delia przytrzymała rączki dziewczynki. Nie spuszczała wzroku z Nata, usiłując wydobyć jakieś słowa, ale sztywne mięśnie twarzy nie pozwalały rozewrzeć szczęk.

Wydawało się, że upłynęły całe wieki, zanim w końcu wykrztusiła:

- Nat, przecież sama widziałam, jak ... - Wstrząsnął nią dreszcz na wspomnienie tamtej sceny. -

Leżałeś martwy. Dreamer cię oskalpował.

Śmiejąc się, przeczesał palcami włosy, jakby chciał się upewnić, że są na swoim miejscu.

- Wszyscy z początku tak myśleli. W rzeczywistości widziałeś chłopaka z Topsham. Było chłodno i dałem mu swoją kurtkę. - Na widok pełnej niedowierzania, osłupiałej miny Delii pościąpił krok bliżej. - Kiedy Abenakowie zaatakowali, ja ... - Nat wyraźnie poczerwieniał - zacząłem uciekać.

Dobiegłem do pierwszych drzew i wtedy jeden z nich dopadł mnie i zdzielił maczugą w głowę.

Stoczyłem się do rowu. Nie wiem, może dzikus nie miał ochoty fatygować się po mój skalp albo coś odwróciło jego uwagę, w każdym razie przeleżałem tam nieprzytomny dobre sześć godzin. - Nat spojrzął na Tylera. - Kiedy mnie znaleźli, doktor już wyruszył waszym tropem. Poprosiłem Wielką Łychę, by przekazał ci wiadomość. Jak widzę, nie dostałaś jej.

Ty stał nieruchomo o i milczał jak głaz. Delia bała się spojrzeć na niego, ale w końcu nie wytrzymała.

Powoli odwróciła głowę.

Na twarzy Tylera malowała się taka groza, jak gdyby zobaczył własną śmierć. Jego wzrok stwardniał, gdy napotkał oczy Delii. Wyraźnie czytała w nim wyzwanie. Czyżby Ty spodziewał się, że powie Natowi o ich związku, tu, na tym placu, w obecności jego dzieci i całego Merrymeeting?

Z błagalnym spojrzeniem lekko pokręciła głową. Serce ścisnęło się jej w piersi, gdy w odpowiedzi wygiął usta w gorzkim, pełnym wyrzutu uśmiechu, a potem obrócił się na pięcie i ruszył w stronę lasu tą samą drogą, którą niedawno przyszli. Ty! _ zawołała w duszy, widząc, jak jego sylwetka maleje na tle mrocznej ściany drzew. Proszę cię, nie każ mi samej stawić czoła temu wszystkiemu. Potrzebuję cię. Jesteś przecież moim męż ...

Przycisnęła dłoń do ust w obawie, że nie wytrzyma i głośno wykrzyczy swe myśli. Rozejrzała się dokoła, zatrzymując wzrok na parze poważnych szarych oczu pod jasnymi rzęsami. Radosny uśmiech zniknął z twarzy Nata, jego miejsce zajął dobrze jej znany ponury grymas.

- Delio? - powiedział pytająco Nat. Nat. Jej mąż.

Delia przysunęła napełniony gorącą wodą dzban do przechoowywania świerkowego piwa bliżej siennika i pOdciagnęła derkę aż pod pulchną bródkę Tildy.

- Oprzyj na tym nóżki, kotku. Będzie mroźna noc. Odgarnęła spadające na czoło dziewczynki loczki i dotknęła ustami gładkiej, zaróżowionej skóry.

- A Pan Bałwan stracił dzisiaj rękę, Delio.

Delia opuściła kąciki ust, robiąc bardzo smutną minę.

- Biedny Pan Bałwan! Jak mi go żal! Czy mam poprosić słońce, żeby jutro nie świeciło, by nasz bałwanek dalej się nie topił?

- Nie bądź niemądra - odparła Tildy opryskliwym tonem swej starszej siostry. - Jest wiosna. Pani Bishop powiedziała, że kiedy przyjdzie wiosna, Pan Bałwan się stopi i nowa mama wróci do domu. -

Buzia Tildy ściągnęła się pod wpływem jakiejś smutnej myśli. - Wróciłaś Delio, prawda?

Delia jeszcze raz ucałowała gładkie czółko. Ścisnęło ją w gardle.

- Tak, kochanie.

- I już nie odejdziesz, prawda? Obiecujesz, że nie odejdziesz?

W poczuciu bezradności Delia zacisnęła powieki i Odgięła głowę do tyłu.

- Och, Tildy, nie wiem. Ja ...

- Delio, musisz tu być! - zawołała Tildy głosem wezbranym łzami. - Proszę, obiecuj, że więcej nigdzie nie pójdziesz. Nie lubię, jak cię nie ma.

Tata poszedł do obozu i nie wracał. A Meg płakała. Prawda, Meg, że płakałaś?

- Zamknij się, Tildy - warknęła Meg z wypiekami na twarzy.

- Dziewczynki, przestańcie! - Delia objęła dłońmi mokrą od łez buzię Tildy. - Czas spać. Na pewno będę tutaj, kiedy się obudzicie. Tyle wam mogę przyrzec.

Pocałowała Tildy jeszcze raz. Dziewczynka wyciągnęła spod derki swą indiańską lalkę.

- Hildegarde też daj buzi na dobranoc.

Delia posłusznie pocałowała lalkę. Potem wyprostowała się i poprawiła pościel, utykając brzeg derki pod siennik. Siano zaszeleściło, gdy Tildy mościła się w łóżku. W izbie zapachniało latem.

W grudniu, kiedy Nat przeniósł się do obozu drwali, dziewczynki zamieszkały u Anny Bishop. Dziś jednak Nat nalegał, by całą rodziną, bez obcych, spędzili tę noc w wyznaczonej mu chacie przy palisadzie.

Była w niej tylko jedna izba, ale Nat przedzielił ją zawieszonym na rzemieniu kocem.

Delia bardzo długo układała dziewczynki do snu. Nie śpieszyło jej się za zasłonę do Nata. Obawiała się, że będzie ją wypytywał o zimę spędzoną w wiosce Abenaków, a ona nie była w stanie mówić o tych miesiącach tak mocno związanych z Tylerem, ich miłością i ich małżeństwem ...

O Boże, Ty ... nasze małżeństwo.

Wiedziała, że musi coś postanowić, ale już sama myśl o tym wydawała się nie do zniesienia. Sytuacja była beznadziejna. Nathaniel Parkes żył. To jego poślubiła, nie Tylera, do którego należało jej serce i którego kochała ponad życie, ponad ...

Wszystko?

Wyprostowała się, tłumiąc bolesne westchnienie. Przy zasłonie zatrzymał ją cichy głos Meg:

- Delio? Czy mogłabyś ... Muszę ci coś powiedzieć.

Przysiadła na brzeжку materaca Meg, bardzo uważając, by jej przypadkiem nie dotknąć. Nauczyła się trzymać przy niej na wodzy, bo dziewczynka wielokrotnie odrzucała gesty z jej strony.

Jednak w tej chwili instynktownie czuła, że dziewczynka nieemal rozpaczliwie pragnie macierzyńskiej miłości. Nachyliła się nad nią i delikatnie dotknęła ustami jej policzka.

- Dobranoc, Meg.

Ku zdumieniu Delii dziewczynka też ją pocałowała. Szybko i lekko, ledwo wyczuwalnie, ale pocałowała. Unosząc się znad łóżka, Delia zauważyła, że Meg obserwuje ją swymi piwnymi, nieprzeniknionymi oczyma.

- Delio? Modliłam się za ciebie, kiedy porwali cię Indianie.

- Dziękuję, Meg. Pewnie dlatego ocalałam i doktor Ty mnie odnalazł. Meg głośno przełknęła ślinę.

- Przynależam Bogu, że jeśli wrócisz, nigdy już nie będę dla ciebie niedobra.

Delia nie potrafiła powstrzymać się od śmiechu.

- To dość pochopne postanowienie, nieprawdaż?

Meg zachichotała.

- Chyba tak. - Ale nagle spoważniała i zaczęła nerwowo skubać pled. - I jeszcze obiecałam Bogu, że będę na ciebie mówić "mamo".

Delia nakryła dłońmi ręce dziewczynki.

- Meg ... kiedy się poznałyśmy, powiedziałam ci, że nie mam zamiaru zająć miejsca waszej mamy.

Ona kochała was bardzo, bardzo mocno, a wy kochałyście ją i musicie tę miłość zachować w swoich

sercach. Ja mogę mieć tylko nadzieję, że i mnie zdołasz pokochać.

Oczywiście, inaczej. Jak przyjaciółkę.

Delia czekała, ale Meg nie odpowiadała. Podniosła się z materaca.

Kiedy odwróciła się do niej plecami, usłyszała ciche, niepewne:

- Dobranoc, mamo.

- Śpij smacznie. Kocham cię.

Widok Nata, obserwującego ją spod odgarniętej zasłony, wywołał w niej panikę. Stała i przez chwilę patrzyli na siebie w milczeniu. A kiedy ruszyła w jego stronę, usunął się na bok, opuszczając za nimi kotarę.

- Tęskniły za tobą - zauważył. Nie zdobyła się na odpowiedź.

Całe umeblowanie drugiej części izby stanowił zbity z bierwion stół i dwa stołki. Zauważyła, że Nat przyniósł z kuchni

imbryk z herbatą i dwa kubki zrobione z wygotowanej we wrzątku skóry. Nalała herbatę i usiadła, ściskając kubek w obu dłoniach. Mgiełka pary z gorącego płynu łaskotała ją w policzki. Pocierała dłońmi o gładką powierzchnię skózanego kubka, Dłonie miała zimne. Cała była zimna.

Gdy się nieco uspokoiła, rozejrzała się wokół siebie. Izbę oświetlała świeczka w kulistym kloszu, zawieszonym na haku przy wejściu. Gra światła

i cieni podkreślała zmarszczki na czole Nata i pogłębiała bruzdy wokół jego szerokich ust. Stał ze zwieszonymi ramionami i wypchniętym biodrem, przejmując w ten sposób ciężar z chromej nogi. Z kciukami zatkniętymi za pasek bryczesów, zamyślony zapatrzył się w deski podłogi.

Wreszcie powoli uniósł głowę i zatrzymał wzrok na twarzy Delii. Patrzył na nią z powagą i jakby obawą.

- Ja też za tobą tęskniłem - powiedział tak cicho, że ledwo go usłyszała.

Niedowierzenie musiało wyraźnie odbić się na jej twarzy, bo czym prędzej dorzucił:

- Wiem, nie doceniałem cię, kiedy tu byłaś ...

- Przecież nic mi nie wychodziło, Nat. - Te słowa zabrzmiały bardziej gorzko, niż zamierzała, z większą pretensją, niż naprawdę czuła.

- Nie masz racji - zaprotestował łamiącym się głosem. - Dobrze sobie radziłaś. A ja byłem zbyt pogrążony w rozpacz, żeby to widzieć.

Stał po przeciwnej stronie stołu. Delia opuściła wzrok, ale nadal czuła na sobie jego spojrzenie. Nie bardzo wiedziała, jak powinna zareagować na to wyznanie. Targały ją sprzeczne uczucia, była zdruzgotana. Siedziała napięta, z zaciśniętymi ustami, nawet oddychanie sprawiało jej trudność.

- Delio, o co chodzi? - zapytał, czerwieniąc się pod wpływem poczucia winy. - Czy jesteś zła, że nie szukałem cię u Indian? Delia bezwiednie zacisnęła dłonie na kubku. Razem ze wstrzymywanym oddechem z jej piersi wydobyło się głośne westchnienie.

- Nie. Oczywiście, że nie. Ty ... doktor Savitch miał znacznie większe szanse nas odnaleźć. I sprowadzić nas stamtąd

Nat odetchnął z ulgą, ale rumieniec nie schodził z jego twarzy.

- Tak też pomyślałem. Wiesz, staram się zachowywać jak zdrowy człowiek, ale szczerze mówiąc, z tą drewnianą stopą nie mogę zbyt długo chodzić. No i jestem farmerem, nie traperem. Niewiele wiem o tropieniu po śladach. Prawdopodobnie prędzej czy później Indianie zabiliby mnie. A Meg i Tildy mają tylko mnie. Chociaż to właściwie nie całkiem prawda, bo teraz mają także ciebie.

- Ale ty jesteś ich ojcem ...

- A ty matką.

Nat odsunął stółek i opadł na niego ciężko. Oparty na łokciach, popatrzył w twarz Delii.

- One cię kochają - rzekł. - Oboje dziś to widzieliśmy. I ty także je kochasz.

- Kocham je, Nat - zapewniła go pośpiesznie, czując z ulgą, że znalazła się na bezpiecznym gruncie. -

To wspaniałe dzieci.

Z nieśmiałym uśmiechem przysunął do siebie kubek i wodził palcem po jego krawędzi. Spojrzał na nią, a potem wbił wzrok we własny palec, nadal zataczający kręgi na kubku.

- Ale mnie nie kochasz, prawda?

Delia skrzyżowała ramiona na piersiach, zaciskając dłonie na łokciach.

- Nat, ja ...

- Nie przejmuj się. - Odsunął kubek tak gwałtownie, że trochę herbaty wylało się na stół. - Nie musisz mi nic wyjaśniać. Szczerze mówiąc, nie miałaś za co mnie kochać ani nawet lubić ...

- Ależ, Nat, ja ciebie lubię. Jesteś bardzo dobrym człowiekiem ojcem. Potrafisz dbać o rodzinę i ...

- Kiepski ze mnie mąż - przerwał jej głosem pełnym żalu do samego siebie. - Przynajmniej tak było w stosunku do ciebie. Bóg świadkiem, że wiele nas dzieliło, zanim to wszystko się stało, ale tam, w obozie drwali, dużo czasu spędziłem na myśleniu. Zrozumiałem, że nie należało oczekiwać, iż będziesz taka jak Mary, bo ... jesteś po prostu sobą. Często przywoływałem w pamięci dzień naszego ślubu i przysięgę, że będziemy ze sobą na dobre i na złe, że zaniechamy myśli o innych kobietach i mężczyznach, a tymczasem ja myślałem o Mary jak gdyby ...

- O nie, Nat. Nie wolno ci o niej zapomnieć ...

- Nie mam na myśli, że zamierzam zapomnieć o Mary. Ale widzisz, ja myślałem o sobie jako o mężu Mary. I to był błąd.

Mary była moją żoną, ale umarła. Teraz ty nią jesteś i to właśnie chciałem powiedzieć, mówiąc o zaniechaniu myśli o innych kobietach. Delio, jestem człowiekiem głębokiej wiary i ślubowałem ci przed Bogiem. Chciałbym zacząć nasze małżeństwo na nowo i wypełnić śluby.

Dlaczego akurat teraz? - myślała z goryczą Delia. Dlaczego teraz mi to wszystko mówisz?

Czuła się fatalnie - przytłaczało ją poczucie winy, żal i strach. - Nat, muszę ci coś powiedzieć. -

Zacisnęła dłonie i z wysiłkiem uniosła podbródek. - Ty, to jest doktor Savitch, i ja ...

Przerwało jej gwałtowne pukanie do drzwi. Podskoczyła, rozlewając herbatę. Nat z głośnym szurnięciem odsunął stół i utykając, dwoma

długimi krokami znalazł się przy drzwiach.

- O, witam, doktorze Ty!

Dłoń Delii powędrowała do szyi, serce podskoczyło jej do gardła. Nie widziała Tylera zza Nata. Nie była pewna, czy znieśie jego widok. Wysiliła słuch.

Jego głos był bezbarwny i pozbawiony emocji.

- Nat, chciałbym porozmawiać z mo ... z Delią. Nat odsunął się i szerzej otworzył drzwi.

- Oczywiście. Proszę wejść.

Ty nie poruszył się.

- Na osobności. Chciałbym rozmawiać z nią na osobności. Delia powoli wstała i odwróciła się do nich.

Sylwetka Tylera

w otworze drzwi stanowiła potężny, pozbawiony twarzy cień.

- Wrócę za kilka minut - powiedziała do Nata, na wszelki wypadek nie odrywając wzroku od jego twarzy.

- Oczywiście. - Nat ściągnął brwi raczej pod wpływem za-ciekawi(mia niż jakichkolwiek podejrzeń. -

Napiję się jeszcze herbaty. - Machnął ręką w kierunku stołu.

Ty długimi krokami odszedł od drzwi i zniknął w ciemno• ściach. Nie oglądał się za siebie, przekonany, że Delia pójdzie za nim.

Elizabeth rozchyliła stanik sukni i przystawiła niemowlę do piersi.

Ezekiel otworzył buzię i łapczywie przyssał się do różo-wego sutka.

Wielebny Caleb Hooker obserwował tę scenę, siedząc na stołeczku naprzeciwko żony. Był

zafascynowany i jednocześnie nieco zażenowany. Drobną, a przy tym krągłą jak jabłko z jesiennych zbiorów pierś Elizabeth w świetle kominka miała kremowożłoty kolor. Odniósł wrażenie, że nigdy dotąd nie wpatrywał się tak jawnie w odsłonięte piersi swej żony. Zawsze rozbierała się i ubierała odwrócona plecami do niego. Gdy się kochali, pozoostawała w koszuli nocnej, zresztą zawsze robili to szybko i po ciemku.

Przypomniała mu się rozmowa z Tylerem Savitchem sprzed pół roku i poczuł, że mu kark płonie.

Doktor mówił o mężczyznych ssących w pieszczocie kobiece piersi. Wtedy takie praktyki wydały mu się ohydne. Ale teraz widok karmionego synka obudził w nim zazdrość i pragnienie.

Caleb zaczerwienił się jeszcze bardziej, widząc, że żona przeniosła wzrok z dziecka na niego. Zmieszał

go wyraz jej twarzy _ zamglone oczy i pełen zadowolenia półuśmiech, czający się w okolicy ust.

- Jeszcze mi nie powiedziałeś, co myślisz o naszym synku _ odezwała się Elizabeth.

Oświetlone przez żar jasne włoski dziecka przypominały czepek, dziergany ze złotych nitek, jaki zakłada się niemowlętom do chrztu. Małeńkie usteczka zaciśnięte na matczynej piersi były intensywnie różowe. Ssał mocno, wciągając pulchne, rumiane policzki. Caleb zastanawiał się, co czuje Elizabeth. Czy rzeczywiście sprawia to kobietom przyjemność, jak twierdził Ty?

- Jest śliczny - odpowiedział z podziwem po chwili, a pierś zacisnęło mu wzruszenie. - Tylko czuję się trochę dziwnie. Trudno mi uwierzyć, że mam dziecko. Że to mój syn. Szczerze mówiąc, jestem trochę wystraszony.

- Ja też byłam na początku - powiedziała spokojnie Elizabeth. Wydała mu się taka pewna siebie. Nie potrafił pogodzić wiizerunku tej opanowanej Elizabeth, która siedziała przed nim, z obrazem indiańskiej branki, rodzącej dziecko gdzieś w głębi puszczy. Całe długie miesiące torturowały go myśli o tym, co się z nią dzieje. Elizabeth po powrocie do domu wydała mu się całkiem inną osobą.

Pochylił się do przodu ze wzrokiem wbitym w splecione dłonie na kolanach. Przełknął ślinę i zwilżył wargi.

- Lizzie? Czy oni ... dobrze cię traktowali?

Elizabeth patrzyła nieruchomo przed siebie.

- Z początku to było ... - Zadrżała.

Zdenerwowane niemowlę uderzyło w płacz, więc przyłożyła je do drugiej piersi.

- Ale niewiele pamiętam z tamtego okresu - mówiła dalej. - Tylko nocami czasami śniły mi się koszmary.

Caleba ścisnęło w gardle, w oczach miał łzy.

- Elizabeth - zamrugał, by je powstrzymać. - Czy znajdziesz tyle miłosierdzia w sercu, aby mi kiedykolwiek przebaczyć?

Podpierając dziecko kolanami, pochyliła się i pogładziła go po zaciśniętych dłoniach.

- Calebie, nie ma w tym twojej winy.

- To ja cię tutaj przywiozłem. Coś takiego nigdy by się nie przytrafiło w Bostonie. - Patrząc z napięciem w jej twarz, zamknął w dłoniach jej rękę. - Jutro porozmawiam z pułkownikiem Bishopem, niech szuka kogoś na moje miejsce. Zabieram cię do domu, kochanie.

- Ja jestem w domu. Calebie, tu jest twoja parafia, tutaj przynależysz. - Leciutki uśmiech przemknął

jej po twarzy. - Gdzie ty, tam ja, twoja żona.

- Ale niebezpieczeństwo nadal istnieje. Indianie znowu mogą napaść ... Wysunęła dłoń z jego uścisku i położyła mu palce na ustach. - Wydaje mi się, że przestałam się bać. Tak panicznie bać. Być może dlatego, że przydarzyło mi się to, co napawało mnie największym przerażeniem. I przeżyłam.

Caleb przygryzł dolną wargę i zacisnął powieki.

- Jak pomyślę o tobie w rękach tych dzikusów ...

Ezekielowi opadła główka. Elizabeth wstała i ułożyła go w kołysce, którą na prośbę Caleba wystrugał

w zimie Obadiah Kemble. To dziecinne, rzeźbione w kwiatki łóżeczko stało się dla Caleba

talizmanem, podtrzymującym go w nadziei, że Bóg wysłucha jego próśb i sprowadzi żonę i dziecko bezpiecznie do domu.

- Abenakowie nie są dzikusami - powiedziała Elizabeth. - Tak, potrafią być okrutni dla tych, których uważają za wrogów. Ale przecież my zachowujemy się podobnie.

Stała w cieniu, więc nie mógł widzieć jej twarzy, ale w głosie wyraźnie pobrzmiwał gniew.

- Czy dyby i szubienice nie są okrucieństwem? To przez nas narodził się rytuał skalpowania. Przez nas, Anglików i Francuzów i nasze głupie, rujnujące wojny o ziemię, które tak naprawdę nigdy do nas nie należały. Porozmawiaj z kimkolwiek z Merrymeeting, a powie ci, że Abenaków należy wybić co do nogi, byśmy mogli spokojnie uprawiać ziemię i ścinać drzewa w całym Sagadahoc. A przecież na tych terenach na długo przedtem, zanim uznaliśmy je za nasze, właśnie Abenakowie polowali i łowili ryby w zgodzie i harmonii, której my nigdy nie osiągniemy.

- Bronisz ich po tym, co z tobą zrobili? Elizabeth, to poganie. Nie wierzą w Boga, naszego Stwórcę.

- Wielki Duch jest naszym ojcem, a ziemia matką ... - Podeeszła do niego i zapatrzyła się w płomienie.

Jej dłoń łagodnie opadła na jego ramię. - Tak mi powiedziała pewna

Indianka. Nazywała się Srebrna Brzoza i była najłagodniejszą, najbardziej pozbawioną egoizmu istotą, jaką miałam okazję spotkać w życiu. Została moją przyjaciółką, mimo że uważano mnie ... - Elizabeth roześmiała się.

Ten niespodziewany wybuch wesołości zaskoczył Caleba.

- To naprawdę zabawne, Calebie. Oni wszyscy myśleli, że jestem avakon doktora Ty.

To słowo o gardłowych spółgłoskach dziwnie zabrzmiało w delikatnych ustach jego żony.

- Czym? - zapytał poruszony.

- No, niewolnicą. Myśleli, że jestem niewolnicą Tylera.

- Niewolnicą!

Elizabeth ponownie się roześmiała.

- Ty kupił mnie od tego Indianina, który mnie pojmał, za pięć bobrowych skórek. A Srebrna Brzoza cały czas udzielała mi rad, co mam robić, by zachęcić Tylera, aby wziął mnie na swoją drugą żonę.

Caleba tak oszołomiła swoboda, z jaką Elizabeth rozprawiała o byciu niewolnicą i wymianie za skóry, że nie od razu dotarło do niego znaczenie jej słów.

- Drugą żonę? - Otworzył usta ze zdziwienia, gdy wreszcie zrozumiał.

Elizabeth drgnęła w poczuciu winy i odwróciła się od niego.

- Czy ty sugerujesz ... ?

Stała przed nim, nie pozwalając mu skończyć.

- Musisz zrozumieć, Calebie - zaczęła dość ostrym tonem _ oni myśleli, że Nat nie żyje. Jasnowłosey skalp całą zimę wisiał na palu przy platformie tortur. Codziennie go widzieliśmy.

Pal... Platforma tortur ... Calebowi kręciło się w głowie. Oblizwał wargi i usiłował przybrać surową minę pastora.

- Czy ty chcesz powiedzieć, że Ty i Delia otwarcie żyli ze sobą w tej wiosce jako mąż i żona?

- Ty uratował mi życie i ocalił dziecko.

- To nie umniejsza grzechu.

- Grzechu? Myślałam, że mówimy o grzechu, kiedy człowiek ma złe intencje! Oni wierzyli, że pan Parkes zginął. Wzięli ślub zgodnie z obyczajem Abenaków. - Elizabeth uklękła przy Calebie i objęła go za uda. - Calebie, oni są tacy zakochani w sobie. Nigdy nie widziałam ludzi, którym przydarzyłaby się większa miłość. Znajdowali tyle radości we wspólnym życiu, w sobie nawzajem ...

Odwróciła głowę, ale Caleb i tak zauważył wypieki na jej twarzy.

- Gdy się na nich patrzyło - wyszeptano - widziało się ... tę ogromną namiętność, która ich łączy.

Czasami ... czasami zastanawiam się, jak to jest odczuwać taką namiętność.

Caleb z trudem przełknął ślinę. Od dnia, kiedy dowiedział się o ciąży Elizabeth, nie śmiał się do niej zbliżyć. Ale często myślał

o tym, co mówił mu Ty między pociągnięciami brandy w tamten sierpniowy poranek. Był

przekonany, że Elizabeth odniosłaby się z przerażeniem i obrzydzeniem do tych wszystkich rzeczy, które Ty tak obrazowo opisywał. Teraz jednak nabrał wątpliwości ...

A gdyby tak - pomyślał - zaprowadzić ją do sypialni i rozebrać powoli, jak sugerował Ty? A potem całować i dotykać tych miejsc ... tych wszystkich miejsc ... ?

Ale to Elizabeth pierwsza zawisła spojrzeniem szarych oczu na jego twarzy i zapraszająco rozchyliła wilgotne wargi. I to ona, nie on, powiedziała:

- Chciałbyś się ze mną kochać, Calebie?

Delia wdrapała się po ostatnich szczeblach drabiny na blanki ostrokołu. Ty znalazł się tam pierwszy i stał oparty o zastrzone bale, z ramionami złożonymi na piersiach. Długie nogi w ircho-wych spodniach skrzyżował w kostkach. Z jego pozy biła non-szalancja, ale widać było, że jest bliski wybuchu.

Na palisadzie płonęły sosnowe pochodnie, powtykane co metr w metalowe uchwyty. W ich świetle widziała jego jednodniowy zarost i bezwzględnie zaciśnięte usta.

Miała ochotę rzucić mu się na szyję. Tak pragnęła znaleźć ukojenie w jego mocnych ramionach. Ale gniew Tylera zranił ją i rozczarował, więc też się zaciętrzewiła.

- Nie powinniśmy spotykać się w taki sposób - powiedziała wyniośle. - Nat może podejrzewać ...

- Podejrzewać, cholera jasna! - Poderwał się i uderzył pięścią w okorowane bale. - Dlaczego on jeszcze o tym nie wie? Kiedy zamierzasz mu powiedzieć?

- Jak nadejdzie stosowny moment. Nie mogę tego zrobić ot, tak sobie. Zaciśnął palce na jej wysuniętym podbródku. W tym geście nie było

nawet odrobiny czułości, a w jego oczach pojawił się dziki gniew. A jednak całe ciało Delii obudziło się na jego dotyk.

- Widzę, że myślisz o tym, aby z nim zostać. - W głosie Tylera mieszały się wściekłość i żal.

Zacisnęła powieki i odwróciła się od niego.

- Boże, Ty ... Jestem jego żoną.

Złapał ją za ramiona i odwrócił do siebie.

- Jesteś moją żoną!

Delia miała wrażenie, że jej serce rozrywa się na dwie połowy.

Czuła pod czaszką rodzący się krzyk, ale nie mogła wydusić z siebie ani słowa w obawie, że się udławi.

To niemożliwe, by człowiek nie przypłacił życiem takiego cierpienia - myślała.

- Nasze małżeństwo, Ty ... ono nie było prawdziwe.

Potrząsnął nią i przechylając się do niej, wykrzyczał jej w twarz:

- Niech cię wszyscy diabli, Delio! Dla mnie ono było prawdziwe!

Pochodnia obok nich zasyczała i wystrzeliła jaśniejszym płomieniem, odbijając światło w jego wilgotnych oczach. Zrozumiała, że ta wściekłość to tylko poza. Że Ty cierpi tak samo jak ona.

Popatrzyła na niego przez łzy. Dotknęła jego policzka, ale szybko odwrócił głowę.

- Och, Ty ...

Gdzieś pod nimi zaskrzypiała brama palisady i zastukały ko-pyta konia powracającego zwiadowcy.

Słyszeli, jak przesuwane wrota trą o ziemię i z łoskotem opada zabezpieczająca je belka. Światło księżyca w pełni sączyło się pomiędzy ostro ściętymi szczytami belek, rzucając pasma cienia na ziemię i majaczący w oddali blokhauz. Delia miała wrażenie, że te pasy cienia i światła zamykają ją, stając się symbolem potrzasku, w jakim się znalazła. Dusila się z rozpacz.

Ty zwolnił uścisk i gładził ją po ramionach.

- Delio, musisz porozmawiać z Natem. Wyjaśnić mu, co za-szło - tłumaczył cicho, błagalnie. - Niech ci pozwoli odejść.

Odsunęła się od niego i mocno objęła się w pasie ramionami, jakby w ten sposób miała nadzieję, że

ochroni ciało przed rozpadnięciem się. Jej krtań zaciskała się spazmatycznie. Potrząsnęła głową.

Ty postąpił za nią i stanął tuż przy niej. Czowała ciepło jego ciała i oddech na swoich włosach.

- Powiedz mu, Delio. Jeszcze dzisiaj. Albo ja to zrobię. Odepchnęła go.

- Nie waż się! Nie pozwolę skrzywdzić Nata bez powodu ...

- Skrzywdzić go! Bez powodu! Jezu, Delio, a to wyborne!

A jak myślisz, có ja czuję? Czy naprawdę sądzisz, że będę spokojnie patrzył, jak inny mężczyzna obraca moją żonę?

Aż zmrużyła oczy na te dosadne słowa. Do wszystkich targających nią emocji doszedł teraz jeszcze wywołujący zimne dreszcze strach. Nat mówił, że chce, by zaczęli od nowa. Czy to znaczy, iż ma zamiar domagać się swych mężowskich praw?

- On tego ... nie robi - powiedziała, głównie po to, by przekonać samą siebie.

Ty zaśmiał się z goryczą.

- Zrobi. Pięć miesięcy był bez kobiety. Zrobi to na pewno. - Chwyił ją za ramiona i przyciągnął do siebie. - Nie możesz dopuścić, by dalej uważał cię za swoją żonę.

Odgrodziła się od niego zaciśniętymi w pięści dłońmi.

- Ja jestem żoną Nata! - Złapała go za koszulę i przylgnęła do jego piersi, nareszcie dając upust łzom.

- Ty, proszę cię, zrozum! Nat i ja ślubowaliśmy przed Bogiem. W tym dniu zawarliśmy układ. On wyciągnął mnie z rynsztoka, z cuchnącego grogiem szynku i uczynił swoją żoną. Uwolnił od ojca, który przepijał, co zarobiłam, i bił, gdy tylko nawinęłam mu się pod rękę. Stworzył mi dom i zapewnił

ludzki szacunek ...

- To ja cię stamtąd zabrałem.

Oderwała głowę od jego piersi. Łzy wyschły, w jej oczach zapłonął gniew.

- Ach, tak? O ile pamiętam, Tylerze Savitchu, pozbawiłeś mnie dziewictwa pewnego popołudnia w lesie w Falmouth, a następnego dnia oddałeś Natowi z zastrzeżeniem, że jeżeli mu się nie spodoba, może mnie w każdej chwili wsadzić na statek i odesłać z powrotem jak ... pękniętą filiżankę czy dziurawą pończochę!

- Zamierzasz mnie teraz ukarać za to, że cię uwiodłem i odepchnąłem? Czy oto ci chodzi? - Zaśmiał

się szorstko. - Na pewno na to zasłużyłem, ale Jezu, Delio ...

Wtuliła twarz w jego szyję, trzęsąc się od tłumionego płaczu.

- Nie, nie, nie .. - Czuła, że ledwo trzyma się na nogach, uchwyciła się jego koszuli. - Ja tylko chcę, byś zrozumiał, że Nat nie zasługuje, by go po tym wszystkim porzucić. Choć dla ciebie, po to, żeby być z tobą, pewnie potrafiłabym to zrobić. Ale są jeszcze dzieci, Ty. Najpierw umiera im matka, a zaraz potem ja znikam na pięć miesięcy. Meg i Tildy boją się, że znowu zostaną same. Robiłam wszystko, żeby zyskać ich miłość, by je do siebie przekonać. I tak się stało, nawet Meg się przełamala. Pomyśl, jak bardzo bym je zraniła, gdybym tak po prostu zniknęła z ich życia. Wszystko, co powiedziałam ci wtedy nad morzem, to prawda. Nie wiem, czy potrafię odejść od Nata i dzieci, złamać dane obietnice. Jak bym miała dalej z tym żyć?

Przesunął dłońmi po plecach, płacząc palce w jej włosach.

- A co ze mną? Co z obietnicami, które mi dałaś? Jesteś moją żoną.

- Ale wcześniej wyszłam za Nata i ...

- Nie! Należysz do mnie!-Wziął głęboki, spazmatyczny oddech.-No dobrze, zapomnijmy na chwilę, że wydałaś się za nas obu ...

- To nie moja wi ...

- Porozmawiajmy o uczuciach - wszedł jej w słowo.

Jego głos stawał się coraz bardziej szorstki, gdy szturchając ją wyprostowanym palcem w pierś, wyliczał:

- Ja kocham ciebie, a ty mnie. Kochamy się nawzajem. A teraz powiedz, gdzie w tym wszystkim jest miejsce dla Nata i jego dzieci?

Trzepnęła go po palcu.

- To boli!

- O Boże! - Okręcił się, odrzucając do tyłu głowę. Przez chwilę patrzył w niebo, a jego pierś unosiła się i opadała gwałtownie. Potem zwiesił głowę i opadł plecami na palisadę. Przesunął palcami po włosach i bezradnie opuścił ramiona. - Przepraszam, Delio, ale śmiertelnie mnie przestraszyłaś. Nie mogę cię stracić.

Załamala dłonie i zachwiała się na nogach.

- Ty, co my zrobimy?

Usłyszała, jak szepcze:

- Chodź ze mną, Delio. Od razu. Teraz. Chodź ze mną jeszcze dziś.

Zacisnęła powieki, ale nie powstrzymała płynących łez. Ciszę między nimi przerywał jedynie jego rwący się oddech i jej stłumiony szloch.

Otworzyła oczy. Chciała powiedzieć mu, że nie może tego zrobić; nie może z nim odejść, choć pragnie tego całym sercem i duszą, ale na widok jego twarzy słowa uwięzły jej w gardle i ból ścisnął serce.

Ty nie panował nad łzami. Wypełniały jego oczy i toczyły się po policzkach.

- Boże ... - załkał i zastydzony odwrócił twarz. Ale dalej nalegał: - Nie wybieraj ich, Delio. Błagam cię, chodź ze mną. Jesteś moją żoną.

Wyrwałaby sobie serce z piersi i podała mu na dłoni. Bez wahania oddałaby za niego życie. Otworzyła usta i już miała mu powiedzieć, że zrobi, jak on chce. Zostawi Nata i dziewczynki i pójdzie za nim, bo co tam honor, kiedy się kocha tak bardzo.

I wtedy zabrzmiało jej w uszach rozpaczliwe błaganie Tildy, żeby więcej ich nie zostawiała. Stała jej w oczach Meg, pakująca z Bogiem. Meg całująca ją w policzek i wołająca na nią "mamo" ...

Nie, nie może im tego zrobić.

- Ty, potrzebuję czasu. Muszę to wszystko przemyśleć. Oderwał się od palisady, ominął ją i ruszył

przed siebie. Zanim się zorientowała, był już przy drabinie.

- Ty! - Pobiegła za nim i złapała za rękaw. - Ty, nie! Dokąd idziesz?!

Nie patrzył na nią.

- Zostawiam cię, byś mogła pomyśleć. Zdecydować, czy mnie kochasz, czy nie.

- Wiesz, że cię kocham!

- Naprawdę wiem? - Odwrócił się i wbił w nią błyszczące oczy, twarde teraz z goryczy i wilgotne z bólu. - Naprawdę wiem? - zapytał jeszcze raz i wyszarpnął rękę.

Chwilę później zniknął w ciemnościach.

- Prrr, maleńkie ... - Nat Parkes szarpnął jarzmo zaprzęgu pożyczonych wołów i platforma zatrzymała się z lekkim poślizgiem. Delia zeszła z tego pojazdu przypominającego sanki bez płóz, zapatrzona w okopcone ruiny, gdzie wśród nadpalonych belek i zwęglonego drewna komin sterczał jak palec wzniesiony do góry.

- Jesienią przeszukałem całe pogorzeliśko - odezwał się Nat, podążając za jej spojrzeniem. -

Wyciągnąłem kilka garnków, nic więcej nie znalazłem.

- Hildegardę ocalała! - zawołała Tildy i przycisnęła indiańską lalkę do siebie, zeskakując z końca platformy. - Hildegardę nie spaliła się na śmierć!

- Tylko dlatego, że tego dnia, gdy napadli Indianie, zabrałaś ją ze sobą do szkoły - wyjaśniła opryskliwie Meg. - Żałuję, że nie pomyślałam, by wziąć mego bączka.

- Tata wystruga ci nowy - pocieszyła ją Delia, siląc się na uśmiech. - Prawda, Nat?

W odpowiedzi mruknął coś pod nosem. Delia spojrzała na jego bladą, pooraną zmarszczkami twarz.

W ten piękny wiosenny poranek do dręczącej ją rozpacz i poczucia straty dołączyła jeszcze głęboka melancholia. Pomyślała ze smutkiem o pamiątkach po Mary - szafkowym zegarze, haftowanych serwetkach i kołowrotku. To było wszystko, co pozostało Natowi po ich dziesięciu wspólnie spędzonych latach. Teraz nie miał nawet tego.

Położyła rękę na jego ramieniu.

- Tak mi przykro, Nat.

Drgnął i odsunął się od niej.

- Teraz wiosną będzie można to odbudować. W przyszłym tygodniu pułkownik Bishop ma zorganizować ludzi do pomocy. Wrócił do platformy i zdjął z niej ciężki żelazny kocioł. - Na razie czeka nas dużo pracy. Dziewczynki zajmą się zbieraniem syropu klonowego. Meg, zabierz te skopki i kołki, żebym mógł pojechać na pole. Tej zimy ziemia wyrzuciła tyle kamieni, że można by nimi udławić wieloryba.

Co roku podczas zimowych mrozów na powierzchnię ziemi wydobywały się kamienie i odłamki gładów, które należało usuwać, czyli, jak mówili

farmerzy z Maine, “wyciepnąć”, zanim można było przystąpić do orki. Płaskodenne platformy bez trudu sunęły po ziemi grząskiej od gwałtownie topniejących śniegów i były bardzo przydatne przy wywózce kamieni.

Czas usuwania kamieni zbiegł się z sezonem zbierania syropu.

Sok w potężnych klonach był najlepszy, gdy ścinał się gwałtownie podczas nadal mroźnych nocy i krążył swobodnie za dnia. Nat cierpliwie, a chwilami nawet z uśmiechem pokazywał Delii, jak zbierać syrop. Wybrał wielkie drzewo, o średnicy około czterdziestu centymetrów, i pół metra nad ziemią wywiercił świdrem otwór w nasłonecznionej stronie pnia. Następnie wsunął weń kołtek i zawiesił na nim skopek.

- Na polance przygotuję duże ognisko pod kocioł - powiedział Delii. - Kiedy skopki będą pełne, zwieziecie je na sankach i przelejecie sok do kotła. - Uśmiechnął się do niej. - Narobimy tyle syropu, że będzie można w nim pływać.

Delia usiłowała odpowiedzieć na jego uśmiech, ale nie potrafiła się przemóc.

- No to - kiwnął głową i machnął ręką w kierunku pola - będę tam, gdybyście mnie potrzebowały.

Delia też skinęła głową. Stali tak i patrząc na siebie, kiwali głowami, aż Delia wybrnęła z sytuacji, odwracając się pierwsza.

Od rana panowała między nimi niezręczna, pełna napięcia cisza, spowodowana najprawdopodobniej ich wczorajszą, nie dokończoną rozmową. Kiedy Delia wróciła załamana ze spotkania z Tylerem, nie miała ochoty nawet spojrzeć na Nata, a co dopiero omawiać z nim ich dalsze wspólne życie!

Wymówiła się zmęczeniem i zwinęła na małym sienniku w narożniku chaty. Była przekonana, że Nat zauważył jej zaczerwienione oczy i spuchniętą od płaczu twarz i że musiał się zastanawiać nad przyczyną. Ale ciekawość nie leżała w naturze Nata, więc o nic nie pytał. A ona też nie była skłonna, by mu cokolwiek wyjaśnić.

Gdy obudziła się rano, apatyczna i zrezygnowana, bolała ją każda najmniejsza kosteczka, a żołądek kurczył się z głodu, który nigdy nie miał zostać zaspokojony. Czuła się tak, jakby na zawsze utraciła kogoś bardzo bliskiego. Oto nastąpił koniec jej idylicznego związku z Tylerem. Niezależnie od tego, czy zdecyduje się zostać z Natem i jego córkami, jak podpowiadało sumienie, czy posłucha nakazu serca i zniknie z Tylerem gdzieś w głębi lasu, czeka ją udręka.

Nie wyobrażała sobie życia bez Tylera. Kiedyś myślała, że wystarczy jej, jeżeli będzie mogła codziennie widywać jego koochaną twarz. Ale tak było, zanim pewnego ranka obudziła się i popatrzyła w twarz tuż przy swojej na poduszce. Jego oczy o ciężkich od snu powiekach lśniły wtedy z miłości. Przycisnęła usta do jego szorstkiego od zarostu policzka, przeciągnęła się i poczuła

przyjemne ćmienie między nogami - pamiątkę po upojonej nocy. Spełniło się jej marzenie. Marzenie, które wydawało się nierealne. Ty ją kochasz, uczynił z niej swoją żonę. Czy mogłaby się kiedykolwiek wyrzec tego marzenia?

Ale ...

Była jeszcze Tildy ...

Dziewczynka siedziała wpatrzona w kołek na klonie. Skupiona podniecona, czekała, aż popłynie sok.

- Leci, Delio! - zapiszczała z zachwytem na widok pierwszej kropli. - Sok cieknie! Zrobimy klonowe cukierki?

- Cierpliwości, kotku - mitygowała ją Delia, nie mogąc poowstrzymać się od śmiechu, a jednocześnie czując łzy pod powiekami. - Dużo czasu upłynie, zanim będą z tego cukierki. _ Spojrzała przy tym na Meg i wymieniła z nią porozumiewawczy uśmiech.

Zarumienione policzki Meg przypominały zdrowe jabłka, brązowe oczy lśniły jak dwa kasztanki.

Ściągnięte zazwyczaj usta

rozchyłały się w uśmiechu. Delia nie pamiętała Meg takiej szczęśliwej i spokojnej.

Dzieci - pomyślała - jak mogłabym je zranić?

Potem skierowała wzrok w górę rzeki ku polance, gdzie stała chata Tylera. Wyobraziła sobie, że jest tam teraz i przeszukuje zgliszcza. Ruiny - zadudniło jej w głowie. Wszystko zrujnowane. Ich domy, ich życie. Ich miłość.

Oczy zaszły jej łzami, a serce wołało do niego: Och, Ty, najdroższy Ty, co my zrobimy?

Delia myliła się.

Ty był bardzo daleko od swego spalonego domu. Szedł przez las, poruszając się bezszelestnie jak Indianin. Miał przy sobie wszystko, co zostało mu na tym świecie - strzelbę, woreczek z nabojami, rozek z prochem, tomahawk i myśliwski nóż. W przewieszzonej przez ramię sakwie niósł trochę

jedzenia i za-pasowy komplet ubrań z irchy. Wszystkie zioła i większość instrumentów medycznych spłonęły razem z domem. To, co zdołał wyciągnąć ze zgliszczy, zabrał ze sobą.

W sercu Ty niósł wspomnienia.

Nawet gdybyśmy mieli być ze sobą ten jeden jedyny raz, i tak w duszy na zawsze pozostaniesz dla mnie żoną. Panią mego serca.

Naprawdę tak myślał, kiedy wypowiadał te słowa w nocy po ich ślubie, gdy stali przed jego wigwamem, wpatrzeni w zorzę. Ale nigdy by nie uwierzył, że los tak szybko wystawi go na próbę. I że będzie mu aż tak ciężko.

Na początku o mało jej nie utracił, bo przestraszył się miłości do niej. A gdy wreszcie przezwyciężył

obawę i pozwolił sobie na uczucie, stracił ją na dobre. Ale przynajmniej to on dokonał wyboru.

Własny gniew i ból nie zaślepiły go na tyle, by nie dostrzegł wczoraj na jej zrozpaczonej twarzy, że jej serce jest rozdarte pomiędzy miłość do niego a macierzyńskie uczucia dla pozbawionych matki dzieci Nata. Wtedy zrozumiał, że musi zdo-być się na gest godny jego wielkiej miłości do niej. Wybierze za nią, by oszczędzić jej bólu i rozdarcia, bo ona sama Poie miała wyboru.

Odejdzie od niej.

Kierował się na północny wschód, a szedł wzdłuż Kennebecu, bo śnieg był mniejszy tam, gdzie słońce łatwiej przedzierało się przez baldachim gałęzi. Pchała go ku tej wędrowce pozorna euforia wywołana ulgą, że podjął i wprowadził w czyn decyzję, której się tak bardzo bał. Na razie cierpienie tkwiło w nim głęboko, jak ból po urazie kości, i nie do końca je sobie uświadamiał. Miał nadzieję, że zanim zacznie przeżywać prawdziwe tortury, będzie od niej na tyle daleko, by osłabiło to pokusę powrotu.

Bóg mu świadkiem - zaśmiał się w duchu ponuro - że nie jest stworzony do poświęceń.

Ciągnęło go Norridgewock, ale wspomnienia związane z Delią i ich miłością zanadto by go raniły, a droga do niej stamtąd była zbyt krótka. Planował pójść dalej wzdłuż rzeki, a potem odbić na zachód.

Assacumbuit mówił mu kiedyś, że ziemia, którą Yengi nazywają Ameryką, rozciąga się na zachód aż

do miejsca, gdzie na krańcu świata słońce kąpie się w nocy w drugim oceanie. Miał zamiar iść, dopóki nie znajdzie końca ~iemi, by tam zostać

samotnie ze swymi marzeniami i wspomnieniami o niej.

Zrobił postój przy rozwidleniu Kennebecu, chociaż nie czuł się ani trochę znużony. Kiedy był małym chłopcem, Assacumbuit wielokrotnie zmuszał go, by biegł dzień i noc bez wody i odpoczynku. Gdy jako dwunastolatka wysłał go nago do lasu, nie miał przy sobie nawet noża. Wyszedł stamtąd po tygodniu ubraany i syty, niosąc ojcu w darze kawał mięsa. A jeszcze wcześniej, gdy miał zaledwie sześć lat, przeszedł pieszo z Kittery do Quebeeu z tobołem na plecach wielkim jak on sam. Podczas tamtego marszu ciało i duch zahartowały się, stwardniały. Tracił już w życiu ludzi, których kochał, i za każdym razem wylizywał Się z ran.

Tym razem też tak będzie - powiedział sobie. Musi tak być.

Powtarzano mu, że mężczyznę hartuje życie, że musi znosić to, co zsyła mu los, i iść dalej, nie oglądając się wstecz.

Ty przysiadł na brzegu ze strzelbą na kolanach. Ciepłe promienie słońca pieściły mu twarz, a silny wiatr marszczył powierzchnię wody i szarpał gałęzie jak muzyk struny harfy. Przyyniósł też zapach tłuszczu i nicdbałe wyprawionych skór.

Ktoś się zbliżał.

Ludzi musiało być dwoje i nie robili zbyt wiele hałasu, lecz Abenakowie poruszali się bezszelestnie. W

takim razie musieli to być traperzy. Pytanie tylko, czy Anglicy, czy Francuzi. Ci pierwsi byli przyjaźnie nastawieni, w przypadku tych drugich można było spodziewać się kłopotów.

Ty powolnymi, niedbalymi ruchami podsypał prochu i załadował strzelbę. Położył ją na kolanach, zagiął palec na spuście i czekał.

Pięć minut później zza zakrętu rzeki wyłonił się Wielka Łycha i jego kobieta - młoda Indianka. Szła niemal zgięta we dwoje pod ciężarem beli skór. Łycha niósł jedynie strzelbę. Na widok Tylera w szerokim uśmiechu pokazał spróchniałe zęby.

- Daleko pan się wybrał na polowanie, doktorze! - zawołał, gdy podeszli nieco bliżej.

Ty czekał w milczeniu, aż traper się z nim zrówna.

- Miałeś udaną zimę, co, Łycha? - powiedział, wskazując głową na belę bohrowych skór. Dziewczyna stała w bezruchu, bezmyślnie patrząc przed siebie, chociaż musiało jej być ciężko. Ty widział, jak rzemień podtrzymujący ładunek wrzynał się w jej czoło. Zauważył też, że teraz nie cierpiała na skorbut.

- Idziemy do faktorii pani Susannah przy drodze do Falmouth. Słyszał pan, że wychodzi za mąż?

- Nie. Za kogo? - zapytał Ty, choć go to wcale nie obchodziło.

- Za jakiegoś gościa z Wells - wzruszył ramionami Łycha. - Bednarza. - Traper w zamyśleniu skubał

brodę i przyglądał się Tylerowi, a brudna twarz ściągnęła mu się z wysiłku. - Miałem dla pana wiadomość. Co też to ... Och, no tak! Indiany nie zabiły i nie oskalpowały Nata Parkesa. To był ktoś inny.

Ty westchnął.

- Dostałem tę wiadomość. Ale dziękuję ci.

Łycha zauważył, że Ty przygląda się jego squaw.

- Nesoowa jest zdrowa jak rydz, odkąd ją pan zbadał w Falmouth Neck, doktorze. Całą zimę piłem ją świerkowym piwem, nie, dziewczyno? - Uśmiechnął się zadowolony do młodej Indianki, a ona nieśmiało spojrzała na Tylera, podrzucając ciężki ładunek nieco wyżej na plecy.

- Nie mógłbyś przynajmniej trochę ją odciążyć? - zapytał Ty.

- Że niby co?

- Pomóc jej dźwigać skóry.

- A czemu?

Ty ponownie westchnął.

Wielka Łycha oblizwał usta.

- Nie ma pan przypadkiem kropelki okowitki przy sobie?

- Niestety. - Ty wyjął fajkę z otoka lisiej czapy i poszukał w stojącym przy nogach chlebaka kapciucha z wiewórczej skóry, w którym trzymał tytoń. Nabił fajkę aromatycznymi liśćmi. - Ale mogę cię poczęstować fajką - zaproponował.

- Kinnikillik?

Ty pokręcił głową.

- Nie, zwykły tytoń.

Wielka Łycha wydał się nieco rozczarowany, ale przyjął fajkę.

Traper, podobnie jak Indianie, nosił przy myśliwskim pasie w skórzanym woreczku próchno osłonięte dwoma połówkami muszli. Zapalił fajkę za pomocą krzesiwa.

- Ja to już jestem prawie jak listonosz - odezwał się, ściskając cybuch w zębach. - Nic, tylko latam z wiadomościami tam i z powrotem. Najpierw pan i pułkownik Bishop, a teraz ten gość z Penobscot kazał mi przekazać wiadomość.

- A co to za wiadomość? - zapytał Ty, głównie dla podtrzymania rozmowy.

- Parę tygodni temu wysłano z Bostonu do zatoki Penobscot kanonierkę. Zrównała z ziemią misję w Castine, a przy okazji zginął ten klecha Sebastian Rale. Teraz Abenakowie skalpują jak wściekli.

Wykopali topór wojenny. Wszystko odbyło się oficjalnie, zwołali wielką naradę szczepów, a teraz budują drabiny. Już nawet forty nie będą bezpieczne.

Ty skrzywił się, zde gustowany polityką kolonii. To oczywiste, że śmierć ulubionego francuskiego księdza musiała nastawić ich wrogo do osadników.

- A wiesz, gdzie mają najpierw uderzyć?

- Pan wie lepiej ode mnie, że trudno rozgryźć Abenaków. Ale tak sobie myślę, że to może być Merrymeeting, bo jeden taki szalony Indianiec na ostatniej naradzie mełł jęzorem o jakichś wizjach.

Hej, doktorze, gdzie pan ... ?

Wielka Łycha patrzył w najwyższym zdumieniu na pustą skałkę, gdzie jeszcze przed chwilą siedział

doktor, leniwie wystawiając twarz na pierwsze promienie słońca.

Rozejrzał się dookoła - w rzece plusnęła stynka, a na szlaku jeleni też ani śladu człowieka, tylko wiewórka stanęła słupka i, wpatrzona w Łychę, poruszała wąsami. Na koniec wlepił wzrok w fajkę, jakby chciał nabrać pewności, że to wszystko nie było snem.

Co go tak poderwało? - mruknął pod nosem.

Wzruszył ramionami i podjął na nowo swą wędrówkę wzdłuż biegu rzeki. Jego squaw, Nesoowa, ruszyła za nim bez słowa.

Połowę twarzy miał czarną, a połowę białą. Pomalował się, tak, by wyglądać jak człowiek płonący na stosie. Ujrzał w transie własną śmierć w ogniu. Przygotowywał się do niej z rozspiewanym sercem.

Poświęci siebie, aby przeżył jego lud. To śmierć godna wojownika.

Teraz cały czas nawiedzały go duchy. Już nie potrzebował wody ognistej Yengi, ażeby je przywołać.

Wciąż zsyłały mu to samo objawienie, by nic z niego nie uronił i nie minął się z przeznaczeniem.

Rozumiał tę wizję doskonale, była jasna jak pismo obrazkowe jego ludu. Całe rzeki Yengi zalewają ziemię, a wiedzie ich Lusifée - pantera. Ale w jego śnie Lusifée ginie z ręki malsuma-wilka, a fale Yengi cofają się do oceanu, skąd zaczęły swą pochód. Wilk zabija panterę i Ludzie Zarania odzyskują

swoje utracone tereny łowieckie.

Dreamer zacisnęła drżące powieki. Widział teraz twarz Lusiffee-splątane czarne włosy, trójkątny podbródek, kocie, jarzące złoto źrenice.

Nie otwierając oczu, wziął czerwoną glinę i namalował na piersi warczącego wilka - totem swego szczepu. Odrzucił głowę do góry i zawył jak wilk.

- Jestem Dreamer - zaśpiewał. - Jestem Dreamr, wódz ludzi wilków. To my zabijemy potężną Lusiffee.

To my odeprzemy zalew Yengi!

Co prawda do resztek jego świadomości dotarła wiadomość, że większość szczepów Abenaki wykopała topór wojenny przeciwko Yengi, ale nie tak miał się rozstrzygnąć los Ludzi Zaranja.

Przemówiły duchy. To on, Dreamer, sprowadzi Lusiffee z powrotem do Norridgewock, gdzie dawno zginęłaby zgodnie ze swym przeznaczeniem, gdyby nie przeszkodził w tym Bedagi. Lusiffee zostanie unicestwiona, a Yengi na zawsze opuszczą Ziemię Zaranja.

Dlaczego Lusiffee, opiekuńczy duch Yengi, postanowił zamieszkać w ciele nędznej kobiety, tego Dreamer nie potrafił zrozumieć. Ale Yengi to niepoczytalna rasa jego ojciec opowiadał o plemionach Yengi rządzonych przez kobiety. Jeżeli potrafili wybrać kobietę na Wielkiego Wodza, to równie dobrze ich opiekuńcze duchy mogły zamieszkiwać w kobiecych ciałach. Przecież na własne oczy widział, że to nie była zwyczajna kobieta - miała odwagę i dzikość wojownika.

Jest Lusiffee i musi zginąć.

Więc szykował się zarówno do walki, jak i na śmierć. Wy-smarował ciało niedźwiedzim sadłem, pomalował tors i twarz. Ofiarował niebu swą pieśń. Był gotowy do powrotu w miejsce, gdzie schwytał

Lusiffee.

Wizje powiedziały mu, że tam ją znajdzie, a one nigdy się nie myliły.

Słodkawy zapach parującego soku unosił się w powietrzu. Kiedy Nat Parkes przestawał na chwilę rzucać kamienie na platformę, mógłby przysiąc, że słyszy, jak słodki płyn kapie do skopków.

Od czasu do czasu zaglądał na polankę i pomagał przelewać sok z wiaderka do kotła. Podkładał też szczapy do ognia. Wy-ręczał Delię w tych zajęciach, by ulżyć jej trochę przy robieniu syropu. Musiał wynagrodzić jej wiele zaniedbań. Naprawdę wiele.

Nat nie wybierał z pola wszystkich kamieni. Zostawiał tu i ów-dzie

niewielkie kopczyki. Wyczytał w swoim almanachu, że użyźniają ziemię, gdy rozpuszczając się, powoli wsiąkają w glebę. Podobno plony podnosiły się nawet trzykrotnie. Delia zapytała go o te kopczyki. Wyjaśnił jej tę teorię z niepewnym uśmiechem, bo gdyby nie to, że znalazł ją w kalendarzu, uznałby to za babskie przesady. I rzeczywiście, Delia też chyba nie bardzo w nią uwierzyła, bo się uśmiechnęła. I wtedy pomyślał, że lubi widzieć ją uśmiechniętą.

Rozejrzał się i spostrzegł, że Delia wbija kołki w pnie. Dziewczynki podkładały gałęzie do ognia.

Ponieważ nikt go nie zauważył, zostawił platformy i przemknął dawną ścieżką na wzgórze do miejsca za spaloną stodołą.

Grób ostał się nietknięty, chociaż podniszczyła go trochę zimowa pogoda. W zeszłym roku o tej porze minęły zaledwie trzy tygodnie, jak pochował Mary. Wtedy świeżo wyryte litery na szarym granicie były jak białe blizny, a warstwa liści – mokra i świeża. Teraz napis poczerniał, kamień popękał i miejscami poodpryskiwał, a ziemia wokół grobu osunęła się nieco zaczynała porastać chwastami.

Nat zdjął kapelusz, przyklęknął przy nagrobku i powłóczył palcami po literach wyrytych w kamieniu.

Mary ...

Ty wiesz, o czym myślałem przez ostatnie tygodnie, kiedy czekałem na powrót Delii. Czułem przecież, że jesteś przy mnie, że mnie słuchasz. Ja nie przestałem cię kochać ...

Zamknął na chwilę oczy i przysiadł na piętach, z nadgarstkami opartymi o uda, trzymając kapelusz między rozsuniętymi kolanami.

Mary, w przyszłym tygodniu zamierzam odbudować dom, a Obadiah Kembler robi mi nowe łóżko. I wiesz, Mary, chcę ... chcę je dzielić z Delią, jak mąż i żona. Jeżeli czujesz się dotknięta, to bardzo mi przykro, bo przecież wiesz, że w ciągu naszych wspólnych dziesięciu lat nigdy rozmyślnie cię nie skrzywdziłem. I nawet przez myśl mi nie przeszło, by pójść z inną kobietą, nawet nie spojrzałem na żadną z takim zamiarem. Dużo się nad tym wszystkim zastanawiałem i tak sobie myślę, że być może

tam, gdzie jesteś, przyjemności ciała nie mają znaczenia. Mam nadzieję, że tak właśnie jest, bo, widzisz, małżeństwo to ... coś więcej niż dwoje ludzi mieszkających pod jednym dachem. A ja teraz jestem mężem Delii.

Nat przełknął głośno ślinę, otarł usta wierzchem dłoni i uniósł się powoli.

Ale to nie ma wpływu na moje uczucia względem ciebie i mam nadzieję,

że ... że ty też nie przestaniesz mnie przez to kochać.

Potworna myśl uderzyła Nata - myśl, że być może ta Mary, którą znał i kochał, już nic nie czuje. To podejrzenie było tak okropne, że czym prędzej odrzucił je od siebie. Jeżeli bowiem miałyby choć przez chwilę wierzyć, że z Mary pozostały jedynie kości w grobie, to ...

Przeraźliwy krzyk przeciął powietrze i Nat drgnął przestraszony. Odniósł wrażenie, że ten krzyk wydostał się z grobu u jego stóp.

Dopiero za drugim razem rozpoznał głos Meg, wykrzykujący imię Delii. Okręcił się na zdrowej nodze i pobiegł po pochyłości, potykając się i kulejąc z pośpiechu.

Delia wrywała się Abenakowi. Indianin ciągnął ją do lasu, stopy Delii żłobiły ślady w rozmokłym śniegu. Dziewczynki krzyczały, a Delia w milczeniu zmagła się ze swoim napastnikiem, wbijając paznokcie w zaciskające się na jej szyi ramiona.

Przez ułamek sekundy Nat stał pełen wstydu i niemocy, bo nogi odmówiły mu posłuszeństwa i strach siadł na piersi. Jak ostatni głupiec zostawił muszkiet na platformie w polu, zbyt daleko, by pobiec po niego i zastrzelić dzikusa, zanim ten wciągnie Delię do lasu. Rozglądał się oniemiały, by sprawdzić, czy między drzewami nie kryje się więcej Indian.

Ale chwilę później ruszył na nagiego, pomalowanego dzikusa, który siłował się z Delią. W jego głowie kołatała jedna jedyna myśl - musi ją ocalić!

Lusifée walczyła z dzikością pumy, która zamieszkała w jej ciele. Dreamer był zaskoczony własną słabością. Jego ramiona zdawały się ciężać ku ziemi, a nogi drżały z wysiłku, gdy ciągnął kobietę Yengi za sobą. Łapał oddech ze świstem i co rusz potrząsał głową, by pozbyć się z oczu przesłaniającej wszystko mgły.

Dreamer zauważył, że przez pole niezdarnie biegnie do nich wysoki mężczyzna o złotych włosach.

Odruchowo złapał za nóż do skalpowania, zawieszony na rzemieniu u pasa. Lusifée o mało mu się nie wyrwała. W ostatniej chwili przytrzymał ją, wcierpiając palce w jej włosy. Odrzucił głowę, chciał

wydać wojenny okrzyk, ale przestraszył się, że wydobędzie z gardła zaledwie rżenie.

Mężczyzna z złotymi włosami był już tuż-tuż. Dreamer nie widział go w swojej wizji - pewnie był

nikim, łatwo będzie go zgnieść. Zamachnął się nożem, celując w pierś, ale jego dziwnie słabe ramię obsunęło się chwiejnie. Chybiłby, gdyby w tej samej sekundzie mężczyzny nie zawiodła jego lewa stopa. Słaniając się na boki, z rozrzuconymi ramiona leciał prosto na nóż.

Ostrze wbiło się w jego brzuch.

Zrobił jeszcze parę chwiejnych kroków i osunął się na ziemię w topniejący śnieg.

- Nat! - zawołała przeraźliwie Lusifée, wyszarpując się z uchwytu Dreamera. Rzuciła się do leżącego mężczyzny. - Nat!

Powodowany przecuciem równie silnym jak dotychczasowe wizje, Dreamer czujnie uniósł głowę.

Spostrzegł, jak po jego prawej stronie pomiędzy drzew bezszelestnie wyłania się duch w przebraniu człowieka. Zobaczył długie ramię ducha wycelowane w swoją pierś. Ujrzał jeszcze błysk ognia ...

Nie usłyszał strzału, od którego zginął. Ale gdyby go usłyszał, wziąłby go za huk piorunu.

Ty zarepetował broń i odczekał, by upewnić się, że Dreamer jest martwy. Dopiero wtedy uniósł Delię znad Nata. Pchnął ją lekko w stronę polanki z kotłem, gdzie tuliły się do siebie histerycznie rozelkane dziewczynki.

_ Delio, weź dzieci i biegnij do blokhauzu! Powiedz pułkownikowi, że grupa Abenaków kieruje się na

Merrymeeting.

Delia spojrzała na swoje umazane krwią ręce i podniosła nieprzytomne oczy na Tylera.

- Nat nie ...

Potrząsnął nią delikatnie.

_ Delio! Musisz zabrać dziewczynki do osady i ostrzec mieśszkańców Merrymeeting! - Potrząsnął nią jeszcze raz, tym razem mocniej. - Rozumiesz?

Pokiwała głową, przygryzając dolną wargę•

_ To dobrze. - Uniósł jej głowę za podbródek, złożył na ustach szybki, mocny pocałunek, obrócił i pchnął do przodu. - Biegnij, Delio! Biegnij, dziewczyno, ile sił w nogach!

Pobiegła. Obserwował, jak dopada do dzieci, bierze Tildy w ramiona, Meg chwyta za rękę. Patrzył za nimi, dopóki nie dotarły do kolein prowadzących do osady.

Teraz dopiero przyklęknął przy Nacie. Jego szare, pociemniałe z bólu

oczy zawisły na twarzy Tylera.

_ Doktorze? Boli mnie brzuch.

_ Siedzi w nim nóż, Nat - powiedział Ty. Żałował, że nie ma przy sobie korzenia mandragory, by uśmierzyć nieco ból. -Muszę go wyciągnąć.

Nat szarpnął głową, łapiąc urywany oddech.

- Delia ... ?

_ Ani jej, ani dziewczynkom nic się nie stało ... Nat, musisz teraz wytrzymać. Będzie bolało jak diabli.

Ostrze siedziało głęboko i stawiało opór. Ty obawiał się, że wyciągnięcie noża może wywołać śmiertelny krwotok. Nat jęczał i rzeził na zmianę. Ty tamował buchającą krew swą irchową koszulą i cały czas nasłuchiwał, czy w forcie biją dzwony

znak, że Delia i dziewczynki są bezpieczne za palisadą - chociaż wiedział, że nawet jeśli cały czas biegną, potrzebują przynajmniej pół godziny, by dotrzeć do osady.

Zastanawiał się, jak przetransportować Nata do Merrymeeting, i wtedy spostrzegł platformę na polu.

Przyprowadził woły i najostrożniej, jak mógł, przełożył na wóz rannego mężczyznę. Nat krzyczał z bólu. Potem jęki na platformie ucichły. Ty pomyślał z ulgą, że biedak stracił przytomność.

Głowa Nata zwisała bezwładnie.

- Mary ... - westchnął.

- Wytrzymaj jeszcze trochę, Nat. Przeżyjesz, tylko się me poddawaj.

Nat usiłował podnieść rękę, ale bezwładnie opadła. Zamglone oczy przez chwilę patrzyły przytomnie na Tylera.

- Powiedz Delii ... że mi przykro ... Miałem jej wynagrodzić ...

Nie zdążyłem ...

Ty położył mu dłoń na ramieniu.

- Sam jej to powiesz. W Merrymeeting.

Nat zamknął oczy. Odpływał w agonię. Ból w trzewiach kasał jak zwierzę i lizał gorącym językiem na podobieństwo syczących, trzaskających płomieni, trawiących smolne polano. Miał nadzieję, że śmierć już niedługo zakończy jego potworne cierpienie.

Mary ...

Czuł, że jest przy nim. Pierwszy raz, odkąd umarła, miał wrażenie, że naprawdę słyszy jej głos. A jej twarz, którą ostatnio z trudem przywoływał w pamięci, widział teraz bardzo wyraźnie. Pochylała się tuż nad nim. Dotknęła

nawet ustami jego czoła.

- Idę do ciebie - powiedział jej. - Już niedługo ...

Znowu na chwilę odzyskał przytomność i wróciła jasność umyśłu. Ogarnęło go poczucie winy, że chciał umrzeć. Przecież ma dzieci i żonę. Jednak wyrzuty sumienia były nieporównywalne z pragnieniem, by ustał ból, i ... słodyczą oczekiwania na spotkanie z Mary. Znowu będą ze sobą. Tym razem na zawsze.

Dzwony. Gdzieś w oddali były dzwony. Jakie to dziwne _ pomyślał - że w niebie są dzwony.

Niebieskie chmury jarzyły się białym światłem, dzwony były coraz głośniejsze. Białe światło było zimne, bardzo zimne. Ale to dobrze, bo chłodziło piekący ból w jego trzewiach. Już niedługo - myślał. Już niedługo ...

- Mary ...

Ty usłyszał ochrypy szept Nata i odwrócił się, by dodać mu otuchy. Słowa zamarły mu na ustach, gdy zobaczył otwarte, szklane oczy ...

Odgłos dzwonów w forcie niósł się daleko w wiosennym czystym powietrzu. Osadnicy z rozrzuconych po okolicy farm śpieszyli do fortu wozami, konno i pieszo. Wzięli ze sobą wszystko, co mogło się przydać podczas oblężenia. Co prawda woły nie należą do zwyczajnych zwierząt, ale sanie dobrze ślizgały się w kołach na rozmięklej drodze. Wkrótce, w prześwicie między drzewami, oczom wędrowców ukazała się górująca nad fortem wieżyczka domu pułkownika Bishopa, zbór, plebania i palisada.

Bramę ostrokołu zostawiono otwartą dla ciągnącego strumienia uciekinierów, lecz wartownicy z bronią gotową do strzału bez przerwy obserwowali las ze swych stanowisk na palisadzie. Ludzie w forcie biegali, jakby się mogło wydawać, bez ładu i sensu, na podobieństwo mrówek, którym zburzono mrowisko.

Kiedy Ty przekroczył bramę, usłyszał trzask otwieranych drzwi do blokhauzu. Na progu stanęła Delia.

Przesunęła wzrokiem po nieruchomym ciele na platformie i zatrzymała spojrzenie na twarzy Tylera.

Usłyszała za plecami krzyk. To Meg wołała jak obłąkana: "Puśćcie mnie, puśćcie mnie!"

Ty spotkał Delię w pół drogi. Pragnął objąć ją i przytulić, ale obawiał się, że może niewłaściwie odczytać ten gest. Ograniczył się więc do pokrzepiającego spojrzenia.

- Zmarł w drodze, Delio. Zrobiłem, co mogłem, ale nie miał szans.

Pogładziła go po policzku.

- Dziękuję, Ty - powiedziała cicho i podeszła do Nata.

Przysiadła na saniach i zapłakała. Uniosła dłoń Nata do ust.

Ty odwrócił się, żeby na to nie patrzeć. Ale nie czuł zazdrości. Rozumiał ją.

Słońce zaszło, zrobiło się zimno. Na oknach chatynek, przyćcupniętych wzdłuż palisady, mróz malował liście paproci. Na niebo wypłynął księżyc. Okrągły i biały jak śnieżna kula, skąpał pobliski las w jaskrawosrebrzystej poświacie.

Krótko przed zachodem słońca powrócił zwiadowca. Widział grupę mniej więcej dwustu Abenaków.

Plądrowali oddalone farmy i domki traperów, ale nie było wątpliwości, że kierują się na Merrymeeting.

Tyler Savitch, pułkownik Bishop i Sam Randolph zebrali się przy armacie. Długą czarną lufę działa wycelowali na wschód, skąd spodziewali się najazdu.

W świetle pochodni czerstwa twarz pułkownika przypominała obrany burak.

- Sam, jesteś pewien, że uda się z tego wystrzelić? - wes-tchnął, pełen niepokoju, patrząc ponuro na działo.

- Nie wiem. - Sam kopnął z rozmachem żelazne koło armaty, aż kapelusz zsunął mu się na czoło. - Z

tej cholery może być tyle pożytku co z koszuli nocnej obszytej koronką. - Ale ... tak ... Myślę, że powinna wypalić.

Pułkownik zapatrzył się w ciemność ponad zaostrozonymi szczytami palisady i w zamyśleniu skubał

palcami grube wargi. - Kul wystarczy nam zaledwie na dwa ładowania. Jeżeli bę-dzie ich bardzo dużo, możemy nie trafić zbyt wielu dwoma strzałami.

- To nie ma znaczenia - odezwał się Ty głosem pozbawionym emocji. Stał, obejmując ramionami pale ostrokołu, i tylko napięte ścięgna na nadgarstkach zdradzały, że jest zdenerwowany. - Dzia-ło

powinno ich odstraszyć. - Ty starał się wytłumaczyć taktykę Abenaków. - Oni nie wierzą w chwalebny śmierć na polu bitwy. Dla nich najważniejsze jest, by zabić jak najwięcej wrogów, a samym ujść z życiem i być gotowym do następnego ataku. Ucieczka z pola walki nie naraża na szwank ich honoru.

Jeżeli uznają, że mogą ponieść zbyt duże straty, wycofają się w las i

zaatakują gdzie indziej.

Ręka pułkownika opadła ciężko na ramię Tylera.

- Obyś miał rację, doktorze. Jak pan myśli, kiedy mogą uderzyć?

- Dziś w nocy, najprawdopodobniej przed świtem.

Ty zostawił pułkownika z Samem przy dziale i szedł blankami z bronią gotową do strzału, opartą o zgięte ramię. Użyje jej, gdy nadejdzie pora, bo nie chce, żeby ani on, ani Delia zginęli. Z drugiej strony wiedział, że za każdym razem, kiedy pociągnie za spust i położy trupem Abenaka, będzie przeżywał

strach, czy nie zabił swego ojca, Assacumbuita.

Czuł się chyba bardziej rozdarty wewnątrz niż wtedy, gdy

Assacumbuit zawiózł go do Wells i zostawił u dziadka. Kim był?

Doktorem Tylerem Savitchem czy Bedagi, synem Wielkiego Woźdza Abenaków? Tak jak wtedy, i teraz odpowiedź była jednoznaczna.

Płynęła w nim krew Yengi. A więc musiał żyć wśród swoich, walczyć i zabijać w obronie tego życia.

Oparł się o szorstką drewnianą ścianę i popatrzył w niebo.

Świeciły gwiazdy, a mleczna wstęga błyszcząca w poprzek nieba jak świetlisty węgorz płynący tuż pod powierzchnią czarnego jeziora.

Abenakowie wierzyli, że Mleczna Droga była szlakiem prowadzącym do świata duchów i przeznaczenia. Jeżeli ludzie w Merymeeting też mają wypisany w niebie swój szlak, to zapewne znajdą na nim rano wielu wojowników z plemienia Abenaków.

- Ty ... ?

Wyprostował się i odwrócił powoli. Jego miłość przyszła do niego.

Drżały jej kąciki ust, była blada i miała podkrążone oczy. Bez słowa otworzył ramiona.

Przytuliła policzek do jego piersi z głośnym, nabrzmiałym smutkiem westchnieniem.

- Jak dziewczynki to zniosły? - zapytał. Opasała go ramionami i wtuliła się w niego.

- Tyłdy chyba nie całkiem rozumie, co się stało. A Meg ... zasnęła zmożona płaczem. Dlaczego on musiał umrzeć, Ty?

- Nie życzyliśmy mu śmierci - odparł, czytając ukryte znaczenie tego pytania. Przypuszczał, że nigdy nie pozbędą się poczucia winy, bo śmierć Nata otworzyła im drogę do wspólnej przyszłości, oddała utraconą radość życia.

Tulił ją do siebie w milczeniu. Upłynęło wiele czasu, zanim oderwała głowę od jego piersi.

_ Kocham cię, Tylerze Savitchu - wyznała i powiodła palcami po jego dolnej wardze.

Pocałował ją. Nie był to głodny, namiętny pocałunek, chociaż pożądanie, jak zawsze, tak i teraz, tliło się w jego ciele.

Pocałował ją z miłością•

Wysypali się z lasu w szarym świetle brzasku. Mroźne powietrze zdawało się drgać od ich mrozących krew w żyłach wojennych okrzyków.

Sam Randolph przyłożył lont do prochu na obsadzie działa.

Pułkownik Bishop stał obok niego z uniesioną ręką.

- Poczekaj - polecił cicho. - Niech podejną bliżej. Nie możemy chybić, Sam. Musimy trafić ... -

Pułkownik opuścił rękę. _ Teraz!

Działo wystrzeliło. Na kłębiących się Indian i ich drabiny poleciały kule do muskietów, gwoździe i kawałki żelaza. Głośny jak uderzenie piorunu huk uderzył w niebo i odbił się od wody, a w powietrzu kłębił się czarny, gryzący dym. Okrzyki wojenne zmieniły się w krzyki przerażenia.

Sam Randolph kaszłał, podduszony dymem, i klął na czym świat stoi, bo poparzył się o rozgrzany metal. Zabierał się właśnie do obracania działa, by ponownie je załadować, gdy pułkownik położył mu rękę na ramieniu.

- Nie trzeba. Zobacz, uciekają. Doktor miał rację. Sam wydał radosny okrzyk.

- Wystraszyliśmy drani jednym strzałem! - zawołał. Mimo wszystko załadował działo i wszyscy w zupełnej ciszy czekali z napięciem, czy Abenakom nie przyjdzie do głowy, by spróbować jeszcze raz.

Ty nie czekał z nimi. Wyszedł na polanę przed palisadą, gdzie leżało dwanaście ciał rozrzuconych jak kręgle.

Sprawdzał, czy nie ma wśród nich żywych. Przyglądał się twarzom zabitych.

EPILOG

Tyler Savitch wetknął marchewkę w sam środek twarzy bałwana i odstąpił o krok, by ocenić swe dzieło. Niestety, przywiędła, poczerniała marchewka załamywała się w połowie, nadając bałwanowi nieco żalospny wygląd.

Tildy zachichotała i pociągnęła Tylera za frędzle przy irchowej kurtce.

- Śmiesznie wygląda. Bałwan jest śmieszny z tym nosem. Ty spojrzał na swą przybraną córkę.

Radosny uśmiech rozjaśnił mu usta. Prawdę mówiąc, ten uśmiech nie zniknął mu z twarzy od jedenastu miesięcy.

- Cóż, chyba muszę się z tobą zgodzić, maleńka - powiedział z udawanym smutkiem. - A może tak pójdziemy do domu na kubek gorącej czekolady?

Tildy z radosnym piskiem pobiegła do domu, płosząc przy tym dzikiego królika, który zakosami pokicał na polanę. Marcowe zadymki nawiały sporo śniegu, ale dziewczynka nie grzęzła w zasypach, bo Ty z samego rana usunął śnieg ze ścieżki.

Nowy piętrowy dom napawał Tylera dumą. Zbudowali go ze szłej wiosny. Tydzień po ich ślubie cała osada skrzyknęła się do pomocy przy budowie. Ty droczył się z Delią, twierdząc, że dom musi być taki duży, bo inaczej nie pomieści wszystkich dzieci - Meg, Tildy, no i dwanaściorga drobiazgu, które Delia w przyszłości urodzi.

Kiedy Ty ruszył za Tildy do domu, w otwartych z impetem drzwiach pojawiła się Meg. Wybiegła na dwór, przytrzymując fartuszek pobielonymi mąką rękami, a wiatr nawiewał jej na twarz pasma kasztanowych włosów.

- Doktorze Ty! Zaczęło się! Zaraz będzie rodzić!

Ty stał chwilę jak skamieniały. Serce uwięzło mu w gardle, blokując dopływ powietrza do płuc.

Dawno już stracił rachubę odebranych noworodków, a jednak teraz czuł się jak nowicjusz przed pierwszym samodzielnym porodem.

- Doktorze Ty! - ponagliła go Meg.

Biegając do domu, o mało nie pośliznął się na ubitym śniegu.

Kazał Tildy i Meg zająć się zabawą na górze, a sam wpadł do komory. Podmuch z otwartych z rozmachem drzwi wzbili w powietrze tuman mąki znad ciasta rosnącego na stole. Ty potknął się o miotłę porzuconą na środku podłogi i o mało nie wpadł do cebrzyka z moczącymi się miedzianymi garnkami. W ciągu ostatnich dwóch dni Delia rzuciła się w wir domowych obowiązków, czym doprowadzała go do szaleństwa. Bał się, że może zaszkodzić sobie lub dziecku.

Ale w tej chwili siedziała na stołeczku przy kominku i klęła jak szewc, bo na tamborku zamiast haftu pojawiały się same supełki. Nawet zaawansowana ciąża nie ujmowała jej urody.

Podniosła wzrok znad robótki i roześmiała się na widok miny swego

męża.

- Tylerze Savitchu, nawet nie próbuj wyładowywać na mnie swoich nerwów. Jestem dostatecznie wystraszona. Nie potrzeba mi tutaj rozhisteryzowanego lekarza.

Uklęknął przy niej i położył dłoń na wypiętym brzuchu.

- Kiedy poczułaś ból? Przed chwilą?

Pogładziła go po pochylonej głowie.

- Och, nie. Chyba zaraz po śniadaniu - powiedziała ze spokojem.

- Chryste! Tyle godzin temu! Dlaczego nic nie mówiłaś?

- Myślałam, że to niestrawność po tej kleistej owsiance, jaką uraczyłeś nas rano.

Wybuch śmiechu Tylera był nieco histeryczny. By się uspokoić, z całej siły zacisnął szczęki, co nadało jego twarzy szorstki wygląd. Cmoknął Delię w usta i podniósł się z klęczek.

- Nigdy w życiu nie histeryzowałem - oznajmił z cichą nadzieją, że nie widać, jak drżą mu kolana. -

To przypadłość kobiet. - - Ummm. Wam, mężczyznom, wydaje się ... - Skrzywiła się z bólu i skuliła na stołku.

- O Jezu! - krzyknął Ty.

Poczuł, jak mu się ściska żołądek. Miał wrażenie, że dzieli jej ból.

- Tym razem mocno zabolalo - oznajmiła Delia, głośno dysząc.

Odgarnął włosy z jej spoconego czoła.

- To dobrze, Delio. Dziewczyno, nie walcz z bólem. - Usta mu drgały, gdy się uśmiechnął. - Zostaw to mnie.

Zaprowadził ją do pokoju, który wcześniej przygotował, rozebrał i pomógł wejść na fotel porodowy.

Zbadał ją; dziecko było w drodze.

Skurcze pojawiały się regularnie co kilka sekund. Delia przeżyła się i głośno dyszała. Ty żałował, że nie może urodzić za nią. Nie mógł się pogodzić że kobiety muszą tak cierpieć podczas porodu.

- Nie żałuj sobie i krzycz ile wlezie - zaproponował, całując zbielełe kostki zaciśniętych pięści.

Uparta i dzielna do samego końca, pokręciła głową i jedynie przygryzła wargę, gdy kolejny skurcz rozrywał jej ciało. Przepełniała go miłość do niej. I strach. Nic jej nie będzie - powtarzał w myślach, by uspokoić szaleńczo bijące serce. Jest silna i zdrowa. Co chwilę jakaś kobieta rodzi dziecko.

Przeżyje.

- Kocham cię - powiedział. - Och, Delio, jak ja cię kocham, dziewczyno.

Chowając prawdziwe uczucia pod płaszczykiem profesjonalnego chłodu, przeprowadził ją przez poród; mówił, kiedy ma przeć, a kiedy odpoczywać. Po bardzo długich dwóch godzinach pierworodne dziecko Tylera znalazło się w jego pewnych dłoniach. Śliski od krwi noworodek uderzył w żalсны płacz. Ty trzymał tę ludzką kruszynę, swoje dziecko, i patrzył na nie z naabożnym podziwem. Oczy wypełniły mu łzy niewysłowionego wprost szczęścia. Pierwszy raz w życiu tak naprawdę zrozumiał, co ludzie mieli na myśli, mówiąc, że "Pan Bóg komuś pobłogosławił".

Ty podniósł głowę i spojrział w oczy żony, oczy zamglone bólem i rozjarzone triumfem. Podniósł

dziecko wyżej, by mogła je zobaczyć.

_ Mamy synka, kochanie. Ślicznego, zdrowego synka.

Wyczerpana Delia zdobyła się jedynie na uśmiech. Ale ten uśmiech wystarczył za wszystkie słowa.

Ty przełożył Delię na łóżko, umył i zawinął dziecko w powiijaki. Właśnie miał oddać je w ramiona żony, gdy skrzypnęły drzwi i w szparze pojawiły się dwie główki.

_ Słyszałyśmy płacz dziecka - powiedziała szeptem Meg. Ty z pełnym dumy uśmiechem pokazał im synka.

_ Dziewczynki, chodźcie przywitać się z waszym małym braciszkiem.

Rozczarowana Tilda zmarszczyła brwi.

_ Ale on jest taki mały. Jak mamy się z nim bawić? I tak śmiesznie wygląda. Cały czerwony i pomarszczony jak suszona śliwka!

Meg kuksnęła siostrę w bok.

_ Cicho, Tildy Parkes! To nie było zbyt miłe!

Jednak Ty widział po minie Meg, że podziela zdanie sioslry, i przygryzł wargi, by nie wybuchnąć śmiechem.

Delia ruchem ręki przywołała dziewczynki i obie ucalowała.

_ Ani się obejrzyście, jak urosnie i będzie się z wami bawił -powiedziała słabym głosem, lecz z twarzą jaśniejącą szczęściem.

_ Ale on nawet nie ma włosów - protestowała nadal Tildy, a Delia i Ty uśmiechnęli się do siebie.

_ Włosy będą rosnać razem z nim - wyjaśnił Ty i zagarnął dziewczęta w stronę drzwi. - A teraz mam do was prośbę. Zróbcie

nam kolację i pozwólcie waszej mamie trochę się zdrzemnąć. Rodzenie

dzieci to ciężka praca.

Dziewczynki, ociągając się, wyszły z pokoju, a Ty położył się na brzegu łóżka przy Delii, z synkiem śpiącym spokojnie u jej boku. Teraz, kiedy było po wszystkim, miał wrażenie, że najchętniej zasnąłby i spał przez miesiąc.

Delia roześmiała się cicho, wodząc ostrożnie opuszkiem palca po maleńkiej buzi.

- Z przykrością muszę przyznać, że on rzeczywiście przypomina śliwkę.

- Jest śliczny - zaprotestował Ty.

Delia podniosła wzrok na Tylera i nagle spoważniała.

- Wiem, że chciałeś dziewczynkę. Jesteś rozczarowany?

- Ani trochę. Poza tym, skoro mamy mieć ich tuzin, w końcu musi się trafić dziewczynka.

Chciała zrobić złą minę, ale zdradziło ją drżenie ust. Ty uspokoił je pocałunkiem.

- Chciałabym go nazwać Willy, tak miał na imię syn Anny - powiedziała.

- Poprosimy ją i pułkownika, by trzymali go do chrztu.

Ty uśmiechnął się na zgodę.

- A w przyszłym roku zabierzemy go do Norridgewock i przedstawimy jego dziadkowi.

- Och, tak! Assacumbuit będzie zachwycony, że ma jeszcze jednego wnuka. Pamiętasz, jak cały czas usiłował cię namówić, byś wziął za żonę Elizabeth? Tak mu zależało na wnuczku.

Myśli Tylera powędrowały ku ojcu. Assacumbuit będzie zadowolony z kolejnego wnuka. I dumny.

Całe lato i jesień wybuchwały walki pomiędzy Abenakami i osadnikami. Ale Ty odnalazł spokój przy Delii. Po prostu doszedł do wniosku, że zawsze będzie należał do obu światów.

Delia leżała cicho. Pomyślał, że zasnęła. Podciągnął się na łokciu i zapatrzył w jej twarz. Była taka piękna, ta jego Delia, taka silna. I tak ją kochał.

- Cholera - mruknął zawstydzony, gdy kolejny raz dzisiaj łązy zakręciły mu się w oczach.

Delia zamrugnęła i wygięła kąciki ust w uśmiechu.

- Dziękuję, Ty - powiedziała, tłumiąc ziewnięcie.

- Za co? - zapytał, obejmując ją mocniej. - To ty wykonałaś całą robotę.

- Za dziecko. I za to, że mnie kochasz.

- Och, Delio, Delio - powtarzał jej imię ze zdumieniem i radością. A

potem złożył na jej ustach żarliwy, pełen miłości, czułości i obietnicy
szczęścia pocałunek.

Powiedziała coś cicho, zapadając w sen. Nachylił się, by pochwycić jej
słowa.

- Kocham cię, Tylerze Savitchu.